



**JOHN**  
**GRISHAM**

**Ostatni sprawiedliwy**

**JOHN**  

---

**GRISHAM**

# **Ostatni sprawiedliwy**

Z angielskiego przełożył  
KRZYSZTOF OBŁUCKI



Wydanie elektroniczne

## JOHN GRISHAM

Autor 28 powieści (w tym trzech dla młodzieży), fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 40 językach, a ich łączny nakład osiągnął 275 milionów egzemplarzy. Aż dziewięć powieści Grishama zostało zekranizowanych. W 2011 pisarz otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee Prize.

[www.facebook.com/JohnGrisham](http://www.facebook.com/JohnGrisham)

*Tego autora w Wydawnictwie Albatros*

FIRMA  
KANCELARIA  
ZAKLINACZ DESZCZU  
KRÓL ODSZKODWAŃ  
WIĘZIENNY PRAWNIK  
OSTATNI SPRAWIEDLIWY  
CALICO JOE  
NIEWINNY CZŁOWIEK  
RAPORT PELIKANA  
KOMORA  
PODARUJMY SOBIE ŚWIĘTA  
TRENER  
UŁASKAWIENIE

**Theodore Boone**

OSKARŻONY  
AKTYWISTA

**Jake Brigance**

CZAS ZABIJANIA  
SYCAMORE ROW

Tytuł oryginału:  
THE LAST JUROR

Copyright © Belfry Holdings Inc. 2004  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013

Polish translation copyright © Krzysztof Obłucki 2013

Redakcja: Beata Słama

Konsultacja prawnicza: prof. Tadeusz Tomaszewski

Ilustracja na okładce: improvize/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7885-108-0

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)



*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](http://Virtualo Sp. z o.o.)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Część pierwsza](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

## [Część druga](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

## [Część trzecia](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)



[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Od autora](#)

[Przypisy](#)

# **Część pierwsza**

---

## Rozdział 1

---

**P**o dziesięcioleciach zdumiewających zaniedbań i wytrwałego zarządzania w nieumiejętny sposób gazeta „The Ford County Times” zbankrutowała w 1970 roku. Jej właścicielką i wydawczynią była pani Emma Caudle, teraz dziewięćdziesięcioletnia staruszka, przywiązana pasami do łóżka w domu opieki w Tupelo. Redaktor naczelny, jej syn, Wilson Caudle, miał siedemdziesiąt kilka lat i metalową płytkę w głowie z czasów pierwszej wojny światowej. Idealne koło ciemnej przeszczepionej skóry zakrywało płytkę na górze jego wysokiego, spadzistego czoła. Z jej powodu przez całe dorosłe życie musiał znosić przydomek Spot<sup>1</sup>. Spot, zrób to. Spot, zrób tamto. Tutaj, Spot. Tam, Spot.

Kiedy był młodszy, chodził na zebrania władz miasta, mecze futbolowe, wybory, rozprawy sądowe, spotkania kółek kościelnych, uczestniczył we wszelkich przejawach aktywności w okręgu<sup>2</sup>. Był dobrym reporterem, dokładnym i obdarzonym intuicją. Rana w głowie najwyraźniej w żaden sposób nie wpłynęła na jego umiejętność pisania. Jednak w którymś momencie, po drugiej wojnie światowej, płytka ewidentnie się przemieściła i pan Caudle przestał pisać cokolwiek poza nekrologami. Uwielbiał nekrologi. Spędzał nad nimi całe godziny. Tworzył długie akapity elokwentnej prozy, szczegółowo przedstawiając życiorysy nawet najskromniejszych mieszkańców okręgu

Ford. A śmierć bogatego lub prominentnego obywatela stawała się wiadomością na pierwszej stronie, przy czym pan Caudle sam tego pilnował. Nigdy nie opuścił żadnego czuwania przy zmarłej osobie lub pogrzebu, nigdy nie napisał o nikim złego słowa. Wszyscy na koniec okrywali się chwałą. Okręg Ford był cudownym miejscem do umierania. Choć Spot był szurnięty, cieszył się ogromną popularnością.

Jedyny kryzys w jego dziennikarskiej karierze zdarzył się w 1967 roku, mniej więcej w czasie, gdy do okręgu Ford dotarł ruch obrony praw człowieka. Gazeta nigdy nie posunęła się choćby do aluzji o tolerancji rasowej. Na jej stronach nigdy nie pojawiła się czarna twarz, z wyjątkiem znanych lub domniemyanych kryminalistów. Żadnych zawiadomień o ślubach czarnych. Żadnych czarnych szkolnych prymusów lub zwycięskich drużyn baseballowych. Niemniej w 1967 roku pan Caudle dokonał przerażającego odkrycia. Obudził się pewnego ranka i uświadomił sobie, że w okręgu Ford umierają czarni ludzie, a ich zgony nie są odnotowywane zgodnie z zasadami sztuki. Istniała dziura, coś zupełnie nowego dla Caudle'a, niezwykle obiecujący świat nowych nekrologów. Postanowił więc pozegłować po niebezpiecznych i nieznanym wodach. W środę ósmego marca 1967 roku „Times” stał się pierwszą w Missisipi ukazującą się raz w tygodniu gazetą należącą do białego właściciela, w której wydrukowano nekrolog Murzyna. Większość nie zwróciła na to uwagi.

W następnym tygodniu zamieścił trzy nekrologi czarnych mieszkańców, a wtedy ludzie zaczęli mówić. W czwartym tygodniu regularny bojkot wydawał się nieunikniony; odwoływano prenumeraty, ogłoszeniodawcy pozamykali portfele. Pan Caudle wiedział, co się działo, ale nowy status integracjonisty robił na nim zbyt duże wrażenie, żeby niepokoił się tak trywialnymi sprawami jak sprzedaż i zyski. Po sześciu tygodniach od ukazania się historycznego nekrologu ogłosił na pierwszej stronie pogrubioną czcionką zasady nowej polityki redakcji. Wyjaśnił czytelnikom, że będzie, do cholery, publikował wszystko, na co przyjdzie mu ochota, a jeśli białej społeczności się to nie podoba, to przestanie po prostu drukować jej nekrologi.

Ponieważ w Missisipi odpowiednie umieranie jest częścią życia – zarówno dla czarnych, jak i białych – w tej sytuacji sama myśl o złożeniu na marach bez glorii pochlebnych pożegnań pióra Spota dla większości białych była nie do zniesienia. Poza tym wiedzieli, że jest wystarczająco szurnięty, żeby spełnić swoją groźbę.

Następny numer wypełniały nekrologi wszelkiego rodzaju, czarnych i białych, wszystkie ułożone skrupulatnie w porządku alfabetycznym, nieposegregowane rasowo. Sprzedał się cały nakład, potem zaś nastąpił krótki okres prosperity.

Ogłoszono, że bankructwo jest przymusowe, jakby bankructwa zwykle dotykały entuzjastycznie nastawionych ochotników. Wierzycielom przewodził drukarz z Memphis, któremu należało się sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Kilku kredytodawców nie spłacano od pół roku. Sędziwy Security Bank zażądał zwrotu pożyczki.

Byłem nowy, ale słyszałem plotki. Siedziałem na biurku w redakcji „Timesa” w pokoju od ulicy i czytałem jakiś magazyn, kiedy do środka wkroczył karzeł w butach ze szpiczastymi czubkami i zapytał o Wilsona Caudle’a.

– Jest w domu pogrzebowym – powiedziałem.

Karzeł wyglądał na bardzo pewnego siebie. Na biodrze, pod wygniecioną granatową marynarką, spostrzegłem u niego broń noszoną w taki sposób, by ludzie mogli ją widzieć. Miał prawdopodobnie pozwolenie, ale w okręgu Ford nikt czegoś takiego nie potrzebował, w każdym razie tak było w latach siedemdziesiątych. W rzeczywistości patrzono na pozwolenia ze zdziwieniem.

– Muszę mu dostarczyć te papiery – powiedział, wymachując kopertą.

Nie byłem w nastroju do pomagania innym, ale trudno być nieuprzejmym wobec karła. Nawet takiego z bronią.

– Jest w domu pogrzebowym – powtórzyłem.

– No to zostawię je u pana – oznajmił.

Chociaż byłem tu od niecałych dwóch miesięcy i choć studiowałem na Północy, nauczyłem się tego i owego. Wiedziałem, że dobre wieści nie są ludziom doręczane oficjalnie. Wysyła się je pocztą, przesyła w inny sposób albo przekazuje osobiście, ale nigdy nie dostarcza się ich przez urzędowego posłańca. Te papiery oznaczały kłopoty, a ja nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

– Nie wezmę tego – powiedziałem, spuszcżając wzrok.

Prawa natury wymagają, żeby karły były potulnymi, mało wojowniczymi ludźmi, i ten kurdupel nie stanowił wyjątku. Broń nosił dla zmyłki. Rozejrzał się po pokoju z pogardliwym uśmieszkiem, ale wiedział, że sytuacja jest beznadziejna. Trochę zbyt teatralnym gestem wepchnął kopertę do kieszeni i zapytał buńczucznie:

– Gdzie jest ten dom pogrzebowy?

Pokazałem mu, jak tam trafić, i się oddalił. Godzinę później na chwiejnych nogach wkroczył Spot, wymachując papierami i wykrzykując histerycznie:

– To koniec! To koniec! – Nie przestawał zawodzić, podczas gdy ja trzymałem w ręku wniosek o upadłość.

Margaret Wright, sekretarka, i Hardy, dziennikarz, przyszli z zaplecza i próbowali go pocieszać. On zaś siedział na krześle w twarzą ukrytą w dłoniach, z łokciami opartymi na udach i płakał żałośnie. Przeczytałem wniosek na głos, żeby pozostali wiedzieli, o co chodzi.

Napisano w nim, że pan Caudle musi stawić się za tydzień w sądzie w Oksfordzie na spotkaniu z wierzycielami i sędzią, że dopiero wtedy zostanie podjęta decyzja, czy tygodnik nadal będzie się ukazywał, podczas gdy syndyk zajmie się uporządkowaniem wszystkiego. Było dla mnie jasne, że Margaret i Hardy bardziej martwili się o swoje posady niż o załamane go pana Caudle’a, ale dzielnie stali przy nim i poklepywali go po ramionach.

Kiedy trochę się uspokoił, wstał, zagryzł wargę i oświadczył:

– Muszę powiedzieć matce.

Popatrzyliśmy po sobie. Pani Emma Caudle wycofała się przed wieloma laty, a praca jej słabego serca wystarczała zaledwie do odwlekania pogrzebu. Nie miała pojęcia, jakiego koloru galaretką ją karmiono, i w ogóle jej to nie obchodziło, a z pewnością nie zawracała sobie głowy okręgiem Ford i jego gazetą. Była ślepa, głucha i ważyła mniej niż czterdzieści kilogramów, ale Spot chciał omawiać z nią przymusowe bankructwo. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że jego również już z nami nie ma.

Znów się rozplakał i wyszedł. Za sześć miesięcy miałem napisać jego nekrolog.

Ponieważ studiowałem i ponieważ to ja trzymałem w ręku dokumenty, Hardy i Margaret patrzyli na mnie z nadzieją, oczekując rady. Byłem dziennikarzem, nie prawnikiem, ale powiedziałem, że zaniosę te papiery do adwokata rodziny Caudle’ów. Potem zastosujemy się do jego wskazówek. Uśmiechnęli się słabo i wrócili do pracy.

W sklepie Quincy’s One Stop w Lowtown, czarnej dzielnicy Clanton, kupiłem w południe sześciopak piwa i wyruszyłem na długą przejażdżkę moim spitfire’em. Luty dobiegał końca, było jednak bardzo ciepło jak na tę porę roku, dlatego opuściłem dach i ruszyłem w kierunku jeziora, zastanawiając się nie po raz pierwszy, co ja właściwie robię w okręgu Ford w stanie Missi-

sipi.

\*\*\*

Dorastałem w Memphis i przez pięć lat studiowałem dziennikarstwo w Syracuse, zanim moja babka zaczęła mieć dość płacenia za moją przedłużającą się edukację. Stopnie miałem takie sobie i do dyplomu brakowało mi roku. Może półtora. Babcia BeeBee miała mnóstwo pieniędzy, ale nie znosiła ich wydawać i po pięciu latach uznała, że ułatwianie mi startu zostało już sfinansowane w wystarczającym stopniu. Kiedy odcięła mi fundusze, byłem bardzo rozczarowany, ale nie narzekałem, przynajmniej nie w jej obecności. Byłem jej jedynym wnukiem, a spadek po niej będzie prawdziwą rozkoszą.

Studiowanie dziennikarstwa przyprawiało mnie o ból głowy. W początkowym okresie w Syracuse marzyłem, by zostać dziennikarzem śledczym „New York Timesa” albo „Washington Post”. Chciałem zbawiać świat, wyciągając na światło dzienne korupcję i zanieczyszczenie środowiska naturalnego, marnotrawienie państwowych środków i niesprawiedliwość, przez które cierpieli słabi i gnębieni ludzie. Pulitzerzy już na mnie czekały. Mniej więcej po roku tak wygórowanych aspiracji obejrzałem film o zagranicznym korespondencie, który pędził po świecie w poszukiwaniu wojen, uwodził piękne kobiety i w jakiś sposób znajdował czas na pisanie historii honorowanych nagrodami. Mówił ośmioma językami, nosił brodę, wojskowe buty i ubrania khaki, które nigdy się nie gniotły. Dlatego postanowiłem, że będę właśnie takim dziennikarzem. Zapuściłem brodę, kupiłem buty i ubranie khaki, próbowałem uczyć się niemieckiego i podrywać co ładniejsze dziewczyny. Na pierwszym roku, kiedy moje oceny zaczęły pikować w dół, urzekł mnie pomysł pracy w gazecie wydawanej w małym miasteczku. Nie potrafię wyjaśnić tej fascynacji, poza tym że wtedy poznałem Nicka Dienera i się z nim zaprzyjaźniłem. Pochodził z rolniczej Indiany i od dziesięcioleci jego rodzina miała niezłe sobie radzącą lokalną gazetę. Jeździł bajeranckim małym alfa romeo i zawsze miał mnóstwo kasy. Zostaliśmy przyjaciółmi.

Nick był bystrym studentem, który dałby sobie radę na medycynie, prawie albo na politechnice. Tymczasem jego jedynym celem był powrót do Indiany i prowadzenie rodzinnego interesu. Stanowiło to dla mnie zagwozdkę do czasu, gdy któregoś wieczoru upiliśmy się i powiedział mi, jak jego ojciec zamykał każdy rok finansowy ich skromnego tygodnika, wydawanego w nakładzie

sześciu tysięcy egzemplarzy. To żyła złota, mówił. Tylko lokalne wiadomości, zawiadomienia o ślubach i spotkaniach stowarzyszeń kościelnych, listy szkolnych prymusów, sprawozdania sportowe, zdjęcia drużyn koszykówki, kilka przepisów kulinarnych, kilka nekrologów i strony z ogłoszeniami. Może trochę polityki, ale z dala od wszelkich kontrowersji. I gotówka brzęczy w kieszeni. Jego ojciec stał się milionerem. Było to dziennikarstwo na luzie, bez napięć, a pieniądze rosły na drzewach, a przynajmniej tak twierdził Nick.

To do mnie przemawiało. Po czwartym roku, który powinien być ostatni, ale nawet nie przybliżył mnie do dyplomu, spędziłem wakacje w redakcji małego tygodnika w Ozark Mountains w Arkansas. Płacili marne centy, ale na BeeBee duże wrażenie wywarło to, że ktoś mnie zatrudnił. Co tydzień wysyłałem jej gazetę, w której co najmniej połowa tekstów była mojego autorstwa. Właścicielem, redaktorem naczelnym i wydawcą był przeuroczy starszy dżentelmen zachwycony tym, że pracuje u niego dziennikarz, który chce pisać. Miał całkiem spory majątek.

Po pięciu latach w Syracuse moje oceny nie dawały się już poprawić, a źródło finansowania wyschło. Wróciłem do Memphis, odwiedziłem BeeBee, podziękowałem jej za pomoc i zapewniłem, że ją kocham. Poleciała mi, żebym znalazł sobie jakąś pracę.

W tym czasie siostra Wilsona Caudle'a, mieszkająca w Memphis na skutek splotu różnych okoliczności, na jakiejś herbatce poznała BeeBee. Po kilku telefonach spakowałem się i wyruszyłem do Clanton w stanie Missisipi, gdzie z niecierpliwością czekał już na mnie Spot. Po godzinnym wypytywaniu zostawił mnie samopas w okręgu Ford.

W następnym numerze zamieścił wzruszającą krótką wzmiankę z moim zdjęciem, w której obwieszczał rozpoczęcie przeze mnie „stażu” w „Timesie”. Zajęła całą pierwszą stronę. W tamtych czasach nieczęsto trafiały się prawdziwe rewelacje.

W notce znalazły się dwa horrendalne błędy, które miały się za mną wlec przez lata. Pierwszy i mniej poważny polegał na stwierdzeniu, że uniwersytet w Syracuse dołączył do Ivy League<sup>3</sup>, przynajmniej w opinii Spota. Poinformował malejące grono czytelników, że w Syracuse odebrałem wykształcenie najlepsze z możliwych. Minął miesiąc, zanim ktoś mi o tym powiedział. Zaczynałem podejrzewać, że nikt nie czyta tej gazety albo, co gorsza, ci, którzy ją czytają, są idiotami.



Druga pomyłka zmieniła moje życie. Urodziłem się jako Joyner William Traynor. Do dwunastego roku życia zamęczałem rodziców pytaniami o to, z jakiego powodu dwoje najwyraźniej inteligentnych ludzi obdarowało swoje nowo narodzone dziecko imieniem Joyner. W końcu dowiedziałem się, że jedno z moich rodziców – a każde się wypierało – nadało mi to imię, ponieważ miało być ono gałązką oliwną wyciągniętą w stronę jakiegoś obrażonego krewnego, który przypuszczalnie miał pieniądze. Nigdy tego człowieka nie poznałem. Umarł splukany, a ja zostałem Joynerem do końca życia. Na uniwersytet wstąpiłem jako J. William, co, jak na osiemnastolatka, było raczej na wyrost. Ale w erze Wietnamu, zamieszek, buntu i demonstracji doszedłem do wniosku, że J. William brzmi zbyt instytucjonalnie, za bardzo kojarzy się z establishmentem. Stałem się więc Willem.

Spot nazywał mnie Williamem, Willem, Billem, nawet Billym, a ponieważ reagowałem na wszystkie te imiona, nigdy nie wiedziałem, na jaki pomysł może jeszcze wpaść. W gazecie pod moim uśmiechniętym zdjęciem znalazło się moje nowe imię: Willie. Byłem przerażony. Nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, że ktoś nazwie mnie Willie. Chodziłem do szkoły podstawowej w Memphis, potem do college'u w Nowym Jorku i nigdy nie poznałem nikogo o imieniu Willie. Nie byłem poczciwym staruszką. Jeździłem triumphem spitfire'em i nosiłem długie włosy.

Co miałem powiedzieć kumplom z bractwa w Syracuse? Co miałem powiedzieć BeeBee?

Po ukrywaniu się przez dwa dni w domu zebrałem się na odwagę, żeby stanąć przed Spotem i domagać się, by coś zrobił. Nie byłem pewny, co miałyby to być, ale w końcu popełnił błąd, więc mógłby go, do cholery, naprawić. Wkroczyłem do redakcji „Timesa” i wpadłem na Daveya Bigmoutha Bassa, redaktora sportowego naszej gazety.

– Hej, to superimię – powiedział, gdy wszedłem za nim do jego pokoju, szukając rady.

– Nie nazywam się Willie – odparłem.

– Teraz już tak.

– Na imię mam Will.

– Będą cię tu uwielbiali. Mądrała z Północy, z długimi włosami i małym importowanym samochodem. Cholera, ludzie uznają, że jesteś całkiem w porządku, skoro masz na imię Willie. Pomyśl o Joe Williem.

– A kto to jest Joe Willie?

– Joe Willie Namath.

– Och, ten.

– No, jest Jankesem, jak ty, z Pensylwanii albo podobnego miejsca, ale kiedy trafił do Alabamy, zmienił imiona z Joseph William na Joe Willie. Dziewczyny uganiały się za nim po całym stanie.

Poczułem się lepiej. W 1970 roku Joe Namath był prawdopodobnie najślawniejszym sportowcem w kraju. Pojechałem na przejażdżkę i nie przestałem powtarzać: „Willie”. Po paru tygodniach to imię zaczynało do mnie przywierać. Wszyscy nazywali mnie Willie i sprawiali wrażenie bardziej odprężonych, ponieważ miałem takie przyziemne imię.

Powiedziałem BeeBee, że to tymczasowy pseudonim.

\*\*\*

„Times” był bardzo cienkim tygodnikiem i natychmiast się zorientowałem, że ma kłopoty. Pełny nekrologów, ze znikomą dawką wiadomości i reklam. Pracownicy byli niezadowoleni, ale cisi i lojalni. W 1970 roku niełatwo było znaleźć pracę w okręgu Ford. Po tygodniu stało się oczywiste, nawet dla mnie, nowicjusza, że gazeta przynosi straty. Nekrologi szły za darmo, reklamy nie. Spot większość czasu spędzał w swoim zagraconym gabinecie, uciął sobie drzemki i wydzwaniał do zakładów pogrzebowych. Zdarzało się, że to one dzwoniły do niego. Bywało, że już kilka godzin po wydaniu ostatniego tchnienia przez wuja Wilbera odwiedzała nas jego rodzina i przekazywała długie, kwieciste, odręcznie napisane wspomnienia, które Spot przejmował i zanosił ostrożnie na biurko. Za zamkniętymi drzwiami pisał, redagował, sprawdzał i przepisywał od nowa, aż uzyskiwał wersję idealną.

Powiedział mi, że mam obsługiwać cały okręg. W gazecie pracował jeszcze jeden dziennikarz, Baggy Suggs, ciągle zalany stary cap, który całymi godzinami kręcił się w sądzie po drugiej stronie ulicy, węsząc za plotkami i popijając bourbona z niewielką grupką splukanych adwokatów, zbyt starych i zbyt pijanych, żeby prowadzić praktykę. Jak się szybko przekonałem, Baggy zrobił się zbyt leniwy, by sięgać do źródeł i szukać czegoś ciekawego. Pisał nudne artykuły na pierwszą stronę, opisujące pobicie żony albo spór o miedzę.

Margaret, miła sekretarka, katoliczka, rządziła tym miejscem, ale była na tyle sprytna, że pozwalała Spotowi myśleć, iż to on jest szefem. Przekroczyła

pięćdziesiątkę i pracowała tam od dwudziestu lat. Była opoką, kotwicą i wszystko w „Timesie” kręciło się wokół niej. Margaret mówiła łagodnym głosem, była płochliwa, ja zaś onieśmiałam ją od pierwszego dnia, bo przyjechałem z Memphis i przez pięć lat studiowałem na Północy. Bardzo uważałem, żeby nie przyłgnęła do mnie podrobiona etykieta Ivy League, a jednocześnie chciałem, by wieśniacy z Missisipi wiedzieli o moim świetnym wykształceniu.

Ona i ja staliśmy się rozplotkowanymi kumplami, a po tygodniu potwierdziła to, co i tak podejrzewałem – że pan Caudle jest naprawdę obłąkany i że gazeta znajduje się w tragicznej sytuacji finansowej. Ale, jak powiedziała, Caudle’owie mają rodzinny majątek!

Miały minąć lata, zanim pojąłem, o co chodziło.

W Missisipi nie należało mylić rodzinnego majątku z zamożnością. Nie miał nic wspólnego z gotówką lub innymi dobrami. Rodzinny majątek równał się statusowi zyskiwanemu przez kogoś, kto był biały, miał jakiegokolwiek wykształcenie wykraczające poza maturę, urodził się w dużym domu z werandą od frontu – najlepiej takim, który otaczały pola bawełny lub soi, choć nie było to obligatoryjne – i był wychowywany trochę przez ukochaną czarną służącą o imieniu Bessie albo Pearl, a trochę przez czułych dziadków, którzy kiedyś byli właścicielami przodków Bessie albo Pearl. Od urodzenia wpajali oni potomkowi surowe zasady obowiązujące w klasie ludzi uprzywilejowanych. Posiadane fundusze powiernicze i ziemia jakoś w tym pomagały, ale w Missisipi pełno było niewypłacalnych arystokratów, którzy odziedziczyli status osoby z rodzinnym majątkiem. Tego nie można było kupić. Miało się to z racji urodzenia.

Kiedy rozmawiałem z prawnikiem rodziny Caudle’ów, poinformował mnie dość zwięźle o prawdziwej wartości ich rodzinnego majątku.

– Są goli jak święty turecki – oznajmił, podczas gdy ja siedziałem na wytartym skórzanym fotelu i patrzyłem na niego ponad blatem wiekowego mahoniowego biurka.

Nazywał się Walter Sullivan, pracował w prestiżowej – przynajmniej w okręgu Ford – kancelarii Sullivan i O’Hara, zatrudniającej siedmiu adwokatów. Wczytywał się we wnioski o upadłość i głądził o Caudle’ach i pieniądzach, które kiedyś mieli, i o tym, jak głupio doprowadzili do upadku gazetę, swego czasu niezłe prosperującą. Byli jego klientami od trzydziestu lat, a może dłużej. Kiedy wszystkim zarządzała pani Emma, „Times” miał pięć

tysięcy prenumeratorów i strony pełne reklam. W depozycie w Security Bank trzymała na czarną godzinę pół miliona dolarów.

Potem umarł jej mąż, a ona wyszła za miejscowego alkoholika, młodszego od niej o dwadzieścia lat. Kiedy bywał trzeźwy, ten półanalfabeta uważał się za znękanego poetę i eseistę. Pani Emma bardzo go kochała i powierzyła mu stanowisko współredaktora, co wykorzystał do pisania długich wstępniaków chłoszczących wszystko, co istniało w okręgu Ford. To był początek końca. Spot nienawdził ojczyma; uczucie to było zresztą odwzajemniane, a ich relacje osiągnęły apogeum w najbarwniejszej walce na pięści w historii Clanton. Doszło do niej na chodniku naprzeciwko redakcji „Timesa”, na rynku, na oczach ogromnego zdumionego tłumu. Miejscowi uważali, że tamtego dnia mózg Spota, i tak nadwątlony, doznał dalszych uszkodzeń. Wkrótce Spot przestał pisać cokolwiek poza tymi przekłętymi nekrologami.

Ojczym uciekł z pieniędzmi, a pani Emma ze złamanym sercem stała się samotniczką.

– Kiedyś to była dobra gazeta – powiedział Sullivan. – Ale niech pan spojrzy na nią teraz. Niecałe tysiąc dwieście prenumerat, ogromne zadłużenie. Bankrut.

– Co postanowi sąd? – zapytałem.

– Postara się znaleźć kupca.

– Kupca?

– Tak, kogoś, kto zechce ją kupić. Okręg musi mieć gazetę.

Od razu pomyślałem o dwóch osobach: Nicku Dienerze i BeeBee. Rodzina Nicka dorobiła się majątku na lokalnym tygodniku. BeeBee miała mnóstwo kasy i tylko jednego ukochanego wnuka. Serce zaczęło mi walić jak młotem, bo wyczułem okazję.

Pan Sullivan przyglądał mi się uważnie i było oczywiste, że wie, jakie myśli chodzą mi po głowie.

– Da się ją kupić za psie pieniądze – dodał.

– Za ile? – zapytałem z ufnością dwudziestotrzyletniego nieopierzonego dziennikarza, którego babka była uparta jak osioł.

– Prawdopodobnie pięćdziesiąt tysięcy. Dwadzieścia pięć dla gazety, dwadzieścia pięć na działalność. Większość długu zostanie umorzona z powodu bankructwa, a potem renegocjowana z wierzycielami, których pomoc okaże się potrzebna. – Pochylił się do przodu, opierając łokcie na blacie biurka, a gęste siwe brwi poruszały się, jakby jego umysł pracował w nadgodzinach.

– To może być prawdziwa kopalnia złota, naprawdę.

\*\*\*

BeeBee nigdy nie inwestowała w kopalnie złota, ale po trzech dniach łąszenia się i namawiania jej wyjechałem z Memphis z czekiem na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Dałem go panu Sullivanowi, a on złożył pieniądze na koncie depozytowym i wystąpił do sądu z wnioskiem o sprzedaż gazety. Sędzia tak stary, że powinien leżeć obok pani Emmy Caudle, pokiwał głową i nabazgrał swoje nazwisko na postanowieniu, dzięki któremu stałem się nowym właścicielem „Ford County Timesa”.

Żeby zyskać akceptację w okręgu Ford, trzeba co najmniej trzech pokoleń. Niezależnie od pieniędzy czy pochodzenia nikt nie może zamieszkać tam ot tak i liczyć na zaufanie. Nad każdym nowo przybyłym wisi ciemna chmura podejrzliwości i ja nie stanowiłem wyjątku. Ludzie są tam bardzo ciepły, uprzejmi i wspaniałomyślni, a ich przyjacielskie nastawienie graniczy ze wścibstwem. Idąc ulicą, kłaniają się wszystkim i ze wszystkimi rozmawiają. Pytają o zdrowie i zapraszają każdego do swojego kościoła. Śpieszą nieznanym z pomocą.

Ale tak naprawdę, jeśli nie darzyli zaufaniem twojego dziadka, nie zaufają i tobie.

Kiedy rozeszła się wieść, że ja, młody obcy żółtodziób z Memphis, kupiłem gazetę za pięćdziesiąt, a może nawet za sto albo dwieście tysięcy dolarów, wśród członków lokalnej społeczności zawrzało od plotek. Margaret informowała mnie na bieżąco. Ponieważ nie miałem dziewczyny czy żony, istniała możliwość, że jestem homoseksualistą. Ponieważ poszedłem na uniwersytet w Syracuse, prawdopodobnie byłem komunistą. Albo, co gorsza, liberałem. Ponieważ pochodziłem z Memphis, musiałem mieć jakieś wywrotowe zapędy, szokujące dla mieszkańców okręgu Ford.

Niezależnie od wszystkiego przyznawali jednak po cichu, że teraz to ja kontroluję nekrologi. Stałem się kimś!

Nowy „Times” zadebiutował osiemnastego marca 1970 roku zaledwie trzy tygodnie po pojawieniu się karła z dokumentami. Gazeta była gruba prawie na dwa i pół centymetra i zawierała więcej zdjęć niż jakikolwiek lokalny tygodnik. Skauci, licealne drużyny koszykówki, towarzystwa ogródkowe, kluby książki, koła miłośników herbaty, grupy biblistów, softballowe drużyny

seniorów, kluby obywatelskie. Dziesiątki zdjęć. A zmarli byli wysławiani jak nigdy przedtem. Nekrologi stały się krępująco długie. Jestem pewny, że Spot był dumny, ale nigdy się ze mną nie skontaktował.

Wiadomości dotyczyły błahych spraw i były optymistyczne. Żadnego wstępniaka. Ludzie uwielbiają czytać o przestępstwach, dlatego w lewym dolnym rogu pierwszej strony umieściłem dział pod nazwą *Notki kryminalne*. Szczęśliwym trafem tydzień wcześniej zwędzono dwa pick-upy, a ja rozdmuchałem tę kradzież do rozmiarów ograbienia Fort Knox.

Na środku pierwszej strony znalazło się zdjęcie przedstawiające nową ekipę: Margaret, Hardy'ego, Baggy'ego Suggsa, mnie, naszego fotografa Wileya Meeka, Daveya Bigmoutha Bassa i Melanie Dogan, uczennicy liceum zatrudnionej na godziny. Byłem dumny ze swojego personelu. Tyraliśmy dwadzieścia cztery godziny na dobę przez dziesięć dni, a nasz pierwszy numer okazał się ogromnym sukcesem. Wydrukowaliśmy pięć tysięcy egzemplarzy i wszystkie sprzedaliśmy. Wysłałem BeeBee pudło z tygodnikiem i na niej zrobiło to największe wrażenie.

Przez następny miesiąc nowy „Times” powoli nabierał kształtu, podczas gdy ja toczyłem wewnętrzne zmagania, jakim chciałbym go widzieć w przyszłości. W rolniczym Missisipi zmiany dokonują się w bólach, dlatego postanowiłem wprowadzać je stopniowo. Stary tygodnik zbankrutował, ale też przez pięćdziesiąt lat prawie w ogóle się nie zmienił. Pisałem więcej wiadomości, sprzedawałem więcej miejsca pod ogłoszenia, zamieszczałem coraz więcej zdjęć najróżniejszych grup. I ciężko pracowałem nad nekrologami.

Zostawanie po godzinach nigdy mnie nie pociągało, ale ponieważ byłem właścicielem, zapomniałem o zegarze. Byłem za młody i zbyt zajęty, żeby się bać. Miałem dwadzieścia trzy lata. Dzięki uśmiechowi losu, wstrzeleniu się w odpowiedni czas i bogatej babce nagle stałem się właścicielem tygodnika. Jestem pewny, że gdybym się zawahał i rozważył sytuację, szukał rady bankierów i księgowych, to ktoś z nich przemówiłby mi do rozumu. Ale dwudziestotrzylatek nie zna strachu. Nie ma nic, więc niczym nie ryzykuje.

Oszacowałem, że zanim gazeta zacznie przynosić zyski, minie rok. Początkowo dochód rósł wolno. A potem została zamordowana Rhoda Kassellaw. Naturalne dla tego biznesu wydaje się zwiększenie nakładu po brutalnym przestępstwie, kiedy ludzie chcą poznać szczegóły. Tydzień przed jej śmiercią sprzedaliśmy dwa tysiące czterysta egzemplarzy, a tydzień po tej zbrodni prawie cztery tysiące.

Nie było to zwykłe morderstwo.

\*\*\*

Hrabstwo Ford było spokojnym miejscem, zamieszkanym przez ludzi, którzy albo byli chrześcijanami, albo tak twierdzili. Bójki na pięści zdarzały się codziennie, ale bili się przeważnie przedstawiciele niższych klas, kręcący się przy budkach z piwem i podobnych przybytkach. Raz na miesiąc jakiś wieśniak strzelał do sąsiada albo na przykład do własnej żony, w każdym tygodniu w czarnych getach przynajmniej jedna osoba zostawała zadźgana nożem. Jednak następstwem takich wyskoków rzadko była śmierć.

Byłem właścicielem „Timesa” przez dziesięć lat, od 1970 do 1980 roku, i w tamtym czasie pisaliśmy o zaledwie kilku morderstwach popełnionych w okręgu. I żadne nie było tak brutalne, jak zamordowanie Rhody Kassellaw, żadnego nie dokonano z taką premedytacją. Trzydzieści lat później nadal nie ma dnia, żebym o nim nie myślał.

## Rozdział 2

---

**R**hoda Kassellaw mieszkała na osiedlu Beech Hill, niecałe dwadzieścia kilometrów od Clanton, w skromnym domu z szarej cegły przy wąskiej, brukowanej wiejskiej drodze. Grządki kwiatów od frontu były wypielone i codziennie podlewane; między nimi a drogą rozciągał się szeroki pas trawnika, gęstego i starannie koszonego. Podjazd wysypano białym żwirem. Po jego obu stronach leżały rozrzucone skuterki, piłki i rowerki. Dwoje małych dzieci Rhody na ogół bawiło się na dworze, tylko czasami przerywając zabawę, by popatrzeć na przejeżdżający samochód.

Był to ładny, mały, wiejski domek o rzut kamieniem od sąsiadów, państwa Deece'ów. Młody mężczyzna, który go kupił, zginął w wypadku samochodowym gdzieś w Teksasie, a Rhoda w wieku dwudziestu ośmiu lat została wdową.

Pieniędźmi z jego ubezpieczenia na życie spłaciła dom i samochód. Pozostałą kwotę zainwestowała, dzięki czemu miała niewielkie miesięczne dochody, pozwalające jej zostać w domu i zajmować się dziećmi. Całymi godzinami przebywała na świeżym powietrzu, uprawiała ogródek warzywny, przesadzała kwiaty, peła, sypała na grządki rozdrobnioną korę.

Stała się odludkiem. Staruszki z Beech Hill uważały ją za wzorową wdo-



wę, siedzącą w domu, wyglądającą na smutną, ograniczającą wyjścia do okazjonalnych wizyt w kościele. Szeptaly między sobą, że powinna pojawiać się tam bardziej regularnie.

Wkrótce po śmierci męża Rhoda zamierzała wrócić do rodziny w Missouri. Nie pochodziła z okręgu Ford, podobnie jak jej mąż. Sprowadziła ich tam praca. Jednak dom był spłacony, dzieciaki szczęśliwe, sąsiedzi mili, a jej rodzina za bardzo interesowała się pieniędzmi, jakie wpadły jej z polisy na życie. Dlatego została, wciąż myśląc o wyjeździe, ale nigdy nie realizując tego zamiaru.

Rhoda Kassellaw, kiedy jej na tym zależało, wyglądała pięknie, ale nie zdarzało się to zbyt często. Jej szczupłą, kształtną figurę zwykle zakrywała luźna bawełniana sukienka albo powypychana batystowa bluzka, którą lubiła wkładać do pracy w ogródku. Prawie się nie malowała, a długie jasne włosy o popielatym odcieniu upinała w kok na czubku głowy. Większość z tego, co jadła, pochodziło z jej ekologicznego ogródka, dzięki czemu wyglądała zdrowo.

Tak atrakcyjna młoda wdowa w normalnych okolicznościach powinna być na prowincji łakomym kąskiem, ale ona stroniła od ludzi.

Niemniej po trzech latach żałoby Rhoda zaczynała się niepokoić. Nie robiła się młodsza, a czas mijał. Była za młoda i za ładna, żeby w każdą sobotę siedzieć w domu i czytać dzieciom bajeczki przed snem. Gdzieś tam musiało się coś dziać, choć na pewno nie w Beech Hill.

Do opieki nad dziećmi wynajmowała młodą czarną dziewczynę mieszkającą po sąsiedzku i jechała na północ do oddalonej o godzinę drogi granicy z Tennessee, gdzie, jak słyszała, działało kilka przyzwoitych barów i klubów tanecznych. Liczyła, że nikt jej tam nie zna. Dobrze się bawiła, tańcząc i flirtując, choć nigdy nie piła i zawsze wcześniej wracała do domu. Stało się to jej zwyczajem, robiła takie wypadki dwa, trzy razy w miesiącu.

Potem dzinsy zaczęły być coraz bardziej obcisłe, taniec szybszy, a wypadki dłuższe. Była zauważana, mówiono o niej w barach i klubach wzdłuż granicy stanu.

Zanim ją zabił, dwa razy pojechał za nią do domu. Był marzec, ciepły front atmosferyczny przyniósł płonną nadzieję na wiosnę. Noc była ciemna, bez księżyca. Misiek, kundel należący do rodziny, wywęszył go natychmiast, gdy mężczyzna chował się za drzewem na podwórzu z tyłu domu. Zanim Misiek został uciszony na zawsze, warczał i szczekał.

Syn Rhody, Michael, miał pięć lat, a córka Teresa trzy.

Oboje nosili piżamki z rysunkami Disneya, starannie uprasowane, i wpatrywali się w jaśniejące oczy matki, gdy czytała im opowieść o Jonaszu i wielorybie. Opatuliła ich kołderkami i ucałowała na dobranoc, a kiedy gasiła światło w sypialni, on dostał się już do domu.

Godzinę później wyłączyła telewizor, zamknęła drzwi na klucz i czekała na Miśka, który się nie pojawiał. Nie było w tym niczego szczególnego, bo często uganiał się po lesie za królikami i wiewiórkami i wracał późno do domu. Spał potem na werandzie, a o świcie budził ją wyciem. W sypialni zsunęła z ramion luźną sukienkę, otworzyła drzwi garderoby i weszła. A on czekał tam na nią w ciemności.

Zaszedł ją od tyłu, zasłonił jej usta spoconą ręką i powiedział:

– Mam nóż. Pochlastam ciebie i twoje dzieciaki. – W drugiej ręce trzymał błyszczące ostrze i wymachiwał nim przed oczami Rhody. – Zrozumiałaś? – wysyczał jej do ucha.

Drżała, ale udało jej się skinąć głową. Nie mogła zobaczyć, jak wyglądał. Pchnął ją na podłogę zagraconej garderoby, twarzą w dół, i wykręcił jej rękę do tyłu. Wziął brązowy wełniany szalik, który dostała od starej ciotki, i owinął go ciasno wokół jej głowy.

– Nie waż się pisać – ostrzegł. – Albo pokaleczę dzieciaki.

Kiedy skończył zawiązywać jej oczy, złapał ją za włosy, szarpnięciem postawił na nogi i zaciągnął do łóżka.

Przystawił czubek noża do jej podbródka i powiedział:

– Nie opieraj się. Nóż mam w pogotowiu.

Rozciął jej majtki i zaczął gwałcić.

Chciał widzieć jej oczy, te piękne oczy, w które patrzył w klubach. I długie włosy. Stawiał jej drinki i dwa razy z nią tańczył, ale kiedy w końcu przeszedł do rzeczy, odprawiła go z kwitkiem.

– Co powiesz na takie ruchy, maleńka? – mamrotał na tyle głośno, że go słyszała.

Przez trzy godziny zbierał się na odwagę z pomocą Jacka Daniela i teraz był oziębiały od alkoholu. Poruszał się wolno, niczego nie przyśpieszał, rozkoszował się każdą sekundą. Mamrotał coś z samozadowoleniem prawdziwego mężczyzny, który bierze to, co chce.

Smród whisky i jego potu wywoływał u niej mdłości, ale za bardzo się bała, żeby zwymiotować. To mogłoby go rozżłościć, sprowokować do użycia

noża. Gdy już prawie pogodziła się z potwornością tej chwili, zaczęła myśleć. Musi być cicho, żeby nie obudzić dzieci. Co on zrobi z nożem, gdy skończy?

Jego ruchy stały się szybsze, a mamrotanie głośniejsze.

– Cicho, maleńka, bo użyję noża – powtarzał.

Łóżko z kutego żelaza skrzypiało. Nie było wystarczająco często używane, pomyślał. Za duży hałas, ale się tym nie przejmował.

Trzeszczenie łóżka obudziło Michaela, a on obudził Teresę. Wymknęli się z pokoju i skradali przez ciemny korytarz, żeby sprawdzić, co się dzieje. Michael otworzył drzwi do sypialni matki, zobaczył leżącego na niej obcego mężczyznę i krzyknął:

– Mamusiu!

Mężczyzna zamarł na sekundę, po czym odwrócił gwałtownie głowę w kierunku dzieci.

Dźwięk głosu chłopca przeraził Rhodę; poderwała się i zaatakowała nastpniaka, waląc w co się dało. Jej mała pięść trafiła go w lewe oko i cios był na tyle silny, że go oszołomił. Rhoda zerwała szalik z głowy, kopiąc mężczyznę obiema nogami. Uderzył ją w twarz i próbował przygwoździć do łóżka.

– Danny Padgitt! – wrzasnęła, cały czas drapiąc go i się szamocząc.

Znów ją uderzył.

– Mamusiu! – zawodził Michael.

– Uciekajcie, dzieci!

– Zamknij się! – wrzasnął Padgitt.

– Uciekajcie! – zdołała krzyknąć jeszcze raz.

Dzieci cofnęły się, a potem rzuciły biegiem przez korytarz, do kuchni i na dwór, gdzie były już bezpieczne.

Ułamek sekundy po tym, jak wykrzyczała jego nazwisko, Padgitt zdał sobie sprawę, że nie ma wyjścia i musi ją uciszyć. Wziął nóż i dźgnął dwa razy, po czym sturlał się z łóżka i zebrał swoje rzeczy.

\*\*\*

Deece'owie oglądali właśnie nocny program telewizyjny nadawany z Memphis, gdy usłyszeli krzyk Michaela. Aaron Deece wyszedł przed frontowe drzwi. Malec miał piżamkę moką od potu i rosy; tak bardzo szczękał zębami, że nie mógł mówić.

– On skrzywdził mamusię! – powtarzał. – On skrzywdził mamusię!

W ciemności oddzielającej oba domy Deece spostrzegł Teresę biegnącą za bratem. Wydawało się, że truchta w miejscu, jakby chciała dotrzeć do nich, a jednocześnie nie oddalać się od domu. Kiedy pani Deece wyszła przez garaż i do niej podeszła, mała ssąca kciuk i nie była w stanie wypowiedzieć słowa.

Aaron Deece pobiegł do swojego pokoju i złapał dwie strzelby, jedną dla siebie, drugą dla żony. Zaprowadzili dzieci do kuchni – były prawie sparaliżowane przez szok.

– On skrzywdził mamusię – powtarzał Michael.

Pani Deece obejmowała oboje i zapewniała, że wszystko będzie dobrze. Spojrzała na strzelbę, którą mąż położył na stole.

– Zostań tu – powiedział i wybiegł z domu.

Nie zaszedł daleko. Rhodie prawie udało się dotrzeć do sąsiadów, zanim upadła na mokrą trawę. Była naga i od szyi w dół ubrudzona krwią. Deece zaniósł ją na werandę i krzyknął do żony, żeby zabrała dzieci na tył domu i zamknęła w sypialni. Nie mógł pozwolić, by zobaczyły matkę w ostatnich chwilach jej życia.

Kiedy kładł ją na bujanej ławce, Rhoda wyszeptała:

– Danny Padgitt. To był Danny Padgitt.

Okrył ją kocem, a potem zadzwonił po karetkę.

\*\*\*

Danny Padgitt trzymał się środka drogi i pędził pick-upem prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Był na wpół pijany i przerażony jak wszyscy diabli, ale nie chciał się do tego przyznać. Za dziesięć minut miał być w domu, bezpieczny w małym królestwie swojej rodziny, znanym jako Wyspa Padgittów.

Te małe twarzyczki wszystko zepsuły. Postanowił, że pomyśli o tym następnego dnia. Upił długi łyk z piątej butelki jacka daniel'sa i poczuł się lepiej.

To był królik albo mały pies, albo jakiś inny zwierzak, który wyskoczył z pobocza, a kiedy Danny spostrzegł go kątem oka, zareagował fatalnie: odruchowo wcisnął hamulec, tylko na ułamek sekundy, bo nie obchodziło go, co przejechał, i generalnie zabawa w zabijanie na drodze sprawiała mu frajdę, ale zahamował za ostro. Tylne koła zostały zablokowane i pick-upem zarzu-

ciło. Zanim to do niego dotarło, Danny znalazł się w poważnych tarapatach. Odbił kierownicą w jedną stronę, złą, i wóz wpadł na żwirowe pobocze, gdzie zaczął się obracać niczym samochód wyścigowy na torze. Zsunął się do rowu, dwa razy dachował i wpadł na rząd sosen. Gdyby Danny był trzeźwy, pewnie zginąłby na miejscu, ale pijakom zawsze udaje się wywinąć.

Wyczołgał się przez rozbite okno i dłuższą chwilę siedział oparty o wóz, licząc skaleczenia i zastanawiając się nad sytuacją. Nagle noga mu zeszywniała, a kiedy wspiął się na pobocze drogi, uświadomił sobie, że daleko nie zajdzie. Nie było jednak takiej potrzeby.

Nim się zorientował, rozbłysły przed nim niebieskie światła. Z radiowozu wysiadł zastępca szeryfa i omiótł miejsce wypadku snopem światła z czarnej latarki. Dalej na drodze pojawiło się więcej migających światel.

Funkcjonariusz zobaczył krew, poczuł whisky i sięgnął po kajdanki.

## Rozdział 3

---

**R**zeka Big Brown płynie leniwie na południe z Tennessee i podąża prosto niczym wykopanym kanałem przez prawie pięćdziesiąt kilometrów przez środek okręgu Tyler w stanie Missisipi. Niecałe cztery kilometry przed granicą okręgu Ford zaczyna zakręcać, widać się i w miejscu, gdzie opuszcza Tyler, przypomina wystraszzonego węża, zwijającego się rozpaczliwie i zmierzającego donikąd. Jej wody są gęste, muliste i leniwe; w większej części biegu jest płytka. Big Brown nie słynie ze swego piękna. Jej niezliczone zakręty i zakola znaczą piasek, muł i żwir. Setka strumieni i bagnisk zasila ją niewyczerpanym zapasem wolno płynącej wody.

Jej wędrownka przez okręg Ford jest krótka. W północno-wschodnim krańcu okręgu koryto rzeki tworzy koło opasujące jakieś osiemset hektarów, a potem opuszcza okręg Ford i kieruje się z powrotem do Tennessee. Koło jest prawie idealne i tworzy niemal wyspę, jednak na ostatnim odcinku Big Brown jakby zawraca, tak że między brzegami pozostaje wąski pas ziemi.

To koło, znane jako Wyspa Padgittów, porośnięte jest gęstym lasem pełnym sosen, eukaliptusów, wiązów i dębów, z bagnami i trzęsawiskami, z których część łączy się ze sobą, choć w większości są od siebie oddzielone. Żywej wykarczowanej ziemi jest niewiele. Wyspa była źródłem drewna, upra-

wiano tam tylko kukurydzę, do nielegalnego pędzenia whisky. I marihuanę, ale to znacznie później.

Wąskim pasem ziemi między brzegami rzeki biegła brukowana droga, ginąca w gąszczu; pojawiała się i znikwała, i zawsze ktoś jej pilnował. Droge zbudowały władze okręgu dawno temu, ale bardzo niewielu podatników miało odwagę z niej korzystać.

Cała Wyspa znajdowała się w posiadaniu rodziny Padgittów od czasów odbudowy kraju po wojnie secesyjnej, kiedy to Rudolph Padgitt, kombinator z Północy, zjawił się trochę za późno i przekonał, że cała dobra ziemia jest już zajęta. Szukał, ale nie znalazł niczego atrakcyjnego, i wtedy jakimś cudem dostrzegł na mapie kawałek ziemi pełen węży. Wyglądała obiecująco. Zebrał bandę nowo wyzwolonych niewolników ze strzelbami i maczetami i się na nią przebił. Nikt inny jej nie chciał.

Rudolph ożenił się z miejscową dziwką i zabrał do wycinania drzew na deski. Ponieważ po wojnie zapotrzebowanie na drewno było ogromne, zaczęło mu się dobrze powodzić. Dzwinka okazała się bardzo płodna i w niedługim czasie na Wyspie pojawiło się stadko małych Padgittów. Jeden z jego byłych niewolników umiał pędzić alkohol i Rudolph przystąpił do uprawiania kukurydzy. Nie zjadał jej jednak ani nie sprzedawał, tylko produkował z niej whisky, która szybko zyskała opinię jednej z najlepszych na głębokim Południu.

Przez trzydzieści lat, aż do śmierci w 1902 roku na marskość wątroby, pędził bimber. Do tego czasu Wyspę zdążył zaludnić cały klan Padgittów, sprawnie produkujących deski i pędzących nielegalnie whisky. W różnych częściach Wyspy działało sześć destylatori, wszystkie dobrze chronione i ukryte, wszystkie wyposażone w najnowocześniejsze urządzenia.

Padgittowie stali się sławni z powodu whisky, ale nie chcieli rozgłosu. Byli skryci i zamknięci we własnym kręgu, zaciekle bronili swojej prywatności i bali się śmiertelnie, że ktoś przeniknie do ich małego królestwa i pozbawi ich zysków. Mawiali o sobie, że są drwalami, powszechnie wiadomo, że produkują deski i mają z tego niezły dochód. Tartak, Padgitt Lumber Company, stał blisko rzeki i był dobrze widoczny z drogi. Twierdzili, że są uczciwymi ludźmi, którzy płacą podatki i tak dalej, posyłali dzieci do państwowych szkół.

W latach dwudziestych i trzydziestych, kiedy nastąpiła prohibicja i naród był spragniony, Padgittowie nie nadawali z produkcją whisky. Wysyłano ją w dębowych beczkach na drugi brzeg Big Brown i rozwożono ciężarówkami

w górę stanu, nawet do odległego Chicago. Patriarchą, prezesem, szefem produkcji i marketingu był skąpy, zaprawiony w bojach weteran, Clovis Padgitt, najstarszy syn Rudolpha i dziwki. Od najmłodszych lat uczono go, że największy zysk jest wtedy, gdy nie odprowadza się od niego podatku. To była zasada numer jeden. Zgodnie z cudownie prostą zasadą numer dwa, transakcji należało dokonywać wyłącznie w gotówce. Clovis przestrzegał tych zasad z żelazną konsekwencją, a o Padgittach krążyły plotki, że mają więcej pieniędzy, niż znajduje się w skarbcu stanu Missisipi.

W 1938 roku przez Big Brown wynajętą łodzią przekradło się trzech kontrolerów podatkowych z zamiarem sprawdzenia źródeł dochodów starego Padgitta. Ich potajemne wtargnięcie na Wyspę okazało się pod wieloma względami porażką, nie wspominając o tym, że sam pomysł był chybiony. Z jakichś powodów postanowili przepłynąć przez rzekę o północy. Pociągnięto ich i zakopano w głębokich dołach.

W 1943 roku doszło w okręgu Ford do dziwnego zdarzenia: szeryfem został uczciwy człowiek. Albo naczelnym szeryfem, bo tak zwykle mówiono. Nazywał się Koonce Lantrip i wcale nie był aż tak uczciwy, ale z pewnością doskonale radził sobie podczas kampanii wyborczej. Obiecywał, że zwalczy korupcję, oczyści władze okręgu, wysadzi z siodła przemytników i bimbrowników, nawet Padgittów. W przemówieniach brzmiało to dobrze, i Lantrip wygrał ośmioma głosami.

Wyborcy, którzy go poparli, czekali i czekali, aż w końcu sześć miesięcy po objęciu urzędu skrzyknął zastępców i przekroczyli Big Brown jedynym mostem, wiekową drewnianą konstrukcją postawioną przez władze okręgu w 1915 roku na skutek nalegań Clovisa. Padgittowie korzystali z niego sporadycznie wiosną, kiedy rzeka przybierała. Nikomu innemu nie wolno było po nim chodzić.

Dwóch zastępców szeryfa dostało po kulce w głowę, ciała Lantripa nigdy nie odnaleziono. Zostało złożone na wieczny spoczynek na brzegu bagna przez trzech Murzynów Padgitta. Pochówek nadzorował Buford, najstarszy syn Clovisa.

Przez całe tygodnie w Missisipi nie rozmawiano o niczym innym, tylko o tej masakrze, a gubernator groził nawet wysłaniem Gwardii Narodowej. Szalała jednak wtedy druga wojna światowa i uwagę całego kraju przykuwał D-Day. Zresztą żołnierzy Gwardii Narodowej była tylko garstka, a ci, którzy nadawali się do walki, nie mieli żadnego interesu w szturmowaniu Wyspy



Padgittów. Plaże Normandii wydawały się ciekawsze.

Po szlachetnym eksperymencie z uczciwym szeryfem, mającym stać na straży prawa, poczciwi mieszkańcy okręgu Ford wybrali następnego ze starej szkoły. Nazywał się Mackey Don Coley, a jego ojciec był naczelnym szeryfem jeszcze w latach dwudziestych, gdy Wyspą Padgittów rządził Clovis. On i Coley senior utrzymywali raczej bliskie stosunki i powszechnie wiadano, że szeryf jest zamożnym człowiekiem, bo pozwalał staremu Padgittowi swobodnie poruszać się po okręgu. Kiedy Mackey Don zgłosił swoją kandydaturę, Buford wysłał mu pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Mackey Don odniósł przytłaczające zwycięstwo. Jego przeciwnik twierdził, że jest uczciwy.

W Missisipi panowało powszechne, choć sprzeczne z etyką przekonanie, że dobry szeryf, by pilnować prawa i porządku, powinien być trochę łajdakiem. Pijaństwo, dziwki i hazard należały do zwykłych elementów życia i dobry szeryf musiał doskonale się w nich orientować, żeby mieć nad nimi kontrolę i chronić uczciwych chrześcijan. Tych złych nawyków nie dawało się wyplenić, dlatego zadaniem naczelnego szeryfa było koordynowanie ich i pilnowanie, by grzech występował w jako tako uporządkowany sposób. Od dostawców niegodziwych uciech oczekiwano, że będą mu płacili za wysiłki na tym polu. Mackey Don Coley tego oczekiwał. Większość wyborców tego oczekiwała. Żaden uczciwy człowiek nie wyżyłby z tak marnej pensyjki. Żaden uczciwy człowiek nie potrafiłby poruszać się sprawnie w mrokach półświatka.

Przez większą część stu lat, jakie upłynęły od zakończenia wojny secesyjnej, Padgittowie mieli w kieszeni szeryfów okręgu Ford. Kupowali ich bez żenady workami pieniędzy. Mackey Don Coley – jak mówiono – dostawał sto tysięcy rocznie, a w latach wyborów tyle, ile potrzebował. Padgittowie byli też hojni dla polityków. Kupowali ich po cichu, żeby mieć wpływy. Prosił o niewiele: chcieli po postu, żeby zostawić ich w spokoju.

Po drugiej wojnie światowej zapotrzebowanie na bimber zaczęło spadać. Ponieważ do działania poza prawem przyuczano całe pokolenia Padgittów, Buford i rodzina zaczęli przerzucać się na inne formy nielegalnego handlu. Sprzedawanie desek było nudne, zależało od zbyt wielu wskaźników rynku i, co najważniejsze, nie przynosiło stosów gotówki, jakich rodzina się spodziewała. Handlowali bronią, kradzionymi samochodami, fałszywkami, kupowali i podpalali budynki, żeby zgarnąć pieniądze z ubezpieczenia. Z dużym powo-

dzeniem przez dwadzieścia lat prowadzili na granicy okręgu burdel, dopóki nie spłonął w tajemniczych okolicznościach w 1966 roku.

Byli pomysłowymi i energicznymi ludźmi, bez przerwy kombinującymi i szukającymi okazji, w każdej chwili gotowymi kogoś obrobić. Chodziły słuchy, czasami uzasadnione, że Padgittowie należą do mafii działającej na Południu, luźnego gangu złodziei złożonego z wieśniaków, którzy szaleli na głębokim Południu w latach sześćdziesiątych. Te plotki nigdy nie zostały potwierdzone i prawdę mówiąc, wiele osób nie dawało im wiary, bo Padgittowie byli po prostu zbyt zamknięci we własnym gronie, by dopuszczać kogokolwiek do swoich interesów. Niemniej pogłoska krążyła uparcie przez lata, a Padgittowie stali się tematem plotek powtarzanych w barach i kawiarniach przy rynku w Clanton. Nigdy nie uważano ich za miejscowych bohaterów, ale na pewno stali się legendarni.

W 1967 roku jeden z młodszych Padgittów, żeby uniknąć wojska, uciekł do Kanady. Potem zawędrował do Kalifornii, gdzie spróbował marihuany i stwierdził, że jest w jego guście. Po kilku miesiącach hipisowania zatęsknił za domem i wrócił potajemnie na Wyspę. Przywiózł dwa kilogramy trawki, którą podzielił się ze wszystkimi krewnymi, i na nich także zrobiła bardzo dobre wrażenie. Wyjaśnił, że reszta kraju, a szczególnie Kalifornia, pali ją jak szalona. Jak zwykle Missisipi było pięć lat w tyle za nowymi trendami.

Roślinę dało się tanio uprawiać, a potem dostarczać do miast, gdzie było na nią spore zapotrzebowanie. Jego ojciec, Gill Padgitt, wnuk Clovisa, dostrzegł w tym szansę i wkrótce pola kukurydzy zamieniły się w pola konopi. Kawałek ziemi długości sześciuset metrów został wykarczowany pod pas startowy, a Padgittowie kupili samolot. Po roku codziennie latał on na przedmieścia Memphis i Atlanty, gdzie rodzina zorganizowała sieć sprzedaży. Ku ich radości i z ich pomocą marihuana stała się w końcu popularna na głębokim Południu. Ilość pędzonego bimbru znacznie się zmniejszyła. Burdel przepadł. Padgittowie mieli znajomości w Miami i Meksyku, więc gotówka płynęła szerokim strumieniem. Przez lata nikt w okręgu Ford nie miał pojęcia, że Padgittowie trudnią się handlem narkotykami. I nigdy ich na tym nie przyłapano. Żaden z Padgittów nie został nigdy skazany za jakiegokolwiek przestępstwo związane z narkotykami.

Prawdę mówiąc, ani jeden Padgitt nie był nawet choćby aresztowany. Przez sto lat pędzili nielegalnie alkohol, kradli, handlowali bronią, uprawiali hazard, dopuszczali się fałszerstw, byli stręczycielami, dawali łapówki, a na-

wet zabijali i produkowali narkotyki, i ani jeden nie siedział. Wykazywali się ogromnym sprytem, rozwagą i nie działali pochopnie.

I nagle Danny Padgitt, najmłodszy syn Gilla, został aresztowany za zgwałcenie i zabicie Rhody Kassellaw.

## Rozdział 4

---

**N**astępnego dnia Aaron Deece powiedział mi, że kiedy uznał, że Rhoda nie żyje, zostawił ją na bujanej ławce na werandzie. Poszedł do łazienki, gdzie się rozebrał, wziął prysznic i patrzył, jak jej krew spływa do otworu ściekowego. Przebrał się w robocze ubranie i czekał na policję i karetkę. Obserwował jej dom, cały czas trzymając naładowaną strzelbę, zbyt skory, by strzelać do wszystkiego, co się poruszy. Tam jednak nic się nie poruszało, nie dochodził żaden dźwięk. W oddali cicho wyły syreny.

Jego żona nie wypuszczała dzieci z sypialni na tyłach domu, gdzie położyła je do łóżka i okryła kołdrą. Michael nie przestawał pytać o matkę i o to, kim był tamten mężczyzna. Teresa z kolei była zbyt wstrząśnięta, by powiedzieć choć słowo. Pojękiwała, ssała palce i trzęsa się, jakby było jej zimno.

W krótkim czasie Benning Road ożywiły czerwone i niebieskie błyski świateł. Ciało Rhody, zanim je zabrano, zostało dokładnie sfotografowane. Jej dom otoczył kordon policjantów, którymi dowodził osobiście szeryf Coley. Aaron Deece, ciągle ze strzelbą w rękach, złożył zeznanie śledczemu, a potem szeryfowi.

Niedługo po drugiej przyjechał zastępca szeryfa z wiadomością, że poinformowano o wszystkim lekarza w mieście, i ten poradził, żeby przywieźć

dzieci na badanie. Pojechały na tylnym siedzeniu radiowozu – Michael wczepiony w pana Deece’a, Teresa na kolanach jego żony. W szpitalu podano im łagodne środki uspokajające i umieszczono razem w izolatce, do której pielęgniarki przynosiły im ciastka i mleko, aż dzieci w końcu zasnęły. Nazajutrz przyjechała ich ciotka z Missouri i je zabrała.

\*\*\*

Mój telefon zadzwonił kilka sekund przed północą. To był Wiley Meek, redakcyjny fotograf. Podłapał informację o tym wydarzeniu z komunikatu policyjnego na CB radiu i w tej chwili kręcił się koło aresztu, zastawiając pułapkę na podejrzanego. Gliniarze byli wszędzie, jak powiedział, ledwo panując nad podnieceniem. Pośpiesz się, ponaglił mnie. To może być sensacja.

W tamtym czasie mieszkałem nad garażem obok rozpadającej się, ale nadal wspaniałej wiktoriańskiej rezydencji znanej jako dom Hocuttów. Zamieszkiwali ją podstarzali Hocuttowie, trzy siostry i brat, którzy na zmianę zajmowali się wynajmem. Ich dwuhektarowa posiadłość znajdowała się kilka przecznic od rynku Clanton i została zagospodarowana prawie przed wiekiem za pieniądze rodziny. Porastały ją drzewa, zdziczałe kwiaty na grządkach, rozplenione bujnie łąty chwastów i żyło tam wystarczająco dużo zwierząt, żeby urządzić polowania. Króliki, wiewiórki, skunksy, oposy, szopy, milion ptaków, przerażająca różnorodność zielonych i czarnych węży – wszystkie niejadowite, jak mnie zapewniano – oraz dziesiątki kotów. Ale żadnych psów. Hocuttowie nie znosili psów. Każdy kot miał imię, a ważnym punktem w mojej niepisanej umowie najmu było okazywanie kotom szacunku.

No to je szanowałem. Czteropokojowe mieszkanie było przestronne i czyste i kosztowało mnie śmieszłą sumę pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. Jeśli chcieli, żebym za tę cenę szanował ich koty, nie miałem nic przeciwko temu.

Ojciec rodziny, Miles Hocutt, był przez wiele dziesięcioleci ekscentrycznym lekarzem w Clanton. Matka umarła podczas porodu i zgodnie z miejscową legendą doktor Hocutt po jej śmierci stał się bardzo zaborczy wobec dzieci. Żeby chronić je przed światem, spreparował jedno z największych kłamstw, jakie kiedykolwiek rozpowszechniono w okręgu Ford. Wyjaśnił dzieciom, że ich rodzina od pokoleń dotknięta jest szaleństwem i dlatego nie powinny nigdy brać ślubu, bo spłodzą odrażającą gromadkę idiotów. Dzieci

uwielbiały go, wierzyły w każde jego słowo i prawdopodobnie już wtedy zostały narażone na pewien rodzaj niezrównoważenia. Nigdy nie wstąpiły w związki małżeńskie. Kiedy wynajmowałem mieszkanie, syn, Max Hocutt, miał osiemdziesiąt jeden lat, bliźniaczki Wilma i Gilma po siedemdziesiąt siedem, a Melberta, najmłodsza, miała siedemdziesiąt trzy lata i zupełnie pomieszane w głowie.

Wydaje mi się, że to Gilma zerkała przez okno, gdy zbiegałem o północy po drewnianych schodach. Na ostatnim stopniu, dokładnie na mojej drodze, spał jakiś kot, ale przeskoczyłem przez niego z szacunkiem, choć miałem ochotę posłać go kopniakiem na ulicę.

W garażu stały dwa samochody, jednym z nich był mój spitfire – z zamkniętym dachem, żeby koty nie włąziły do środka – a drugim długi, lśniący czarny mercedes z czerwono-białymi nożami rzeźnickimi namalowanymi na drzwiach. Pod nożami znajdowały się numery telefonów wypisane zieloną farbą. Ktoś powiedział kiedyś panu Maxowi Hocuttowi, że może w całości odpisać sobie od podatku koszt nowego samochodu – jakiegokolwiek samochodu – jeśli będzie go używał do prowadzenia działalności gospodarczej i umieści na drzwiach coś w rodzaju logo. Kupił więc nowego mercedesa i stał się szlifierzem. Mówił, że narzędzia wozi w bagażniku.

Samochód miał dziesięć lat, a na liczniku niecałe trzysta tysięcy kilometrów. Ojciec zaszczepił im także pogląd, zgodnie z którym prowadzenie samochodu przez kobietę jest grzechem, dlatego Max stał się szoferem rodziny.

Wyprowadziłem spitfire'a na zwirowy podjazd i pomachałem do Gilmy spozierającej zza zasłonki. Gwałtownie cofnęła głowę i znikła. Areszt był oddalony o sześć przecznic. Tej nocy udało mi się przespać około trzydziestu minut.

Gdy przyjechałem, właśnie pobierano odciski palców Danny'ego Padgitta. Biuro szeryfa znajdowało się we frontowej części aresztu i było zatłoczone przez policjantów i rezerwę kadrową, strażaków zgłaszających się do pomocy na ochotnika i każdego, kto miał dostęp do jakiegoś munduru i policyjnej częstotliwości na CB radiu. Wiley Meek czekał na mnie na chodniku przed aresztem.

– To Danny Padgitt! – powiedział podekscytowany.

Zamarłem na sekundę i próbowałem zebrać myśli.

– Kto?

– Danny Padgitt, z Wyspy.

Mieszkałem w okręgu Ford od prawie trzech miesięcy i nie natknąłem się na choćby jednego Padgitta. Jak zwykle trzymali się z boku. Ale dochodziły mnie różne wersje legend, jakie o nich krążyły, a jeszcze więcej miało dopiero powstać. Opowiadanie historii o Padgittach było powszechną formą rozrywki w okręgu Ford.

– Mam kilka wspaniałych ujęć, kiedy wyprowadzali go z samochodu – mówił z przejęciem Wiley. – Był cały we krwi. Doskonałe zdjęcia! Dziewczyna nie żyje!

– Jaka dziewczyna?

– Ta, którą zabił. I zgwałcił. Tak przynajmniej mówią ludzie.

„Danny Padgitt”, mamrotałem pod nosem, w miarę jak ta sensacyjna wiadomość zaczęła do mnie docierać. Wyobraziłem sobie nagłówek, najbardziej śmiały w historii „Timesa”. Biedny stary Spot nie odważył porywać się na wstrząsające historie. Biedny stary Spot zbankrutował. Ja miałem inne plany.

Przepchnęliśmy się do środka i rozglądaliśmy za szeryfem Coleyem. Podczas mojego krótkiego stażu w „Timesie” spotkałem go dwa razy – zrobił na mnie wrażenie ciepłym i uprzejmym obejściem. Zwracał się do mnie „proszę pana”, do wszystkich zresztą mówił „pan” i „pani”, zawsze był uśmiechnięty. Pełnił funkcję szeryfa nieprzerwanie od masakry z 1943 roku, miał zatem ponad siedemdziesiąt lat. Był wysoki i kościsty, bez ogromnego brzucha, który występował obowiązkowo u każdego szeryfa na Południu. Był dżentelmenem i kiedy się z nim widziałem, zastanawiałem się później, jakim cudem tak miły człowiek może być tak skorumpowany. Wyłonił się z zaplecza z jednym z zastępców, aja, ćwicząc asertywność, ruszyłem w jego stronę.

– Tylko kilka pytań, szeryfie – powiedziałem stanowczo. Poza mną nie było tam żadnych innych dziennikarzy. Jego chłopcy – pełnoetatowi i półetatowi zastępcy szeryfa, kandydaci do zawodu i ochotnicy w uszytych w domu mundurach – wszyscy ucichli i posłali mi pogardliwe uśmiešky. Nadal byłem przede wszystkim nowo przybyłym bogatym chłoptasiem, który w jakiś sposób przejął kontrolę nad ich gazetą. Obcym, który nie ma prawa wdzierać się i zadawać pytań.

Szeryf Coley uśmiechnął się jak zwykle, jakby takie spotkania o północy były na porządku dziennym.

– Słucham pana. – Przeciągał samogłoski, co było bardzo kojące. Ten człowiek nie mógłby kłamać, prawda?

– Co może nam pan powiedzieć o morderstwie?

Z rękami skrzyżowanymi na piersi podał mi kilka faktów w slangu gliniarzy.

– Biała kobieta, lat trzydzieści jeden, została napadnięta we własnym domu przy Benning Road. Zgwałcona, dźgnięta nożem, zamordowana. Dopóki nie porozmawiam z jej rodziną, nie mogę podać nazwiska.

– Dokonaliście aresztowania?

– Tak, ale w tej chwili nie mogę zdradzić szczegółów. Proszę dać nam kilka godzin. Śledztwo jest w toku. To wszystko, panie Traynor.

– Krąży plotka, że zatrzymaliście Danny’ego Padgitta.

– Nie zajmuję się plotkami, proszę pana. Moja praca polega na czymś innym. Pańska również.

Pojechaliśmy z Wileym do szpitala, weszliśmy tam przez godzinę, nie dowiedzieliśmy się niczego, co można by wydrukować, więc pojechaliśmy na miejsce zbrodni.

Policjanci otaczali dom kordonem, kilkoro sąsiadów stało w zbitej, cichej gromadce przy żółtej policyjnej taśmie blisko skrzynki pocztowej. Podeszliśmy do nich i słuchaliśmy uważnie, ale prawie niczego nie usłyszeliśmy. Wydawali się zbyt oszołomieni, żeby rozmawiać. Po kilku minutach gapienia się na dom odeszliśmy cicho.

Wiley miał bratanka, który pracował na pół etatu w biurze szeryfa. Znaleźliśmy go niedaleko, pilnował bowiem domu Deece’ów, gdzie nadal badano werandę i ławkę, na której Rhoda wydała ostatnie tchnienie. Odciągnęliśmy go na bok, za krzaki mirtu pana Deece’a, i wszystko nam powiedział. Nieoficjalnie, rzecz jasna, jakby okręgu Ford krwawe szczegóły można było jakimś cudem utrzymać w tajemnicy.

\*\*\*

Przy rynku w Clanton działały trzy kawiarnie, dwie dla białych i jedna dla czarnych. Wiley zaproponował, żebyśmy usiedli w jednej z nich, zamówili śniadanie i nastawili uszu.

Nie jadam śniadań, bo w godzinach, kiedy się je podaje, zwykle śpię. Nie mam nic przeciwko pracowaniu do północy, ale wolę wstawać, gdy słońce jest już na niebie, i to wysoko. Szybko się przekonałem, że jedną z zalet posiadania małej gazety jest możliwość pracowania do późna i wstawania o ulu-



bionej godzinie. Artykuły można pisać o dowolnej porze, pod warunkiem że nie przekroczy się ustalonego terminu. Sam Spot był znany z tego, że zjawiał się dopiero przed dwunastą, rzecz jasna po wcześniejszym odwiedzeniu domu pogrzebowego. Podobały mi się jego godziny pracy.

Drugiego dnia mojego pobytu w mieszkaniu nad garażem Hocuttów Gilma zaczęła dobijać się do moich drzwi o wpół do dziesiątej. Dobijała się i dobijała. Przez niewielką kuchnię powlokłem się w końcu w samej bieliźnie do drzwi i zobaczyłem, że próbuje zobaczyć coś przez żaluzje. Oświadczyła, że właśnie miała dzwonić na policję. Pozostali Hocuttowie byli na dole, kręcili się po garażu i oglądali mój samochód w przekonaniu, że popełniono tam jakieś przestępstwo.

Zapytała, co robiłem, odpowiedziałem więc, że spałem, dopóki ktoś nie zaczął się dobijać do pieprzonych drzwi. Zapytała, dlaczego o wpół do dziesiątej w środę rano jeszcze śpię. Przetarłem oczy i usiłowałem wymyślić jakieś dobre uzasadnienie. Nagle zdałem sobie sprawę, że stoję prawie goły przed siedemdziesięciosiedmioletnią dziewczicą. Nie odrywała wzroku od moich ud.

Wyjaśniła, że wstali o piątej. W Clanton nikt nie śpi do wpół do dziesiątej. Byłem pijany? Martwili się o mnie, to wszystko. Zamykając drzwi, powiedziałem jej, że jestem trzeźwy, nadal jestem śpiący, dziękuję za troskę, ale często będę spał do dziewiątej, a nawet dłużej.

W knajpce Tea Shoppe byłem dwa razy: późnym rankiem na kawie i raz na lunchu. Jako właściciel gazety uważałem, że muszę się pokazywać o rozsądnej godzinie. Byłem aż do bólu świadomy, że w nadchodzących latach mam pisać o okręgu Ford, jego mieszkańcach, miejscach i wydarzeniach.

Wiley powiedział, że wczesnym rankiem kafejki będą pełne.

– Zawsze tak jest po meczach futbolowych albo wypadkach na drodze – dodał.

– A w przypadku morderstw? – zapytałem.

– Od bardzo dawna niczego takiego nie było.

Miał rację. Gdy weszliśmy do środka o szóstej rano, Wiley przywitał się z kilkoma osobami, uścisnął kilka dłoni, wymienił kilka obraźliwych uwag. Pochodził z okręgu Ford i znał wszystkich. Ja kiwałem głową, uśmiechałem się i podchwytywałem dziwne spojrzenia. Ludzie byli przyjacielscy, ale jednocześnie podejrzliwi wobec kogoś z zewnątrz.

Znaleźliśmy dwa wolne miejsca przy kontuarze. Zamówiłem kawę. I nic poza tym. Kelnerce to się nie spodobało. Dla Wileya stała się przyjemniejsza,

gdy przemyślał sprawę raz jeszcze i poprosił o jajecznicę, wiejską szynkę, grzanekę, kaszę kukurydzianą i smażone tarte ziemniaki na osobnym talerzu – wystarczająco dużo cholesterolu, żeby powaliło muła.

Rozmawiano wyłącznie o gwałcie i morderstwie. Jeśli dyskusję mogła wywołać pogoda, to łatwo sobie wyobrazić, jakie poruszenie zapanowało po tak ohydnej zbrodni. Padgittowie szarogęsili się w okręgu od stu lat, nadszedł czas, by posłać ich do więzienia. Jeśli będzie trzeba, niech Gwardia Narodowa otoczy Wyspę. Mackey Don musi odejść, stanowczo za długo siedział w ich kieszeni. Wystarczy tylko dać bandzie łajdaków swobodę, a im zaraz się wydaje, że są ponad prawem. A teraz to.

O Rhodie mówiono niewiele, bo słabo ją znano. Ktoś wiedział, że kręciła się w barach na granicy stanu. Ktoś twierdził, że sypiała z miejscowym adwokatem. Nie znał nazwiska. Tylko plotki.

W Tea Shoppe aż wrzało od pogłosek. Inicjatywę przejęła para krzykaczy, a mnie zaskoczyła ich niefrasobliwość przy przedstawianiu własnej wersji wydarzeń. Jaka szkoda, że nie mogliśmy zamieścić w gazecie wszystkich kapitalnych plotek, które usłyszeliśmy.

## Rozdział 5

---

**A**le zamieściliśmy całkiem sporo. Nagłówek oznajmiał, że Rhoda Kassellaw została zgwałcona i zamordowana i że aresztowano za to Danny’ego Padgitta. Można go było przeczytać z odległości dwudziestu metrów przy każdym chodniku w okolicach rynku, przy którym stał budynek sądu.

Poniżej znalazły się dwa zdjęcia. Jedno przedstawiało Rhodę jeszcze w klasie maturalnej, drugie Padgitta prowadzonego w kajdankach. Wiley zasadził się na niego całkiem skutecznie. Było to doskonałe ujęcie, na którym Padgitt uśmiechał się pogardliwie do obiektywu. Na czole miał krew po wypadku, na koszuli krew po napaści. Wyglądał na wrednego, złośliwego, bezczelnego, pijanego i winnego jak jasna cholera, a ja wiedziałem, że zdjęcie wywoła sensację. Zdaniem Wileya lepiej byłoby go nie zamieszczać, ale miałem tylko dwadzieścia trzy lata i byłem zbyt młody, by zakładać sobie wędzidło. Chciałem, żeby moi czytelnicy zobaczyli i poznali brzydką prawdę. Chciałem sprzedawać gazetę.

Fotografię Rhody dostaliśmy od jej siostry z Missouri. Kiedy rozmawiałem z nią przez telefon po raz pierwszy, prawie się nie odzywała i szybko rozłączyła. Za drugim razem trochę zmiękła, powiedziała, że lekarz obejrzał dzieci, że pogrzeb odbędzie się we wtorek po południu w małym miasteczku

niedaleko Springfield i że dla niej cały stan Missisipi może usmażyć się w piekle.

Odpowiedziałem, że bardzo dobrze ją rozumiem, że jestem z Syracuse i należę do tych dobrych. Ostatecznie zgodziła się przysłać mi zdjęcie.

Powołując się na anonimowe źródło, opisałem ze szczegółami, co wydarzyło się minionej sobotniej nocy przy Benning Road. Kiedy byłem pewny jakiegoś faktu, podawałem go. Kiedy nie byłem, krążyłem wokół tematu, pisząc aluzyjnie, jaki moim zdaniem był przebieg zdarzeń. Baggy Suggs nie pił na tyle długo, że czytał to i redagował. Prawdopodobnie uchronił nas przed procesami i zamachami na życie.

Na drugiej stronie znalazła się mapa miejsca przestępstwa i duże zdjęcie domu Rhody zrobione nazajutrz po zbrodni. Sugerowało, że dzieci były świadkami; na fotografii były jeszcze radiowozy i żółta taśma, a także rowerki i zabawki Michaela i Teresy rozrzucone na trawniku. Pod wieloma względami to zdjęcie budziło większą grozę, niż budziłaby fotografia samego trupa, gdybym ją miał, ale próbowałem opowiedzieć o brutalnej zbrodni, w którą większość mieszkańców okręgu Ford nadal nie mogła uwierzyć. Jak dużo widziały dzieci? To było najważniejsze pytanie.

Nie udzieliłem na nie odpowiedzi, ale zbliżyłem się do niej na tyle, na ile było to możliwe. Opisałem dom i to, jak był urządzony. Powołując się na anonimowego informatora, napisałem, że łóżeczka dzieci znajdowały się około dziesięciu metrów od sypialni matki. Dzieci wybiegły z domu przed Rhodą, a gdy dotarły do sąsiadów, były w szoku, zbadał je lekarz w Clanton i teraz zostały poddane jakiejś terapii w domu krewnych w Missouri. Widziały bardzo dużo.

Czy będą zeznawały na procesie? Baggy powiedział, że nie ma takiej możliwości, bo są po prostu za małe. Ale i tak puściłem w obieg to pytanie, żeby dać czytelnikom coś, o co będą mogli się sprzeczać i nad czym zastanawiać. Po wyczerpującym przeanalizowaniu możliwości pojawienia się dzieci na sali sądowej podsumowałem, że „eksperci” są zgodni, iż taki scenariusz wydaje się mało prawdopodobny. Baggy bardzo się ucieszył, że uznałem go za „eksperta”.

Starłem się, by nekrolog Rhody był bardzo długi, co, biorąc pod uwagę tradycję „Timesa”, nie było czymś niezwykłym.

Do drukarni dotarliśmy o dwudziestej drugiej we wtorek, a gazeta znalazła się na stojakach wokół rynku w Clanton o siódmej rano w środę. W chwili

bankructwa nakład spadł do niecałych tysiąca dwustu egzemplarzy, ale po miesiącu mojego nieustraszonego kierowania pismem mieliśmy prawie dwa i pół tysiąca prenumeratorów – pięć tysięcy wydawało się realnym celem.

Numer z informacjami o zamordowaniu Rhody Kassellaw wydrukowaliśmy w nakładzie ośmiu tysięcy egzemplarzy i umieściliśmy je wszędzie – przy wejściach do kawiarni na rynku, w korytarzach sądu, na biurkach wszystkich urzędników miejskich, w lobby banków. W ramach spontanicznego, jednorazowego i wyjątkowego przedsięwzięcia promocyjnego wysłaliśmy do potencjalnych prenumeratorów trzy tysiące gratisowych egzemplarzy.

Zgodnie z twierdzeniem Wileya, było to pierwsze morderstwo w okręgu od ośmiu lat. I w dodatku zabił jeden z Padgittów! Historia była cudownie niesamowita, a ja postrzegałem ją jako idealną okazję. Jasne, że postawiłem na szok, sensację i krwawe szczegóły. Pewnie, że było to dziennikarstwo brukowe, ale czym ryzykowałem?

Nie miałem pojęcia, że reakcja nastąpi tak szybko i będzie tak nieprzyjemna.

\*\*\*

O dziewiątej w poniedziałkowy rano główna sala rozpraw na drugim piętrze budynku sądu okręgowego była nabita. Władał nią Reed Loopus, wiekowy sędzia sądu okręgowego z Tyler, który przyjeżdżał do Clanton osiem razy w roku, żeby wymierzać sprawiedliwość. Ten legendarny stary wojownik, rządzący żelazną ręką, jak twierdził Baggy – który spędził większość życia zawodowego, wałęsając się po sądzie, gdzie zbierał plotki albo je rozpuszczał – był kryształowo uczciwym sędzią, bo jakimś cudem udało mu się uniknąć macek fortuny Padgittów. Może dlatego, że pochodził z innego okręgu, sędzia Loopus uważał, iż przestępcy powinni dostawać długie wyroki, najchętniej w obozach pracy, gdyby takie jeszcze istniały.

W poniedziałek po morderstwie prawnicy Padgitta latali jak frygi, usiłując wyciągnąć Danny'ego z aresztu. Sędzia Loopus był zajęty procesem w innym okręgu – jego kompetencje obejmowały sześć okręgów – i mimo nalegań nie zgodził się na przyspieszone posiedzenie w celu ustalenia wysokości kaucji. Wyznaczył termin rozpatrzenia ich wniosku na dziewiątą rano w poniedziałek, zostawiając tym samym miastu kilka dni na spekulacje i domysły.

Ponieważ byłem dziennikarzem, na dodatek właścicielem lokalnej gazety, stawienie się w sądzie odpowiednio wcześniej i zajęcie dobrego miejsca uznałem za swój obowiązek. Tak, byłem trochę zarozumiały. Pozostali widzowie znaleźli się tam z czystej ciekawości, tymczasem ja miałem do wykonania bardzo ważną pracę. Baggy i ja zajęliśmy krzesła w drugim rzędzie.

Głównym adwokatem Danny'ego Padgitta był niejaki Lucien Wilbanks, typ, którego szybko znienawidziłem. Był popłuczyną, jaka została po prominentnym kiedyś klanie prawników, bankierów i im podobnych. Rodzina Wilbanksów długo i ciężko pracowała przy powstawaniu Clanton, a potem pojawił się Lucien i zhańbił rodowe nazwisko. Uważał się za radykalnego prawnika, co w tej części świata w 1970 roku należało do rzadkości. Miał brodę, kłął jak szewc, ostro pił i wybierał klientów spośród gwałcicieli, morderców i pedofilów. Był jedynym w okręgu Ford białym członkiem NACCP, Krajowego Stowarzyszenia Postępu Ludzi Kolorowych, co samo w sobie wystarczyłoby, żeby go zastrzelić. Ale on się tym nie przejmował.

Lucien Wilbanks był szorstki, złośliwy jak cholera i niczego się nie bał. Zaczekał, aż wszyscy na sali sądowej zajmą miejsca – tuż przed zjawieniem się sędziego Loopusa – i dopiero wtedy do mnie podszedł. Trzymał w ręku najnowsze wydanie „Timesa”, którym zaczął wymachiwać, jednocześnie pomstując.

– Ty nędzny skurwysynu! – powiedział głośno. Na sali zrobiło się cicho jak makiem zasiał. – Za kogo ty się uważasz, do cholery?

Byłem zbyt zawstydzony, żeby zareagować. Miałem świadomość, że Baggy jest o centymetry ode mnie. Wszyscy znajdujący się w sali rozpraw wgapiali się we mnie, a ja wiedziałem, że muszę jakoś zareagować.

– Napisałem prawdę – udało mi się powiedzieć z największym przekonaniem, na jakie było mnie stać.

– To brukowe dziennikarstwo! – grzmiał adwokat. – Sensacyjne bulwarowe śmiecie! – Gazeta znalazła się tuż przed moim nosem.

– Dziękuję – powiedziałem, jak na mądrego faceta przystało. Na sali było co najmniej pięciu zastępców szeryfa, z których żaden nie okazał chęci przerwania tej sceny.

– Jutro złożymy pozew! – oznajmił; oczy mu płonęły. – Milion dolarów odszkodowania!

– Mam prawników – odpowiedziałem, nagle przerażony, że zbankrutuję, podobnie jak rodzina Caudle'ów.

Lucien rzucił mi gazetę na kolana i wrócił do swojego stołu. Nareszcie mogłem odetchnąć, serce waliło mi jak młotem. Czułem, że moje policzki płoną ze wstydu i strachu.

Udało mi się jednak utrzymać głupawy uśmiech. Nie mogłem pokazać miejscowym, że ja, redaktor naczelny i wydawca ich gazety, boję się czegośkolwiek. Ale milion dolarów odszkodowania!? Natychmiast pomyślałem o babce. To byłaby bardzo trudna rozmowa.

Za stołem sędziowskim zrobiło się jakieś zamieszanie, woźny otworzył drzwi.

– Proszę wstać!

Sędzia Loopus wślizgnął się przez nie i poczłapał na swoje miejsce. Jego wyblakła toga ciągnęła się po podłodze. Usiadł, spojrzął na zgromadzony tłum i powiedział:

– Dzień dobry. Stosunkowo duża frekwencja, jak na sprawę o zwolnienie za kaucją.

Takie rutynowe rozprawy nie przyciągały nikogo poza oskarżonymi, ich adwokatami i może matkami. Tę obserwowało trzysta osób.

To jednak nie było zwykłe posiedzenie dotyczące kaucji. To była pierwsza runda w procesie o gwałt i morderstwo, i tylko niewielu mieszkańców Clanton zachowało obojętność. Ja zaś doskonale zdawałem sobie sprawę, że większość tych ludzi nie będzie mogła uczestniczyć w dalszym postępowaniu. Będą musieli zdać się na „Timesa”, a ja byłem zdeterminowany relacjonować im wszystko bardzo szczegółowo.

Za każdym razem, gdy zerkąłem na Luciena Wilbanka, myślałem o pozwie o milion dolarów. Na pewno nie poda do sądu mojej gazety, prawda? Bo i za co? Nie napisałem przecież niczego szkalującego, żadnych oszczerstw.

Sędzia Loopus skinął głową w kierunku drugiego woźnego i otworzyły się boczne drzwi. Wprowadzono Danny’ego Padgitta, ze skutymi z przodu rękami. Był ubrany w idealnie wyprasowaną białą koszulę, spodnie khaki i moka-syny. Twarz miał gładko ogoloną i bez żadnych wyraźnych skaleczeń. Dwudziestoczteroletni, rok starszy ode mnie, wyglądał na znacznie młodszego. Krótko ostrzyżony, przystojny. Nie mogłem pozbyć się myśli, że powinien studiować w jakimś college’u. Udaowało mu się iść z pewną godnością, ale kiedy woźny go rozkuwał, na jego ustach pojawił się pogardliwy uśmiezek. Spojrzał na tłum i przez chwilę można było pomyśleć, że poświęcana mu

uwaga sprawia mu przyjemność. Cechowała go pewność siebie kogoś, kto wychował się w rodzinie o nieograniczonych możliwościach finansowych, z których na pewno skorzysta, żeby wyciągnąć go z tego niewielkiego kłopotu.

Dokładnie za nim, za barierką w pierwszym rzędzie, siedzieli jego rodzice i najróżniejsi pozostali Padgittowie. Jego ojciec Gill, wnuk okrytego złą sławą Clovisa Padgitta, miał dyplom wyższej uczelni i mówiło się o nim, że to on zawiaduje praniem brudnych pieniędzy rodziny. Matka była dobrze ubrana i na swój sposób atrakcyjna, co mnie zdziwiło, bo musiała przecież być przygłupia, skoro zdecydowała się wejść do rodziny Padgittów i spędzić resztę życia na odciętej od świata Wyspie.

– Nigdy wcześniej jej nie widziałem – wyszeptał Baggy.

– A często widzisz Gilla? – zapytałem.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat widziałem go może ze dwa razy.

Stan reprezentował Rocky Childers, prokurator okręgowy, pracujący na część etatu. Sędzia Loopus zwrócił się do niego:

– Panie prokuratorze, zakładam, że stan sprzeciwia się zwolnieniu za kaucją.

– Tak, Wysoki Sądzie – odrzekł Childers, wstając.

– Na jakiej podstawie?

– Na podstawie przerażającej natury tej zbrodni, Wysoki Sądzie. To był bezlitosny gwałt na łóżku ofiary, na oczach jej małych dzieci. I zabójstwo. Śmierć nastąpiła na skutek co najmniej dwóch ciosów zadanych nożem. Podejrzany, pan Padgitt, próbował uciec. – Słowa Childersa wypełniały salę sądową, w której panowała cisza jak makiem zasiał. – Istnieje ogromne prawdopodobieństwo, że jeśli pan Padgitt opuści areszt, nigdy więcej go nie zobaczymy.

Lucien Wilbanks nie mógł się doczekać chwili, gdy wstanie i zacznie spór. Natychmiast zerwał się na równe nogi.

– Sprzeciwiamy się takiemu stawianiu sprawy, Wysoki Sądzie. Mój klient nie ma kryminalnej przeszłości, nigdy wcześniej nie był aresztowany.

Sędzia Loopus popatrzył na niego spokojnie ponad okularami do czytania i powiedział:

– Panie Wilbanks, mam nadzieję, że pierwszy i ostatni raz wchodzi pan komuś w słowo na tej sali. Proponuję, żeby pan usiadł, a kiedy sąd będzie chciał poznać pańskie zdanie, udzieli panu głosu. – Mówił lodowatym, nie-



mal jadowitym tonem, aja zastanawiałem się, ile razy ci dwaj brali się za bary w tej sali rozpraw.

Nic nie mogło zbić z tropu Luciena Wilbanksa. Miał skórę nosorożca.

Childers sięgnął do historii. Jedenaście lat temu, w 1959 roku, pewien Padgitt, Gerald, został oskarżony o kradzież samochodów w Tupelo. Znalezienie dwóch przedstawicieli prawa, którzy zgodzili się wejść na Wyspę Padgittów, żeby dostarczyć nakaz aresztowania, zajęło rok, i choć przeżyli, ich misja zakończyła się porażką. Gerald Padgitt uciekł z kraju albo ukrywa się gdzieś na Wyspie.

– Gdziekolwiek jest – mówił prokurator – nigdy go nie aresztowano, nigdy go nie odnaleziono.

– Słyszałeś coś o Geraldzie Padgittcie? – zapytałem Baggy’ego.

– Nie.

– Jeśli ten podejrzany wyjdzie za kaucją, Wysoki Sądzie, nigdy więcej go nie zobaczymy. To proste. – Childers usiadł.

– Panie mecenasie – odezwał się sędzia.

Lucien wstał powoli i machnął ręką w stronę prokuratora.

– Pan prokurator jak zwykle trochę się pogubił – zaczął uprzejmie. – To nie Gerald Padgitt jest podejrzany o popełnienie tych przestępstw. Nie reprezentuję go i gównu mnie obchodzi, co się z nim dzieje.

– Bez wulgaryzmów, proszę – rzucił Loopus.

– To nie on stoi przed sądem. Ta sprawa dotyczy Danny’ego Padgitta, młodego człowieka bez kryminalnej przeszłości.

– Czy pański klient jest właścicielem jakiejś nieruchomości w tym okręgu? – zapytał Loopus.

– Nie, Wysoki Sądzie. Ma dopiero dwadzieścia cztery lata.

– Przejdźmy zatem do rzeczy, panie mecenasie. Wiem, że jego rodzina ma dużo ziemi. Kaucję wyznaczę, pod warunkiem że cała ta ziemia będzie zastawem, gwarancją tego, że Danny Padgitt stawi się w sądzie.

– To oburzające – prychnął Lucien.

– Podobnie jak zbrodnia, o którą jest podejrzany.

Lucien rzucił notes na stół.

– Proszę o chwilę na konsultację z rodziną.

To wywołało spore poruszenie wśród Padgittów. Stali zbici w gromadkę z Wilbanksem przy stole obrony i od początku nie było między nimi zgody. Patrzenie na tych bardzo bogatych łajdaków, gdy kręcili głowami i skakali

sobie do oczu, było nawet zabawne. Kłótnie rodzinne są gorzkie i gwałtowne, zwłaszcza gdy chodzi o pieniądze, i wydawało się, że każdy Padgitt ma inne zdanie na temat tego, co należy zrobić. Można było sobie tylko wyobrazić, co się działo, gdy dzielili łupy.

Lucien wyczuwał, że porozumienie jest mało prawdopodobne, więc żeby uniknąć wstydu, odwrócił się i rzekł do sędziego:

– To niemożliwe, Wysokie Sądzie. Ziemia należy do co najmniej czterdziestu osób, z których większości nie ma w tej chwili na sali. Żądanie sądu jest arbitralne i zbyt obciążające.

– Dam panu kilka dni na uporządkowanie tej sprawy – powiedział Loopus i nawet nie ukrywał, że postawienie ich w tak kłopotliwej sytuacji sprawiło mu przyjemność.

– Nie, Wysoki Sądzie. To niesprawiedliwe. Mój klient ma prawo do rozsądnej kaucji, takiej samej jak każdy inny oskarżony.

– Wniosek o wyjście za kaucją zostaje odrzucony i będzie rozpatrzony ponownie na rozprawie wstępnej.

– Rezygnujemy z rozprawy wstępnej.

– Jak pan sobie życzy – mruknął sędzia, coś notując.

– Domagamy się, by ta sprawa jak najszybciej została przedstawiona Wielkiej Ławie Przysięgłych<sup>4</sup>.

– W swoim czasie, panie Wilbanks, tak samo jak w przypadku innych spraw.

– Uprzedzam, że również jak najszybciej chcemy wystąpić z wnioskiem o zmianę właściwości miejscowej sądu – oznajmił bezczelnie Lucien, jakby uznał, że potrzebne jest jakieś ważne oświadczenie.

– Na to jest trochę za wcześnie, nie sądzi pan? – powiedział Loopus.

– W tym okręgu mój klient nie może liczyć na sprawiedliwy proces. – Wilbanks rozglądał się po sali, ignorując sędziego, który przez chwilę sprawiał wrażenie zaciekawionego. – Podjęto już wysiłki mające na celu oskarżenie, osądzenie i skazanie mojego klienta, zanim miałyby szansę się bronić, dlatego uważam, że Wysoki Sąd powinien natychmiast interweniować i wydać zakaz publikowania czegokolwiek o moim kliencie.

Lucien Wilbanks był jedyną osobą, której powinien dotyczyć zakaz mówienia czegokolwiek o jego kliencie.

– Do czego pan zmierza, mecenasie? – spytał Loopus.

– Czytał pan lokalną gazetę, Wysoki Sądzie?

– Ostatnio nie.

Wszystkie oczy były zwrócone na mnie i po raz drugi tego dnia serce podeszło mi do gardła.

Wilbanks zaczął mówić, wbijając we mnie wzrok:

– Historie z pierwszych stron, zdjęcia pokazujące krwawe szczegóły, anonimowe źródła, sporo półprawd i insynuacji wystarczą, by skazać każdego niewinnego człowieka!

Baggy odsunął się ode mnie, a ja poczułem się bardzo osamotniony.

Lucien przeszedł energicznym krokiem do stołu sędziowskiego i rzucił egzemplarz gazety na blat.

– Proszę się temu przyjrzeć – warknął.

Loopus poprawił okulary, uniósł „Timesa”, opadł na oparcie skózanego fotela i zaczął czytać. Najwyraźniej nigdzie się nie śpieszył.

Nie należał do ludzi, którzy szybko czytają. W którymś momencie moje serce wróciło na swoje miejsce, za to zaczęło walić jak młotem. Poczułem, że kołnierzyk koszuli na karku mam mokry. Loopus skończył czytać pierwszą stronę i powoli rozłożył gazetę. Czy wtrąci mnie do więzienia od razu, tu i teraz? Skinie głową na woźnego, żeby zakuł mnie w kajdanki i wyprowadził? Nie byłem prawnikiem. Właśnie grożono mi procesem o milionowe odszkodowanie i zrobił to człowiek, który bez wątpienia wytoczył już wiele takich spraw, a teraz sędzia czyta moją krwawą relację, podczas gdy całe miasto czeka na jego werdykt.

Coraz więcej osób rzucało mi nieprzyjazne spojrzenia, dlatego uznałem, że rozsądniej będzie zająć się bazgraniem w notesie, choć nie byłem w stanie przeczytać czegokolwiek z tego, co napisałem. Zachowanie obojętnego wyrazu twarzy kosztowało mnie sporo wysiłku. Tak naprawdę marzyłem o tym, żeby wybiec z sali sądowej i wrócić do Memphis.

Strony zaszeleściły, Wysoki Sąd nareszcie skończył. Pochylił się lekko do mikrofonu i wypowiedział słowa, które w jednej chwili przesądziły o mojej karierze:

– To bardzo dobrze napisane. Wciąga, może jest trochę makabryczne, ale z pewnością nie przekracza granic przyzwoitości.

Nie przerywałem bazgrania, jakbym tego nie usłyszał. W nagłej, nieprzewidzianej i do pewnego stopnia wstrząsającej potyczce właśnie odniosłem zwycięstwo nad Padgittami i Lucieniem Wilbanksem.

– Gratuluję – szepnął Baggy.

Loopus złożył gazetę i odsunął ją od siebie. Pozwolił Wilbanksowi narzekać przez kilka minut na przecieki z policji, przecieki z biura śledczego, potencjalne przecieki z pokoju sędziów przysięgłych; wszystkie były w jakiś sposób skoordynowane w ramach spisku bliżej nieokreślonych osób, zdeterminowanych, by niesprawiedliwie potraktować jego klienta. Tak naprawdę urządzał przedstawienie dla Padgittów. Nie udało mu się uzyskać zwolnienia za kaucją, musiał więc zrobić na nich wrażenie swoim zaangażowaniem.

Na Loopusa to nie podziało.

Wkrótce mieliśmy się dowiedzieć, że wystąpienie Luciena było tylko zasłoną dymną. Nie miał zamiaru przenosić procesu z okręgu Ford.

## Rozdział 6

---

**K**iedy kupowałem „Timesa”, umowa czyniła mnie jednocześnie właścicielem jego starej jak świat siedziby. Budynek miał niewielką wartość. Stał po południowej stronie rynku w Clanton, był jedną z czterech popadających w ruinę kamienic, zbudowanych ściana w ścianę przez kogoś, kto bardzo się śpieszył – długich i wąskich, wysokich na dwa piętra, z piwnicami, których pracownicy się bali i unikali jak ognia. Od frontu znajdowało się kilka biur, a wszystkie z poplamionymi i wytartymi dywanami, obłazącą ze ścian farbą i smrodkiem dymu z fajki z minionego stulecia, który wgrzył się w sufity na zawsze.

Na tyłach, tak daleko, jak się dało, stała maszyna drukarska. W każdy wtorkowy wieczór naszemu drukarzowi Hardy’emu udawało się w jakiś sposób przywrócić ją do życia i wydrukować kolejny numer gazety. Jego miejsce pracy wypełniał ostry zapach farby drukarskiej.

W jednym z pokoi na parterze ustawiono regały uginające się pod ciężarem zakurzonych książek, których od dziesięcioleci nikt nie dotykał. Była to kolekcja, na którą składały się książki historyczne, Szekspir, irlandzka poezja i rzędy złych, przestarzałych brytyjskich encyklopedii. Spot uważał, że takie tomiszczka zrobią wrażenie na każdym, kto tam wejdzie.

Kiedy stanęło się przy oknie od frontu i patrzyło przez zmatowiałe szyby,

na których dawno temu ktoś namalował wyraz „Times”, można było zobaczyć budynek sądu okręgowego i trzymającego przed nim wartę konfederata z brązu. Na tablicy poniżej jego stóp umieszczono nazwiska sześćdziesięciu jeden chłopców ze wsi poległych w wojnie secesyjnej, w większości w bitwie pod Shiloh.

Konfederata widać było także z mojego gabinetu znajdującego się na pierwszym piętrze. Tutaj przy ścianach również stały rzędy regałów. Była to prywatna biblioteka Spota, eklektyczny zbiór wyglądający na równie zaniedbany jak ten na dole. Zanim pozbędę się tych książek, miną lata.

Gabinet był przestronny, zagracony, pełen bezużytecznych rzeczy, bezwartościowych kartotek i ozdobiony podrobionymi portretami konfederackich generałów. Uwielbiałem to miejsce. Kiedy Spot odszedł, niczego ze sobą nie wziął, a po kilku miesiącach nadal nikt najwyraźniej nie chciał śmieci, które zostawił. Pozostały więc tam, gdzie były, porzucone, praktycznie przeze mnie niedotykane, ale powoli stające się moją własnością. Włożyłem do pudeł jego osobiste rzeczy – listy, wyciągi bankowe, notatki, pocztówki – i wyniosłem do jednego z wielu nieużywanych pokoi w głębi korytarza, gdzie nadal pokrywały się kurzem i podlegały powolnemu procesowi rozkładu.

W moim pokoju było dwoje przeszkłonych drzwi, które otwierały się na niewielki balkon z balustradą z kutego żelaza, gdzie było dość miejsca, żeby trzy, cztery osoby mogły siedzieć w wiklinowych fotelach i patrzeć na plac. Choć niewiele było do oglądania, przyjemnie spędzało się tam czas, szczególnie z drinkiem w rękę.

Baggy był zawsze gotowy na drinka. Po kolacji przyniósł butelkę bourbona i zajęliśmy miejsca w bujanych fotelach. Po posiedzeniu w sprawie kaucji w mieście nadal wrzało od plotek. Zakładano, że Danny Padgitt wyjdzie na wolność, bo Lucien Wilbanks i Mackey Don Coley wszystko zaaranżują. Poczyni się obietnice, pieniądze przejdą z ręki do ręki, szeryf Coley w jakiś sposób osobiście poręczy, że chłopak pojawi się na rozprawie. Tymczasem sędzia Loopus miał inne plany.

Żona Baggy’ego była pielęgniarką. Pracowała na nocnych dyżurach w szpitalu na urazówce. On pracował w ciągu dnia, jeśli to jego ospałe obserwowanie miasta w ogóle można było uznać za pracę. Widywali się rzadko, co bez wątplenia wychodziło im na dobre, jako że bez przerwy się kłócili. Ich dorosłe dzieci wyfrunęły już z domu, zostawiając tych dwoje na pastwę ich małej wojny. Po kilku kieliszkach Baggy zawsze zaczynał rzucać uwagi o żo-

nie. Miał pięćdziesiąt dwa lata, ale wyglądał na co najmniej siedemdziesiąt, ja zaś podejrzewałem, że główną przyczyną jego brzydkiego starzenia się i awantur w domu jest chłanie.

– Skopaliśmy im tyłki – powiedział z dumą. – Nigdy przedtem żaden artykuł z gazety nie był tak jednoznacznie oczyszczony z zarzutów. I to w sądzie, podczas jawnego posiedzenia.

– Na czym polega zakaz publikacji? – zapytałem. Byłem przecież niedoinformowanym żółtodziobem i wszyscy o tym wiedzieli. To bez sensu udawać, że coś wiem, jeśli tego nie wiedziałem.

– Nigdy się z tym nie spotkałem. Słyszałem o takich praktykach i wydaje mi się, że sędziowie wykorzystują je, żeby uciszyć adwokatów.

– Nie są więc stosowane wobec gazet?

– Nie, nigdy. Wilbanks po prostu grał pod publiczność. Ten facet jako jedyny w naszym okręgu należy do ACLU, wiesz, tej organizacji broniącej konstytucyjnych praw obywatelskich. Rozumie znaczenie pierwszej poprawki. Nie ma takiej możliwości, żeby sąd zabronił jakiegś gazetce drukowania czegośkolwiek. Miał zły dzień, było jasne, że jego klient zostanie w areszcie, więc żeby odwrócić od tego uwagę, musiał pomachać szabelką. Typowa adwokacka zagrywka. Uczą ich tego na studiach.

– Więc myślisz, że nie zostaniemy pozwani?

– Cholera, pewnie, że nie. Posłuchaj, po pierwsze, nie ma podstaw. Nikogo nie zaszukaliśmy ani nie zniesławiliśmy. Pewnie, że trochę ponaciągaliśmy fakty, ale to były drobiazgi, zresztą najpewniej i tak prawdziwe. Po drugie, gdyby Wilbanks wytoczył sprawę, musiałyby to zrobić tutaj, w okręgu Ford. W tym samym sądzie, w tej samej sali rozpraw, z tym samym sędzią. Z Reedem Loopusem, który dziś rano przeczytał nasze artykuły i ogłosił, że nie ma im nic do zarzucenia. Sprawa zostałaby oddalona, jeszcze zanim Wilbanks napisałby pierwsze słowo. Krótko mówiąc, jest wspaniale.

Ja na pewno nie czułem się wspaniale. Zamartwiałem się milionowym odszkodowaniem i zastanawiałem, skąd mógłbym wytrzasnąć taką sumę. Jednak bourbon zaczął w końcu działać. Odprężyłem się. Był czwartkowy wieczór w Clanton, na ulicach prawie nie widziało się ludzi, wszystkie sklepy i biura przy rynku zamknięto.

Baggy, jak zwykle zresztą, czuł się wyluzowany już od dawna. Margaret powiedziała mi szeptem, że bourbon często zastępuje mu śniadanie. Razem z jednonogim prawnikiem nazywanym Majorem lubili wypić naparstek

z kawą. Spotykali się na balkonie kancelarii Majora po drugiej stronie rynku, palili, pili i dyskutowali o polityce i prawie, gdy tymczasem do gmachu sądu wracało życie. Major stracił nogę na Guadalcanal, zgodnie z jego wersją drugiej wojny światowej. Jego prawnicza specjalizacja była bardzo wąska: ograniczał się do spisywania testamentów starym ludziom. Sam pisał je na maszynie, sekretarka nie była mu potrzebna. Pracował równie ciężko jak Baggy i obu ich widywano często na sali rozpraw, odseparowanych od reszty i przypatrujących się kolejnemu procesowi.

– Przypuszczam, że Mackey Don umieścił chłopaka w apartamencie – powiedział Baggy, trochę już bełkocząc.

– W apartamencie? – zdziwiłem się.

– No tak. Widziałeś areszt?

– Nie.

– Nie nadaje się nawet dla zwierząt. Bez ogrzewania, bez świeżego powietrza, kanalizacja prawie cały czas zepsuta. Wszędzie brud. Podłoga gnije. I to jest część dla białych. Czarni są w drugim końcu, w jednej długiej celi. Za ubikację musi im wystarczyć dziura w podłodze.

– Chyba sobie daruję tę wizytę.

– To wstyd dla okręgu, ale, co stwierdzam ze smutkiem, podobną sytuację spotkasz w większości takich miejsc w okolicy. W każdym razie jest też jedna mała cela z klimatyzacją i dywanem na podłodze, z czystym łóżkiem, kolorowym telewizorem i dobrym wyżywieniem. Nazywają ją apartamentem i Mackey Don umieszcza tam swoich faworytów.

Uznałem, że muszę to zapamiętać. Dla Baggy’ego to było coś najzwyczajszego pod słońcem, dla mnie, niedawnego studenta dziennikarstwa, to był materiał na sensacyjny artykuł, który już zaczynałem obmyślać.

– Myślisz, że Padgitt siedzi w apartamencie?

– Prawdopodobnie. Przyszedł do sądu we własnym ubraniu.

– A w czym miał przyjść?

– W pomarańczowym kombinezonie, jaki noszą wszyscy pozostali. Nie widziałeś czegoś takiego?

Tak, widziałem. Byłem raz w sądzie, jakiś miesiąc temu, i teraz nagle przypomniałem sobie, że zobaczyłem dwóch albo trzech oskarżonych siedzących na sali rozpraw i czekających na sędziego. Wszyscy byli ubrani w wypłowiałe kombinezony w różnych odcieniach pomarańczowego. Na piersiach i plecach widniał napis: „Areszt okręgu Ford”.



Baggy napił się whisky i zaczął mi to wyjaśniać:

– Widzisz, na posiedzenie w sprawie ustalenia kaucji oskarżeni, jeśli nadal przebywają w areszcie, są przyprowadzani do sądu ubrani jak wszyscy więźniowie. W dawnych czasach Mackey Don kazał im nosić kombinezony podczas procesu. Lucienowi Wilbanksowi raz udało się nawet uzyskać uchylene wyroku skazującego na podstawie wniosku, że sędziowie przysięgli, widząc jego klienta w pomarańczowym kombinezonie, w którym wyglądał na winnego jak jasna cholera, ulegli sugestii i dlatego go skazali. I miał rację. Trochę trudno przekonać przysięgłych, że nie jesteś winny, kiedy masz na sobie ubranie więźnia i nosisz gumowe klapki pod prysznic.

Po raz kolejny zdumiało mnie, jak zacofany jest stan Missisipi. Oczami wyobraźni widziałem człowieka oskarżonego o przestępstwo, czarnego, stojącego przed ławą przysięgłych i oczekującego sprawiedliwego procesu, ubranego w więzienne łachy, zaprojektowane tak, żeby było je widać z odległości kilometra. „Tu nadal trwa wojna”, było sloganem, który wielokrotnie słyszałem w okręgu Ford. Istniał tu frustrujący opór przeciwko zmianom, wyjątkowo silny, gdy chodziło o łamanie prawa i wymiar kary.

\*\*\*

Nazajutrz koło południa poszedłem do aresztu, bo szukałem szeryfa Coleya. Pod pretekstem zadania mu paru pytań dotyczących śledztwa w sprawie Kassellaw zamierzałem porozmawiać z tak wieloma więźniami, z iloma się da. Jego sekretarka poinformowała mnie, raczej nieuprzejmie, że jest na spotkaniu, ale mnie to w niczym nie przeszkadzało.

Dwóch aresztantów sprzątało pokój od frontu, dwóch kolejnych pielę kłomb kwiatowy. Obszedłem budynek i na tyłach aresztu zobaczyłem niewielki dziedziniec z koszem do koszykówki. Sześciu aresztantów wałęsało się w cieniu niskiego dębu. Po wschodniej stronie aresztu dostrzegłem trzech więźniów stojących w oknie, za kratami, i patrzących na mnie.

W sumie trzynastu aresztantów. Trzynaście pomarańczowych kombinezonów.

W sprawie aresztu skonsultowałem się z bratankiem Wileya. Początkowo nie bardzo chciał o tym mówić, ale szczerze nienawidził szeryfa Coleya i doszedł do wniosku, że może mi zaufać. Potwierdził to, co Baggy podejrzewał: Danny'emu Padgittowi jest całkiem dobrze w celi z klimatyzacją, może jeść,

na co tylko ma ochotę. Ubiera się, jak chce, gra w warcaby z samym szeryfem i przez cały dzień korzysta z telefonu.

\*\*\*

Następny numer „Timesa” zdecydowanie przyczynił się do umocnienia mojej reputacji jako ostro atakującego, nieznanego strachu dwudziestotrzyletniego idioty. Na pierwszej stronie znalazło się ogromne zdjęcie Danny’ego Padgitta wprowadzanego do sali sądowej na posiedzenie w sprawie ustalenia kaucji. Był skuty i miał na sobie prywatne ubranie. Posyłał w stronę obiektywu jedno ze swoich typowych spojrzeń, jakby wysyłał wszystkich do diabła. Tuż nad nim umieściłem wielki nagłówek: *Danny Padgitt nie wyjdzie za kaucję*. Artykuł był długi i pełen szczegółów.

Obok widniał inny artykuł, równie długi, ale znacznie bardziej sensacyjny. Cytując anonimowe źródło, opisałem z detalami warunki, jakie pan Padgitt ma w areszcie. Wymieniłem wszystkie możliwe przywileje, z jakich korzysta, włączając czas spędzany z samym szeryfem Coleyem na grze w warcaby. Omówiłem jego wyżywienie, kolorowy telewizor, nielimitowane rozmowy telefoniczne. Wszystko, co dawało się w jakikolwiek sposób zweryfikować. A potem porównałem to z warunkami, w jakich siedzi dwudziestu jeden pozostałych aresztantów.

Na drugiej stronie znalazły się stare czarno-białe zdjęcia czterech oskarżonych wprowadzanych na salę sądową. Oczywiście każdy z nich miał na sobie kombinezon. Każdy był skuty kajdankami i potargany. Zaczerniłem ich twarze, żeby nie robić im wstydu, kimkolwiek byli. Ich procesy już dawno zamknięto.

Obok tych fotografii zamieściłem drugie zdjęcie Danny’ego Padgitta wprowadzanego na salę. Gdyby nie kajdanki, mógłby równie dobrze wybierać się na przyjęcie. Kontrast był porażający. Chłopak znalazł się pod opieką szeryfa Coleya, który, jak do tej pory, nie chciał porozmawiać ze mną na ten temat. Duży błąd.

W artykule opisałem moje próby skontaktowania się z szeryfem. Zostawiałem mu wiadomości, ale nie oddzwaniał. Dwa razy byłem w areszcie, jednak nie chciał się ze mną zobaczyć. Zostawiłem listę z pytaniami, którą po prostu zignorował. Zaprezentowałem się jako młody agresywny, wytrwale próbujący dotrzeć do prawdy dziennikarz, którego blokuje urzędnik wyłoniony

w wyborach.

Ponieważ Lucien Wilbanks był w Clanton jednym z najmniej lubianych ludzi, nie przepuściłem i jemu. Skorzystałem z telefonu, bo podczas rozmowy telefonicznej ludzie są równi. Cztery razy dzwoniłem do jego kancelarii, zanim oddzwonił. W pierwszej chwili nie miał żadnych uwag dotyczących swojego klienta ani zarzutów, ale kiedy trwałem uparcie przy pytaniach o sposób, w jaki traktowany jest Padgitt w areszcie, eksplodował.

– Nie zarządzam tym cholernym aresztem, synu! – wrzasnął, a ja niemal widziałem jego przekrwione oczy świdrujące mnie na wylot. Zacytowałem tę jego wypowiedź.

– Czy rozmawiał pan z klientem w areszcie? – zapytałem.

– Oczywiście.

– W co był ubrany?

– Nie ma pan ciekawszych rzeczy do opisywania?

– Nie. W co był ubrany?

– Cóż, nie był goły.

Te słowa były zbyt dobre jako cytaty, żeby ich nie wykorzystać, dlatego zamieściłem je wytłuszczoną czcionką z boku.

Mając za przeciwników gwałciciela i mordercę, skorumpowanego szeryfa i adwokata radykała, wiedziałem, że tej walki nie mogę przegrać. Reakcja na artykuł była zdumiewająca. Baggy i Wiley donosili, że w kafejkach aż huczy od słów podziwu dla nieustraszonego młodego dziennikarza lokalnej gazety. Padgittami i Lucieniem gardzono tu od dawna, teraz nadeszła pora, by pozbyć się Coleya.

Margaret powiedziała, że bez przerwy dzwonią czytelnicy rozsierzeni tym, jak łagodnie traktowany jest Danny. Bratanek Wileya mówił, że w areszcie zapanował chaos, a Mackey Don znalazł się w stanie wojny ze swoimi zastępcami. Niańczył mordercę, a w 1971 roku miały się odbyć wybory. Ludzie w biurze szeryfa byli źli, bo wszyscy mogli stracić pracę.

\*\*\*

Tamte dwa tygodnie miały decydujące znaczenie dla przetrwania „Timesa”. Czytelnicy okazali się głodni szczegółów i dzięki temu, że wstrzeliłem się w czas, zwykłemu szczęściu i odrobinie odwagi dałem im to, czego potrzebowali. Gazeta nagle ożyła, była siłą. Zaufano mi. Ludzie domagali się,

żebym pisał o wszystkim z detalami i bez lęku.

Od Baggy'ego i Margaret dowiedziałem się, że Spot nigdy nie zamieściłby drastycznych zdjęć i nie rzuciłby wyzwania szeryfowi. Ale oboje nadal byli zalęknieni. Nie mogę powiedzieć, żeby moja bezczelność dodawała odwagi pracownikom gazety. „Times” był i będzie przedsięwzięciem jednego człowieka, z niewielkim tylko poparciem zespołu.

Mało mnie to obchodziło. Pisałem prawdę i nie przejmowałem się konsekwencjami. Byłem lokalnym bohaterem. Liczba prenumerat skoczyła do prawie trzech tysięcy. Dochody się podwoiły. Nie dość, że zabłysnąłem jako nowa gwiazda na prowincji, to przy okazji zarabiałem pieniądze.

## Rozdział 7

---

**B**omba była w zasadzie prymitywnym urządzeniem zapalającym, które gdyby wybuchło, bardzo szybko objęłoby płomieniami naszą drukarnię. Ogień karmiłby się tam najróżniejszymi chemikaliami i ni mniej, ni więcej tylko pięciuset litrami farby drukarskiej. Szybko rozprzestrzeniłby się na pokoje od frontu. Po kilku minutach, przy braku automatycznego systemu gaszenia pożaru i alarmu, kto wie, ile udałoby się uratować. Wczesnym rankiem w czwartek większość z czterech budynków w rzędzie by spłonęła.

Znalazł ją miejscowy głupek. Albo, jak powinienem powiedzieć, jeden z miejscowych głupków. Clanton miało ich więcej, niż wynosiła średnia krajowa. Bomba, złowieszcza i nienaruszona, leżała obok stert makulatury w pomieszczeniu drukarni.

Głupek nazywał się Piston i obejmowała go umowa kupna „Timesa”, obok budynku, wiekowej prasy drukarskiej oraz omijanych z daleka księgozbiorów na parterze i na piętrze. Nie był oficjalnie zatrudniony, niemniej zjawiał się w każdy piątek po pięćdziesiąt dolarów w gotówce. Żadnych czeków. Za to wynagrodzenie pozamiatął czasami podłogi, sporadycznie przekopywał ziemię na klombie przed oknami od frontu i wnosił śmiecie, jeśli ktoś tego żądał. Nie miał ustalonych godzin pracy, przychodził i wychodził, kiedy

chciał, nie uznawał pukania do drzwi, za którymi akurat odbywały się zebrania, lubił korzystać z naszych telefonów, pić naszą kawę i choć początkowo sprawiał wrażenie ponurego – oczy miał szeroko rozstawione, przesłonięte grubymi szklami, zmierzwioną brodę, paskudne wystające zęby i nosił za dużą bejsbolówkę nasuniętą głęboko na czoło – był niegroźny. Sprzątał w kilku biurach przy rynku i jakoś dawał sobie radę. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, z kim i jak przemieszcza się po mieście. Im mniej o nim wiedzieliśmy, tym lepiej.

Piston przyszedł w czwartkowy poranek – klucze miał od dziesięcioleci – i jak opowiadał, najpierw usłyszał coś jakby tykanie. Kiedy rozejrzał się dokładniej, zauważył trzy dwudziestolitrowe plastikowe kanistry połączone z drewnianą skrzynką stojącą obok nich na podłodze. Tykanie dochodziło ze skrzynki. Piston kręcił się po drukarni od wielu lat i czasem pomagał Hardy’emu we wtorkowe noce, donosząc papier.

W przypadku większości ludzi panika szybko zapanowałaby nad ciekawością, Pistonowi zajęło to jednak trochę czasu. Po opukaniu kanistrów, by się upewnić, czy rzeczywiście są wypełnione benzyną, i po ustaleniu, że kilka groźnie wyglądających drutów łączy wszystko w całość, poszedł do pokoju Margaret i zadzwonił do Hardy’ego. Powiedział, że to coś tyka coraz głośniej.

Hardy zawiadomił policję i około dziewiątej rano obudzono mnie tą wiadomością.

Kiedy zjawiłem się na miejscu, ewakuowano już większą część rynku. Piston siedział na masce samochodu roztrzęsiony, bo przecież otarł się o śmierć. Zajmowali się nim jacyś znajomi i kierowca karetki. Takie zainteresowanie najwyraźniej sprawiało mu przyjemność.

Zanim policja wyniosła kanistry z benzyną i umieściła je w bezpiecznym miejscu na uliczce za naszym budynkiem, Wiley Meek zdążył sfotografować bombę.

– Rozwaliłaby połowę placu – ocenił niefachowo. Biegał nerwowo i dokumentował całe to zamieszanie, bo przecież takie zdjęcia mogły się kiedyś przydać.

Szef policji wyjaśnił mi, że teren wokół naszej siedziby nadal pozostanie zamknięty, bo nie otworzono jeszcze drewnianej skrzynki, i cokolwiek w niej jest, ciągle tyka.

– Może wybuchnąć – powiedział śmiertelnie poważnie, jakby tylko on

miał na tyle rozumu, żeby zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Byłem niemal pewny, że nie miał żadnego doświadczenia w kwestii bomb, ale zrobiłem dobrą minę do złej gry. Natychmiast wezwano pracownika stanowego laboratorium kryminalistycznego. Postanowiono, że cztery budynki w naszym rządzie pozostaną niedostępne do czasu, aż ekspert zakończy pracę.

Bomba na rynku w Clanton! Wieść niosła się szybciej, niż rozprzestrzenia się ogień; wszyscy porzucili swoje zajęcia. Biura urzędu okręgowego opustoszały, podobnie jak banki, sklepy i kawiarnie, i wkrótce po drugiej stronie ulicy, w bezpiecznej odległości, pod wielkimi dębami, które rosły przy siedzibie sądu, zebrały się duże grupy gapiów. Nie odrywali oczu od naszej małej kamienicy, wyraźnie zatroskani i wystraszeni, ale też spodziewając się czegoś ekscytującego. Nigdy wcześniej nie widzieli wybuchu bomby.

Do policjantów dołączyli zastępcy szeryfa i wkrótce widać było funkcjonariuszy we wszelkich możliwych mundurach noszonych w okręgu, wałęsali się po chodnikach, nie robiąc nic konkretnego. Szeryf Coley i szef policji stali pochyleni, konferowali i spoglądali na ludzi stłoczonych po drugiej stronie ulicy, co rusz wyszczekiwali jakieś rozkazy, ale nawet jeśli wypełniano jakiegokolwiek polecenia, trudno to było zauważyć. Dla wszystkich było jasne, że miasto i okręg w ogóle nie są przygotowane na wypadek zagrożenia zamachem bombowym.

Baggy musiał się napić. Dla mnie było na to za wcześnie. Poszedłem z nim na tyły sądu. Weszliśmy po wąskich schodach, których nigdy wcześniej nie widziałem, i dalej przez zagracony korytarz, potem znowu na górę po kolejnych dwudziestu stopniach do małego brudnego pokoju z niskim sufitem.

– Kiedyś to był pokój przysięgłych – powiedział. – A później biblioteka prawnicza.

– A teraz? – zapytałem, niemal bojąc się odpowiedzi.

– Pokój barowy. Kumasz? Bar? Adwokaci? Chłanie?

– Kumam.

Stał tam składany stolik do kart, którego stan świadczył o wieloletnim użytkowaniu. Wokół niego ustawiono sześć krzeseł, każde z innego kompletu, zbieranina z całego okręgu, która przechodziła z jednego urzędu do drugiego, aż w końcu wylądowały w tym małym obskurnym pomieszczeniu.

W jednym z rogów postawiono małą lodówkę zamkniętą na kłódkę. Baggy rzecz jasna miał klucz i znalazł w środku butelkę bourbona. Nalał sobie hojną ręką do papierowego kubka.

– Weź krzesło – polecił.

Przyciągnęliśmy dwa pod okno znajdujące się powyżej miejsca, z którego przyszliśmy.

– Niezły widok, co? – powiedział z dumą.

– Jak często tu przychodzisz?

– Dwa razy w tygodniu, czasami częściej. W każdy wtorek i czwartek gramy tu w południe w pokera.

– Kto należy do klubu?

– To tajne stowarzyszenie. – Upił łyk i cmoknął, jakby od miesiąca przebywał na pustyni. Po grubej pajęczynie na oknie wędrował pająk. Na parapacie leżały co najmniej dwa centymetry kurzu.

– Wygląda na to, że tracą wprawę – zauważył Baggy, patrząc w dół na panujące tam zamieszanie.

– Kto? – Aż bałem się zapytać.

– Padgittowie – odrzekł z nutą samozadowolenia, pozwalając, by to słowo zawisło w powietrzu i do mnie dotarło.

– Jesteś pewny, że to oni?

Baggy uważał, że wie wszystko, ale zwykle w połowie przypadków się mylił. Uśmiechnął się pogardliwie, odchrząknął, upił kolejny łyk i powiedział:

– Od zawsze podpalali budynki. To jeden z ich przekrętów, wyłudzenie odszkodowań. Na firmach ubezpieczeniowych zbili fortunę. – Szybki łyk. – Chociaż to dziwne, że użyli benzyny. Co bardziej utalentowani podpalacze trzymają się z dala od benzyny, bo łatwo ją wykryć. Wiedziałeś o tym?

– Nie.

– To prawda. Dobry strażak wyczuje benzynę po minucie od ugaszenia ognia. Benzyna oznacza podpalenie. Podpalenie oznacza, że nie wypłacą odszkodowania. – łyk. – Oczywiście w tym przypadku prawdopodobnie chcieli, żebyś wiedział, że to podpalenie. To miałoby sens, nieprawdaż?

Jednak w tej chwili nic nie miało sensu. Miałem za duży mętlik w głowie, żeby cokolwiek powiedzieć.

Baggy był zadowolony, że może się wygadać.

– Kiedy o tym myślę, dochodzę do wniosku, że prawdopodobnie dlatego bomba nie wybuchła. Chcieli, żebyś ją zobaczył. Gdyby wybuchła, okręg nie miałby „Timesa”, co mogłoby zdenerwować parę osób. Innych z kolei pewnie by uszczęśliwiło.



– Dzięki.

– To w każdym razie chyba lepsze wyjaśnienie. Taki subtelny akt zastraszania.

– Subtelny?

– Tak, w porównaniu z tym, co mogłoby się wydarzyć. Uwierz mi, ci goście wiedzą, jak podpalić budynek. Masz szczęście.

Zauważyłem, jak szybko odciął się od gazety. To „ja” miałem szczęście, nie „my”.

Bourbon znalazł drogę do mózgu i rozwiązał mu język.

– Jakies trzy lata temu, może cztery, w jednym z ich tartaków, tym przy szosie czterysta jeden, blisko Wyspy, wybuchł ogromny pożar. Na Wyspie nigdy niczego nie podpalają, bo nie chcą, żeby władze tam węszyły. W każdym razie firma ubezpieczeniowa wyczuła szwindel i odmówiła wypłacenia odszkodowania, więc Lucien Wilbanks pozwał ją do sądu. Doszło do procesu, sędzią był Reed Loopus. Słyszałem każde wypowiedziane tam słowo. – Długi satysfakcjonujący łyk.

– Kto wygrał?

Baggy mnie zignorował, bo historia nie została odpowiednio dramatycznie opowiedziana.

– To był ogromny pożar. Przyjechały wszystkie wozy strażackie z Clanton i ochotnicy z Karaway. Każdy wóz z wyjąca syreną pędził w kierunku Wyspy Padgittów. Nie ma to jak porządny pożar, żeby miejscowi chłopcy zabrali się do roboty. Pożar i do tego bomba, ale nie pamiętam, żeby kiedykolwiek była tu jakaś bomba.

– A potem...

– Cztery stajedynka biegnie przez kawałek niziny obok Wyspy Padgittów, przez prawdziwe mokradła. Nad Potokiem Massey'a jest most, ale kiedy wozy strażackie nadjechały, okazało się, że leży na nim pick-up, jakby się przewrócił. Droga była zablokowana, nie dawało się go objechać, bo wokół są tylko bagna i rowy. – Cmoknął i dołał sobie trunku.

Nadeszła pora, żebym się odezwał, ale cokolwiek bym powiedział, i tak zostałyby to zignorowane. Milczenie słuchacza było dla Baggy'ego najlepszą zachętą.

– Czyj to był pick-up? – zapytałem, tyle że nie skończyłem mówić, kiedy zaczął kręcić głową, jakby to pytanie było zupełnie od czapy.

– Pożar szalał jak wściekły. Wozy strażackie stały wzdłuż szosy, bo jakiś

pajac przewrócił samochód. Nie dowiedzieli się kto. Po kierowcy nie było śladu. Po właścicielu też, bo wóz nie miał tablic rejestracyjnych.

Żadnych oznaczeń. Numer identyfikacyjny silnika był spiłowany. Po samochód nikt nigdy się nie zgłosił. Nawet nie był bardzo uszkodzony. To wszystko wyszło na procesie. Każdy w mieście wiedział, że Padgittowie podłożyli ogień, zablokowali most ukradzionym samochodem, ale firma ubezpieczeniowa nie potrafiła tego udowodnić.

Tymczasem na dole szeryf Coley znalazł megafon. Prosił ludzi, żeby trzymali się z daleka od ulicy przed naszą kamienicą. Jego piskliwy głos wzmacniał tylko panujący niepokój.

– Czy firma ubezpieczeniowa wygrała? – zapytałem, niecierpliwie wyczekując na finał tej opowieści.

– Proces co się zowie. Trwał trzy dni. Wilbanks potrafi zwykle ugadać jednego czy dwóch sędziów przysięgłych. Robi to od lat i nigdy go na tym nie przyłapali. Poza tym zna wszystkich w okręgu. Chłopcy z firmy ubezpieczeniowej byli z Jackson i nie mieli o niczym pojęcia. Przysięgli naradzali się przez dwie godziny i wyszli z werdyktem na korzyść skarżącego, sto tysięcy odszkodowania i dla wyrównania dorzucili milion nawiązki.

– Jeden i sześć zer! – sapnąłem.

– Dokładnie. Pierwszy milionowy wyrok w okręgu Ford. Minął rok, zanim Sąd Najwyższy wziął siekierę i odrąbał nawiązkę.

Uwaga o możliwości wpływania przez Wilbanksa na sędziów nie była pocieszająca. Baggy zapomniał na chwilę o bourbonie i zapatrzył się na coś w dole.

– To zły znak, synu – mruknął w końcu. – Naprawdę niedobry.

Byłem jego szefem i nie podobało mi się, gdy mówił do mnie „synu”, ale puściłem to mimo uszu. Miałem w tej chwili ważniejsze sprawy.

– To zastraszenie? – spytałem.

– Aha. Padgittowie rzadko opuszczają Wyspę. To, że urządzili pokazówkę, oznacza, iż są gotowi do wojny. Jeśli uda im się zastraszyć gazetę, spróbują tego samego z przysięgłymi. Szeryfa już mają po swojej stronie.

– Ale Wilbanks powiedział, że chce przenieść proces do innego sądu.

Baggy prychnął i przypomniał sobie o bourbonie.

– Nie dałbym za to głowy, synu.

– Proszę, mów mi po imieniu. Nazywam się Willie. – Dziwne, jak szybko przywykłem do tej formy imienia.

– Nie dałbym za to głowy, Willie. Chłopak jest winny, jedyna szansa dla niego to ława przysięgłych, którą można kupić albo zastraszyć. Stawiam dziesięć do jednego, że proces odbędzie się tutaj, w tym budynku.

\*\*\*

Po dwóch godzinach oczekiwania, że ziemia się zatrzęsie, miasto było gotowe do lunchu. Tłum się rozszedł. Przyjechał wreszcie ekspert ze stanowego laboratorium kryminalistycznego i zabrał się do pracy w drukarni. Nie wpuszczono mnie do budynku, ale w ogóle się tym nie przejąłem.

Margaret, Wiley i ja wzięliśmy kanapki do altanki na trawniku przed sądem. Jedliśmy w milczeniu, zamieniając zaledwie kilka słów, bo cała nasza trójka nie odrywała oczu od siedziby redakcji po drugiej stronie ulicy. Od czasu do czasu ktoś nas zauważał, zatrzymywał się i mówił coś niezręcznego. Bo i co można powiedzieć niedoszłym ofiarom zamachu bombowego, skoro bomba nie wybuchła? Na szczęście mieszkańcy miasta mieli w tej kwestii niewielkie doświadczenie. Usłyszeliśmy wyrazy współczucia i kilka ofert pomocy.

Wolnym krokiem podszedł do nas szeryf Coley i przekazał wstępne ustalenia dotyczące bomby. Zegar był zwyczajnym nakręcanym budzikiem, jaki można kupić wszędzie. Po wstępnym rzuceniu okiem ekspert uznał, że jest pewien problem z kablami. Bardzo amatorska robota, powiedział.

– Jak poprowadzi pan śledztwo w tej sprawie? – zapytałem zirytowany.

– Sprawdzimy, czy są odciski palców, poszukamy świadków. Jak zwykle.

– Będzie pan rozmawiał z Padgittami? – Byłem coraz bardziej zdenerwowany. Przy tej rozmowie obecni byli przecież moi pracownicy. I chociaż strasznie się bałem, chciałem im pokazać, jaki jestem nieustraszony.

– Wie pan o czymś, czego ja nie wiem? – odparował.

– Są podejrzani, prawda?

– To teraz pan jest szeryfem?

– To najbardziej doświadczeni podpalacze w okręgu, od lat bezkarnie podpalają budynki. W zeszłym tygodniu ich adwokat groził mi w sądzie. Dwa razy pisaliśmy o Dannym Padgittie na pierwszej stronie. Jeśli nie oni są podejrzani, to kto?

– Pisz dalej swoją historyjkę, synu. Nadal ich obrażaj. Chyba bardzo ci zależy, żeby cię pozwali.

– Ja się zajmę gazetą, a pan niech łapie przestępców – odciąłem się.  
Szeryf dotknął róna kapelusza, skinął głową Margaret i odszedł.

– W przyszłym roku sã wybory – odezwał się Wiley, gdy patrzyliśmy na Coleya, który przystanął i rozmawiał z dwiema kobietami przy studni. – Mam nadzieję, że ma kontrkandydata.

\*\*\*

Zastraszanie było kontynuowane kosztem Wileya. Mieszkał niecałe dwa kilometry od miasta na dwuhektarowej farmie, gdzie jego żona uprawiała arbuzy i hodowała kaczki. Tego wieczoru, gdy zaparkował na podjeździe i wysiadał z samochodu, z krzaków wypadło dwóch zbirów i się na niego rzuciło. Większy mężczyzna zważył go z nóg i kopnął w twarz, podczas gdy drugi przeszukał tylne siedzenie auta i zabrał stamtąd dwa aparaty fotograficzne. Wiley miał pięćdziesiąt osiem lat i służył kiedyś w piechocie morskiej. W którymś momencie bójki udało mu się wymierzyć kopniaka i posłać większego faceta na ziemię. Leżąc, wymieniali ciosy, a kiedy Wiley zyskiwał przewagę, drugi napastnik walnął go w głowę jednym z aparatów. Wiley mówił, że nie pamięta, co zdarzyło się później.

Jego żona w końcu usłyszała odgłosy bójki. Znalazła Wileya na ziemi, półprzytomnego, oba aparaty leżały obok roztrzaskane. W domu przyłożyła mu do twarzy worek z lodem i upewniła się, że żadna kość nie jest złamana. Były żołnierz piechoty morskiej nie chciał iść do szpitala.

Przyjechał zastępca szeryfa i sporządził notatkę. Wiley widział napastników tylko przez chwilę i na pewno nie zetknął się z nimi wcześniej.

– Do tej pory zdążyli wrócić na Wyspę – powiedział. – Nie znajdziecie ich.

Żona dopięła swego i godzinę później zadzwonili do mnie ze szpitala. Zobaczyłem się z nim między kolejnymi prześwietleniami. Wiley miał pokiereszowaną twarz, ale zdołał się uśmiechnąć. Złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie.

– W przyszłym tygodniu na pierwszej stronie – powiedział mimo rozciątych ust i opuchniętej szczęki.

Po kilku godzinach wyszedłem ze szpitala i pojechałem na długą przejażdżkę wśród pól i lasów. Nie przestawałem zerkać we wsteczne lusterko, jakbym spodziewał się kolejnej ekipy Padgittów, która pojawi się z rykiem silnika i zacznie strzelać.

To nie było okręg, w którym zorganizowani przestępcy poniewierali ludźmi przestrzegającymi prawa. Sytuacja przedstawiała się dokładnie odwrotnie: przestępstwa popełniano tu rzadko. Na korupcję patrzono nieprzyjaznym okiem. Racja była po mojej stronie, a nie po ich, dlatego postanowiłem, że prędzej szlag mnie trafi, niż się ugnę. Doszedłem do wniosku, że kupię broń. W końcu, do cholery, wszyscy w okręgu mają po dwie, trzy spluwy. A jeśli zajdzie potrzeba, wynajmę ochroniarzy. Moja gazeta stanie się jeszcze odważniejsza w miarę, jak będzie się zbliżał proces o morderstwo.

## Rozdział 8

---

**J**eszcze przed bankructwem „Timesa” i zyskaniem przeze mnie niespodziewanie wysokiej pozycji w okręgu Ford usłyszałem fascynującą historię o pewnej miejscowej rodzinie. Spot nigdy nie wykorzystał tego materiału, bo wymagałoby to trochę sprawdzania faktów i wyprawy za tory.

Teraz, kiedy gazeta należała do mnie, doszedłem do wniosku, że historia jest za dobra, żeby ją zignorować.

W Lowtown, dzielnicy kolorowych, mieszkała niezwykła para: Calia i Esau Ruffinowie. Byli małżeństwem od ponad czterdziestu lat i wychowali ośmioro dzieci, z których siedmioro zrobiło doktoraty i miało teraz etaty profesorskie na wyższych uczelniach. Szczegóły dotyczące ósmego dziecka były niejasne. Zgodnie z tym, co mówiła Margaret, to był syn, nazywał się Sam i ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości.

Zadzwoiłem do nich. Telefon odebrała pani Ruffin. Wyjaśniłem, kim jestem i czego chcę, ona zaś sprawiała wrażenie, jakby wszystko o mnie wiedziała. Usłyszałem, że od pięćdziesięciu lat czyta „Timesa” od deski do deski, wszystko, łącznie z nekrologami i ogłoszeniami, i po chwili wyraziła opinię, że gazeta jest teraz w lepszych rękach. Artykuły dłuższe. Mniej błędów. Więcej wiadomości. Mówiła wolno, wyraźnie, z idealną dykcją, jakiej nie

słyszałem od chwili wyjazdu z Syracuse.

Kiedy w końcu udało mi się wejść jej w słowo, podziękowałem i spytałem, czy moglibyśmy się spotkać i porozmawiać o jej niesamowitej rodzinie. Po-  
chlebilo jej to. Zaczęła nalegać, żebym przyjechał do nich na lunch.

Tak zaczęła się niezwykła przyjaźń, która otworzyła mi oczy na wiele  
spraw. Jedną z nich, na pewno niepozabawioną znaczenia, okazała się kuchnia  
Południa.

\*\*\*

Moja matka zmarła, kiedy miałem trzynaście lat. Chorowała na anoreksję,  
do niesienia trumny wystarczyło czterech mężczyzn. Wyglądała jak zjawa,  
jej waga nie przekraczała czterdziestu pięciu kilogramów. Anoreksja jednak  
była tylko jednym z jej problemów.

Ponieważ nie jadła, nie gotowała. Nie umiem sobie przypomnieć choćby  
jednego ciepłego posiłku, który mi podała. Śniadanie składało się zwykle  
z miseczki płatków, lunch z kanapki, a na kolację była jakaś mrożonka, którą  
przeważnie jadłem sam przed telewizorem. Nie miałem rodzeństwa, a ojca  
nigdy nie było w domu – gdy był, rodzice bez przerwy się kłócili. On lubił  
jeść, ona nie. Awantury wybuchały o wszystko.

Nigdy nie chodziłem głodny, spiżarnia zawsze była pełna masła orzecho-  
wego, płatków zbożowych i tym podobnych. Czasami jadłem u przyjaciela  
i zdumiewało mnie, że w prawdziwych rodzinach gotuje się posiłki i spędza  
tak dużo czasu przy stole. W naszym domu jedzenie było po prostu nieważ-  
ne.

Jako nastolatek żywiłem się prawie wyłącznie mrożonkami. W Syracuse  
zaś były to piwo i pizza. Przez pierwsze dwadzieścia trzy lata życia jadłem  
tylko wtedy, gdy czułem głód. Jak szybko przekonałem się w Clanton, byłem  
w błędzie. Na Południu jedzenie ma niewiele wspólnego z głodem.

\*\*\*

Ruffinowie mieszkali w ładniejszej części Lowtown, w rzędzie dobrze  
utrzymanych i pomalowanych domów z pokojami w amfiladzie. Kiedy pod-  
jechałem, zatrzymałem się i uśmiechnąłem do białego płotu ze sztachetek  
i kwiatów – peonii i irysów. Był początek kwietnia, mój spitfire miał opusz-

czony dach i gdy zgasilem silnik, poczułem smakowity zapach. Kotlety wieprzowe!

Calia Ruffin czekała na mnie przy niskiej furtce, za którą ciągnął się skoszony trawnik. Okazała się tęgą kobietą o szerokich ramionach i torsie, a uścisk jej dłoni był mocny i godny mężczyzny. Miała siwe włosy i widać było, że jest sterana życiem – wychowała ośmioro dzieci – ale kiedy się uśmiechała, co robiła prawie bez przerwy, świat się rozjaśniał na widok jej idealnych białych zębów. Nigdy wcześniej takich nie widziałem.

– Bardzo się cieszę, że pan przyjechał – powiedziała, gdy byliśmy w połowie wybrukowanej ceglami alejki.

Ja też byłem zadowolony. Zbliżało się południe. O tej porze zwykle robiłem się głodny, a od zapachów dochodzących z kuchni zakręciło mi się w głowie.

– Bardzo ładny dom – pochwaliłem, patrząc na front. Był oszalowany, pomalowany na śnieżnobiało i można było pomyśleć, że ktoś bez przerwy kręci się wokół niego ze szczotką i wiadrem. Przez całą jego długość biegła weranda z dachem z zielonej blachy falistej.

– Cóż, dziękuję. Mamy go od trzydziestu lat. Wiedziałem, że właścicielami większości domów w slumsach w Lowtown są biali mieszkający po drugiej stronie torów. W 1970 roku, jeśli czarny miał dom, było to uznawane za coś niezwykłego.

– Kto jest pani ogrodnikiem? – zapytałem, zatrzymując się, by powąchać róże. Kwiaty rosły tu wszędzie: na skraju alejki, wzdłuż werandy, po obu stronach granic działki.

– Nie ukrywam, że toja – odpowiedziała, śmiejąc się, a jej zęby błysnęły w słońcu.

Trzy stopnie prowadzące na werandę, i moim oczom ukazał się nie lada widok – ucztą! Zobaczyłem niewielki, ustawiony obok balustrady stolik, przygotowany dla dwóch osób, z białym bawełnianym obrusem, białymi serwetkami, kwiatami w małym wazoniku, wielkim dzbankiem mrożonej herbaty i co najmniej czterema zakrytymi półmiskami.

– Spodziewa się pani gości? – zapytałem.

– Och, będziemy tylko we dwoje. Esau może wpadnie później.

– Tego jedzenia wystarczyłoby dla całej armii. – Wdychałem cudowny zapach, z głodu aż zakłuło mnie w żołądku.

– No to jedzmy, zanim wystygnie – powiedziała pani Ruffin.



Musiałem bardzo się starać, żeby dojść powoli do stołu i odsunąć dla niej krzesło. Była zachwycona tym, że jestem taki szarmancki. Usiadłem naprzeciwko niej i byłem gotów zerwać pokrywki z półmisek i rzucić się na jedzenie, cokolwiek to było, ale ona wzięła mnie za rękę, pochyliła głowę i zaczęła się modlić.

Modlitwa nie należała do krótkich. Podziękowała Bogu za całe dobro, jakie ją spotyka, w tym za mnie, „jej nową przyjazną duszę”. Modliła się za chorych i tych, którym groziła choroba. Modliła się o słońce i deszcz, zdrowie, pokorę i cierpliwość, i choć zaczynałem się niepokoić, że jedzenie wystrygnie, byłem zahipnotyzowany jej głosem.

Mówiła powoli, każde słowo wypowiadając z namysłem. Dykcję miała doskonałą, każda spółgłoska, każdy przecinek i kropka były w pełni respektowane. Musiałem na nią zerkać, żeby mieć pewność, że nie śnię. Nigdy nie słyszałem takiego języka u czarnego z Południa, ani też białego z Południa, żeby była jasność.

Znowu na nią zerknąłem. Rozmawiała ze swoim Panem, a na jej twarzy malowało się zadowolenie. Na kilka sekund zapomniałem o jedzeniu. Ścisnęła moje ręce, gdy zwracała się do Wszechmocnego z elokwencją, jakiej nabywa się dzięki latom praktyki. Cytowała Pismo Święte, na pewno wersję króla Jakuba, i dziwnie się czułem, słysząc z jej ust słowa takie, jak „twojąż”, „atoli”, „zawždy”, „krom”. Ale ona bardzo dobrze wiedziała, co robi. Nigdy jeszcze nie czułem się tak blisko Boga jak wtedy, gdy ta kobieta trzymała mnie za rękę.

Nie umiałbym sobie wyobrazić tak długiej modlitwy dziękczynnej przy stole, przy którym siedziało ośmioro dzieci. Coś jednak mi mówiło, że kiedy Calia Ruffin się modliła, wszyscy zamierali w bezruchu.

Zakończyła z emfazą, długą sekwencją, w której zawarła prośbę o wybaczenie grzechów, których, jak zakładałem, nie popełniła, także moich, o których na szczęście nie wiedziała.

Puściła moje dłonie i zaczęła zdejmować pokrywki z półmisek. Na pierwszym były kotlety wieprzowe w sosie z pieprzem, cebulą i innymi składnikami. Para uderzyła mnie w twarz i miałem ochotę jeść palcami. Na drugim półmisku wznosił się kopiec żółtej kukurydzy posypanej zielonym pieprzem, nadal gorącej, jakby przestała się gotować dopiero przed chwilą. Była też gotowana okra – pani Ruffin, szykując się do jej nakładania, wyjaśniła, że woli ją od smażonych warzyw, bo boi się zbyt dużej ilości tłuszczu.

Nauczono ją panierowania i smażenia wszystkiego, od pomidorów po marynowane warzywa, ale z czasem doszła do wniosku, że to bardzo niezdrowe. Była także fasola, również bez masła i nieusmażona, ale ugotowana z golonką i bekonem. Zobaczyłem też półmisek z małymi czerwonymi pomidorkami z dodatkiem papryki i oliwy. Pani Ruffin powiedziała, że jest jedną z niewielu kucharek w mieście używających oliwy. Wsłuchiwałem się w każde jej słowo, podczas gdy mój talerz się zapełniał.

Syn mieszkający w Milwaukee przysyłał jej dobrą oliwę, bo w Clanton nawet o takiej nie słyszano.

Przeprosiła, że pomidory są ze sklepu – jej nadal wisiąły na krzakach i nie dojrzeją aż do lata. Kukurydza, okra i fasola pochodziły z weków, jakie zrobiła z warzyw z własnego ogródka w sierpniu poprzedniego roku. Prawdę mówiąc, jedyną naprawdę „świeżą” jarzyną był jarmuż – „wiosenna zielenina”, jak go nazywała.

Pośrodku stołu stała wielka czarna brytfanka, a kiedy pani Ruffin uniosła pokrywkę, moim oczom ukazały się co najmniej dwa kilogramy gorącego chleba kukurydzianego. Odkroiła ogromną pajdę, położyła ją na środku mojego talerza i powiedziała:

– Proszę, to na dobry początek.

Nigdy jeszcze nie miałem na talerzu takiej ilości jedzenia. Zaczęliśmy ucztować.

Starłem się jeść powoli, ale nie byłem w stanie. Przyjechałem z pustym żołądkiem i w którymś momencie, wśród rywalizujących ze sobą zapachów, przy pięknie nakrytym stole, po długiej modlitwie i starannym opisie każdej potrawy, zacząłem konać z głodu. Wcinałem, ona zaś sprawiała wrażenie zadowolonej, że może mówić.

Większość warzyw i owoców pochodziła z jej ogrodu. Razem z Esauem uprawiali cztery gatunki pomidorów, fasolę jasiak, fasolkę szparagową, fasolę barlotti, zielony groszek, ogórki, oberżyny, kabaczki, kapustę białą, kapustę pekińską, pietruszkę, cebulę, szalotki, dymkę, okrę, dwa gatunki ziemniaków, marchewkę, buraki, kukurydzę, zieloną paprykę, melony, dwa gatunki arbuza i kilka innych roślin, których nie mogła sobie przypomnieć. Kotlety wieprzowe dostała od brata, który nadal mieszkał w ich rodzinnym domu na wsi. Każdej zimy zabijał dla nich dwa wieprzki i pakowali je do zamrażarki. W zamian dostarczali mu świeże warzywa.

– Nie używamy chemii – podkreśliła, patrząc, jak się napycham. – Wszyst-

ko jest naturalne.

Z całą pewnością tak smakowało.

– Ale niestety to są przetwory, rozumie pan, robione na zimę. Smak będzie znacznie lepszy latem, kiedy zrywa się i zjada świeże warzywa. Przyjedzie pan wtedy, panie Traynor?

Mruknąłem „tak” i kiwnąłem głową, przekazując jej, że wrócę tu, kiedykolwiek zechce.

– Chciałby pan obejrzyć ogród? – zapytała.

Znów kiwnąłem głową, z pełnymi ustami.

– Doskonale. Jest za domem. Zerwę dla pana trochę sałaty i zieleniny. Rosną tak ładnie.

– Cudownie – zdołałem wybąkać.

– Domyślam się, że samotny mężczyzna, taki jak pan, chętnie przyjmie każdą pomoc.

– Skąd pani wie, że jestem samotny? – Napilem się herbaty. Była tak słodka, że spokojnie mogła zastąpić deser.

– Ludzie gadają o panu. Słuchy dotarły także tutaj. W Clanton nie ma zbyt wielu sekretów po obu stronach torów kolejowych.

– Co jeszcze pani słyszała?

– Niech pomyślę... Wynajmuje pan mieszkanie u Hocuttów. Pochodzi pan z Północy.

– Z Memphis.

– Aż z tak daleka?

– To godzina jazdy stąd.

– Żartowałam. Jedna z moich córek chodziła tam do college’u.

Chciałem zadać dużo pytań dotyczących jej dzieci, ale jeszcze nie byłem gotowy, żeby cokolwiek notować. Obie ręce miałem zajęte jedzeniem. W którymś momencie zwróciłem się do niej „pani Calio” zamiast pani Ruffin.

– Tak naprawdę to Callie – odrzekła. – Może pan mówić „miss Callie”.

Jednym z pierwszych nawyków, jakie przejąłem w Clanton, było zwracanie się do kobiet, niezależnie od ich wieku, „miss”. Miss Brown, miss Webster do nowo poznanych, które miały swoje lata. Miss Marta, miss Sara były zarezerwowane dla młodszych. Było to oznaką rycerskości i dobrego wychowania, a ponieważ brakowało mi i jednego, i drugiego, zależało mi na tym, by przyjąć jak najwięcej lokalnych zwyczajów.

– Skąd wywodzi się imię Calia? – zapytałem.

– Jest włoskie – odpowiedziała, jakby to wszystko wyjaśniało.

Jadła fasolę. Ja pałaszowałem kotlet wieprzowy.

– Włoskie? – zdziwiłem się.

– Tak, to był mój pierwszy język. To długa historia, jedna z wielu. Naprawdę chcieli spalić siedzibę gazety?

– Tak, naprawdę – odpowiedziałem, zastanawiając się, czy ta czarna kobieta z rolniczego Missisipi naprawdę powiedziała, że jej pierwszym językiem był włoski.

– I napadli na pana Meeka?

– Próbowali.

– Kim oni są?

– Jeszcze nie wiemy. Szeryf Coley prowadzi śledztwo. – Bardzo chciałem usłyszeć jej opinię o naszym szeryfie. Czekaając na to, zająłem się kolejną kromką kukurydzianego chleba. Po chwili masło zaczęło ściekać mi po brodzie.

– On jest szeryfem od bardzo dawna, prawda? – odezwała się.

Byłem pewny, że zna dokładną datę powołania Mackeya Dona Coleya na ten urząd.

– Co pani o nim sądzi? – zapytałem.

Napiła się herbaty i zamyśliła. Miss Callie nigdy nie śpieszyła się z odpowiedzią, szczególnie gdy rozmowa dotyczyła innych ludzi.

– Po tej stronie torów dobry szeryf to taki, który trzyma z dala od nas hazardzistów, przemytników alkoholu i stręczycieli. Pod tym względem pan Coley wykonuje dobrą robotę.

– Czy mogę o coś zapytać, Miss Callie?

– Oczywiście. Jest pan dziennikarzem.

– Ma pani doskonałą dykcję i jest bardzo elokwentna. Jakie ma pani wykształcenie? – To było drażliwe pytanie w społeczeństwie, w którym przez wiele dziesięcioleci do wykształcenia w ogóle nie przywiązywano wagi. Mieliśmy rok 1970, a w Missisipi nadal nie było państwowych przedszkoli i obowiązkowego szkolnego.

Roześmiała się, pozwalając mi podziwiać jej uzębienie.

– Dziewięć klas, proszę pana.

– Dziewięć klas?

– Tak, ale moja sytuacja była niezwykła. Miałam wspaniałą nauczycielkę.

To kolejna długa historia.

Zaczynałem zdawać sobie sprawę, że wysłuchanie tych fantastycznych historii, które Miss Callie obiecała mi opowiedzieć, potrwa całe miesiące, a może nawet lata. Niewykluczone, że będę ich słuchał na tej werandzie na cotygodniowej fecie.

– Zostawmy to na później – powiedziała. – Jak się miewa pan Caudle?

– Niezbyt dobrze. Nie wychodzi z domu.

– Prawy człowiek. Zawsze będzie obecny w sercach czarnej społeczności. Był taki odważny.

Pomyślałem, że „odwaga” Spota miała więcej wspólnego z wydłużeniem listy osób, których nekrologi pisał, niż ze sprawiedliwym traktowaniem ludzi. Ale wiedziałem już, jak bardzo ważna dla czarnych jest śmierć – mieli rytuał czuwania, czasami trwający tydzień, maraton nabożeństw w intencji zmarłego, opłakiwanie przy otwartej trumnie, kilometrowy kondukt pogrzebowy i w końcu pożegnanie nad grobem, a wszystko to bardzo emocjonalne. Kiedy Spot, podejmując tak radykalną decyzję, otworzył łamy gazety dla czarnych, stał się w Lowtown bohaterem.

– Prawy człowiek – powtórzyłem, nakładając sobie na talerz trzeci kotlet. Miałem pełny brzuch, ale na stole nadal było tyle jedzenia!

– Na pewno jest dumny z pańskich nekrologów – powiedziała z ciepłym uśmiechem.

– Dziękuję. Nadal się uczę.

– Pan też jest odważny.

– Czy może pani zwracać się do mnie po imieniu?

Willie. Mam tylko dwadzieścia trzy lata.

– Wolę formę pan. – Tym samym sprawa została przesądzona. Miną cztery lata, zanim Miss Callie się przełamie i zacznie mówić mi po imieniu. – Nie boi się pan rodziny Padgittów – stwierdziła.

To było dla mnie nowością.

– Na tym między innymi polega moja praca.

– Myśli pan, że zastraszanie będzie trwało nadal?

– Najprawdopodobniej tak. Zawsze dostawali to, czego chcieli. To brutalni, bezlitośni ludzie, ale wolna prasa musi przetrwać. – Kogo chciałem oszukać? Jeszcze jedna bomba albo napaść, i przed zachodem słońca wrócę do Memphis.

Przerwała jedzenie i spojrzała na ulicę, nie patrzyła jednak na nic szczegól-

nego. Zamyśliła się głęboko. Ja, rzecz jasna, nie przestawałem się napychać.

– Te biedne maluchy widziały matkę w takim stanie – powiedziała w końcu.

Ten obraz sprawił, że mój widelec zawisł w powietrzu. Wytarłem usta, nabrałem powietrza i odczekałem chwilę, aż jedzenie ułoży mi się w żołądku. Potworność tej zbrodni pobudzała wyobraźnię każdego w inny sposób i od wielu dni w Clanton praktycznie mówiono tylko o tym. Jak to zwykle bywa, plotki i pogłoski wszystko wyolbrzymiały, powtarzano różne wersje wydarzeń i znowu je rozdmuchiwano. Byłem ciekaw, jak to wygląda w Lowtown.

– Przyznała mi się pani przez telefon, że czyta „Timesa” od pięćdziesięciu lat – zagailem, z trudem powstrzymując się, żeby nie beknąć.

– To szczerza prawda.

– Czy przypomina pani sobie brutalniejszą zbrodnię? Miss Callie milczała przez kilka sekund, przebiegając w pamięci pięć dekad, i powoli pokręciła głową.

– Nie, niczego takiego nie pamiętam.

– Zna pani któregoś z Padgittów?

– Nie. Trzymają się swojej Wyspy i zawsze tak było. Nawet ich Murzyni się stamtąd nie ruszają, pędzą whisky, odprawiają rytuały voodoo i robią wszystkie inne głupoty.

– Voodoo?

– Tak, po tej stronie torów powszechnie o tym wiadomo. Nikt stąd nie zadziera z Murzynami Padgittów i nigdy nie zadzierał.

– Czy ludzie po tej stronie torów uważają, że Danny Padgitt zgwałcił i zabił?

– Ci, którzy czytają pańską gazetę, na pewno.

Nie miała pojęcia, jak mnie to ubodło.

– My tylko przedstawiamy fakty – powiedziałem z przekonaniem. – Chłopak został aresztowany. Postawiono mu zarzuty. Czeka w areszcie na proces.

– Czy nie ma tu miejsca na domniemanie niewinności? Kolejne zakłopotanie po mojej stronie stołu.

– Oczywiście, że jest.

– Uważa pan, że opublikowanie jego zdjęcia w kajdankach i z krwią na koszuli było w porządku?

Uderzyło mnie jej poczucie sprawiedliwości. Z jakiego powodu ona lub którykolwiek inny czarny z okręgu Ford miałby się przejmować tym, czy

Danny Padgitt został potraktowany uczciwie? Bardzo niewiele osób obchodziło, czy czarni podsądni są sprawiedliwie traktowani przez policję czy prasę.

– Tak wyglądał, kiedy przywieziono go do aresztu. My go krwią nie oblałiśmy.

Żadne z nas nie było zadowolone z tej rozmowy. Upiłem łyk herbaty, ale miałem problem z jej przełknięciem. Byłem potwornie najedzony.

Miss Callie popatrzyła na mnie z uśmiechem i spytała spokojnie:

– Co pan powie na deser? Przygotowałam pudding bananowy.

Nie mogłem odmówić. Ale też niczego więcej już bym nie przełknął. Kompromis stał się koniecznością.

– Odczekajmy chwilę, muszę odsapnąć.

– No to niech się pan napije herbaty – powiedziała, dolewając mi do szklanki.

Miałem problem z oddychaniem, dlatego odchyliłem się na krzesło i postanowiłem zachowywać się jak na dziennikarza przystało. Miss Callie, która zjadła znacznie mniej niż ja, kończyła porcję okry.

Zgodnie z tym, co mówił Baggy, Sam Ruffin został pierwszym czarnym uczniem szkoły dla białych w Clanton. Było to w 1964 roku, kiedy chodził do siódmej klasy i miał dwanaście lat. Dla wszystkich było to dużym przeżyciem.

Zwłaszcza dla Sama. Baggy ostrzegł mnie, że Miss Callie może nie chcieć rozmawiać o najmłodszym synu. Wydano nakaz jego aresztowania i chłopak musiał uciekać z tych okolic.

Początkowo mówiła niechętnie. W 1963 roku sąd wydał orzeczenie, że szkoła dla białych nie może odmówić przyjęcia czarnego. Jednak wymuszona integracja nadal była sprawą przyszłości. Sam był najmłodszym dzieckiem. Kiedy Ruffinowie podjęli decyzję o posłaniu go do szkoły dla białych, mieli nadzieję, że inne czarne rodziny pójdą w ich ślady. Tak się nie stało i przez dwa lata Sam był jedynym czarnym uczniem gimnazjum w Clanton. Znęcano się nad nim i bito go, ale szybko nauczył się posługiwać pięściami i z czasem zostawiono go w spokoju. Błagał rodziców, żeby zabrali go do szkoły dla Murzynów, ale oni byli niewzruszeni i nawet bardziej uparci, kiedy poszedł do liceum. Powtarzali sobie, że wkrótce to się zmieni. Na całym Południu szalała walka z segregacją rasową. Czarnym bez przerwy obiecywano, że werdykt w sprawie Browna, który wystąpił przeciwko wydziałowi edukacji,

zostanie wcielony w życie.

– Aż trudno uwierzyć, że mamy rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty, a w szkołach nadal panuje segregacja. – Westchnęła.

Wyroki zapadające w sądach federalnych i wyniki apelacji osłabiały opór białych na całym Południu, ale stan Missisipi jak zawsze walczył do gorzkiego końca. Większość białych, których poznałem w Clanton, trwała w przekonaniu, że ich szkoły nigdy nie będą zintegrowane. Ponieważ pochodziłem z Północy, z Memphis, w odróżnieniu od nich potrafiłem dostrzec rzeczy oczywiste.

– Żałuję pani decyzji o posłaniu Sama do szkoły dla białych?

– I tak, i nie. Ktoś musiał się na to zdobyć. Patrzenie na jego niedolę było bardzo bolesne, ale nie ustępowaliśmy. Nie mieliśmy zamiaru się wycofać.

– Jak on się miewa dzisiaj?

– Sam to osobna historia, panie Traynor, może kiedyś jępanu opowiem, a może nie. Chciałby pan obejrzeć ogród?

Przypominało to bardziej rozkaz niż zaproszenie. Poszedłem za nią przez dom, wąskim korytarzem, na którego ścianach wisiały dziesiątki oprawionych zdjęć jej dzieci i wnucząt. W środku panował równie nieskazitelny porządek jak na zewnątrz. Z kuchni wychodziło się na tylną werandę, skąd rozpościerał się widok na rajski ogród ciągnący się aż do płotu. Nie zmarnowano tam ani skrawka ziemi.

Ogród przypominał pocztówkę o pięknych barwach, z równiutkimi rzędami roślin i wąskimi ścieżkami, dzięki którym Callie i Esau mogli doglądać swoich fantastycznych upraw.

– Co państwo robicie z taką ilością jedzenia? – spytałem zdumiony.

– Część zjadamy sami, trochę sprzedajemy, większość po prostu rozdajemy. Nikt w okolicy nie chodzi głodny.

Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek tak mnie bolał brzuch. W tej chwili głód był pojęciem, którego nie rozumiałem. Podążyłem za Miss Callie do ogrodu, szedłem wolno ścieżkami, podczas gdy ona wskazywała grządki z ziołami, melonami i innymi pysznymi warzywami i owocami, o które z Esauem tak troskliwie dbali. Opowiadała o każdej roślinie, łącznie ze sporadycznie pojawiającymi się chwastami, które wyrzywała od razu niemal ze złością i wyrzucała za płot. Przejście przez ogród i ignorowanie szczegółów było dla niej po prostu niemożliwe. Wyszukiwała wzrokiem insekty, zabiła wstrętnego zielonego robaka na krzaku pomidorów, tropiła chwasty i zapamiętywała, co Esau



powinien zrobić. Nieśpieszny spacer czynił cuda z moim układem trawienym.

Więc to stąd pochodzi jedzenie, pomyślałem jak typowy ignorant. Czego się spodziewałem? Byłem dzieckiem miasta. Nigdy wcześniej nie widziałem ogrodu warzywnego. Miałem mnóstwo pytań, ale wszystkie były banalne, dlatego trzymałem język za zębami.

Miss Callie obejrzała dokładnie łądygę kukurydzy i nie spodobało się jej to, co zobaczyła. Oderwała złamaną gałązkę fasoli, przełamała ją i oglądała niczym naukowiec, po czym zawyrokowała, że roślinom potrzeba więcej słońca. Spostrzegła kępę chwastów i poinformowała mnie, że każe je wyrwać mężowi, gdy tylko wróci do domu. Nie zazdrościłem Esauowi.

\*\*\*

Po trzech godzinach opuściłem dom Ruffinów znowu napchany, tym razem puddingiem bananowym. Zabrałem ze sobą torbę „wiosennej zieleniny”, z którą nie bardzo wiedziałem, co zrobić, i bezcenne notatki, jako podstawę do napisania artykułu. Miałem też zaproszenie na następny lunch w przyszły czwartek. Na koniec wreszcie miałem odręcznie spisaną listę błędów, które Miss Callie znalazła w ostatnim numerze „Timesa”. Prawie wszystkie były literówkami lub innymi błędami zecera – w sumie dwanaście. Pod rządami Spota przeciętnie bywało ich około dwudziestu. Teraz ich liczba zmniejszyła się do mniej więcej dziesięciu. Miss Callie miała taki nawyk przez całe życie.

– Niektórzy lubią krzyżówki, a ja lubię wyszukiwać błędy – wyznała.

Trudno było nie wziąć tego do siebie, choć z całą pewnością nie miała zamiaru kogokolwiek krytykować. Obiecałem, że będę bardziej przykładał się do korekty.

Wyjeżdżałem stamtąd z uczuciem, że zawarłem nową i ważną przyjaźń.

## Rozdział 9

---

**N**a pierwszej stronie zamieściliśmy kolejne wielkie zdjęcie. Było to zrobione przez Wileya ujęcie bomby, jeszcze zanim policja ją rozbroiła. Nagłówek grzmiał: *W redakcji „Timesa” podłożono bombę.*

Artykuł zacząłem od Pistona i jego niecodziennego odkrycia. Wyliczyłem wszystkie szczegóły, które byłem w stanie potwierdzić, i kilka nie do końca potwierdzonych. Żadnego komentarza ze strony szefa policji i kilka pozbawionych znaczenia zdań szeryfa Coleya. Zakończyłem ekspertyzą wydaną przez stanowe laboratorium kryminalistyczne i przewidywaniem, że gdyby bomba eksplodowała, doszłoby do „zmasowanych” zniszczeń budynków stojących przy południowej stronie rynku.

Wiley nie pozwolił mi wykorzystać zdjęcia jego posiniaczonej twarzy, choć go o to błagałem. W dolnej części pierwszej strony znalazł się jednak nagłówek: *Fotoreporter „Timesa” napadnięty przed domem.* I tym razem nie szczędziłem szczegółów, chociaż Wiley nalegał, żebym pozwolił mu zredagować ten materiał.

W obu artykułach, nie siląc się na subtelności, połączyłem te przestępstwa i zasugerowałem jasno, że władze, a szczególnie szeryf Coley, nie zrobiły nic, żeby zapobiec przyszłym próbom zastraszania. Nazwiska Padgittów nie

wymieniłem. Nie musiałem. Wszyscy w okręgu wiedzieli, że to oni grożą mnie i mojej gazecie.

Spot był zbyt leniwy, by pisać wstępniaki. Gdy mnie zatrudniał, napisał go tylko raz. Jakiś kongresmen z Oregonu wyszedł z idiotycznym projektem ustawy, która w pewien sposób miała wpływ na wyrąb sekwoi – czy chodziło o zwiększenie wyrębu, czy zmniejszenie, nie było jasne. To zdenerwowało Spota. Przez dwa tygodnie ślęczał nad wstępniakiem i w końcu wysmażył tyradę na osiem stron znormalizowanego maszynopisu. Dla każdego, kto miał choćby średnie wykształcenie, było jasne, że pisał z długopisem w jednej ręce i słownikiem w drugiej. Pierwszy akapit praktycznie nie nadawał się do czytania, bo składał się z niespotykanej liczby wyrazów sześciosylabowych. Spot przeżył szok, kiedy nikt nie zareagował. Oczekiwał zalewu listów z zapewnieniem, że wszyscy się z nim solidaryzują. Tymczasem przez gąszcz trudnych słów przedarła się tylko garstka czytelników.

W końcu, trzy tygodnie później, ktoś wsunął pod drzwi redakcji odręczny list. Napisano w nim:

*Szanowny Redaktorze, współczuję, że tak się Pan przejmuje losem sekwoi, ale w Missisipi te drzewa nie rosną. Czy mógłby nas pan poinformować, kiedy Kongres zacznie mieszać w sprawach dotyczących papierówek?*

List był anonimowy, ale Spot i tak go zamieścił. Był zadowolony, że ktoś w ogóle zwrócił uwagę na jego tekst. Baggy powiedział mi później, że list napisał jeden z jego kumpli od kieliszka z sądu.

Mój wstępniak zaczynał się od słów: *Wolna prasa jest ostoją demokratycznego państwa*. Bez moralizowania i puszenia się gloryfikowałem w czterech akapitach ważność dociekliwej i dynamicznej gazety nie tylko dla kraju, ale także dla każdej niewielkiej społeczności. Zapewniałem, że „Times” nie przestanie pisać o lokalnych przestępstwach niezależnie od tego, czy będą to gwałty, morderstwa, czy łapownictwo urzędników państwowych.

Byłem odważny, przebojowy i wręcz genialny. Mieszkańcy Clanton stali za mną. Porywałem się przeciw na Padgittów i ich szeryfa. Występowaliśmy zdecydowanie przeciwko tym ludziom i choć byli niebezpieczni, najwyraźniej nie potrafili mnie zastraszyć. Powtarzałem sobie, że muszę być odważny, choć tak naprawdę nie miałem wyboru. Co miała niby zrobić moja gazeta?

Zignorować zamordowanie Kassellaw? Poblążyć Danny’emu Padgittowi?

Moja załoga była wniebowzięta. Margaret powiedziała, że dzięki temu wstępniakowi jest dumna, że pracuje w „Timesie”. Wiley, nadal leczący rany, nosił teraz przy sobie broń i tylko czekał, aż ktoś go zaczepi.

– Zrób im piekło na ziemi, młody.

Tylko Baggy zachował sceptycyzm.

– Napytasz sobie biedy – prorokował.

Miss Callie po raz drugi uznała mnie za odważnego. Lunch w czwartek trwał tylko dwie godziny i zjedliśmy go z Esauem. Zacząłem wreszcie robić notatki dotyczące jej rodziny. Co ważniejsze jednak, w numerze z tego tygodnia znalazła tylko trzy błędy.

\*\*\*

W piątek wczesnym popołudniem siedziałem w swoim pokoju, gdy usłyszałem na dole jakieś hałasy, po czym ktoś wtarabanił się po schodach na górę. Pchnięciem otworzył drzwi i nie zwracając sobie głowy choćby zwykłym „dzień dobry”, wsadził obie ręce do kieszeni spodni. Wydał mi się znajomy, pewnie widziałem go gdzieś na rynku.

– Masz coś takiego, chłopcze? – warknął, wyszarpując z kieszeni prawą rękę, a mnie zamarło serce. Położył na biurku lśniący pistolet i pchnął go w moją stronę, jakby to był pęk kluczy. Przez kilka sekund pistolet kręcił się jak szalony, zanim zatrzymał się tuż przede mną. Na szczęście lufa była wycelowana w okno.

Mężczyzna energicznie wyciągnął nad nim potężną rękę.

– Harry Rex Vonner, miło mi.

Byłem zbyt oszołomiony, żeby coś powiedzieć albo się ruszyć, w końcu jednak żałośnie słabo ścisnąłem jego dłoń. Nie mogłem oderwać wzroku od broni.

– To smith and wesson, trzydziestkaósemka, sześciopistołowy, cholernie dobry pistolet. Masz jakąś broń?

Pokręciłem głową. Sama nazwa przyprawiła mnie o dreszcz.

Z lewego kącika ust Harry’ego Rexa zwisało paskudne czarne cygaro. Sprawiało wrażenie, jakby znajdowało się tam przez cały dzień i rozpadało powoli niczym gruda tytoniu do żucia. Nie unosił się z niego dym, ponieważ nie było zapalone. Rex zwałił swoje ogromne ciało na skórzany fotel, jakby miał zamiar przesiedzieć u mnie co najmniej parę godzin.

– Jesteś szurniętym sukinkotem, wiesz o tym? – nie tyle powiedział, ile warknął.

W tej samej chwili skojarzyłem jego nazwisko. Był miejscowym prawnikiem, o którym Baggy powiedział kiedyś, że jest najlepszym i najwredniejszym specjalistą od rozwodów w okręgu. Miał dużą nalaną twarz i sterczące na wszystkie strony krótkie włosy, przypominające zmierzwione wiatrem siano. Staromodny oliwkowy garnitur, wymięty i poplamiony, oznajmiał całemu światu, że Harry Rex niczym się nie przejmuje.

– Co ja mam z tym zrobić? – spytałem, wskazując pistolet.

– Najpierw trzeba go naładować, dam ci kilka nabojów, a potem włożysz go do kieszeni i będziesz nosił wszędzie, dokąd pójdziesz, a kiedy z krzaków wyskoczy jakiś zbir Padgittów, strzelisz mu między oczy. – Chyba po to, że bym lepiej go zrozumiał, przesunął w powietrzu wskazujący palec, naśladując lot kuli, i puknął się nim między oczami.

– Nie jest naładowany?

– Cholera, pewnie, że nie. Czyżbyś nic nie wiedział o broni?

– Niestety.

– No to lepiej będzie, jeśli szybko się nauczysz, przy twoim tempie rozrabiania.

– Jest aż tak źle?

– Mniej więcej dziesięć lat temu rozwodziłem gościa, którego żona lubiła wykradać się do burdelu, żeby zarobić kilka dolców. Facet pracował na morzu, prawie cały czas go nie było i nie miał pojęcia, co ona kombinowała. W końcu się dowiedział. Ten kurwidolek był własnością Padgittów i jeden z nich od razu polubił tę młodą damę. – Cygaro jakimś cudem pozostawało na miejscu, podskakując w górę i w dół, gdy Rex mówił. – Mój klient miał złamane serce, chciał krwi. I ją dostał. Zaczaili się na niego którejs nocy i pobili do nieprzytomności.

– Oni?

– Jestem pewny, że to sprawka Padgittów albo ich cwaniaków.

– Ich cwaniaków?

– O tak, pracują dla nich najróżniejsi dranie. Tacy, którzy łamią nogi, podkładają bomby, kradną samochody. I płatni zabójcy.

Pozwolił, żeby określenie „płatni zabójcy” zawisło w powietrzu, kiedy patrzył, jak się wzdragam. Sprawiał wrażenie kogoś, kto mógłby opowiadać takie historie w nieskończoność, nie przejmując się zbytnio, czy są prawdziwe.

Harry Rex miał paskudny uśmiech i błysk w oczach, ja zaś podejrzewałem, że za chwilę powie coś mocnego.

– I oczywiście nigdy ich nie oskarżono – odezwałem się.

– Padgittowie nigdy nie wpadają.

– Co się stało z pańskim klientem?

– Spędził kilka miesięcy w szpitalu. Doznał ciężkiego uszkodzenia mózgu. Potem przerzucali go z jednego domu opieki do drugiego. Smutna historia. Jego rodzina się rozpadła. Trafił potem na Gulf Coast, gdzie wybrali go do senatu stanowego.

Uśmiechnąłem się i skinąłem głową, mając nadzieję, że to kłamstwo, ale nie drażyłem tematu. Bez dotykania cygara w jakiś sposób poruszył językiem, odchylił głowę i przesunął je w prawy kącik ust.

– Jadłeś kiedy koźlinę?

– Że co?

– Koźlinę.

– Nie. Nawet nie wiedziałem, że jest jadalna.

– Będziemy ją piekli dziś po południu. W pierwszy piątek każdego miesiąca organizuję koźlęcą imprezę w chacie w lesie. Trochę muzyki, zimnego piwa, gry i zabawy, jakieś pięćdziesiąt osób, wszystkie starannie przeze mnie dobrane, śmietanka towarzyska. Żadnych lekarzy, bankierów, żadnych dupków z country klubu. Dobrana paczka. Może byś wpadł? Mam strzelnicę za stawem. Wezmę pistolet i nauczymy cię, jak korzystać z tego cholerstwa.

\*\*\*

Dziesięciominutowa, zdaniem Rexa, jazda za miasto zabrała mi prawie pół godziny, i to po asfaltowej szosie. Kiedy minąłem „trzeci strumień za starą stacją benzynową Heck’s Union 76”, zjechałem z asfaltu i skręciłem w żwirową drogę. Przez jakiś czas była nawet przyjemna, stały przy niej skrzynki pocztowe wskazujące na obecność cywilizacji, ale po mniej więcej pięciu kilometrach skończył się rewir listonosza i skończył się żwir. Kiedy zobaczyłem „przeżarty rdzą traktor z kołami bez opon”, skręciłem w polną drogę. Według rysunku Rexa był to szlak dla świń, ale nigdzie żadnej nie dostrzegłem. Kiedy świński szlak zagłębił się w gęsty las, bardzo poważnie pomyślałem, że zawrócę. Mój spitfire nie nadawał się do jazdy terenowej. W chwili gdy dostrzegłem dach chaty, jechałem od czterdziestu pięciu minut.

Działkę otaczało ogrodzenie z drutu kolczastego. Metalowa brama była otwarta i przy niej się zatrzymałem, bo młody facet ze strzelbą tego ode mnie zażądał. Trzymał ją na ramieniu i z pogardą popatrzył na mój samochód.

– Co to za wóz? – zapytał gburowato.

– Triumph spitfire. Brytyjski. – Uśmiechałem się, nie chcąc go obrazić. Z jakiego powodu impreza z pieczeniem koźliny wymaga uzbrojonego ochroniarza? Facet wyglądał na wieśniaka, który nigdy nie widział zagranicznego samochodu.

– Jak się pan nazywa? – zapytał.

– Willie Traynor.

Myślę, że „Willie” podziałało na niego uspokajająco, bo wskazał głową bramę.

– Ładna bryka – mruknął, kiedy przejeżdżałem obok niego.

Zobaczyłem znacznie więcej pick-upów niż samochodów osobowych. Stały zaparkowane byle jak przed chatą. Z dwóch głośników stojących w oknach zawodził Merle Haggard. Część gości skupiła się wokół dołu, w którym pieczono mięso. Pozostali rzucali podkowami za chatą. Na ganku stały trzy elegancko ubrane kobiety i sączyły coś, co na pewno nie było piwem. Pojawił się Harry Rex i serdecznie mnie przywitał.

– Kim jest ten chłopak ze strzelbą? – zapytałem.

– Ach, on. To Duffy, bratanek mojej pierwszej żony.

– Dlaczego tam stoi? – Jeżeli impreza z koźliną łączyła się z czymś nielegalnym, chciałem o tym wiedzieć.

– Nie przejmuj się. Duffy ma trochę nierówno pod sufitem, a strzelba nie jest nabita. Od lat pilnuje niczego.

Uśmiechnąłem się, jakby to wszystko tłumaczyło. Zaprowadził mnie do dołu, gdzie pierwszy raz w życiu zobaczyłem kozę. Poza brakiem łba i skóry wydawała się nienaruszona. Zostałem przedstawiony wielu kucharzom. Razem z nazwiskiem słyszałem wykonywany zawód: prawnik, poręczyciel, dealer samochodowy, farmer. Kiedy patrzyłem na kozę wolno obracającą się na rożnie, szybko się zorientowałem, że istnieje wiele rywalizujących ze sobą teorii, jak właściwie powinno się ją piec. Harry Rex wręczył mi piwo i poprowadził w stronę chaty, zamieniając jednocześnie po parę słów z osobami, które mijaliśmy. Z sekretarką, „kanciarzem, agentem nieruchomości”, swoją obecną żoną. Każdy wydawał się zadowolony z tego, że poznał nowego właściciela „Timesa”.

Chata stała nad brzegiem mulistego stawu, takiego, który przyciąga węże. Nad stawem był pomost i na nim właśnie poznałem cały tłum gości. Harry Rex czerpał prawdziwą przyjemność z przedstawiania mnie swoim przyjaciołom.

– To dobry chłopak, żaden z waszych typowych dupków z Ivy League – powiedział kilka razy.

Nie lubię, gdy mówi się o mnie „chłopak”, ale zaczynałem się do tego przyzwyczajać.

Dołączyłem do niewielkiej grupy, w skład której wchodziły dwie kobiety, które wyglądały, jakby całe lata spędziły w miejscowych knajpach. Mocny makijaż, natapirowane włosy, obcisłe ciuchy. Natychmiast się mną zainteresowały. Rozmowa zaczęła się od bomby i napaści na Wileya Meeka i fali strachu, jaki Padgittowie wywołali w całym okręgu. Zachowywałem się tak, jakby to był po prostu jeden z rutynowych epizodów w mojej długiej i burzliwej karierze dziennikarskiej. Zasypywały mnie pytaniami, aja mówiłem znacznie więcej, niż bym chciał.

Harry Rex przyłączył się do nas i podał mi podejrzenie wyglądający słoik z przezroczystym płynem.

– Pij powoli – ostrzegł niemal ojcowskim tonem.

– Co to jest? – zapytałem. Zauważyłem, że pozostali mi się przyglądają.

– Brzoskwiniówka.

– A dlaczego jest w słoiku po dzemie?

– Tak ją właśnie robią – wyjaśnił Harry.

– To biber – odezwała się jedna z mocno umalowanych kobiet. Głosem eksperta.

Nieczęsto ci prowincjusze mieli okazję patrzeć na kogoś „z miasta” pijącego pierwszy łyk bimbru w życiu, dlatego tłumek się przybliżył. Byłem pewny, że przez pięć lat w Syracuse wypłem więcej alkoholu niż ktokolwiek z nich, dlatego ostrożność miałem za nic. Uniosłem słoik, powiedziałem: „Na zdrowie” i upłem bardzo mały łyk. Cmoknąłem i dodałem: „Nieźle”. Próbowałem się uśmiechnąć niczym student pierwszego roku na imprezie bractwa.

Pieczenie zaczęło się od ust, w miejscu pierwszego kontaktu, rozprzestrzeniło się błyskawicznie na język i dziąsła, a kiedy objęło gardło, pomyślałem, że palę się żywcem. Wszyscy na mnie patrzyli. Harry Rex upił łyk ze swojego słoika.

– Skąd to jest? – zapytałem tak nonszalancko, jak to było możliwe, czując



jednocześnie, że spomiędzy moich zębów buchają płomienie.

– Z niedaleka – odpowiedział ktoś.

Poparzony i odrętwiały upiłem następny łyk, marząc o tym, by ludzie wokół choć na chwilę o mnie zapomnieli. Co dziwne, trzeci łyk ujawnił smak brzoskwiń, jakby kubki smakowe najpierw musiały znaleźć się w stanie szoku, zanim zaczęły normalnie pracować. Kiedy stało się jasne, że nie będę ział ogniem, wymiotował albo krzyczał, wróciliśmy do rozmowy. Harry Rex, w każdej chwili gotowy mnie edukować, podsunął mi talerz z czymś smażonym.

– Spróbuj tego – powiedział.

– Co to? – zapytałem podejrzliwie.

Obie wymalowane kobiety zmarszczyły nosy i odwróciły się, jakby już sam zapach wywoływał nudności.

– Flaki wieprzowe.

– Co?

Harry Rex wrzucił jeden kawałek do ust, chcąc udowodnić, że to nie trucizna.

– Śmiało – zachęcił mnie, chrupiąc smakołyk.

Ludzie znowu na mnie patrzyli, dlatego wziąłem najmniejszy kawałek i włożyłem do ust. Był gumowaty, ostry i obrzydliwy. Zapach wydawał się kwintesencją wiejskiego podwórka. Pogryzłem energicznie, przełknąłem, a potem upiłem kolejny łyk bimbru. Przez kilka sekund miałem wrażenie, że zemdleję.

– Świńskie wnętrzności, chłopcze – powiedział Harry Rex, klepiąc mnie po plecach. Wrzucił sobie do ust następny kawałek i znowu chciał mnie poczęstować.

– A gdzie kozłina? – zapytałem. Wszystko na pewno będzie lepsze od tego.

Co się stało z piwem i pizzą? Dlaczego ci ludzie jedzą i piją takie okropne rzeczy?

Harry Rex odszedł, a gryzący smród flaków ciągnął się za nim jak dym. Postawiłem słoik po dzemie na balustradzie, mając nadzieję, że spadnie i zniknie. Patrzyłem, jak pozostali podają sobie bimber z rąk do rąk. Jeden słoik wystarczył dla całej grupy. Nikt najwyraźniej nie przejmował się bakteriami i tym podobnymi rzeczami. Zresztą żadna bakteria nie przetrwałaby w odległości mniejszej niż metr od tego zajzajeru.

Odszedłem od grupy, wymawiając się potrzebą znalezienia łazienki. Z tylnych drzwi chaty wyłonił się Harry, trzymając dwa pistolety i pudełko amunicji.

– Najlepiej będzie postrzelać teraz, zanim się ściemni – powiedział. – Chodź ze mną.

Zatrzymaliśmy się przy palenisku z kozą, gdzie dołączył do nas kowboj o imieniu Rafe.

– Rafe jest moim naganiaczem – przedstawił go Harry, gdy szliśmy w kierunku lasu.

– A co robi naganiacz? – chciałem wiedzieć.

– Nagania klientów.

– Biegam za karetkami pogotowia – wyjaśnił Rafe. – Choć zwykle karetka przyjeżdża na miejsce wypadku po mnie.

Tyle jeszcze musiałem się nauczyć, choć robiłem spore postępy. Flaki i bimber jednego dnia to nie byle co. Przeszliśmy około stu metrów starą polną drogą przez jakiś lasek i znaleźliśmy się na polanie. Pomędzy dwoma majestatycznymi dębami Harry Rex zbudował półokrąg z beli siana wysoki na sześć metrów. Pośrodku powieszono białą płachtę, na niej zaś znajdował się prymitywny zarys sylwetki człowieka. Napastnik. Wróg. Cel.

Nie byłem zaskoczony, kiedy Rafe wyciągnął broń. Harry Rex podał mi moją.

– Uważaj, co mówię – powiedział, zaczynając lekcję. – To sześciostrzałowy rewolwer z mechanizmem spustowym podwójnego działania. Naciskasz tutaj i magazynek wyskakuje. – Rafe sięgnął do pudełka i załadował sześć kul. Widać było, że robił to już wiele, wiele razy. – Zatrzaśnij go i jesteś gotowy do strzału.

Staliśmy mniej więcej piętnaście metrów od celu.

Słyszałem muzykę dochodzącą z chaty. Co pomyślą pozostali goście, kiedy usłyszą strzały? Nic. Zdarza się to bez przerwy.

Rafe wziął moją broń i stanął twarzą do celu.

– Na początek rozstaw nogi na szerokość ramion, ugnij lekko kolana, użyj obu rąk, o tak, i pociągnij za spust palcem wskazującym. – Mówiąc to, wszystko pokazywał, dlatego wydało mi się to bajecznie proste.

Znajdowałem się w odległości mniejszej niż półtora metra, kiedy broń wypaliła, a huk sprawił, że podskoczyłem. Dlaczego to musi być takie głośne?

Nigdy wcześniej nie słyszałem prawdziwego wystrzału z broni.

Druga kula trafiła cel prosto w pierś, a kolejne cztery zrobiły dziury w okolicy pasa. Rafe odwrócił się do mnie, otworzył magazynek, wytrząsnął łuski i powiedział:

– Teraz twoja kolej.

Ręce mi się trzęsły, kiedy brałem od niego broń. Była ciepła, otaczał ją zapach prochu. Udało mi się załadować sześć nabojęw i zatrzasnąć magazynek bez zrobienia komukolwiek krzywdy. Stałem twarzą do celu, uniosłem rewolwer trzymany w obu rękach, rozstawiłem nogi jak kiepski aktor w kiepskim westernie, zamknąłem oczy i pociągnąłem za spust. Wrażenie przypominało detonację niewielkiej bomby.

– Nie wolno ci zamykać oczu, do cholery – warknął Harry Rex.

– W co trafiłem?

– W tamto wzgórze za dębami.

– Spróbuj jeszcze raz – powiedział Rafe.

Próbowałem patrzeć na muszkę, ale za bardzo trzęsły mi się ręce, żebym miał z tego jakikolwiek pożytek. Znowu pociągnąłem za spust, tym razem z otwartymi oczami, i patrzyłem, w co trafia kula. W pobliżu celu nie zauważyłem żadnej dziury po pocisku.

– Nie trafił w płachtę – wymamrotał Rafe.

– Strzelaj jeszcze raz – rzekł Rex.

Posłuchałem, ale i tym razem nie miałem pojęcia, w co trafiła kula. Rafe ujął mnie delikatnie za lewe ramię i przesunął do przodu o kolejne trzy mery.

– Doskonale sobie radzisz. Mamy mnóstwo amunicji. Czwarta kula nie trafiła nawet w siano, a Harry Rex westchnął:

– Coś mi się wydaje, że Padgittowie mogą spać spokojnie.

– To przez bimber – usprawiedliwiłem się.

– Rzecz wymaga praktyki – wtrącił się Rafe, jeszcze trochę przesuwał mnie do przodu.

Ręce mi się pociły, serce waliło, a w uszach dzwoniło. Piątym nabojem przedziurawiłem płachtę, co prawda w górnym prawym rogu, co najmniej półtora metra od celu. Szósta kula znowu chybiła i usłyszeliśmy, że trafiła górną gałąź jednego z dębów.

– Ładny strzał – pochwalił Harry Rex. – Niewiele brakowało, a ustrzeliłbyś wiewiórkę.

– Zamknij się – mruknąłem.

– Spokojnie – odezwał się Rafe. – Jesteś zbyt spięty. – Pomógł mi załado-

wać naboje i tym razem zacisnął moje dłonie wokół broni. – Nabierz powietrza – powiedział ponad moim ramieniem. – Wypuść je w chwili, gdy będziesz pociągał za spust.

Pomagał mi prosto trzymać broń, podczas gdy ja wpatrywałem się w muszkę, a kiedy wystrzeliłem, cel dostał w okolice łędźwi.

– Teraz robisz to jak należy – uznał Harry Rex.

Rafe mnie puścił, aja niczym zawodowy rewolwerowiec w samo południe posłałem w cel pięć kolejnych pocisków. Wszystkie trafiły w płachtę, jeden z nich oberwałby ofierze ucho. Rafe pochwalił mnie i znowu załadowaliśmy rewolwer.

W swojej nieprzebranej kolekcji Harry Rex miał dziewięćmilimetrowego samopowtarzalnego glocka. Kiedy słońce zaczęło powoli znikać za drzewami, waliliśmy z niego na zmianę. Harry Rex był dobry i bez trudu posłał dziesięć kulek prosto w tors celu z odległości piętnastu metrów. Po czterech kolejkach zacząłem się odprężyć, strzelanie wydało mi się nawet fajną zabawą. Rafe okazał się doskonałym nauczycielem, a w miarę jak robiłem postępy, podpowiadał mi to i owo.

– To po prostu wymaga praktyki – powtarzał.

Gdy skończyliśmy, Harry Rex powiedział:

– Rewolwer to prezent. Możesz tu przyjeżdżać, kiedy chcesz, żeby poćwiczyć.

– Dzięki. – Wetknąłem broń do kieszeni jak prawdziwy wieśniak z Południa. Byłem strasznie zadowolony, że mam już ten rytuał za sobą, że zrobiłem coś, co każdy chłopak w tym okręgu robi, zanim skończy dwanaście lat. Nie czułem się ani trochę bezpieczniej. Jakikolwiek Padgitt wyskakujący nagle z krzaków miałyby nade mną przewagę zyskaną przez zaskoczenie i całe lata ćwiczeń w strzelaniu. Oczami wyobraźni widziałem, jak szamoczę się w ciemności z bronią i w końcu strzelam, ale najprawdopodobniej postrzeliłbym sam siebie, a nie napastnika.

Kiedy wracaliśmy przez las, Harry Rex odezwał się za moimi plecami:

– Tleniona blondyna, którą poznałeś, to Carleen.

– Aha – mruknąłem, nagle podenerwowany.

– Podobasz jej się.

Carleen miała za sobą co najmniej czterdzieści niełatwych lat. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Zawsze chętnie wskakuje do łóżka – dodał Rex.

Byłem pewny, że w okręgu Ford niewiele jest łózek, do których nie wskoczyła.

– Nie, dzięki – odpowiedziałem. – Mam dziewczynę w Memphis.

– Co z tego?

– Dobra uwaga – wymamrotał Rafe pod nosem.

– Dziewczyna tu, dziewczyna tam. Co za różnica?

– Umówmy się – zwróciłem się do Harry’ego Rexa – kiedy będę potrzebował twojej pomocy przy podrywaniu kobiety, na pewno cię o to poproszę.

– To tylko dymancko.

Nie miałem dziewczyny w Memphis, ale znałem kilka. Wolałbym pojechać do Memphis, niż zniżyć się do kogoś takiego jak Carleen.

\*\*\*

Koźlina ma charakterystyczny smak, nie jest zbyt dobra, ale po flakach nie była taka zła, jak się obawiałem. Oblepiał ją gęsty, lepki sos barbecue, który, jak podejrzewam, był dodawany hojną ręką, żeby zamaskować smak mięsa. Skubałem jeden mały kawałek i popijałem piwem. Znowu byliśmy na pomocy z Loretą Lynn w tle. Bimber krążył od jakiegoś czasu i niektórzy goście tańczyli nad stawem. Carleen zniknęła wcześniej z kimś innym, dlatego poczułem się bezpieczny. Harry Rex opowiadał wszystkim, jak doskonale mi poszło strzelanie do królików i wiewiórek. Jego talent do snucia opowieści był godny pozazdroszczenia.

Byłem tam obcy, ale zrobiono wszystko, żebym tego nie odczuwał. Jadąc ciemną drogą do domu, zadawałem sobie pytanie, które dręczyło mnie codziennie: co ja robię w okręgu Ford w stanie Missisipi?

## Rozdział 10

---

**R**ewolwer okazał się za duży, żeby nosić go w kieszeni. Chodziłem z nim przez kilka godzin, ale przerażała mnie myśl, że wypali niechcący bardzo blisko moich klejnotów. Postanowiłem więc nosić go w starej, zniszczonej, skórzanej teczce, którą dostałem od ojca. Przez trzy dni teczka wędrowała ze mną wszędzie, nawet na lunch, ale potem zaczęło mnie to męczyć. Po tygodniu zostawiałem pistolet pod fotelem w samochodzie, a po trzech tygodniach właściwie o nim zapomniałem. Nie pojechałem do chaty w lesie, żeby ćwiczyć strzelanie, choć wpadłem tam na kilka kolejnych przyjęć z pieczeniem koźliny, podczas których unikałem flaków, bimbru i coraz bardziej nachalnej Carleen.

W okręgu panował spokój, rodzaj ciszy przed burzą, jaką miał być proces. „Times” nie pisał nic o tej sprawie, bo też nic się nie działo. Padgittowie nadal nie chcieli dać w zastaw ziemi jako kaucji za Danny’ego, dlatego chłopak siedział w specjalnej celi szeryfa Coleya, oglądał telewizję, grał w karty albo w warcaby, miał mnóstwo czasu na odpoczynek i jadł co innego niż inni więźniowie.

W pierwszym tygodniu maja do miasta przyjechał sędzia Loopus, a moje myśli wróciły do wiernego rewolweru.

Lucien Wilbanks złożył wniosek o zmianę miejsca procesu, a sędzia wy-

znaczył termin rozpatrzenia go na poniedziałek na dziewiątą. Można było pomyśleć, że stawiała się tam połowa okręgu. Jak zawsze przyszli stali bywalcy z rynku. Razem z Baggym byliśmy w sądzie wcześniej, żeby zająć dobre miejsca.

Obecność oskarżonego nie była wymagana, ale najwyraźniej szeryf Coley chciał go pokazać. Wprowadzono Danny'ego. Był skuty i ubrany w nowy pomarańczowy kombinezon. Tę zmianę ubrania wymusiła potęga prasy.

– To podpucha – wyszeptał Baggy.

– Co?

– Kuszą nas, żebyśmy zamieścili zdjęcie Danny'ego w tym śliczniutkim kombinezonie. Wilbanks będzie mógł wtedy polecieć do sędziego i skarżyć się, że sędziowie przysięgli mogą być manipulowani. Nie daj się na to nabrać.

Znowu zaszokowała mnie moja naiwność. Wiley czekał przed aresztem, żeby obfotografować młodego Padgitta, kiedy będą go prowadzili do sądu. Oczami wyobraźni widziałem już na pierwszej stronie wielkie zdjęcie Danny'ego w pomarańczowym kombinezonie.

Lucien Wilbanks wszedł na salę sądową przez drzwi znajdujące się za stołem sędziowskim. Jak zwykle wydawał się zły i zdenerwowany, jakby właśnie przegrał w kłótni z sędzią. Podszedł do stołu obrony, rzucił notes i omiótł tłum spojrzeniem. Jego wzrok padł na mnie. Oczy mu się zwężyły, zacisnął szczęki, a ja pomyślałem, że zaraz przeskoczy przez barierkę i się na mnie rzuci. Jego klient odwrócił się i też patrzył. Ktoś wskazał mnie placem. Danny Padgitt zaczął wpatrywać się we mnie, jakbym miał stać się jego następną ofiarą. Starłem się zachować kamienną twarz, choć brakowało mi oddechu. Baggy odsunął się trochę ode mnie.

W pierwszym rzędzie za obroną tłoczyło się kilkunastu Padgittów, wszyscy starsi od Danny'ego. Oni również gapili się na mnie, a ja jeszcze nigdy nie czułem się taki bezbronny. To byli brutalni ludzie, którzy potrafili tylko popełniać przestępstwa, zastraszać, łamać nogi i zabijać, i teraz myśleli jedynie o tym, w jaki sposób poderznąć mi gardło, a ja byłem w tej samej sali co oni.

Woźny poprosił, żeby wszyscy wstali, i zapowiedział wejście sędziego.

– Proszę usiąść – powiedział sędzia.

Przeglądał papiery, a my czekaliśmy. Poprawił okulary i zaczął:

– Przedmiotem jest wniosek o zmianę lokalizacji procesu złożony przez

obronę. Ilu ma pan świadków, mecenasie?

– W tej chwili sześciu. Potem się zobaczy.

– A reprezentant stanu?

Niski łysy mężczyzna w czarnym garniturze zarwał się na równe nogi i powiedział:

– Mniej więcej tyle samo. – Nazywał się Ernie Gaddis, od dawna był pracującym na pół etatu prokuratorem okręgowym z Tyler.

– Nie chcę tu spędzić całego dnia – wymamrotał Loopus, jakby po południu był umówiony na golfa. – Proszę wezwać swojego pierwszego świadka, panie Wilbanks.

– Pan Walter Pickard.

Jak można się było spodziewać, nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska, ale Baggy też się z nim nie zetknął. Z odpowiedzi na wstępne pytania wynikało, że ponad dwadzieścia lat mieszka w Karaway, co niedziela chodzi do kościoła, a co czwartek do klubu rotariańskiego. Jest właścicielem niewielkiej fabryki mebli i z tego żyje.

– Musi kupować drewno od Padgittów – wyszeptał Baggy.

Jego żona jest nauczycielką. Pickard trenuje drużynę baseballową małej ligi i prowadzi zastęp skautów. Lucien naciskał dalej i odwalił kawał dobrej roboty, stwarzając wrażenie, że pan Pickard dobrze zna tutejszą społeczność.

Karaway to mniejsze miasteczko oddalone o niecałe trzydzieści kilometrów od Clanton. Spot od zawsze je zaniedbywał, więc sprzedawaliśmy tam niewiele egzemplarzy. I jeszcze mniej kolumn na ogłoszenia. Powodowany młodzieńczym entuzjazmem, oczami wyobraźni widziałem już poszerzenie zasięgu mojego imperium. Pomyślałem, że nieduży tygodnik sprzedawałby się w Karaway w tysiącu egzemplarzy.

– Kiedy usłyszał pan o zamordowaniu pani Kassellaw? – zapytał Wilbanks.

– Kilka dni po tragedii – odpowiedział Pickard. – Czasami wieści wolno docierają do Karaway.

– Od kogo się pan dowiedział?

– Jedna z pracownic opowiedziała mi tę historię. Ma brata, który mieszka w okolicy Beech Hill, gdzie to się stało.

– Czy słyszał pan też, że w związku z tym morderstwem ktoś został aresztowany? – Lucien krążył po sali sądowej niczym znudzony kocur. Zachowywał pozory nonszalancji, ale nic nie uchodziło jego uwagi.



- Tak, opowiadano, że młody Padgitt został aresztowany.
- Czy sprawdził pan to później?
- Tak.
- W jaki sposób?
- Przeczytałem o tym w „Timesie” wydawanym w okręgu Ford. Opublikowano w nim na pierwszej stronie duże zdjęcie Danny’ego Padgitta tuż obok dużego zdjęcia Rhody Kassellaw.
- Przeczytał pan o tym w „Timesie”?
- Tak.
- Czy wyrobił pan sobie pogląd na to, czy pan Padgitt jest winny, czy niewinny?
- Dla mnie wyglądał na winnego. Na zdjęciu miał koszulę całą we krwi. Jego twarz znajdowała się tuż obok zdjęcia ofiary, rozumie pan, jedno obok drugiego. Nagłówek był ogromny i napisano w nim mniej więcej tak: *Danny Padgitt aresztowany za morderstwo*.
- Zatem przyjął pan, że pan Padgitt jest winny?
- Niemożliwością byłoby pomyśleć inaczej.
- Jaka była reakcja na to morderstwo w Karaway?
- Szok i oburzenie. To spokojny okręg. Rzadko dochodzi w nim do poważnych przestępstw.
- Czy pańskim zdaniem mieszkańcy Karaway wierzą, że Danny Padgitt zgwałcił i zamordował Rhodę Kassellaw?
- Tak, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę sposób, w jaki gazeta przedstawiła tę historię.
- Czułem na sobie spojrzenia wszystkich na sali, ale powtarzałem w duchu, że nie zrobiliśmy niczego złego. Ludzie podejrzewają Danny’ego Padgitta, bo ten zepsuty skurwiel popełnił to przestępstwo.
- Czy pańskim zdaniem Danny Padgitt może liczyć na sprawiedliwy proces w okręgu Ford?
- Nie.
- Na jakiej podstawie pan tak uważa?
- Już został osądzony i skazany przez gazetę.
- Myśli pan, że pańskie zdanie podziela większość pana przyjaciół i sąsiadów z Karaway?
- Tak myślę.
- Dziękuję panu.

Ernie Gaddis wstał. Trzymał notes, jakby to była broń.

– Jak usłyszeliśmy, jest pan producentem mebli, panie Pickard – zaczął.

– Tak, to prawda.

– Kupuje pan drewno u miejscowego dostawcy?

– Tak.

– Od kogo?

Pickard przestąpił z nogi na nogę. Zastanawiał się.

– Od braci Gatesów, Hendersona, Tiffie, Volyesa i synów, może jeszcze od jednego czy dwóch innych.

– Voleys należy do Padgittów – wyszeptał Baggy.

– Czy kupuje pan drewno od Padgittów? – zapytał Gaddis.

– Nie.

– Teraz czy nigdy pan nie kupował?

– Nigdy.

– Czy któryś z tych tartaków należy do rodziny Padgittów?

– Nic o tym nie wiem.

Prawda była taka, że nikt do końca nie wiedział, co należy do Padgittów. Przez dziesięciolecia zapuścili macki w tak wielu interesach, legalnych i nie. Pan Pickard może nie był szeroko znany w Clanton, ale w tej chwili podejrzewano go o jakieś związki z Padgittami. Ciekawe, dlaczego zgłosił się na ochotnika, żeby zeznawać na korzyść Danny'ego Padgitta?

Gaddis zmienił bieg.

– Wspomniał pan, że zdjęcie chłopaka w zakrwawionej koszuli miało duży wpływ na to, że uznał pan go za winnego, czy tak?

– Wyglądał na nim bardzo podejrzanie.

– Przeczytał pan cały artykuł?

– Tak myślę.

– Czy przeczytał pan ustęp, w którym napisano, że pan Danny Padgitt miał wypadek samochodowy, został ranny i że przedstawiono mu również zarzut jazdy pod wpływem alkoholu?

– Zdaję się, że to przeczytałem, tak.

– Czy mam panu pokazać ten fragment?

– Nie, pamiętam go.

– Dobrze. Dlaczego w takim razie założył pan od razu, że na zdjęciu widać krew ofiary, a nie samego pana Padgitta?

Pickard znowu przestąpił z nogi na nogę, wyglądał na zdenerwowanego.

– Powiedziałem po prostu, że zdjęcia i artykuły umieszczone obok siebie nasuwały przypuszczenie, że był winny.

– Czy był pan kiedykolwiek sędzią przysięgłym?

– Nie, nigdy.

– Czy wie pan, co oznacza domniemanie niewinności?

– Tak.

– Czy rozumie pan, że stan Missisipi musi udowodnić pan Padgittowi winę, nie pozostawiając miejsca na wątpliwości?

– Tak.

– Czy uważa pan, że każdy człowiek oskarżony o popełnienie przestępstwa ma prawo do sprawiedliwego procesu?

– Tak, oczywiście.

– Dobrze. Załóżmy, że został pan powołany na przysięgłego w tej sprawie. Przeczytał pan doniesienia prasowe, usłyszał wszystkie plotki, wszystkie pogłoski, jednym słowem, wszystko, co ludzie plotą, i stawia się pan na tej sali sądowej na proces. Zeznał pan już, że w pańskiej opinii pan Padgitt jest winny. Załóżmy, że został pan wybrany do składu ławy przysięgłych. Załóżmy, że pan Wilbanks, bardzo utalentowany i doświadczony prawnik, wniesie poważne zastrzeżenia dotyczące dowodów zebranych przez prokuraturę. Powiedzmy, że wzbudzi to pańskie wątpliwości. Czy w tym momencie głosowałby pan za uniewinnieniem?

Słuchając tego, Pickard kiwał głową, a potem powiedział:

– W takich okolicznościach, tak.

– Zatem niezależnie od tego, jakie jest pańskie zdanie na temat winy lub niewinności oskarżonego, chciałby pan zapoznać się z dowodami i dokładnie je przeanalizować, zanim podjąłby pan decyzję w tej sprawie?

Odpowiedź wydawała się tak oczywista, że Pickardowi pozostało jedynie powiedzenie:

– Tak.

– Oczywiście – zgodził się z nim Gaddis. – A jeśli chodzi o pańską żonę? Wspomniał pan o niej. Jest nauczycielką, prawda? Czy, jak pan, również poszłyaby do tego bez uprzedzeń?

– Myślę, że tak. Tak.

– Jeśli chodzi o rotarian z Karaway, czy są równie sprawiedliwi jak pan?

– Tak przypuszczam.

– A pańscy pracownicy? Na pewno zatrudnia pan uczciwych, bezstron-

nych ludzi. Czy potrafiliby zignorować to, co przeczytali i usłyszeli, i osądzić tego chłopaka sprawiedliwie?

– Tak przypuszczam.

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

Pickard czmychnął z miejsca dla świadków i niemal wybiegł z sali rozpraw. Lucien Wilbanks wstał i powiedział głośno:

– Obrona wzywa na świadka pana Williego Traynora, Wysoki Sądzie.

Cegła trafiająca w nos nie uderzyłaby pana Traynora z większą siłą. Za-chłysnąłem się powietrzem i usłyszałem, jak Baggy mówi zbyt głośno:

– O cholera.

Harry Rex siedział z innymi adwokatami na miejscach sędziów przysię-głych i doskonale się bawił. Kiedy stanąłem na chwiejnych nogach, spojrze-łem na niego, rozpaczliwie szukając pomocy. On również wstał.

– Wysoki Sądzie – powiedział – reprezentuję pana Traynora. Ten młody człowiek nie został uprzedzony, że będzie świadkiem.

No dalej, Harry! Zrób coś!

Sędzia wzruszył ramionami.

– I co z tego? – rzucił. – Jest tu. Co za różnica? – W jego głosie nie było śladu litości, wiedziałem, że zostałem przyszpilony.

– A co z przygotowaniem? Świadek ma prawo się przygotować.

– O ile wiem, jest wydawcą gazety, prawda?

– Tak.

Lucien Wilbanks ruszył w stronę miejsc dla sędziów przysięgłych, jakby chciał przywalić Harry’emu Rexowi.

– Wysoki Sądzie, on nie jest stroną w procesie i nie będzie zeznawał w procesie – zauważył. – Jest autorem tych artykułów. Posłuchajmy, co ma do powiedzenia.

– To zasadzka, Wysoki Sądzie – sprzeciwił się Harry Rex.

– Proszę usiąść, panie Vonner – powiedział sędzia Loopus.

Zająłem miejsce dla świadków. Zmierzyłem wzrokiem Harry’ego Rexa, jakbym chciał powiedzieć: „No toś się popisał, adwokacie”.

Woźny stanął przede mną i zapytał:

– Czy jest pan uzbrojony?

– Co? – Byłem nieprzytomny ze zdenerwowania, i to wszystko nie miało dla mnie sensu.

– Broń. Czy ma pan broń?

– Tak.

– Czy może mi ją pan oddać?

– Cóż, jest w samochodzie. – Większość widzów uznała to za śmieszne. Najwyraźniej w Missisipi człowiek nie może zeznawać, jeśli ma przy sobie broń. Kolejny durny przepis. Jednak chwilę później ten przepis nabrał dla mnie sensu. Gdybym miał przy sobie pistolet, zacząłbym strzelać do Luciena Wilbanksa.

Woźny zaprzysiągł mnie, a ja patrzyłem, jak Wilbanks spaceruje po sali. Tłum za nim wydał mi się jeszcze większy. Rozpoczął dość życzliwie, zadając mi kilka wstępnych pytań dotyczących mnie samego i zakupu gazety. Zdołałem udzielić mu poprawnych odpowiedzi, choć każde z tych pytań wydawało mi się podejrzanym. Do czegoś zmierzał, a ja nie miałem pojęcia do czego.

Publiczność chyba dobrze się bawiła. Moje niespodziewane przejęcie „Timesa” nadal było przedmiotem zainteresowania i spekulacji, i oto proszę, stoję przed nimi i gadam o tym pod przysięgą i moje słowa są protokołowane.

Po kilku minutach uprzejmości pan Gaddis, który, jak przyjąłem, był po mojej stronie, bo Lucien na pewno nie, wstał i powiedział:

– Wysoki Sądzie, to wszystko jest bardzo interesujące, ale czemu służy?

– Dobrze pytanie. Mecenasie Wilbanks?

– Proszę zaczekać, Wysoki Sądzie.

Lucien wyjął z teczki egzemplarze „Timesa” i wręczył po jednym mnie, Gaddisowi i sędziemu. Spojrzał na mnie i powiedział:

– Panie Traynor, to do protokołu, ilu prenumeratorów ma „Times” w tej chwili?

– Około czterech tysięcy dwustu – odpowiedziałem z odrobiną dumy. Kiedy Spot zbankrutował, stracił tak wielu czytelników, że gazetę prenumerowało mniej więcej tysiąc dwieście osób.

– A ile egzemplarzy jest sprzedawanych w kioskach z gazetami?

– Mniej więcej tysiąc.

Niecały rok wcześniej mieszkałem na drugim piętrze w domu bractwa w Syracuse w stanie Nowy Jork, chodziłem czasami na zajęcia, ciężko pracowałem, żeby być dobrym żołnierzem rewolucji seksualnej, piłem ogromne ilości alkoholu, paliłem trawkę, spałem do południa, kiedy miałem na to ochotę, a w ramach ćwiczeń fizycznych biegałem na kolejne wiece antywojenne i wrzeszczałem na policjantów. Wydawało mi się, że mam problemy.

Jakim cudem trafiłem na miejsce dla świadka na sali rozpraw w sądzie okręgowym, nagle stało się dla mnie bardzo niejasne.

Niemniej w tym kluczowym momencie mojej kariery czułem na sobie wzrok kilkuset mieszkańców Clanton i prenumeratorów. Nie była to odpowiednia pora na demonstrowanie bezradności.

– Jaki procent nakładu pańskiej gazety jest sprzedawany w okręgu Ford? – Lucien zadał pytanie tak nonszalancko, jakbyśmy rozmawiali przy kawie o interesach.

– Praktycznie cały. Nie znam dokładnych liczb.

– Cóż, czy ma pan jakieś kioski z gazetami poza okręgiem Ford?

– Nie.

Prokurator znów mało skutecznie próbował przyjść mi z pomocą. Wstał i zapytał:

– Wysoki Sądzie, dokąd to zmierza?

Wilbanks niespodziewanie podniósł głos i wyciągnął palec w kierunku sufitu.

– Dowiodę, Wysoki Sądzie, że potencjalni sędziowie przysięgli z tego okręgu zostali skażeni sensacyjnym materiałem, którym zarzucił nas tygodnik „Times”. Dobrze się jednak składa, co zresztą jest uzasadnione, że ta gazeta nie jest czytana w innych częściach stanu. Zmiana właściwości miejscowej sądu jest nie tylko sprawiedliwa, ale wręcz obligatoryjna.

Słowo „skażeni” zmieniło dramatycznie sposób dalszego postępowania. Uderzyło mnie i przerażyło. Po raz kolejny zadawałem sobie pytanie, czy zrobiłem coś złego. Spojrzałem na Baggy’ego, ale on chował się za kobietą siedzącą przed nim.

– To ja zdecyduję, co jest sprawiedliwe i obligatoryjne, panie mecenasie. Proszę kontynuować – polecił ostro sędzia Loopus.

Wilbanks trzymał w górze gazetę i wskazywał pierwszą stronę.

– Chodzi mi o zdjęcie mojego klienta – wyjaśnił. – Kto je zrobił?

– Wiley Meek, nasz fotoreporter.

– Kto podjął decyzję o umieszczeniu tej fotografii na pierwszej stronie?

– Ja.

– A wielkość? Kto ją określił?

– Też ja.

– Czy zdawał pan sobie sprawę, że może to być uznane za pogoń za sensacją?

Cholerna racja. Ale właśnie o pogoń za sensacją mi chodziło.

– Nie – odrzekłem chłodno. – Tak się składa, że to jedyne zdjęcie Dan-ny’ego Padgitta, jakim dysponowaliśmy w tamtej chwili. Tak się składa, że jako jedyny został aresztowany w związku z tym morderstwem. Opublikowa-łem je. I zrobiłbym to jeszcze raz.

Zaskoczyła mnie moja wyniosłość. Zerknąłem na Harry’ego Rexa i zoba-czyłem jeden z jego parszywych uśmieszków. Kiwał głową. Pogoń ich, chłopcze.

– Więc pańskim zdaniem opublikowanie tego zdjęcia było uczciwe?

– Nie uważam, żeby było nieuczciwe.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie. Czy pańskim zdaniem to było uczciwe?

– Tak, to było uczciwe i słuszne.

Wilbanks sprawiał wrażenie, jakby to zapamiętywał, by później wykorzy-stać.

– Pański artykuł zawiera bardzo szczegółowy opis wnętrza domu Rhody Kassellaw. Kiedy odwiedził pan ten dom?

– Nie odwiedziłem go.

– Kiedy wszedł pan do środka?

– Nigdy tam nie byłem.

– Nie widział pan wnętrza tego domu?

– W rzeczy samej.

Otworzył z szelestem gazetę, przez chwilę przebiegał wzrokiem po tekście, po czym powiedział:

– Píše pan, że drzwi sypialni dwójki dzieci pani Kassellaw znajdowały się w krótkim korytarzu, około czterech i pół metra od jej sypialni, i oszacował pan, że ich łóżka stały około dziewięciu metrów od jej łóżka. Skąd pan to wiedział?

– Mam swoje źródło.

– Źródło? A czy pański informator był w tym domu?

– Tak.

– Czy pański informator jest policjantem albo pracownikiem biura szeryfa?

– To poufna informacja.

– Z ilu poufnych źródeł korzystał pan przy pisaniu tego artykułu?

– Z kilku.

Ze studiów dziennikarskich pamiętałem niejasno sprawę reportera, który w podobnej sytuacji polegał na informatorach, a potem odmówił podania ich

tożsamości. To w jakiś sposób zdenerwowało sędziego, który nakazał dziennikarzowi ujawnienie nazwisk informatorów. Kiedy znów odmówił, sędzia zatrzymał go za obrazę sądu, a gliniarze odstawili do aresztu, gdzie przesiedział wiele tygodni, lecz mimo to nic nie powiedział. Nie pamiętałem zakończenia, ale dziennikarza w końcu wypuszczono, a wolność prasy wyszła z tego obronną ręką.

Przez mgnienie oka widziałem, jak szeryf Coley skuwa mnie kajdankami i wywleka z sali, ja zaś krzykiem domagam się pomocy Harry'ego Rexa, a potem trafiaam do aresztu, gdzie muszę się rozebrać i dostaję pomarańczowy kombinezon.

Dla „Timesa” to byłaby wymarzona okazja. O rany, ileż artykułów mógłbym stamtąd napisać.

– Napisał pan, że dzieci były w szoku. Skąd pan to wiedział? – kontynuował Wilbanks.

– Rozmawiałem z panem Deece'em, który mieszka obok.

– Czy użył słowa „szok”?

– Tak.

– Napisał pan, że dzieci zostały przebadane przez lekarza tutaj, w Clanton, w noc popełnienia przestępstwa.

Skąd pan o tym wiedział?

– Od informatora, a potem potwierdziłem to u lekarza.

– Dodał pan też, że dzieci przechodzą teraz rodzaj terapii w Missouri. Kto panu o tym powiedział?

– Rozmawiałem z ich ciotką.

Wilbanks rzucił gazetę na stół i zrobił kilka kroków w moją stronę. Jego nabiegłe krwią oczy zwięziły się, gdy wbijał we mnie wzrok. No właśnie, w tej chwili pistolet bardzo by mi się przydał.

– Tak naprawdę, panie Traynor, próbował pan nas przekonać, że tych dwoje niewinnych dzieci widziało, jak ich matka zostaje zgwałcona i zamordowana w jej własnym łóżku. Czy mam rację?

Zaczerpnąłem powietrza i zastanawiałem się nad odpowiedzią. Na sali panowała cisza i nastrój wyczekiwania.

– Przedstawiłem fakty tak precyzyjnie, jak to było możliwe – powiedziałem wreszcie, patrząc wprost na Baggy'ego, który zerkał zza kobiety siedzącej przed nim, ale w końcu skinął głową.

– Po to, żeby sprzedać gazetę, polegał pan na anonimowych źródłach, pół-



prawdach, plotkach i obłąkanych spekulacjach, a celem było nadanie temu artykułowi sensacyjnego wydźwięku.

– Przedstawiłem fakty tak precyzyjnie, jak to było możliwe – powtórzyłem, starając się zachować spokój.

– Czyżby? – prychnął. – Wziął ze stołu gazetę. – Cytuję: „Czy dzieci będą zeznawały w procesie?”. Czy pan to napisał?

Zaprzeczenie nie wchodziło w grę.

– Tak – odpowiedziałem.

– Na jakich faktach oparł pan to pytanie?

– Słyszałem to pytanie wielokrotnie po dokonany przestępstwie – odrzekłem.

Rzucił gazetę na stół, jakby się nią brzydził. Kręcił głową w udawanym zdumieniu.

– Chodzi o dwoje dzieci, prawda, panie Traynor?

– Tak. To chłopiec i dziewczynka.

– Ile lat ma chłopczyk?

– Pięć.

– A dziewczynka?

– Trzy.

– Ile ma pan lat?

– Dwadzieścia trzy.

– Ile procesów opisał pan jako dziennikarz w swoim dwudziestotrzyletnim życiu?

– Żadnego.

– Na ilu procesach pan był?

– Na żadnym.

– Ponieważ nie ma pan zielonego pojęcia o procesach sądowych, domyślam się, że zapoznał się pan z jakimiś materiałami prawniczymi, żeby odpowiednio przygotować się do napisania tych artykułów. Co to było?

W tym momencie prawdopodobnie sam bym się zastrzelił.

– Materiałami prawniczymi? – powtórzyłem, jakby mówił do mnie w obcym języku.

– Tak, panie Traynor. Czy czytał pan o sprawach, w których pozwolono dzieciom w wieku pięciu lat albo młodszym zeznawać na procesie karnym?

Spojrzałem tam, gdzie siedział Baggy, ale on najwyraźniej schował się pod ławkę.

– O żadnej.

– Doskonała odpowiedź. O żadnej. W historii tego stanu żadne dziecko poniżej jedenastego roku życia nigdy nie zeznawało na procesie karnym. Niech pan to sobie gdzieś zapisze i pamięta o tym, kiedy następnym razem będzie pan próbował ekscytować czytelników brukowym dziennikarstwem.

– Wystarczy, panie mecenasie – powiedział sędzia Loopus, jak dla mnie trochę za łagodnie.

Myślę, że on i pozostali prawnicy, najprawdopodobniej włączając także Harry’ego Rexa, nieźle się bawili, obserwując jatkę urządzaną komuś, kto zaczął gmerać w zagadnieniach prawa i wszystko źle rozumiał. Nawet pan Gaddis sprawiał wrażenie zadowolonego z moich ran.

Lucien był na tyle mądry, żeby przestać, gdy krew zaczęła płynąć. Warknął coś w rodzaju: „Skończyłem z nim”. Prokurator nie miał żadnych pytań. Woźny dał mi znak ręką, żebym opuścił miejsce dla świadka, a ja rozpaczliwie usiłowałem iść prosto do ławki, gdzie Baggy nadal siedział skulony, niczym bezpieczki pies w czasie burzy gradowej.

Przez resztę zeznań bazgrałem notatki, ale były to daremne próby nadania sobie wyglądu kogoś ważnego i zajętego. Czułem na sobie spojrzenia. Byłem upokorzony i marzyłem o tym, żeby zamknąć się na kilka dni w domu.

Wilbanks zakończył płomiennym błaganiem o przeniesienie procesu gdzieś daleko, może nawet na wybrzeże, gdzie być może o tym przestępstwie słyszała tylko garstka ludzi, ale nikt nie został „skażony” relacją wydrukowaną w „Timesie”. Pomstował na mnie i na moją gazetę, ale wpadł w przesadę. Prokurator w końcowych uwagach przypomniał sędziemu stare przysłowie: „Mocne i gorzkie słowa wskazują na słabość racji”.

Zapisałem to. A potem szybko wyszedłem z sali rozpraw, jakby czekało na mnie jakieś niecierpiące zwłoki zadanie.

## Rozdział 11

---

**N**astępnego dnia, późnym rankiem, do mojego pokoju wpadł Baggy z nowiną, że Lucien Wilbanks wycofał wniosek o przeniesienie procesu. Jak zawsze miał na porządku mnóstwo domysłów.

Pierwszy, trochę szumny, zakładał, że to Padgittowie nie chcą, by proces przeniesiono do innego okręgu. Wiedzą, że Danny jest winny jak cholera i prawie na pewno wszędzie zostanie skazany przez odpowiednio dobranych sędziów przysięgłych. Jediną szansę mogli upatrywać w tym, że ława przysięgłych będzie się składała z ludzi, których da się kupić albo zastraszyć. Ponieważ wszystkie wyroki skazujące muszą być jednomyślne, potrzebny byłby choćby jeden głos broniący Danny'ego. Tylko jeden głos, i ława przysięgłych znajdzie się w kropce. W takim przypadku prawo wymaga od sędziego, by uznał proces za nierozstrzygnięty. Danny na pewno byłby sądzony ponownie, ale z takim samym skutkiem. Po trzech albo czterech próbach prokurator musiałby się poddać.

Nie miałem wątpliwości, że Baggy spędził cały ranek w sądzie, rozpamiętując z kumplami z klubu przebieg rozprawy, i że zapożyczył te wnioski od adwokatów. Śmiertelnie poważnie wyjaśnił mi, że wczorajsze przesłuchania świadków były ustawione przez Luciena Wilbanka, a to z dwóch powodów.

Po pierwsze, Lucien zamierzał podpuścić „Timesa”, żeby opublikował następne duże zdjęcie młodego Padgitta, tym razem w więziennym kombinezonie. Po drugie, Wilbanks chciał postawić mnie na miejscu dla świadków, by pociągnąć mnie za język.

– I to mu się udało jak diabli – stwierdził Baggy.

– Dzięki, Baggy – mruknąłem.

Wilbanks przygotowywał grunt pod proces, o którym od początku wiedział, że odbędzie się w Clanton, i zależało mu na tym, by „Times” stonował relacje z sali rozpraw.

Trzecim albo czwartym powodem było to, że Lucien Wilbanks nigdy nie przepuściłby okazji popisania się przed tłumem. Baggy widział to wiele razy i opowiedział mi o kilku takich przypadkach.

Nie jestem pewny, czy nadążałem za jego wielotorowym tokiem myślenia, ale w tamtym momencie nic innego nie wydawało mi się sensowne. Dwugodzinna rozprawa z przesłuchiwaniami świadków była stratą czasu i energii, jeśli wiedziało się, że to tylko pokazówka. Przypuszczam jednak, że w salach sądowych działy się gorsze rzeczy.

\*\*\*

Głównym daniem trzeciej uczyły była duszona wołowina z jarzynami. Jedliśmy na werandzie, padał deszcz.

Jak zwykle wyznałem, że nigdy wcześniej nie jadłem duszonego mięsa, dlatego Miss Callie podała mi przepis i szczegółowo opisała wszystkie etapy gotowania. Podniosła pokrywkę wielkiego żeliwnego garnka stojącego na środku stołu i zamknęła oczy, gdy wydobył się z niego intensywny zapach. Wstałem zaledwie przed godziną i w tym momencie zjadłbym konia z kopytami.

To jedno z najprostszych dań, powiedziała. Bierze się pierwszą krzyżową, zostawia na niej tłuszcz, wkłada się ją do garnka, dodaje młode ziemniaki, cebulę, rzepę, marchewkę i buraczki, trochę soli, pieprzu i wody i na pięć godzin wstawia do niezbyt gorącego piekarnika. Nałożyła mi na talerz mięso i jarzyny, a potem wszystko poląła gęstym sosem.

– To dzięki buraczkom jest różowy – wyjaśniła.

Spytała, czy chciałbym odmówić modlitwę, ale wolałem tego nie robić. Nie modliłem się od bardzo dawna. Miss Callie wychodziło to o wiele lepiej.

Wzięła mnie za rękę i oboje zamknęliśmy oczy. Kiedy rozmawiała z niebem, deszcz bębnił o cynowy dach nad naszymi głowami.

– Gdzie jest Esau? – zapytałem po trzech ogromnych kęsach.

– W pracy. Czasami udaje mu się wyrwać na lunch, ale często nie. – Coś zaprzętało jej myśli i w końcu powiedziała: – Czy mogę zadać panu pytanie, które do pewnego stopnia jest osobiste?

– Jasne.

– Jest pan chrześcijaninem?

– Z całą pewnością. W Wielkanoc chodziłem z mamą do kościoła.

To jej nie usatysfakcjonowało. Czegokolwiek oczekiwała, to nie było to.

– Do jakiego kościoła?

– Episkopalnego. Do świętego Łukasza w Memphis.

– Nie mam pojęcia, czy mamy taki kościół w Clanton.

– Ja takiego nie widziałem. – Bo też i nie szukałem zbyt gorliwie. – A do jakiego Kościoła pani należy? – spytałem.

– Do Kościoła Bożego w Chrystusie – odpowiedziała szybko i się rozpromieniła. – Moim pastorem jest wielebny Thurston Small, wspaniały kapłan. I wygłasza porywające kazania. Powinien pan przyjść i go posłuchać.

Słyszałem opowieści o tym, jak wyglądają nabożeństwa czarnych, że potrafią spędzić w kościele całą niedzielę, że msze trwają do późnej nocy i kończą się dopiero wtedy, gdy wierni są zupełnie wyczerpani duchowo. Miałem żywo w pamięci torturę, jaką były dla mnie msze wielkanocne w kościele episkopalnym, które zgodnie z prawem nie mogły trwać dłużej niż godzinę.

– Czy biali biorą udział w waszych nabożeństwach? – zapytałem.

– Tylko w latach wyborów. Niektórzy politycy zjawiają się i węszą jak psy. I łudzą obietnicami.

– Zostają na całej mszy?

– Och nie. Na to zawsze są zbyt zajęci.

– Więc można wejść i wyjść?

– W pańskim przypadku tak. Zrobimy wyjątek.

Zaczęła opowiadać długą historię o swoim kościele, znajdującym się w odległości spaceru od jej domu, i pożarze, który zniszczył go kilka lat temu. Straż pożarna, mająca oczywiście remizę po białej stronie miasta, nigdy nie śpieszyła się na wezwania do Lowtown. Parafianie stracili kościół, ale to było błogosławieństwo! Wielebny Small zmobilizował parafian. Przez prawie trzy lata spotykali się w magazynie udostępnionym przez Virgila Mabry'ego, po-

rządneho chrześcijanina. Budynek znajdował się przecnicę od Main Street, i wielu białym nie podobał się pomysł, żeby Murzyni modlili się w ich części miasta. Ale pan Mabry nie ustąpił. Wielebny Small zbierał pieniądze i trzy lata po pożarze dokonali oficjalnego otwarcia nowej świątyni, dwa razy większej od starej. Teraz w każdą niedzielę jest przepełniona.

Uwielbiałem, kiedy Miss Callie opowiadała. Pozwalało mi to spokojnie jeść, co było najważniejsze. Moją uwagę nadal zwracała jej nienaganna intonacja i słownictwo, które musiały być na poziomie wyższej uczelni.

Kiedy skończyła opowieść o nowym kościele, zapytała:

– Często czyta pan Biblię?

– Nie – odpowiedziałem, kręcąc głową i żując gorącą rzepę.

– W ogóle jej pan nie czyta?

Jakoś nie pomyślałem, że mógłbym skłamać.

– W ogóle.

To też ją rozczarowało.

– Jak często pan się modli?

Milczałem przez sekundę, a potem powiedziałem:

– Raz w tygodniu, tutaj.

Odłożyła powoli widelec i nóż i zmarszczyła czoło, jakby zamierzała powiedzieć coś bardzo doniosłego.

– Panie Traynor, skoro nie chodzi pan do kościoła, nie czyta Biblii i nie modli się, nie jestem pewna, czy rzeczywiście jest pan chrześcijaninem.

Ja też nie byłem tego pewny. Nie przestawałem żuć, dzięki czemu nie musiałem mówić i się bronić.

– Jezus powiedział: *Nie sądzcie, abyście nie byli sądzeni*<sup>5</sup>. Nie mnie wydawać sądy o czyjejkolwiek duszy, ale muszę przyznać, że martwię się o pańską.

Ja też się martwiłem, ale nie na tyle, żeby przeszkadzało mi to w lunchu.

– Czy wie pan, co dzieje się z tymi, którzy żyją poza bożą wolą? – zapytała.

Nic dobrego, tyle wiedziałem. Ale byłem zbyt głodny i zbyt wystraszony, żeby odpowiadać. Prawiła mi teraz kazanie, co nie było przyjemne.

– Paweł napisał do Rzymian: *Albowiem zapłatą za grzech jest śmierć, a łaska przez Boga dana to życie wieczne w Chrystusie Jezusie, Panu naszym*<sup>6</sup>. Wie pan, co to znaczy?

Miałem jako takie pojęcie. Skinąłem głową i wsunąłem do ust spory kawa-

łek wołowiny. Czyżby znała na pamięć całą Biblię? Mam wysłuchać wszystkiego?

– Śmierć jest zawsze fizyczna, ale śmierć duchowa oznacza wieczność z dala od Jezusa, wieczność w piekle, drogi panie. Czy pan to rozumie?

Stawiała sprawy bardzo jasno.

– Czy moglibyśmy zmienić temat? – zapytałem.

Miss Callie uśmiechnęła się niespodziewanie i powiedziała:

– Oczywiście. Jest pan moim gościem i mam obowiązek zadbać o to, żeby dobrze się pan czuł. – Wzięła widelec i przez długą chwilę jedliśmy, wsłuchując się w deszcz.

– Mamy bardzo mokrą wiosnę – zauważyła. – To dobrze dla fasoli, ale pomidory i melony potrzebują trochę słońca.

Uspokoilem się, słysząc, że planuje dalsze spotkania przy lunchu. Artykuł o Miss Callie, jej mężu i ich niezwykłych dzieciach miałem prawie skończony. Przeciągałem gromadzenie materiału w nadziei, że na tej werandzie zjem jeszcze kilka posiłków. Początkowo gnębiło mnie sumienie, gdy widziałem takie ilości jedzenia przygotowanego tylko dla mnie. Zjadaliśmy tylko niewielką część. Zapewniła mnie jednak, że nic się nie marnuje. Ona, Esau i kilkoro przyjaciół dbają o to, żeby wszystko, co zostało, było odpowiednio spożytkowane.

– Od jakiegoś czasu gotuję tylko trzy razy w tygodniu – przyznała z nutą wstydu.

Na deser podała placek brzoskwiniowy z lodami waniliowymi. Zgodziliśmy się oboje, że odczekamy godzinę, żeby jedzenie ułożyło nam się w żołądkach. Miss Callie przyniosła dwa kubki mocnej kawy i przesiedliśmy się na bujane fotele, gdzie zajęliśmy się pracą. Wyjąłem notes, długopis i zacząłem wymyślać pytania. Miss Callie uwielbiała, gdy zapisywałem wszystko, co mówiła.

Siedmioro dzieci nosiło włoskie imiona: Alberto (Al), Leonardo (Leon), Massimo (Max), Roberto (Bobby), Gloria, Carlota i Mario. Tylko Sam, najmłodszy, ten, o którym mówiono, że zwiął, nosił amerykańskie imię. Podczas mojej drugiej wizyty wyjaśniła, że wychowała się we włoskim domu, tutaj, w okręgu Ford, ale to bardzo długa historia, dlatego postanowiła zachować ją na później.

Siedmioro jej dzieci było prymusami w swoich klasach w szkole dla kolorowych przy Burley Street. Każde z nich zrobiło potem doktorat i teraz wy-

kładało na wyższej uczelni. Szczegóły biograficzne zajmowały całe strony, a Miss Callie potrafiła opowiadać o swoich dzieciach godzinami, co jest zupełnie zrozumiałe.

Więc mówiła. A ja notowałem, bujając się lekko w fotelu i wsłuchując się w deszcz, aż w końcu zasnąłem.



## Rozdział 12

---

**B**aggy miał pewne obiekcje dotyczące historii Ruffinów. – To żadna rewelacja – powiedział po przeczytaniu mojego tekstu. Jestem pewny, że Hardy wyczulił go na mój pomysł umieszczenia na pierwszej stronie dużego artykułu o murzyńskiej rodzinie. – Takie rzeczy są zwykle na piątej stronie – dodał.

Zdaniem Baggy’ego, poza morderstwem na pierwszą stronę nadawała się relacja z zaognionej dyskusji o granicach posiadłości, prowadzonej na sali sądowej bez sędziów przysięgłych, z garstką na wpół śpiących adwokatów i dziewięćdziesięcioletnim sędzią ekshumowanym specjalnie po to, żeby rozstrzygał podobne spory.

W 1967 roku pan Caudle wykazał się cywilną odwagą, zamieszczając nekrologi Murzynów, ale trzy lata później „Times” bardzo mało uwagi poświęcał części miasta znajdującej się po drugiej stronie torów kolejowych. Wiley Meek niechętnie zgodził się iść tam ze mną i sfotografować Callie i Esaua przed ich domem. Udało mi się umówić z nimi na czwartek w południe. Smażony sum, smażone knedle kukurydziane i surówka z białej kapusty. Wiley tak się najadł, że z trudem oddychał.

Margaret również miała zastrzeżenia do tego artykułu, ale jak zwykle zdała się na decyzję szefa. Prawdę mówiąc, cała redakcja wykazywała rezerwę wo-

bec tego pomysłu. Nie przejmowałem się tym. Robiłem to, co uważałem za słuszne, poza tym zbliżał się głośny proces.

I tak w środę dwudziestego maja 1970 roku, w tygodniu, w którym nie wydarzyło się absolutnie nic, co dotyczyłoby zamordowania Rhody Kassellaw i co dałoby się wydrukować, „Times” poświęcił Ruffinom więcej niż połowę pierwszej strony. Zacząłem od dużego nagłówka: *Rodzina Ruffinów szczyci się aż siedmioma profesorami wyższych uczelni*. Pod spodem umieściłem duże zdjęcie Callie i Esaua siedzących na schodach od frontu i uśmiechających się z dumą do obiektywu. Poniżej znalazły się szkolne portrety całej ósemki ich dzieci – od Ala do Sama. Mój artykuł zaczął się tak:

Kiedy Calia Harris została zmuszona do rzucenia szkoły w dziesiątej klasie, obiecała sobie, że jej dzieci nie tylko zdadzą maturę, ale skończą studia.

Był rok 1926. Calia albo Callie, jak woli być nazywana, miała piętnaście lat i była najstarsza z czworga rodzeństwa. Gdy jej ojciec zmarł na gruźlicę, wykształcenie stało się luksusem. Callie pracowała u rodziny DeJarnette do 1929 roku, kiedy to poślubiła Esaua Ruffina, stolarza i kaznodzieję. Wynajęli niewielki dom w Lowtown za piętnaście dolarów miesięcznie i zaczęli odkładać każdego centa. Wiedzieli, że potrzebne im będą wszystkie pieniądze, jakie zdołają zaoszczędzić.

W 1931 roku urodził się Alberto.

W roku 1970 doktor Alberto Ruffin został profesorem socjologii na uniwersytecie stanowym w Iowa. Doktor Leonardo Ruffin był profesorem biologii w Purdue. Doktor Massimo Ruffin został profesorem nauk ekonomicznych na uniwersytecie w Toledo, a doktor Roberto Ruffin profesorem historii w Marquette. Doktor Gloria Ruffin-Sanderford uczyła włoskiego w Duke. Doktor Carlota Ruffin była profesorem urbanistyki na uniwersytecie stanowym w Los Angeles. Doktor Mario Ruffin właśnie obronił tytuł doktorski z literatury średniowiecznej i jako profesor uczył w Iowa w college’u Grinnell. Wspomniałem o Samie, ale nie rozpisywałem się o nim.

Rozmawiałem z całą siódmką profesorów przez telefon i cytowałem ich w artykule. Tematy były typowe: miłość, poświęcenie, dyscyplina, ciężka praca, zachęta, wiara w Boga, wiara w rodzinę, ambicja, wytrwałość, żadnej tolerancji dla lenistwa czy porażki. Opowieść o sukcesie tych ludzi wystarczyłaby do wypełnienia całego wydania „Timesa”. Każdy pracował co najmniej na pełnym etacie i jednocześnie mozolił się w liceum, a potem na studiach. Większość miała dwa etaty. Starsi pomagali młodszym. Mario powiedział mi, że dostawał co miesiąc pięć albo sześć czeków na niewielkie sumy

od rodzeństwa i rodziców.

Piątka starszych tak poświęciła się nauce, że zawarli małżeństwa dopiero koło trzydziestki. Carlota i Mario nadal nie założyli rodziny. W konsekwencji przyszłość następnego pokolenia też została starannie zaplanowana. Leon miał pięcioletniego syna, Max i jego żona spodziewali się drugiego dziecka.

Miałem tyle materiału o Ruffinach, że w tym tygodniu wypuściłem tylko pierwszą część. Kiedy następnego dnia pojechałem do Lowtown na lunch, Miss Callie przywitała mnie ze łzami w oczach, Esau też się ze mną przywitał – mocno uściskał mi rękę i objął sztywno, niezręcznie, po męsku. Pochłanialiśmy gulasz jagnięcy i porównywaliśmy reakcje na artykuł. Nie trzeba mówić, że gadali o nim wszyscy w Lowtown, sąsiedzi odwiedzali ich przez całe popołudnie w środę i czwartkowy ranek, przynosząc kolejne egzemplarze. Poczta wysłałem po mniej więcej sześć egzemplarzy każdemu z profesorów.

Gdy piliśmy kawę i jedliśmy szarlotkę, przed domem zaparkował kaznodzieja, wielebny Small, i ruszył w stronę werandy. Zostałem mu przedstawiony, a on wydawał się rad, że mnie poznał. Chętnie przyjął zaproponowany mu deser i wygłosił przydługą mowę o tym, jak ogromne znaczenie ma historia Ruffinów dla czarnej społeczności Clanton. Pochwalił nekrologi, bo w większości miast na Południu nadal ignorowano śmierć Murzynów. Dzięki panu Caudle'owi poczyniono postępy w tej sprawie. Niemniej wydrukowanie na pierwszej stronie tak wspaniałego i napisanego z szacunkiem artykułu o wyjątkowej czarnej rodzinie było gigantycznym krokiem na drodze budowania tolerancji rasowej w naszym mieście. Ja tak tego nie postrzegałem. Dla mnie była to po prostu ciekawa historia o ludziach, o Miss Callie i jej niezwykłej rodzinie.

Wielebny delectował się jedzeniem, a jednocześnie wykazywał skłonność do gadulstwa. Przy drugim kawałku ciasta zanudzał nas, ciągle chwając artykuł. Nic nie wskazywało na to, że ma zamiar zbierać się do wyjścia, więc w końcu sam czymś się wymówiłem i odjechałem.

\*\*\*

Poza tym, że Piston był nieoficjalnym i do pewnego stopnia niesolidnym dozorcą w kilku firmach wokół rynku, miał też inne zajęcie: świadczył nielicencjonowane usługi kurierskie. Prawie co godzinę pojawiał się w drzwiach

biur klientów – głównie w kancelariach adwokackich, ale też w trzech bankach, u pośredników handlu nieruchomościami, w agencjach ubezpieczeniowych i „Timesie” – i stał przez chwilę, czekając na przesyłkę. Jeżeli sekretarka pokręciła głową, szedł w następne miejsce. Jeśli był do dostarczenia list albo niewielka paczka, sekretarki czekały na jego pojawienie się. Brał, cokolwiek to było, i biegiem zanosił do miejsca przeznaczenia. Jeśli waga przesyłki przekraczała pięć kilogramów, odmawiał. W końcu poruszał się piechotą, a zasięg jego usług był ograniczony do rynku i może jednej, dwóch sąsiednich przecznic. Niemal w każdej godzinie dnia pracy można było zobaczyć Pistona w centrum miasta – idącego, jeśli nie miał przesyłki, i biegnącego, gdy ją miał.

Większość z tego, co przenośli, stanowiły listy wymieniane między kancelariami adwokackimi. Piston był znacznie szybszy od poczty i o wiele tańszy: nic za to nie brał. Mówił, że w ten sposób służy swojemu miastu, choć na Boże Narodzenie całkiem słusznie oczekiwał szynki albo ciasta.

Późnym rankiem w piątek wpadł jak burza z ręcznie zaadresowanym listem od Luciena Wilbanksa. Niemal bałem się rozedrzeć kopertę. Czyżby chodziło o pozew wart milion dolarów, którym mi groził?

*Szanowny Panie, podobał mi się materiał o Ruffinach, naprawdę niezwykłej rodzinie. Słyszałem o jej osiągnięciach, ale Pański artykuł to wspaniały portret, napisany przez wnikliwego obserwatora. Podziwiam Pańską odwagę.*

*Mam nadzieję, że będzie Pan kontynuował pisanie w podobnym, bardziej pozytywnym duchu.*

*Z wyrazami szacunku*

*Lucien Wilbanks*

Nie cierpiałem tego człowieka, ale kto nie doceniłby takiego listu? Lucien cieszył się opinią obłąkanego radykalnego liberała, który brał niepopularne sprawy. Pochwała od kogoś takiego w tym momencie była słabą pociechą. I wiedziałem, że to tylko chwilowe ocieplenie stosunków.

Nie było żadnych innych listów. Żadnych anonimowych telefonów. Żadnych gróźb. Były wakacje, panował upał. Złowieszcze i budzące strach wichry desegregacji zbierały siły, ale poczciwi mieszkańcy okręgu Ford mieli ważniejsze sprawy na głowie.

Po dekadzie sporów i napięć dotyczących praw obywatelskich wielu bia-

łych z Missisipi bało się, że koniec jest bliski. Skoro sądy federalne mogły wprowadzić integrację w szkołach i kościołach, to czy następne będą osiedla?

Następnego dnia Baggy poszedł na zebranie w piwnicy kościoła. Organizatorzy próbowali zorientować się, jak duże jest w Clanton poparcie dla prywatnej szkoły wyłącznie dla białych. Stawił się tłum – zły, wystraszony i zdeterminowany bronić dzieci. Jeden z prawników zrelacjonował, na jakim etapie są najróżniejsze apelacje w sądach federalnych, podzielił się też przygnębiającą opinią, że ostateczny nakaz przyjdzie jeszcze tego lata.

Przewidywał, że czarne dzieciaki z klas od dziesiątej do dwunastej zostaną posłane do liceum w Clanton, a białe dzieciaki z klas od siódmej do dziewiątej będą musiały uczyć się w szkole przy Burley Street w Lowtown. Ta informacja sprawiła, że mężczyźni kręcili głowami, a kobiety zaczęły płakać. Sama myśl, że białe dzieci zostaną posłane na drugą stronę torów, była nie do przyjęcia.

Organizowano więc nową szkołę. Poproszono nas, żebyśmy o tym nie pisali, przynajmniej na razie. Przed upublicznieniem tej wiadomości inicjatorzy chcieli najpierw zdobyć jakieś środki finansowe. Spełniliśmy ich prośbę, bo bardzo zależało mi na tym, by uniknąć kontrowersji.

Sędzia federalny z Memphis nakazał opracowanie gigantycznie rozbudowanego planu dowozu dzieci do szkół autobusami, co podzieliło miasto. Czarni uczniowie mieszkający w mieście mieli być przewożeni na przedmieścia zamieszkałe przez białych, przy czym mijaliby po drodze białe dzieci jadące w przeciwnym kierunku. Sytuacja była tam bardzo napięta, dlatego starałem się na razie unikać wyjazdów do Memphis.

Zapowiadało się długie upalne lato. Można było pomyśleć, że czekaliśmy, aż coś wybuchnie.

\*\*\*

Odczekałem tydzień i opublikowałem drugą część historii Miss Callie. Na dole pierwszej strony umieściłem aktualne zdjęcia wszystkich profesorów Ruffinów. Opisałem, gdzie mieszkają i czym się zajmują. Wszyscy jak jeden mąż mówili, że kochają Clanton i stan Missisipi, choć żadne z nich nie zamierzało wrócić na stałe w rodzinne strony. Nie chcieli oceniać miejsca, które skazało ich na naukę w gorszych szkołach dla czarnych, trzymało po drugiej stronie torów kolejowych, odmawiało prawa do głosowania, do jedzenia

w większości restauracji, a także picia wody ze studni na trawniku przed budynkiem sądu. Odmówili roztrząsania czegokolwiek, co było złe. Zamiast tego dziękowali Bogu za jego dobroć, za zdrowie, za rodzinę, za rodziców i za dane im szanse.

Nie mogłem się nadziwić ich pokorze i życzliwości. Każde z siódemki obiecało spotkać się ze mną w czasie ferii bożonarodzeniowych, kiedy to wszyscy mieliśmy zasiąść na werandzie Miss Callie, jeść ciasto z orzechami pekanowymi i snuć opowieści.

Obszerny artykuł zakończyłem intrygującym szczegółem dotyczącym tej rodziny. W dniu wyjazdu z domu każde z dzieci usłyszało prośbę Esaua, żeby pisali do matki co najmniej raz w tygodniu. I tak było, listy nie przestały przychodzić. W którymś momencie Esau postanowił, że Callie powinna dostawać jeden list dziennie. Siedmioro profesorów. Siedem dni w tygodniu. I tak Alberto pisał listy w niedziele, Leonardo w poniedziałki i tak dalej. Zdarzały się dni, kiedy Callie dostawała dwa lub trzy listy, i takie, kiedy nie dostawała żadnego. Niemniej krótki spacer do skrzynki pocztowej zawsze był dla niej ekscytujący.

Zachowała każdy list. Pokazała mi stos kartonowych pudeł stojących w garderobie sypialni, wszystkie wypełnione setkami listów od jej dzieci.

– Kiedyś dam ci je do przeczytania – powiedziała, ale z jakiegoś powodu jej nie uwierzyłem.

Nie chciałem ich czytać. Były zdecydowanie zbyt osobiste.

## Rozdział 13

---

**E**rne Gaddis, prokurator okręgowy, złożył wniosek o rozszerzenie listy kandydatów na sędziów przysięgłych. Według Baggy'ego, który z każdym dniem stawał się coraz większym ekspertem, w typowym procesie karnym urzędnik sądu okręgowego wyznaczał około czterdziestu kandydatów na sędziów przysięgłych. Zgłaszało się mniej więcej trzydziestu pięciu, ale co najmniej piątka była zbyt stara albo zbyt chora. Gaddis uzasadniał wniosek tym, że coraz większy szum wokół sprawy morderstwa Kassellaw utrudni znalezienie bezstronnych sędziów. Prosił sąd o umieszczenie na liście przynajmniej stu kandydatów.

We wniosku nie napisał jednak, choć wszyscy o tym wiedzieli, że Padgitom będzie o wiele trudniej zastraszyć sto osób niż czterdzieści. Lucien Wilbanks zgłosił stanowczy sprzeciw i zażądał posiedzenia. Sędzia Loopus odpowiedział, że nie jest to konieczne, i polecił zwiększyć liczbę kandydatów na sędziów przysięgłych. Zrobił też coś niezwykłego: kazał utajnić ich listę. Baggy i jego kumple od kieliszka, jak zresztą wszyscy, którzy mieli styczność z sądem, byli w szoku. Adwokaci i strony procesu zawsze dostawali kompletną listę kandydatów dwa tygodnie przed rozpoczęciem procesu.

Polecenie sędziego odbierano jako poważne pomieszenie szyków Padgitom. Skoro nie wiedzą, kto został powołany, na co zdadzą się łapówki i groź-

by?

Gaddis poprosił sędziego o zgodę na wysłanie wezwań pocztą, a nie osobiście doręczanie przez zastępców szeryfa. Loopusowi ten pomysł się spodobał. Najwyraźniej dobrze wiedział o zażyłości Padgittów z naszym szeryfem. Nic dziwnego, że Lucien Wilbanks, gdy się o tym dowiedział, zaczął się awanturować. W zdradzających zdenerwowanie pismach wskazywał, że sędzia Loopus traktuje jego klienta inaczej niż innych i jest niesprawiedliwy. Kiedy czytałem jego odwołania, zdumiewało mnie to, że potrafił tak klarownie ciaskać gromy na tyłu stronach.

Stało się jasne, że sędzia Loopus jest zdecydowany przewodniczyć procesowi i zapewnić mu bezstronny przebieg. Zanim trafił za stół sędziowski, w latach pięćdziesiątych pełnił funkcję prokuratora okręgowego i wszyscy wiedzieli że był przychylnie nastawiony do prokuratury. Na pewno nie patrzył życzliwym okiem na Padgittów i ich dziedziczne skorumpowanie. Poza tym na papierze (i na pewno w mojej gazecie) sprawa przeciwko Danny'emu Padgittowi wydawała się przesądzona.

W poniedziałek piętnastego czerwca, w tajemnicy, urzędnik sądowy wysłał pocztą do stu zarejestrowanych obywateli okręgu Ford mających czynne prawo do głosowania pisma powołujące ich na sędziego przysięgłego. Jedno z nich trafiło do zwykle zapełnionej skrzynki pocztowej Callie Ruffin, a kiedy w czwartek przyjechałem na lunch, pokazała mi je.

\*\*\*

W 1970 roku okręg Ford zamieszkiwało dwadzieścia sześć procent czarnych i siedemdziesiąt cztery procent białych, bez ułamków reprezentujących „innych” albo takich, co do których nie było pewności. Sześć lat po burzliwym lecie 1964 roku i zmasowanych naciskach, by zarejestrować czarnych jako równoprawnych obywateli, i pięć lat po ustawie o głosowaniu z 1965 roku niewiele osób zwracało sobie głowę rejestracją. W wyborach stanowych w 1967 roku wzięło udział prawie siedemdziesiąt procent białych uprawnionych do głosowania i tylko dwanaście procent czarnych. Presja, by się rejestrować, na ogół spotykała się w Lowtown z obojętnością. Jednym z powodów było to, że ze względu na liczbę białych, czarni nie mieli najmniejszych szans na wybór do władz okręgu. Dlaczego więc mieli się tym przejmować?



Inną przyczyną było historycznie ugruntowane złe traktowanie czarnych w punktach rejestracji. Przez setki lat biali uciekali się do najróżniejszych sztuczek, żeby odmawiać czarnym rejestracji. Podatek pogłówny, testy na umiejętność czytania i pisanie... lista była długa i przygnębiająca.

Z drugiej strony większość czarnych miała opory przed rejestrowaniem się w jakikolwiek sposób w urzędach białych. Rejestracja mogła oznaczać większe podatki, większą kontrolę, większy nadzór, większe niedogodności. A także możliwość powołania na sędziego przysięgłego.

Według Harry'ego Rexa, który był trochę bardziej wiarygodnym źródłem informacji z sądu niż Baggy, w okręgu Ford jeszcze nigdy nie wybrano czarnego przysięgłego. Ponieważ kandydaci byli wyłaniany wyłącznie ze spisu wyborców, na listę potencjalnych sędziów przysięgłych trafiało niewielu czarnych. Tych, którzy przeszli przez sito wstępnych pytań, rutynowo odprawiano z kwitkiem, zanim ostatecznie powołano dwanaście osób. W sprawach karnych prokuratura nieodmiennie odrzucała czarnych, uzasadniając to przekonaniem, że za bardzo współczuliby oskarżonym. W sprawach cywilnych odrzucała ich obrona, bo bano się ich jako zbyt liberalnych, gdy chodziło o cudze pieniądze.

Jednak w okręgu Ford tych teorii nigdy nie sprawdzono w praktyce.

\*\*\*

Callie i Esau Ruffinowie zarejestrowali się i uzyskali prawo głosowania w 1951 roku. Razem wkroczyli do urzędu okręgu i poprosili o wpisanie na listę osób uprawnionych do głosowania. Urzędniczka, zgodnie z tym, czego nauczyła się na szkoleniu, wręczyła im zafoliowaną tekturkę z napisem „Deklaracja Niepodległości” biegnącym przez środek. Tekst był po niemiecku.

Kobieta, która przyjęła, że państwo Ruffinowie są analfabetami, jak większość czarnych w okręgu Ford, spytała:

– Czy potraficie to przeczytać?

– To nie jest po angielsku – odpowiedziała Callie. – To po niemiecku.

– Czy potraficie to przeczytać? – zapytała ponownie, uświadamiając sobie, że z tą dwójką będzie miała pełne ręce roboty.

– Potrafię przeczytać z tego tyle co pani – odrzekła Callie uprzejmie.

Urzędniczka zabrała tekturkę i podała im inną.

– A to potraficie przeczytać? – zapytała.

– Potrafię – odparła Callie. – To konstytucja Stanów Zjednoczonych.

– Co jest napisane w punkcie ósmym?

Callie przeczytała powoli i powiedziała:

– Ósma poprawka zakazuje karania nadmiernymi grzywnami i okrutnego karania.

Mniej więcej w tym momencie, w zależności od tego, czyja wersja była opowiadana, Esau pochylał się i mówił:

– Jesteśmy właścicielami nieruchomości.

Kładł akt własności domu na blacie, a urzędniczka go oglądała. Posiadanie nieruchomości nie było warunkiem otrzymania prawa do głosowania, ale w przypadku czarnych stanowiło ogromny atut. Nie bardzo wiedząc, co innego mogłaby zrobić, urzędniczka stwierdziła:

– To wystarczy. Podatek od głosowania wynosi dwa dolary od osoby.

Esau podawał jej pieniądze i tym samym trafiali do spisu wyborców obok trzydziestu jeden innych czarnych, wśród których nie było kobiety.

Nie opuścili żadnego głosowania. Miss Callie cały czas ubolewała nad tym, że tak niewielu z jej przyjaciół zadało sobie trud zarejestrowania się, ale była zbyt zajęta wychowywaniem ósemki dzieci, żeby coś na to poradzić. Niepokoje rasowe, wybuchające prawie w całym stanie Missisipi, ominęły okręg Ford, gdzie nie było zorganizowanych nacisków na rejestrowanie czarnych.

\*\*\*

W pierwszej chwili nie mogłem się zorientować, czy Miss Callie jest zaniepokojona, czy podekscytowana. Nie jestem pewny, czy ona sama to wiedziała. Pierwsza czarna kobieta, która wzięła udział w wyborach, teraz mogła zostać pierwszym czarnym sędzią przysięgłym. Nie cofała się przed żadnym wyzwaniem, ale miała śmiertelnie poważne moralne opory przed sądzeniem drugiego człowieka.

– Nie sądzicie, abyście nie byli sądzeni – powtórzyła kilka razy, cytując Jezusa.

– Ależ gdyby wszyscy przestrzegali tego wersu z Pisma Świętego, zawaliłby się cały nasz wymiar sprawiedliwości, prawda? – zauważyłem.

– Sama nie wiem – powiedziała zapatrzona w dal.

Jeszcze nigdy nie widziałem Miss Callie tak zaaferowanej.

Jedliśmy smażonego kurczaka z tłuczonymi ziemniakami i sosem. Esau nie dał rady przyjść do domu na lunch.

– Jak mam osądzać człowieka, o którym wiem, że jest winny? – spytała.

– Po pierwsze, zapozna się pani z dowodami – wyjaśniłem. – Nie ma pani uprzedzeń. To nie będzie trudne.

– Pan wie, że on ją zabił. Dokładnie to napisał pan w swojej gazecie. – Jej brutalna szczerość za każdym razem bolała mnie tak samo.

– Podaliśmy tylko fakty, Miss Callie. Jeśli w ich świetle wygląda na winnego, to niech i tak będzie.

Tego dnia zdarzały nam się chwile długiego milczenia. Miss Callie była głęboko zamyślona i niewiele jadła.

– A co z karą śmierci? – zapytała. – Czy będą chcieli wpakować tego chłopaka do komory gazowej?

– Tak. To sprawa o zabójstwo karane śmiercią.

– Kto zdecyduje o tym, czy dostanie wyrok śmierci?

– Ława przysięgłych.

– Ojej.

Po tym nie mogła przełknąć ani kęsa. Przyznała mi się, że od chwili, gdy dostała powołanie na sędziego, ma za wysokie ciśnienie. Była nawet u lekarza. Pomogłem jej położyć się na sofie w pokoju i przyniosłem szklanek wody z lodem. Nalegała, żebym dokończył lunch, a ja z przyjemnością jej posłuchałem i zjadłem go w milczeniu. Później doszła trochę do siebie, więc usiedliśmy w bujanych fotelach na werandzie i rozmawialiśmy o wszystkim poza Dannym Padgitem i jego procesem.

W końcu trafiłem w dziesiątkę, gdy zapytałem ją o wpływ Włochów na jej życie. Przy naszym pierwszym lunchu powiedziała mi, że nauczyła się włoskiego, zanim poznała angielski. Siedmioro z jej ósemki dzieci nosiło włoskie imiona.

Opowiedzenie komuś długiej historii było jej potrzebne. Ja zaś nie miałem nic innego do roboty.

\*\*\*

W latach dziewięćdziesiątych XIX wieku ceny bawełny dramatycznie wzrosły, ponieważ na całym świecie zwiększył się na nią popyt. Żyzne regiony Południa znalazły się pod presją zwiększenia produkcji. Właściciele wiel-

kich plantacji w delcie Missisipi chcieli, by zbiory były jak największe, ale pojawił się poważny problem braku siły roboczej. Wielu czarnych zdolnych do pracy uciekło z ziemi swoich przodków niewolników w poszukiwaniu lepszej roboty i na pewno lepszego życia na Północy. Ci, którzy zostali, byli mało entuzjastycznie nastawieni do zbierania bawełny za psie pieniądze, i trudno im się dziwić.

Właściciele plantacji wpadli na pomysł sprowadzenia imigrantów z Europy – ciężko pracujących tam robotników. Z pomocą włoskich pośredników pracy z Nowego Jorku i Nowego Orleanu nawiązano kontakty, wymieniono obietnice i kłamstwa, dobito targu i w 1895 roku do delty dotarł pierwszy transport z całymi rodzinami. Ci ludzie pochodzili z północnych Włoch, z regionu Emilia-Romania, z okolic Werony. W większości byli kiepsko wykształceni i słabo mówili po angielsku, choć niezależnie od języka szybko zorientowali się, że padli ofiarą gigantycznego przekrętu. Zapewniono im nędzne warunki bytowe w subtropikalnym klimacie, musieli walczyć z malarią, komarami i wężami, pić zanieczyszczoną wodę, a przy tym kazano im uprawiać bawełnę za wynagrodzenie, z którego nie dawało się wyżyć. Byli zmuszani do zaciągania u właścicieli plantacji pożyczek na lichwiarski procent. Wszystko, co kupowali, pochodziło ze sklepu należącego do plantatorów i było bardzo drogie.

Ponieważ Włosi umieli ciężko pracować, plantatorzy chcieli mieć ich więcej. Dobrze zamaskowali swoje zamiary, złożyli kolejne obietnice większej liczbie włoskich pośredników, a imigranci nie przestawali napływać. System pracy za długi działał doskonale. Włochów traktowano gorzej niż większość czarnych robotników rolnych.

Z czasem zaczęto dążyć do dzielenia się z nimi zyskiem i przekazywać im ziemię na własność, ale rynek bawełny zrobił się tak niestabilny, że trudno było zawierać wiążące umowy. Po dwudziestu latach cynicznego wykorzystywania Włosi ostatecznie rozproszyli się po kraju i eksperyment bawełniany przeszedł do historii.

Tych, którzy zostali w delcie, przez dziesięciolecia traktowano jak obywateli drugiej kategorii. Nie przyjmowano ich do szkół, a ponieważ byli katolikami, krzywo patrzono na nich w kościołach. Country cluby były poza ich zasięgiem. Nazywano ich makaroniarzami i spychano na sam dół drabiny społecznej. Jednak ponieważ ciężko pracowali i oszczędzali pieniądze, powoli gromadzili ziemię.

Rodzina Rossettich trafiła do Leland w stanie Missisipi w 1902 roku. Pochodzili z wioski niedaleko Bolonii i mieli pecha, bo posłuchali nie tego pośrednika pracy, którego należało posłuchać. Państwo Rossetti przywieźli ze sobą cztery córki, z których najstarszą była dwunastoletnia Nicola. Choć przez pierwszy rok często chodzili głodni, to jednak przetrwali. Przyjechali bez centa przy duszy i po trzech latach wyzysku dorobili się sześciu tysięcy dolarów długu u plantatora i nie mieli najmniejszych szans na jego spłacenie. Uciekli z delty w środku nocy i pociągiem towarowym dojechali do Memphis, gdzie przygarnął ich jakiś daleki krewny.

W wieku piętnastu lat Nicola była oszałamiająco śliczna. Długie ciemne włosy, piwne oczy – klasyczna włoska piękność. Wyglądała poważnie jak na swoje lata. Udało jej się dostać pracę w sklepie z odzieżą, bo powiedziała właścicielowi, że jest osiemnastolatką. Po trzech dniach mężczyzna się jej oświadczył. Chciał się rozwieść z żoną, z którą był od dwudziestu lat, i zostawić dzieci, jeśli Nicola zgodziłaby się z nim uciec. Nie chciała. Zaproponował pięć tysięcy dolarów panu Rossettiemu, żeby tylko namówił córkę. Ojciec powiedział „nie”.

W tamtych czasach bogate rodziny farmerów z północnych regionów Missisipi robiły zakupy i spotykały się towarzysko w Memphis, zwykle w okolicach hotelu Peabody. To właśnie tam Zachary DeJarnette z Clanton wpadł przez przypadek na Nicolę Rossetti. Dwa tygodnie później byli małżeństwem.

On miał trzydzieści jeden lat, był bezdzietnym wdowcem, bardzo poważnie traktującym znalezienie nowej partnerki życiowej. Okazał się również właścicielem największej posiadłości w okręgu Ford, gdzie ziemia nie była tak żyzna jak w delcie, nadal jednak mogła przynosić zyski, jeśli miało się jej wystarczająco dużo. Pan DeJarnette odziedziczył po rodzicach prawie półtora tysiąca hektarów. Jego dziadek był kiedyś właścicielem dziadka Calii Harris Ruffin.

Małżeństwo stanowiło rodzaj umowy związanej. Nicola, znacznie mądrzejsza, niż wskazywałyby na to jej wiek, chciała zadbać o dobro swojej rodziny, która tyle wycierpiała. Dostrzegła okazję i w pełni ją wykorzystała. Zanim zgodziła się wyjść za mąż, pan DeJarnette musiał obiecać, że nie tylko zatrudni jej ojca jako nadzorcę na farmie, ale też zapewni całej rodzinie komfortowe mieszkanie. Zgodził się również łożyć na wykształcenie jej trzech młodszych sióstr, a nawet spłacić dług zaciągnięty przez Rossettich u planta-

tora z delty Missisipi. Pan DeJarnette był tak zauroczony Nicolą, że zgodziłby się na wszystko.

Pierwsi Włosi przyjechali do okręgu Ford nie zdezelowanym wozem ciągniętym przez woły, ale w wagonie pierwszej klasy kolei Illinois Central. Czekaający na dworcu ludzie DeJarnette'a pomogli im wynieść z pociągu nowiutkie walizy i zaprowadzili do dwóch fordów 1904 model T. Rodzina Rossettich była traktowana po królewsku, gdy z panem DeJarnettem chodziła w Clanton z jednego przyjęcia na drugie. W mieście zachwycano się olśniewającą urodą panny młodej. Mówiono o ceremonii ślubnej, która stałaby się czymś w rodzaju rekompensaty za pośpieszny ślub w Memphis, ale ponieważ w Clanton nie było katolickiego kościoła, sprawa rozeszła się po kościach. Państwo młodzi musieli jeszcze rozwiązać delikatny problem wyboru religii. Jednak gdyby Nicola poprosiła pana DeJarnette'a, żeby przeszedł na hinduizm, nawet by się nie zawahał.

W końcu dotarli do głównej rezydencji pana młodego na obrzeżach miasta. Kiedy rodzina Rossettich skręciła w długi podjazd i zobaczyła okazały dom, zbudowany jeszcze przed wojną secesyjną przez pierwszego DeJarnette'a, w ich oczach błysnęły łzy.

Postanowiono, że zamieszkają tam do czasu, aż dom nadzorcy zostanie odnowiony i przygotowany. Nicola szybko weszła w rolę żony ziemianina. Bardzo starała się zająć w ciążę. Młodszym siostronom zapewniono prywatnych nauczycieli i już po kilku tygodniach mówiły po angielsku.

Pan Rossetti spędzał całe dnie z zięciem, który był starszy od niego tylko o trzy lata, i nauczył się, jak zarządzać plantacją.

Pani Rossetti zaś poszła do kuchni, gdzie spotkała matkę Callie, Indię.

– Moja babka gotowała dla DeJarnette'ów, podobnie jak moja matka – opowiadała Miss Callie. – Myślałam, że i ja będę to robiła, ale ułożyło się inaczej.

– Czy Zack i Nicola mieli dzieci? – zapytałam. Piłem trzecią albo czwartą szklankę herbaty. Było gorąco, lód się rozpuścił. Miss Callie mówiła od dwóch godzin i zapomniała o powołaniu na sędziego i procesie Padgitta.

– Nie. To było bardzo smutne, bo rozpaczliwie chcieli mieć dzieci. Kiedy się urodziłam, w tysiąc dziewięćset jedenastym roku, Nicola praktycznie zabrała mnie od matki. Uparła się, żebym miała włoskie imię. Trzymała mnie u siebie w dużym domu. Mojej matce nie robiło to różnicy – miała mnóstwo innych dzieci, poza tym przebywała w tym domu przez cały dzień.

– A co robił pani ojciec? – chciałem wiedzieć.

– Pracował na plantacji. To było dobre miejsce do pracy i do życia. Mieliśmy szczęście, bo DeJarnette'owie się nami opiekowali. To byli dobrzy, poczciwi ludzie. Zawsze. W przypadku większości Murzynów sprawy wyglądały znacznie gorzej. Wtedy życie czarnych było kontrolowane przez białych, do których należał ich dom. Kiedy biały był zły, grubiański, życie czarnego stawało się męką. DeJarnette'owie byli cudownymi ludźmi. Mój ojciec, dziadek i pradziadek pracowali na ich ziemi i nigdy nie potraktowano ich źle.

– A Nicola?

Miss Callie uśmiechnęła się po raz pierwszy od godziny.

– Bóg mi błogosławił. Miałam dwie matki. Ubierała mnie w rzeczy kupowane w Memphis. Kiedy byłam mała, uczyła mnie mówić po włosku, a jednocześnie uczyłam się angielskiego. Gdy rozpoczęłam naukę czytania, miałam trzy lata.

– Nadal mówi pani po włosku?

– Nie. To było dawno temu. Nicola uwielbiała opowiadać mi historie o małej dziewczynce we Włoszech i obiecywała, że któregoś dnia zabierze mnie tam, żebym zobaczyła kanały w Wenecji, Watykan w Rzymie i wieżę w Pizie. Uwielbiała śpiewać i otworzyła przede mną świat opery.

– Była wykształcona?

– Jej matka chodziła do jakiejś szkoły, ojciec nie. Zadbala, żeby Nicola i jej siostry potrafiły pisać i czytać. Obiecywała mi, że pójdę do college'u gdzieś na Północy, może nawet w Europie, gdzie ludzie są bardziej tolerancyjni. W latach dwudziestych sama myśl, że czarna kobieta idzie do college'u, wydawała się szaleństwem.

Jej opowieść stała się wielowątkowa. Chciałem coś z tego zapisać, ale nie wziąłem notesu. To niezwykle: młoda Murzynka mieszkająca w rezydencji sprzed wojny secesyjnej, mówiąca po włosku i słuchająca opery w Missisipi, a to wszystko przed pięćdziesięciu laty.

– Pracowała pani w tym domu? – spytałem.

– O tak, kiedy podrosłam. Byłam gospodynią, ale nigdy nie musiałam pracować tak ciężko jak inni. Nicola chciała, żebym była blisko niej. Codziennie siedziałyśmy przynajmniej godzinę w jej salonie i ćwiczyłyśmy wymowę. Bardzo zależało jej na pozbyciu się włoskiego akcentu, była też zdeterminowana, by nauczyć mnie idealnej dykcji. Każdego ranka posyłała samochód po emerytowaną nauczycielkę, starą pannę o nazwisku Tucker. Przy gorącej

herbacie czytałyśmy, a pani Tucker poprawiała nawet najmniejsze niedociągnięcia. Uczyłyśmy się gramatyki, zapamiętywałyśmy słówka. Nicola nie odpuszczała, aż nauczyła się idealnie mówić po angielsku.

– A co z college'em?

Nagle Miss Callie poczuła się zmęczona. Opowieść dobiegła końca.

– Ach, proszę pana, to było bardzo smutne. W latach dwudziestych pan DeJarnette stracił wszystko. Bardzo dużo zainwestował w kolej, statki, obligacje i tym podobne i niemal z dnia na dzień stał się bankrutem. Zastrzelił się, ale to już zupełnie inna historia.

– Co się stało z Nicolą?

– Udało się jej utrzymać dom aż do drugiej wojny światowej. Potem przeprowadziła się do Memphis z państwem Rossetti. Przez lata pisałyśmy do siebie co tydzień. Do dziś mam te listy. Zmarła cztery lata temu. Nadal stają mi łzy w oczach, gdy o niej pomyślę. Jak ja kochałam tę kobietę. – Jej głos zaczął cichnąć, a ja wiedziałem z doświadczenia, że jest gotowa do drzemki.

Późnym wieczorem tego dnia zagrzebałem się w archiwum „Timesa”. W numerze z dwunastego września 1930 roku pierwsza strona była poświęcona samobójstwu Zachary'ego DeJarnette'a. Załamany bankructwem, zostawił nowy testament i list pożegnalny do żony, a potem, żeby ułatwić sprawy innym, pojechał do domu pogrzebowego w Clanton. Wszedł tam tylnymi drzwiami z dwulufową strzelbą, znalazł pomieszczenie, gdzie balsamowano zwłoki, usiadł, zdjął but, włożył sobie lufę do ust i dużym palcem u nogi pociągnął za cyngiel.



## Rozdział 14

---

**W** poniedziałek dwudziestego drugiego czerwca na procesie Danny'ego Padgitta stawili się prawie wszyscy spośród stu kandydatów na przysięgłych. Brakowało ośmiu osób. Jak się wkrótce przekonaliśmy, czworo z nich nie żyło, a czworo po prostu zniknęło. Pozostali w większości wyglądali na zaniepokojonych. Baggy powiedział, że w chwili przybycia do sądu przysięgli zwykle nie mają pojęcia, do której sprawy zostaną przydzieleni. Ale w przypadku procesu Padgitta tak nie było. Wszyscy mieszkańcy okręgu Ford wiedzieli, że ten wielki dzień w końcu nadejdzie.

Nic tak nie przyciąga uwagi tłumu w małej miejscinie jak dobry proces o morderstwo. Sala rozpraw była pełna już przed dziewiątą. Kandydaci na przysięgłych siedzieli po jednej stronie, publiczność po drugiej. Stary balkon nad nami niemal się ugiął. Ludzie stali pod ścianami. W ramach demonstracji siły szeryf Coley ściągnął z okolicy wszystkich umundurowanych ludzi, którzy snuli się, usiłowali wyglądać na ważnych i nie robili niczego pożytecznego. Pomyślałem, że to idealna okazja do dokonania napadu na bank.

Ja i Baggy siedzieliśmy w pierwszym rzędzie. Baggy'emu udało się przekonać urzędnika sądowego, że jako przedstawiciele prasy mamy prawo do akredytacji i dlatego należą nam się specjalne miejsca. Obok mnie usiadł

dziennikarz z gazety z Tupelo, miły człowiek, który śmierdział tanim tyto-  
niem fajkowym. Podzieliłem się z nim informacjami o szczegółach morder-  
stwa, oczywiście nieoficjalnie. Wyglądał, jakby moja wiedza zrobiła na nim  
wrażenie.

Padgittowie stawili się w pełnym składzie. Siedzieli na krzesłach przysu-  
niętych do stołu obrony, skupieni wokół Luciena Wilbanka i Danny'ego, ni-  
czym złodzieje w melinie, którymi przecież byli. Zachowywali się aroganc-  
ko, wyglądali złowrogo, a ja wbrew sobie poczułem, że ich wszystkich niena-  
widzę. Nie znałem ich imion – bardzo niewiele osób je znało – ale kiedy na  
nich patrzyłem, zastanawiałem się, który z litrami benzyny zakradł się w roli  
niekompetentnego podpalacza do naszej drukarni. W teczce miałem rewol-  
wer. Jestem pewny, że oni też mieli pod ręką broń. Jeden fałszywy ruch tu  
czy tam i mogłoby dojść do staromodnej strzelaniny. Jeśli doda się do tego  
szeryfa Coleya i jego kiepsko wyszkolonych, ale narwanym chłopaczków,  
kule zmiotłyby z powierzchni ziemi połowę mieszkańców miasta.

Zauważyłem, że kilku Padgittów zerka w moją stronę, ale o wiele bardziej  
niż ja niepokoił ich kandydaci na przysięgłych. Przyglądali im się uważnie,  
gdy wchodzili i byli pouczani przez urzędnika. Padgittowie i ich prawnicy  
spoglądali na listy, które skądś zdobyli. Porównywali spostrzeżenia.

Danny był ładnie, ale zwyczajnie ubrany w białą koszulę z długimi rękaw-  
kami i uprasowane w kant spodnie khaki. Poinstruowany przez Wilbanka  
często się uśmiechał, jakby był miłym facetem, którego niewinność zostanie  
wkrótce udowodniona.

Ernie Gaddis i jego niewielki zespół siedzieli po drugiej stronie przejścia  
i też nie spuszczały oczu z kandydatów na przysięgłych. Gaddis miał dwóch  
asystentów, z których jeden był pomocnikiem, a drugi pracującym na część  
etatu prokuratorem. Ten drugi nazywał się Hank Hooten. Pomocnik przyniósł  
akta i teczki. Hooten najwyraźniej nic nie robił, był po prostu potrzebny, żeby  
Ernie miał z kim konferować.

Baggy pochylił się, wybierając ten moment, żeby ze mną poszeptać.

– Ten facet, o tam, w brązowym garniturze – powiedział, wskazując Ho-  
otena. – To on pieprzył Rhodę Kassellaw.

Przeżyłem szok i było to po mnie widać. Odsunąłem się gwałtownie w pra-  
wo i popatrzyłem na Baggy'ego. Kiwał głową, zadowolony z siebie, i dodał  
to, co zawsze mówił, kiedy miał sensacyjne informacje o czymś wyjątkowo  
paskudnym:

– Możesz mi wierzyć.

To oznaczało, że nie ma najmniejszych wątpliwości. Baggy często się mylił, ale wątpliwości nie miał nigdy.

Hooten wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat, miał przedwcześnie posiwiałe włosy, był elegancko ubrany i na swój sposób przystojny.

– Skąd on jest? – zapytałam, również szeptem.

Na sali panował gwar, bo wszyscy czekali na sędziego Loopusa.

– Stąd. Zajmuje się prawem majątkowym, raczej błahymi sprawami. Prawdziwy dupek. Dwa razy się rozwodził i ciągle jest na łowach.

– Czy Gaddis wie, że jego asystent widywał się z ofiarą?

– Nie, do diabła. Ernie odsunąłby go wtedy od sprawy.

– Myślisz, że Wilbanks wie?

– Nikt nie wie – odpowiedział Baggy z jeszcze większym przekonaniem.

Można było pomyśleć, że osobiście przyłapał ich w łóżku, a potem trzymał to w tajemnicy aż do tej chwili w sądzie. Nie do końca mu wierzyłem.

Miss Callie zjawiła się kilka minut przed dziewiątą. Esau wszedł z nią na salę sądową, ale potem musiał wyjść, bo nie znalazł wolnego miejsca. Zgłosiła się do urzędnika, który wyznaczył jej miejsce w trzecim rzędzie, i dostała kwestionariusz do wypełnienia. Rozglądała się za mną, ale dzieliło nas zbyt dużo ludzi. Wśród kandydatów naliczyłem czterech innych czarnych.

Woźny kazał wszystkim wstać – gdy ludzie odsuwali krzesła, trzęsła się podłoga. Wszedł sędzia Loopus i powiedział, że możemy usiąść – podłoga znów zadrzała. Od razu przeszedł do rzeczy i widać było, że jest w dobrym nastroju. Salę zapełniali wyborcy, a on za dwa lata miał się ubiegać o reelekcję, choć nigdy nie miał konkurenta. Sześciu kandydatów od razu wykluczono, bo przekroczyli sześćdziesiąty piąty rok życia. Pięciu zwolniono z obowiązku z powodu stanu zdrowia. Ranek zaczynał się dłużyć, a ja nie mogłem oderwać wzroku od Hanka Hootena. Bez wątplenia wyglądał na mężczyznę lubiącego kobiety.

Kiedy skończyły się pytania wstępne, liczba kandydatów zmniejszyła się do siedemdziesięciu jeden zakwalifikowanych zgodnie z przepisami. Miss Callie siedziała teraz w drugim rzędzie, co nie było dobrym znakiem, jeśli chciała uniknąć roli przysięgłego. Sędzia Loopus oddał głos Erniemu Gaddisowi, który znowu przedstawił się kandydatom i wyjaśnił w długim przemówieniu, że reprezentuje stan Missisipi, podatników, obywateli, którzy wybrali go, żeby ścigał ludzi popełniających przestępstwa. Mówił, że jest adwokatem

narodu.

Jest tu, bo ma oskarżać pana Danny'ego Padgitta, któremu Wielka Ława Przysięgłych, złożona ze współobywateli kandydatów, postawiła zarzut dokonania gwałtu i morderstwa na osobie Rhody Kassellaw. Spytał, czy to możliwe, że któreś z nich nie słyszało o tym morderstwie. Nie podniosła się nawet jedna ręka.

Ernie przemawiał do przysięgłych od trzydziestu lat. Zachowywał się przyjacielsko, mówił gładko, sprawiał wrażenie, że można z nim wszystko przedyskutować, nawet podczas jawnej rozprawy sądowej. Powoli przeszedł do kwestii zastraszania. Czy ktoś spoza rodziny kontaktował się z wami w związku z tą sprawą? Jakiś obcy człowiek? Czy może któryś z przyjaciół próbował wpływać na waszą opinię? Wezwania zostały wam przesłane pocztą, lista potencjalnych sędziów jest utajniona. Nikt nie miał prawa wiedzieć, że jesteście kandydatami na przysięgłych. Czy ktoś wam o tym wspominał? Czy ktoś wam groził? Ktoś coś proponował? Gdy Ernie zadawał te pytania kandydatom, na sali panowała cisza.

Nikt nie podniósł ręki, bo też po nikim tego nie oczekiwano. Niemniej Erniemu udało się przekazać wiadomość, że Padgittowie to ludzie mrocznego świata nielegalnej działalności w okręgu Ford. Zawiesił nad nimi jeszcze czarniejsze chmury, bo zostawił po sobie wrażenie, że on, jako prokurator okręgowy i adwokat narodu, zna prawdę.

Kończąc, zadał pytanie, które zabrzmiało niczym wystrzał z karabinu:

– Czy wszyscy państwo zrozumieliście, że próby manipulowania sędziami przysięgłymi to przestępstwo?

Wszyscy mieli takie miny, jakby rozumieli.

– I że ja, jako prokurator, będę ścigał, oskarżał i stawiał przed sądem tych, którzy się tego dopuszczają, i zrobię, co w mojej mocy, żeby zostali skazani. Zrozumieliście to wszyscy?

Kiedy Gaddis skończył, poczuliśmy się jak ludzie, którzy dopuścili się manipulacji. Każdy, kto rozmawiał o tej sprawie, co, rzecz jasna, dotyczyło wszystkich obecnych na sali sądowej, miał wrażenie, że Ernie postawi go przed sądem jeśli nie od razu, to będzie go ścigał aż po grób.

– Skuteczny jest – powiedział dziennikarz z Tupelo.

Lucien Wilbanks zaczął rozwlekły i nudny wykład o domniemaniu niewinności i jego fundamentalnym znaczeniu dla amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości. Niezależnie od tego, co przeczytali w lokalnej gazecie – w tym

momencie pozwolił sobie na pełne pogardy spojrzenie w moim kierunku – jego klient siedzący w tej chwili na sali jest niewinnym człowiekiem. Jeśli ktoś uważa inaczej, to on lub ona powinni podnieść rękę i powiedzieć to głośno.

Nikt nie podniósł ręki.

– Doskonale. W takim razie wasze milczenie mówi Wysokiemu Sądowi, że wszyscy możecie spojrzeć w tej chwili na Danny'ego Padgitta i powiedzieć, że jest niewinny. Możecie państwo to zrobić?

Wbijał im to do głów stanowczo za długo, a potem przerzucił się na udowodnienie winy i wygłosił kolejny wykład o ogromnym wyzwaniu, jakim jest niebudzące najmniejszych wątpliwości wykazanie przez prokuratora winy jego klienta.

Te dwie uświęcone formy ochrony – domniemanie niewinności i niepodważalne udowodnienie winy – dał nam wszystkim, łącznie z sędziami przysięgłymi, bardzo mądry człowiek, który napisał naszą konstytucję i Deklarację Praw Człowieka.

Zbliżało się południe i wszyscy niecierpliwie czekali na przerwę. Wyglądało na to, że uszło to uwagi Wilbanka, który nie przestawał głądzić. Kiedy piętnaście po dwunastej wreszcie usiadł, Loopus oznajmił głośno, że umiera z głodu. Mieliśmy wrócić na salę o czternastej.

W pokoju barowym na górze zjadłem kanapkę w towarzystwie Baggy'ego i jego koleśków, trzech podstarzałych prawników, którzy dawno wypadli z obiegu, ale od lat nie opuścili żadnego procesu. Baggy naprawdę potrzebował szklaneczki whisky, ale z jakiegoś niewyjaśnionego powodu uznał, że najpierw praca, potem przyjemność. Jego koledzy nie mieli tego problemu. Urzędnik sądowy dał nam uaktualnioną listę kandydatów na przysięgłych. Miss Callie miała numer dwudziesty drugi, była jedyną czarną z trzech powołanych kobiet.

Uważano, że obrona nie odrzuci jej kandydatury, bo jest Murzynką, a czarni, zgodnie z dominującą teorią, współczuli ludziom oskarżonym o popełnienie przestępstwa. Nie bardzo wiedziałem, z jakiego powodu osoba o czarnym kolorze skóry miałaby współczuć takiemu białemu łobuzowi jak Danny Padgitt, ale prawnicy trwali w przeświadczeniu, że Lucien Wilbanks bardzo chętnie widziałby ją wśród przysięgłych.

W ramach tej samej teorii oskarżenie skorzysta z arbitralnego prawa do wyłączenia jej z listy przysięgłych. Niekoniecznie, powiedział Chick Elliot,

najstarszy i najbardziej pijany z paczki.

– Na miejscu prokuratora bym ją wybrał – rzekł i pociągnął potężny łyk bourbona.

– Dlaczego? – zapytał Baggy.

– Bo teraz wszyscy bardzo dobrze ją znamy dzięki „Timesowi”. Wiadomo, że jest wrażliwą, bogobojną, cytującą Biblię patriotką, która wychowała wszystkie dzieci żelazną ręką i nie bała się im przyłożyć, kiedy coś przeszkobiły.

– Zgadzam się – powiedział Tackett, najmłodszy z tej trójki. No ale Tackett miał skłonność do zgadzania się z każdą teorią dominującą w danej chwili. – Dla oskarżenia byłaby idealnym przysięgłym. Poza tym jest kobietą. A to sprawa o gwałt. Gdybym mógł, wziąłbym same kobiety.

Kłócili się tak przez godzinę. Było to moje pierwsze spotkanie z nimi i nagle zrozumiałem, skąd Baggy bierze tyle różnych opinii o tak wielu sprawach. Choć starałem się tego nie okazać, zaniepokoiło mnie, że moje długie i szczegółowe opowieści o Miss Callie mogą w jakiś sposób się na niej odbić.

\*\*\*

Po lunchu sędzia Loopus przeszedł do najpoważniejszego etapu przesłuchania kandydatów: do kwestii kary śmierci. Wyjaśnił naturę przestępstw zagrożonych tą karą i objaśnił procedury, według których będą postępowali, a potem znów udzielił głosu Erniemu Gaddisowi.

Kandydat numer jedenaście należał do jakiegoś mało znanego Kościoła i dał jasno do zrozumienia, że nigdy nie zgodziłby się na posłanie kogoś do komory gazowej. Kandydat numer trzydzieści cztery był weteranem dwóch wojen i żywił głębokie przekonanie, że kara śmierci nie jest stosowana wystarczająco często. To, rzecz jasna, cieszyło Erniego, który po kolei pytał kandydatów o ich stosunek do osądzania innych i wydawania wyroków śmierci. W końcu zadał te pytania Miss Callie.

– Zatem, pani Ruffin, czytałem o pani i wiem, że jest pani bardzo religijną kobietą. Czy mam rację?

– Tak, proszę pana, głęboko wierzę w Boga – odpowiedziała wyraźnie jak zawsze.

– Czy waha się pani, gdy osądza pani innych ludzi?

– Tak, proszę pana.

- Czy chce pani zostać wyłączona ze składu przysięgłych?
- Nie. Bycie tutaj to mój obywatelski obowiązek, podobnie jak wszystkich innych.
- Jeśli zostanie pani wybrana do składu sędziowskiego, a przysięgli uznają, że pan Padgitt jest winny zarzucanych mu czynów, zagłosuje pani za wyrokiem śmierci?
- Z pewnością bym tego nie chciała.
- Moje pytanie brzmiało: zagłosowałyby pani?
- Respektuję prawo, podobnie jak wszyscy pozostali kandydaci. Jeśli zgodnie z literą prawa musielibyśmy rozważyć wyrok śmierci, wtedy zastosuję się do tego prawa.

\*\*\*

Cztery godziny później Calia Harris Ruffin została jako ostatnia wybrana do składu ławy przysięgłych – jako pierwsza czarna kobieta wypełniająca ten obowiązek na sali sądowej w okręgu Ford. Pijacy z pokoju barowego mieli rację: obrona ją chciała, bo była czarna. Oskarżyciele ją chcieli, bo dobrze ją znali. Poza tym Ernie Gaddis musiał zachować możliwość wykreślenia z listy mniej wyróżniających się kandydatów.

Późnym wieczorem tamtego dnia siedziałem w swoim pokoju w redakcji i pisałem artykuł o pierwszej rozprawie i wyborze sędziów przysięgłych, gdy z dołu dobiegł znany hałas. Harry Rex zawsze otwierał z hukiem drzwi i tupał buciorami o drewnianą podłogę, więc wszyscy w „Timesie”, niezależnie od pory dnia, od razu wiedzieli, że przyszedł.

- Willie! Mały! – zawołał.
- Jestem na górze! – odkrzyknąłem.
- Wtarabanił się po schodach i klapnął ciężko na swój ulubiony fotel.
- I co myślisz o przysięgłych? – zapytał.
- Wyglądał na trzeźwego.
- Znam tylko jednego z nich – odpowiedziałem. – A ty, ilu znasz?
- Siedmiu.
- Twoim zdaniem wybrali Miss Callie z powodu moich artykułów?
- Ano – powiedział jak zawsze brutalnie szczerzy. – Wszyscy o niej mówili. Obu stronom wydawało się, że ją znają. Jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty i nigdy nie mieliśmy czarnego przysięgłego. Wydaje się równie

dobra jak każdy. Czy to cię martwi?

– Chyba tak.

– Dlaczego? Co jest złego w byciu przysięgłym? Najwyższy czas, żebyśmy brali do ławy czarnych. Ona i jej mąż zawsze wyrywali się do przełamywania barier. To nie jest niebezpieczne. Znaczy, w normalnych okolicznościach.

Nie rozmawiałem tego dnia z Miss Callie i nie będę mógł rozmawiać aż do końca procesu. Sędzia Loopus nakazał tygodniowe odosobnienie przysięgłych. Do tego czasu zostali już zawiezieni do jakiegoś motelu w innym mieście i tam ukryci.

– Jakaś podejrzana osoba w składzie przysięgłych? – zapytałem.

– Może. Wszyscy niepokoją się o kalekiego chłopaka z okolic Dumas. Nazywa się Fargarson. Uszkodził sobie kręgosłup w tartaku należącym do jego wuja, który wiele lat temu sprzedawał drewno Padgittom. Chłopak ma charakter. Gaddis chciał go wykreślić, ale skończyły mu się możliwości.

„Chłopak” kaleka chodził o lasce i miał co najmniej dwadzieścia pięć lat. Tyle że Harry Rex nazywał tak każdego mężczyznę młodszego od siebie, zwłaszcza mnie.

– Ale po Padgittach wszystkiego można się spodziewać – mówił. – Chole-  
ra, do tej pory mogli już kupić połowę przysięgłych.

– Naprawdę w to wierzysz?

– Coś ty, ale przekupiony przysięgły wcale nie byłby dla mnie zaskoczeniem. Może potrzebne będą dwa albo trzy podejścia, zanim Ernie dopadnie tego chłopaka.

– Ale Danny trafi do więzienia, jak myślisz?

Przerażała mnie myśl, że Danny Padgitt może uniknąć kary. Wszystko, co miałem, zainwestowałem w Clanton, ale jeśli tutejszy wymiar sprawiedliwości okaże się aż tak skorumpowany, nie zamierzałem tu zostać.

– Dobiorą mu się do tyłka – powiedział Harry.

– To dobrze. Kara śmierci?

– Mógłbym się założyć, że ostatecznie tak. To jest karcący wymiar Biblii. Oko za oko i reszta tych bzdetów. Loopus robi wszystko, żeby pomóc Erniemu w uzyskaniu wyroku śmierci.

Wtedy popełniłem błąd, bo spytałem go, dlaczego pracuje do tak późnej pory. Rozwodzący się klient wyjechał z miasta w interesach, a potem wrócił ukradkiem, żeby przyłapać żonę z kochankiem. Klient i Harry Rex spędzili



ostatnie dwie godziny w wypożyczonym pick-upie zaparkowanym koło motelu, gdzie łóżko nie służyło bynajmniej do spania. Jak się okazało, żona miała dwóch kochasiów. Opowiadał mi tę historię przez pół godziny.

## Rozdział 15

---

**W**e wtorkowy ranek zmarnowano prawie dwie godziny w gabinecie sędziego na jakieś zawzięcie oprotestowywane wnioski.

– Prawdopodobnie chodzi o zdjęcia – powtarzał Baggy. – Zawsze kłóć się o zdjęcia.

Ponieważ nie zostaliśmy dopuszczeni do ich prywatnej wojenki, czekaliśmy niecierpliwie w sali rozpraw, trzymając miejsca. Zapisalem całe kartki bezużytecznymi notatkami, bazgrząc jak kura pazurem, co na pewno wzbudziłoby podziw każdego weterana dziennikarstwa. Pisanie dawało mi jakieś zajęcie, a poza tym mogłem utrzymać wzrok z dala od zerkających na mnie Padgittów. Ponieważ przysięgłych nie było na sali, krewni oskarżonego skupiali uwagę na publiczności, a szczególnie na mnie.

Przysięgli zostali zamknięci w sali narad, której drzwi pilnowali zastępcy szeryfa, jakby ktoś atakiem na nich mógł coś zyskać. Sala znajdowała się na pierwszym piętrze i miała duże okna wychodzące na wschodnią część trawnika przed budynkiem sądu. Pod jednym z nich zamontowano głośny klimatyzator, który, jeśli pracował na pełnych obrotach, słychać było na całym rynku. Myślałem o Miss Callie i jej ciśnieniu krwi. Wiedziałem, że czyta Biblię, i być może to ją uspokajało. Z samego rana zadzwoniłem do Esaua. Bardzo

się denerwował, że została wywieziona w jakieś nieznane miejsce i odizolowana.

Siedział w tylnym rzędzie i czekał razem z nami wszystkimi.

Kiedy sędzia Loopus i prawnicy wreszcie się zjawili, wyglądali, jakby właśnie skończyli bójkę na pięści. Sędzia skinął na woźnego, a ten przyprowadził przysięgłych. Loopus powitał ich, podziękował, zapytał o warunki zakwaterowania, przeprosił za niewygodę, przeprosił za opóźnienie, a potem obiecał, że sprawa ruszy naprzód.

Ernie Gaddis zajął miejsce przed stołem sędziowskim i wygłosił oświadczenie wstępne skierowane do przysięgłych. Trzymał w ręku notes, ale do niego nie zaglądał. Wyjątkowo sprawnie wyliczył zarzuty stawiane Danny'emu Padgittowi, które miał zamiar udowodnić. Kiedy przedstawione zostaną wszystkie dowody, przesłuchani wszyscy świadkowie, adwokaci zamilkną, a sędzia się wypowie, wymierzenie sprawiedliwości znajdzie się w rękach przysięgłych. Nie miał wątpliwości, że uznają Danny'ego Padgitta za winnego dopuszczenia się gwałtu i morderstwa. Nie zmarnował ani jednego słowa, a każde, które wypowiedział, miało swoją wagę. Na szczęście mówił krótko. Jego pewność siebie i celne uwagi niosły wyraźne przesłanie, że ma za sobą fakty i argumenty i uzyska wyrok, o jaki mu chodzi. Nie będzie potrzebował długiej, emocjonalnej przemowy, żeby przekonać sędziów przysięgłych.

Baggy często powtarzał: „Kiedy sprawa budzi wątpliwości, prawnicy zawsze mówią znacznie więcej”.

Co dziwne, Lucien Wilbanks postanowił odłożyć oświadczenie wstępne do czasu, aż zostaną przedstawione konkretne zarzuty, co było rzadko stosowaną praktyką.

– Coś knuje – wymamrotał Baggy, jakby on i Lucien mieli łączność telepatyczną. – Co raczej nie byłoby zaskoczeniem.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był szeryf Coley we własnej osobie. Do jego obowiązków należało zeznawanie w procesach sądowych w sprawach karnych, ale można było poważnie wątpić, czy kiedykolwiek przyszło mu do głowy, że dojdzie do sytuacji, gdy będzie musiał występować przeciwko Padgittom. Za kilka miesięcy miał ubiegać się o reelekcję i zrobienie dobrego wrażenia na wyborcach było dla niego ważne.

Dzięki temu, że Gaddis wszystko drobiazgowo zaplanował i umiejętnie prowadził świadka, szybko omówili przebieg zbrodni. Pokazano ogromne

plany domu Kassellaw, domu państwa Deece'ów, mapę dróg wokół Beech Hill i dokładnie określono miejsce, w którym Danny Padgitt został aresztowany. Pokazano fotografie tych okolic. Potem były zdjęcia ciała Rhody, seria odbitek dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Reakcja przysięgłych była zdumiewająca. Na każdej twarzy malował się szok. Niektórzy się krzywili. Niektórzy otworzyli usta. Miss Callie zamknęła oczy i najwyraźniej zaczęła się modlić. Kolejna kobieta ze składu sędziowskiego, Barbara Baldwin, w pierwszej chwili zachłysnęła się powietrzem i odwróciła wzrok. Potem spojrzała na Danny'ego Padgitta, jakby chciała go zastrzelić, tu i teraz.

– O mój Boże – wyszeptał jeden z mężczyzn.

Inny zakrył usta, jakby zaraz miał z wymiotować.

Sędziowie siedzieli na wyściełanych obrotowych krzesłach, które trochę się kołysały. W miarę jak przerażające zdjęcia były przekazywane dalej, ani jedno krzesło nie pozostało nieruchome. Te zdjęcia wzbudzały wrogość i skrajne uprzedzenie, niemniej takie fotografie zawsze były dopuszczalne jako dowód, a ja, patrząc na przysięgłych, pomyślałem, że Danny Padgitt już jest martwy. Sędzia Loopus pozwolił na pokazanie sześciu zdjęć, choć wystarczyłaby jedna fotografia.

Właśnie minęła trzynasta i wszyscy potrzebowali przerwy. Wątpiłem, czy przysięgłym będzie dopisywał apetyt.

\*\*\*

Drugim świadkiem oskarżenia była siostra Rhody, mieszkająca w Missoury. Nazywała się Ginger McClure. Po morderstwie rozmawiałem z nią kilka razy. Kiedy dowiedziała się, że studiowałem w Syracuse i nie jestem rdzennym mieszkańcem okręgu Ford, złagodniała. Niechętnie przesłała mi zdjęcie do nekrologu. Później zadzwoniła do mnie i spytała, czy mógłbym wysłać jej kilka egzemplarzy „Timesa”, w których pisano o sprawie Rhody. Irytowało ją, że nie może dowiedzieć się niczego w prokuraturze okręgowej.

Ginger była szczupłą rudowłosą kobietą, bardzo atrakcyjną i dobrze ubraną, a kiedy usiadła na krześle dla świadków, zwróciła ogólną uwagę.

Według Baggy'ego zawsze zeznaje ktoś z rodziny ofiary. Gdy taka osoba pojawia się na sali sądowej i patrzy na sędziów przysięgłych, śmierć staje się oczywista.

Ernie chciał, żeby sędziowie dobrze widzieli Ginger, żeby zaskarbiła sobie

ich sympatię. Chciał im także przypomnieć, że zabójstwo dokonane z premedytacją pozbawiło matki dwójkę małych dzieci. Zeznanie Ginger było krótkie. Mądrze postępując, Lucien Wilbanks nie miał do niej żadnych pytań. Kiedy jej podziękowano, przeszła do krzesła zarezerwowanego dla niej przed barierką, blisko miejsca, gdzie siedział Ernie Gaddis. Każdy jej ruch był uważnie obserwowany, aż wezwano następnego świadka.

Potem powrócono do krwawych aspektów sprawy. Patolog sądowy ze stanowego laboratorium kryminalistycznego został poproszony o omówienie wyników sekcji zwłok. Chociaż miał mnóstwo zdjęć, żadnego nie pokazano. Nie było takiej potrzeby. Dla każdego laika przyczyna jej śmierci była oczywista: utrata krwi. Miała dziesięciocentymetrową ranę zaczynającą się tuż pod lewym uchem, biegnącą niemal pionowo w dół. Była głęboka na prawie pięć centymetrów i jego zdaniem, a widział wiele ran po nożu, została zadana gwałtownym i silnym ciosem, nożem o ostrzu długim na mniej więcej piętnaście centymetrów i szerokim na dwa i pół. Osoba, która się nim posłużyła, była najprawdopodobniej praworęczna. Ostrze przecięło tętnicę szyjną i od tej chwili ofiara miała tylko kilka minut życia. Druga rana była długa na siedemnaście centymetrów i biegła od podbródka do prawego ucha, które zostało niemal przecięte na pół. Ta rana prawdopodobnie nie miałaby śmiertelnego skutku.

Patolog opisywał rany, jakby mówił o ugryzieniu przez kleszcza. To nic takiego. Nic wyjątkowego. W jego zawodzie ogląda się takie jatki codziennie i opowiada o nich na salach sądowych. Ale wszystkich pozostałych te szczegóły wytrąciły z równowagi. W którymś momencie oczy przysięgłych zwróciły się na Danny'ego Padgitta i w milczeniu zawyrokowały: „Winny”.

Swoją turę pytań Lucien Wilbanks zaczął dość przyjemnie. Znał się z patologiem z wcześniejszych procesów. Zmusił go, by przyznał, że niektóre z jego opinii mogły być błędne, jak choćby ta dotycząca wielkości narzędzia zbrodni czy praworęczności zabójcy.

– Wyrażałem się w kategoriach prawdopodobieństwa – odpowiedział lekarz cierpliwie.

Miałem wrażenie, że wiele razy był w krzyżowym ogniu pytań, więc teraz nic nie mogło zbić go z tropu. Wilbanks zaczepiał go i sondował, ale bardzo uważał, żeby nie tykać przekłętych dowodów. Sędziowie przysięgli słyszeli wystarczająco dużo o ranach i krwi. Głupotą byłoby znowu o nich mówić.

Wezwano drugiego patologa. Niezależnie od sekcji badał dokładnie ciało

i znalazł kilka wskazówek dotyczących tożsamości zabójcy. W waginie znajdowała się sperma, która idealnie zgadzała się z wynikami krwi Danny'ego Padgitta. Spod paznokcia palca wskazującego prawej ręki ofiary wydobył małe kawałek ludzkiej skóry. On także pasował do grupy krwi oskarżonego.

Kiedy przyszła kolej na pytania Wilbanksa, mecenas zapytał go, czy osobiście badał pana Padgitta. Nie, to nie on go badał. W którym miejscu pan Padgitt miał odpowiadające temu uszkodzenia skóry i ślady po podrapaniu?

– Nie ja go badałem – powtórzył patolog.

– Oglądał pan jego zdjęcia z obdukcji?

– Nie.

– Zatem gdyby nawet stracił kawałek skóry, nie potrafi pan powiedzieć, skąd pochodził, prawda?

– Obawiam się, że nie.

Po czterech godzinach drastycznych zeznań wszyscy byli wykończeni. Lopus odesłał przysięgłych z surowym przykazaniem, żeby unikali kontaktów z osobami postronnymi. W świetle tego, że ukrywano ich w innym mieście i byli pilnowani przez policję, wydawało się to z jego strony nadgorliwością.

Pognaliśmy potem z Baggym do redakcji i pisaliśmy prawie do dwudziestej drugiej. Był wtorek, a Hardy nie lubił uruchamiać maszyny drukarskiej po dwudziestej trzeciej. W rzadko zdarzających się tygodniach, kiedy maszyna nie nawalała, potrafił wydrukować pięć tysięcy egzemplarzy w niecałe trzy godziny.

Hardy złożył tekst najszybciej, jak umiał. Nie było czasu na redakcję i korektę, ale niezbyt się tym przejmowałem, bo Miss Callie wchodziła w skład ławy przysięgłych, co uniemożliwiałoby jej wyłapanie błędów. Kiedy kończyliśmy, Baggy zdążył już sobie golnąć i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyjdzie. Zbierałem się, żeby wrócić do domu, kiedy w drzwiach pojawiła się Ginger McClure i powiedziała „cześć”, jakbyśmy byli starymi przyjaciółmi. Miała na sobie obcisłe džinsy i czerwoną bluzkę. Zapytała, czy mam coś do picia. Nie w redakcji, ale na to łatwo coś poradzić.

Wsiedliśmy do mojego spitfire'a i pojechaliśmy do Quincy's, gdzie kupiłem sześciopak schlitza. Ginger chciała po raz ostatni zobaczyć dom Rhody, z ulicy, z niezbyt bliska. Kiedy tam jechaliśmy, ostrożnie zapytałem ją o dzieci.

Z tego, czego się dowiedziałem, wynikało, że jest i dobrze, i źle. Mieszkają

teraz u innej siostry – Ginger szybko poinformowała mnie, że właśnie się rozwiodła – i przechodzą intensywną psychoterapię. Chłopczyk zachowuje się już prawie normalnie, choć czasami zamyka się w sobie i długo milczy. Z dziewczynką jest znacznie gorzej. Śnią jej się koszmary z matką i zaczęła się moczyć. Często znajdują zwiniętą w kłębek, ssącą palce i żałośnie jęczącą. Lekarze podają jej najróżniejsze leki, lecz właściwie eksperymentują.

Żadne z dzieci nie chciało powiedzieć ani lekarzom, ani rodzinie, co widziały tamtej nocy.

– Widziały, jak ich matka jest gwałcona i mordowana – powiedziała Ginger, kończąc pierwsze piwo. Ja miałem jeszcze więcej niż połowę puszki.

Dom Deece'ów sprawiał wrażenie, jakby jego mieszkańcy od wielu dni spali. Skręciliśmy w zwirowy podjazd prowadzący do szczęśliwego kiedyś domu Rhody Kassellaw. Był pusty, ciemny i miał wygląd miejsca opuszczonego. Na trawniku przed nim stała tablica z napisem: „Na sprzedaż”. Dom był jedynym znaczącym składnikiem w niewielkim majątku Rhody. Wszystko, co zostawiła, miały dostać dzieci.

Na prośbę Ginger zgasilem światła i wyłączyłem silnik. Nie był to najlepszy pomysł, bo okoliczni mieszkańcy, co rozumiało, zrobili się nerwowi. Poza tym mój triumph spitfire był jedynym egzemplarzem w całym okręgu Ford i od razu wyglądał podejrzanie.

Ginger delikatnie położyła rękę na moim ramieniu i zapytała:

– Jak dostał się do domu?

– Przy drzwiach na patio znaleźli ślady butów. Prawdopodobnie nie były zamknięte.

Zapadło długie milczenie, a my odtwarzaliśmy w myślach tę napaść, gwałt, nóż, dzieci biegnące w ciemności, wołające pana Deece'a, żeby przyszedł i uratował ich matkę.

– Byłyście ze sobą blisko? – zapytałem, a potem usłyszałem w oddali odgłos zbliżającego się pojazdu.

– Kiedy byłyśmy dziećmi tak, ale ostatnio nie bardzo. Opuściła dom dziesięć lat temu.

– Często ją tu odwiedzałaś?

– Byłam dwa razy. Ja też się przeprowadziłam. Do Kalifornii. Tak jakby straciłyśmy kontakt. Po śmierci jej męża błagaliśmy ją, żeby wróciła do Springfield, ale powiedziała, że tutaj jej się podoba. Jednak tak naprawdę chodziło o to, że nigdy nie dogadywała się z matką.

Tuż za nami pojawił się pick-up, który zaczął zwalniać. Próbowałem udawać, że wcale mnie to nie niepokoi, ale wiedziałem, jak bardzo może być tu niebezpiecznie po zapadnięciu zmroku. Ginger wpatrywała się w dom, zatopiona w jakichś koszmarnych myślach. Sprawiała wrażenie, jakby niczego nie słyszała. Na szczęście pick-up się nie zatrzymał.

– Jedźmy już – powiedziała, ściskając moją rękę. – Boję się.

Kiedy odjeżdżaliśmy, spostrzegłem pana Deece'a skradającego się w cień garażu i trzymającego strzelbę. Miał być ostatnim świadkiem powołanym przez oskarżyciela.

Gigner zatrzymała się w miejscowym motelu, ale nie chciała tam iść. Minęła północ, możliwości mieliśmy niewiele, dlatego pojechaliśmy do domu Hocuttów, gdzie omijając koty, wprowadziłem ją po schodach na górę do mojego mieszkania.

– Tylko nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków – powiedziała, zrzucając kopniakiem buty i siadając na sofie. – Nie jestem w nastroju.

– Ja też nie – skłamałem.

Mówiła niemal beztrosko, jakby jej samopoczucie szybko mogło się zmienić, a gdyby tak się stało, niewykluczone, że dałoby się to wykorzystać. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby poczekać.

W kuchni znalazłem zimniejsze piwo, usiedliśmy wygodnie i można było pomyśleć, że będziemy gadali do świtu.

– Opowiedz mi o swojej rodzinie – poprosiła.

Ten temat nie należał do moich ulubionych, ale dla tej kobiety mogłem się poświęcić.

– Byłem jedynakiem. Matka umarła, kiedy miałem trzynaście lat. Ojciec mieszka w Memphis w starym domu rodzinnym, którego nigdy nie opuszcza, bo tak samo jak ten dom ma nierówno pod sufitem. Urządził sobie biuro na strychu i przesiaduje tam dniami i nocami. Handluje akcjami i obligacjami. Nie wiem, czy dobrze mu idzie, ale wydaje mi się, że więcej traci, niż zyskuje. Rozmawiamy przez telefon raz w miesiącu.

– Jesteś bogaty?

– Nie, ale moja babka tak. Matka mojej matki, BeeBee. Pożyczyła mi pieniądze na kupno gazety.

Myślała o tym, gdy sączyła piwo.

– Było nas trzy, teraz jesteśmy dwie. Kiedy dorastałyśmy, byłyśmy okropne. Ojciec poszedł po mleko i nigdy nie wrócił. Od tamtego czasu matka dwa



razy próbowała z kimś się związać, ale najwyraźniej jej nie wychodzi. Ja jestem rozwódką. Moja starsza siostra jest rozwódką. Rhoda nie żyje. – Sięgnęła po butelkę piwa i stuknęła nią w moją. – Wypijmy za popieprzone rodziny. Wypiliśmy.

Rozwiedziona, bezdzietna, szalona i diabelnie ponętna. Bardzo chętnie spędzałbym czas w towarzystwie Ginger.

Chciała dowiedzieć się czegoś o okręgu Ford i miejscowych ważniakach – Lucienie Wilbanksie, Padgittach, szeryfie Coleyu i tak dalej. Mówiłem i mówiłem, a jednocześnie czekałem, aż jej samopoczucie się zmieni.

Nie zmieniło się. Po drugiej nad ranem położyła się na sofie, a ja poszedłem do łóżka. Sam.

## Rozdział 16

---

**K**iedy kilka godzin później ja i Ginger wyszliśmy z domu, trójka Hocuttów – Max, Wilma i Gilma – wałęsała się koło garażu. Przypuszczam, że chcieli ją zobaczyć. Kiedy przedstawiałem ją na wesoło, popatrzyli na nią z pogardą. Oczekiwałem, że Max powie coś absurdalnego w rodzaju: „Kiedy wynajmowaliśmy ci mieszkanie, nie było mowy o uprawianiu w nim seksu z przygodnymi osobami”. Nie padły jednak żadne obraźliwe słowa. Nie zwlekając, pojechaliśmy do redakcji. Ginger wskoczyła do swojego samochodu i zniknęła.

Ostatni numer „Timesa” leżał w stosach od podłogi do sufitu w pokoju od frontu. Złapałem jeden egzemplarz, żeby szybko go przejrzeć. Nagłówek był odpowiednio powściągliwy: *Zaczyna się proces Danny’ego Padgitta: przysięgli odizolowani od świata*. Nie było żadnych zdjęć oskarżonego. Opublikowaliśmy ich wystarczająco dużo, poza tym chciałem mieć sporą fotografię na następny tydzień, kiedy, miejmy nadzieję, trafi się okazja do przyszpilenia tego łobuza w chwili, gdy będzie opuszczał budynek sądu, skazany na karę śmierci. Zapelniliśmy z Baggym kolumny opisem wszystkiego, co zobaczyliśmy i usłyszeliśmy przez pierwsze dwa dni, ja zaś odczuwałem uzasadnioną dumę z naszych relacji. Były napisane prosto, rzeczowo, ze szczegółami, dobrym językiem i bez cienia taniej sensacji, bo sam proces był wystarczająco

treściwy. I prawdę mówiąc, dostałem dobrą lekcję na temat brukowego dziennikarstwa. O ósmej rano budynek sądu i rynek były zasłane darmowymi egzemplarzami „Timesa”.

\*\*\*

W środę rano przed rozprawą między prawnikami nie doszło do żadnej kłótni. Dokładnie o dziewiątej na salę wprowadzono sędziów przysięgłych, a Ernie Gaddis wezwał swojego kolejnego świadka. Był to Chub Brooner, długoletni śledczy z biura szeryfa. Według obu, Baggy’ego i Harry’ego Rexa, Brooner był powszechnie znany z niekompetencji.

Żeby do końca obudzić przysięgłych i skupić na sobie uwagę reszty obecnych, Gaddis pokazał zakrwawioną białą koszulę, którą Danny Padgitt miał na sobie w noc, kiedy go aresztowano. Nie uprano jej. Krew zostawiła na niej ciemnobrązowe plamy. Rozmawiając z Broonerem, Gaddis trzymał ją w górze, żeby wszyscy dobrze się jej przyjrzeni. Z Danny’ego Padgitta zdjął ją zastępca szeryfa Grice, w obecności Broonera i szeryfa Coleya. Badania wykazały obecność dwóch grup krwi: 0 Rh<sup>+</sup> i B Rh<sup>+</sup>. W stanowym laboratorium kryminalistycznym ustalono, że krew B Rh<sup>+</sup> należała do Rhody Kassellaw.

Obserwowałem Ginger, gdy patrzyła na tę koszulę. Po kilku minutach odwróciła wzrok i zaczęła coś pisać. Wyglądała jeszcze lepiej niż poprzedniego dnia, co w sumie nie było zaskoczeniem. Stałem się bardzo wyczulony na jej samopoczucie.

Koszula była rozdarta na piersiach. Danny się pokaleczył, gramoląc się z rozbitego samochodu – założono mu dwanaście szwów. Brooner poradził sobie jako tako z objaśnieniem tego sędziom. Potem Ernie Gaddis ustawił sztalugę i umieścił na niej dwa powiększone zdjęcia odcisków butów znalezionych na patio w domu Rhody. Ze stołu z dowodami wziął buty, które Padgitt miał na nogach, gdy przywieziono go do aresztu. Brooner plątał się w zeznaniach, choć rzecz wydawała się prosta, stwierdził jednak ostatecznie, że ślady i buty do siebie pasują.

Śmiertelnie bał się Luciena Wilbanksa i już przy pierwszym pytaniu zaczął się jąkać. Postępując bardzo sprytnie, adwokat zignorował to, że na koszuli Danny’ego znaleziono krew Rhody, i skupił się na zamęczaniu Broonera pytaniami o zasady sztuki porównywania śladów butów. W końcu uznał, że przeszkolenie śledczego pod tym względem nie jest wystarczające. Skoncen-

trował się na krawędziach bieżnikowania obcasa prawego buta, a Brooner nie potrafił znaleźć ich na odcisku. Zgodnie z wcześniejszym zeznaniem Bronnera, który mówił o tym, pytany przez prokuratora, z powodu obciążenia i ruchu obcas zostawia zwykle wyraźniejszy ślad niż pozostała część podeszwy. Wilbanks maglował go do momentu, aż wszyscy zupełnie się w tym pogubili, a ja musiałem przyznać, że mam wątpliwości dotyczące śladów zostawionych przez buty. Choć oczywiście nie miało to znaczenia. Było mnóstwo innych dowodów.

– Czy pan Padgitt, kiedy go aresztowano, miał na rękach rękawiczki? – zapytał Lucien.

– Nie wiem. Nie ja go aresztowałem.

– Cóż, zabraliście mu, chłopcy, koszulę i buty. Czy wzięliście też rękawiczki?

– O ile wiem, to nie.

– Otrzymał pan pełną dokumentację dowodową, prawda?

– Tak.

– Zatem jako śledczy prowadzący tę sprawę zna pan wszystkie jej szczegóły, prawda?

– Tak.

– Czy natknął się pan na jakąkolwiek wzmiankę o tym, że pan Padgitt miał na rękach rękawiczki, albo o tym, że mu je zabrano?

– Nie.

– Doskonale. Czy na miejscu popełnienia przestępstwa zdjęto odciski palców?

– Tak.

– To rutyna, prawda?

– Tak, zawsze.

– I rzecz jasna odciski palców pana Padgitta pobrano w chwili jego aresztowania, nie mylę się?

– Nie, nie myli się pan. Pobrano.

– Doskonale. Ile odcisków palców pana Padgitta znaleziono na miejscu zbrodni?

– Żadnego.

– Nawet jednego?

– Żadnego.

Lucien Wilbanks wybrał idealny moment, żeby zakończyć, i usiadł. Trud-

no było uwierzyć, że mordercy udało się wejść do domu, ukrywać się tam przez jakiś czas, zgwałcić i zamordować ofiarę, a potem uciec, nie zostawiając odcisków palców. Z drugiej strony Chub Brooner nie budził zaufania, a skoro on kierował śledztwem, pominięcie dziesiątek odcisków palców nie byłoby czymś niezwykłym.

Sędzia Loopus zarządził przerwę, a kiedy wyprowadzano przysięgłych, udało mi się nawiązać kontakt wzrokowy z Miss Callie. Jej twarz zamieniła się w jeden szeroki uśmiech. Skinęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie martw się o mnie”.

Rozprostowaliśmy nogi i szeptaliśmy o tym, co właśnie usłyszeliśmy. Cieszył mnie widok tak wielu osób czytających „Timesa” na sali sądowej. Podszedłem do barierki i pochyliłem się, żeby porozmawiać z Ginger.

- Trzymasz się jakoś? – zapytałem.
- Chcę już wracać do domu – odpowiedziała cicho.
- Co powiesz na lunch?
- Załatwione.

\*\*\*

Ostatnim świadkiem oskarżenia był pan Aaron Deece. Zajął miejsce dla świadków tuż przed jedenastą, a my szykowaliśmy się do wysłuchania jego zeznań. Ernie Gaddis zadał mu wiele pytań pomyślanych tak, żeby odpowiedzi złożyły się na obraz Rhody i jej dzieci. Mieszkali obok siebie przez siedem lat, byli idealnymi sąsiadami, cudownymi ludźmi. Bardzo mu ich teraz brakuje. W którymś momencie pan Deece otarł łzę.

Nie miało to nic wspólnego ze sprawą, niemniej Lucien Wilbanks dzielnie wytrzymał to przez kilka minut. Potem wstał i powiedział uprzejmie:

– Wysoki Sądzie, to bardzo wzruszające, ale tak naprawdę niedopuszczalne.

– Proszę kontynuować, panie prokuratorze – polecił sędzia Loopus.

Pan Deece opisał tamtą noc, czas, temperaturę i pogodę. Usłyszał spanikowany głos małego Michaela, pięciolatka, wołającego go po imieniu, wzywającego pomocy. Zastał dzieci na dworze, w piżamach, mokre od rosy, w szoku.

Zabrał je do siebie do domu, gdzie jego żona okryła je kocem. Założył buty, wziął strzelbę i właśnie wybiegał z domu, kiedy spostrzegł Rhodę idącą

jego stronę chwiejnym krokiem. Była naga i poza twarzą cała ubrudzona krwią. Zaprowadził ją na werandę i położył na bujanej ławce.

Lucien już stał i czekał.

– Czy coś powiedziała? – zapytał Ernie.

– Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie. Świadek nie może cytować słów ofiary. To domniemanie.

– Pański wniosek jest w aktach, panie mecenasie. Rozmawialiśmy już o tym w moim gabinecie i zostało to zaprotokołowane. Może pan odpowiedzieć na pytanie, panie Deece.

Świadek przełknął głośno ślinę, odetchnął głęboko i spojrzał na przysięgłych.

– Dwa albo trzy razy powiedziała: „To był Danny Padgitt. To był Danny Padgitt”.

Dla zwiększenia dramatycznego efektu Ernie się nie odezwał, pozwolił, by słowa odbijały się echem od ścian, podczas gdy on udawał, że czyta notatki.

– Czy kiedykolwiek spotkał pan Danny’ego Padgitta?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek słyszał pan jego imię i nazwisko przed tamtą nocą?

– Nie.

– Czy powiedziała coś jeszcze?

– Jej ostatnie słowa brzmiały: „Zaopiekuj się moimi dziećmi”.

Ginger dotykała oczu chusteczką higieniczną. Miss Callie się modliła. Kilku przysięgłych spuściło wzrok i wpatrywało się w swoje buty.

Deece dokończył opowieść – zadzwonił do szeryfa, żona zabrała dzieci do sypialni i zamknęła na klucz, on wziął prysznic, bo ubrudził się krwią, zjawili się zastępcy szeryfa i zaczęli śledztwo, przyjechała karetka i zabrała ciało, Deece i jego żona zostali z dziećmi do mniej więcej drugiej nad ranem, a potem pojechali z nimi do szpitala w Clanton. Dzieci były pod ich opieką aż do przyjazdu krewnych z Missouri.

Niczego w tym zeznaniu nie można było zakwestionować, dlatego Lucien Wilbanks odstąpił od przesłuchiwanie pana Deece’a. Oskarżenie nie miało więcej świadków, zarządzono przerwę na lunch. Zawiozłem Ginger do Karaway, do jedynej meksykańskiej restauracji, jaką znałem. Pod dębem zjedliśmy enchilady i rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o procesie. Była przygnębiona, chciała wyjechać z okręgu Ford i nigdy tu nie wracać.

A ja bardzo chciałem, żeby została.

\*\*\*

Lucien Wilbanks zaczął obronę od trochę egzaltowanej opowieści o miłym młodym człowieku, jakim podobno był Danny Padgitt. Skończył liceum z dobrymi ocenami, ciężko pracował w rodzinnym tartaku, marzył, że pewnego dnia otworzy własny interes. Nigdy nie był notowany przez policję. Prawo naruszył tylko raz, kiedy jako szesnastolatek dostał mandat za przekroczenie prędkości.

Wilbanks miał dar przekonywania, ale nie był w stanie udźwignąć ciężaru tej sprawy. Przedstawienie Padgitta jako ciepłego, wręcz miłutkiego młodzieńca graniczyło z niemożliwością. Zakłopotana publiczność zaczęła się wiercić, ten i ów uśmiechał się znacząco. Ale to nie my decydowaliśmy w tej sprawie. Adwokat zwracał się do przysięgłych, patrzył im w oczy. Nikt nie wiedział, czy on i jego klient nie zyskali poparcia jednej lub dwóch osób.

Danny nie był święty. Jak większość przystojnych młodych mężczyzn odkrył, że lubi towarzystwo kobiet. Niestety, spotkał na swojej drodze nieodpowiednią kobietę, która była już żoną kogoś innego. Kiedy Rhoda Kassellaw została zamordowana, spędzał czas właśnie z nią.

– Słuchajcie mnie! – grzmiał do przysięgłych. – Mój klient nie zabił pani Kassellaw! W chwili tej strasznej zbrodni był z inną kobietą, w jej domu niedaleko miejsca, gdzie mieszkała pani Kassellaw. Ma niepodważalne alibi.

To oświadczenie zawisło w powietrzu, wszyscy wstrzymali oddech. Przez długą minutę czekaliśmy na następną niespodziankę. Lucien prowadził tę grę po mistrzowsku.

– Wspomniana kobieta, jego kochanka, będzie naszym pierwszym świadkiem – oznajmił.

Wprowadzono ją w momencie, gdy kończył mówić.

Nazywała się Lydia Vince. Po cichu zapytałem o nią Baggy'ego, ale nigdy o niej nie słyszał. Nie znał żadnych Vince'ów z okolic Beech Hill. Na sali rozległy się szepty, gdy ludzie próbowali jakoś ją umiejscowić, a sądząc po zmarszczonych czołach, zdezorientowanych spojrzeniach i kręceniu głowami, wyglądało na to, że nikt tej kobiety nie zna. Z odpowiedzi na wstępne pytania Luciena wynikało, że w marcu mieszkała w wynajmowanym domu przy Hurt Road, ale przeprowadziła się już do Tupelo, jest w trakcie rozwodu, ma jedno dziecko, wychowała się w okręgu Tyler i obecnie jest bezrobotna. Mia-

ła około trzydziestu lat i była atrakcyjna, ale w tani sposób: krótka spódnica, obcisła bluzka na obfitych piersiach, tlenione włosy. Zeznawanie w sądzie śmiertelnie ją przerażało.

Romansowała z Dannym od mniej więcej roku. Zerknąłem na Miss Callie i nie byłem zaskoczony tym, że nie zrobiło to na niej dobrego wrażenia.

W nocy, kiedy Rhoda została zamordowana, Danny był u niej w domu. Malcolm Vince, jej mąż, przebywał najprawdopodobniej w Memphis, robił coś z kumplami, ale nie znała szczegółów. W tamtym okresie często wyjeżdżał. Kochali się z Dannym dwa razy i koło północy, gdy zbierał się do wyjścia, usłyszeli na podjeździe ciężarówkę jej męża. Danny wymknął się kuchennymi drzwiami i zniknął.

Szokujące wyznanie mężatki, przyznającej się w sądzie na publicznej rozprawie do popełnienia cudzołóstwa, miało przekonać ławę przysięgłych, że mówi prawdę. Żaden przyzwoity człowiek nie przyznałby się do czegoś takiego. To rujnowało reputację tej kobiety, jeśli oczywiście przejmowała się takimi sprawami. I na pewno będzie to miało wpływ na jej rozwód, może nawet spowodować, że odbiorą jej dziecko. Niewykluczone też, że pozwoli to jej mężowi wytoczyć sprawę Danny'emu Padgittowi o rozbicie małżeństwa, choć było wątpliwe, by sędziowie wybiegali myślami aż tak daleko naprzód.

Jej odpowiedzi na pytania Luciena były zwięzłe i bardzo dobrze przygotowane. Ani razu nie spojrzała na przysięgłych ani na rzekomego byłego kochanka. Miała spuszczone oczy, zupełnie jakby przyglądała się butom adwokata. Zarówno on, jak i świadek ściśle trzymali się scenariusza.

– Ona łże – szepnął Baggy dość głośno, a ja się z nim zgodziłem.

Kiedy przesłuchanie przez obronę dobiegło końca, Ernie Gaddis wstał i podszedł niespiesznie do podium. Wpatrywał się podejrzliwie w cudzołożnicę, która nie bała się wyznać swojego grzechu. Na końcu nosa miał okulary do czytania i patrzył ponad nimi, ściągając brwi i mrużąc oczy. Przypominał nauczyciela, który przyłapał ucznia na zrynaniu.

– Jeśli chodzi o dom przy Hurt Road... Do kogo należy?

– Do Jacka Hagela.

– Jak długo pani tam mieszkała?

– Około roku.

– Podpisała pani umowę najmu?

Zawahała się na ułamek sekundy, po czym odpowiedziała:

– Nie wykluczam, że mąż to zrobił. Naprawdę nie pamiętam.



– Ile wynosił miesięczny czynsz?

– Trzysta dolarów.

Ernie pracowicie zapisywał jej słowa, jakby później każdy szczegół miał być skrupulatnie sprawdzony, a kłamstwa wykryte.

– Kiedy się pani stamtąd wyprowadziła?

– Nie wiem, jakieś dwa miesiące temu.

– Jak długo mieszkała pani w okręgu Ford?

– Nie wiem, parę lat.

– Czy zarejestrowała się pani, żeby tu głosować?

– Nie.

– A pani mąż?

– Nie.

– Zechce pani przypomnieć, jak on się nazywa?

– Malcolm Vince.

– Gdzie teraz mieszka?

– Nie jestem pewna. Często się przeprowadza. Słyszałam ostatnio, że mieszka w okolicach Tupelo.

– I właśnie się państwo rozwodzicie, mam rację?

– Tak.

– Kiedy złożyliście wniosek rozwodowy?

Zerknęła błyskawicznie na Luciena, który słuchał bardzo uważnie, ale unikał patrzenia na nią.

– Właściwie nie złożyliśmy jeszcze papierów.

– Przepraszam, ale chyba wspominała pani, że jest w trakcie sprawy rozwodowej.

– Rozstaliśmy się i oboje wynajęliśmy adwokatów.

– Jak nazywa się pani adwokat?

– Lucien Wilbanks.

Lucien skrzywił się, jakby to była dla niego nowość. Prokurator zaczekał, żeby osiągnąć lepszy efekt, a potem kontynuował:

– Kto jest adwokatem pani męża?

– Nie pamiętam nazwiska.

– Czy to mąż złożył wniosek o rozwód, czy pani, a może oboje?

– Wspólnie wystąpiliśmy o rozwód.

– Z iloma jeszcze mężczyznami pani sypiała?

– Tylko z Dannym.

- Rozumiem. I mieszka pani w Tupelo, prawda?
- Tak.
- Powiedziała pani, że jest bezrobotna, mam rację?
- Tymczasem. Tak.
- I jest pani w separacji z mężem?
- Powiedziałam przed chwilą, że się rozstaliśmy.
- Gdzie dokładnie mieszka pani w Tupelo?
- To mieszkanie w kamienicy.
- Ile wynosi komorne?
- Dwieście dolarów miesięcznie.
- Mieszka tam pani z dzieckiem?
- Tak.
- Czy pani dziecko pracuje?
- Dziecko ma pięć lat.
- Z czego zatem opłaca pani mieszkanie i za co żyje?
- Jakoś sobie radzę.

Nie sądzę, żeby ktoś w to uwierzył.

- Jakim samochodem pani jeździ?

Znow się zawahała. Był to rodzaj pytania, na które odpowiedź można sprawdzić, wykonując kilka telefonów.

- Mustangiem z sześćdziesiątego ósmego roku.
- To ładny wóz. Kiedy go pani kupiła?

I w tym przypadku w papierach został ślad, więc nawet Lydia, która nie była zbyt bystra, zorientowała się, że to pułapka.

- Kilka miesięcy temu – odrzekła arogancko.
- Czy samochód został kupiony na pani nazwisko?
- Tak.
- Czy mieszkanie wynajmuje pani na siebie?
- Tak.

Dokumenty i jeszcze raz dokumenty. W takich sprawach nie mogła kłamać i z pewnością zdawała sobie z tego sprawę. Ernie wziął od Hanka Hootena jakieś notatki i czytał je z podejrzliwością malującą się na twarzy.

- Jak długo sypiała pani z Dannym Padgitem?
- Zwykle piętnaście minut.

W pełnej napięcia atmosferze ta odpowiedź tu i tam wywołała śmiech. Ernie zdjął okulary, wytarł je końcem krawata, uśmiechnął się do niej nieprzy-

jennie i przeformułował pytanie:

- Jak długo trwał pani romans z Dannym Padgittem?
- Prawie rok.
- Gdzie go pani poznała?
- W klubie przy granicy stanu.
- Czy ktoś was sobie przedstawił?
- Tak dokładnie nie pamiętam. Był tam, ja też tam byłam, tańczyliśmy.

I tak jakoś to się potoczyło.

Nikt nie miał wątpliwości, że Lydia Vince spędzała wiele wieczorów w wielu knajpach i nigdy nie uciekała przed nowymi partnerami do tańca. Ernie nie potrzebował jeszcze kilku kłamstw, którymi mógłby ją przyszpilić.

Zadał jej serię pytań dotyczących życiorysów jej i męża – urodzenie, wykształcenie, małżeństwa, historie zatrudnienia, rodziny. Nazwiska i daty, które dawało się sprawdzić i uznać za prawdziwe albo fałszywe. Była na sprzedaż. Padgittowie znaleźli świadka, którego mogli kupić.

Kiedy późnym popołudniem wychodziliśmy z sądu, byłem zdezorientowany i czułem się nieswojo. Przez wiele miesięcy trwałem w przekonaniu, że Danny Padgitt zabił Rhodę Kassellaw i nadal w to wierzyłem. Ale teraz przysięgli nagle dostali coś, co wprowadzało zamęt. Zaprzysiężony świadek dopuścił się ohydneho krzywoprzysięstwa, ale nie można było wykluczyć, że któryś przysięgły ma już uzasadnione wątpliwości.

\*\*\*

Ginger była bardziej przygnębiona niż ja, dlatego postanowiliśmy się upić. Kupiliśmy hamburgery, frytki i skrzynkę piwa, a potem poszliśmy do jej niewielkiego pokoju w motelu, gdzie zjedliśmy, co było do zjedzenia, a potem topiliśmy w alkoholu nasz strach i nienawiść do skorumpowanego systemu wymiaru sprawiedliwości. Kilka razy powtórzyła, że jej rodzina, w tej chwili załamana, nie wytrzyma, jeśli Danny’emu Padgittowi ujdzie to na sucho. Jej matka i tak jest niezrównowazona, a wyrok uniewinniający ją załamanie. I co pewnego dnia powiedzą dzieciom Rhody?

Próbowaliśmy oglądać telewizję, ale nic nie przyciągnęło naszej uwagi. Zamartwianie się procesem stało się nużące. Zapadałem już w drzemkę, kiedy Ginger wyszła naga z łazienki. Noc nabrała kolorów. Kochaliśmy się, aż alkohol wziął górę i zasnęliśmy.

## Rozdział 17

---

**N**ie miałem pojęcia, że w środę, wkrótce po zakończeniu rozprawy, odbyło się potajemne spotkanie. Zresztą nie było powodu, żebym to wiedział, bo byłem zupełnie nowy wśród mieszkańców Clanton i bez wątpienia nic nie łączyło mnie z aferami sądowymi, poza tym zajmowałem się Ginger i na kilka cudownych godzin straciliśmy zainteresowanie procesem, Ernie Gaddis poszedł do kancelarii Harry'ego Rexa na drinka po procesie i obaj przyznali, że zeznanie Lydii przyprawiło ich o mdłości. Zaczęli dzwonić do ludzi i po godzinie zebrali grupę prawników oraz paru polityków, którym mogli zaufać.

Opinia była zgodna, że Padgittowie próbują wyślizgać się ze sprawy, która wyglądała na niepodważalnego pewniaka. Udało im się znaleźć przekupnego świadka. Lydii z pewnością zapłacono za to, żeby opowiedziała zmyśloną historijkę, i była pewnie albo zupełnie spłukana, albo zbyt głupia, i dlatego zgodziła się podjąć ryzyko krzywoprzysięstwa. Niezależnie od przyczyny dała powód sędziom przysięgłym, choć szyty grubymi nićmi, by zastanowili się nad tym, co usłyszeli.

Uniewinnienie w tak oczywistej sprawie wprawiłoby mieszkańców miasta we wściekłość i byłoby kpiną z sądownictwa. Jeśli przysięgli nie byliby zdolni do podjęcia jednomyślnej decyzji, oznaczałoby to dokładnie to samo: spr-

wiedliwość w okręgu Ford można kupić. Ernie, Harry Rex i pozostali prawnicy pracowali ciężko każdego dnia, manipulując systemem wymiaru sprawiedliwości w imieniu swoich klientów, ale zasady były uczciwie przestrzegane. System działał, bo sędziowie i przysięgli byli bezstronni. Pozwolenie, by Lucien Wilbanks i Padgittowie skorumpowali proces, wyrządziłoby systemowi nieodwracalne szkody.

Zgodnie uznano, że jest całkiem możliwe, iż przysięgli nie wydadzą jedno-myślnego werdyktu. Lydia Vince jako wiarygodny świadek pozostawiała wiele do życzenia, ale sędziowie przysięgli nie byli zbyt zorientowani w fabrykowaniu zeznań i oszukańczych praktykach podsądnych. Prawnicy uznali też, że Fargarson, „chłopak kaleka”, jest najwyraźniej wrogo nastawiony do prokuratury. Po dwóch całych dniach i prawie piętnastu godzinach obserwowania przysięgłych nabrali pewności, że mogą w nich czytać jak w otwartej księdze.

John Deere również ich niepokoił. Naprawdę nazywał się Mo Teale i od ponad dwudziestu lat pracował jako mechanik w warsztacie naprawiającym traktory marki John Deere. Był prostym człowiekiem, który miał niewiele ubrań. Późnym popołudniem w poniedziałek, kiedy skład ławy przysięgłych został ostatecznie ustalony i sędzia Loopus odesłał jej członków do domów, by się pośpiesznie spakowali, bo czekał już na nich autobus, Mo zabrał tylko tygodniowy zapas ubrań roboczych. Każdego ranka wkraczał na salę sądową ubrany w jaskrawożółtą kurtkę z zielonymi obszyciami i zielone spodnie z żółtymi lamówkami, jakby był gotowy na kolejny dzień energicznej pracy z kluczem francuskim w ręku.

Siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi i ścierał brwi za każdym razem, gdy Ernie Gaddis wstawał. Jego język ciała przerażał oskarżycieli.

Harry Rex uważał, że trzeba odnaleźć męża Lydii, z którym żyje w separacji. Jeśli rzeczywiście przymierzają się do rozwodu, to prawdopodobnie niespecjalnie za nią przepada. Trudno było uwierzyć w jej romans z Dannym Padgitem, ale jednocześnie ta kobieta sprawiała wrażenie, że łóżkowa aktywność pozamałżeńska nie jest jej obca. Zeznanie męża mogłoby poważnie zaszkodzić wiarygodności Lydii.

Ernie chciał pogrzebać w jej życiu prywatnym. Zamierzał zasiać wątpliwości dotyczące jej sytuacji finansowej, tak żeby mógł powiedzieć do przysięgłych: „Jakim cudem ta kobieta może żyć tak wygodnie, skoro jest bezrobotna i w trakcie rozwodu?”.

– A takim, że dostała dwadzieścia pięć tysięcy dolarów od Padgittów – odezwał się jeden z prawników.

Spekulacje na temat wysokości sumy, jaką dostała, stały się tematem ożywionej dyskusji.

Harry Rex i dwóch innych adwokatów rozpoczęło poszukiwania Malcolma Vince'a od obdzwonienia wszystkich prawników w pięciu okręgach. Koło dwudziestej drugiej natrafili na adwokata w Corinth, oddalonego o dwie godziny jazdy, który powiedział, że spotkał się z Malcolmem w sprawie rozwodu, ale nie został wynajęty. Vince mieszka podobno w przyczepie kempingowej, gdzieś na głuchej prowincji, niedaleko granicy z okręgiem Tishomingo. Prawnik nie mógł sobie przypomnieć, gdzie pracuje, ale był pewny, że to zapisał i ma tę informację w kartotece w kancelarii. Wtedy do telefonu podszedł prokurator okręgowy i namówił adwokata, żeby pojechał do kancelarii.

O ósmej następnego ranka, mniej więcej w porze, kiedy wychodziłem od Ginger z motelu, sędzia Loopus zgodził się bardzo chętnie wystawić wezwanie do sądu na nazwisko Malcolma Vince'a. Dwadzieścia minut później policjant z posterunku w Corinth zatrzymał wózek widłowy w miejscowym magazynie i poinformował operatora, że ma się stawić w sądzie w okręgu Ford na procesie o morderstwo.

– A po jaką cholere? – zapytał Vince.

– Ja tylko wykonuję polecenie – odpowiedział policjant.

– Co w takim razie mam zrobić?

– Ma pan dwa wyjścia, kolego – wyjaśnił policjant. – Może pan zostać tu ze mną i poczekać, aż po pana przyjadą, albo pojedziemy od razu i będzie miał pan to z głowy.

Szef Malcolma kazał mu jechać i wracać jak najszybciej.

Przysięgli zostali wprowadzeni na salę z półtoragodzinnym opóźnieniem. John Deere był jak zawsze w doskonałej formie, ale po reszcie widać było, że zaczynają być zmęczeni. Wszystko wskazywało na to, że proces może potrwać nawet miesiąc.

Miss Callie odnalazła mnie wzrokiem i posłała mi wymuszony uśmiech, jednak nie taki, jaki potrafiłyby rozjaśnić dzień. Przez cały czas trzymała w rękach niewielkie wydanie Nowego Testamentu.

Ernie wstał i poinformował sąd, że nie ma więcej pytań do Lydii Vince. Lucien powiedział, że on też skończył ją przesłuchiwać. Ernie dodał wtedy, że ma ważnego świadka, którego chciałby wezwać poza ustaloną kolejnością.

Lucien Wilbanks zgłosił sprzeciw. Podeszli obaj do stołu sędziego i zaczęli się targować. Kiedy Lucien dowiedział się, kim jest świadek, wyglądał na zdenerwowanego. Dobry znak.

Sędzia Loopus najwyraźniej także martwił się o zły wynik procesu. Oddał sprzeciw obrony i do nabitej sali sądowej wezwano jako świadka zdeorientowanego Malcolma Vince'a. Ernie spędził z nim tylko niecałe dziesięć minut w pokoju na zapleczu, dlatego świadek był równie nieprzygotowany, jak speszony.

Ernie zaczął powoli od rzeczy podstawowych: imię i nazwisko, adres, zatrudnienie, stan cywilny. Malcolm przyznał, że jest mężem Lydii, aczkolwiek zrobił to niechętnie i potwierdził, że tak jak ona chciałby zakończyć ten związek. Powiedział, że nie widział żony ani dziecka od blisko miesiąca. Historię jego zatrudnienia można w najlepszym razie określić jako pracę dorywczą, ale starał się wysyłać żonie pięćdziesiąt dolarów tygodniowo na dziecko.

Wiedział, że choć jest bezrobotna, wynajmuje ładne mieszkanie.

– Nie płaci pan za jej mieszkanie? – zapytał Ernie podejrzliwie, zerkając jednocześnie na przysięgłych.

– Nie, nie płacę.

– Czy to mieszkanie opłaca jej rodzina?

– Jej rodziny nie stać na opłacenie jednej nocy w motelu. – Malcolm prychnął nie bez satysfakcji.

Po złożeniu zeznań Lydia wyszła z sądu i prawdopodobnie uciekła z kraju. Jej zadanie się skończyło, odegrała swoją rolę, wzięła pieniądze. Pewnie nigdy więcej nie pojawi się w okręgu Ford. Choć to raczej wątpliwe, żeby jej obecność miała wpływ na zeznania Malcolma, to dzięki temu, że nie było jej na sali, mógł mówić to, na co miał ochotę.

– Nie jest pan blisko związany z jej rodziną? – zapytał Ernie.

– Większość z nich siedzi w więzieniu.

– Rozumiem. Pańska żona zeznała wczoraj, że kilka miesięcy temu kupiła forda mustanga z sześćdziesiątego ósmego roku. Czy pomógł jej pan go kupić?

– Nie.

– Ma pan może jakieś przypuszczenie, w jaki sposób kobieta bez pracy mogła sobie na to pozwolić? – Ernie spojrzał na Danny'ego Padgitta.

– Nie.

– Czy wie pan może o jeszcze jakichś niezwykłych zakupach, które ostat-

nio zrobiła?

Malcolm poparzył na przysięgłych, dostrzegł kilka przyjaznych twarzy i powiedział:

– Tak, kupiła sobie nowy kolorowy telewizor, a bratu nowy motocykl.

Wyglądało na to, że wszyscy siedzący przy stole obrony wstrzymali oddech. Strategia, jaką obrali, polegała na przeszmurowaniu Lydii po cichu na salę sądową, żeby nałgała, co jej kazali, potwierdziła alibi, a potem należało ją szybko usunąć i napierać na jak najszybszy werdykt, zanim zostałaby zdyskredytowana. Nadawała się, bo w okręgu znała bardzo niewiele osób i mieszkała w odległości godziny jazdy.

Ta strategia miała jednak katastrofalne skutki i teraz cała sala widziała i czuła napięcie między Wilbanksem i jego klientem.

– Czy zna pan mężczyznę o nazwisku Danny Padgitt? – spytał Ernie.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odrzekł Malcolm.

– Pańska żona zeznała wczoraj, że miała z nim romans trwający prawie rok.

Widok męża, który jest publicznie informowany o czymś takim, należy do rzadkości, ale Malcolm najwyraźniej się tym nie przejął.

– Naprawdę?

– Tak, proszę pana. Zeznała, że ten romans zakończył się mniej więcej dwa miesiące temu.

– Coś panu powiem: jakoś tak trudno mi w to uwierzyć.

– A to dlaczego?

Malcolm zaczął się wiercić i nagle zainteresował się czubkami swoich butów.

– Cóż, widzi pan, chodzi o rzecz natury osobistej – wymamrotał.

– Tak, panie Vince, jestem pewny, że tak jest. Czasami jednak sprawy osobiste muszą być omawiane publicznie na sali sądowej. Toczy się tu proces przeciwko człowiekowi oskarżonemu o morderstwo. To bardzo poważny zarzut i musimy poznać prawdę.

Malcolm założył nogę na nogę i przez kilka sekund drapał się po brodzie.

– No więc jest tak. Przestaliśmy uprawiać seks jakieś dwa lata temu. Dlatego właśnie się rozwodzimy, rozumie pan.

– Przestaliście państwo uprawiać seks z jakiegoś określonego powodu? – zapytał Ernie, wstrzymując oddech.

– Tak. Powiedziała mi, że nienawidzi kochania się ze mną, że robi jej się



od tego niedobrze. Powiedziała, że woli się kochać... tak jakby z kobietami.

Chociaż Ernie spodziewał się takiej odpowiedzi, udało mu się przywołać na twarz wyraz zaszokowania. Odszedł od podium i pochylił się przy Hanku Hootenie, robiąc krótką przerwę, dzięki której przysięgli mogli w pełni pojąć znaczenie tych słów. W końcu oznajmił:

– Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

\*\*\*

Lucien zbliżał się do Malcolma Vince'a, jakby widział wycelowany w siebie rewolwer. Przez kilka minut krążył wokół tematu. Według Baggy'ego dobry adwokat nigdy nie zadaje pytań, na które nie zna odpowiedzi, szczególnie w przypadku tak niebezpiecznego świadka jak Malcolm Vince. Lucien był dobrym adwokatem i nie miał zielonego pojęcia, co Malcolm może palnąć.

Vince przyznał, że nie kocha Lydii, że nie może doczekać się rozwodu, że ostatnie kilka lat z nią nie należały do przyjemnych i tak dalej. Typowe gadki o rozwodzie. Pamiętał, że słyszał o zamordowaniu pani Kassellaw już następnego ranka po tej zbrodni. Wyjechał z domu poprzedniego wieczoru i wrócił bardzo późno. Lucien zgarnął jeden punkt za udowodnienie, że Lydia była sama w domu, a więc mówiła prawdę.

Ale w sumie nie miało to znaczenia. Przysięgli i widzowie nadal nie doszli do siebie po wrażeniu, jakie zrobił na nich ogrom jej grzechów.

\*\*\*

Po długiej przerwie Lucien wstał powoli i zwrócił się do sędziego:

– Obrona nie ma innych świadków, Wysoki Sądzie. Jednak mój klient chciałby zeznawać. Proszę, żeby zostało wyraźnie odnotowane w protokole, iż chce zeznawać wbrew moim radom.

– Zostało to odnotowane – powiedział sędzia.

– Strasznie głupi błąd. Niewiarygodne – wyszeptał Baggy na tyle głośno, że usłyszała go połowa sali.

Danny Padgitt zerwał się na równe nogi i pewnym krokiem przeszedł do miejsca dla świadków. Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszedł mu tylko pogardliwy grymas. Pozowanie na pewnego siebie bardziej przypominało arogancję. Przysiągł, że będzie mówił prawdę, ale nikt nie oczekiwał, że tak bę-

dzie.

– Dlaczego koniecznie chcesz zeznawać? – padło pierwsze pytanie Luciena, a na sali zapadła cisza jak makiem zasiał.

– Ponieważ zależy mi, żeby ci dobrzy ludzie usłyszeli, co się naprawdę stało – odpowiedział Danny, patrząc na przysięgłych.

– Więc im powiedz.

Jego wersja wydarzeń była cudownie pomysłowa, bo też nie było nikogo, kto mógłby ją podważyć. Lydia przepadła, Rhoda nie żyje. Zaczął od tego, że spędził kilka godzin ze swoją dziewczyną, Lydią Vince, która mieszkała niecałe pół godziny jazdy od domu Rhody Kassellaw. Wiedział dokładnie, gdzie Rhoda mieszkała, bo odwiedził ją kilka razy. Chciała się z nim związać na poważnie, ale on był zbyt zajęty Lydią. Tak, on i Rhoda spali ze sobą dwa razy. Poznali się w jednym z klubów na granicy stanów i spędzili wiele godzin, pijąc i tańcząc. Była napalona i bez zahamowań, ogólnie wiadano, że się puszcza.

Do bólu po stracie doszła zniewaga. Ginger opuściła głowę i zakryła uszy. Nie uszło to uwagi ławy przysięgłych.

Nie uwierzył w brednie męża Lydii o jej homoseksualnych skłonnościach, ta kobieta rozkoszowała się intymnymi kontaktami z mężczyzną. Malcolm skłamał, bo zależy mu na przejęciu opieki nad dzieckiem.

Padgitt okazał się całkiem dobrym świadkiem, ale zeznawał przecież, by ratować życie. Odpowiedzi udzielał szybko, posyłał zbyt wiele fałszywych uśmiechów w stronę przysięgłych, jego wypowiedzi były klarowne i aż zbyt dobrze łączyły się w całość. Słuchałem go i obserwowałem przysięgłych, ale nie widziałem u nich objawów sympatii. Fargarson, „chłopak kaleka”, wydawał się równie sceptyczny jak wtedy, gdy słuchał zeznań innych świadków. John Deere nadal siedział ze skrzyżowanymi ramionami i ściągniętymi brwiami. Na Miss Callie Padgitt też nie miał co liczyć, prawdopodobnie posłałaby go do więzienia równie chętnie za cudzołóstwo, jak za morderstwo.

Lucien się streszczał. Jego klient bardzo skutecznie kręcił sznur na własną szyję, więc nie było powodu, żeby ułatwiać oskarżeniu sprawę. Kiedy Lucien usiadł, wbił wzrok w starszych Padgittów, jakby naprawdę ich nienawidził. A potem wziął się w garść i czekał na to, co miało nadejść.

Przesłuchiwanie przestępcy, którego wina wydaje się niepodważalna, jest marzeniem każdego prokuratora. Ernie podszedł wolno do stołu z dowodami i wziął z niego zakrwawioną koszulę Danny’ego.

– Dowód numer osiem – powiedział do protokolantki. Trzymał koszulę w górze, żeby sędziowie dobrze ją widzieli.

– Gdzie pan kupił tę koszulę?

Danny zamarł, nie wiedząc, czy powinien zaprzeczyć, że w ogóle do niego należy, czy przyznać się, że jest jego, czy spróbować przypomnieć sobie, gdzie ją kupił.

– Przecież jej pan nie ukradł, prawda?! – zagrział Ernie.

– Nie ukradłem.

– No to proszę odpowiedzieć na moje pytanie i proszę też nie zapominać, że zeznaje pan pod przysięgą. Gdzie kupił pan tę koszulę? – Mówiąc to, Ernie podsunął mu koszulę pod oczy. Trzymał ją końcami palców, jakby krew na niej jeszcze nie zakrzepła i jakby się bał, że może pobrudzić sobie garnitur.

– Chyba w Tupelo. Tak naprawdę to nie pamiętam. To tylko koszula.

– Jak długo ją pan ma?

Kolejna chwila milczenia. Ilu mężczyzn pamięta, kiedy kupiło koszulę?

– Rok lub coś koło tego. Nie zapisuję takich rzeczy.

– Ja też nie – powiedział Ernie. – Czy zdjął pan tę koszulę, kiedy tamtej nocy był pan z Lydią w łóżku?

– Tak – odparł oskarżony bardzo ostrożnie.

– Gdzie się znajdowała, gdy wy dwoje... hm... odbywaliście stosunek?

– Chyba na podłodze.

Teraz, kiedy zostało już bezsprzecznie potwierdzone, że koszula należała do niego, Ernie mógł spokojnie dokonać rzezi na oskarżonym. Wyjął z teczki raport stanowego laboratorium kryminalistycznego, przeczytał go Danny'emu i zapytał, w jaki sposób jego krew znalazła się na koszuli. To prowadziło do omawiania jego umiejętności jako kierowcy, skłonności do zbyt szybkiej jazdy, marki samochodu i tego, że kiedy rozbił pick-upa, był pijany. Ernie grzmiał dalej i wątpił, czy kiedykolwiek sprawa prowadzenia po pijaku została odmalowana w tak groźnych barwach. Nic dziwnego, że Danny, przewrażliwiony na swoim punkcie, zaczął się jeżyć na każde celne i sardoniczne pytanie Erniego.

Pomówmy o krwi Rhody. Jeśli był w łóżku z Lydią, a koszula leżała na podłodze, jakim cudem krew Rhody trafiła z jej sypialni do mieszkania Lydii oddalonego o kilometr?

To spisek, odpowiedział Danny, wysuwając nową teorię i kopiąc sobie dół,

z którego nigdy już się nie wydostanie. Zbyt dużo czasu spędzonego w samotności w celi aresztu może okazać się bardzo niebezpieczne dla przestępcy, który jest winny. Próbował zatem wyjaśnić, że ktoś albo pochłapał jego koszulę krwią Rhody – ta teoria bardzo rozbawiła publiczność – albo, co było bardziej prawdopodobne, jakaś tajemnicza osoba badająca tę koszulę po prostu kłamała, a wszystko po to, żeby go skazać. Ernie miał pole do popisu w przypadku obu scenariuszy, ale najcięższe działa wytoczył, pytając brutalnie, dlaczego Danny, który z pewnością ma dość pieniędzy, by wynająć najlepszych adwokatów w okolicy, nie zatrudnił własnego biegłego, który przyszedłby do sądu i objaśnił przysięgłym wyniki badań plam krwi na jego koszuli.

Może takiego eksperta nie udało się znaleźć, bo żaden biegły nie podpisałby się pod żałosnymi i wręcz śmiesznymi wnioskami, na których zależałoby Padgittowi.

To samo dotyczyło spermy. Jeśli Danny zostawił ją w Lydii, jakim cudem znalazła się w Rhodzie? Nie ma problemu – to też część spisku zakrojonego na szeroką skalę, bo ktoś chciał go zrobić w to przestępstwo. Wyniki badań laboratoryjnych zostały sfabrykowane. Policja spartoliła robotę. Ernie nie odpuszczał i męczył go, aż wszyscy byliśmy wykończeni.

O dwunastej trzydzieści Lucien wstał i poprosił o przerwę na lunch.

– Jeszcze nie skończyłem! – wykrzyknął Ernie.

Chciał zakończyć unicestwienie oskarżonego, zanim Lucien dostanie go w swoje ręce i będzie próbował jakoś zrehabilitować, co i tak wydawało się zadaniem niemożliwym. Padgitt był ledwie żywy, zdruzgotany, z trudem łąpał powietrze, ale Ernie nie zamierzał rzucać ręcznika.

– Proszę kontynuować – powiedział sędzia Loopus.

– Co pan zrobił z nożem?! – wrzasnął Ernie do Padgitta.

To pytanie przestraszyło wszystkich, a najbardziej przesłuchiwanego, który szarpnął się do tyłu na krześle.

– Ja... – zaczął i zamilkł.

– Pan co? No dalej, panie Padgitt, niech nam pan powie, co pan zrobił z nożem, z narzędziem zbrodni.

Danny gwałtownie kręcił głową i wyglądał na zbyt przestraszonego, żeby mówić.

– Jaki nóż? – wydukał w końcu.

Nie wyglądałby na bardziej winnego, nawet gdyby ten nóż wypadł mu

w tej chwili z kieszeni.

– Nóż, którym posłużył się pan, atakując Rhodę Kassellaw.

– To nie ja.

Niczym powolny i okrutny kat Ernie zrobił długą pauzę, pochylił się i zaczął naradzać z Hankiem Hootenem. Potem wziął ze stołu wyniki sekcji zwłok i zapytał Danny’ego, czy pamięta zeznanie pierwszego patologa. Czy jego sprawozdanie to również część spisku? Danny nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie dowody były wykorzystywane przeciwko niemu, więc tak, uznał, że ono też jest sfalszowane.

A czy kawałek jego skóry znaleziony pod paznokciem ofiary to również część tego spisku? I jego nasienie? I tak dalej. Ernie atakował bez litości. Lucien od czasu do czasu zerkał przez ramię na Danny’ego z wyrazem twarzy, który mówił: „Ostrzegałem cię”.

Obecność Danny’ego na miejscu dla świadków pozwoliła prokuratorowi znowu zaprezentować wszystkie dowody, a wrażenie, jakie tym zrobił, było powalające. Słabe protesty chłopaka, że wszystko zostało ukartowane, brzmiały żałośnie, a nawet śmiesznie. Patrzenie na niego, gdy był metodycznie chlastany na oczach przysięgłych, dawało sporą satysfakcję. Ci dobrzy wygrywali. Wydawało się, że przysięgli są gotowi wyciągnąć broń i utworzyć pluton egzekucyjny.

Ernie rzucił notes na stół i wreszcie wyglądał na kogoś, kto może iść na lunch. Wetknął ręce do kieszeni, wbił wzrok w świadka i spytał:

– Potwierdza pan pod przysięgą, że nie zgwałcił i nie zabił pan Rhody Kassellaw?

– Nie zrobiłem tego.

– Nie pojechał pan za nią do domu z granicy stanu tamtej sobotniej nocy?

– Nie.

– Nie wkradł się pan do jej domu przez drzwi wychodzące na patio?

– Nie.

– I nie ukrywał się pan w garderobie do czasu, aż położyła dzieci spać?

– Nie.

– Nie zaatakował jej pan, kiedy przyszła do sypialni, żeby przebrać się do spania?

– Nie.

Lucien wstał i powiedział ze złością:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Pan Gaddis zachowuje się, jakby to on zezna-

wał.

– Oddalony! – warknął sędzia Loopus, patrząc na stół obrony.

Chciał sprawiedliwego procesu. Żeby zrównoważyć wszystkie przedstawione kłamstwa, zostawiał oskarżeniu sporą swobodę w opisie przestępstwa.

– Nie zawiązał jej pan oczu szalikiem?

Padgitt, w miarę jak opowieść dochodziła do punktu kulminacyjnego, coraz energiczniej kręcił głową.

– I nie przeciął jej pan majtek nożem?

– Nie.

– Nie zgwałcił jej pan w jej własnym łóżku, wiedząc, że dzieci śpią za ścianą?

– Nie zgwałciłem.

– I nie obudził ich pan, hałasując?

– Nie.

Ernie podszedł do świadka tak blisko, jak pozwalał na to sędzia, i popatrzył smutno na przysięgłych. Potem odwrócił się do Danny’ego i powiedział:

– Michael i Teresa przybiegli, żeby sprawdzić, co się dzieje z ich matką, prawda, panie Padgitt?

– Nie wiem.

– I zobaczyli pana na niej, nieprawdaż?

– Mnie tam nie było.

– Rhoda usłyszała ich głosy, dobrze mówię? Czy krzyczały na pana, błagały, żeby zszedł pan z ich matki?

– Mnie tam nie było.

– A Rhoda zrobiła to, co zrobiłaby każda matka: krzyknęła do nich, żeby uciekały, mam rację, panie Padgitt?

– Mnie tam nie było.

– Pana tam nie było! – zagrzemiał Ernie i mieliśmy wrażenie, że ściany zdrząły. – Pańska koszula tam była, odciski pańskich butów tam były, zostawił pan tam spernę! Czy uważa pan przysięgłych za durniów, panie Padgitt?

Świadek nie przestawał kręcić głową. Ernie wrócił wolno do swojego krzesła i odsunął je od stołu. Zanim usiadł, powiedział jeszcze:

– Jest pan gwałcicielem. Jest pan mordercą. I jest pan kłamcą, panie Padgitt, mam rację?

Lucien zerwał się z miejsca i krzyknął:

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! Poprzestańmy na tym!

- Sprzeciw podtrzymany. Jeszcze jakieś pytania, panie prokuratorze?
- Nie, Wysoki Sądzie, oskarżenie zakończyło przesłuchiwanie świadka.
- Z pańskiej strony, mecenasie?
- Nie, Wysoki Sądzie.
- Świadek jest wolny.

Danny wstał powoli. Pogardliwy uśmieszek dawno zniknął z jego ust; chłopak nie kroczył już dumnie. Twarz miał czerwoną ze złości i mokrą od potu.

Gdy schodził z podwyższenia dla świadka i wracał do stołu obrony, odwrócił się niespodziewanie do przysięgłych i powiedział coś, co wprowadziło wszystkich w osłupienie.

Rysy jego twarzy zniekształciła czysta nienawiść, dźgnął powietrze palcem wskazującym.

– Skażecie mnie, a ja dopadnę potem każdego z was.

– Woźny! – zawołał sędzia Loopus i chwycił młotek. – Dość tego, panie Padgitt.

– Każdego z was! – powtórzył Danny głośniej.

Ernie zerwał się na równe nogi, ale nie przyszło mu do głowy nic, co mógłby powiedzieć. Bo niby dlaczego miałyby coś mówić? Oskarżony sam zakładał sobie pętlę na szyję. Lucien też wstał, również niepewny, co robić. Podbiegło dwóch zastępców szeryfa i zaciągnęło Padgitta do stołu obrony. Piorunował przysięgłych wzrokiem, jakby miał zamiar rzucić w nich granatem.

Kiedy zapanował spokój, stwierdziłem, że serce wali mi jak młotem. Nawet Baggy był zbyt oszołomiony, żeby jakoś to skomentować.

– Zróbmy sobie przerwę na lunch – powiedział sędzia, a my wyszliśmy pośpiesznie z sali rozpraw.

Zapomniałem o głodzie. Marzyłem tylko o tym, żeby pognać do domu i wziąć prysznic.

## Rozdział 18

---

**R**ozprawa została wznowiona o piętnastej. Wszyscy przysięgli byli obecni – w czasie lunchu Padgittowie nie wyeliminowali żadnego z nich. Miss Callie posłała mi uśmiech, ale nie było w nim serca.

Sędzia Loopus wyjaśnił przysięgłym, że nadeszła pora na mowy końcowe, po których przeczyta im formalne instrukcje, i mniej więcej za dwie godziny będą musieli wydać wyrok. Słuchali uważnie, ale jestem pewny, że nadal nie otrząsnęli się z szoku po tak jawnym zastraszaniu. Całe miasto jeszcze nie doszło po tym do siebie. Przysięgli byli jednymi z nas, należeli do społeczności okręgu i grożenie im było równoznaczne z grożeniem nam wszystkim.

Pierwszy zabrał głos Ernie i po kilku minutach do gry wróciła zakrwawiona koszula. Postępował jednak ostrożnie, żeby nie przeszarżować. Przysięgli wszystko rozumieli. Znali ten dowód bardzo dobrze.

Prokurator okręgowy mówił, podając mnóstwo szczegółów, ale zaskakująco krótko. Kiedy ostatni raz zwracał się z apelem o uznanie oskarżonego winnym, obserwowaliśmy twarze przysięgłych. Nie dostrzegłem oznak sympatii do Danny'ego. Fargarson, „chłopak kaleka”, podczas przemowy Erniego kiwał nawet głową. John Deere nie krzyżował już ramion i wsłuchiwał się w każde słowo.



Wystąpienie Luciena było jeszcze krótsze, ale miał też znacznie mniej do powiedzenia. Zaczął od ostatnich słów swojego klienta skierowanych do ławy przysięgłych. Przepraszył za jego zachowanie. Winę zrzucał na ogromne napięcie, jakie chłopak czuł w tamtej chwili. Wyobraźcie sobie, mówił do przysięgłych, że macie dwadzieścia cztery lata i czeka was albo dożywocie, albo komora gazowa. Stres, jaki przeżywał jego młody klient – cały czas mówił o nim „Danny”, jakby chodziło o małego niewinnego chłopca – był ogromny, dlatego niepokoi się o jego równowagę psychiczną.

Ponieważ nie mógł nawiązać do kretyńskiej teorii spisku, z którą wyskoczył jego klient, i ponieważ był zbyt mądry, żeby zajmować się dowodami, przez mniej więcej pół godziny wygłaszał pean na cześć autorów konstytucji i Deklaracji Praw Człowieka. Sposób, w jaki interpretował domniemanie niewinności i konieczność niepodważalnego udowodnienia winy przez oskarżenie sprawił, że zacząłem się zastanawiać, jakim cudem w ogóle kiedykolwiek doszło do skazania przestępcy.

Oskarżenie miało okazję do repliki, obrona już nie. Dlatego ostatnie słowo należało do Erniego. Pomiął milczeniem dowody, nie wspomniał o oskarżonym, zamiast tego zdecydował się mówić o Rhodzie. O jej młodości i urodzie, prostym życiu, jakie wiodła w Beech Hill, śmierci jej męża i wyzwaniu, jakim było samotne wychowywanie dwójki dzieci.

Było to bardzo efektowne posunięcie, przysięgli chłonęli każde jego słowo.

– Nie zapominajmy o niej – powtarzał Ernie jak refren. Doświadczony mówca najlepsze zachował na koniec. – I nie zapominajmy o jej dzieciach – dodał, patrząc przysięgłym w oczy. – Były tam, kiedy umierała. To, co widziały, było tak straszne, że już na zawsze pozostaną okaleczone. Mają prawo głosu na tej sali i ten głos należy do was.

Sędzia Loopus pouczył przysięgłych, a potem odesłał ich, żeby zaczęli naradę. Minęła siedemnasta, pora, kiedy sklepy przy rynku były już zamknięte, a sprzedawcy i ich klienci dawno zniknęli. O tej godzinie zazwyczaj na ulicach prawie nie było ruchu, miejsca parkingowe czekały wolne.

Ale nie wtedy, gdy obradowała ława przysięgłych!

Większość ludzi obecnych na sali snuła się teraz po trawniku przed budynkiem sądu. Palili papierosy, plotkowali, spekulowali, jak długo potrwa ustalanie werdyktu. Inni zapełniali kawiarnie i pili późną kawę albo jedli wczesną kolację. Ginger poszła ze mną do redakcji, gdzie usiedliśmy na balkonie i ob-

serwowaliśmy ruch wokół sądu. Była emocjonalnie wykończona i chciała jak najszybciej wyjechać z okręgu Ford.

– Jak dobrze znasz Hanka Hootena? – zapytała w którymś momencie.

– Nie poznałem go osobiście. Dlaczego pytasz?

– Zaczepił mnie w czasie przerwy na lunch i powiedział, że dobrze znał Rhodę i wie na pewno, że nie była puszczalska i nie sypiała z Dannym Padgitem. Odpowiedziałam mu, że od pierwszej chwili nie wierzyłam, żeby spotykała się z takim łobuzem.

– Powiedział ci, że to on się z nią spotykał? – zapytałem.

– Nie, ale odniosłam takie wrażenie. Kiedy porządkowaliśmy jej rzeczy, jakiś tydzień po pogrzebie, natknęłam się na jego nazwisko i numer telefonu w jej notesie z adresami.

– Poznałaś Baggy’ego?

– Tak.

– Cóż, Baggy kręci się tu od zawsze, wydaje mu się, że wie wszystko. W poniedziałek, kiedy zaczął się proces, dowiedziałem się od niego, że Rhoda i Hank się widywali. Dodał, że Hank ma za sobą parę rozwodów i lubi uchodzić za kobieciarza.

– Zatem nie jest żonaty?

– Nie wydaje mi się. Zapytam Baggy’ego.

– Chyba powinnam poczuć się lepiej, wiedząc, że moja siostra sypiała z prawnikiem.

– Niby dlaczego?

– Nie wiem.

Zrzuciła szpilki, a jej i tak krótka spódnica podjechała jeszcze wyżej. Zacząłem głaskać ją po udach i myślami znalazłem się daleko od procesu.

Ale tylko na moment. Przy głównym wejściu do sądu zrobiło się zamieszanie. Usłyszałem, jak ktoś wykrzykuje słowo „werdykt”.

\*\*\*

Po naradzie trwającej niecałą godzinę przysięgli byli gotowi. Kiedy prawnicy i publiczność zajęli miejsca, sędzia Loopus zwrócił się do woźnego:

– Proszę ich przyprowadzić.

– Winny jak cholera – wyszeptał Baggy, gdy otworzyły się drzwi i pierwszy, kulejąc, wszedł Fargarson. – Szybkie werdykty zawsze oznaczają winne-

go.

Tak dla ścisłości, Baggy przewidywał, że przysięgli nie dojdą do porozumienia, ale nie przypomniałem mu o tym, w każdym razie nie w tamtej chwili.

Przewodniczący podał woźnemu złożoną kartkę, a ten przekazał ją sędziemu. Loopus wpatrywał się w nią przez dłuższy czas, po czym nachylił się do mikrofonu.

– Proszę oskarżonego o powstanie – powiedział.

Danny Padgitt i Lucien Wilbanks podnieśli się powoli, niezręcznie, jakby celował do nich pluton egzekucyjny.

Sędzia Loopus zaczął czytać:

– Jeśli chodzi o pierwszy zarzut, gwałt, my, sędziowie przysięgli, uznajemy oskarżonego Danny’ego Padgitta za winnego. Jeśli chodzi o zarzut drugi, morderstwo zagrożone karą śmierci, my, sędziowie przysięgli, uznajemy oskarżonego Danny’ego Padgitta za winnego.

Lucien ani drgnął, a Danny bardzo starał się nie drzeć. Popatrzył na przysięgłych tak jadowicie, jak tylko potrafił, a oni odwzajemnili mu się tym samym.

– Możecie usiąść – powiedział sędzia i odwrócił się do ławy przysięgłych. – Panie i panowie, dziękuję wam za dotychczasową pracę. To kończy etap ustalania winy w tym procesie. Teraz przechodzimy do części zasadniczej, będę musiał zdecydować, czy oskarżony zostanie skazany na dożywocie, czy na karę śmierci. Wróćcie teraz do hotelu, rozprawa jest odroczone do jutra do dziewiątej rano. Dziękuję państwu i dobranoc.

Stało się to tak szybko, że większa część obecnych na sali zamarła. Padgitt został wyprowadzony, tym razem w kajdankach, a jego rodzina sprawiała wrażenie ogłupiałej. Lucien nie miał czasu na pogaduszki z nimi.

Poszliśmy do redakcji, a Baggy zaczął walić z furią w maszynę do pisania. Mieliśmy dużo czasu na zamknięcie numeru, ale chcieliśmy opisać wszystko na gorąco. Jednak po półgodzinie Baggy wymiękł, jak zawsze, ulegając pokusie napicia się czegoś mocniejszego. Było już prawie ciemno, kiedy wróciła Ginger w obcisłych dżinsach, obcisłej bluzce, z rozpuszczonymi włosami i spojrzeniem, które mówiło: „Zabierz mnie gdzieś”.

Znowu zatrzymaliśmy się przy Quincy’s, gdzie kupiłem sześciopak na drogę, i z opuszczonym dachem, owiewani ciepłym powietrzem, ruszyliśmy do Memphis oddalonego o półtorej godziny jazdy.

Niewiele mówiła, a ja jej nie wypytywałem. To rodzina zmusiła ją do wzięcia udziału w procesie. Nie prosiła o ten koszmar. Na szczęście znalazła trochę przyjemności w moim towarzystwie.

Nigdy nie zapomnę tamtej nocy. Pędziliśmy ciemnymi bocznymi drogami, piliśmy zimne piwo, trzymałem za rękę piękną kobietę, która sama do mnie przyszła i z którą już się przespałem, i miałem nadzieję, że zrobimy to znowu.

Nasz cudowny przelotny romans miał potrwać jeszcze tylko kilka godzin. Mogłem je niemal policzyć. Zdaniem Baggy'ego ustalenie wymiaru kary nie zabierze nawet całego dnia, więc proces skończy się nazajutrz, w piątek. Ginger nie mogła doczekać się chwili, kiedy wyjedzie z Clanton i zapomni o tym mieście, a ja, rzecz jasna, nie mogłem z nią pojechać. Sprawdziłem w atlasie – Springfield w stanie Missouri było bardzo daleko, co najmniej sześć godzin jazdy samochodem. Drogi nie były najlepsze, choć gdyby tego chciała, na pewno bym spróbował ją tam zawieźć.

Coś mi jednak mówiło, że Ginger zniknie z mojego życia równie szybko, jak się w nim pojawiła. Byłem przekonany, że ma chłopaka albo dwóch tam, gdzie mieszka, więc ja nie byłbym mile widziany. A gdyby spotkała się ze mną w Springfield, przypominałbym jej okręg Ford i koszmar, jaki tu przeżyła.

Ścisnąłem jej rękę i przysięgłem sobie w duchu, że zrobię, co w mojej mocy, żeby jak najlepiej wykorzystać te ostatnie kilka godzin.

W Memphis skierowaliśmy się ku wieżowcom nad rzeką. Najślynniejszą restauracją w tym mieście była Rendezvous, specjalizująca się w żeberkach, należąca do greckiej rodziny. Dobre jedzenie w Memphis było przygotowywane niemal wyłącznie przez Greków albo Włochów.

Śródmieście w 1970 roku nie należało do bezpiecznych miejsc. Zaparkowałem w podziemnym garażu i przebiegliśmy na drugą stronę ulicy do drzwi Rendezvous. Dym z rusztów wydobywał się przez szyby wentylacyjne i wisiał między budynkami niczym gęsta mgła. Był to najsmakowitszy zapach, jaki kiedykolwiek czułem, i podobnie jak reszta gości konałem z głodu, jeszcze zanim zeszliśmy po schodach i znaleźliśmy się w restauracji.

W czwartki nie było tam tłoczno. Zaczekaliśmy pięć minut i kiedy wywołano moje nazwisko, poszliśmy za kelnerem, slalomem omijając stoliki, przez mniejsze sale, w głąb lokalu. Kelner puścił do mnie oko i wskazał nam stolik na dwie osoby w ciemnym kącie. Zamówiliśmy żeberka i piwo, i czekając,

obmacywaliśmy się.

Uznanie Padgitta za winnego przyniosło wszystkim ogromną ulgę. Cokolwiek innego byłoby klęską prawa, a Ginger wyjechałaby z miasta, nawet się za siebie nie oglądając. Wyjedzie nazajutrz, ale w tym momencie była moja. Wypiliśmy za werdykt. Dla niej oznaczał on prawdziwy triumf sprawiedliwości. Dla mnie był tym samym, ale dawał nam też jeszcze jedną wspólną noc.

Jadła niewiele, dzięki czemu, gdy skończyłem swoje żeberka, zabrałem się do jej porcji. Opowiedziałem o Miss Callie i lunchach na werandzie, o jej niezwykłych dzieciach i pochodzeniu. Ginger powiedziała, że podziwia Miss Callie, podobnie jak pozostałą jedenastkę sędziów.

Ale taki podziw zwykle nie trwa długo.

\*\*\*

Tak, jak się spodziewałem, ojciec tkwił na strychu, który zawsze nazywał gabinetem. Tak naprawdę było to ostatnie piętro wiktoriańskiej wieży przy frontowym narożniku naszego nędznego, zapuszczonego domu w Memphis. Ginger chciała go zobaczyć. W ciemności wyglądał bardziej imponująco niż w świetle dnia. Stał w cudownej, ocienionej starej dzielnicy, pełnej popadających w ruinę domów należących do popadających w ruinę rodzin, które dzielnie trwały w dystygowanej nędzy.

– Co on robi tam na górze? – zapytała.

Siedzieliśmy w samochodzie, ze zgaszonym silnikiem, przy krawężniku. Stary jak świat sznauer pani Duckworth, mieszkającej cztery domy dalej, zaczął na nas warczeć.

– Już ci mówiłem, handluje akcjami i obligacjami.

– W nocy?

– Zajmuje się badaniem rynku. Nigdy nie wychodzi.

– I traci pieniądze?

– Na pewno żadnych nie zarabia.

– Przywitamy się z nim?

– Nie. Wkurzyłby się, i tyle.

– Kiedy ostatni raz się z nim widziałeś?

– Trzy, cztery miesiące temu.

Wizyta u ojca była ostatnią rzeczą, na jaką miałem w tej chwili ochotę. Zzerało mnie pożądanie i nie mogłem się doczekać, kiedy wreszcie do czegoś

dojdzie. Wyjechaliśmy na przedmieścia i przy autostradzie międzystanowej znaleźliśmy Holiday Inn.

## Rozdział 19

---

**W** piątek rano w korytarzu przed salą rozpraw odnalazł mnie Esau Ruffin i miał dla mnie miłą niespodziankę: towarzyszyło mu trzech jego synów, Al, Max i Bobby (Alberto, Massimo i Roberto), czekających niecierpliwie, kiedy będą się mogli ze mną przywitać. Z całą trójką rozmawiałem miesiąc wcześniej, kiedy pisałem o Miss Callie i jej dzieciach. Wymieniliśmy uściski dłoni i kilka uprzejmości. Podziękowali mi za sympatię, jaką miałem dla ich matki, i miłe słowa, które napisałem o ich rodzinie. Mówili równie łagodnie, bezbłędnie i miło dla ucha, jak ich matka.

Przyjechali późnym wieczorem poprzedniego dnia, żeby wesprzeć ją moralnie. Przez cały ten tydzień Esau rozmawiał z nią tylko raz – każdy sędzia przysięgły mógł wykonać tylko jeden telefon. Dobrze się trzymała, ale martwił się o jej ciśnienie.

Gadaliśmy przez chwilę, podczas gdy tłum napierał na drzwi sali sądowej, a potem weszliśmy do środka. Usiedli dokładnie za mną. Niedługo potem Miss Callie zajęła swoje miejsce, spojrzała na mnie i spostrzegła synów. Jej szeroki uśmiech przypominał błyskawicę. Zmęczenie wokół oczu zniknęło w jednej chwili.

W czasie całego procesu widziałem na jej twarzy pewien rodzaj dumy. Sie-

działa tam, gdzie wcześniej nie śmiał się pojawić żaden czarny, ramię w ramię z białymi współobywatelami. Po raz pierwszy w historii okręgu Ford czarna osoba osądzała białego. Dostrzegałem również odrobinę niepokoju, jaki zawsze towarzyszy człowiekowi, kiedy wypuszcza się na nieznane wody.

Teraz, gdy synowie mogli ją oglądać, duma jaśniała na jej twarzy i nie było na niej ani śladu strachu. Siedziała trochę bardziej wyprostowana i choć jak do tej pory nic na sali rozpraw nie uszło jej uwagi, rozglądała się na wszystkie strony, gotowa przyjąć to, co ma nadejść, i zakończyć swoje zadanie.

Sędzia Loopus wyjaśnił przysięgłym, że na tym etapie oskarżenie przedstawi okoliczności obciążające, które będą argumentem wspierającym żądanie kary śmierci. Obrona wystąpi z dowodami przemawiającymi za złagodzeniem wyroku. Nie spodziewał się, żeby miało to potrwać długo. Był piątek, proces i tak ciągnął się już wiele dni. Przysięgli i wszyscy w Clanton chcieli, żeby sprawa Danny'ego Padgitta została zakończona, a życie wróciło do normalności.

Ernie Gaddis dobrze wyczuł nastrój panujący na sali. Podziękował przysięgłym za sprawiedliwie uznanie oskarżonego winnym i przyznał, że jego zdaniem żadne dodatkowe zeznania nie są potrzebne. Zbrodnia była tak ohydna, że nie można dodać nic bardziej obciążającego. Prosił, by przysięgli pamiętali o zdjęciach Rhody leżącej na ławce na werandzie domu pana Deece'a i zeznaniu patologa mówiącego o jej strasznych ranach i o tym, jak umarła. I o jej dzieciach, proszę, nie zapominajcie o jej dzieciach.

Jakby ktokolwiek mógł zapomnieć.

Z pasją prosił też o karę śmierci. Przedstawił krótką historię powodów, dla których my, uczciwi Amerykanie, tak bardzo w nią wierzymy. Wyjaśnił, dlaczego ma moc powstrzymywania innych przed złymi uczynkami. Zacytował Pismo Święte.

W prawie trzydziestoletniej karierze prokuratora w sześciu okręgach nie spotkał nigdy sprawy, która tak bardzo domagałaby się kary śmierci. Patrząc na twarze przysięgłych, byłem przekonany, że ma szansę dostać to, o co zabiega.

Podsumował przypomnieniem sędziom, że każdy z nich został wybrany w poniedziałek po zapewnieniu, że potrafi przestrzegać prawa. Przeczytał przepisy prawne dotyczące kary śmierci.



– Stan Missisipi przedstawił dowody winy oskarżonego – powiedział, zamykając grubą, zieloną książkę prawniczą.

– Państwo uznaliście Danny’ego Padgitta za winnego popełnienia gwałtu i morderstwa. Prawo domaga się teraz kary śmierci. Waszym obowiązkiem jest wydać taki wyrok.

Przejmujące do głębi wystąpienie Erniego trwało pięćdziesiąt jeden minut – starałem się wszystko notować – a kiedy skończył, wiedziałem, że przysięgli powieszają Padgitta, i to nie raz, a dwa razy.

Zdaniem Baggy’ego w przypadku spraw zagrożonych karą śmierci oskarżony, który przez cały proces utrzymuje, że jest niewinny, a potem zostaje przyszpilony przez ławę przysięgłych, zwykle wstaje i przeprosza za przestępstwo, którego się dopuścił, choć przez cały tydzień się go wypierał.

– Zaczynają błagać i płaczą. To prawdziwy cyrk.

Ale dramatyczne wydarzenie z poprzedniego dnia wykluczało wystąpienie Danny’ego przed przysięgłymi. Lucien wezwał na świadka jego matkę, Lettie Padgitt. Miała pięćdziesiąt parę lat, ładną twarz i krótkie siwiejące włosy, była ubrana w czarną sukienkę, jakby już nosiła żałobę po synu. Prowadzona przez Luciena, zaczęła zeznawać niepewnym głosem. Wydawało się, że wypowiedane przez nią zdania zostały napisane wcześniej i wyuczone, łącznie z przerwami na oddech. Mówiła o Danny’u, chłopcu codziennie po szkole łowiącym ryby, o tym, jak złamał nogę, gdy spadł z domku na drzewie, i jak w czwartej klasie wygrał konkurs ortograficzny. W tamtym czasie nie przysparzał żadnych problemów. Prawdę mówiąc, Danny nie przysparzał też problemów, gdy dorastał; był prawdziwym skarbem. Jego dwaj starsi bracia bez przerwy się w coś pakowali, ale nie Danny.

Zeznanie było tak idiotyczne i wyrachowane, że aż nudne. Jednak wśród przysięgłych były trzy matki – Miss Callie, Barbara Baldwin i Maxine Root – a Lucien chciał dotrzeć choćby do jednej z nich. Potrzebował tylko jednej.

Nikt nie był zaskoczony, kiedy pani Padgitt się rozplakała. Nigdy nie uwierzy, że jej syn popełnił tak straszne przestępstwo, ale jeśli zdaniem przysięgłych tak się stało, ona spróbuje się z tym pogodzić. Ale dlaczego jej go zabierać? Dlaczego zabijać jej małego synka? Co świat zyska przez to, że on straci życie?

Jej ból był prawdziwy. Emocje szczere, ciężko było na nią patrzeć. Każdy człowiek współczułby matce, która może stracić dziecko. W końcu zupełnie się załamała. Lucien zostawił ją, zapłakaną, na miejscu dla świadków. To, co

zaczęło się jako kiepskie przedstawienie, zakończyło się chwytającym za serce błaganiem, które zmusiło większość przysięgłych do spuszczenia wzroku i wpatrywania się w podłogę.

Lucien powiedział, że nie ma innych świadków. On i Ernie dokonali krótkich podsumowań i o jedenastej przysięgli znów udali się na naradę.

\*\*\*

Ginger zniknęła w tłumie. Wróciłem do redakcji i czekałem, ale ponieważ się nie zjawiała, poszedłem na drugą stronę rynku do kancelarii Harry'ego Rexa. Wysłał sekretarkę po kanapki i zjedliśmy je w zagraconym pokoju konferencyjnym. Jak większość prawników w Clanton, cały tydzień spędzał w sądzie, obserwując sprawy, z których nie miał żadnych korzyści finansowych.

– Czy ta twoja znajoma nie wymięknie? – zapytał z ustami pełnymi kanapki z indykiem i szwajcarskim serem.

– Miss Callie? – zapytałem.

– Aha. Zgodzi się na komorę gazową?

– Nie mam pojęcia. Nie rozmawialiśmy o tym.

– Ona nas niepokoi, tak jak ten cholerny kaleki chłopak.

Harry Rex tak bardzo zaangażował się w ten proces – niewiadomo kiedy – że sprawiał wrażenie, jakby pracował dla Erniego Gaddisa i oskarżenia. Ale nie był jedynym prawnikiem w mieście potajemnie wspierającym prokuratora.

– Nie potrzebowali nawet godziny, żeby uznać go za winnego – przypomniałem. – Czy to dobry znak?

– Może, ale kiedy nadchodzi czas podpisania wyroku śmierci, przysięgli robią dziwne rzeczy.

– I co? Wtedy dostanie dożywocie. Z tego, co słyszałem, życie w Parchman może się okazać dużo straszniejsze niż komora gazowa.

– Dożywocie to nie dożywocie, Willie – odrzekł Rex, wycierając usta papierowym ręcznikiem.

Odłożyłem kanapkę, podczas gdy on odgryzał kolejny kawałek.

– Ile trwa dożywocie? – spytałem.

– Dziesięć lat, może mniej.

Próbowałem to zrozumieć.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wyrok dożywocia oznacza w Missisipi dziesięć lat?

– Dokładnie. Po dziesięciu latach, a nawet mniej, jeśli czas jest sprzyjający, morderca odsiadujący wyrok dożywocia może wystąpić o zwolnienie warunkowe. Obłąd, nie uważasz?

– Ale dlaczego...

– Nie próbuj tego zrozumieć, Willie, tak stanowi prawo. Od pięćdziesięciu lat. Gorsze jednak jest to, że przysięgli nie mają o tym pojęcia. Nie można im powiedzieć. Chcesz trochę surówki?

Pokręciłem głową.

– Nasz szacowny Sąd Najwyższy uznał, że jeśli przysięgli wiedzieliby, co naprawdę oznacza dożywocie, mogliby chętniej optować za karą śmierci – wyjaśnił Rex. – A to byłoby niesprawiedliwe wobec podsądnego.

– Dożywocie to dziesięć lat – wymamrotałem.

W Missisipi w dniu wyborów sklepy z alkoholem są zamknięte, jakby wyborcy mogli się upić i głosować na nieodpowiednich ludzi. Kolejne prawo, które trudno zrozumieć.

– Pojmujesz? – powiedział Harry Rex i skończył kanapkę jednym potężnym kęsem. Wziął z półki kopertę, otworzył ją i przesunął po blacie w moją stronę czarno-białe zdjęcie. – Masz przechlapane, stary – dodał, śmiejąc się.

Było to zdjęcie, na którym wychodziłem chyłkiem z motelowego pokoju Ginger w czwartkowy rano. Wyglądałem na zmęczonego, skacowanego, z poczuciem winy, ale także dziwnie zadowolonego.

– Kto je zrobił? – zapytałem.

– Jeden z moich chłopców. Pracował nad sprawą rozwodu, dostrzegł twój mały komunistyczny samochodek i postanowił trochę się zabawić.

– Nie on jeden myślał o zabawie.

– To gorąca laska. Próbował robić zdjęcia przez zasłony, ale nie mógł znaleźć dobrego miejsca, żeby się ustawić.

– Mam ci złożyć na tym autograf?

– Zatrzymaj je, i tyle.

\*\*\*

Po trzech godzinach przysięgli przekazali sędziemu wiadomość. Utknęli w martwym punkcie i niewiele wskazywało na to, żeby mogli ruszyć z miej-

sca. Loopus wznowił rozprawę, a my pognaliśmy na drugą stronę ulicy.

Jeśli przysięgli w przypadku kary śmierci nie mogą wydać jednogłośnie werdyktu, to wtedy, zgodnie z prawem, sędzia skazuje podsądnego na dożywocie.

Tłumem czekającym na przysięgłych zawładnął strach. Wśród sędziów działo się coś złego. Czyżby Padgittom udało się znaleźć ofiarę?

Miss Callie miała nieprzenikniony wyraz twarzy, jakiego nigdy wcześniej u niej nie widziałem. Barbara Baldwin najwyraźniej wcześniej płakała. Kilku mężczyzn sprawiało wrażenie, jakby właśnie przerwano im bójkę na pięści i niecierpliwie czekali, by do niej wrócić.

Przewodniczący wstał i bardzo zdenerwowany wyjaśnił sądowi, że zdania sędziów są podzielone i przez ostatnią godzinę tkwili w martwym punkcie. Czarno widział możliwość osiągnięcia jednomyślności, poza tym wszyscy chcieli już iść do domu.

Sędzia Loopus pytał później wszystkich przysięgłych po kolei, czy ich zdaniem jednogłośnie werdykt jest możliwy. Jednogłośnie odpowiedzieli, że nie.

Czułem, że na sali narasta złość. Ludzie wiercili się na krzesłach i szeptali, a to na pewno nie pomagało przysięgłym.

Sędzia Loopus wygłosił wtedy mowę, którą Baggy nazwał „energicznym natarciem” – zaimprovizowany wykład o przestrzeganiu prawa i dotrzymywaniu obietnic składanych przy wyborze na sędziego przysięgłego. Było to surowe i długie upomnienie ze sporą dozą desperacji.

Nic to nie dało. Dwie godziny później oszołomiony tłum słuchał sędziego Loopusa, znów pytającego kolejno wszystkich sędziów, z takim samym rezultatem. Podziękował im z urazą w głosie i odesłał do domów.

Kiedy opuścili salę, kazał Danny’emu wstać i tak go zjechał – oficjalnie, z wpisaniem do protokołu – że aż ścierpła mi skóra. Nazwał go gwałcicielem, mordercą, tchórzem, kłamcą i, co najgorsze, złodziejem, bo zabrał dwójce małych dzieci jedyne go rodzica, jaki im został. To był ostry, miażdżący atak. Próbowałem zapisywać słowo po słowie, ale musiałem przestać, tak bardzo było to wciągające. Zajadły uliczny kaznodzieja, ganiąc grzeszników, nie potrafiłby się zdobyć na tyle obelżywych słów.

Gdyby sędzia miał taką władzę, skazałby Danny’ego na śmierć, i to gwałtowną oraz bolesną.

Ale prawo jest prawem i musiał mu się podporządkować. Skazał Dan-

ny'ego Padgitta na dożywocie i polecił szeryfowi Coleyowi natychmiastowe odtransportowanie go do więzienia stanowego w Parchman. Coley zakął skazanego w kajdanki i wyszli.

Loopus walnął młotkiem i wypadł z sali jak burza. Gdzieś z tyłu wybuchła awantura, kiedy jeden z wujów Danny'ego zderzył się z Dokiem Crullem, miejscowym fryzjerem, znanym z porywczosci. Ludzie błyskawicznie ich otoczyli, kilka osób wyklinało Padgittów i kazało im wracać na Wyspę.

– Wracajcie na swoje bagna! – krzyczał ktoś.

Zastępcy szeryfa rozdzielili walczących i Padgittowie opuścili salę.

Tłum ociągał się z wyjściem, jakby proces jeszcze nie dobiegł końca, jakby sprawiedliwości nie stało się zadość. Widać było złość, rzucono przekleństwa, a ja z łatwością mogłem sobie wyobrazić, jak może dojść do linczu.

\*\*\*

Ginger nie przyszła. Obiecała, że zajrzy do redakcji, gdy wymelduje się z motelu, żeby się pożegnać, ale widocznie zmieniła zdanie. Oczami wyobraźni widziałem, jak pędzi samochodem przez noc, klnie, płacze i liczy kilometry do granicy Missisipi. Kto mógłby ją za to winić?

Nasze trzydniowe szaleństwo skończyło się nagle, ale oboje się tego spodziewaliśmy, choć żadne by się do tego nie przyznało. Nawet do głowy mi nie przyszło, że nasze ścieżki mogłyby się jeszcze kiedyś przeciąć, a gdyby nawet, to znowu zaliczylibyśmy jedną czy dwie rundy w łóżku, zanim życie by się o nas upomniało i każde poszłoby swoją drogą. Ginger na pewno zaliczy wielu mężczyzn, nim trafi na tego ostatniego. Siedziałem na balkonie i czekałem w nadziei, że zobaczę jej samochód parkujący na ulicy, choć prawdopodobnie dotarła już do Arkansas. Ten dzień zaczęliśmy w łóżku, niecierpliwie czekając, kiedy będziemy mogli wrócić do sądu, gdzie morderca jej siostry miał być skazany na karę śmierci.

Ogarnięty gorączką tej chwili zacząłem pisać o werdykcie artykuł na pierwszej stronie. Zamierzałem przypuścić bezlitosny atak na amerykańskie prawo karne w uczciwych, płynących z serca słowach, co z pewnością spodoba się czytelnikom.

Przerwał mi telefon od Esaua. Był w szpitalu z Miss Callie i poprosił, żebym jak najszybciej tam przyjechał.

Zemdlała przed budynkiem sądu, gdy wsiadała do samochodu. Esau

i trzech synów natychmiast zawieźli ją do szpitala. Bardzo mądrze. Miała niebezpiecznie wysokie ciśnienie, lekarze obawiali się udaru. Po paru godzinach jej stan się ustabilizował i zaczęła lepiej wyglądać. Przez chwilę trzymałem ją za rękę, mówiłem, że jestem z niej bardzo dumny i tak dalej. Tak naprawdę zależało mi na dowiedzeniu się, co zaszło w pokoju sędziów przysięgłych. Tej historii miałem jednak nigdy nie poznać.

Do północy piłem kawę z Alem, Maxem, Bobbym i Esauem w szpitalnej stołówce. Miss Callie nie powiedziała o naradach sędziów przysięgłych ani słowa. Rozmawialiśmy o Alu, Maxie i Bobbym, o ich braciach i siostrach, ich dzieciach i karierze, o dorastaniu w Clanton. Opowieści płynęły i niewiele brakowało, a wyciągnąłbym notes i długopis.

## Rozdział 20

---

**P**rzez pierwsze pół roku mieszkania w Clanton na weekendy zwykle wyjeżdżałem. Po prostu nie miałem co robić. Poza sporadycznym pieczeniem koźliny u Harry’ego Rexa i jednym beznadziejnym koktajlem, z którego uciekłem po dwudziestu minutach, praktycznie nie miałem szans na życie towarzyskie. Prawie wszyscy młodzi ludzie w moim wieku byli już po ślubie, a ich definicja rozrywki ograniczała się do „kolacji” z lodami w sobotni wieczór, w którymś z niezliczonych kościołów w mieście. Większość z tych, którzy wyjechali na studia, nigdy tu nie wróciła.

Z nudów spędzałem czasem weekend w Memphis, zazwyczaj w mieszkaniu przyjaciela, prawie nigdy w domu. Kilka razy wybrałem się do Nowego Orleanu, gdzie mieszkała i imprezowała na całego moja dawna dziewczyna, jeszcze z liceum. Ale „Times” należał do mnie i z nim wiązała się moja najbliższa przyszłość. Stałem się mieszkańcem Clanton. Musiałem pogodzić się jakoś z życiem w małej miejscinie, nudnymi weekendami i całą resztą. Redakcja stała się moim azylem.

Pojechałem tam koło południa w sobotę, po werdykcie. Miałem kilka historii dotyczących procesu, które zamierzałem opisać, poza tym wstępniakowi daleko było do końca. Na podłodze pod drzwiami leżało siedem listów.

Od wielu lat przy nielicznych okazjach, kiedy Spot napisał coś, co wywoływało reakcje czytelników, zwykle ludzie przynosili listy do redaktora i wsuwali pod drzwi. Stało się to rodzajem tradycji.

Cztery były podpisane, trzy anonimowe. Dwa napisano na maszynie, resztę odręcznie, jednego prawie nie mogłem odczytać. We wszystkich siedmiu wyrażano oburzenie tym, że Danny Padgitt wywinął się od kary śmierci. Mieszkańcy Clanton łaknęli krwi, co wcale mnie nie dziwiło. Zaniepokoiłem się też, że w sześciu listach znalazły się uwagi dotyczące Miss Callie. Pierwszy został napisany na maszynie i był anonimem. Przeczytałem w nim:

Drogi Redaktorze, nasza społeczność upadła jeszcze niżej, bo taki wyrzutek jak Danny Padgitt może sobie gwałcić, mordować i wymiguje się od kary. Obecność Murzynki wśród przysięgłych powinna nam uświadomić, że ci ludzie nie myślą tak jak praworzędni biali obywatele.

Edith Caravelle z Beech Hill napisała pięknym charakterem pisma:

*Szanowny Redaktorze, mieszkam niecałe dwa kilometry od miejsca, gdzie dokonano morderstwa. Jestem matką dwójki nastolatków. Jak mam im wyjaśnić wyrok? Biblia mówi: „Oko za oko”. Wydaje mi się, że w okręgu Ford ta zasada nie obowiązuje.*

Inny anonimowy autor na perfumowanej różowej papeterii z kwiatkami na brzegach napisał:

*Szanowny Redaktorze, widzi Pan, co się dzieje, kiedy czarnym powierza się obowiązki wymagające odpowiedzialności Ława przysięgłych złożona wyłącznie z białych powiesiłaby Padgitta już na sali sądowej. A teraz Sąd Najwyższy mówi nam, że czarni powinni uczyć nasze dzieci, dbać o bezpieczeństwo na ulicach i ubiegać się o urzędy. Niech nas Bóg ma w opiece.*

Jako redaktor naczelny (i właściciel oraz wydawca) miałem pełną kontrolę nad tym, co było drukowane w „Timesie”. Mogłem przeredagować te listy, zignorować je, wybrać te, które chciałbym wydrukować. Przy kontrowersyjnych sprawach i wydarzeniach listy do redakcji podsycaly wrzenie i mogły oburzać czytelników.

I zwiększały liczbę sprzedanych egzemplarzy. Poza tym każdy mógł wyra-



zić swoje zdanie, a ja miałem materiał za darmo.

Kiedy przeczytałem pierwszą porcję korespondencji, postanowiłem, że nie wydrukuję niczego, co zraniłoby Miss Callie. Zezłościło mnie też, że ludzie uznali, iż to ona w jakiś sposób blokowała przysięgłych i zapobiegła skazaniu Danny'ego na karę śmierci.

Dlaczego miastu tak bardzo zależało na tym, żeby winę za niechciany werdykt rzucić na jedyną czarną wśród sędziów przysięgłych? I to bez żadnego konkretnego dowodu? Poprzysięgłem sobie, że się dowiem, co naprawdę wydarzyło się w pokoju przysięgłych, i natychmiast pomyślałem o Harrym Reksie. Baggy, rzecz jasna, przyczłapie na kacu w poniedziałek rano i będzie udawał, że wie dokładnie, jak podzieleni byli sędziowie. Wszystko jednak wskazywało na to, że będzie się mylił. Jeśli komukolwiek udało się poznać prawdę, to tym człowiekiem był Harry Rex.

Wiley Meek przyniósł z miasta plotki. W kafejkach aż huczało. Nazwisko Padgitt brzmiało jak przekleństwo. Lucienem Wilbanksem pogardzano, ale to nie było nic nowego. Szeryf Coley mógłby równie dobrze od razu przejść na emeryturę, nie miał szans na otrzymanie pięćdziesięciu głosów. Jego dwóch kontrkandydatów już robiło szum wokół siebie, choć do wyborów było jeszcze pół roku.

Pogłoski mówiły, że jedenastu sędziów było za komorą gazową, jeden się wstrzymał.

– Prawdopodobnie to ta Murzynka – powiedział ktoś, wyrażając odczucia klientów zebranych w kawiarni o siódmej rano.

Zastępca szeryfa pilnujący pokoju narad przysięgłych podobno szepnął komuś, że ktoś wiedział na pewno, iż było to sześć głosów przeciwko sześciu, ale już koło dziewiątej w żadnej z kawiarni nikt w to nie wierzył. Tego ranka na rynku mówiono o dwóch głównych teoriach: według pierwszej Miss Callie speprzyła wszystko tylko dlatego, że po prostu była czarna, według drugiej Padgittowie sypnęli kasą dwóm czy trzem przysięgłym, podobnie jak zrobili to w przypadku tej „kłamliwej suki”, Lydii Vince.

Zdaniem Wileya druga wersja miała więcej zwolenników niż pierwsza, choć można było pomyśleć, że ludzie są gotowi uwierzyć we wszystko. Uczyłem się, że plotki z kawiarni są bezużyteczne.

\*\*\*

Późnym popołudniem w sobotę przejechałem przez tory i zmierzałem powoli do domu Miss Callie. Na ulicach pełno było dzieci jeżdżących na rowkach, grających w koszykówkę, na werandach siedzieli ludzie, z otwartych drzwi knajp dobiegała muzyka, słychać było śmiech mężczyzn stojących przed sklepami. Wszyscy byli na dworze, jakby rozgrzewali się przed trudami sobotniego wieczoru. Ludzie machali do mnie i się gapili, bardziej zdumieni małym samochodem niż moją jasną skórą.

Na werandzie Miss Callie było tłoczno. Al, Max i Bobby siedzieli obok wielbego Thurstona Smalla i jeszcze jednego, elegancko ubranego pastora z ich Kościoła. Esau był w domu i opiekował się żoną. Tego ranka wypisano ją ze szpitala z surowym przykazaniem, że musi zostać w łóżku przez trzy dni i nie wolno jej nawet kiwnąć palcem. Max zaprowadził mnie do jej sypialni.

Siedziała na łóżku oparta o poduszki i czytała Biblię. Na mój widok uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Jak to miło, że pan przyszedł. Proszę, niech pan siada. Esau, przynieś panu herbatę.

Jej mąż jak zawsze aż podskoczył, gdy wydała mu polecenie.

Usiadłem na twardym drewnianym krześle obok łóżka. Na moje oko ani trochę nie wyglądała na chorą.

– Naprawdę martwię się o lunch w przyszły czwartek... – zacząłem i oboje się roześmialiśmy.

– Ugotuję – obiecała.

– Nie, nie ugotuje pani. Mam lepszy pomysł. Tym razem to ja przyniosę jedzenie.

– Dlaczego jestem tym zaniepokojona?

– Kupię je gdzieś. Coś lżejszego, na przykład kanapki.

– Kanapki brzmią nieźle – powiedziała, klepiąc mnie po kolanie. – Moje pomidory już niedługo będą dobre.

Uśmiechnęła się i zapatrzyła w pustkę.

– Nie spisaliśmy się, prawda? – W jej słowach pobrzmiwały zarówno smutek, jak i frustracja.

– Werdykt nie spotkał się z entuzjazmem – przyznałem.

– Nie tego chciałam.

Minie wiele lat, zanim powie coś więcej o naradzie przysięgłych. Esau zdradził mi później, że pozostałych jedenastu sędziów przysięgło na Biblię, że nie będą rozmawiali o podjętej decyzji. Miss Callie nie przysięgała na Bi-

blię, ale dała im słowo, że dochowa ich wspólnej tajemnicy.

Zostawiłem ją, żeby wypoczywała, i poszedłem na werandę, gdzie spędziłem kilka godzin, przysłuchując się rozmowom jej synów i gości. Usiadłem w kącie, sączyłem herbatę i starałem się nie brać udziału w pogaduszkach. Czasami odpływałem i chłonałem odgłosy Lowtown w sobotni wieczór.

Wielebny i pastor wyszli, zostawiając na werandzie Ruffinów i mnie. Rozmowa zeszała w końcu na proces, na werdykt i na to, jaki miał wydźwięk po drugiej stronie torów.

– On naprawdę groził sędziom? – zapytał mnie Max.

Opowiedziałem całą historię, a Esau wtrącał swoje uwagi, gdy chciał coś zaakcentować. Byli tak zaszokowani, jak ci z nas, którzy słyszeli to na własne uszy.

– Dzięki Bogu będzie siedział w więzieniu do końca życia – podsumował Bobby, a ja nie miałem serca powiedzieć mu prawdy.

Wszyscy byli dumni z matki, jak zawsze zresztą.

Miałem dość procesu. Wyszedłem koło dwudziestej pierwszej, jechałem powoli i bez celu przez Lowtown, sam, i tęskniłem za Ginger.

\*\*\*

W Clanton przez wiele dni aż kipiało z powodu wyroku. Do redakcji przyszło osiemnaście listów, z których sześć zamieściłem w następnym numerze „Timesa”. Połowa dotyczyła procesu, a to oczywiście było jak włożenie kija w mrowisko.

Zaczynałem myśleć, że miasto nigdy nie przestanie gadać o Dannym Padgicie i Rhodzie Kassellaw.

I nagle tych dwoje przeszło do historii. W jednej chwili, w mgnieniu oka, dosłownie w niecałe dwadzieścia cztery godziny o procesie zapomniano.

Clanton po obu stronach torów miało coś znacznie ważniejszego do roztrząsania.

## **Część druga**

---

## Rozdział 21

---

**R**adykalnym orzeczeniem, które nie pozostawiało miejsca na wątpliwości lub opóźnienia, sąd nakazał natychmiastową likwidację rozdzielnego systemu edukacji. Żadnego przeciągania w czasie, procesów i obietnic. Natychmiastowa integracja. Clanton było w szoku, podobnie jak pozostałe miasta Południa.

Harry Rex przyniósł mi decyzję sądu i próbował wyjaśnić jej zawikłaność. Nie była zbyt skomplikowana. Każdy okręg szkolny miał, nie zwlekając, wprowadzić desegregację.

– To pomoże ci sprzedać trochę więcej egzemplarzy – powiedział prorocznie, ze zgaszonym cygarem w kąciку ust.

W całym mieście organizowano na gorąco zebrania, a ja napisałem o nich wszystkich. W duszny wieczór w połowie lipca odbyło się spotkanie w sali gimnastycznej miejscowego liceum. Trybuny były zatłoczone, zatroskani rodzice zapełniali parkiet. Pan Walter Sullivan, który był prawnikiem „Time’sa”, pracował również jako radca prawny zarządu szkoły. To głównie on mówił, ponieważ nie był w żaden sposób wybrany przez rodziców. Politycy woleli chować się za jego plecami. Nie owijał w bawełnę i powiedział, że za sześć tygodni system edukacyjny okręgu Ford otworzy się i będzie w pełni desegregacyjny.

Mniejsze zebranie odbyło się w szkole dla czarnych przy Burley Street. Poszedłem tam z Baggym i Wileym Meekiem, który robił zdjęcia. I znowu Sullivan wyjaśniał ludziom, co ma się wydarzyć. Jego słowa dwa razy przerywał wybuch aplauzu.

Różnica między tymi dwoma spotkaniami była oszałamiająca. Biali rodzice gotowali się ze złości i byli przerażeni; widziałem nawet kilka płaczących kobiet. Oto nadszedł ten straszny dzień. W szkole dla czarnych natomiast panowała atmosfera zwycięstwa. Rodzice byli pełni obaw, ale także cieszyli się, że ich dzieci w końcu będą mogły uczyć się w lepszych szkołach. Jeśli jednak chodziło o mieszkania, pracę i opiekę zdrowotną, była przed nimi jeszcze długa droga, ale integracja w państwowym szkolnictwie oznaczała ogromny krok naprzód w ich walce o prawa obywatelskie.

Byli tam Miss Callie i Esau. Sąsiedzi traktowali ich z ogromnym szacunkiem. Sześć lat wcześniej podeszli z Samem do frontowych drzwi szkoły dla białych dzieci i rzucili go lwom na pożarcie. Przez trzy lata był jedynym czarnym dzieciakiem w klasie, a rodzina zapłaciła za to wysoką cenę. Teraz wydawało się, że było warto, przynajmniej jeśli chodzi o nich. Sam się nie pokazał, więc nie mogłem go o to zapytać.

Spotkanie odbyło się też w świątyni Kościoła Pierwszych Baptystów. Tylko biali i prawie wyłącznie z trochę wyższej klasy średniej. Organizatorzy zbierali pieniądze na budowę prywatnej szkoły i nagle okazało się, że zbiórkę należy przyspieszyć. Obecnych było kilku lekarzy, prawników i w większości typy w rodzaju członków country clubu. Ich dzieci były najwyraźniej za dobre, żeby chodzić do szkoły z czarnymi.

Szybko klecili plan otworzenia szkoły w opuszczonej fabryce na południu miasta. Budynek zamierzano wydzierżawić na rok lub dwa do chwili zakończenia kampanii finansowej. Gorączkowo szukali nauczycieli i zamawiali książki, ale najbardziej palącym problemem, poza ucieczką od czarnych, była dla nich decyzja, co zrobić z drużyną futbolową. Chwilami panował nastrój hysterii, jakby siedemdziesiąt pięć procent szkół dla białych stało się nagle zagrożeniem dla ich dzieci.

Napisałem długie sprawozdania, dodałem śmiałe nagłówki i okazało się, że Harry Rex miał rację: gazeta się sprzedawała. Pod koniec lipca 1970 roku nakład sięgnął pięciu tysięcy, co było oszałamiającym wzrostem. Po sprawach Rhody Kassellaw i desegregacji zaczynałem lepiej rozumieć, o czym mówił mój przyjaciel Nick Diener jeszcze w Syracuse: „Dobry małomiasteczkowy

tygodnik nie przynosi wiadomości. Przynosi pieniądze”.

Potrzebowałem jednak wiadomości, a te w Clanton nie zawsze były dostępne. W tygodnie posuchy drukowałem przesadnie rozdmuchane historie ostatnich apelacji Padgitta. Zamieszczałem je zwykle na dole pierwszej strony i nadawałem wydźwięk, który sugerował, że chłopak może lada dzień wyjść z więzienia. Nie jestem pewny, czy moich czytelników to jeszcze obchodziło. Na początku sierpnia jednak, kiedy Davey Bigmouth Bass zapoznał mnie z rytuałami szkolnych drużyn futbolowych, zyskałem kolejny temat lokomotywę.

Wilson Caudle nie interesował się sportem, co nikomu nie przeszkadzało, ale poza nim wszyscy w Clanton żyli i umierali w piątkowe wieczory z drużyną Cougars. Zepchnął Bassa na koniec gazety i rzadko zamieszczał zdjęcia. Poczulem pieniądze i Cougars stali się wiadomością na pierwszą stronę.

\*\*\*

Moja kariera piłkarska zakończyła się w dziewiątej klasie, kiedy z niewiadomych powodów, jako trenera w małej spokojnej szkole zatrudniono sadystycznego byłego komandosa. Memphis w sierpniu to tropiki, powinno się wtedy zakazać treningów raz na zawsze. Robiliśmy okrążenia wokół boiska, w pełnym rynsztunku, z kaskiem i tak dalej, przy trzydziestopięciostopniowym upale i ogromnej wilgotności, a trener, nie wiadomo dlaczego, nie chciał dać nam wody. Obok boiska były korty tenisowe. Kiedy skończyłem wymiotować, spojrzałem na nie i zobaczyłem dwie dziewczyny odbijające piłki z dwoma facetami. Dziewczyny sprawiły, że cała scenka wyglądała bardzo przyjemnie, ale tak naprawdę moją uwagę przyciągały bardzo duże butelki zimnej wody, z których pili, kiedy przyszła im na to ochota.

Rzuciłem futbol, zająłem się tenisem i dziewczynami i nigdy ani przez chwilę tego nie żałowałem. Moja szkoła rozgrywała mecze w sobotnie popołudnia, więc nie miałem zielonego pojęcia o misterium piątkowych rozgrywek.

Z prawdziwą przyjemnością dałem się w nie wciągnąć.

\*\*\*

Kiedy Cougars zebrali się na pierwszym treningu, Bigmouth i Wiley sta-

wili się tam, żeby napisać z tego relację. Na pierwszej stronie zamieściliśmy duże zdjęcie czterech zawodników, dwóch białych i dwóch czarnych, oraz drugie – zespołu trenerskiego, w którego skład wchodził czarny asystent. Bigmouth napisał artykuł o drużynie, jej graczach i perspektywach, a był to dopiero pierwszy tydzień treningów.

Opisaliśmy rozpoczęcie nowego roku szkolnego, zamieściliśmy wywiady z uczniami, nauczycielami i administratorami, prezentując zdecydowanie pozytywne nastawienie. Prawdę mówiąc, kiedy w sierpniu zaczynał się rok szkolny, w Clanton właściwie nie doszło do żadnych zamieszek na tle rasowym, w przeciwieństwie do głębokiego Południa.

W „Timesie” wydrukowaliśmy duży artykuł o cheerleaderkach, orkiestrze, sportowych drużynach gimnazjalnych – pisaliśmy o wszystkim, co przychodziło nam do głowy. Do każdego artykułu dodawaliśmy po kilka zdjęć. Nie wiem, ilu dzieciakom nie udało się zagościć na naszych stronach, ale na pewno niewielu.

Pierwszy mecz był coroczną rodzinną awanturą z Karaway, miastem znacznie mniejszym, ale mającym o wiele lepszego trenera. Siedziałem obok Harry’ego Rexa i darliśmy się aż do ochrypnięcia. Sprzedano wszystkie bilety, a tłum składał się w większości z białych.

Jednak tamtego piątkowego wieczoru biali, którzy tak uparcie sprzeciwiali się przyjmowaniu czarnych uczniów, nagle ulegli cudownej przemianie. W pierwszej ćwiartce pierwszej połowy narodziła się gwiazda: Ricky Patterson, drobnutki czarny dzieciak, który potrafił fruwać – za pierwszym razem, gdy dostał piłkę, przebiegł prawie osiemdziesiąt metrów. Drugi raz przebiegł czterdzieści pięć i od tamtej chwili, w momencie gdy dostawał piłkę, tłum zrywał się z miejsc i dopingował go krzykiem. Sześć tygodni po przymusowym wprowadzeniu desegregacji patrzyłem na ograniczonych, nietolerancyjnych wieśniaków, którzy darli się jak obłąkani i podskakiwali za każdym razem, gdy Ricky łapał piłkę.

Clanton wygrało trzydzieści cztery do trzydziestu w bardzo dramatycznym meczu, a my opisaliśmy go bez żadnych zahamowań. Całą pierwszą stronę zapełniał futbol. Natychmiast zainicjowaliśmy konkurs „Zawodnik tygodnia”, ze studolarowym stypendium jako nagrodą, które pochodziło z jakiegoś bliżej niesprecyzowanego funduszu – dopracowanie tego zajęło nam całe miesiące. Pierwszym zwycięzcą został Ricky, a to oczywiście wymagało następnego wywiadu i kolejnego zdjęcia.



Kiedy Clanton po raz pierwszy wygrało pierwsze cztery mecze, „Times” temu towarzyszył i podgrzewał temperaturę. Drukowaliśmy już pięć i pół tysiąca egzemplarzy.

\*\*\*

Pewnego bardzo upalnego dnia na początku września maszerowałem przez rynek, zmierzając z redakcji do banku. Byłem ubrany jak zawsze – w spłowie dżinsy, pogniecioną bawełnianą koszulę z podwiniętymi rękawami i mokasyny, bez skarpetek. Skończyłem wtedy dwadzieścia cztery lata i ponieważ prowadziłem własny interes, powoli zapominałem o studiach i zastanawiałem się nad karierą zawodową. Miałem długie włosy i nadal ubierałem się jak student. Generalnie niewiele uwagi poświęcałem temu, co nosiłem i jak wyglądałem.

Jednak nie wszyscy dzielali mój brak zainteresowania wizerunkiem.

Pan Mitlo złapał mnie na chodniku i zaciągnął do swojego małego sklepu z męską odzieżą.

– Czekałem na pana – powiedział z wyraźnym akcentem, jaki rzadko słyszało się w Clanton.

Był Węgrem o barwnej przeszłości, który uciekł z Europy, zostawiając tam jedno czy dwoje dzieci. Jego losy miałem na liście ciekawych materiałów o ludziach do opublikowania po zakończeniu sezonu futbolowego.

– Niech pan na siebie popatrzy! – wykrzyknął, kiedy stanąłem obok wieszaka z paskami. Uśmiechał się przy tym, a w przypadku cudzoziemców łatwo zrzucić bezczelność na problemy z językiem.

Przyjrzałem się sobie. W czym problem?

Najwyraźniej jednak tych problemów było sporo.

– Jest pan człowiekiem na stanowisku – poinformował mnie. – Bardzo ważną personą w tym mieście, a ubiera się pan jak, ech, jak... – Podrapał się po brodzie, szukając odpowiednio obraźliwego słowa.

Spróbowałem mu pomóc:

– Jak student?

– Nie – odpowiedział, kiwając na boki palcem wskazującym, jakby żaden student nie mógł wyglądać aż tak źle. Poddał się, ale kazania nie przerwał. – Jest pan unikatowy. Ilu ludzi jest właścicielami gazety? Jest pan wykształcony, co tu należy do rzadkości. I z Północy! Jest pan młody, ale nie powinien

pan wyglądać tak... tak niedojrzale. Musi pan popracować nad swoim wyglądem.

Zabraliśmy się do pracy, bo nie miałem wyboru. Ogłaszał się bardzo intensywnie w „Timesie”, dlatego nie mogłem posłać go do wszystkich diabłów. Poza tym to, co mówił, miało sens. Dni studiów minęły, rewolucja się skończyła. Uniknąłem Wietnamu, dobiegły końca lata sześćdziesiąte, lata nauki, i choć nie byłem jeszcze gotowy, żeby się ustatkować, ożenić i mieć dzieci, zacząłem odczuwać upływ czasu.

– Musi pan nosić garnitury – zdecydował, przeszukując wieszaki z ubraniami.

Mitlo był znany z tego, że potrafił podejść do prezesa banku i przy ludziach skomentować jego fatalnie dobraną koszulę, garnitur z kamizelką albo nudny krawat. On i Harry Rex zdecydowanie się ze sobą nie zgadzali.

Nie miałem zamiaru nosić szarych garniturów i eleganckich półbutów. Znalazł jasnoniebieski lniany garnitur, dodał białą koszulę i od razu przeszedł do wieszaka z krawatami, gdzie wybrał idealnie pasującą muszkę w czerwono-złote paski.

– Niech pan to przymierzy – polecił, kiedy skończył wybierać rzeczy. – Tutaj. – Wskazał przymierzalnię.

Na szczęście w sklepie nikogo nie było.

Przy muszce wymiękłem. Mitlo wziął ją ode mnie i kilkoma zręcznymi ruchami w sekundę zawiązał.

– Znacznie lepiej – powiedział, taksując wzrokiem końcowy efekt.

Bardzo długo oglądałem się w lustrze. Nie byłem pewny, ale zaintrygowała mnie ta zmiana wyglądu. Przydawała mi charakteru i indywidualności.

Zresztą, czy tego chciałem, czy nie, ten strój i tak miał być mój. Musiałem go włożyć przynajmniej raz.

Stawiając kropkę nad „i”, Mitlo znalazł jeszcze białą panamę, która idealnie siedziała na moich potarganych długich włosach. Kiedy ją dopasowywał, przesuwając to w tę, to we w tę, założył mi kosmyk za ucho i powiedział:

– Za dużo włosów. Pan jest na stanowisku. Obciąć je.

Spodnie i marynarka wymagały niewielkich przeróbek, koszula prasowania, dlatego po moją nową garderobę zgłosiłem się dopiero następnego dnia. Planowałem, że ją odbiorę, wezmę do domu, a potem poczekam na spokojniejszy dzień i dopiero włożę. Miałem zamiar pójść prosto do pana Mitlo, żeby mógł mnie zobaczyć w dobranym przez niego ubraniu.

On, rzecz jasna, miał inne plany. Uparł się, żebym przebrał się w sklepie, a kiedy to zrobiłem, nalegał, bym przespacerował się wokół rynku i zebrał należne mi komplementy.

– Ala ja naprawdę się śpieszę – protestowałem. Obradował wydział kancelerski sądu i rynek był pełen ludzi.

– Nie ustąpię – powiedział melodramatycznie, machając palcem, jakby tym samym wykluczał negocjacje.

Poprawił mi kapelusz. Ostatnim rekwizytem było czarne długie cygaro, które przyciął, wetknął mi w usta i przypalił zapałką.

– Wygląd, który robi duże wrażenie – orzekł z dumą. – Jedyne wydawca w mieście. A teraz proszę iść.

Przeszedłem prawie do następnej przecznicy i nikt mnie nie rozpoznał. Dwóch farmerów stojących przed sklepem z paszą popatrzyło na mnie dziwnie, ale mnie też nie podobały się ich ubrania. Z cygarem czułem się jak Harry Rex. Tyle że moje było zapalone i bardzo mocne. Szybko przeszedłem obok jego kancelarii. Gladys Wilkins prowadziła należącą do męża agencję ubezpieczeniową. Miała koło czterdziestki, była bardzo ładna i zawsze elegancko ubrana. Kiedy mnie zobaczyła, stanęła jak wryta, a potem powiedziała:

– No, no, panie Traynor, wygląda pan naprawdę dystyngowanie.

– Dziękuję.

– Trochę przypomina mi pan Marka Twaina.

Szedłem dalej i czułem się znacznie lepiej. Dwie sekretarki na moment zatkanęły.

– Śliczna muszka! – zawołała za mną jedna z nich. Clare Ruth Seagraves zatrzymała mnie i zaczęła opowiadać o czymś, co napisałem wiele miesięcy temu i zupełnie o tym zapomniałem. W miarę mówienia szacowała wzrokiem mój garnitur, muszkę, kapelusz, nie pominęła nawet cygara.

– Całkiem przystojny z pana mężczyzna – uznała i sprawiała wrażenie, jakby zawstydzona się swojej szczerości.

Szedłem coraz wolniej i stwierdziłem, że pan Mitlo się nie mylił. Miałem dobrą posadę, byłem wydawcą, kimś ważnym w Clanton, nawet jeśli w ogóle tak się nie czułem, więc nowy wygląd był jak najbardziej odpowiedni.

Powinienem jednak znaleźć jakieś słabsze cygara. Zanim skończyłem rundę wokół rynku, kręciło mi się w głowie i musiałem usiąść.

Pan Mitlo kazał mi kupić drugi niebieski lniany garnitur i dwa jasnoszare.

Doszedł do wniosku, że nie powinienem mieć ciemnej garderoby, jak prawnicy i bankierzy, ale jasną i stonowaną, i odrobinę niekonwencjonalną. Obiecał, że znajdzie dla mnie oryginalne muszki i odpowiednie tkaniny na jesień i zimę.

Po miesiącu Clanton przyzwyczało się do nowej postaci pojawiającej się na rynku. Zacząłem być zauważany, szczególnie przez kobiety. Harry Rex śmiał się ze mnie, ale sam przecież chodził komicznie ubrany.

A kobietom się podobało. I to bardzo.

## Rozdział 22

---

**P**od koniec września w jednym tygodniu zmarły dwie ważne osoby. Pierwszą był Wilson Caudle. Umarł w domu, samotnie, w sypialni, w której izolował się od dnia, gdy odszedł z „Timesa”. Dziwne, ale od kiedy stałem się właścicielem gazety, nie rozmawiałem z nim ani razu, byłem zbyt zajęty, żeby zawracać sobie tym głowę. Na pewno nie chciałem od Spota żadnych rad. I, co smutne, nie słyszałem o nikim, kto rozmawiał z nim albo choćby widział go przez ostatnie sześć miesięcy.

Umarł w czwartek, a pochowano go w sobotę. W piątek popędziłem do pana Mitlo i dobraćaliśmy odpowiednią do mojej pozycji garderobę na pogrzeb. Upierał się przy czarnym garniturze i miał idealnie pasującą do niego muszkę. Była wąska w czarne i rdzawoczerwone paski, bardzo dystyngowana i budząca szacunek. Kiedy włożyłem garnitur i muszka została zawiązana, musiałem przyznać, że widok robił wrażenie. Z osobistej kolekcji pan Mitlo wyciągnął czarny filcowy kapelusz i z dumą pożyczył mi go na pogrzeb. Często powtarzał, jak bardzo żałuje, że Amerykanie nie noszą już kapeluszy.

Ostatnim sznytem była czarna drewniana laska. Kiedy ją wyjął, patrzyłem na nią jak sroka w gnat.

– Nie potrzebuję laski – powiedziałem. Wydawała mi się idiotyczna.

– To nie jest laska do podpierania się – wyjaśnił, rzucając mi ją.

– A co za różnica?

Wtedy usłyszałem zdumiewającą opowieść o kluczowej roli, jaką laska odegrała w ewolucji mody męskiej w Europie. Pan Mitlo miał do tego niezwykle emocjonalny stosunek i im bardziej się ekscytował, tym silniejszy stawał się jego akcent, a ja przestawałem cokolwiek rozumieć. Żeby go uciszyć, wziąłem laskę.

Następnego dnia, kiedy wszedłem do kościoła metodystów na mszę pogrzebową Spota, kobiety nie spuszczały ze mnie wzroku. Niektórzy mężczyźni również, i większość pewnie się zastanawiała, po co mi, do diabła, czarny kapelusz i laska. Mój bankier, Stan Actavage, który siedział za mną, powiedział:

– Pewnie zaśpiewa i zatańczy.

– Znowu przesiadywał u Mitlo – odpowiedział mu ktoś szeptem.

Niechcący uderzyłem laską o ławkę i hałas sprawił, że żałobnicy aż podskoczyli. Nie bardzo wiedziałem, co się robi z laską, kiedy człowiek siedzi na pogrzebie. Ścisnąłem ją między nogami, a kapelusz położyłem na kolanach. Odpowiedni wygląd wymagał wysiłku. Rozejrzałem się i spostrzegłem pana Mitlo. Gdy na mnie patrzył, promieniał.

Chór zaczął śpiewać *Amazing Grace* i wszyscy pogrążyli się w ponurej zadumie. Wielebny Clinkscale przypomniał podstawowe fakty o panu Caudle'u: urodzony w 1896 roku, był jedynym dzieckiem lubianej przez wszystkich Emmy Caudle, bezdzietnym wdowcem, weteranem pierwszej wojny światowej i przez ponad pięćdziesiąt lat redaktorem naczelnym tygodnika okręgu. Właśnie w tej gazecie wyniósł nekrologi do poziomu sztuki, i to na zawsze pozostanie jego zasługą.

Wielebny głądził przez jakiś czas, a potem monotonię obrządku przerwała śpiewaczka. Był to mój czwarty pogrzeb, od kiedy zamieszkałem w Clanton. Jedyny pogrzeb, w którym wcześniej brałem udział, to pochówek mojej matki. W małym miasteczku zaś było to wydarzenie towarzyskie i często słyszało się perełki, takie jak: „Msza była uroczą”, „Trzymaj się, do zobaczenia na pogrzebie” i moja ulubiona „Bardzo by jej się podobało”.

„Jej”, czyli zmarłej, rzecz jasna.

Ludzie zwalniali się z pracy i ubierali odświętnie. Ci, co nie chodzili na pogrzeby, zyskiwali opinię dziwaków.

Ponieważ wystarczająco dużo dziwactw obracało się przeciwko mnie, by-

łem zdecydowany okazywać zmarłym należny szacunek.

\*\*\*

Do drugiej śmierci doszło trochę później w dzień pogrzebu pana Caudle'a i kiedy usłyszałem o niej w poniedziałek, poszedłem do mieszkania i wziąłem pistolet.

Malcolm Vince, wychodząc z knajpy w jakiejś zapadłej dziurze w okręgu Tishomingo, dostał dwie kule w głowę. W Tishomingo obowiązywał zakaz sprzedaży alkoholu, spelunka działała nielegalnie i dlatego była zamelinowana w pipidowie.

Nie było żadnych świadków zabójstwa. Malcolm pił piwo, grał w bilard, zachowywał się spokojnie i nie sprawiał nikomu kłopotów. Jego dwóch znajomych powiedziało policji, że wyszedł sam koło dwudziestej trzeciej, po spędzeniu w knajpie trzech godzin. Był w dobrym nastroju i na pewno nie pijany. Pożegnał się z nimi, zamknął za sobą drzwi i niemal w tej samej chwili usłyszeli strzały. Byli pewni, że nie miał przy sobie broni.

Speluna znajdowała się na końcu polnej drogi, przy której kilkaset metrów przed knajpą stał pilnujący jej strażnik uzbrojony w strzelbę. W praktyce jego praca polegała na ostrzeganiu właściciela, gdy pojawiała się policja albo ktoś równie niesympatyczny. Tishomingo leżało na granicy stanu i od zawsze dochodziło tam do awantur z bandziorami z Alabamy. Nielegalne knajpy stały się ulubionymi miejscami wyrównywania rachunków i tym podobnych. Strażnik usłyszał strzały, które zabiły Malcolma, i był pewny, że później nie odjechał stamtąd żaden samochód czy ciężarówka. Bo każdy pojazd musiałby go minąć.

Ktokolwiek zabił Malcolma Vince'a, przyszedł przez las na piechotę i zrobił, co miał do zrobienia. Rozmawiałem z szeryfem okręgu Tishomingo. Uważał, że ktoś czyhał na życie Malcolma. Na pewno nie chodziło o błahe nieporozumienie, do jakich często dochodziło w spelunie.

– Domyśla się pan, kto mógł dybać na życie pana Vince'a? – zapytałem, mając rozpaczliwą nadzieję, że Malcolm miał wrogów mieszkających w pobliżu.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział szeryf. – Facet krótko tu mieszkał.

Przez dwa dni nosiłem w kieszeni rewolwer, a potem znowu zaczęło mnie to męczyć. Jeśli Padgittowie chcą dorwać mnie albo któregoś z przysięgłych,

albo sędziego Loopusa lub Erniego Gaddisa czy kogokolwiek, kto ich zdaniem przyczynił się do uwięzienia Danny'ego, to niewiele możemy zrobić, żeby ich powstrzymać.

\*\*\*

Numer „Timesa” z tego tygodnia został poświęcony Wilsonowi Caudle'owi. Wyciągnąłem z archiwum jakieś stare zdjęcia i wypełniłem nimi całą pierwszą stronę. Wydrukowaliśmy o nim dużo, różne historie z nim związane i mnóstwo płatnych nekrologów zamieszczonych przez jego licznych przyjaciół. Zebrałem potem wszystko, co kiedykolwiek o nim napisałem, przerobiłem i tak powstał najdłuższy nekrolog w historii gazety.

Spot na to zasługiwał.

Natomiast nie bardzo wiedziałem, co zrobić z historią Malcolma Vince'a. Nie był mieszkańcem okręgu Ford, więc nekrolog mu się nie należał. Co prawda nasze zasady w tym względzie były bardzo elastyczne. Wybitny obywatel okręgu, który się przeprowadził, nadal zasługiwał na nekrolog, choć, rzecz jasna, musiało być w jego życiorysie coś, o czym warto napisać. Ktoś, kto tylko mieszkał tu jakiś czas, nie miał rodziny i nie zrobił nic dla naszej społeczności – nie. A tak właśnie wyglądał przypadek Malcolma Vince'a.

Jeśli rozdmuchałbym jego historię, Padgittowie mieliby darmową kontynuację zastraszania okręgu. Znów by nas przerażili. Ludzie, którzy słyszeli o tym zabójstwie, nie mieli cienia wątpliwości, że to robota Padgittów.

Gdybym zignorował to morderstwo, oznaczałoby to, że się przestraszyłem, i nie sprawdziłbym się jako odpowiedzialny dziennikarz. Baggy uważał, że to materiał na pierwszą stronę, ale kiedy skończyłem nasze pożegnanie z panem Caudle'em, nie było już miejsca. Puściłem tę historię na trzeciej stronie z nagłówkiem: *Świadek w procesie Padgitta zamordowany w okręgu Tishomingo*. Pierwsza wersja wyglądała inaczej: *Malcolm Vince zamordowany w okręgu Tishomingo*, ale Baggy upierał się, że słowo „morderstwo” powinno być w nagłówku powiązane z nazwiskiem Padgittów. Artykuł był na pełną stronę maszynopisu.

Pojechałem do Corinth, żeby powęszyć. Harry Rex dał mi nazwisko prawnika, który miał prowadzić sprawę rozwodową Vince'a. Nazywał się Pud Perryman. Jego kancelaria mieściła się przy Main Street, pomiędzy zakładem fryzjerskim a chińską szwalnią. W chwili gdy otworzyłem drzwi jego biura,



od razu wiedziałem, że Perryman to najgorszy prawnik, jakiego dane mi było poznać. Pomieszczenie wypełniał nieładny zapach przegranych spraw, niezadowolonych klientów i niezapłaconych rachunków. Dywan był poprzecierany i brudny. Meble pochodziły z lat pięćdziesiątych. Cuchnące smugi starego i nowego dymu papierosowego wisiały warstwami w powietrzu, niebezpiecznie blisko mojej głowy.

Sam Perryman nie wyglądał na człowieka, któremu dobrze się powodzi. Miał około czterdziestu pięciu lat, duży brzuch i przekrwione oczy, był niechlujny i nieogolony. Powoli dochodził do siebie po ostatnim kacu. Poinformował mnie, że zajmuje się rozwodami i nieruchomościami, co miało chyba zrobić na mnie wrażenie. Albo brał za mało za swoje usługi, albo przyciągał klientów, którzy nie mieli zbyt dużo do wygrania.

Nie widział Malcolma od miesiąca, powiedział, grzebiąc w aktach zalegających na biurku. Wniosek rozwodowy nigdy nie został złożony. Jego wysiłki zmierzające do dogadania się z prawnikiem Lydii spaliły na panewce.

– Prysnęła – powiedział.

– Że co proszę?

– Uciekła. Po procesie spakowała manatki i ruszyła w drogę. Zabrała dzieciaka, zniknęła.

Nie obchodziły mnie losy Lydii. Bardziej interesowało mnie, kto załatwił Malcolma. Perryman wysunął kilka mętnych teorii, ale wystarczyło kilka podstawowych pytań, żeby okazały się pozbawione sensu. Przypominał mi Baggy'ego – miejscowy, przesiadujący w sądzie plotkarz, który, jeśli w ciągu godziny nie dowie się czegoś nowego, sam rozpuszcza plotki.

Lydia nie miała faceta, brata czy kogokolwiek, kto mógłby pokusić się o strzelenie Malcolmowi w głowę z zemsty za nieuczciwe potraktowanie jej przy rozwodzie. Zresztą żadnego rozwodu nie było. Rozwodowa szarpanina nawet się nie zaczęła!

Perryman sprawiał wrażenie człowieka, który zdecydowanie woli mleć jęzorem i przez cały dzień opowiadać kłamstwa niż naprawdę zajmować się prowadzonymi sprawami. Spędziłem w jego kancelarii prawie godzinę, a kiedy udało mi się stamtąd wyrwać, wybiegłem, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Jazda do Iuki, głównego miasta okręgu Tishomingo, gdzie odszukałem szeryfa Spinnera akurat w porę, żeby postawić mu lunch, zajęła mi pół godziny. Nad grillowanym kurczakiem w zatłoczonej knajpce przekazał mi naj-

nowsze wiadomości dotyczące morderstwa. Robota była czysta i wykonana przez kogoś, kto znał okolicę. Niczego nie znaleźli – żadnych odcisków butów, łusek, nic. Strzelano z magnum czterdziestkiczwórki, dwie kule niemal odstrzeliły Malcolmowi głowę. Żeby to zobrazować, wyciągnął z kabury służbową broń i podał mi ją.

– To jest czterdziestkaczwórka.

Była dwa razy cięższa od mojej lichoty. Straciłem resztę i tak niewielkiego apetytu.

Rozmawiali ze wszystkimi znajomymi Vince’a, do których udało im się dotrzeć. Malcolm mieszkał tam od około pięciu miesięcy. Nigdy nie był notowany, aresztowany, nie brał udziału w bójkach, nie grał w kości, nie sprawał kłopotów, nie wywoływał awantur po pijaku. Przychodził do tamtej speluny raz w tygodniu, grał w bilard, pił piwo i nigdy nawet nie podniósł głosu. Nie miał żadnych długów czy rachunków, których termin spłaty upłynął przed ponad dwoma miesiącami. Nie robił też lewych interesów, nie drażnił zazdrosnych mężów.

– Nie potrafię znaleźć motywu – powiedział szeryf. – To wszystko nie ma sensu.

Opowiedziałem mu o zeznaniu Malcolma na procesie Padgitta i o tym, jak Danny groził sędziom przysięgłym. Słuchał uważnie, ale nic nie powiedział. Odniosłem wrażenie, że woli trzymać się okręgu Tishomingo i nie mieć nic wspólnego z Padgittami.

– To mógłby być motyw – dodałem na koniec.

– Zemsta?

– Pewnie. To wredni ludzie.

– Och, słyszałem o nich. Chyba mamy szczęście, że nie podlegają tutejszej jurysdykcji, co nie?

Wracając do Clanton, nie potrafiłem zapomnieć wyrazu twarzy szeryfa, kiedy wypowiadał te słowa. Przepadł gdzieś obraz kroczącego dumnie, uzbrojonego stróża prawa. Spinner był naprawdę wdzięczny losowi, że pracuje w innym okręgu i nie musi mieć do czynienia z tą straszną rodziną.

Jego śledztwo utknęło w martwym punkcie. Sprawę umorzono.

## Rozdział 23

---

**J**edynym Żydem w Clanton był Harvey Kohn, elegancki niski mężczyzna, który od dziesięcioleci sprzedawał damskie buty i torebki. Jego sklep znajdował się przy rynku, tuż obok kancelarii Sullivana, w rzędzie kamienic, które kupił w czasie wielkiego kryzysu. Był wdowcem, jego dzieci opuściły Clanton po skończeniu liceum. Raz w miesiącu Kohn jechał do Tupelo, żeby modlić się w tamtejszej synagodze.

Sklep Kohna aspirował do najlepszych, co w miasteczku takim jak nasze było ryzykowne. Kilka zamożnych kobiet z Clanton wolało robić zakupy w Memphis, gdzie nie zniechęcały ich wysokie ceny, bo po powrocie do domu miały o czym opowiadać. Żeby zainteresować je swoimi butami, Harvey Kohn ustalał szokująco wysokie ceny, a potem dawał na nie bardzo duży upust. Miejscowe bogaczki mogły dzięki temu nadal popisywać się tym, ile ostatnio wydały na zakupy.

Pan Kohn sam prowadził sklep, otwierał go wcześniej i zostawał do późna, zwykle pomagał mu zatrudniony na zlecenie student. Dwa lata wcześniej, zanim znalazłem się w Clanton, dał pracę szesnastoletniemu czarnemu dzieckowi, Samowi Ruffinowi, który rozpakowywał dostawy, przestawiał towar, sprzątał i odbierał telefony. Sam okazał się inteligentny i przedsiębiorczy.

Był uprzejmy, dobrze wychowany, czysto i ładnie ubrany. Nie minęło dużo czasu, i pan Kohn zaczął zostawiać go w sklepie, a sam szedł do domu dokładnie o jedenastej czterdzieści pięć na szybki lunch i długą drzemkę.

Iris Durant weszła do sklepu około południa i zastała chłopaka samego. Miała czterdzieści jeden lat, była matką dwóch nastoletnich chłopców, z których jeden chodził z Samem do tej samej klasy w liceum. Średnio atrakcyjna, lubiła flirtować i nosić minispódniczki. Zwykle wybierała buty z bardziej egzotycznej oferty Kohna. Przymierzyła ponad dwadzieścia par, żadnych nie kupiła, ale miło spędziła czas. Sam znał się na tym, co sprzedawał, i bardzo ostrożnie obchodził się z jej stopami.

Wróciła następnego dnia o tej samej porze, w krótszej spódniczce, z mocniejszym makijażem. Bosa, uwiodła Sama na biurku Kohna w niewielkim kantorku tuż za kasą. Tak zaczął się gorący romans, który odmienił życie ich obojga.

Iris przychodziła kupować buty kilka razy w tygodniu. Sam znalazł wygodniejsze miejsce na starej sofie w pomieszczeniu na piętrze. Zamykał sklep na piętnaście minut, gasił światła i pędził na górę.

Mężem Iris był sierżant policji służący w stanowej drogówce. Zaniepokojony liczbą nowych butów w garderobie żony stał się podejrzliwy. Podejrzliwość była zresztą nieodłącznym elementem jego życia z Iris.

Wynajął Harry'ego Rexa, żeby zbadał sprawę. Tych kochanków mógłby przyłapać byle harcerz. Trzy dni z rzędu Iris przychodziła o tej samej porze do sklepu Kohna, i trzy dni z rzędu Sam szybko zamykał drzwi, rozglądając się na wszystkie strony, trzy dni z rzędu gasły w środku światła i tak dalej. Czwartego dnia Harry Rex i Rafe zakradli się tam tylnym wejściem. Usłyszeli jakiś hałas na piętrze. Rafe wtargnął do gniazdka kochanków i w pięć sekund miał więcej dowodów, niż potrzebował, żeby posłać ich oboje do diabła.

Pan Kohn zwolnił Sama godzinę później, Harry Rex wypełnił wniosek rozwodowy jeszcze tego popołudnia. Iris została przyjęta do szpitala ze skaleczeniami, siniakami i złamanym nosem. Mąż tłukł ją pięściami, aż straciła przytomność. Po zapadnięciu zmroku trzech policjantów w mundurach zapukało do rodzinnego domu Sama w Lowtown. Wyjaśnili jego rodzicom, że w związku z niejasnym oskarżeniem o defraudację pieniędzy w sklepie Kohna szuka go policja. Jeśli dojdzie do procesu, może zostać skazany nawet na dwadzieścia lat. Powiedzieli im również, rzecz jasna w zaufaniu, że Sama

przyłapano na uprawianiu seksu z białą kobietą, mężatką, i że za jego głowę wyznaczono nagrodę: pięć tysięcy dolarów.

Iris wyjechała z miasta okryta hańbą, rozwiedziona, bez dzieci, i bała się wracać.

Usłyszałem różne wersje losów Sama. Kiedy przyjechałem do Clanton, plotki o nim były już stare, ale nadal na tyle sensacyjne, że pojawiały się w rozmowach ze mną. Na Południu to, że biały mężczyzna miał czarną kochankę, nie było niczym niezwykłym, ale Sam był w Clanton pierwszym udokumentowanym przypadkiem, kiedy biała kobieta przekroczyła granicę rasy.

O tej historii dowiedziałem się od Baggy'ego. Większość z tego potwierdził Harry Rex.

Miss Callie nie chciała o tym mówić. Sam był jej najmłodszym dzieckiem i nie mógł wrócić do domu. Uciekł, rzucił naukę i przez ostatnie dwa lata żył wspierany przez braci i siostry. A teraz zadzwonił do mnie.

Poszedłem do sądu i przekopałem szuflady ze starymi aktami. Nie znalazłem żadnego zapisu, który dotyczyłby sprawy przeciwko Samowi Ruffinowi. Zapytałem szeryfa Coleya, czy wydano na niego nakaz aresztowania. Nie odpowiedział wprost, za to koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego węszyć przy tej starej sprawie. Zapytałem go, czy jeśli Sam przyjedzie do domu, zostanie aresztowany. I znowu brak precyzyjnej odpowiedzi.

– Niech pan lepiej uważa – ostrzegł mnie, ale nie wdawał się w szczegóły.

Poszedłem do Harry'ego Rexa i zapytałem go o owiane legendą zlecenie na zabicie Sama. Opisał mi swojego klienta, sierżanta Duranta, jako byłego komandosa, doskonałego strzelca, mającego każdą możliwą broń, policjanta z zawodu, porywczego gościa, który czuje się potwornie upokorzony zdradą Iris i uważa, że jedynym honorowym sposobem załatwienia tej sprawy jest zabicie jej kochanka. Zastanawiał się nad zabiciem również jej, ale nie chciał iść do więzienia. O wiele bezpieczniejsze byłoby zlikwidowanie czarnego dzieciaka. Przysięgli z okręgu Ford mieliby dla Duranta więcej współczucia.

– I chce to zrobić sam – dodał Harry Rex. – W ten sposób może zaoszczędzić pięć kawałków.

Przekazanie mi tej złowróznej informacji sprawiło mu przyjemność, choć przyznał, że nie widział Duranta od roku i nie jest pewny, ale sierżant być może zdążył się ponownie ożenić.

\*\*\*

W czwartkowe południe usiedliśmy przy stole na werandzie i podziękowaliśmy Bogu za pyszny posiłek, który mieliśmy spożyć. Esau był w pracy.

W miarę jak warzywa dojrzewały w ogrodzie, częściej jedliśmy wegetariańskie lunchy. Czerwone i żółte pomidory, ogórki i cebula w occie, fasola jaś, fasolka szparagowa, groszek, okra, kabaczki, gotowane ziemniaki i kolby kukurydzy oraz zawsze świeży kukurydziany chleb. Teraz, gdy zrobiło się chłodniej i liście zaczynały zmieniać barwę, Miss Callie przygotowywała pożywniejsze dania – potrawkę z kaczki, gulasz z jagnięciny, chili, czerwoną fasolę z ryżem i wieprzowymi kielbaskami, i niezmiennie pieczeń.

Na jadłospis tego dnia składały się kurczak i kluski. Jadłem powoli, do czego zawsze mnie zachęcała. Byłem w połowie, kiedy powiedziałem:

– Sam do mnie zadzwonił.

Znieruchomiała na chwilę, przełknęła jedzenie i spytała:

– Jak on się czuje?

– Bardzo dobrze. Zamierza przyjechać do domu na Boże Narodzenie. Powiedział, że wszyscy przyjeżdżają i chce być tutaj.

– Wie pan, gdzie on jest?

– A pani?

– Nie.

– Jest w Memphis. Mam się z nim jutro spotkać.

– Po co spotyka się pan z Samem? – Moje zaangażowanie wydawało jej się bardzo podejrzanym.

– Chce, żebym mu pomógł. Max i Bobby powiedzieli mu, że się przyjaźnimy. Uznał, że jestem białym, któremu mógłby zaufać.

– To może się okazać niebezpieczne.

– Dla kogo?

– Dla was obu.

Lekarz niepokoił się wagą Miss Callie. Czasami ona również się tym martwiła, ale nie zawsze. Przy szczególnie kalorycznych potrawach, jak gulasz i kluski, nakładała sobie małe porcje i jadła powoli. Wiadomości o Samie sprawiły, że przestała jeść. Złożyła serwetkę i zaczęła opowiadać.

\*\*\*

Sam opuścił Clanton w środku nocy i autobusem Greyhounnda pojechał do Memphis. Kiedy tam dotarł, zadzwonił do rodziców. Następnego dnia podjechał do niego jeden z przyjaciół z pieniędzmi i ubraniami. Gdy wiadomości o Iris lotem błyskawicy obiegały miasto, Callie i Esau byli przekonani, że policjanci zamordują ich najmłodsze dziecko. Radiowozy przejeżdżały obok ich domu o każdej porze dnia i nocy. Odbierali anonimowe telefony z groźbami i wyzwiskami.

Pan Kohn złożył w sądzie jakieś papiery. Data rozprawy nadeszła i minęła pod nieobecność Sama. Miss Callie nigdy nie widziała oficjalnego aktu oskarżenia, ale też nie bardzo wiedziała, jak taki dokument wygląda.

Memphis wydawało się zbyt blisko, dlatego Sam przeniósł się do Milwaukee, gdzie przez kilka miesięcy ukrywał się u Bobby'ego. Od dwóch lat jeździł od jednego brata lub siostry do drugiego, zawsze podróżował nocą, zawsze w strachu, że go złapią. Starsze dzieci Ruffinów często dzwoniły do rodziców i pisały raz w tygodniu, ale bały się wspominać o Samie. Ktoś mógł podsłuchiwać.

– Popęnił błąd i związał się z taką kobietą – powiedziała Miss Callie, sącząc herbatę. Skutecznie zepsułem jej lunch, co nie przeszkadzało mi w jedzeniu. – Ale był taki młodziutki. To nie on się za nią uganiał.

\*\*\*

Następnego dnia stałem się nieoficjalnym pośrednikiem pomiędzy Samem Ruffinem i jego rodzicami.

Spotkaliśmy się w kawiarni w centrum handlowym w południowej części Memphis. Zanim pojawił się znikąd i usiadł naprzeciwko, przez pół godziny obserwował mnie z bezpiecznej odległości. Przez dwa lata ukrywania się poznał parę sztuczek.

Życie w ciągłym napięciu odcisnęło piętno na jego młodej twarzy. Bez przerwy się rozglądał, ze wszystkich sił próbował utrzymać ze mną kontakt wzrokowy, ale wytrzymywał tylko przez parę sekund. Nie zaskoczył mnie jego sposób mówienia, łagodny, z idealną dykcją, bardzo uprzejmy. Chłopak był mi wdzięczny za to, że chciałem posunąć się dalej niż inni i sprawdzić, czy można mu pomóc.

Podziękował mi za życzliwość i przyjaźń, jakie okazywałem jego matce. Bobby pokazał mu w Milwaukee artykuły w „Timesie”. Rozmawialiśmy

o jego rodzeństwie, jego podróżach z Los Angeles do Duke, potem do Toledo i Grinnell w Iowa. Nie potrafił dłużej tak żyć. Rozpaczliwie potrzebował jakiegoś uporządkowania bałaganu, w który się wpakował, pragnął znowu wieść normalne życie. Skończył liceum w Milwaukee i chciałby studiować prawo, ale nie mógł tego zrobić, żyjąc jak uciekinier.

– Siedmioro braci i sióstr wywiera na mnie spory nacisk – wyznał.

Opisałem mu moje bezowocne poszukiwania aktu oskarżenia w sądzie, opowiedziałem o wypytywaniu szeryfa Coleya i rozmowach z Harrym Rexem o obecnym nastroju Duranta. Sam podziękował mi wylewnie za informacje i za gotowość zaangażowania się w tę sprawę.

– Nie musisz bać się aresztowania – zapewniłem go. – Choć istnieje niebezpieczeństwo, że zarobisz kulkę.

– Wolałbym zostać aresztowany.

– Ja też.

– To przerażający człowiek – powiedział Sam o Durancie.

Zaraz potem podzielił się ze mną historią, której pewne szczegóły zachował dla siebie. Wyglądało na to, że Iris mieszka teraz w Memphis. Sam utrzymuje z nią kontakt. Opowiedziała mu straszne rzeczy o byłym mężu i dwóch nastoletnich synach, o groźbach pod jego adresem. Nie jest dobrze widziana w całym okręgu Ford. Ona również może być w niebezpieczeństwie. Chłopcy powtarzają raz po raz, że jej nienawidzą i nie chcą widzieć. Nigdy.

Stała się wrakiem kobiety; przytłoczona poczuciem winy, cierpi na załamanie nerwowe.

– I to moja wina – podsumował Sam. – Rodzice nie tak mnie wychowywali.

Nasze spotkanie trwało godzinę. Obiecaliśmy sobie, że zobaczymy się za kilka tygodni. Wręczył mi dwa grube listy do rodziców i pożegnaliśmy się. Zniknął w tłumie kupujących, aja nie mogłem przestać się zastanawiać, gdzie ten osiemnastolatek może się ukrywać? Jak podróżuje, jak porusza się po mieście? Jak udaje mu się przeżyć z dnia na dzień? Bo przecież Sam nie był dzieckiem ulicy, które nauczyło się żyć dzięki sprytowi i pięściom.

\*\*\*

Opowiedziałem Harry'emu Rexowi o naszym spotkaniu w Memphis. Moim szczytnym celem było przekonanie w jakiś sposób Duranta, żeby zo-



stawił Sama w spokoju.

Ponieważ żyłem w poczuciu, że moje nazwisko jest na liście osób niezbyt lubianych przez Padgittów, nie bardzo chciałem znaleźć się na kolejnej. Zmusiłem Harry'ego Rexa, żeby przysiągł, iż zachowa to w tajemnicy, i bez trudu uwierzyłem, że będzie czuwał nad moim bezpieczeństwem jako pośrednika.

Sam zgodziłby się opuścić na dobre okręg Ford, skończyłby naukę na Północy i został tam na studiach, a prawdopodobnie do końca swoich dni. Dzieciak chciał tylko widywać od czasu do czasu rodziców, wpadać na krótko do Clanton i żyć bez ciągłego oglądania się przez ramię.

Harry Rex ani się tym nie przejmował, ani nie chciał w to mieszać. Obiecał jednak, że przekaze wiadomość Durantowi, choć nie wierzył, żeby spotkała się z dobrym przyjęciem.

– To wredny skurwysyn – powtórzył kilka razy.

## Rozdział 24

---

**N**a początku grudnia pojechałem do okręgu Tishomingo na kolejne spotkanie z szeryfem Spinnerem. Nie zaskoczyło mnie, że śledztwo w sprawie zamordowania Malcolma Vince'a nie posunęło się ani odrobinę. Spinner określił je jako „czystą robotę”; na miejscu nie zostało nic poza trupem i dwoma kulami, których właściciel był praktycznie nie do ustalenia. Zastępcy szeryfa rozmawiali ze wszystkimi przyjaciółmi, znajomymi i współpracownikami Malcolma. Nikt z nich nie miał pojęcia, dlaczego spotkała go tak gwałtowna śmierć.

Spinner rozmawiał też z szeryfem Mackeyem Donem Coleyem i jak można się było spodziewać, nasz szeryf wątpił, by to morderstwo miało cokolwiek wspólnego z procesem Padgitta w okręgu Ford. Wyglądało na to, że obaj szeryfowie dobrze się znają, a ja poczułem ulgę, słysząc Spinnera mówiącego:

– Och, Coley nie złapałby przechodnia źle przechodzącego przez Main Street!

Roześmiałem się głośno i dodałem z nadzieją:

– O tak, poza tym on i Padgittowie od dawna ze sobą trzymają.

– Powiedziałem mu, że przyjechał pan tu węszyć, a on na to: „Ten chłopak zarobi guza”. Pomyślałem po prostu, że chciałby pan o tym wiedzieć.

– Dzięki – rzuciłem. – Ja i Coley patrzymy na świat trochę inaczej.  
– Za kilka miesięcy są wybory.  
– No właśnie. Słyszałem, że Coley będzie miał dwóch czy trzech kontrkandydatów.  
– Wystarczy jeden.  
Obiecał, że zadzwoni, jeśli pojawi się coś nowego, choć obaj wiedzieliśmy, że nic takiego się nie wydarzy. Opuściłem Iukę i pojechałem do Memphis.

\*\*\*

Funkcjonariusz Durant okazał się bardzo zadowolony z tego, że Sam Ruffin nadal boi się jego gróźb. Harry Rex przekazał mu w końcu wiadomość, że chłopak ciągle ucieka, ale bardzo chce wrócić do domu i zobaczyć mamusię.

Durant nie ożenił się powtórnie. Z powodu romansu żony czuł się bardzo samotny, upokorzony i zrobił się wyjątkowo zgorzkniały. Grzmiał do Harry’ego Rexa o zmarnowanym życiu i, co gorsza, o dwóch synach, którzy są wyśmiewani i ponizani z powodu romansu matki. Białe dzieciaki w szkole drwią z nich codziennie, czarni uczniowie, nowi w liceum w Clanton, triumfują i dowcipkują.

Obaj chłopcy byli doskonałymi strzelcami i zapalonymi myśliwymi. Cała trójka Durantów przysięgła, że jeśli tylko trafi się okazja, wpakują kulkę w głowę Sama Ruffina. Wiedzą, gdzie Ruffinowie mieszkają. Durant wspominał, że wielu czarnych przyjeżdża tam co roku na Boże Narodzenie.

– Jeśli ten chłopak będzie chciał dostać się ukradkiem do domu, będziemy na niego czekali – obiecał Harry’emu Rexowi.

Żywił też urazę do mnie za życzliwe artykuły, które napisałem o Miss Callie i jej starszych dzieciach. Domyślał, że rodzina kontaktuje się z Samem przeze mnie.

– Lepiej nie grzeb w tym bagnie – ostrzegł mnie Rex po spotkaniu z Durantem. – To naprawdę wredny typ.

Bardzo nie chciałem, żeby ktoś jeszcze, oprócz Padgittów, życzył mi bolesnej śmierci.

Spotkałem się z Samem w Tennessee, w restauracji na parking dla ciężarówek niecałe dwa kilometry za granicą stanu. Miss Callie dała mi dla niego ciasta i paszteciki, listy i trochę gotówki, całe kartonowe pudło, które ledwie

mieściło się na fotelu pasażera w moim małym samochodzie. Po raz pierwszy od dwóch lat mogła mieć z nim jakikolwiek kontakt. Sam próbował przeczytać jeden z jej listów, ale tak się wzruszył, że włożył go z powrotem do koperty.

– Strasznie tęsknię za domem – wyznał, wycierając ogromne łzy i próbując jednocześnie ukryć je przed jedzącymi obok kierowcami. Był małym, zagubionym i przerażonym chłopcem.

Z brutalną szczerością zdałem mu relację z rozmowy z Harrym Rexem. Sam myślał naiwnie, że jego propozycja trzymania się z dala od okręgu i tylko sporadycznego odwiedzania rodziców zostanie przez Duranta zaakceptowana. Nie miał zielonego pojęcia, jaką nienawiść budził. Wyglądało jednak na to, że zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– On cię zabije, Sam – powiedziałem śmiertelnie poważnie.

– I ujdzie mu to na sucho, prawda?

– A jaka to dla ciebie różnica? Będiesz trupem, i tyle. Miss Callie na pewno wolałaby, żebyś został żywy na Północy, niż leżał martwy na cmentarzu w Clanton.

Umówiliśmy się na następne spotkanie za dwa tygodnie. Był w trakcie robienia świątecznych zakupów, chciał kupić prezenty dla rodziców i reszty rodziny.

Pożegnaliśmy się i wyszliśmy z restauracji. Byłem już przy samochodzie, ale postanowiłem wrócić i skorzystać z toalety, która znajdowała się na tyłach, za sklepem z tandetnymi pamiątkami, obok restauracji. Zerknąłem przez okno i spostrzegłem Sama, który rozglądał się podejrzliwie, po czym wskoczył do samochodu prowadzonego przez białą kobietę. Wyglądała na starszą, trochę po czterdziestce. Pomyślałem, że to Iris. Niektórzy ludzie nigdy niczego się nie nauczą.

\*\*\*

Klan Ruffinów zaczął się zjeżdzać trzy dni przed Bożym Narodzeniem. Miss Callie od tygodnia była zajęta gotowaniem. Dwa razy wysyłała mnie do sklepu spożywczego po nagle potrzebne produkty. Szybko zadomowiłem się w ich rodzinie i obdarzono mnie wszystkimi przywilejami, z których największym było to, że mogłem jeść, kiedy chciałem i co chciałem.

Życie dzieci dorastających w domu Ruffinów koncentrowało się wokół ro-

dziców, rodzeństwa, Biblii i stołu w kuchni. Na święta zawsze stała na nim jakaś świeża potrawa, a dwie lub trzy następne czekały w piekarniku lub na kuchence. Słowa: „Ciasto pekanowe się upiekło!”, wstrząsały całym domem, słyhać je było na werandzie, a nawet na ulicy. Rodzina zbierała się przy stole. Esau dość pobieżnie dziękował Bogu za rodzinę, ich zdrowie i za jedzenie, którym mieli się „pokrzepić”. Potem ciasto było krojone na grube pajdy, kładzione na talerzykach i zanoszone w różne miejsca.

Ten sam rytuał obowiązywał przy cieście z dyni, cieście kokosowym, truskawkowym i wielu innych z długiej listy. A to były właściwie dopiero małe przekąski, które zjadano między jednym głównym posiłkiem a drugim.

W odróżnieniu od matki, dzieci Ruffinów nie miały ani odrobiny nadwagi. Wkrótce dowiedziałem się dlaczego: narzekały, że nie mogą teraz jeść tego co kiedyś. Jedzenie, którym się odżywali na co dzień, było nijakie, w większości pochodziło z masowo produkowanych mrożonek. Poza tym istniało wiele potraw regionalnych, których po prostu nie trawili. I jedli w pośpiechu. Lista narzekań rosła.

Moim zdaniem byli tak zepsuci kuchnią Miss Callie, że nic nie mogło się z nią równać.

Carlota, która nie wyszła za mąż i wykładała urbanistykę na uniwersytecie w Los Angeles, była wyjątkowo zabawna, gdy opowiadała o najnowszych pokręconych trendach kulinarnych zalewających Kalifornię. Najmodniejsze było surowe jedzenie – lunch składał się z talerza z surowymi marchewkami i surowym selerem, które należało popić gorącą ziołową herbatką.

Gloria, ucząca włoskiego w Duke, była uważana za największą szczęściarę z ich siódemki, bo nadal mieszkała na Południu. Ona i Miss Callie porównywały przepisy na takie delicje, jak chleb kukurydziany, gulasz brunszwicki czy duszony jarmuż. Dyskusje często stawały się poważne. Mężczyźni wtrącali się ze swoimi opiniami i obserwacjami i nieraz wybuchała kłótnia.

Po lunchu trwającym trzy godziny Leon (Leonardo), uczący biologii w Purdue, zaprosił mnie na przejażdżkę. Był drugim najstarszym dzieckiem Ruffinów i nosił się trochę z profesorska, czego pozostałym udało się unikać.

Zapuścił brodę, palił fajkę, zwykle miał na sobie tweedową marynarkę z łatami na łokciach i posługiwał się słownictwem, w jakim biegłości nabiera się po całych godzinach ćwiczeń.

Popędziliśmy jego samochodem ulicami Clanton. Chciał dowiedzieć się

czegoś o Samie, a ja powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem. Moim zdaniem niezależnie od tego, jak było to dla niego ważne, przyjazd Sama do okręgu Ford był zbyt niebezpieczny.

Wypytywał mnie też o proces Danny'ego Padgitta. Wszystkim Ruffinom wysyłałem egzemplarze „Timesa”. W jednym z artykułów Baggy szczegółowo opisał groźby rzucone przez Danny'ego pod adresem przysięgłych. Dokładny cytat został nawet wytłuszczony: *Skazecie mnie, a ja dopadnę potem każdego z was!...*

– Czy on wyjdzie kiedyś z więzienia? – zapytał Leon.

– Tak – odpowiedziałem niechętnie.

– Kiedy?

– Tego nikt nie wie. Dostał dożywocie za morderstwo, dożywocie za gwałt. Za każde z tych przestępstw dziesięć lat to minimum, ale słyszałem o dziwnych rzeczach, jakie dzieją się w ramach systemu zwolnień warunkowych w Missisipi.

– Zatem to najmniej dwadzieścia lat? – Jestem pewny, że myślał wtedy o wieku swojej matki: miała pięćdziesiąt dziewięć lat.

– Trudno powiedzieć. Przy dobrym sprawowaniu to minimum może się okazać krótsze.

Był zбитy z tropu, tak samo jak ja, gdy o tym usłyszałem. Bo też tak naprawdę nikt z ludzi związanych z wymiarem sprawiedliwości i więziennictwem nie potrafił odpowiedzieć na moje pytanie o wyrok Danny'ego. Zwolnienie warunkowe było w Missisipi jedną wielką czarną dziurą, a ja bałem się podchodzić zbyt blisko.

Leon zdradził mi, że szczegółowoypytywał matkę o werdykt, a zwłaszcza o to, czy głosowała za dożywociem, czy chciała kary śmierci. Odpowiedziała mu, iż sędziowie złożyli przysięgę, że przebieg obrad zachowają w tajemnicy.

– A co ty wiesz? – zapytał.

Wiedziałem niewiele. Dała mi do zrozumienia, że nie zgadza się z wydanym werdyktem, ale to niczego nie przesądzało. W tygodniach po zakończeniu procesu pojawiły się całe lawiny spekulacji. Większość stałych bywalców sądu przychyliła się do teorii, że trzech, może czterech przysięgłych nie chciało głosować za karą śmierci. Ogólnie uważano, że w tej grupie znalazła się Miss Callie.

– Padgittowie ich przekabacili?

Jechaliśmy długim ocienionym podjazdem prowadzącym do liceum w Clanton.

– Większość jest tego zdania – odparłem. – Ale tak naprawdę nikt tego nie wie. Ostatnia kara śmierci na białym przestępcy została wykonana w okręgu Ford czterdzieści lat temu.

Leo zatrzymał samochód i patrzyliśmy na solidne dębowe drzwi szkoły.

– A więc w końcu jest zintegrowana – odezwał się.

– Owszem.

– Nigdy nie myślałem, że zobaczę to na własne oczy. – Uśmiechnął się z satysfakcją. – Kiedyś marzyłem, żeby chodzić do tej szkoły. Ojciec pracował tutaj jako woźny, a kiedy byłem mały, przychodziłem tu w soboty, włączyłem się po korytarzach i wszystko wydawało mi się takie ładne. Rozumiałem, dlaczego mnie tam nie chcieli, ale nigdy się z tym nie pogodziłem.

Niewiele mogłem do tego dodać, więc po prostu słuchałem. Wydawał się bardziej smutny niż rozgoryczony.

W końcu ruszyliśmy stamtąd i przejechaliśmy tory. Gdy wróciliśmy do Lowtown, zdumiała mnie liczba bardzo dobrych samochodów z tablicami rejestracyjnymi spoza naszego stanu, zaparkowanych jeden przy drugim na ulicach. Choć było zimno, na werandach siedziały całe rodziny. Dzieci bawiły się na trawnikach i ulicach. Przyjeżdżały kolejne samochody, a we wszystkich przez tylne szyby widać było kolorowe pakunki.

– Dom jest tam, gdzie jest mama – powiedział Leon. – I wszyscy przyjeżdżają tu na Boże Narodzenie.

Kiedy zatrzymaliśmy się przed domem Ruffinów, Leon podziękował mi za przyjaźń okazywaną jego matce.

– Bez przerwy o tobie mówi – powiedział.

– Chodzi mi wyłącznie o lunch – zapewniłem i obaj się roześmialiśmy.

Przy furtce unosił się nowy zapach. Leon zamarł, wciągnął powietrze i orzekł:

– Ciasto dyniowe. – To była opinia eksperta.

Przy różnych okazjach każde z siedmiorga profesorów dziękowało mi za życzliwość okazywaną ich matce. Choć miała bardzo wielu przyjaciół, przez ostatnie osiem miesięcy największą przyjemność sprawiało jej spędzanie czasu ze mną.

W Wigilię wyszedłem od nich późnym popołudniem, kiedy zaczęli szykować się do kościoła. Potem miały być prezenty i śpiewanie kolęd. W domu

było ponad dwudziestu Ruffinów. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, gdzie spali, ale byłem pewny, że nikt się tym nie przejmował.

Choć akceptowali mnie bez zastrzeżeń, w pewnym momencie uznałem, że powinienem zostawić ich samych. Później będą uściski i łzy, wspólne śpiewanie i opowieści, i chociaż ucieszyliby się, gdybym dzielił z nimi te chwile, doskonale wiedziałem, że jest czas, kiedy rodziny nie potrzebują nikogo spoza swojego kręgu.

Zresztą, co ja mogłem wiedzieć o życiu rodzinnym?

Pojechałem do Memphis, gdzie dom mojego dzieciństwa od dziesięciu lat nie widział świątecznych dekoracji. Zjedliśmy z ojcem kolację w chińskiej knajpie niedaleko domu. Kiedy dławilem się paskudną zupą wonton, nie mogłem przestać myśleć o chaosie panującym w kuchni Miss Callie i wszystkich smakowitych daniach wyjmowanych z piekarnika.

Ojciec bardzo się starał okazać zainteresowanie moją gazetą. Co tydzień posłusznie wysyłałem mu egzemplarz, ale po kilkuminutowej pogawędce zorientowałem się, że nigdy nie przeczytał ani słowa. Zamartwiał się jakimś złowróżbnym powiązaniem wojny w Azji Południowo-Wschodniej z rynkiem obligacji.

Zjedliśmy szybko i każdy z nas poszedł w swoją stronę. Co smutne, nawet nie pomyśleliśmy o kupieniu prezentów.

Bożonarodzeniowy lunch zjadłem z BeeBee, którą, w odróżnieniu od ojca, mój widok bardzo ucieszył. Zaprosiła trzy zaprzyjaźnione wdowy – filigranowe kobiety o niebieskich włosach, na sherry i szynkę – i cała nasza piątka trochę sobie popiła. Bawiłem je opowieściami z okręgu Ford, prawdziwymi i mocno podkolorowanymi. Przebywając w towarzystwie Harry’ego Rexa i Baggy’ego, uczyłem się sztuki snucia opowieści.

O piętnastej wszyscy drzemaliśmy. Rankiem następnego dnia pomknąłem do Clanton.



## Rozdział 25

---

**P**ewnego zimnego dnia pod koniec stycznia w pobliżu rynku rozległy się strzały. Siedziałem przy biurku i spokojnie stukałem na maszynie artykuł o panu Lamarze Farlowe i jego udziale w zlocie batalionu komandosów w Chicago, kiedy kula rozbiła szybę niecałe sześć metrów od mojej głowy. Tydzień bez sensacyjnych wiadomości dobiegł końca.

Ta kula była druga albo trzecia z szybko wystrzelonej serii. Upadłem na podłogę, próbując opanować gonitwę myśli: Gdzie jest rewolwer? Czy to Padgittowie zaatakowali miasto? A może Durant i jego chłopcy chcą mnie dorwać? Na czworakach dotarłem do teczki, a tymczasem powietrze wypełniał huk wystrzałów. Miałem wrażenie, że strzela ktoś po drugiej strony ulicy, ale byłem tak wystraszony, że nie potrafiłem tego dokładnie określić. Strzały były znacznie głośniejsze po tym, gdy jedna z kul rozbiła szybę w redakcji.

Wyrzuciłem wszystko z teczki i wtedy przypomniałem sobie, że rewolwer mam w samochodzie albo w domu. Byłem bezbronny i czułem się jak mięczak. Harry Rex i Rafe nie tego mnie uczyli.

Bąłem się tak, że nie byłem w stanie się ruszyć. Natychmiast jednak pomyślałem, że Bigmouth Bass siedzi w swoim pokoju na dole i jak większość

prawdziwych facetów w Clanton ma pod ręką cały arsenał. W biurku trzymał pistolety, na ścianie powiesił dwie strzelby myśliwskie, na wypadek gdyby w czasie przerwy na lunch nabrał ochoty na wyprawę do lasu i ustrzelenie jelenia. Każdy, kto próbowałby mnie dorwać, musiałby najpierw pokonać zdecydowany opór mojego pracownika. Taką przynajmniej żywiłem nadzieję.

W ataku nastąpiła przerwa, po czym na ulicach rozległy się krzyki. Wybuchła panika i chaos. Dochodziła czternasta, zwykle pora dużego ruchu na rynku. Wczołgałem się pod biurko, jakbym ćwiczył procedurę ratunkową obowiązującą przy tornadzie. Gdzieś z dołu dobiegł krzyk Bigmoutha:

– Zostańcie w pokojach!

Niemal widziałem go na dole, chwytającego strzelbę wraz z pudełkiem nabojów i kucającego w drzwiach w pełnym napięcia oczekiwaniu. Nie potrafiłem sobie wyobrazić gorszego miejsca do wszczęcia strzelaniny przez jakiegoś wariata. Przy rynku w Clanton w zasięgu ręki były tysiące sztuk broni. W każdym pick-upie na półce leżały dwie strzelby i co najmniej jeden pistolet albo rewolwer pod fotelem. Ci ludzie tylko czekali na okazję, żeby użyć broni!

Nie trzeba długo czekać, żeby miejscowi odpowiedzieli ogniem. Wtedy właśnie wojna przybiera niemiły obrót.

Po chwili znów rozległy się strzały. Nie zbliżały się, dlatego postanowiłem, że spróbuję normalnie oddychać pod biurkiem i przeanalizuję sytuację. Kiedy sekundy wolno mijały, dotarło do mnie, że to nie ja byłem celem ataku. Moje okno znalazło się na drodze pocisku przypadkiem. Słysząc było coraz głośniejsze syreny, potem kolejne wystrzały i jeszcze więcej krzyków. Co się działo, do licha?

Na dole zaczął dzwonić telefon i ktoś szybko odebrał.

– Willie! Nic ci nie jest?! – wrzasnął Bigmouth, stojąc u podnóża schodów.

– Nic!

– Na dachu sądu siedzi snajper!

– Świetnie!

– Trzymaj się blisko podłogi.

– Nie martw się!

Odpężyłem się trochę i uniosłem tylko na tyle, żeby wziąć telefon. Zadzwoiłem do Wileya Meeka, ale on już jechał do redakcji. Podczołgałem się do jednego z okien balkonowych i otworzyłem je. Najwyraźniej to przycią-

gnęło uwagę snajpera. Rozbił szybę trochę ponad metr nad moją głową, a szkło posypało się niczym gęsty deszcz. Upadłem na brzuch i wstrzymałem oddech na czas, który wydał mi się godziną. Ostrzał trwał. Kimkolwiek był snajper, z całą pewnością coś go zdenerwowało.

Osiem strzałów, a każdy coraz głośniejszy, gdy znalazłem się na balkonie. Piętnastosekundowa przerwa na przeładowanie, potem kolejnych osiem. Słyszałem brzęk rozbijanych szyb, kule odbijały się rykoszetem od cegieł, przełatywały przez drewniane słupy. W którymś momencie krzyki ucichły.

Kiedy odzyskałem zdolność ruchu, powoli przewróciłem na bok jeden z bujanych foteli i wpełzłem za niego. Balkon miał kutą żelazną balustradę, a mając przed sobą ją i fotel, byłem ukryty i bezpieczny. Nie jestem pewny, dlaczego chciałem znaleźć się bliżej snajpera, ale miałem dwadzieścia cztery lata, byłem właścicielem gazety i wiedziałem, że muszę napisać obszerny artykuł o tym dramatycznym epizodzie. Potrzebowałem szczegółów.

Kiedy w końcu udało mi się zerknąć ponad fotelem i balustradą, zobaczyłem go. Budynek sądu miał dziwnie spłaszczoną kopułę, na której szczytce znajdowała się niewielka wieżyczka z czterema otworami okiennymi. Tam się zagnieździł i gdy go spostrzegłem, wychylał się znad parapetu jednego z nich. Wyglądało na to, że ma czarną twarz i białe włosy, a to sprawiło, że przeszedł mnie dreszcz. Mieliśmy do czynienia z psycholem światowej klasy.

Ładował broń, a kiedy był gotowy, uniósł się lekko i zaczął strzelać na oślep. Najwyraźniej nie miał na sobie koszuli, co biorąc pod uwagę okoliczności, wydawało się jeszcze dziwniejsze, bo był jeden stopień poniżej zera, a na popołudnie zapowiadano śnieg. Ja zamarzałem, a przecież miałem na sobie porządny wełniany garnitur od pana Mitlo.

Na białej piersi miały czarne pasy, trochę jak u zebry. To był biały mężczyzna, który pomalował się na czarno.

Ruch ustał. Policja zablokowała ulice, gliniarze biegali teraz wszędzie; nisko pochyleni chowali się za samochodami. Co jakiś czas w oknach wystaw sklepowych pojawiała się jakaś twarz, szybko omiatała wzrokiem rynek i się oddalała. Strzelanie ustało, a snajper przykucnął, znikając mi na jakiś czas z oczu. Chodnikiem przebiegło trzech zastępców szeryfa i znikło w budynku sądu. Mijały długie minuty.

Wiley Meek, głośno tupiąc, wbiegł po schodach i do mojego pokoju. Po chwili znalazł się obok mnie. Pomyślałem, że całą drogę z domu za miastem musiał przebiec sprintem, tak ciężko dyszał.

– Trafił nas! – wyszeptał, jakby się bał, że snajper coś usłyszy. Wpatrywał się w rozbite okno.

– Dwa razy – odpowiedziałem, wskazując głową potłuczone szyby.

– Gdzie on jest? – Przystawiał do oka aparat z teleobiektywem.

– Na wieżyczce – odrzekłem, wskazując palcem. – Uważaj. Strzelił w okno, kiedy je otworzyłem.

– Widziałeś go?

– Mężczyzna, biały, pomalowany w czarne pasy.

– Och, jeden z tych – mruknął Wiley.

– Trzymaj nisko głowę.

Przez kilka minut kuliliśmy się za fotelem. Na dole pojawiło się jeszcze więcej gliniarzy biegających tu i tam i sprawiających wrażenie, jakby ta sytuacja bardzo ich ekscytowała, ale nie mieli zielonego pojęcia, co robić.

– Ktoś dostał? – zapytał Wiley nagle zaniepokojony, że ominęła go czyjaś krew.

– A skąd niby mam wiedzieć?

Rozległy się kolejne wystrzały, jeden po drugim. Przerażające. Zerknęliśmy i zobaczyliśmy go od pasa w górę, jak wali ze strzelby. Wiley ustawił ostrość i zaczął robić zdjęcia przez teleobiektyw.

Baggy i jego kumple siedzieli w barowym pokoju na trzecim piętrze, nie pod wieżyczką, ale też niezbyt od niej daleko. Prawdę mówiąc, najprawdopodobniej byli ludźmi znajdującymi się najbliżej snajpera, kiedy ten zaczął wprawiać się w strzelaniu. Po dziesiątej lub jedenastej serii strzałów najwyraźniej jeszcze bardziej się wystraszyli i przekonani, że czeka ich jatka, postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. W jakiś sposób udało im się otworzyć zablokowane okno w ich małej kryjówce. Patrzyliśmy, jak wyleciał przez nie kabel, który zawisł nad ziemią dwanaście metrów niżej. Potem pojawiła się noga Baggy’ego, kiedy przerzucił ją nad ceglanym parapetem, po czym usiłował przecisnąć przez okno zwaliste cielsko. Nie zaskoczyło mnie, że Baggy uparł się, że wyjdzie pierwszy.

– O mój Boże – jęknął Wiley, nie kryjąc rozbawienia, i uniósł aparat. – Są narąbani jak stodoły.

Trzymając się kurczowo kabla, Baggy przepchnął się przez okno i zaczął się powoli opuszczać. Jego strategia nie była do końca jasna. Zamarł na kablu i wisiał na nim z rękami tuż nad głową. Można było przypuszczać, że w pokoju barowym jest wystarczająco dużo kabla, żeby kumple dali radę go opu-

ścić.

W miarę jak ręce Baggy'ego znajdowały się coraz wyżej nad głową, jego spodnie robiły się coraz krótsze. Po chwili podjechały powyżej kolan. Widać było białą skórę na łydkach nad czarnymi skarpetkami. Baggy nie przejmował się jednak wyglądem – przed incydem ze snajperem, w jego trakcie i po wszystkim.

Strzały ucichły. Przez chwilę Baggy wisiał na kablu i wił się przy ścianie budynku niecały metr pod oknem. W środku widzieliśmy Majora ściskającego koniec kabla. Niestety, miał tylko jedną nogę, dlatego bałem się, że bardzo szybko go puści. Za nim dostrzegłem dwie postacie, prawdopodobnie Wobble'a Tacketta i Chicka Elliota, czyli klasyczny skład pokerowy.

Wiley zaczął się śmiać stłumionym niskim śmiechem, który wstrząsał całym jego ciałem.

Przy każdej przerwie w strzałach mieszkańcy miasta łapali oddech i rozglądali się z nadzieją, że to już koniec.

I każda następna seria budziła większe przerażenie niż poprzednia.

Gruchnęły dwa strzały. Baggy szarpnął się, jakby został trafiony – choć w rzeczywistości nie było takiej możliwości, bo snajper go nie widział – i gwałtowność jego ruchu stała się zbyt dużym obciążeniem dla nogi Majora. Przewrócił się, kabel wymknął mu się z rąk, a Baggy z wrzaskiem runął jak kamień na gęsty żywopłot zasadzony przez Córy Konfederacji. Żywopłot zamortyzował upadek i niczym trampolina wyprostował się, zrzucając Baggy'ego na chodnik. Baggy wylądował bezwładnie i stał się jedyną ofiarą tego incydentu.

Usłyszałem dochodzący z oddali śmiech.

Wiley zarejestrował cały spektakl – nie miał litości. Te zdjęcia będą potem krążyły ukradkiem po Clanton przez wiele lat.

Baggy bardzo długo się nie poruszał.

– Zostawcie tam tego sukinsyna! – krzyknął jeden z policjantów pod nami.

– Pijakowi nic się nie może stać – odrzekł Wiley, kiedy odzyskał oddech.

W końcu Baggy dźwignął się na czworaka. Potem powoli i z bólem wczołgał się, jak pies potrącony przez ciężarówkę, pod żywopłot, który ocalił mu życie, i tam przeczekał zamieszanie.

Kawałek za herbaciarnią stał zaparkowany radiowóz. Snajper posłał w niego serię, a kiedy bak z benzyną eksplodował, zapomnieliśmy o Baggym. Kryzysowa sytuacja osiągnęła kolejny poziom, gdy spod samochodu zaczęły

się wydobywać kłęby czarnego dymu i zobaczyliśmy języki płomieni. Snajperowi najwyraźniej to się spodobało, bo przez kilka minut strzelał tylko do samochodów. Byłem pewny, że jego wzrok przyciągnie spitfire, ale niewykluczone, że uznał mój samochód za zbyt mały.

Kiedy wreszcie odpowiedziano kulami na jego strzały, stracił odwagę. Dwóch zastępców szeryfa Coleya ustawiło się na dachu i gdy otworzyli ogień do wieżyczki, snajper przykucnął nisko i ucichł na dobre.

– Trafiłem go! – krzyknął do szeryfa jeden z nich.

Czekaliśmy dwadzieścia minut. Cisza. Spod żywopłotu wystawały czubki starych butów i czarne skarpetki Baggy’ego, ale reszta kryła się między gałęziami. Major pokazywał się w oknie od czasu do czasu ze szklanką w rękę i wołał coś do Baggy’ego, który, z tego co wiedzieliśmy, mógł w tej chwili umierać.

Do budynku sądu popędziło jeszcze więcej gliniarzy. Odprężyliśmy się i usiedliśmy na bujanych fotelach, nie odrywając jednak oczu od wieżyczki. Dołączyli do nas Bigmouth, Margaret i Hardy. Przyglądali się wyczynom Baggy’ego przez okno na dole. Tylko Margaret martwiła się o jego stan.

Radiowóz płonął aż do chwili, gdy przyjechała straż pożarna i ugasiła ogień. Drzwi sądu otworzyły się i wyszło kilkoro pracowników, którzy zaczęli palić jak najęci papierosy. Dwóm zastępcom szeryfa udało się wyciągnąć Baggy’ego spod żywopłotu. Ledwie stał na nogach i widać było, że bardzo cierpi. Posadzili go w radiowozie i dokądś zabrali.

Potem zobaczyliśmy na wieżyczce zastępcę szeryfa i miasto na powrót stało się bezpiecznym miejscem. Cała nasza piątka pobiegła do sądu razem z resztą ludzi znajdujących się na rynku.

Okazało się, że trzecie piętro jest opieczętowane. W sądzie nie odbywały się żadne rozprawy, dlatego szeryf Coley skierował nas do sali sądowej, gdzie obiecał krótką relację z przebiegu wydarzeń. Kiedy tam szliśmy, zobaczyłem Majora, Chicka Elliota i Wobble’a Tacketta eskortowanych przez zastępcę szeryfa. Byli pijani i śmiali się tak, że z trudem trzymali się na nogach. Wiley zszedł na dół, żeby powęszyć. Ciało snajpera powinno zostać wyniesione z budynku sądu, a on chciał zrobić mu zdjęcie. Białe włosy, czarna twarz i pasy namalowane na piersi dawały do myślenia.

\*\*\*

Strzelcy wyborowi szeryfa najwyraźniej chybili. Snajper został zidentyfikowany jako Hank Hooten, miejscowy prawnik, który pomagał Erniemu Gaddisowi w procesie przeciwko Danny'emu Padgittowi. Nic mu się nie stało, poza tym, że go aresztowano.

Kiedy szeryf Coley ogłosił to na sali sądowej, byliśmy jednocześnie zaszkokowani i dezorientowani. Nerwy mieliśmy w strzępach, ale w to trudno było nam uwierzyć.

– Pana Hootena znaleźliśmy na wąskich schodach prowadzących na wieżyczkę – mówił szeryf Coley, a ja byłem za bardzo wytrącony z równowagi, żeby notować. – Nie stawiał oporu przy zatrzymaniu i teraz jest w naszym areszcie.

– Co miał na sobie? – zapytał ktoś.

– Nic.

– Nic?

– Nic. Twarz i tors pomalował czymś, co przypomina czarną pastę do butów, ale poza tym był nagusieńki jak go Pan Bóg stworzył.

– Jaką miał broń? – zapytałem.

– Znaleźliśmy przy nim dwie solidne strzelby i tylko tyle mogę powiedzieć w tej chwili.

– Czy coś mówił?

– Ani słowa.

Od Wileya dowiedziałem się, że owinęli Hanka kocem i wepchnęli na tylne siedzenie radiowozu. Wiley zrobił kilka zdjęć, ale nie był z nich zadowolony.

– Kręciło się wokół niego mnóstwo gliniarzy – narzekał.

Pojechaliśmy do szpitala, żeby sprawdzić, jak się czuje Baggy. Jego żona była akurat po nocnej zmianie na ostrym dyżurze. Ktoś do niej zadzwonił, obudził ją i wezwał do szpitala. Kiedy ją spotkaliśmy, była w fatalnym humorze.

– Ma złamaną rękę, i tyle – powiedziała najwyraźniej rozczarowana, że nie było to nic poważniejszego. – Parę zadrapań i siniaków. Co ten dureń wyprawiał?

Spojrzałem na Wileya, a on na mnie.

– Był pijany? – spytała.

Baggy zawsze był pijany.

– Nie wiem – odpowiedziałem. – Wypadł z okna sądu.

– Och, Boże. Był pijany.

Przedstawiłem jej skróconą wersję ucieczki Baggy’ego przez okno i starałem się, żeby zabrzmiało to tak, jakby dokonał heroicznego wyczynu pośród szalejącej wokół strzelaniny.

– Z trzeciego piętra? – upewniła się.

– Tak.

– No to grał w pokera, pił whisky i wyskoczył z okna na trzecim piętrze.

– W sumie tak – powiedział Wiley, bo nie potrafił zapanować nad językiem.

– Nie do końca – wtrąciłem, ale ona już odchodziła.

Kiedy wreszcie dotarliśmy do sali Baggy’ego, chrapał w najlepsze. Leki zmieszały się z whisky i najwyraźniej zapadł w coś w rodzaju śpiączki.

– Pewnie chciałby tak zasnąć na zawsze – wyszeptał Wiley.

I miał rację. Przez lata historia Dyndającego Baggy’ego będzie opowiadana w nieskończoność. Wobble Tackett mógłby przysiąc, że to Chick Elliot pierwszy puścił kabel, a Chick dowodził, że to noga Majora zawiodła pierwsza, wywołując reakcję łańcuchową. Miasto szybko uwierzyło, że ktokolwiek puścił pierwszy, trzech idiotów, których Baggy zostawił w pokoju barowym, celowo zrzuciło go na krzaki.

\*\*\*

Dwa dni później Hank Hooten został odesłany do stanowego szpitala psychiatrycznego w Whitfield, gdzie miał pozostać kilka lat. Początkowo zarzucano mu próbę wymordowania połowy mieszkańców Clanton, ale z czasem zarzuty oddalono. Miał rzekomo powiedzieć Erniemu Gaddisowi, że nie strzelał do nikogo w szczególności, nie chciał nikomu zrobić krzywdy, był tylko wyprowadzony z równowagi tym, że miasto nie skazało Danny’ego Padgitta na karę śmierci.

Ostatecznie dotarła do Clanton wieść, że w szpitalu zdiagnozowano u niego ostrą schizofrenię.

– Pogibany psychol – skonkludowała ulica.

Jeszcze nigdy w okręgu Ford nikt nie zwariował w tak spektakularny sposób.



## Rozdział 26

---

**P**o roku od kupienia gazety wysiałem BeeBee czek na pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów – zwracałem pożyczoną od niej sumę, powiększoną o odsetki wysokości dziesięciu procent. Kiedy dawała mi pieniądze, nie rozmawialiśmy o odsetkach, nie podpisałem też żadnego weksła. Dziesięć procent to trochę dużo, ale miałem nadzieję, że szybko mi ten czek odeśle. Wysłałem go i nie zdziwiłem się, kiedy po tygodniu, sprawdzając pocztę, zobaczyłem list z Memphis.

*Kochany Williamie!*

*Załączam Twój czek, którego nie oczekiwałam i teraz nie bardzo miałabym co z nim zrobić. Jeśli w przyszłości z jakichś mało prawdopodobnych powodów potrzebowałabym pieniędzy, wtedy porozmawiamy o tej sprawie. Jestem bardzo dumna z Ciebie i Twojej uczciwości; Twoja próba spłaty długu jest jej dowodem. To, czego dokonałeś tam w ciągu roku, również napawa mnie dumą. Ogromną radość czerpię z opowiadania przyjaciółkom o Twoim sukcesie jako redaktora naczelnego i wydawcy gazety.*

*Muszę Ci się przyznać, że kiedy wróciłeś do domu z Syracuse, niepokoiłam się o Ciebie. Można było pomyśleć, że się pogubiłeś, brakowało Ci motywacji i miałeś za długie włosy. Udowodniłeś, że się myliłam, i obciąłeś włosy (tro-*

*chę) bardziej po męsku. Teraz twoje ubranie i maniery świadczą o tym, że stałeś się dżentelmenem w każdym calu.*

*Mam tyfko Ciebie, Williamie, i bardzo Cię Kocham Pisz do mnie częściej.*

*Uściski, BeeBee*

*PS Czy ten biedak naprawdę rozebrał się i strzelał do ludzi?*

*Co za typy tam mieszkają?!*

Pierwszy mąż BeeBee umarł na jakąś egzotyczną chorobę w 1924 roku. Wyszła potem za rozwodnika, handlarza bawełną, i miała z nim jedno dziecko, moją biedną matkę. Drugi mąż, mój dziadek, zmarł w 1938 roku, zostawiając BeeBee niezłą sumę. Przestała wychodzić za mąż i ostatnich trzydzieści kilka lat spędziła na liczeniu pieniędzy, grze w brydża i podróżowaniu. Jako jedyny wnuk miałem odziedziczyć cały jej majątek, choć nie wiedziałem, jak duży może być.

Skoro BeeBee chciała dostawać ode mnie więcej listów, to, rzecz jasna, będzie je dostawała.

Z radością podarłem czek, poszedłem do banku i pożyczyłem od Stana Ac-tavage'a pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Hardy natrafił w Atlancie na mało używaną maszynę offestową, a ja kupiłem ją za sto osiem tysięcy dolarów. Po-zbyliśmy się naszej starej jak świat prasy drukarskiej i wkroczyliśmy w XX wiek. „Times” zyskał nowy wygląd – druk stał się znacznie wyraźniejszy, zdjęcia ostrzejsze, szata graficzna ładniejsza. Nakład sięgał już sześciu tysięcy egzemplarzy i stale rósł, a moje zyski się zwiększały. Na pewno pomogły w tym wybory w 1971 roku.

\*\*\*

Zdumiała mnie liczba osób ubiegających się o urzędy publiczne w Missisipi. Każdy okręg był podzielony na pięć okręgów wyborczych. Każdy okręg wyborczy miał wyłonionego drogą głosowania konstabla, który nosił odznakę i taki mundur, na jaki było go stać, a jeśli miał dość pieniędzy – a wszyscy mieli – montował koguta na samochodzie i mógł zatrzymać każdego, kiedy chciał, za każde możliwe wykroczenie. Nie wymagano od nich żadnego przeszkolenia. Żadnego wykształcenia. Nie podlegali szeryfowi okręgu ani ko-

mendantowi policji, nikomu poza wyborcami, którzy wybierali ich co cztery lata. Teoretycznie do obowiązków konstabla należało tylko dostarczanie wezwań do sądu, ale zaraz po wyborach prawie wszyscy ulegali obezwładniającej pokusie, by przypiąć do pasa broń i wypatrywać ludzi, których mogliby aresztować.

Im więcej mandatów konstabl wystawił, tym więcej zarabiał. Była to praca na część etatu za symboliczne pieniądze, ale co najmniej jeden z pięciu konstabli w okręgu próbował utrzymać się z tej posady. Taki facet przysparzał najwięcej problemów.

Każdy okręg wyborczy miał swojego sędziego pokoju, również wyłanianego przez wyborców, który stawał się przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, choć nie miał przygotowania prawniczego, przynajmniej tak było w 1971 roku. Do tego zajęcia nie wymagano też żadnego wykształcenia ani doświadczenia. Wystarczały głosy wyborców. Sędzia pokoju sądził wszystkich ludzi przyprowadzonych przez konstabla, a układ między tymi dwoma był kumoterski i podejrzany. Kierowcy spoza stanu, których konstabl złapał w okręgu Ford, trafiali zwykle z tego czy innego powodu przed oblicze sędziego pokoju.

Każdy okręg miał również pięciu inspektorów – pięciu watazków, którzy dysponowali prawdziwą władzą. Dla tych, którzy ich popierali, asfaltowali drogi, naprawiali przepusty drogowe, pozbywali się żwiru na podjazdach. Dla nieprzyjaciół robili niewiele. Wszystkie rozporządzenia władz miejskich były wprowadzane w życie przez radę inspektorów.

Każdy okręg miał też wybieranego szeryfa, poborcę podatków, audytora, sekretarza sądu kanclerskiego i koronera. Okręgi rolnicze miały wspólnego senatora stanowego i przedstawiciela w stanowej Izbie Reprezentantów. Inne dostępne posady w 1971 roku to komisarz do spraw autostrad, komisarz do spraw administracji państwowej, komisarz do spraw rolnictwa, skarbnik stanowy, audytor stanowy, prokurator generalny, wicegubernator i gubernator.

Byłem zdania, że taki system jest strasznie kłopotliwy i wręcz żałosny, dopóki kandydaci na te stanowiska nie zaczęli wykupywać powierzchni ogłoszeniowych w „Timesie”. Wyjątkowo zły konstabl z czwartego okręgu wyborczego (znanego też jako „czwarty rewir”) miał pod koniec stycznia aż jedenastu przeciwników. Większość tych biedaków zjawiała się w redakcji z „ogłoszeniami”, które ich żony napisały ręcznie na kartce wyrwanej z zeszytu. Czytałem je cierpliwie, redagowałem, jednocześnie je rozszyfrowując

i tłumacząc na ludzki język. Potem brałem od nich pieniądze i drukowałem ogłoszonka, z których niemal każde zaczynało się od słów: *Po wielu miesiącach modlitwy...* albo: *Wiele osób prosiło mnie, bym wystartował...*

Pod koniec lutego w okręgu nie mówiono o niczym innym poza sierpniowymi wyborami. Szeryf Coley miał dwóch kontrkandydatów, a istniała groźba, że przybędzie ich jeszcze dwóch. Termin składania kandydatur mijał w czerwcu, a on jeszcze tego nie zrobił. Było to pożywką dla spekulacji, że może w ogóle nie wystartuje.

Zresztą jeśli chodzi o lokalne wybory, nie trzeba było pozywki, żeby ludzie spekulowali.

\*\*\*

Miss Callie wyznawała starą zasadę, że jedzenie w restauracji to wyrzucanie pieniędzy, a przez to grzech. Jej lista potencjalnych grzechów była znacznie dłuższa niż w przypadku większości ludzi, a zwłaszcza mnie. Prawie sześć miesięcy zabrało mi przekonanie jej, żebyśmy poszli do restauracji Claude'a na czwartkowy lunch. Dowodziłem, że jeśli ja zapłacę, ona nie będzie marnowała pieniędzy. Nie popełni grzechu, a jeżeli ja dopuszczę się kolejnego, to naprawdę nie będę się tym przejmował. Jedzenie na mieście było na pewno najmniejszym grzechem w moim repertuarze.

Nie obchodziło mnie, że będę widziany w centrum Clanton z czarną kobietą. Miałem w nosie, co powiedzą ludzie. Nie zamartwiałem się tym, że będę jedynym białym u Claude'a. W rzeczywistości niepokoiło mnie tylko jedno – i to o mało nie powstrzymało mnie przed zaproponowaniem jej tej wyprawy – a mianowicie to, jak wsadzić Miss Callie do spitfire'a i jak ją stamtąd wy dostać. Nie był zaprojektowany z myślą o osobach tak ogromnych jak ona.

Miss Callie i Esau mieli starego buicka, w którym mieściło się kiedyś ośmioro dzieci. Do tego należało dodać jeszcze z pięćdziesiąt kilogramów, które jej od tamtych czasów przybyły, ale Miss Callie nadal bez trudu zmieściłaby się na przednim siedzeniu.

A nie chudła. Skakało jej ciśnienie i wzrastał poziom cholesterolu, czym jej dzieci bardzo się martwiły. Miała sześćdziesiąt lat i zaczęły się pojawiać problemy zdrowotne.

Wyszliśmy na ulicę. Miss Callie spojrzała na mój samochód. Był marzec, wietrzny dzień i zanosilo się na deszcz, dlatego postawiłem dach, przez co

dwuosobowy wóz wydawał się jeszcze mniejszy.

– Nie jestem pewna, czy to się uda – rzekła.

Dotarcie do tego miejsca zajęło mi pół roku i nie miałem zamiaru wracać. Otworzyłem drzwiczki od strony pasażera, a ona zbliżyła się do nich ostrożnie.

– Jakież sugestie? – spytała.

– Tak. Niech pani spróbuje metody „najpierw tył”.

W końcu się udało, a kiedy zapaliłem silnik, siedzieliśmy ramię przy ramieniu.

– Biali naprawdę jeżdżą śmiesznymi samochodami – powiedziała tak wystraszona, jakby siedziała w małym samolocie i miała odbyć pierwszy lot.

Wcisnąłem sprzęgło, wrzuciłem bieg i ruszyliśmy, wyrzucając żwir spod kół i śmiejąc się.

Zaparkowałem przed redakcją i pomogłem Miss Callie wysiąść. Wsiadanie było zdecydowanie łatwiejsze. Przedstawiłem jej Margaret Wright i Daveya Bigmoutha Bassa, a potem oprowadziłem po naszej siedzibie. Ciekawiła ją maszyna offsetowa, bo gazeta wyglądała teraz znacznie lepiej.

– Kto tu robi korektę? – zapytała szeptem.

– Pani – odpowiedziałem.

Według jej spostrzeżeń mieliśmy średnio trzy błędy na tydzień. Nadal dostawałem od niej ich listę w każdy czwartek przy lunchu.

Przeszliśmy się wokół rynku i w końcu dotarliśmy do Claude’a, lokalu dla czarnych, mieszczącego się obok pralni. Claude prowadził ten przybytek od wielu lat i podawał najlepsze jedzenie w mieście. Nie potrzebował karty dań, bo jadło się tam to, co akurat ugotował. W środy serwował suma, w piątki dania z rusztu, a w pozostałe dni nie wiadomo było, co się będzie jadło, dopóki Claude tego nie powiedział. Przywitał nas w brudnym fartuchu i wskazał stolik przy oknie. Połowa stolików była zajęta. Ludzie rzucali w naszą stronę zaciekawione spojrzenia.

Co dziwne, Miss Callie nigdy wcześniej nie spotkała Claude’a. Myślałem kiedyś, że wszyscy czarni w Clanton się znają. Miss Callie wyjaśniła mi, że to nie tak. Claude mieszkał poza miastem, a po Lowtown krążyły ohydne plotki, że nie chodzi do żadnego kościoła. Nigdy nie zależało jej na tym, żeby go poznać. Wiele lat temu byli na tym samym pogrzebie, ale do rozmowy między nimi nie doszło.

Przedstawiłem ich sobie. Kiedy Claude skojarzył jej nazwisko z twarzą po-

wiedział:

– Rodzina Ruffinów. Sami doktorzy.

– Profesorowie – poprawiła go Miss Callie.

Claude był głośny i szorstki, brał pieniądze za gotowane przez siebie jedzenie i nie chodził do kościoła, więc Miss Callie natychmiast go znieubiła. Aluzję zrozumiał, w ogóle się tym nie przejął i oszczędł, żeby wrzeszczyć na kogoś na zapleczu. Kelnerka przyniosła nam mrożoną herbatę i chleb kukurydziany, który też nie przypadł Miss Callie do gustu. Herbata okazała się cienka, niemal bez cukru, jak stwierdziła, a chleb był za mało słony i został podany w temperaturze pokojowej, co jest niewybaczalnym błędem.

– To restauracja, Miss Callie – powiedziałem cicho. – Niech się pani odpręży.

– Próbuję.

– Nieprawda. Jak może pani smakować posiłek, jeżeli nic się tu pani nie podoba?

– Bardzo podoba mi się pańska muszka.

– Dziękuję.

Moja nowa garderoba nikomu nie sprawiała większej przyjemności niż Miss Callie. Murzyni lubią się stroić i uważnie śledzą modę, jak mi wyjaśniła. Nadal określała siebie jako Murzynkę.

W konsekwencji ruchu na rzecz praw obywatelskich i wielu skomplikowanych spraw, które nagle się pojawiły, nie bardzo było wiadomo, jak nazywać czarnych. Starsi, bardziej szacowni, jak Miss Callie, woleli być nazywani Murzynami. O kreskę niżej od nich na społecznej skali byli „kolorowi”.

Choć nigdy nie słyszałem, żeby Miss Callie używała tego słowa, stosunkowo często wyższa klasa czarnych określała najniższe warstwy ich rasy jako „czarnuchów”.

Nie rozumiałem tych podziałów i klas, dlatego trzymałem się bezpiecznego terminu „czarni”. Po mojej stronie torów funkcjonował cały słownik odnoszący się do czarnych, w którym większość określeń nie była pieszczotliwa.

W tamtym momencie byłem jedynym nie-Murzynem w knajpie Claude’a i nikomu to nie przeszkadzało.

– Co zjecie?! – krzyknął do nas Claude zza kontuaru.

Na tablicy polecano teksańskie chili, pieczonego kurczaka i kotlety wieprzowe. Miss Callie z góry wiedziała, że kurczak i wieprzowina będą poniżej

przeciętnej, dlatego oboje zamówiliśmy chili.

Zdała mi relację z sytuacji w ogrodzie. Jarmuż udał jej się wyjątkowo. Razem z Esauem planowali już sadzenie roślin dojrzewających latem. *Kalendarz rolnika* przewidywał łagodne lato ze średnimi opadami deszczu – ta sama prognoza była powtarzana co roku – a ona niecierpliwie wyczekiwała cieplejszych dni i lunchów na werandzie, gdzie powinno się je jadać. Zacząłem od Alberta, najstarszego, a pół godziny później ona skończyła na Samie, najmłodszym. Sam wrócił do Milwaukee, zatrzymał się u Roberta, pracował i uczył się w szkole wieczorowej. Wszystkie dzieci i wnuki miały się dobrze.

Chciała porozmawiać o „nieszczęsnym panu Hanku Hootenie”. Bardzo dobrze pamiętała go z procesu, choć nigdy nie odezwał się słowem do przysięgłych. Przekazałem jej najnowsze wiadomości. Przebywał teraz w pokoju o wygłuszonych ścianach, gdzie miał pozostać przez jakiś czas.

Restauracja szybko się zapełniała. Claude przeszedł obok nas z naręczem talerzy i powiedział:

– Jeśli już skończyliście, to czas na was.

Miss Callie udała, że poczuła się tym urażona, ale Claude był znany z tego, że mówił ludziom, żeby wychodzili, kiedy tylko skończą jeść. W piątki, gdy kilkoro białych odważało się przyjść na potrawy z rusztu i knajpa była pełna, określał czas poszczególnym gościom i mówił głośno: „Macie dwadzieścia minut”.

Miss Callie pozornie sprawiała wrażenie, że nie spodobał jej się mój eksperyment – sam pomysł, restauracja, tanie obrusy, jedzenie, Claude, ceny, tłum, jednym słowem wszystko. Ale po prostu grała. W głębi duszy była bardzo zadowolona z tego, że zabrał ją na lunch młody, dobrze ubrany biały mężczyzna. Żadna z jej przyjaciółek nie przeżyła czegoś takiego.

Kiedy ostrożnie pomagałem jej wysiąść z samochodu w Lowtown, sięgnęła do torebki i wyjęła z niej niewielką karteczkę. Tylko dwie literówki w tym tygodniu: co dziwne, obie były w ogłoszeniach, dziale prowadzonym przez Margaret.

Odprowadziłem ją do domu.

– Nie było aż tak strasznie, prawda? – zapytałem.

– Podobało mi się. Dziękuję. Przyjdzie pan w przyszły czwartek? – Zadała mi to pytanie co tydzień.

I odpowiedź zawsze była taka sama.

## Rozdział 27

---

**W** południe czwartego lipca temperatura wynosiła trzydzieści osiem stopni Celsjusza, a wilgotność była rekordy. Paradę prowadził burmistrz, choć nie ubiegał się teraz o żadne stanowisko. Wybory lokalne i stanowe zaplanowano na 1971 rok. Wyścig do fotela prezydenckiego na rok 1972. Wybory do aparatu sądowego czekały nas w 1973 roku, a w 1974 do władz miejskich. Mieszkańcy Missisipi uwielbiali wybory prawie tak jak futbol.

Burmistrz siedział na tylnym fotelu corvette z roku 1962 i rzucał cukierki dzieciom stłoczonym na chodniku wokół rynku. Za nim maszerowały dwie szkolne orkiestry, z Clanton i Karaway, potem skauci, członkowie bractwa Shriners na małych rowerkach, nowy wóz strażacki, kilkanaście platform, grupa jeźdźców na koniach, weterani wszelkich możliwych wojen z tego wieku, szpaler lśniących samochodów od dealerów forda, trzy odremontowane zabytkowe traktory marki John Deere. Na jednym z nich jechał sędzia przysięgły numer osiem, Mo Teale. Pochód zamykał sznur radiowozów policji miejskiej i okręgowej – wszystkie wypolerowane na błysk.

Oglądałem paradę z balkonu na drugim piętrze banku Security. Stan Actavage urządził tam coroczne przyjęcie. Ponieważ byłem winny bankowi znaczną sumę, zaproszono mnie na sączenie lemoniady i przyglądanie się ob-



chodom.

Z powodu, którego nikt już nie pamiętał, za przemówienia odpowiadali rotarianie. Obok pomnika konfederata ustawili wielką przyczepę-platformę i udekorowali ją belami siana oraz biało-niebiesko-czerwonymi chorągiewkami. Kiedy przemarsz się skończył, tłum otoczył platformę ciasnym kręgiem i czekał niecierpliwie. Nawet publiczne wieszanie skazańca w dawnych czasach nie miało tak skupionej widowni.

Do mikrofonu podszedł pan Mervin Beets, prezes Klubu Rotariańskiego, i powitał wszystkich. Każde publiczne wydarzenie w Clanton wymagało modlitwy, dlatego powodowany nowym duchem segregacji zaprosił wielebnego Thurstona Smalla, pastora Miss Callie, żeby zadbał o właściwą oprawę święta. Zdaniem Stana Actavage'a na rynku widać było w tym roku zdecydowanie więcej czarnych.

Mając tak wielu słuchaczy, wielebny Small nie potrafił mówić krótko. Co najmniej dwa razy prosił Boga o błogosławieństwo dla wszystkich i wszystkiego. Głośniki wisiały na słupach wokół budynku sądu, więc jego głos rozchodził się echem po całym mieście.

Pierwszym kandydatem był Timmy Joe Bullock, przerażony młody człowiek z „czwartego rewiru”, który chciał zostać konstabłem. Przeszedł po platformie, jakby to był trap, a kiedy stanął przy mikrofonie i spojrzał na tłum, o mało nie zemdłał. Zdołał wydukać swoje nazwisko, po czym sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął kartki z przemówieniem. Orator był z niego kiepski, ale w ciągu dziesięciu długich minut udało mu się przedstawić własne zdanie na temat wzrostu przestępczości, ostatniego procesu sądowego i snajpera. Nie lubił morderców i szczególnie ostro odniósł się do snajperów. Obiecał bronić nas przed jednymi i drugimi.

Kiedy skończył, aplauz był niewielki. Ale przynajmniej facet się pokazał. W pięciu okręgach wyborczych na stanowisko konstabla kandydowało dwudziestu dwóch chętnych, ale tylko siedmiu zdobyło się na odwagę, by stanąć przed wyborcami. Gdy kandydaci na konstabli i sędziów pokoju skończyli, Woody Gates i jego zespół Country Boys zagrali kilka bluegrassowych kawałków. Nadeszła pora wyczekiwanej przerwy.

Na trawniku przed siedzibą sądu serwowano jedzenie i napoje. Członkowie Lions Club częstowali kawałkami arbuza. Panie z klubu działkowicza sprzedawały lody domowej roboty. Stowarzyszenie Młodych Biznesmenów piekło żeberka na ruszcie. Tłum kłębił się pod starymi dębami, chowając się

przed słońcem.

Mackey Don Coley zgłosił swoją kandydaturę na urząd szeryfa pod koniec maja. Miał trzech przeciwników, z których najpopularniejszy był służący w miejskiej policji T.R. Meredith. Kiedy Beets obwieścił, że nadeszła kolej kandydatów na szeryfa, tłum wyszedł z cienia i otoczył platformę.

Freck Oswald startował po raz czwarty. Poprzednie trzy razy kończył na ostatnim miejscu i teraz nic nie wskazywało na to, że będzie inaczej, ale on najprawdopodobniej dobrze się przy tym bawił. Nie lubił prezydenta Nixona i powiedział kilka ostrych słów o jego polityce zagranicznej, szczególnie o stosunkach z Chinami. Ludzie słuchali, ale wydawali się trochę zdezorientowani.

Tryce McNatt startował po raz drugi. Swoje wystąpienie zaczął od słów: „Tak naprawdę to Chiny gównu mnie obchodzą”.

To było śmieszne, ale i głupie. Publiczne przeklinanie w obecności kobiet będzie go kosztowało wiele głosów. Tryce’a denerwowało cackanie się systemu z kryminalistami. Zdecydowanie sprzeciwiał się budowie nowego więzienia w okręgu Ford – to wyrzucanie pieniędzy podatników! Chciał surowych wyroków, a nawet skuwania łańcuchami i przymusowej pracy.

Wcześniej nic nie słyszałem o budowie nowego więzienia.

Zdaniem Tryce’a zamordowanie Rhody Kassellaw i wybryk szalonego Hanka Hootena są dowodem na to, że przestępczość wymknęła się spod kontroli. Potrzebujemy nowego szeryfa, który będzie ścigał przestępców, a nie się z nimi zaprzyjaźniał.

– Posprzątajmy okręg! – powtarzał niczym refren, a tłum go popierał.

T.R. Meredith miał trzydziestoletnie doświadczenie w służbie w policji. Nie umiał przemawiać, ale według Stana Actavage’a był spokrewniony z połową mieszkańców okręgu. Stan wiedział takie rzeczy, bo był spokrewniony z drugą połową.

– Meredith wygra tysiącem głosów w drugiej turze – przewidywał.

Wywołało to burzliwą dyskusję wśród pozostałych gości na przyjęciu.

Mackey Don wystąpił jako ostatni. Był szeryfem od 1943 roku i chciał nim być jeszcze przez tylko jedną kadencję.

– Powtarza to od dwudziestu lat – mruknął Stan.

Coley głądził o swoim doświadczeniu, znajomości okręgu i jego mieszkańców. Kiedy skończył, oklaski świadczyły raczej o uprzejmości niż o poparciu.

O posadę poborcy podatków, bez wątpienia najmniej popularną w okręgu, ubiegało się dwóch panów. Podczas ich wystąpień ludzie się rozeszli – woleli jeść lody i arbuzy. Zszedłem do kancelarii Harry’ego Rexa, przed którą na chodniku też odbywało się przyjęcie.

Przemówienia trwały przez całe popołudnie. Było lato 1971 roku i do tego czasu w Wietnamie zginęło co najmniej pięćdziesiąt tysięcy młodych Amerykanów. Podobne zgromadzenie ludzi w jakiegokolwiek innej części kraju skończyłoby się burzliwą demonstracją antywojenną. Polityków przegnano by z platformy. Palono by flagi i karty powołania do wojska.

Ale w Clanton tamtego czwartego lipca nikt nawet nie wspomniał o Wietnamie.

Doskonale się bawiłem, demonstrując w kampusie w Syracuse i maszerując ulicami, ale o czymś takim na głębokim Południu nawet nie słyszano. Trwała wojna, dlatego prawdziwi patrioci popierali rząd. Chcieliśmy zatrzymać komunizm – hipisi, radykałowie i pacyfiści z Północy i Kalifornii po prostu bali się walczyć.

Kupiłem miseczkę lodów truskawkowych od członkiń klubu działkowniców i gdy obchodziłem budynek sądu, usłyszałem odgłosy zamieszania. Z okna pokoju barowego na drugim piętrze jakiś żartowniś wyrzucił kukłę udającą Baggy’ego. Wypchana postać wisiała z rękami nad głową – zupełnie jak prawdziwy Baggy – a na piersi miała napis: „Krzywy Ryj”. I żeby mieć pewność, że wszyscy zrozumieją dowcip, z obu kieszeni spodni wystawały puste butelki po whisky.

Tamtego dnia nie widziałem Baggy’ego. Utrzymywał później, że nic nie wiedział o tym incydencie. Nie zaskoczyło mnie jednak, że Wiley zrobił tej kukle całkiem sporo zdjęć.

– Theo tu jest! – krzyknął ktoś, co poruszyło tłum.

Theo Morton od wielu lat był naszym senatorem. Reprezentował wyborców z czterech okręgów i choć mieszkał w Baldwin, jego żona pochodziła z Clanton. Był właścicielem dwóch domów opieki i cmentarza, a wyróżniało go to, że przeżył trzy katastrofy lotnicze. Teraz nie pilotował już samolotów. Theo był barwną postacią – szczery, sarkastyczny, wesoły i zupełnie nieprzewidywalny na mównicy. Jego przeciwnikiem okazał się młody człowiek, który dopiero skończył studia prawnicze i o którym krążyła plotka, że przygotowuje się do zostania gubernatorem. Nazywał się Warren i popełnił błąd, atakując Thea w związku z jakąś podejrzaną regulacją prawną, którą obecny se-

nator rzekomo „przemycił” podczas ostatniej sesji, dzięki czemu zyskał większą pomoc finansową stanu dla domów opieki.

Była to ostra napaść. Stałem w tłumie i patrzyłem na grzmiącego Warrena. Nad jego lewym ramieniem widać było kukłę „Krzywego Ryja” zwisającą z okna.

Theo zaczął od przedstawienia żony, Rex Elli, z rodziny Mabrych, właśnie z Clanton. Opowiadał o jej rodzicach i dziadkach, ciotkach i wujach. W niedługim czasie wspomniął o niemal połowie osób spośród słuchającego go tłumu. Clanton było jego drugim domem, to jego okręg, jego ludzie, wyborcy, dla których tak ciężko pracował w Jackson.

Mówił płynnie, gładko, bez kartki. Słuchałem mistrza oracji.

Był przewodniczącym komisji do spraw dróg w senacie stanowym i przez kilka minut przechwalał się nowymi drogami, które zbudował na północy Missisipi. Jego komisja zajmowała się na każdej sesji czterema setkami najróżniejszych aktów prawnych. Cztery setki! Czteryście wniosków albo przepisów. Jako przewodniczący był odpowiedzialny za tworzenie prawa. Tym właśnie zajmują się senatorowie. Tworzą dobre prawa i znoszą złe.

Jego młody przeciwnik skończył właśnie studia prawnicze, co było znaczącym osiągnięciem. On, Theo, nie miał szansy studiować, bo walczył z Japońcami w czasie drugiej wojny światowej. Niemniej jednak jego młody oponent najwyraźniej zaniedbywał naukę na studiach. W przeciwnym razie zdałby egzamin adwokacki za pierwszym podejściem.

– Ale on oblał egzamin adwokacki, panie i panowie! – dodał.

Idealnie wybierając moment, ktoś stojący tuż za młodym Warrenem wykrzyknął:

– To cholerne kłamstwo!

Tłum popatrzył na Warrena, jakby ten stracił rozum.

Theo zwrócił się w stronę, z której dobiegł głos, i powiedział z niedowierzaniem:

– Kłamstwo?

Sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną kartkę.

– Mam tu dowód!

Ujął kartkę za rozek i zaczął nią wymachiwać. Bez przeczytania choćby jednego słowa z tego, co było na niej napisane, powiedział:

– Jak możemy powierzyć temu człowiekowi tworzenie prawa, skoro nawet nie potrafił zdać egzaminu adwokackiego? Pan Warren i ja stoimy na tym sa-

mym gruncie – żaden z nas nie zdał tego egzaminu. Problem polega na tym, że on miał trzy lata studiów, żeby się do niego przygotować.

Zwolennicy Thea pokrzykiwali i śmiali się. Młody Warren tkwił w miejscu, choć widać było, że najchętniej by uciekł.

– Może gdyby studiował prawo w Missisipi zamiast w Tennessee, rozumiałby obowiązujące u nas prawa! – grzmiał Theo.

Był znany z podobnych publicznych rzezi. Kiedyś upokorzył przeciwnika, który wcześniej odszedł w niesławie ze stanu duchownego. Wyciągając z kieszeni „pisemne oświadczenie”, Theo twierdził, że może udowodnić romans „byłego wielebnego” z żoną diakona. Tego oświadczenia, rzecz jasna, nigdy nie odczytał.

Dziesięciominutowy limit wystąpienia nic dla Thea nie znaczył. Przekroczył go obietnicami zmniejszenia podatków, ograniczenia marnotrawstwa i uczynienia czegoś, żeby mordercy byli częściej skazywani na karę śmierci. Kiedy wreszcie skończył, podziękował ludziom za dwudziestoletnie lojalne poparcie. Przypomniwał, że w ostatnich i przedostatnich wyborach prawi mieszkańcy okręgu Ford oddali na niego i Rex Ellę prawie osiemdziesiąt procent głosów.

Aplauz był głośny i długi. W którymś momencie Warren zniknął. Podobnie jak ja. Miałem dość przemówień i polityki.

\*\*\*

Cztery tygodnie później o zmierzchu, w pierwszy wtorek sierpnia, podobny tłum zgromadził się przed budynkiem sądu na liczenie głosów. Ochłodziło się, temperatura nie przekraczała trzydziestu trzech stopni przy dziewięćdziesięcioośmioprocentowej wilgotności.

Ostatnie dni kampanii wyborczej zawsze były marzeniem każdego dziennikarza. Przed kościołem czarnych doszło do bójki na pięści między dwoma kandydatami na sędziego pokoju. Złożono dwa wnioski do sądu, w których obie strony oskarżały się o zniesławienie i oszczerstwo oraz rozpowszechnianie fałszywych wyników sondaży wyborczych. Jeden facet został aresztowany w chwili, gdy wypisywał farbą w sprayu obsceniczne wyrazy na plakatach wyborczych Thea. Jak się okazało już po wyborach, został wynajęty przez jednego z pomagierów Thea, żeby profanował plakaty z senatorem. Cała wina i tak spadła na Warrena. „Powszechnie stosowana sztuczka”, zdaniem

Baggy'ego. Prokurator okręgowy był proszony o wszczęcie śledztwa w sprawie dużej liczby głosów przesłanych pocztą. „Typowe wybory”, podsumował to Baggy. Sprawy osiągnęły apogeum w tamten wtorek, gdy cały okręg przestał pracować, żeby ludzie mogli iść na głosowanie i cieszyć się wyborami, jak to bywało na prowincji.

Urny zostały zamknięte o osiemnastej, a godzinę później rynek ożył od tłumy podekscytowanego oczekiwaniem. Ludzie przyjeżdżali z całego okręgu. Tworzyli niewielkie grupy wokół swoich kandydatów i użyli nawet transparentów z kampanii wyborczej, by oznakować swoje terytorium. Wiele osób przyniosło jedzenie i picie, większość miała też składane krzeselka, jakby przyszli oglądać mecz baseballowy. Blisko frontowych drzwi sądu ustawiono dwie ogromne czarne tablice i na nich zapisywano wyniki.

– Mamy rezultat z North Karaway! – oznajmiła pani sekretarz do mikrofonu tak głośno, że słyhać ją było pewnie dziesięć kilometrów dalej.

Nastrój festynu nagle zmienił się na bardzo poważny.

– North Karaway jest zawsze pierwsze – powiedział Baggy.

Dochochodziła dwudziesta trzydzieści i zapadał zmierzch. Siedzieliśmy na werandzie przed redakcją i czekaliśmy na wiadomości. Postanowiliśmy opóźnić wydanie o dwadzieścia cztery godziny i wydrukować nasze „wydanie wyborcze” w czwartek. Sekretarz potrzebowała sporo czasu, żeby odczytać podsumowania głosowań na kandydatów na wszystkie urzędy. W połowie tej wyliczanki oznajmiła:

– A teraz wybór szeryfa. – Kilka tysięcy osób wstrzymało oddech. – Mackey Don Coley osiemdziesiąt cztery, Tryce McNatt dwadzieścia jeden, T.R. Meredith sześćdziesiąt jeden i Freck Oswald jedenaście.

W dalekim końcu trawnika, gdzie zebrali się zwolennicy Coleya, rozległy się głośne wiwaty.

– W Karaway Coley zawsze miał mocne poparcie – powiedział Baggy. – Ale już przegrał.

– Przegrał? – zdziwiłem się. Mieliśmy wyniki z pierwszych z dwudziestu ośmiu okręgów wyborczych, a on już wskazywał zwycięzców.

– Tak. Meredith ma solidne poparcie w miejscach, gdzie właściwie go nie znają, a to oznacza, że ludzie mają dość Coleya. Poczekaj, aż podadzą wyniki z Clanton.

Wyniki napływały powoli z miejsc, o których nigdy nie słyszałem – Pleasant Hill, Shady Grove, Klebie, Three Corners, Clover Hill, Green Alley,

Possum Ridge, Massey Mill, Calico Ridge. Woody Gates – i Country Boys, którzy zawsze byli na zawołanie, wypełniali luki bluegrassową muzyką.

Padgittowie głosowali w maleńkim okręgu o nazwie Dancing Creek. Kiedy sekretarz podała wyniki z tego miejsca, a Coley dostał trzydzieści jeden głosów, podczas gdy trzech pozostałych kandydatów w sumie osiem, przez tłum przeszedł szmer podekscytowania. Następne było Clanton East, największy okręg wyborczy, w którym głosowałem i ja. Coley dostał dwieście osiemdziesiąt pięć głosów, Tryce czterdzieści siedem, a gdy okazało się, że na Mereditha głosowały sześćset czterdzieści cztery osoby, tłum oszalał.

Baggy złapał mnie za ramię i świętowaliśmy razem z resztą miasta. Coley poszedł w odstawkę bez drugiej tury.

W miarę jak do przegranych docierała świadomość porażki, oni i ich zwolennicy pakowali manatki i wracali do domów. Koło dwudziestej trzeciej tłum na rynku znacznie się zmniejszył. Po północy wyszedłem z redakcji i przemaszerowałem wokół rynku, żeby chłonąć odgłosy i obrazy tej cudownej tradycji.

Byłem bardzo dumny z mojego miasta. W następstwie brutalnego morderstwa i nieoczekiwanego werdyktu przysięgłych zmobilizowaliśmy się, odpowiedzieliśmy ciosem i daliśmy jasno do zrozumienia, że nie będziemy tolerowali korupcji. Tak liczne głosy przeciwko Coleyowi były naszym sposobem uderzenia w Padgittów. Po raz drugi od stu lat nie będą mieli szeryfa na własność.

T.R. Meredith dostał sześćdziesiąt jeden procent głosów, co było oszałamiającym zwycięstwem. Theo zebrał osiemdziesiąt dwa procent, w starym dobrym stylu bijąc przeciwnika na głowę. Wydrukowaliśmy osiem tysięcy egzemplarzy „wydania wyborczego” i sprzedaliśmy wszystkie co do jednego. Stałem się zagorzałym zwolennikiem organizowania wyborów co rok. Demokracji w najlepszym wydaniu.

## Rozdział 28

---

**T**ydzień przed Świętem Dziękczynienia w 1971 roku Clanton wstrząsnęła wiadomość, że jeden z jego synów zginął w Wietnamie. Pete Mooney, dziewiętnastoletni sierżant sztabowy, wpadł w zasadzkę niedaleko Hue w środkowym Wietnamie. Kilka godzin później znaleziono jego ciało.

Nie znałem rodziny Mooneyów, ale Margaret jak najbardziej. Zadzwoiła do mnie z tą wieścią i powiedziała, że potrzebuje kilku wolnych dni. Jej rodzina przez wiele lat mieszkała po sąsiedzku przy tej samej ulicy co Mooneyowie. Jej syn i Pete przyjaźnili się od dziecka.

Spędziłem trochę czasu w archiwum i znalazłem artykuł z 1966 roku o Marvinie Lee Walkerze, czarnym chłopcu, pierwszym żołnierzu z okręgu, który poległ w Wietnamie.

Działo się to, zanim pan Caudle zaczął się przejmować takimi sprawami, dlatego informacja w „Timesie” była żałośnie lakoniczna. Nic na pierwszej stronie. Kilkuzdaniowy artykuł bez zdjęcia dopiero na trzeciej. W tamtym czasie w Clanton ludzie nie wiedzieli nawet, gdzie leży Wietnam.

Tak więc młody człowiek, który nie mógł chodzić do lepszych szkół, prawdopodobnie nie mógł głosować w wyborach i na pewno nawet bał się pić wodę ze studni przed budynkiem sądu, został zabity w kraju, który tylko



kilku mieszkańców jego rodzinnego miasta potrafiłoby wskazać na mapie. Ale ta śmierć była czymś jak najbardziej właściwym i dobrym. Komunistów należało zwalczać wszędzie, gdzie się pokazywali.

Margaret po cichu przekazała mi szczegóły, których potrzebowałem do artykułu. Pete zdał maturę w Clanton w 1970 roku. Grał w reprezentacji szkoły w futbol i baseball, w obu drużynach nosił odznakę sportową z pierwszą literą nazwy szkoły. Był prymusem, który zamierzał popracować dwa lata, łączyć pieniądze i potem iść na studia. Miał pecha – znalazł się wysoko na liście osób, które miały otrzymać karty powołania, i w grudniu 1970 roku dostał wezwanie.

Zgodnie z tym, co powiedziała Margaret, a czego niestety nie mogłem wydrukować, Pete bardzo nie chciał iść do wojska. Tygodniami kłócił się z ojcem o tę wojnę. Chłopak chciał wyjechać do Kanady i uniknąć całego tego zamieszania, a jego ojca przerażała myśl, że syn mógłby zostać uznany za dekwadnika. Nazwisko rodziny zostałoby zhańbione i tak dalej. Wyzywał chłopaka od tchórzy. Pan Mooney służył w Korei i nie tolerował najmniejszych przejawów ruchu antywojennego. Pani Mooney próbowała odgrywać rolę rozjemcy, ale w głębi serca nie chciała, żeby syn jechał na tę kontrowersyjną wojnę. Pete w końcu ustąpił, a teraz wracał do domu w trumnie.

Pogrzeb odbył się w kościele pierwszych baptystów, do którego Mooneyowie należeli od lat. Pete został tam ochrzczony w wieku jedenastu lat, co dla jego rodziny i przyjaciół stanowiło w tym momencie ogromną pociechę. Przebywał teraz z Panem, choć był zbyt młody, żeby Bóg powoływał go do siebie.

Siedziałem obok Margaret i jej męża. To był mój pierwszy i ostatni pogrzeb dziewiętnastoletniego żołnierza. Dzięki temu, że całą uwagę skupiłem na trumnie, prawie udało mi się nie słyszeć płaczu, a czasami zawodzenia rozlegającego się wokół mnie. Trener szkolnej drużyny futbolowej wygłosił taką pożegnalną mowę, że z oczu wszystkich obecnych w kościele popłynęły łzy. Z moich też.

Prawie nie widziałem pleców pana Mooneya siedzącego w pierwszym rzędzie. Jakież niewysłowiony smutek musiał teraz rozdzierać serce tego biednego człowieka.

Po godzinie wyszliśmy i pojechaliśmy na cmentarz w Clanton, gdzie ciało Pete'a zostało złożone do grobu ze wszystkimi honorami. Kiedy samotny trębacz zagrał sygnał ku czci poległych, łamiący serce szloch matki Pete'a spr-

wił, że przeszedł mnie dreszcz. Przywarła do trumny i nie puszczała jej do chwili, gdy zaczęto opuszczać ją do dołu. Ojciec Pete'a w końcu się załamał – zajęło się nim kilku duchownych.

Co za strata, powtarzałem raz po raz pod nosem, kiedy szedłem opustoszałymi ulicami do redakcji. Tamtego wieczoru przeklinałem sam siebie za to, że milczałem i byłem tchórzem. Byłem, do jasnej cholery, redaktorem naczelnym gazety! Czy należało mi się to stanowisko, czy nie, byłem kimś takim jako jedyny w mieście. Jeśli coś mnie nurtowało, to miałem władzę i pozycję, by napisać o tym w gazecie.

\*\*\*

Przed Pete'em Mooneym zginęło co najmniej pięćdziesiąt tysięcy jego rodaków, choć wojskowi robili, co mogli, by nie podawać rzeczywistych liczb.

W 1969 roku prezydent Nixon i jego doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, Henry Kissinger, uznali, że wojna w Wietnamie jest nie do wygrania, albo raczej podjęli decyzję, że Stany Zjednoczone nie będą już próbowały jej wygrać. Zatrzymali to jednak dla siebie. Nie zakończyli zaciągu. Zamiast tego realizowali cyniczną strategię demonstrowania pewności, że wojnę uwieńczy sukces.

Od chwili, gdy ta decyzja została podjęta, do końca wojny w 1973 roku zginęło jeszcze około osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy, w tym Pete Mooney.

Swój wstępniak zamieściłem na pierwszej stronie w dolnej połowie, pod wielkim zdjęciem Pete'a Mooneya w mundurze. Napisałem:

Śmierć Pete'a Mooneya powinna skłonić nas do postawienia oczywistego pytania: Co my, do diabła, robimy w Wietnamie? Uzdolniony uczeń, utalentowany sportowiec, szkolny prymus, w przyszłości lider społeczności, jeden z naszych najlepszych i najmądrzejszych chłopaków, został zastrzelony nad rzeką, której nazwy nigdy nie słyszeliśmy, w kraju, który nas w ogóle nie obchodzi.

Oficjalny powód, wywodzący się jeszcze sprzed dwudziestu lat, głosi, że jesteśmy tam, by walczyć z komunizmem. Jeśli zobaczymy, że się rozprzestrzenia, wtedy – że zacytuję słowa byłego prezydenta Lyndona Johnsona – powinniśmy przedsięwziąć „wszystkie konieczne środki, by zapobiec jego dalszej agresji”.

Korea, Wietnam. Teraz mamy oddziały w Laosie i Kambodży, choć prezydent Nixon temu zaprzecza. Dokąd jeszcze pójdziemy? Czy oczekuje się po nas, że będziemy wysyłali naszych synów do każdego zakątka świata i mieszały się do wojen domowych innych państw?

Kiedy w 1954 roku Francuzi ponieśli w Wietnamie klęskę, kraj ten został podzielony na dwie części.

Wietnam Północny to biedne państwo kierowane przez komunistę o nazwisku Ho Szi Min. Wietnam Południowy to biedne państwo, którym rządził brutalny dyktator o nazwisku Ngo Din Diem, do czasu, aż został zamordowany w zamachu stanu w 1963 roku. Od tamtej pory rządy w kraju sprawuje wojsko.

Wietnam jest w stanie wojny od 1946 roku, kiedy Francuzi podjęli brzemienne w skutki próbę niewpuszczenia tam komunistów. Ponieśli spektakularną porażkę, więc pośpieszyliśmy tam, żeby pokazać, jak należy prowadzić wojnę. Nasza porażka była jeszcze większa niż francuska i jeszcze nie dobiegła końca.

Ilu kolejnych Pete'ów Mooneyów polegnie, zanim nasz rząd zdecyduje się zostawić Wietnam jego własnemu losowi?

I do ilu jeszcze innych miejsc na świecie będziemy wysyłali nasze oddziały, by walczyły z komunizmem?

Co my, do diabła, robimy w Wietnamie? W tej chwili grzebiemy młodych żołnierzy, podczas gdy politycy prowadzący tę wojnę zastanawiają się nad jej zakończeniem.

Wiedziałem, że za tak dosadne sformułowania dostanę po głowie, ale nic mnie to nie obchodziło. Mocne słowa były potrzebne, żeby zrzucić klapki z oczu ślepym patriotom z okręgu Ford. Zanim jednak zalała mnie fala listów i telefonów, zyskałem przyjaciela.

Kiedy wróciłem z czwartkowego lunchu u Miss Callie (gulasz jagnięcy przy kominku w domu), w redakcji czekał na mnie Bubba Crockett. Miał na sobie dzinsy, buty z wysokimi cholewkami, flanelową koszulę, nosił długie włosy. Przedstawił się i podziękował mi za artykuł. Leżało mu na sercu kilka spraw i chciał się nimi ze mną podzielić, a ponieważ byłem najedzony do nieprzytomności, położyłem po prostu nogi na biurku i słuchałem. Mówił długo.

Dorastał w Clanton, w 1966 roku skończył tu szkołę. Jego ojciec miał szkółkę drzew trzy kilometry na południe od miasta, byli architektami zieleni. Dostał powołanie do wojska w 1967 roku i od tamtej chwili myślał tylko o tym, żeby wyruszyć na wojnę z komunizmem. Jego oddział wylądował na południu w chwili, gdy rozpoczęła się ofensywa Tet. Po dwóch dniach na obcej ziemi stracił trzech najbliższych przyjaciół.

Grozy walki nie można było oddać słowami, choć mnie opis przekazany przez Bubbę wystarczył. Ludzie płonęli żywcem, krzycząc o pomoc, żołnierze potykali się o części ciał, wywlekali trupy kolegów z pola walki, nie spali całymi nocami, brakowało im jedzenia, kończyła się amunicja, patrzyli, jak wróg zbliża się nocą. W ciągu pierwszych pięciu dni jego batalion stracił stu żołnierzy.

– Po tygodniu wiedziałem, że zginę – opowiadał ze łzami w oczach. – W tamtym momencie stałem się całkiem dobrym żołnierzem. Trzeba osią-

gnąć ten punkt, żeby przetrwać.

Dwa razy był ranny, ale lekko; rany opatrzone w szpitalu polowym. Nic takiego, dzięki czemu mógłby wrócić do domu. Mówił o frustracji spowodowanej walką na wojnie, której rząd nie pozwalał im wygrać.

– Byliśmy lepszymi żołnierzami – opowiadał. – Mieliśmy znacznie lepszy sprzęt. Nasi dowódcy okazali się fantastyczni, ale idioci z Waszyngtonu nie pozwalali im prowadzić wojny.

Bubba znał rodzinę Mooneyów i błagał Pete'a, żeby nie szedł do wojska. Obserwował uroczystość pogrzebową z pewnej odległości i przeklinał wszystkich, których zobaczył, i tych, których nie widział.

– Dasz wiarę, że durnie, którzy tu mieszkają, nadal popierają tę wojnę? Ponad pięćdziesiąt tysięcy zabitych, teraz się wycofujemy, a ludzie z Clanton będą się z tobą kłócili na ulicy, że to słuszna walka.

– Z tobą się nie kłóć – zauważyłem.

– Nie. Przyłożyłem temu i owemu. Grasz w pokera?

Nie grałem, ale słyszałem mnóstwo barwnych historii o wielu partiach pokera rozgrywanych na mieście. Pomyślałem, że to może być interesujące.

– Trochę – odpowiedziałem, zakładając, że znajdę jakąś książkę opisującą zasady gry albo poproszę Baggy'ego, żeby mnie nauczył.

– Gramy w czwartkowe wieczory w szopie na terenie szkoły. Kilku gości, którzy byli w Wietnamie. Może ci się spodobać.

– Dziś wieczorem?

– Tak, koło dwudziestej. Stawki są niskie, wypijemy trochę piwa, zapalimy trawkę, będzie parę wojennych opowieści. Moi kumple chcą cię poznać.

– Przyjdę – powiedziałem, zastanawiając się, gdzie znajdę Baggy'ego.

\*\*\*

Tego popołudnia pod drzwi redakcji zostały wsunięte cztery listy, wszystkie jadowicie krytykujące moją opinię na temat wojny. Pan E.L. Green, weteran dwóch wojen i długoletni prenumeratorem „Timesa”, choć to mogło się wkrótce zmienić, napisał między innymi:

*Jeśli nie powstrzymamy komunizmu, to dotrze on do każdego zakątka świata. Pewnego dnia pojawi się na naszym progu, a nasze dzieci i wnuki będą pytały, dlaczego nie zdobyliśmy się na odwagę i nie zatrzymaliśmy go, zanim*

zaczął się rozpetzać.

Brat pana Herberta Gillenwatera poległ na froncie w Korei. Gillenwater napisał:

*Jego śmierć była tragedią, z którą zmagam się do dzisiaj, każdego dnia. Ale był żołnierzem, bohaterem, dumnym Amerykaninem, a jego śmierć pomogła nam zatrzymać Koreańczyków z północy i ich sprzymierzeńców, czerwonych Chińczyków i Rosjan. Jeśli będziemy bali się walczyć, sami zostaniemy podbici.*

Pan Felix Toliver ze Shady Grove zasugerował, że może spędziłem zbyt dużo czasu na Północy, gdzie ludzie są znani z tego, że nie lubią broni. Dodał, że armia zawsze była zdominowana przez odważnych młodych mężczyzn z Południa, a jeżeli mu nie wierzę, to powinienem sam to sprawdzić. W Wietnamie i Korei zginęło nieproporcjonalnie więcej żołnierzy pochodzących z Południa. Zakończył bardzo elokwentnie:

*Nasza wolność została okupiona życiem nieskończenie wielu dzielnych żołnierzy. Zapłaciliśmy straszną cenę. Ale co by się stało, gdybyśmy bali się walczyć? Większość cywilizowanego świata popadłaby w ruinę. Zostalibyśmy odizolowani, a w końcu zniszczeni.*

Zamierzałem wydrukować wszystkie listy do redakcji, mając jednak nadzieję, że znajdzie się wśród nich choć jeden popierający moje stanowisko. Krytyką wcale się nie przejmowałem. Żywiłem niezachwiane przekonanie, że racja jest po mojej stronie. Zaczynałem też uodparniać się na opinie innych, a u redaktora naczelnego to cenna zaleta.

\*\*\*

Po krótkim kursie u Baggy'ego, grając z Bubba i jego kumplami, straciłem sto dolarów. Zaprosili mnie, żebym przyszedł jeszcze raz.

Wokół stołu siedziało nas pięciu, wszyscy przed trzydziestką. Trzech służyło w Wietnamie – Bubba, Darrell Radke, którego rodzina miała firmę produkującą propan, i Cedric Young, czarny facet z paskudnie pokiereszowaną nogą. Piątym graczem był straszny brat Bubby, David, zwolniony ze służby

w wojsku z powodu wzroku. Moim zdaniem, przychodził tam tylko ze względu na marihuanę.

Bardzo dużo rozmawialiśmy o narkotykach. Żaden z weteranów wojny przed wstąpieniem do wojska nawet nie słyszał o trawce lub czymkolwiek innym. W latach sześćdziesiątych w Clanton śmiali się na samą myśl o narkotykach. W Wietnamie ćpanie było powszechne. Palili trawkę, kiedy się nudzili albo tęsknili za domem, palili, żeby uspokoić skołatane nerwy. W przepelnionych szpitalach polowych używano najsilniejszych środków przeciwbólowych. Cedric uzależnił się od morfiny dwa tygodnie po tym, jak został ranny.

Namawiany przez nich, opowiedziałem kilka zdarzeń związanych z narkotykami, jakie przeżyłem na studiach, ale byłem amatorem między zawodowcami. Wątpię, czy przesadzali. Nic dziwnego, że przegraliśmy tę wojnę – wszyscy byli ostro naćpani.

Wyrazili podziw dla mojego wstępniaka i byli bardzo rozgoryczeni tym, że posłano ich na wojnę. Każdy z nich trzech miał blizny, choć różnego rodzaju. U Cedrica były oczywiste. U Bubby i Darrella przypominało to nieprzemijającą złość, ledwie wstrzymywaną wściekłość i chęć jej wyładowania. Ale na kim?

Gdy gra nabrała rumieńców, zaczęli wymieniać się makabrycznymi opowieściami z pola walki. Słyszałem, że wielu żołnierzy nie chce rozmawiać o swoich doświadczeniach wojennych. Ci trzej nie mieli z tym najmniejszego problemu. Opowiadanie tych historii stało się dla nich swego rodzaju terapią.

Grali w pokera w prawie każdy czwartkowy wieczór i zawsze serdecznie mnie witali. Kiedy wyszedłem od nich o północy, nadal pili, nadal palili trawkę, nadal gadali o Wietnamie. Na ten dzień miałem już dość tej wojny.

## Rozdział 29

---

**W** następnym tygodniu całą stronę poświęciłem kontrowersjom wokół wojny, jakie wywołałem. Wydrukowałem listy do redakcji, w sumie siedemnaście, z których tylko dwa w pewien sposób popierały moją antywojenną postawę. Wyzywano mnie od komunistów, liberałów, zdrajców, kombinatorów z Północy i, co najgorsze, tchórzy, bo nigdy nie nosiłem munduru. Każdy list był z dumą podpisany – w tamtym tygodniu nie dostałem żadnego anonimu. Autorzy byli oburzonymi patriotami, którzy mnie nie lubili i chcieli, żeby mieszkańcy okręgu o tym wiedzieli.

Nie przejmowałem się tym. Wsadziłem kij w mrowisko i w Clanton zaczęto wreszcie rozmawiać o wojnie. Większość co prawda wyrażała podobną opinię, ale przynajmniej wzbudziłem silne emocje.

Reakcja na te siedemnaście listów była zdumiewająca. Z pomocą przyszła mi grupa licealistów, przynosząc stos listów swojego autorstwa. Z wielkim przejęciem występowali przeciwko wojnie, nie mieli zamiaru walczyć, i co więcej, uważali za dziwne, że większość listów z poprzedniego tygodnia napisali ludzie zbyt starzy, by pójść do wojska. „Chodzi o naszą krew, nie waszą” stało się moim ulubionym zdaniem.

Wielu uczniów skupiało się na poszczególnych listach i chłostało ich auto-

rów bez litości. Becky Jenkins czuła się obrażona zdaniem pana Roberta Earla Huffa, który napisał: *...nasz naród powstał z krwi naszych żołnierzy. Zawsze będziemy toczyli jakąś wojnę.*

Odpisała: *Zawsze będziemy toczyli jakąś wojnę, dopóki głupi i chciwi ludzie będą próbowali narzucać innym swoją wolę.*

Kirk Wallace wybrał fragmenty z listu pani Mattie Louise Ferguson, będące drobiazgowym opisem mojej osoby. W ostatnim akapicie napisał: *To smutne, ale pani Ferguson nie rozpoznałaby komunisty, liberała, zdrajcy czy kombinatora z Północy, nawet gdyby przed nią stanął. Życie w Possum Ridge chroni ją przed takimi ludźmi.*

W kolejnym tygodniu przeznaczyłem całą stronę na trzydzieści jeden listów od uczniów. Nadeszły także trzy spóźnione listy od podżegaczy wojennych, więc je również wydrukowałem. Reakcją była kolejna fala listów, które oczywiście znalazły się potem w gazecie.

Prowadziliśmy wojnę na łamach „Timesa” aż do Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy nagle ogłosili zawieszenie broni i zajęli się świętami.

\*\*\*

Max Hocutt zmarł w pierwszy dzień nowego, 1972 roku. Tamtego ranka Gilma pukała w moje okno do skutku i wyciągnęła mnie z łóżka. Spałem od niecałych pięciu godzin i potrzebowałem co najmniej dwunastu godzin snu. Może nawet dwudziestu czterech.

Poszedłem za nią to starej rezydencji – nie byłem tam od wielu miesięcy – i przeżyłem szok, widząc, jak bardzo podupała. Były jednak pilniejsze sprawy. Podeszliśmy do schodów w głównym holu, gdzie dołączyła do nas Wilma. Pomarszczonym i powykrzywianym palcem wskazała piętro i powiedziała:

– On jest na górze. Pierwsze drzwi po prawej. My już raz tam byliśmy dziś rano.

Jedno wejście na górę było dla nich i tak bardzo dużym wysiłkiem. Obu niewiele brakowało do osiemdziesiątki, Max był tylko trochę od nich starszy.

Leżał na ogromnym łóżku w brudnej białej pościeli, przykryty po szyję kołdrą. Skórę miał koloru posłania. Stałem przy nim przez chwilę, żeby się upewnić, że nie oddycha. Nigdy mnie nie wzywano, bym stwierdził czyjś zgon, ale w tym przypadku nie było to trudne – dla mnie Max wyglądał, jak-



by nie żył od miesiąca.

Zszedłem na dół do Wilmy i Gilmy czekających w miejscu, w którym je zostawiłem. Popatrzyły na mnie, jakby spodziewając się innej diagnozy.

– Myślę, że nie żyje – powiedziałem.

– To wiemy – odrzekła Gilma.

– Powiedz nam, co mamy robić – poprosiła Wilma. To był pierwszy trup, którym miałem się zajmować, ale następne posunięcie wydawało się oczywiste.

– No cóż, może powinniśmy zadzwonić do pana Magargela z domu pogrzebowego?

– A nie mówiłam? – powiedziała Wilma do siostry. Tkwiły w miejscu, więc podszedłem do telefonu i zadzwoniłem do pana Magargela.

– Jest Nowy Rok – powiedział. Mój telefon najwyraźniej go obudził.

– To nie zmienia tego, że on nie żyje.

– Jest pan pewny?

– Tak, jestem pewny. Widziałem go przed chwilą.

– Gdzie on jest?

– W łóżku. Odszedł we śnie.

– Wie pan, czasami te stare dziady po prostu mocno śpią. Odwróciłem się od bliźniaczek, żeby nie słyszały mojej sprzeczki o to, czy ich brat naprawdę umarł.

– On nie śpi. On nie żyje.

– Będę za godzinę.

– Czy powinniśmy coś zrobić? – zapytałem.

– Niby co?

– Nie wiem. Zawiadomić policję lub coś w tym rodzaju?

– Został zamordowany?

– Nie.

– No to po co chce pan dzwonić na policję?

– Niepotrzebnie pytałem.

Siostry zaprosiły mnie do kuchni na kubek kawy rozpuszczalnej. Na blacie stało pudełko płatków z pszenicy, a obok spora miska tych płatków wymieszanych z mlekiem, gotowych do zjedzenia. Najwyraźniej Wilma albo Gilma przygotowała śniadanie dla brata, a ponieważ nie zszedł na dół, poszły do niego na górę.

Kawa nie nadawała się do picia, dopóki nie nasypałem do niej cukru. Bliź-

niazki siedziały po drugiej stronie wąskiego blatu i obserwowały mnie z ciekawione. Oczy miały przekrwione, ale nie płakały.

– Nie możemy już tu mieszkać – powiedziała Wilma z przekonaniem, które przychodzi po latach dyskusji.

– Chcemy, żebyś odkupił od nas tę posiadłość – dodała Gilma.

Jedna nie zdążyła skończyć zdania, gdy druga wchodziła jej w słowo.

– Sprzedamy ci ją...

– Za sto tysięcy...

– Weźmiemy pieniądze...

– I przeniesiemy się na Florydę...

– Na Florydę? – zdziwiłem się.

– Mamy tam kuzynkę...

– Mieszka na osiedlu dla emerytów.

– Tam jest uroczo...

– I tak dobrze opiekują się ludźmi...

– I jest blisko do Melberty.

Melberta? Myślałem, że nadal kręci się gdzieś po domu, przemykając w cieniu. Wyjaśniły, że kilka miesięcy temu umieściły ją w jakimś „domu”. Ten „dom” znajdował się na północ od Tamy. Tam właśnie chciały pojechać i zostać na resztę życia. Ich ukochana rezydencja po prostu jest za duża, by mogły ją utrzymać. Mają chore biodra, chore kolana, chore oczy. Tylko raz dziennie wchodziły po schodach – „dwadzieścia cztery stopnie”, jak poinformowała mnie Gilma – cały czas bojąc się, że mogą spaść i się zabić. Nie miały pieniędzy na naprawy w domu, a nie chciały wydawać tego, co im pozostało, na służące, ogrodnika, a teraz i szofera.

– Chcemy też, żebyś kupił mercedesa...

– Wiesz, że nie mamy prawa jazdy...

– Max zawsze nas woził...

Od czasu do czasu, tak dla zabawy, zerkałem na licznik mercedesa Maxa. Średnia wynosiła około półtora tysiąca kilometrów na rok. W odróżnieniu od domu samochód był w idealnym stanie.

Rezydencja miała sześć sypialni, dwa piętra, cztery albo pięć łazienek, salon i jadalnię, bibliotekę, kuchnię, przestronne werandy, teraz się zapadające, i strych, który, jak sądziłem, niemal na pewno zagracały rodzinne skarby złożone tam całe wieki temu. Potrzeba było wielu miesięcy na porządki, zanim mogłaby wejść ekipa remontowa. Sto tysięcy dolarów było niską ceną za taki

dom, ale w całym stanie Missisipi nie sprzedawano wystarczająco dużo gazet, żeby pokryć koszty renowacji tego miejsca.

I co ze zwierzętami? Z kotami, ptakami, królikami, wiewiórkami, złotymi rybkami – to było prawdziwe zoo.

Wcześniej rozglądałem się za jakimś domem dokupienia, ale powiedzmy szczerze, tak mnie zepsuł czynsz wysokości pięćdziesięciu dolarów miesięcznie, że nie potrafiłem się zdobyć na przeprowadzkę. Miałem dwadzieścia cztery lata, nikogo bliskiego i doskonale się bawiłem, patrząc, jak rośnie stan mojego konta. Dlaczego miałbym kupować ten worek bez dna i ryzykować ruinę finansową?

Dom kupiłem od nich dwa dni po pogrzebie.

\*\*\*

W zimny, wilgotny lutowy czwartek zaparkowałem przed domem Ruffinów w Lowtown. Esau czekał na werandzie.

– Handlujesz samochodami? – zapytał, patrząc na ulicę.

– Nie, nadal mam spitfire’a. To wóz pana Hocutta.

– Wydawało mi się, że był czarny.

W okręgu Ford jeździło bardzo niewiele mercedesów, więc łatwo było je zauważyć.

– Potrzebował przemalowania – odrzekłem.

Teraz był ciemnordzawoczerwony. Musiałem zakryć noże, które pan Hocutt kazał namalować na obu przednich drzwiach, a skoro już byłem w warsztacie, postanowiłem przemalować cały samochód.

Po mieście krążyła plotka, że w jakiś sposób oszwabiłem Hocuttów przy kupowaniu ich mercedesa. W rzeczywistości zapłaciłem cenę katalogową – dziewięć i pół tysiąca dolarów. Umowę sprzedaży zatwierdził Reuben V. Atlee, długoletni rejent w okręgu Ford. Nie miał też zastrzeżeń do tego, że kupiłem dom za sto tysięcy dolarów, za cenę wydawałoby się rażąco niską, ale nie po dwóch wycenach biegłych sądowych, którzy oszacowali jego wartość na siedemdziesiąt pięć tysięcy i osiemdziesiąt pięć tysięcy. W jednej z opinii napisano, że jakkolwiek remont domu Hocuttów *będzie wymagał ogromnych i nieprzewidywalnych wydatków*.

Mój prawnik, Harry Rex, dopilnował, żebym zapoznał się z tymi ekspertami.

Esau był przygnębiony i gdy weszliśmy do środka, to się nie zmieniło. Dom pachniał jak zawsze smakowitym mięsem pieczonym przez Miss Callie w piekarniku. Tego dnia był to królik.

Uściskałem Miss Callie i od razu wiedziałem, że dzieje się coś bardzo niedobrego. Esau wziął do ręki kopertę i powiedział:

– To powołanie do wojska. Dla Sama. – Rzucił list na stół, żebym mógł go przeczytać, i wyszedł z kuchni.

Przy lunchu rozmowa się nie kleiła. Oboje byli markotni, nieobecni i zagubieni. Esau uważał, że najważniejsze dla Sama byłoby wypełnienie tego, czego oczekuje od niego kraj. Miss Callie miała wrażenie, że już raz straciła syna. Sama myśl, że mogłaby stracić go po raz drugi, była nie do zniesienia.

Tego wieczoru zadzwoniłem do Sama i przekazałem mu złą wiadomość. Był w Toledo, gdzie zatrzymał się na kilka dni u Maxa. Rozmawialiśmy ponad godzinę. Stałem niezłomnie na stanowisku, że Sam nie ma nic do roboty w Wietnamie. Na szczęście Max był tego samego zdania.

W następnym tygodniu spędziłem wiele godzin na rozmowach telefonicznych z Samem, Bobbym, Alem, Leonem, Maxem i Mariem, podczas których dzieliliśmy się opiniami o tym, co Sam powinien zrobić. Ani on, ani żaden z jego braci nie uważali tej wojny za sprawiedliwą, ale zdaniem Maria i Ala nie powinno się łamać prawa. Okazało się, że jestem wśród nich największym orędownikiem unikania udziału w wojnie, podczas gdy Bobby i Leon plasowali się gdzieś pośrodku. Wydawało się, że Sam codziennie zmienia zdanie, jest jak chorągiewka na wietrze. Była to straszliwie trudna decyzja, tymczasem w miarę upływu dni Sam spędzał coraz więcej czasu na rozmowach ze mną. To, że od dwóch lat się ukrywał, bardzo pomagało.

Po dwóch tygodniach zastanawiania się Sam zniknął ze Stanów i pojawił się w Ontario. Zadzwonił któregoś wieczoru na mój koszt i prosił, żebym przekazał jego rodzicom, że u niego wszystko w porządku. Następnego dnia wczesnym rankiem pojechałem do Lowtown i przekazałem Esauowi i Miss Callie wiadomość, że ich najmłodszy syn podjął najmądrzejszą decyzję w życiu.

Jednak Kanada wydawała im się miejscem odległym o miliony kilometrów. Ale nie tak odległym jak Wietnam, o czym im przypomniałem.

## Rozdział 30

---

**D**rugim budowląncem, którego nająłem do przebudowy domu Hocuttów, był pan Lester Klump z Shady Grove. Baggy, który oczywiście najlepiej wiedział, jak odremontować tę rezydencję, wystawił mu dobrą opinię. Stan Atcavage z banku również rekomendował Klumpa, a ponieważ to Stan dał mi sto tysięcy na hipotekę, posłuchałem go.

Pierwszy wykonawca się nie zjawiał, a kiedy po trzech dniach próbowałem się do niego dodzwonić, okazało się, że ma odłączony telefon. Zły znak.

Pan Klump i jego syn, Lester junior, całymi dniami przeprowadzali inspekcję domu. Byli przerażeni tym przedsięwzięciem i wiedzieli, że jeśli mają zrobić to szybko, czeka ich koszmar. A mnie się nie śpieszyło. Byli powolni i metodyczni, nawet mówili wolniej od większości mieszkańców okręgu Ford. Bardzo szybko zdałem sobie sprawę, że wszystko robią flegmatycznie. Prawdopodobnie nie polepszyłem sprawy, wyjaśniając im, że mam wygodne mieszkanie na terenie posiadłości – zrozumieli, że jeśli się nie pośpieszą, nie zostaną bez dachu nad głową.

Cieszyli się opinią trzeźwych rzemieślników kończących w terminie. To stawiało ich na szczycie drabiny świata budowląnców.

Po kilku dniach drapania się po głowie i kopania kamyków ustaliliśmy

plan, zgodnie z którym mieli co tydzień wystawiać mi rachunek za robociznę i materiały, do czego miałem dodawać dziesięć procent na ich „koszty ogólne”, co, jak miałem nadzieję, byłoby ich zyskiem. Dopiero po tygodniu przeklinania Harry Rex usiadł i napisał umowę wstępną, która to regulowała. Początkowo odmawiał i używał bardzo kwiecistych określeń.

Klumpowie zaczęli od porządkowania i wyburzania, potem czekał ich dach i werandy. Kiedy to zostałyby skończone, mieliśmy usiąść i zaplanować następny etap. Prace rozpoczęły się kwietniu 1972 roku.

Codziennie przynajmniej jeden z Klumpów zjawiał się z ekipą. Przez pierwszy miesiąc pozbywali się zdziczałej flory i fauny, panoszących się od dziesięcioleci na terenie posiadłości.

\*\*\*

Kilka godzin po rozdaniu świadectw policjant ze stanowej drogówki zatrzymał samochód pełny świeżo upieczonych absolwentów liceum. W wozie było sporo piwa, a policjant, żółtodziób tuż po akademii, gdzie uczulono go na takie rzeczy, poczuł dziwny zapach. Narkotyki dotarły w końcu do okręgu Ford.

W samochodzie znajdowała się marihuana. Wszystkich sześciu uczniów oskarżono o posiadanie zakazanych używek oraz zarzucono im popełnienie każdego innego przestępstwa, o jakie policjanci mogli ich oskarżyć. Miasto przeżyło szok – jakim cudem do naszej praworządnej małej społeczności przeniknęły narkotyki? Jak możemy to powstrzymać? Wspomniałem o tym w gazecie, ale bardzo powściągliwie, bo nie było sensu dokładać sześciorgu dzieciakom, tylko dlatego że popełniły błąd. Zacytowałem słowa szeryfa Mereditha, który zapowiedział, że będzie działał zdecydowanie, by „wytępić tę plagę” z naszej społeczności. „To nie Kalifornia”.

Oczywiście w typowy dla siebie sposób wszyscy w Clanton zaczęli nagle szukać dealerów narkotykowych, choć nikt nie miał pojęcia, jak taki ktoś wygląda.

Ponieważ policja została postawiona w stan gotowości i niczego bardziej nie pragnęła, jak przyłapać kogoś z narkotykami, partyjka pokera w kolejny czwartek została przeniesiona w inne miejsce, daleko na wsi. Bubba Crockett i Darrell Radke mieszkali w zdezelowanej starej przyczepie kempingowej z kolejnym weteranem, Olliem Hindsem, ale on nie grał w pokera. Nazywali

to miejsce Lisią Norą. Było ukryte w wąwozie na końcu polnej drogi porośniętym gęstym lasem, której nie dawało się zlokalizować nawet w dzień.

Ollie Hinds wykazywał każdy możliwy objaw „powojennej” traumy i prawdopodobnie kilka „przedwojennych”. Pochodził z Minnesoty, służył z Bubbą i razem przeszli najgorsze koszmary wojny. Był ranny, poparzony, krótko w niewoli, z której uciekł, i w końcu został odesłany do kraju, kiedy wojskowy psychiatra uznał, że potrzebna mu fachowa pomoc. Najwyraźniej jednak nigdy jej nie otrzymał. Kiedy go poznałem, był bez koszuli, pokryty bliznami i tatuażami, miał szkliste oczy, które, jak się wkrótce dowiedziałem, zawsze tak wyglądały.

Ucieszyłem się, że nie gra z nami w pokera. Odniosłem wrażenie, że wystarczyłoby kilka pechowych rozdań, by wyciągnął M-16 i wyrównał rachunki.

Afera z ćpającymi uczniami i reakcja miasta wywołały śmiech i szyderstwa. Ludzie zachowywali się tak, jakby tych sześciu nastolatków było pierwszymi ludźmi zażywającymi narkotyki, a ponieważ ich nakryto, oznaczało to, że okręgowi grozi głęboki kryzys. Uznano widać, że czujność i przemawianie do rozumu wystarczą, żeby plaga nielegalnych narkotyków przeszła do innej części kraju.

Nixon kazał zaminować port w Hajfongu i z furią bombardować Hanoi. Wspomniałem o tym, licząc na jakąś reakcję, ale tego wieczoru zainteresowanie wojną było niewielkie.

Darrell słyszał plotkę o jakimś czarnym dzieciaku z Clanton, który został powołany do wojska i uciekł do Kanady. Nie skomentowałem tego.

– Mądry chłopak – powiedział Bubba. – Mądry chłopak.

Rozmowa szybko wróciła do narkotyków. Bubba w którymś momencie powiedział z uznaniem o trzymanym w ręku skręcie z marihuaną:

– To naprawdę dobry towar. Nie pochodzi od Padgittów.

– Przywieziony z Memphis – dodał Darrell. – Meksykański.

Ponieważ nie miałem zielonego pojęcia o lokalnych sposobach zdobywania narkotyków, słuchałem uważnie przez kilka sekund, a potem, gdy stało się jasne, że temat nie będzie kontynuowany, odezwałem się:

– Wydawało mi się, że Padgittowie produkują całkiem dobry towar.

– Powinni zostać przy bimbrze – mruknął Bubba.

– Jest w porządku, jeśli nie można zdobyć nic innego – uznał Darrell. – Kilka lat temu zarabiali na nim krocie. Zaczęli uprawę na długo przed

wszystkimi w tej okolicy. Teraz mają konkurencję.

– Słyszałem, że powoli od tego odchodzą. Wracają do whisky i kradzieży samochodów – powiedział Bubba.

– Dlaczego? – zainteresowałem się.

– Teraz jest znacznie więcej glin zajmujących się narkotykami. Stanowi, federalni, miejscowi. Mają helikoptery i sprzęt do inwigilacji. To nie Meksyk, gdzie gównu kogo obchodzi, co ci rośnie na polu.

Na dworze rozległy się strzały, niezbyt daleko. Nikt się tym nie przejął.

– Co to mogło być? – zapytałem.

– To Ollie. Poluje na opopy – wyjaśnił Darrell. – Zakłada noktowizor, bierze pukawkę i wychodzi szukać szkodników i tym podobnych. Nazywa to polowaniem na paskudztwa.

Na szczęście przegrałem trzy razy z rzędu i miałem idealną wymówkę, żeby się pożegnać.

\*\*\*

Sąd Najwyższy Missisipi z bardzo dużym opóźnieniem zatwierdził wyrok Danny’ego Padgitta. Cztery miesiące wcześniej, stosunkiem głosów sześć do trzech, utrzymał w mocy karę dożywotniego więzienia. Lucien Wilbanks złożył wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy. Jego apelacja została przyjęta. Zdaniem Harry’ego Rexa mogło to oznaczać kłopoty.

Apelację rozpatrzono i prawie dwa lata po procesie sąd ostatecznie rozstrzygnął sprawę. Za utrzymaniem wyroku było pięć głosów, przeciwko – cztery.

Ta różnica dała Lucienowi idealną podstawę, by głośno przekonywać, że Ernie Gaddis miał zbyt dużo swobody w męczeniu Danny’ego Padgitta krzyżowym ogniem pytań. Zadając pytania o obecność dzieci Rhody w sypialni w momencie gwałtu, Erniemu udało się przedstawić sędziom przysięgłym dowody źle usposabiające ich do oskarżonego, które tak naprawdę nie były dowodami.

Na moją prośbę Harry Rex czytał wszystkie sprawozdania i monitorował przebieg apelacji. Martwił się, że Wilbanks ma uzasadnione zastrzeżenia. Jeśli pięciu sędziów by mu uwierzyło, sprawa zostałaby odesłana do Clanton i proces zacząłby się od nowa. Kolejny proces byłby dobry dla gazety, jednak nie chciałem, żeby Padgittowie znowu opuścili swoją Wyspę i szwendali się



po Clanton, sprawiając kłopoty.

Ostatecznie jednak tylko czterech sędziów opowiedziało się za wznowieniem procesu i sprawę zamknięto. Umieściłem tę dobrą wiadomość na pierwszej stronie „Timesa” z nadzieją, że już nigdy nie usłyszę o Danym Padgicie.

## **Część trzecia**

---

## Rozdział 31

---

**P**o pięciu latach i dwóch miesiącach od chwili, gdy pierwszy raz zjawili się w domu Hocuttów, Lester Klump senior i Lester Klump junior skończyli remont. Gehenna dobiegła końca, a rezultaty były olśniewające.

Kiedy wreszcie pogodziłem się z ich ślimaczym tempem, wiedziałem, że będzie to trwało bardzo długo, dlatego tym ciężiej pracowałem przy sprzedawaniu ogłoszeń w gazecie. W ostatnim roku remontu dwa razy podjąłem niemądrą próbę zamieszkania w rezydencji i jakiegoś przebiedowania wśród gruzu. Gdy to zrobiłem, miałem niewielkie problemy z kurzem, smrodem farb i zablokowanymi korytarzami, brakiem ogrzewania i klimatyzacji, ale nigdy nie przyzwyczaiałem się do huków młotków i zgrzytania pił od samego rana. Robotnicy nie należeli do rannych ptaszków, niemniej z żelazną konsekwencją zaczynali ochoczo każdego ranka o wpół do dziewiątej. A ja naprawdę lubię pospać do dziesiątej. Pomysł nie sprawdzał się w życiu i po każdej próbie zainstalowania się w wielkim domu przemykałem z powrotem po zwirowym podjeździe do mojego mieszkania, gdzie było znacznie ciszej.

Tylko raz w ciągu pięciu lat nie mogłem zapłacić Klumpom na czas. Nie chciałem pożyczać pieniędzy na to przedsięwzięcie, choć Stan Atcavage był gotów mi je dać. W każdy piątek po fajrancie siadałem z Lesterem seniorem,

zwykle przy prowizorycznym stole z desek w korytarzu, i przy zimnym piwie, obliczaliśmy należność za pracę oraz materiały za miniony tydzień, dodawaliśmy dziesięć procent, a ja wypisywałem czek. Archiwizowałem jego rachunki i przez pierwsze dwa lata podsumowywałem na bieżąco koszty remontu. Jednak po dwóch latach przestałem dodawać cotygodniową sumę. Nie chciałem wiedzieć, ile mnie to kosztuje.

Byłem bankrutem, ale się tym nie przejmowałem. Rosnące bez końca koszty zaczęły wreszcie przynosić efekt. Balansowałem na granicy niewypłacalności, unikałem tego i znowu mogłem co nieco odłożyć.

Włożone pieniądze, czas i wysiłek zaowocowały inwestycją, którą mogłem się poszczycić. Miałem coś wspaniałego. Dom został zbudowany około 1900 roku przez doktora Milesa Hocutta. Zaprojektowano go w klasycznym wiktoriańskim stylu, z dwuspadowym dachem od frontu i wieżyczką wznoszącą się na trzy piętra, z szerokimi zadaszonymi werandami biegnącymi po obu stronach domu. Przez lata Hocuttowie malowali fasadę na niebiesko i żółto, a pan Klump senior pod trzema warstwami nowszej farby natrafił na resztki czerwieni. Postanowiłem trzymać się sprawdzonych wzorów i kazałem pomalować ściany na biało i beżowo, z jasnobrązowymi wykończeniami. Dach był miedziany. Z zewnątrz dom wyglądał na typową wiktoriańską rezydencję, a ja miałem przed sobą całe lata, żeby go ożywić.

Sosnowym podłogom na wszystkich trzech poziomach przywrócono oryginalne piękno. Wyburzono ściany, pokoje i korytarze zyskały przestronność. Klumpowie zostali w końcu zmuszeni do usunięcia całej kuchni i zbudowania nowej od fundamentów. Kominek w salonie sam się zawalił od ciągłego walenia młotami. Bibliotekę zmieniłem w mój pokój i wyburzyłem kolejne ściany, dzięki czemu z wejścia do frontowego holu miało się widok przez ten pokój na odległą kuchnię. Wszędzie dodawałem okna, bo oryginalny dom przypominał jaskinię.

Pan Klump przyznał, że nigdy jeszcze nie pił szampana, ale gdy usiedliśmy na bocznej werandzie i świętowaliśmy zakończenie prac, wypił go z ochotą. Wręczyłem mu, jak mniemałem, ostatni czek, uścisnęliśmy sobie ręce, ustawiliśmy się do zdjęcia, które zrobił nam Wiley Meek, a potem korek wystrzelił.

Wiele pokojów świeciło pustkami. Trzeba było całych lat, żeby odpowiednio urządzić to miejsce i na pewno wymagało to pomocy kogoś, kto przewyższałby mnie wiedzą i gustem. Mimo że prawie pusty, dom wyglądał imponu-

jąco. Trzeba było urządzić imprezę!

Pożyczyłem od Stana dwa tysiące dolarów. W Memphis zamówiłem wino i szampana. W Tupelo znalazłem odpowiedni catering. Jedyne catering działający w Clanton specjalizował się w żeberkach i rybach, a ja chciałem podać coś trochę wytworniejszego.

Oficjalna lista zaproszonych gości liczyła trzysta nazwisk. Byli wśród nich wszyscy z Clanton, których znałem, i kilka osób, których nie znałem. Nieoficjalna lista stanowiła kompromis w stosunku do tych, którzy słyszeli, jak zapowiadałem, że „kiedy skończę remont, urządzę ogromną imprezę”. Zaprosiłem BeeBee i jej trzy przyjaciółki z Memphis. Zaprosiłem ojca, ale był za bardzo przejęty inflacją i rynkiem obligacji. Zaprosiłem Miss Callie i Esaua, wielbego Thurstone’a Smalla, Claude’a, trzech urzędników z sądu, dwójkę nauczycieli, asystenta trenera drużyny koszykówki, kasjerkę z banku i najnowszego prawnika w mieście. W sumie na liście znalazło się dwunastu czarnych i zaprosiłbym ich więcej, gdybym więcej znał. Byłem zdeterminowany, żeby urządzić pierwsze zintegrowane przyjęcie w Clanton.

Harry Rex przyniósł bimber i wielki półmisek wieprzowych flaków, co prawie zepsuło wesoły nastrój. Bubba Crockett i reszta z Lisiej Nory zjawili się naćpani i gotowi do zabawy. Pan Mitlo był jedynym mężczyzną w smokingu. Pojawił się Piston i widziano go, jak wychodził tylnymi drzwiami z torbą pełną raczej drogich przekąsek. Woody Gates i jego Country Boys przez wiele godzin grali na bocznej werandzie. Przyszli Klumpowie ze wszystkimi swoimi robotnikami – to była dla nich przyjemna chwila, a ja zadbałem, by ich odpowiednio uhonorowano. Lucien Wilbanks zjawiał się późno i bardzo szybko wdał się w ożywioną dyskusję o polityce z senatorem Mortonem, którego żona, Rex Ella, powiedziała mi, że to najwspanialsze przyjęcie w Clanton od dwudziestu lat. Nasz nowy szeryf, Tryce McNatt, wpadł na chwilę ze swoimi kilkoma umundurowanymi ludźmi. (T.R. Meredith zmarł rok wcześniej na raka okrężnicy). Jeden z moich ulubieńców, sędzia Reuben V. Atlee, zabawiał wszystkich barwnymi opowieściami o doktorze Milesie Hocutcie. Wielbny Millard Stark z Kościoła Pierwszych Baptystów został tylko przez dziesięć minut i wyszedł po angielsku, gdy zdał sobie sprawę, że podawano alkohol. Wielbego Cargrove’a z Pierwszego Kościoła Prezbiterian widziano, jak pił szampana, który najwyraźniej bardzo mu smakował. Baggy’emu urwał się film w sypialni na piętrze, gdzie znalazłem go następnego dnia po południu. Bliźniacy Stuke’owie, właściciele sklepu ze-

laznego, przyszli w nowiuteńkich identycznych kombinezonach. Mieli po siedemdziesiąt lat, mieszkali razem, nigdy się nie ożenili i zawsze ubierali się tak samo. W sprawach stroju nie stawiałem żadnych wymagań, na zaproszeniu napisałem: „Strój dowolny”.

Na trawniku od frontu stały dwa ogromne białe namioty, z których co jakiś czas wylewał się tłum. Impreza zaczęła się o trzynastej w sobotnie popołudnie i miała potrwać do północy, jeśli wystarczyłoby jedzenia i picia. O dwudziestej drugiej Woody Gates i jego zespół byli wykończeni, nie zostało nic do picia, poza kilkoma ciepłymi piwami, nic do jedzenia, poza resztką chipsów, i nic do oglądania. Dom został dokładnie obejrzany i pochwalony.

Późnym rankiem następnego dnia usmażyłem jajecznicę dla BeeBee i jej przyjaciółek. Usiedliśmy na werandzie, piliśmy kawę i podziwialiśmy bałagan powstały zaledwie kilka godzin temu. Sprzątanie zajęło mi tydzień.

\*\*\*

Przez wszystkie lata w Clanton usłyszałem mnóstwo przerażających historii o więzieniu stanowym w Parchman. Usytuowano je wśród rozległych pól delty, w najżyźniejszym rejonie rolniczym w Missisipi, dwie godziny drogi na zachód od Clanton. Warunki życia były tam potworne: ciasne baraki, w których latem panowała nieznośna duchota, a zimą mróz, okropne jedzenie, minimalna opieka medyczna, system niewolniczy i brutalny seks. Zmuszanie do pracy, sadystyczni strażnicy – lista nie miała końca i mogła budzić współczucie.

Kiedy myślałem o Dannym Padgicie, a zdarzało mi się to często, zawsze pocieszałem się nadzieją, że w Parchman dostawał to, na co zasłużył. I tak miał szczęście, że nie trafił do komory gazowej.

Moje przypuszczenia okazały się błędne.

Pod koniec lat sześćdziesiątych, chcąc zmniejszyć zatłoczenie w Parchman, stan wybudował dwa satelickie więzienia albo „obozy”, jak je nazywano. Zamierzano umieścić tam w bardziej cywilizowanych warunkach około tysiąca skazanych za przestępstwa popełnione bez użycia przemocy. Mieli się uczyć zawodu, a nawet dostawać zgodę na wyjście na zewnątrz do pracy. Jedno z tych satelickich więzień znajdowało się w pobliżu małego miasteczka Broomfield, trzy godziny jazdy na południe z Clanton.

Sędzia Loopus zmarł w 1972 roku. W czasie procesu Padgitta jego steno-

grafką była nieatrakcyjna młoda kobieta, Darla Clabo. Pracowała dla Loopusa przez kilka lat, a po jego śmierci wyjechała z miasta. Kiedy weszła do redakcji późnym popołudniem latem 1977 roku, miałem wrażenie, że skądś ją znam.

Darla się przedstawiła, a ja natychmiast skojarzyłem, gdzie ją widziałem. Przez pięć pełnych dni w czasie rozprawy Padgitta siedziała poniżej stołu sędziowskiego, obok stołu z dowodami, i zapisywała każde słowo. Teraz mieszkała w Alabamie i jechała pięć godzin, żeby mi o czymś powiedzieć. Po pierwsze jednak musiałem jej obiecać absolutną dyskrecję.

Pochodziła z Broomfield. Dwa tygodnie wcześniej, gdy odwiedzała tam matkę, w porze lunchu zobaczyła na ulicy znajomą twarz. To był Danny Padgitt, maszerujący energicznie z jakimś kumplem. Tak się przestraszyła, że potknęła się o krawężnik i niewiele brakowało, a by upadła.

Weszli do jakiejś knajpy i usiedli, żeby zjeść lunch. Darla widziała ich przez okno, ale postanowiła tam nie wchodzić. Istniała szansa, że Padgitt mógłby ją rozpoznać, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego się tego obawiała.

Mężczyzna, który z nim był, miał na sobie strój powszechnie noszony w Broomfield: granatowe spodnie, białą koszulę z krótkimi rękawami z napisem „Zakład karny w Broomfield”, nadrukowanym małymi literami nad kieszonką na piersi. Nosił czarne kowbojskie buty, lecz był bez broni. Wyjaśniła mi, że niektórzy strażnicy pilnujący więźniów wypuszczanych do pracy mogli mieć przy sobie broń. Trudno było uwierzyć, że biały mężczyzna w Missisipi odmawia noszenia broni, ale podejrzewała, że to Danny nie chciał, żeby jego osobisty strażnik był uzbrojony.

Danny był ubrany w białe ogrodniczki i białą koszulę, które prawdopodobnie dostał w więzieniu. Obaj mężczyźni nie śpieszyli się z jedzeniem i wyglądali na dobrych kolegów. Darla, siedząc w samochodzie, patrzyła, jak wychodzą z jadłodajni. Jechała za nimi w pewnej odległości, gdy mijając spacerowym krokiem kilka przecznic, szli do siedziby regionalnego biura wydziału dróg stanu Missisipi, do którego Danny wszedł. Strażnik wsiadł do służbowego samochodu i wrócił do więzienia.

Następnego ranka matka Darli weszła do tego budynku pod pretekstem złożenia skargi i zażądała, by naprawiono gdzieś jezdnię. Dość niegrzecznie poinformowano ją, że nie istnieją podobne procedury, ale w powstałym zamieszaniu udało jej się dostrzec młodego mężczyznę, którego Darla bardzo

dokładnie jej opisała. Trzymał w ręku podkładkę z papierami i wyglądał jak gryzipiórek.

Matka Darli miała przyjaciółkę, której syn pracował w więzieniu w Broomfield jako urzędnik. Od niego uzyskała potwierdzenie, że Danny Padgitt został przeniesiony do Broomfield latem 1974 roku, gdzie warunki odbywania kary były o wiele lepsze.

Kończąc tę historię, powiedziała:

– Napisze pan o tym?

Ugięły się pode mną nogi, ale oczami wyobraźni już widziałem tekst.

– Przyjrzę się temu – odpowiedziałem. – Wszystko zależy od tego, co ustale.

– Niech pan to zrobi. To nie jest w porządku.

– To aż nieprawdopodobne.

– Ten mały śmieć powinien siedzieć w celi śmierci.

– Zgadzam się.

– Pracowałam dla sędziego Loopusa podczas ośmiu procesów o morderstwo, ale to naprawdę mną wstrząsnęło.

– Mną również.

Znow zażądała, żebym przysiągł, że zachowam w tajemnicy to, że dowiedziałem się o wszystkim od niej, i zostawiła mi swój adres. Chciała, żebym wysłał jej egzemplarz gazety, jeśli opublikuję tę historię.

\*\*\*

Następnego ranka nie miałem najmniejszych problemów z zerwaniem się z łóżka o szóstej. Pojechaliśmy z Wileym do Broomfield. Ponieważ zarówno spitfire, jak i mercedes zwracały uwagę w każdym miasteczku stanu Missisipi, wzięliśmy jego forda pick-upa. Bez trudu znaleźliśmy więzienie-obóz niecałe pięć kilometrów od miasta. Odszukaliśmy budynek wydziału dróg. W południe zajęliśmy pozycję przy Main Street. Ponieważ jednak Padgitt na pewno rozpoznałby nas obu, musieliśmy spróbować jakoś się ukryć na ruchliwej ulicy w obcym mieście, nie wzbudzając podejrzeń. Wiley zaczął się w samochodzie z aparatem fotograficznym, ja usiadłem na ławce i schowałem się za gazetą.

Pierwszego dnia go nie zobaczyliśmy. Wróciliśmy do Clanton, a nazajutrz wcześniej rano znowu wyruszyliśmy do Broomfield. O jedenastej trzydzieści



pod siedzibę wydziału dróg podjechał więzienny samochód. Strażnik wszedł do urzędu, a po jakimś czasie wyszedł z więźniem i razem poszli na lunch.

\*\*\*

W numerze z siedemnastego lipca 1977 roku znalazły się cztery duże zdjęcia – na jednym Danny szedł ze strażnikiem po chodniku i obaj się śmiali, na drugim wchodzili do knajpy o nazwie City Grill, na trzecim był budynek, w którym pracował, a na czwartym brama w Broomfield.

Nagłówek krzyczał: *Więzienie nie jest dla Padgitta – został przeniesiony do obozu.*

Mój artykuł zaczynał się tak:

Cztery lata po skazaniu na karę dożywotniego więzienia w zakładzie karnym w Parchman, za brutalny gwałt i zamordowanie Rhody Kassellaw, Danny Padgitt został przeniesiony do satelickiego obozu w Broomfield. Po spędzeniu tam trzech lat cieszy się wszystkimi przywilejami, jakie mają dobrze ustawieni więźniowie – ma pracę biurową w stanowym wydziale dróg, osobistego strażnika i długie lunche (cheesburgery oraz koktajle mleczne) w lokalnej restauracji, której goście nigdy nie słyszeli o nim ani o jego zbrodniach.

Staralem się, by to, co piszę, było jadowite i tendencyjne. Sterroryzowałem kelnerkę w City Grillu i dowiedziałem się od niej, że zjadł właśnie cheesburgera i frytki, że stołuje się u nich trzy razy w tygodniu i zawsze to on płaci. Żeby dotrzeć do jakiegoś kierownika, który wiedziałby cokolwiek o Padgittcie, musiałem wykonać kilkanaście telefonów do wydziału dróg. Kierownik odmówił odpowiedzi na moje pytania, a ja przedstawiłem go w takim świetle, jakby też był kryminalistą. Próba dostania się do więzienia-obozu w Broomfield była równie frustrująca. Opisałem szczegółowo wszystkie swoje wysiłki i poskładałem tę historię w taki sposób, że każdego z biurokratów można było uznać za ludzi kryjących Padgitta. Nikt w Parchman niczego nie wiedział, a nawet jeśli coś wiedzieli, nie chcieli o tym mówić. Zadzwoiłem do komisarza do spraw dróg – urzędnika wybieranego na to stanowisko – potem do naczelnika Parchman, na szczęście powoływanego na to stanowisko, prokuratora generalnego, wicegubernatora i w końcu do samego gubernatora. Wszyscy jednak okazali się zbyt zajęci, więc pogadałem tylko z ich przydupasami i włożyłem im w usta słowa robiące z nich idiotów.

Senator Theo Morton najwyraźniej doznał szoku. Obiecał, że prześledzi tę sprawę do samego dna i oddzwoni. Nie doczekałem się jednak jego telefonu.

Reakcje w Clanton były różne. Wiele osób, które zadzwoniły albo zatrzymały mnie na ulicy, było złych i chciało, żeby coś z tym zrobić. Oni naprawdę wierzyli, że Padgitt został skazany na dożywotnie więzienie i odstawiony w kajdankach do zakładu karnego w Prachman, w którego piekle miał pozostać do końca swoich dni. Kilku osobom było to zupełnie obojętne i chciały zapomnieć o Padgittcie. Był przebrzmiałą historią.

Byli też tacy, u których dawało się zauważyć frustrujący, niemal cyniczny brak zdziwienia. Domyślali się, że Padgittowie po raz kolejny użyli swoich czarów, znaleźli właściwe kieszenie, pociągnęli za odpowiednie sznurki. Do tej grupy należał Harry Rex.

– I o co tyle hałasu, chłopcze? Już wcześniej kupowali gubernatorów.

Zdjęcie Danny’ego idącego ulicą, wolnego jak ptak, bardzo przeraziło Miss Callie.

– Nie spała zeszłej nocy – wymamrotał do mnie Esau, gdy przyjechałem do nich na czwartkowy lunch. – Wolałbym, żebyś go w ogóle nie odnalazł.

\*\*\*

Na szczęście historię podchwyciły gazety z Memphis i Jackson i dzięki temu zaczęła żyć własnym życiem. I tak podgrzały atmosferę, że politycy musieli się włączyć. Gubernator i prokurator generalny razem z senatorem Mortonem zaczęli wkrótce zaciekle kampanię o odesłanie chłopaka do Parchman.

Po dwóch tygodniach od wydrukowania mojego artykułu Danny’ego Padgitta „przeniesiono” do stanowego zakładu karnego.

Następnego dnia odebrałem dwa telefony: pierwszy w redakcji, drugi w domu, gdy już spałem. Dwa różne głosy, ale wiadomość ta sama. Byłem już trupem.

Powiadomiłem o tym FBI w Oksfordzie. Dwóch agentów odwiedziło mnie w Clanton. Dałem o tym znać dziennikarzowi z Memphis i wkrótce całe miasto wiedziało, że mi grożono, a FBI prowadzi w tej sprawie śledztwo. Na polecenie szeryfa McNatta przed redakcją przez dwadzieścia cztery godziny na dobę stał radiowóz. Drugi pilnował nocami podjazdu do mojego domu.

Po siedmiu latach przerwy znów zacząłem nosić przy sobie broń.

## Rozdział 32

---

**J**ednak krew nie połała się tak od razu.

O groźbach nie zapomniano, ale w miarę upływu czasu stawały się mniej złowieszcze. Nigdy nie przestałem nosić broni – zawsze miałem ją w zasięgu ręki – ale straciłem nią zainteresowanie. Trudno było mi uwierzyć, że Padgittowie zdobyliby się na ryzyko zyskania niepotrzebnego rozgłosu, załatwiając redaktora naczelnego lokalnej gazety. Nawet jeśli nie wszyscy w Clanton mnie kochali, w przeciwieństwie do powszechnej sympatii, jaką wzbudzał pan Caudle, wrzawa, jaka by się podniosła, mogła narobić więcej szkód, niż by chcieli.

Padgittowie, jak nigdy dotąd, nie wyściubiali nosa z Wyspy. Po porażce Mackeya Dona Coleya w 1971 roku po raz kolejny udowodnili, że potrafią przystosować się do nowej sytuacji. Danny zwrócił na nich aż za dużo niechcianej uwagi i byli zdeterminowani, by na tym się skończyło. Jeszcze lepiej okopali się na Wyspie Padgittów. Wzmocnili ochronę w mylnym przekonaniu, że następny szeryf, T.R. Meredith, albo jego następca, Tryce McNatt, będą ich ścigali. Uprawiali zioło i szmuglowali je samolotami, łodziami, pickupami i ciężarówkami pozornie załadowanymi drewnem.

Z typowym dla siebie sprytem, wyczuwając, że handel marihuaną może stać się zbyt ryzykowny, Padgittowie zaczęli pompować pieniądze w legalne

interesy. Kupili firmę budującą drogi i szybko zmienili ją w solidnego uczestnika przetargów na rządowe zlecenia. Kupili fabrykę asfaltu, fabrykę wytwarzającą gotowe mieszanki cementu i kilka żwirowni na północy stanu. W Missisipi przy budowie dróg kwitnie korupcja, a Padgittowie znali zasady gry.

Przyglądałem się ich poczynaniom na tyle, na ile mogłem. Działo się to przed przyjęciem ustawy o wolności informacji i prawie do zgromadzeń. Znałem nazwy niektórych firm kupionych przez Padgittów, ale nie można było za nimi nadażyć. Nie znalazłem niczego, co mógłbym opublikować, żadnej historii, bo z pozoru wszystko odbywało się zgodnie z prawem.

Czekałem, choć nie byłem pewny na co. Danny Padgitt mógł wrócić pewnego dnia, zniknąć na Wyspie i słuch by po nim zaginął. Mógł też zrobić coś wręcz przeciwnego.

\*\*\*

Niewiele osób z Clanton nie chodziło do kościoła. Ci, którzy chodzili, wiedzieli bardzo dobrze, kto tego nie robi, i powszechne było zapraszanie na „wspólną modlitwę”. Pożegnanie „Do zobaczenia w niedzielę” było również powszechne, jak „Zapraszamy do nas”.

W pierwszych latach pobytu w mieście byłem zasypywany podobnymi zaproszeniami. Kiedy wszyscy się dowiedzieli, że właściciel i redaktor naczelny „Timesa” nie chodzi do kościoła, stałem się najsłynniejszym wykolejencem w mieście. Postanowiłem coś z tym zrobić.

Co tydzień Margaret redagowała stronę poświęconą religii, na którą składał się dość obszerny wykaz kościołów wymienianych alfabetycznie. Było też kilka ogłoszeń, kupowanych przez co zasobniejsze parafie. I zawiadomienia o spotkaniach, zjazdach, przyjęciach, na które wszyscy przynoszą jedzenie, i niezliczonych innych okazjach.

Bazując na tej liście i książce telefonicznej, sporządziłem listę wszystkich kościołów w okręgu Ford. W sumie wyszło mi, że jest ich osiemdziesiąt osiem, ale ta liczba nie była stała, jako że parafie ulegały podziałom, związały się z jednych miejsc i ni stąd, ni zowąd pojawiały w innych. Moim celem było odwiedzenie każdego z nich, czyli zrobienie czegoś, o co z pewnością nikt wcześniej się nie pokusił, dzięki czemu stałbym się klasą samą w sobie wśród ludzi chodzących do kościoła.

Wyznania były bardzo różnorodne i zaskakujące. Jak protestanci, twierdząc, że wszyscy podążają zasadniczo tą samą drogą, mogli się tak podzielić? Zgadza się, że: 1. Jezus był jedynym synem Boga; 2. Urodził się z dziewicy; 3. Jego życie było bez skazy; 4. Był prześladowany przez Żydów, pojmany i ukrzyżowany przez Rzymian; 5. Powstał z martwych trzeciego dnia i poszedł do nieba; 6. Niektórzy wierzyli – choć istniało wiele wariantów tej wersji – że człowiek, aby pójść do nieba, musi naśladować Jezusa w chrzcie i wierze.

Sama doktryna była dość prosta, ale jak zawsze diabeł tkwił w szczegółach.

Nie było katolików, Kościoła episkopalnego mormonów. W okręgu zdecydowanie przeważali baptyści, ale istniało wiele ich odłamów. Na drugim miejscu znajdowali się zielonoświątkowcy, lecz najwyraźniej oni też walczyli między sobą, tak samo jak baptyści.

W 1974 roku rozpocząłem moją wielką przygodę, polegającą na odwiedzeniu każdego kościoła w okręgu Ford. Pierwszym był Kalwaryjski Kościół Ewangeliczny, wojowniczy odłam zielonoświątkowców, mający świątynię przy zwirowej drodze niecałe cztery kilometry za miastem. Zgodnie z ogłoszeniem, nabożeństwo zaczęło się o dziesiątej trzydzieści. Znalazłem wolne miejsce w ławce z tyłu, jak najdalej od centrum akcji. Przywitano mnie ciepło i szybko rozeszła się wieść, że mają gościa o szczerych intencjach. Nikogo tam nie znałem. Kaznodzieja Bob był ubrany w biały garnitur, granatową koszulę i biały krawat, a gęste czarne włosy miał gładko przylizane. Kiedy czytał ogłoszenia parafialne, ludzie zaczęli krzyczeć, a w czasie solowego śpiewu wymachiwali rękami. Kiedy w końcu godzinę później zaczęło się kazanie, miałem ochotę wyjść. Trwało pięćdziesiąt pięć minut, zbiło mnie z tropu i niemiłosiernie zmęczyło. Wierni tak tupali, że momentami budynek drżał w posadach. Szyby w oknach pobrzękiwały, gdy napierały na nie fale uduchowionych wrzasków. Kaznodzieja Bob „położył dłonie” na trójce ludzi cierpiących na niejasną chorobę, a oni natychmiast ogłosili, że zostali uzdrowieni. W którymś momencie wstał diakon i zaczął coś mówić w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Zaciskał pięści, zaciskał powieki i pozwolił, by z jego ust wydobywał się płynny potok słów. To nie była gra aktorska, nie udawał. Po kilku minutach wstała jedna z dziewczyn śpiewających w chórze i zaczęła tłumaczyć to na angielski. Była to wizja zesłana przez Boga i przekazywana przez diakona. Wśród obecnych znajdowali się

ludzie niemający rozgrzeszenia.

– Żałujcie za grzechy! – wrzasnął kaznodzieja Bob, a wszystkie głowy się pochylały.

A jeśli diakon mówił o mnie? Rozejrzałem się i zauważyłem, że drzwi są zamknięte i pilnowane przez dwóch innych diakonów.

W końcu jednak skończył im się repertuar i po dwóch godzinach od chwili, gdy znalazłem się w tym kościele, wypadłem jak burza na dwór. Musiałem napić się czegoś mocniejszego.

Swoją wizytę w świątyni Kalwaryjskiego Kościoła Ewangelicznego opisałem w ciepłych słowach na stronie poświęconej religii. Skomentowałem miłą atmosferę panującą w kościele, uroczę solo panny Helen Hatcher, porywające kazanie kaznodziei Boba i tak dalej.

Nie muszę dodawać, że zostało to bardzo dobrze przyjęte.

Chodziłem do kościoła co najmniej dwa razy w miesiącu. Siedziałem z Miss Callie i Esauem i słuchałem kazania wielebnego Thurstone’a Smalla, które trwało dwie godziny i dwanaście minut (mierzyłem czas każdego kazania). Najkrótsze wygłosił pastor Phil Bish ze Zjednoczonego Kościoła Metodystów w Karaway – siedemnaście minut. Ten kościół zdobył też pierwszą nagrodę w kategorii najzimniejszej świątyni. Nawaliło ogrzewanie, był styczeń i pewnie to wpłynęło na skrócenie kazania. Siedziałem obok Margaret w kościele pierwszych baptystów w Clanton i słuchałem wielebnego Millarda Starka, wygłaszającego coroczne kazanie o grzechach związanych z alkoholem. Źle się wstrześliem z wizytą, bo akurat tamtego ranka miałem kaca, a Stark nie przestawał na mnie zerkać.

Zgromadzenie Zbór Plonów znalazłem w pomieszczeniu na zapleczu opuszczonej samochodowej stacji obsługi i usiadłem tam z sześcioma wyznawcami, podczas gdy mężczyzna o oczach szaleńca, nazywający siebie Prorokiem Peterem, zapowiadał dzień Sądu Ostatecznego i wrzeszczał na nas prawie przez godzinę. W tamtym tygodniu artykuł w gazecie był bardzo krótki.

W Kościele Chrystusowym w Clanton nie było żadnych instrumentów. Jak mi później wyjaśniono, zakaz ich używania wynikał z Pisma Świętego. Usłyszałem tam piękny występ solowy, który opisałem ze szczegółami. Nabożeństwu nie towarzyszyły też żadne emocje. Dla kontrastu w kaplicy Góry Pisga w Lowtown ambonę otaczały bębny, gitary, rogi i wzmacniacze. Na rozgrzewkę przed kazaniem urządzono koncert, w czasie którego wierni tańczyli

i śpiewali. Miss Callie określała Górę Pisga jako „podrzędny Kościół”.

Jako numer sześćdziesiąty czwarty figurował na mojej liście Niezależny Kościół w Calico Ridge, ulokowany wśród wzgórz w północno-wschodniej części okręgu. W archiwum „Timesa” znalazłem informację, że w tym kościele w 1965 roku niejaki Randy Bovee, podczas wieczornego nabożeństwa w jedną z niedziel, został dwukrotnie ukąszony przez grzechotnika. Pan Bovee przeżył, węży jakiś czas nie tykano, niemniej legenda kwitła, a w miarę jak moja rubryka *Notki z Kościoła* na stronie o religii zyskiwała popularność, byłem kilka razy pytany o to, czy mam zamiar odwiedzić Calico Ridge.

– Zamierzam odwiedzić każdy kościół – odpowiadałem standardowo.

– Nie lubią tam gości – ostrzegał mnie Baggy.

We wszystkich kościołach byłem witany tak ciepło – u czarnych i białych, w dużych i małych, w mieście i na wsi – że nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, by chrześcijanie mogli być nieuprzejmi wobec gościa.

W Calico Ridge nie byli dla mnie niemili, ale też mój widok nie bardzo ich ucieszył. Chciałem zobaczyć węże, ale z bezpiecznego miejsca na tyłach. Zjawiłem się tam w niedzielny wieczór głównie dlatego, że w legendzie utrzymywano, iż „nie biorą węży” za dnia. Daremnie szukałem w Biblii wzmianki o tym nakazie.

Nigdzie nie zauważyłem nawet śladu węża. Zobaczyłem za to kilka napadów padaczki i konwulsje pod amboną, gdy kaznodzieja nawoływał: „Wyściepajcie, jęczcie i zawodźcie w grzechu!”. Chór śpiewał i nucił przy akompaniamencie gitary elektrycznej i perkusji, a nabożeństwo cechował nastrój grozy, przywołując na myśl starodawne tańce plemienne. Chciałem stamtąd wyjść, tym bardziej że nie było węży.

Pod koniec mszy dostrzegłem twarz, którą już wcześniej widziałem. Zmieniła się – teraz była szczupła, blada, wymizerowana, otoczona siwymi włosami. Nie potrafiłem jej skojarzyć, ale miałem pewność, że skądś ją znam. Mężczyzna siedział w drugim rzędzie z przodu, po drugiej stronie niewielkiego prezbiterium, i wydawało się, że jest zupełnie odcięty od chaosu nabożeństwa. Czasami sprawiał wrażenie, jakby się modlił. Siedział, podczas gdy wszyscy wstawali. Otaczający go ludzie najwyraźniej to akceptowali i jednocześnie go ignorowali.

Odwrócił się raz i spojrzał prosto na mnie. To był Hank Hooten, kiedyś prawnik, który ostrzelał miasto w 1971 roku! Zabrali go w kaftanie bezpieczeństwa do stanowego szpitala psychiatrycznego, a kilka lat później usłysza-

łem pogłoski, że został wypuszczony. Tyle że nikt go nie widział.

Dwa dni później próbowałem go odszukać. Telefony do szpitala psychiatrycznego nic nie dały. Hank miał brata w Shady Grove, facet jednak nie chciał mi nic powiedzieć. Węszyłem po Calico Ridge, ale rzecz jasna nikt nawet nie zadał sobie trudu, żeby ze mną porozmawiać, bo byłem obcy.



## Rozdział 33

---

**W**ielu z tych, którzy gorliwie brali udział w nabożeństwach w niedzielne poranki, w niedzielne wieczory okazywało znacznie mniejszą religijność. W trakcie mojego obchodu kościołów słyszałem wielu kaznodziejów nakazujących wiernym powrót za kilka godzin, by uczcili dzień Pański jak należy. Na ogół przychodziła tylko połowa wiernych. Byłem na kilku wieczornych niedzielnych mszach, zwykle po to, żeby zapoznać się z jakimś barwnym rytuałem, jak poskramianie węży czy ozdrowienia albo – przy jednej okazji – „parafialnym soborem”, podczas którego zbłąkany brat miał być sądzony i skazany za to, że pożądał żony innego brata. Jednak moja obecność trochę wytrąciła ich z równowagi i zbłąkany brat został ułaskawiony.

Najczęściej jednak ograniczałem moje studia porównawcze obrządków religijnych do godzin porannych.

W niedzielne wieczory odprawiano zresztą bardzo różne rytuały. Harry Rex pomógł Meksykaninowi Pepe wydzierżawić kamienicę i otworzyć restaurację jedną przecznicę od rynku. W latach siedemdziesiątych Pepe powodziło się całkiem nieźle, serwował dobre jedzenie, zawsze ostro przyprawione. Nie potrafił oprzeć się papryce, niezależnie od tego, jak bardzo piekła gardła *gringos*.

W całym okręgu Ford w niedzielę obowiązywała prohibicja. Nie wolno było sprzedawać alkoholu w sklepach ani restauracjach. Pepe miał na zapleczu pokój z długim stołem i drzwiami zamykanymi na klucz. Pozwalał korzystać z niego Harry'emu Rexowi i jego gościom, jeść i pić wszystko, na co mieli ochotę. Jego margarity były wyjątkowo dobre. Zjedliśmy tam wiele smakowitych obiadów, złożonych z pikantnych dań, popijanych mocnymi margaritami. Zwykle zbierało się tam nas dwunastu, sami mężczyźni, młodzi, połowa miała żony. Harry Rex straszył, że jeśli powiemy komuś o tym pokoju, to nas pozabija.

Gdy policja z Clanton zrobiła raz nalot na naszą kryjówkę, Pepe nagle zapomniał angielskiego. Drzwi na zapleczu były zamknięte, na dodatek częściowo ukryte. Pepe zgasił światło i przez dwadzieścia minut siedzieliśmy w ciemności, nadal popijając, i słuchaliśmy, jak gliniarze próbują porozumieć się z Pepe. Nie wiem, dlaczego się denerwowaliśmy. Miejscowy sędzia, prawnik o nazwisku Harold Finkley, siedział przecież z nami przy końcu stołu i kończył czwartą albo piątą margaritę.

Niedzielne wieczory u Pepe bywały często długie i głośne. Po nich żaden z nas nie był w stanie prowadzić samochodu. Szedłem wtedy do redakcji i spałem na sofie. Akurat chrapałem na niej w oparach tequili, gdy po północy zadzwonił telefon. Telefonował znany mi dziennikarz z dużej gazety w Memphis.

– Będiesz jutro na przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego? – zapytał.

Jutro? Zamroczony nie miałem pojęcia, jaki jest dzień.

– Jutro? – wymamrotałem.

– W poniedziałek, osiemnastego września – powiedział wolno i wyraźnie.

Wiedziałem tylko, że jest rok 1978.

– Jakie przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego? – zapytałem, rozpaczliwie usiłując oprzytomnieć i zebrać myśli.

– Danny'ego Padgitta. Czyżbyś nic o tym nie wiedział?

– Cholera, nie.

– Jest wyznaczone na dziesiątą rano w Parchman.

– Żarty sobie robisz!

– Nie. Właśnie się dowiedziałem. Najwyraźniej nie ogłaszają takich rzeczy w prasie.

Bardzo długo siedziałem w ciemności i po raz kolejny przeklinałem zaco-

fanie stanu Missisipi, w którym tak ważne sprawy były załatwiane w tak idiotyczny sposób. Jakim cudem zwolnienie warunkowe mogło być w ogóle brane pod uwagę w przypadku Danny'ego Padgitta? Od morderstwa i wyroku minęło osiem lat. Dostał dwukrotne dożywocie, czyli co najmniej dziesięć lat w więzieniu razy dwa. Założyliśmy, że posiedzi co najmniej dwadzieścia lat.

Około trzeciej nad ranem pojechałem do domu, przespałem się dwie godziny, po czym obudziłem Harry'ego Rexa, ale nie nadawał się jeszcze do życia. Kupiłem sobie mocną kawę i kanapki. Spotkałem się z nim w jego kancelarii koło siódmej. Obaj byliśmy poirytowani, a kiedy wertowaliśmy jego książki prawnicze, nie obeszło się bez ostrych słów i wulgarного języka, co prawda nie kierowanych pod adresem żadnego z nas, ale wycelowanych w niejasny i nieskuteczny system zwolnień warunkowych wprowadzony trzydzieści lat temu. Zasady były zarysowane bardzo ogólnie, zostawiały mnóstwo miejsca na przekręty polityków i urzędników przez nich powoływanych, którzy generalnie mogli robić, co chcieli.

Ponieważ większość praworządnych obywateli nie miała do czynienia z systemem zwolnień warunkowych, w stanowym prawodawstwie przepisów regulujących te sprawy nie traktowano priorytetowo. Poza tym wśród więźniów przeważali biedacy albo czarni, którzy nie umieli wykorzystać istniejącego stanu prawnego, więc łatwo było surowo ich karać i trzymać w zamknięciu. Ale dla skazanych, którzy mieli znajomości i trochę gotówki, system zwolnień warunkowych był cudownym labiryntem sprzecznych paragrafów, które pozwalały komisji do spraw zwolnień warunkowych na wydawanie korzystnych orzeczeń.

Gdzieś między systemem wymiaru sprawiedliwości, systemem penitencjarnym i systemem zwolnień warunkowych dwa „konsekwentne” wyroki dożywocia Danny'ego Padgitta zostały zmienione na „symultaniczne”. Odsiadywał je jednocześnie, jak usiłował wytłumaczyć to Harry Rex.

– Jaki to ma sens? – zapytałem.

– Wykorzystuje się to w przypadkach, kiedy podsądny ma wiele zarzutów. Przy wyrokach konsekwentnych mógłby spędzić w więzieniu osiemdziesiąt lat, ale sprawiedliwy wyrok to lat dziesięć. Dlatego odsiadują je za jednym zamachem.

Pokręciłem z dezaprobatą głową, co go zirytowało.

Udało mi się w końcu dodzwonić do szeryfa Tryce'a McNatta. Jego głos brzmiał tak, jakby miał takiego kaca jak my, choć był nieprzejeżdżanym abs-

tymentem. Nic nie wiedział o przesłuchaniu w sprawie zwolnienia warunkowego. Zapytałem, czy będzie w nim uczestniczył, ale okazało się, że dzień ma już wypełniony ważnymi spotkaniami.

Zadzwoiłem do sędziego Loopusa, ale nie żył już od sześciu lat. Ernie Gaddis przeszedł na emeryturę i łowił teraz ryby gdzieś w Smoky Mountains. Numer telefonu jego następcy Rufusa Buckleya, mieszkającego w okręgu Tyler, był zastrzeżony.

O ósmej wskoczyłem do samochodu z kubkiem zimnej kawy i herbatnikiem.

\*\*\*

Po godzinie jazdy na zachód od okręgu Ford teren nagle robił się płaski – zaczynał się obszar delty. To region bardzo żyznych ziem, gdzie warunki do życia są kiepskie, ale nie byłem w nastroju do podziwiania widoków ani do refleksji z pogranicza socjologii. Byłem za to bardzo zdenerwowany, bo nie wiedziałem, jak się dostać na tajne posiedzenie komisji do spraw zwolnień warunkowych.

Denerwowałem się również wizytą w Parchman, legendarnym przedpieklu.

Po dwóch godzinach zobaczyłem ogrodzenie graniczące z polami uprawnymi, a potem płot z drutu kolczastego. Powiedziałem strażnikowi w wartowni, że jestem dziennikarzem i przyjechałem na przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego.

– Prosto przed siebie, w lewo przy drugim budynku – powiedział życzliwie, zapisując moje nazwisko.

Przy drodze stała grupa budynków i rząd białych domów, które pasowałyby do każdej ulicy małego miasteczka w Missisipi. Zdecydowałem się na budynek „Admin A” i wbiegłem do niego, szukając jakiejś sekretarki. Znalazłem jedną, a ona odesłała mnie na pierwsze piętro w budynku obok. Dochodziła dziesiąta.

Na końcu korytarza przed drzwiami pokoju zobaczyłem trzech mężczyzn: strażnika więziennego, policjanta stanowego i faceta w pogniecionym garniturze.

– Przeszedłem na przesłuchanie w sprawie zwolnienia warunkowego – oznajmiłem.

– To tutaj – odpowiedział strażnik, wskazując drzwi.

Otworzyłem je, jak na nieustraszonego dziennikarza przystało – bez pukania – i wszedłem do środka. Właśnie przystępowano do rozpoczęcia procedury i na pewno nikt się mnie nie spodziewał.

W komisji do spraw zwolnień warunkowych zasiadało pięć osób, które zajmowały miejsca za stołem na niewielkim podwyższeniu. Przed nimi stały tabliczki z nazwiskami. Przy jednej ze ścian inny stół okupował tłum Padgittów – Danny, jego ojciec, matka, wujek oraz Lucien Wilbanks. Naprzeciwko nich przy kolejnym stole siedzieli najróżniejsi urzędnicy i funkcjonariusze z więzienia.

Kiedy wszedłem, oczy wszystkich zwróciły się na mnie. Ja natomiast wbiłem wzrok w Danny’ego Padgitta i przez sekundę patrzyliśmy na siebie z pogardą.

– Czego pan sobie życzy? – warknął do mnie potężny, źle ubrany starszy facet siedzący przy stole komisji.

Nazywał się Barrett Ray Jeter i był przewodniczącym. Podobnie jak pozostała czwórka został powołany przez gubernatora w ramach nagrody za zbieranie głosów wyborczych.

– Przyszedłem na przesłuchanie Danny’ego Padgitta – odpowiedziałem.

– Jest dziennikarzem! – krzyknął Lucien i zerwał się z miejsca.

Przez sekundę myślałem, że mogę zostać aresztowany i od razu zaprowadzony do więzienia, gdzie zostanę do końca życia.

– W jakiej gazecie? – zapytał zimno Jeter.

– „Timesie” wydawanym w okręgu Ford.

– Pańskie nazwisko?

– Willie Traynor. – Wpatrywałem się w Luciena, który piorunował mnie wzrokiem.

– To zamknięte przesłuchanie – powiedział Jeter.

Nie było jednak jasne, czy takie posiedzenia są jawne, czy zamknięte, dlatego tradycyjnie uznawano je za tajne.

– Kto ma prawo w nim uczestniczyć? – zapytałem.

– Komisja do spraw zwolnień warunkowych, więzień, jego rodzina, jego świadkowie, adwokat i ewentualni świadkowie drugiej strony.

„Druga strona” oznaczała członków rodziny ofiary, co w zaistniałej sytuacji zabrzmiało tak, jakby to oni byli tymi złymi.

– A co z szeryfem z naszego okręgu? – spytałem.

– On również jest mile widziany – odrzekł Jeter.

– Nasz szeryf nie został zawiadomiony. Rozmawiałem z nim przed trzema godzinami. Prawdę mówiąc, sam dowiedziałem się o wszystkim dzisiaj po północy i wątpię, żeby w okręgu Ford ktokolwiek słyszał o tym przesłuchaniu.

U członków komisji wywołało to istną plagę drapania się po głowie. Padgittowie skupili się wokół Luciena.

Drogą eliminacji szybko wydedukowałem, że jeśli chcę oglądać to przedstawienie, muszę zostać świadkiem.

– Ponieważ nie ma tu nikogo z okręgu Ford jako przedstawiciela drugiej strony, ja będę świadkiem – powiedziałem tak głośno i wyraźnie, jak tylko mogłem.

– Nie może pan występować jako dziennikarz i świadek jednocześnie – zauważył Jeter.

– A gdzie to jest napisane w kodeksie prawnym obowiązującym w stanie Missisipi? – zapytałem, machając egzemplarzem książki prawniczej, którą dostałem od Harry’ego Rexa.

Jeter skinął głową w kierunku młodego człowieka w ciemnym garniturze.

– Jestem pełnomocnikiem komisji do spraw zwolnień warunkowych – powiedział tamten uprzejmie. – Może pan zeznawać w trakcie tego przesłuchania, ale nie wolno panu o nim pisać.

Zamierzałem szczegółowo zrelacjonować to przesłuchanie, a potem zasłonić się pierwszą poprawką.

– Niech i tak będzie – zgodziłem się. – To wy ustanawiacie zasady.

Nie potrzebowaliśmy nawet minuty na wytyczenie granicy, ja znalazłem się po jednej stronie, a cała reszta po drugiej.

– Zaczynamy – powiedział Jeter, aja usiadłem wśród garstki widzów.

Pełnomocnik komisji rozdał dokumenty. Przedstawił podstawowe fakty z wyroku Padgitta i bardzo uważał, żeby nie użyć określenia „kara konsekwentna” albo „kara symultaniczna”. Bazując na „wzorowym” zachowaniu w czasie odbywania kary, uznano, że więzień spełnia kryteria grupy „dobrze się zapowiadających”, co było niejasnym pojęciem używanym w systemie zwolnień warunkowych, nieuwzględnianym jednak w stanowych przepisach prawa. Po odjęciu czasu, jaki spędził w areszcie, czekając na proces, mógł teraz ubiegać się o zwolnienie warunkowe.

Kuratorka Danny’ego długo głądziła o swoich relacjach z więźniem. Za-

kończyła niczym nieuzasadnioną opinią, że „wykazał szczerą skruchę”, „jest w pełni zresocjalizowany”, „nie stanowi żadnego zagrożenia dla społeczeństwa”, a nawet jest gotów stać się „najbardziej produktywnym obywatelem”.

Ile to wszystko kosztowało? Nie mogłem przestać się nad tym zastanawiać. Ile? I jak dużo czasu zabrało Padgittom znalezienie właściwych kieszeni?

Następny był Lucien. Nie mając nikogo – Gaddisa, szeryfa McNatta, a nawet biednego Hanka Hootena – kto mógłby mu się przeciwstawić i go mitygować, przystąpił do przeinaczania faktów dotyczących przestępstw, a szczególnie zeznania Lydii Vince, która była świadkiem zapewniającym „niepodważalne” alibi. W jego wersji procesu sędziowie przysięgli o mało nie wydali werdyktu uniewinniającego. Miałem ochotę czymś w niego rzucić i zacząć krzyczeć. Może to zmusiłoby go do zachowania choćby pozorów uczciwości.

Chciałem wrzasnąć: „Jak może być skruszony, skoro jest taki niewinny?!”.

Lucien narzekał na proces, na to, jak bardzo był niesprawiedliwy. Wielkodusznie wziął na siebie winę za odstąpienia od żądania przeniesienia procesu do innej części stanu, gdzie ludzie byłiby bardziej bezstronni i światlejsi. Kiedy się w końcu zamknął, dwóch członków komisji chyba spało.

Jako następna zeznawała pani Padgitt i mówiła o listach, które wymieniała z synem przez minione osiem lat, bardzo długich lat. Z tego, co pisał, wywnioskowała, że dojrzał, utwierdził się w wierze i tęsknił za wolnością, by móc pomagać rodzinie.

Pomagać w uprawie mocniejszej trawki? A może w pędzeniu czystszej whisky z kukurydzy?

Ponieważ oczekiwano po niej łez, popłakała się. Było to częścią przedstawienia, ale wyglądało na to, że na komisji nie zrobiło wrażenia. Gdy przyglądałem się twarzom jej członków, byłem przekonany, że decyzję podjęli już dawno temu.

Ostatni mówił Danny i doskonale się spisał, balansując pomiędzy wypieraniem się swoich przestępstw i jednocześnie okazując żal, że je popełnił.

– Dużo się nauczyłem na swoich błędach – powiedział, jakby gwałt i morderstwo były grzechami młodości, przez które nikomu nie stało się nic złego.  
– Już z nich wyrosłem.

W więzieniu okazał się istnym gejzerem energii: pracował na ochotnika w bibliotece, śpiewał w chórze, pomagał przy rodeo, organizował zespoły chodzące po szkołach i odstraszające dzieciaki od przestępstw.

Dwóch członków komisji słuchało. Jeden nadal spał. Pozostałych dwóch siedziało w przypominającym trans stuporze.

Danny nie ronił łez, ale zakończył żarliwym błaganiem o zwolnienie warunkowe.

– Ilu świadków ma strona przeciwna? – zapytał głośno Jeter.

Wstałem, rozejrzałem się, nie zobaczyłem nikogo z okręgu Ford, więc powiedziałem:

– Chyba tylko mnie.

– Zatem proszę mówić.

Nie miałem pojęcia, co powiedzieć, ani też nie wiedziałem, co jest dopuszczalne albo niedopuszczalne przed takim gremium. Bazując jednak na tym, co właśnie słyszałem, domyśliłem się, że mogę mówić, na co przyjdzie mi ochota. Jeśli zapuszczę się na zakazane terytorium, tłusty Jeter na pewno przywoła mnie do porządku.

Spojrzałem na członków komisji, robiłem, co mogłem, żeby zignorować sztylety we wzroku Padgittów, i rozpocząłem wyjątkowo obrazowy opis gwałtu i morderstwa. Powiedziałem to, co pamiętałem, kładąc nacisk na fakt, że wszystko lub część widziała dwójka dzieci ofiary.

Czekałem na sprzeciw Luciena, ale wrogi obóz milczał.

Jeszcze niedawno przymulona komisja nagle się ożywiła, wszyscy patrzyli na mnie uważnie, chłonęli potworne szczegóły morderstwa. Opisałem rany. Odtworzyłem rozdzierającą scenę śmierci Rhody konającej w ramionach pana Deece'a i powtarzającej: „To był Danny Padgitt. To był Danny Padgitt”.

Nazwałem Luciena kłamcą i wyśmiałem przedstawioną przez niego wersję procesu. Wyjaśniłem, że sędziom przysięgłym do podjęcia decyzji wystarczyła niecała godzina.

I przywołując w pamięci szczegóły, których dokładność mnie zaskoczyła, zrelacjonowałem żalony występ Danny'ego na miejscu dla świadka i jego łgarstwa.

– Powinien zostać skazany za krzywoprzysięstwo – powiedziałem komisji.

– A kiedy skończył zeznawać, zamiast wrócić na miejsce, podszedł do ławy przysięgłych, pogroził sędziom palcem i powiedział: „Skażecie mnie, aja dopadnę potem każdego z was!”.

Członek komisji, pan Horace Adler, wzdrygnął się na krześle i rzucił w kierunku Padgittów:

– Czy to prawda?



– Jest w protokole – powiedziałem szybko, zanim Lucien miał szansę znowu nakłamać, bo już podnosił się z miejsca.

– Czy to prawda, panie mecenasie? – Adler chciał usłyszeć odpowiedź.

– Groził sędziom przysięgłym? – zapytał inny członek komisji.

– Mam protokół z procesu – dodałem. – Bardzo chętnie ją państwu przysię.

– Czy to prawda? – zapytał Adler po raz trzeci.

– Na sali znajdowało się trzysta osób – przypomniałem, patrząc na Luciena, a mój wzrok mówił: „Nie rób tego. Nie kłam w tej sprawie”.

– Niech się pan zamknie, Traynor – warknął ktoś z komisji.

– To jest w protokole – powtórzyłem.

– Wystarczy! – wrzasnął Jeter.

Lucien stał i próbował wymyślić jakąś odpowiedź. Widownia czekała.

– Nie pamiętam wszystkiego, co zostało tam powiedziane – zaczął w końcu, a ja prychnąłem tak głośno, jak się dało. – Być może mój klient powiedział coś w tym rodzaju, ale był bardzo poruszony, w gorączce bitwy, więc coś takiego mogło paść z jego ust. Biorąc jednak pod uwagę kontekst...

– Gównu nie kontekst! – wrzasnąłem do Luciena i zrobiłem krok w jego stronę, jakbym zamierzał mu przywalić. Jeden ze strażników ruszył w moim kierunku, więc się zatrzymałem. – Wszystko jest zapisane czarno na białym w protokole procesu – dodałem ze złością. Potem odwróciłem się do komisji i powiedziałem: – Jak możecie państwo siedzieć spokojnie i pozwalać im na tak jawne kłamstwa? Nie chcecie poznać prawdy?

– Coś jeszcze, panie Traynor? – zapytał Jeter.

– Tak! Mam nadzieję, że ta komisja nie będzie kpina z naszego wymiaru sprawiedliwości i nie wypuści tego człowieka po ośmiu latach. I tak ma szczęście, że siedzi tutaj, a nie w celi śmierci, gdzie jego miejsce. I mam też nadzieję, że następnym razem, kiedy będziecie go przesłuchiwać w sprawie zwolnienia warunkowego, jeśli będzie następnym razem, zawiadomicie o tym ludzi z okręgu Ford. Może szeryfa, może prokuratora. Czy moglibyście też powiadomić kogoś z rodziny ofiary? Mają prawo tu być, żebyście widzieli ich twarze, kiedy będziecie wypuszczali na wolność tego mordercę.

Usiadłem i aż gotowałem się ze złości. Świdrowałem wzrokiem Luciena Wilbanka i obiecałem sobie, że będę podsycił w sobie nienawiść do niego przez resztę mojego albo jego życia. Jeter ogłosił krótką przerwę, a ja pomyślałem, że potrzebują trochę czasu, żeby się przegrupować na zapleczu i prze-

liczyć pieniądze. Może pan Padgitt zostanie wezwany, żeby dorzucić trochę kasy dla jednego czy dwóch członków komisji. Żeby zdenerwować pełnomocnika komisji, zapełniałem stronę po stronie notatkami do artykułu, którego nie mogłem napisać.

Wrócili po półgodzinie, a każdy z nich wyglądał na człowieka o nieczystym sumieniu. Jeter zarządził głosowanie. Dwie osoby były za zwolnieniem warunkowym, dwie przeciw, jedna się wstrzymała.

– Tym razem wniosek o zwolnienie warunkowe zostaje odrzucony – ogłosił Jeter.

Pani Padgitt wybuchnęła płaczem i objęła syna, zanim został wyprowadzony.

Lucien i Padgittowie, gdy opuszczali pokój, przeszli bardzo blisko mnie. Zignorowałem ich i po prostu wbiłem wzrok w podłogę, wykończony, skacowany, zaszokowany decyzją komisji.

– Następny jest Charles D. Bowie – oznajmił Jeter.

Kiedy wprowadzano następnego więźnia, przy stołach zrobiło się małe zamieszanie. Usłyszałem coś o przestępstwie seksualnym, ale byłem zbyt wypompowany, żeby czymkolwiek się przejmować. Wyszedłem w końcu z pokoju i ruszyłem korytarzem, spodziewając się, że za chwilę będę musiał stać czoło Padgittom, co uznałbym za dobry obrót sprawy, bo wolałem mieć to już za sobą.

Tymczasem Padgittowie przepadli. Kiedy opuszczałem budynek i przejeżdżałem przez bramę w drodze powrotnej do Clanton, nie zobaczyłem żadnego z nich.

## Rozdział 34

---

**R**elacja z przebiegu przesłuchania w sprawie zwolnienia warunkowego znalazła się na pierwszej stronie „Timesa”.

Zawarłem w niej wszystkie szczegóły, jakie pamiętałem, a na stronie piątej pofolgowałem sobie i napisałem ostro o samej procedurze. Wysłałem po egzemplarzu każdemu z członków komisji do spraw zwolnień warunkowych, prokuratorowi generalnemu, wicegubernatorowi oraz gubernatorowi. Większość to zignorowała, poza pełnomocnikiem komisji, który zareagował.

Napisał do mnie długi list, w którym wyraził głębokie zaniepokojenie moim „świadomym pogwałceniem procedur komisji do spraw zwolnień warunkowych”. Rozważał spotkanie z prokuratorem generalnym, podczas którego „oceniliby powagę mojego działania”, po czym zostałyby prawdopodobnie wszczęte postępowanie, mające prowadzić do „daleko idących konsekwencji”.

Mój adwokat, Harry Rex, zapewnił mnie, że utajnianie posiedzeń przez komisję do spraw zwolnień warunkowych jest niezgodne z konstytucją, wyraźnie bowiem łamie postanowienia pierwszej poprawki, i z radością zgodził się bronić mnie w sądzie federalnym. Za obniżoną stawkę godzinową, oczywiście.

Jeszcze przez miesiąc wymieniałem z pełnomocnikiem komisji dość ostre listy, zanim najwyraźniej stracił zainteresowanie ściganiem mnie.

Rafe, główny naganiacz klientów Harry'ego Rexa, miał pomagiera, który nazywał się Buster i był zwalistym kowbojem o szerokich barach, ze spluwą w każdej kieszeni. Wynająłem Bustera za sto dolarów tygodniowo, żeby udawał mojego goryla. Miał przez kilka godzin dziennie kręcić się przed redakcją albo siedzieć na podjeździe domu lub na jednej z werand, gdziekolwiek, byle tylko był widoczny, tak by ludzie wiedzieli, że Willie Traynor jest wystarczająco ważną figurą, żeby mieć ochroniarza. Gdyby Padgittowie podszli na tyle blisko, żeby do mnie strzelić, dostaliby przynajmniej coś w zamian.

\*\*\*

Po latach tycia i lekceważenia ostrzeżeń lekarzy Miss Callie w końcu ustąpiła. Odbyła wyjątkowo nieprzyjemną wizytę w klinice i po powrocie oświadczyła Esauowi, że przechodzi na dietę – tysiąc pięćset kalorii dziennie, poza czwartkami, dzięki Bogu. Minął miesiąc, a ja nie zauważyłem u niej najmniejszego spadku wagi. Ale dzień po wydrukowaniu w „Timesie” relacji z posiedzenia komisji do spraw zwolnień warunkowych nagle wyglądała tak, jakby straciła dwadzieścia pięć kilogramów.

Zamiast smażyć kurczaka, upiekła go. Zamiast wymieszać tłuczone ziemniaki z gęstą śmietaną i masłem, a potem polać je sosem pieczeniowym, tylko je ugotowała. Nadal było to pyszne, ale mój organizm przyzwyczał się już do cotygodniowej porcji tłustych potraw.

Po odmówieniu modlitwy wręczyłem jej dwa listy od Sama. Jak zawsze od razu je przeczytała, podczas gdy ja opychałem się lunchem. I jak zawsze uśmiechała się i śmiała, a na koniec ocierała łzy.

– Dobrze sobie radzi – powiedziała, i to była prawda.

Z typową dla Ruffinów nieustępliwością Sam obronił pierwszy dyplom z ekonomii i teraz zbierał pieniądze na studia prawnicze. Bardzo tęsknił za domem i miał dość kanadyjskiego klimatu. Ujmując to w kilku słowach: tęsknił za mamusią. I za jej kuchnią.

Prezydent Carter ogłosił amnestię dla dekowników, dlatego Sam zmagął się z podjęciem decyzji, czy zostać w Kanadzie, czy wracać do domu. Wielu z jego przyjaciół rodaków zdecydowało się zostać i zaczęli ubiegać się o oby-

watelstwo kanadyjskie, a mieli na Sama bardzo duży wpływ. Chodziło też o kobietę, choć o tym rodzicom nie powiedział.

Czasami zaczynaliśmy od wiadomości, ale częściej mówiliśmy o nekrologach czy nawet ogłoszeniach drobnych. Ponieważ Miss Callie czytała każde słowo, wiedziała, kto sprzedaje szczeniaki beagle, a kto chce kupić używaną, ale w dobrym stanie kosiarkę do trawy. A ponieważ robiła to co tydzień, wiedziała, jak długo jakaś niewielka farma lub przyczepa kempingowa były na rynku. Znała ceny i wartości. Czasami, gdy jedliśmy, ulicą przejeżdżał samochód.

– Jaki to model? – pytała wtedy.

– Plymouth duster z siedemdziesiątego pierwszego – odpowiadałem na przykład.

Wahała się przez sekundę, a potem mówiła:

– Jeśli jest naprawdę w dobrym stanie, będzie wart mniej więcej dwa i pół tysiąca dolarów.

Pewnego razu Stan Atcavage musiał sprzedać siedmiometrową łódź, którą przejął za niespłacony dług. Zadzwoiłem do Miss Callie, a ona powiedziała:

– A tak, pewien jegomość z Karaway szukał takiej łodzi trzy tygodnie temu.

Sprawdziłem w starym numerze gazety i znalazłem to ogłoszenie. Stan sprzedał mu łódź następnego dnia.

Uwielbiała ogłoszenia sądowe i prawne, najbardziej lukratywną część gazety. Dokumenty notarialne, zajęcia obciążonych nieruchomości, wnioski rozwodowe, sprawy spadkowe, ogłoszenia bankructwa, przesłuchania w sprawie zasiedzenia i dziesiątki innych ogłoszeń, których opublikowanie w miejscowej gazecie było nakazane prawem. Mieliśmy je wszystkie i braliśmy za nie jak za zboże.

– Widzę, że zaczęła się sprawa o spadek po panu Everecie Wainwrightcie – powiedziała.

– Nie bardzo przypominam sobie jego nekrolog – odpowiedziałem z pełnymi ustami. – Kiedy umarł?

– Jakieś pięć, może sześć miesięcy temu. Niewiele było do napisania w jego nekrologu.

– Mogę bazować jedynie na tym, co dostarczy mi rodzina. Znała go pani?

– Przez wiele lat miał sklep spożywczy niedaleko torów.

Z tonu jej głosu zorientowałem się, że losy pana Everetta Wainwrighta nie-

wiele ją obchodziły.

– Dobry człowiek czy zły człowiek?

– Miał dwa zestawy cen, niższe dla białych i wyższe dla Murzynów. Nigdy nie naklejał cen na towary i sam obsługiwał kasę. Jakaś biała klientka mogła zapytać go głośno: „Ile kosztuje ta puszka skondensowanego mleka, panie Wainwright?”, a on odkrzykiwał: „Trzydzieści osiem centów!”. Minutę później pytałam go: „Przepraszam, panie Wainwright, ile kosztuje ta puszka skondensowanego mleka?”. A on odburkiwał: „Pięćdziesiąt cztery centy”. Wcale się z tym nie krył. Miał to w nosie.

Przez prawie dziewięć lat wysłuchiwałem historii o dawnych czasach. Zdarzało mi się myśleć, że poznałem już wszystkie, ale Miss Callie miała ich niewyczerpane zapasy.

– Dlaczego robiła pani u niego zakupy?

– To był jedyny sklep, gdzie wolno nam było kupować. Pan Monty Griffin prowadził ładniejszy sklep za starym kinem, ale jeszcze dwadzieścia lat temu nie mogliśmy tam robić zakupów.

– Kto wam zabraniał?

– Pan Monty Griffin. Nie obchodziło go, czy ktoś miał pieniądze, nie chciał widzieć w swoim sklepie żadnego Murzyna.

– A panu Wainwrightowi było wszystko jedno?

– Niezupełnie. Nie chciał nas, ale chciał naszych pieniędzy.

Opowiedziała mi historię czarnego chłopaka, który szwendał się po sklepie, dopóki Wainwright nie uderzył go szczotką i nie wygonił. Chłopak z zemsty przez parę lat włamywał się do tego sklepu, kilka razy w roku, i nigdy nie został złapany. Kradł papierosy i cukierki, łamał też kije od szczotek.

– Czy to prawda, że Wainwright zostawił wszystkie pieniądze Kościołowi metodystów? – zapytała.

– Takie chodzą plotki.

– Ile?

– Około stu tysięcy dolarów.

– Ludzie mówią, że próbował w ten sposób kupić sobie wstęp do nieba.

Już dawno temu przestały mnie zdumiewać plotki z drugiej strony torów, które słyszała Miss Callie. Wiele jej przyjaciółek pracowało tam jako gospoście. A służące wiedzą wszystko.

Znów sprowadziła rozmowę na temat życia po życiu. Miss Callie bardzo niepokoiła się o moją duszę. Martwiła się, że nie stałem się chrześcijaninem

we właściwy sposób, że nie „narodziłem się na nowo” albo nie byłem „zbawiony”. Jej zdaniem chrzest w dzieciństwie, którego nie pamiętałem, był zdecydowanie niewystarczający. Kiedy człowiek osiąga określony wiek, „wiek odpowiedzialności”, żeby „zostać zbawionym” i nie skończyć w piekle jako wieczny potępieniec, powinien podejść do ołtarza w kościele (odpowiedni Kościół był tematem naszych niekończących się dyskusji) i wyznać publicznie wiarę w Jezusa Chrystusa.

Miss Callie bardzo ciążyło na sercu, że jeszcze tego nie zrobiłem.

Po odwiedzeniu siedemdziesięciu siedmiu kościołów musiałem przyznać, że ogromna większość mieszkańców okręgu Ford była tego samego wyznania co Miss Callie. Istniały jednak pewne odchylenia. Bardzo prężną sektą był Kościół chrystusowy. Trzymali się w nim dziwnego przekonania, że oni i tylko oni pójdą do nieba. Ich zdaniem wszystkie inne Kościoły wyznawały „sekciarskie doktryny”. Wierzyli również, podobnie jak wiele innych zgromadzeń, że dostąpiwszy zbawienia, mogą je utracić przez złe postępowanie. Baptyści, najliczniej reprezentowani w okręgu, stali twardo na stanowisku, że „kto raz został zbawiony, będzie zbawiony na zawsze”.

Było to z pewnością bardzo pocieszające dla kilkorga baptystów, których znałem, a którzy zeszli na złą drogę.

Istniała jednak dla mnie nadzieja. Miss Callie była bardzo przejęta tym, że chodzę do kościoła i chłonę słowa Biblii. Wierzyła – i modliła się o to – że pewnego dnia, wkrótce, Bóg wnuknie do mojego serca. Przyjmę go i potem Miss Callie i ja spędzimy razem wieczność.

Naprawdę żyła dla chwili, kiedy „wróci w chwale do Domu”.

– Wielebny Small będzie przewodniczył Wieczery Pańskiej w tę niedzielę  
– oznajmiła.

Było to jej cotygodniowe zaproszenie, żebym poszedł z nią do jej kościoła. Ale ja miałem już po dziurki w nosie wielebnego Smalla i jego długich kazań.

– Dziękuję, ale w tę niedzielę odwiedzam kolejny kościół – odpowiedziałem.

- Niech pana Bóg błogosławi. A który?
- Pierwotny Kościół Baptystów Maranatha.
- Nigdy o nim nie słyszałam.
- Jest w książce telefonicznej.
- A gdzie się mieści?

- Gdzieś w Dumas, jak sądzę.
- Czarny czy biały?
- Nie wiem.

\*\*\*

Numer siedemdziesiąty ósmy na mojej liście, świątynia Pierwotnego Kościoła Baptistów Maranatha, okazał się małym klejnotem przyczepionym do wzgórza obok potoku, pod grupą dębów mających co najmniej dwieście lat. Był to niewielki biały budynek, wąski i długi, ze spadzistym cynowym dachem i czerwoną wieżą tak wysoką, że niknęła w koronach drzew. Frontowe drzwi stały otworem, zapraszając wszystkich, którzy chcieliby się modlić. Na kamieniu węgielnym widniał rok 1813.

Zająłem miejsce na ławce z tyłu, jak zawsze, obok elegancko ubranego mężczyzny, który przychodził tu pewnie od chwili, gdy kościół został zbudowany. Tego ranka naliczyłem pięćdziesięciu sześciu wiernych. Okna były szeroko otwarte, a na dworze lekki wiatr szeleścił w liściach dębów i łagodził upał poranka. Od ponad półtora wieku ludzie zbierali się tutaj, siedzieli na tych samych ławkach, wyglądali przez te same okna i wielbili tego samego Boga. Chór – całe osiem osób – śpiewał po cichu jakąś pieśń, aja cofnąłem się w czasie o sto lat.

Pastorem był jowialny J.B. Cooper. Przez te lata spotkałem go dwa razy, kiedy kręciłem się w okolicy, próbując zebrać materiał do nekrologów. Jedną z korzyści moich wypraw do kościołów za miastem było to, że poznałem wszystkich duchownych. To naprawdę przydawało się do podbarwiania wspomnień o zmarłych.

Pastor Cooper popatrzył na swoją owczarnię, a ja zorientowałem się, że jestem jedynym człowiekiem z zewnątrz. Wymienił moje nazwisko, przywitał mnie i zrobił jakąś nieszkodliwą aluzję, że liczy na przychylną relację w „Timesie”. Po czterech latach jeżdżenia i siedemdziesięciu siedmiu w zasadzie przychylnych i barwnych *Notkach z Kościoła* nie miałem już szans, by wślizgnąć się niezauważenie na mszę.

Nigdy nie wiedziałem, czego mogę się spodziewać po tych wiejskich przybytkach. Częściej niż rzadziej nabożeństwa były głośne i długie, a ja zastanawiałem się nieraz, jak tacy przyzwoici ludzie mogą zmusić się do przychodzenia tydzień po tygodniu, by wysłuchać surowych reprimend. Niektórzy



kaznodzieje byli niemal sadystyczni w potępianiu tego, co ich wierni mogli zrobić w danym tygodniu. W rolniczym Missisipi grzechem było wszystko, a nie tylko to, co zostało ujęte w dziesięciu przykazaniach. Słyszałem zjadliwe połajanki za oglądanie telewizji, filmów, grę w karty, czytanie popularnych magazynów, udział w imprezach sportowych, stroje cheerleaderek, segregację, kościoły dla białych i czarnych, Disneya – bo nadawano go w niedzielne wieczory – taniec, picie dla towarzystwa, seks po rozwodzie, za wszystko.

Ale pastor Cooper należał do osób łagodnych. Swoje kazanie – dwadzieścia osiem minut – poświęcił tolerancji i miłości. Miłość była głównym przesłaniem Jezusa. Chrystus chciał tylko, żebyśmy kochali się nawzajem. Gdy nadeszła pora składania ślubów Jezusowi i nowi wierni mogli podejść do ołtarza, zaśpiewaliśmy trzy wersy *Just As I Am*, ale nikt się nie ruszył. Ci ludzie stali przed ołtarzem wiele razy.

Jak zawsze zostałem kilka minut po nabożeństwie, żeby porozmawiać z pastorem Cooperem. Powiedziałem mu, jak bardzo podobała mi się msza – a mówiłem tak zawsze, niezależnie od tego, czy była to prawda, czy nie – i zapisałem nazwiska członków chóru potrzebne mi do artykułu. Tutaj wierni mieli w sobie naturalne ciepło i serdeczność, a ponieważ wiedzieli o moich kościelnych wyprawach, chcieli ze mną gawędzić w nieskończoność i przekazać jednocześnie perełki, które mógłbym wydrukować. „Mój dziadek położył dach na kościele w tysiąc dziewięćset drugim roku”. „Tornado latem tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku ominęło to miejsce, gdy mieliśmy akurat nabożeństwo”.

Kiedy wychodziłem z kościoła, spostrzegłem mężczyznę na wózku inwalidzkim zjeżdżającego po rampie dla niepełnosprawnych. Widziałem wcześniej tę twarz, więc podszedłem, żeby się przywitać. Zdrowie Lenny’ego Fargarsona, przysięgłego numer siedem albo osiem, najwyraźniej się pogorszyło. Podczas procesu w 1970 roku mógł jeszcze chodzić, choć nie był to przyjemny widok. Teraz jeździł na wózku. Jego ojciec mi się przedstawił. Matka zaś stała z grupą kobiet i kończyła ostatnią rundę pożegnań.

– Masz minutę? – zapytał Fargarson.

W Missisipi takie pytanie oznacza: „Musimy porozmawiać i zajmie nam to trochę czasu”. Usiadłem na ławce pod dębem. Ojciec dopchał tam jego wózek i zostawił nas samych.

– Czytam co tydzień twoją gazetę – powiedział Lenny. – Myślisz, że Pad-

gitt wyjdzie?

– Oczywiście, pytanie tylko kiedy. Może ubiegać się o zwolnienie warunkowe raz w roku.

– Wróci tutaj, do okręgu Ford?

Wzruszyłem ramionami, bo nie miałem pojęcia.

– Prawdopodobnie. Padgittowie trzymają się blisko swojej ziemi.

Zastanawiał się nad tym przez jakiś czas. Był wymizerowany i zgarbiony jak starzec. Jeśli pamięć mnie nie myliła, gdy był przysięgłym, miał około dwudziestu pięciu. Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku, choć on wyglądał teraz na dwa razy starszego. Słyszałem historię jego nieszczęścia – wypadek w tartaku.

– Boisz się tego? – zapytałem.

Uśmiechnął się i odpowiedział:

– Niczego się nie boję, Traynor. Jezus jest moim pasterzem.

– Tak, w rzeczy samej – odrzekłem, nadal poruszony kazaniem.

Z powodu swojego stanu i wózka inwalidzkiego Lenny był trudny do rozszyfrowania. Tyle przeszedł. Jego wiara była silna, ale przez sekundę wydało mi się, że dostrzegam w nim ślad strachu.

W naszą stronę szła pani Fargarson.

– Będziesz tutaj, kiedy go wypuszczą? – zapytał Lenny.

– Chciałbym tu być, ale nie wiem, jak będzie.

– Zadzwońisz do mnie, gdy tylko się dowiesz, że wyszedł?

– Jasne.

Pani Fargarson miała w piecyku pieczeń na niedzielny lunch i nie chciała słyszeć odmownej odpowiedzi na zaproszenie. Nagle poczułem się głodny, a w domu Hocuttów jak zwykle nie było nic dobrego do jedzenia. W niedzielę jadałem na lunch kanapkę z zimnym mięsem i wypijałem do tego kieliszek wina na bocznej werandzie, po czym następowała długa sjesta.

Lenny mieszkał z rodzicami przy zwirowej drodze nieco ponad trzy kilometry od kościoła. Jego ojciec był wiejskim listonoszem, a matka nauczycielką. Starsza siostra wyprowadziła się do Tupelo. Przy pieczeni, ziemniakach i herbacie, niemal tak słodkiej jak u Miss Callie, przeżywaliśmy jeszcze raz sprawę Rhody Kassellaw i pierwsze podejście Padgitta do zwolnienia warunkowego. Może i Lenny nie przejmował się ewentualnym wyjściem Danny'ego z więzienia, ale jego rodziców bardzo to niepokoiło.

## Rozdział 35

---

**W**ielka nowina dotarła do Clanton wiosną 1978 roku. Nadchodziła Bargain City! Razem z McDonald's i barami szybkiej obsługi, które podążały za nią na prowincję. Bargain City to ogólnokrajowa sieć sklepów gwałtownie rozprzestrzeniająca się w małych miasteczkach na Południu. Większość miast bardzo się z tego cieszyła. Choć niektórzy z nas czuli, że coś się kończy.

Firma anektowała świat za pomocą „wielkich bud”, centrów handlowych oferujących wszystko po niskich cenach. Kompleksy sklepowe były przestronne i czyste, miały kawiarnię, aptekę, banki, a nawet optyków i biura podróży. Miasteczko bez Bargain City w ogóle się nie liczyło.

Wybór padł na dwadzieścia hektarów przy Market Street, około półtora kilometra od rynku. Niektórzy z mieszkających tam ludzi protestowali, dlatego władze miasta zorganizowały zebranie, na którym miano zdecydować, czy centrum zostanie zbudowane. Bargain City spotykała się wcześniej ze sprzeciwem, więc miała przygotowaną bardzo skuteczną i dobrze zorganizowaną strategię.

Sala w ratuszu zapełniła się ludźmi z biało-czerwonymi transparentami Bargain City: „Bargain City – to dobry sąsiad” i „Chcemy pracy”. Przyszli inżynierowie, architekci, prawnicy i budowlańcy razem z sekretarkami, żona-

mi i dziećmi. W swoich wypowiedziach malowali różowy obraz ekonomicznego rozwoju, wzrostu dochodów z podatku od sprzedaży, stu pięćdziesięciu miejsc pracy dla mieszkańców Clanton oraz najlepszych produktów po najniższych cenach.

W imieniu obozu przeciwników mówiła pani Dorothy Hockett. Jej posiadłość graniczyła z kontrowersyjnym placem. Nie chciała inwazji hałasu i świateł. Wydawało się, że władze miasta jej współczują, ale wynik głosowania już dawno został przesądzony. Kiedy okazało się, że nikt inny nie wystąpi już przeciwko Bargain City, wstałem i podszedłem do mównicy.

Powodowała mną wiara, że aby zachować istniejące centrum Clanton, powinniśmy bronić sklepów i zakładów usługowych, kawiarni i biur działających przy rynku. Kiedy już zaczniemy się rozrastać, ten proces nie będzie miał końca. Miasto się powiększy, a stanie się to kosztem starego Clanton.

Wynagrodzeniem za pracę, którą obiecywali, byłaby płaca minimalna. Wzrost dochodów miasta z podatku od sprzedaży nastąpi kosztem kupców, których Bargain City szybko wyeliminuje z branży. Mieszkańcy okręgu Ford nie obudzą się któregoś dnia i nie zaczną nagle kupować więcej rowerów i lodówek tylko dlatego, że Bargain City ma tak olśniewające wystawy.

Wspomniałem o miasteczku Titus, oddalonym o mniej więcej godzinę jazdy od Clanton na południe. Dwa lata wcześniej Bargain City otworzyła tam centrum handlowe. Od tamtej pory zamknięto czternaście lokalnych sklepów i jedną kawiarnię. Główna ulica miasta niemal opustoszała.

Wspomniałem o miasteczku Marshall w delcie. Po trzech latach, od kiedy rozpanoszyła się tam Bargain City, rodziny od pokoleń zajmujące się usługami i handlem zamknęły dwie apteki, niewielki dom towarowy, sklep z paszą, sklep żelazny, salon kosmetyczny, sklep z pamiątkami, małą księgarnię i dwie restauracje. Jadłem lunch w jedynej kawiarni, która ocalała, i od kelnerki pracującej tam od trzydziestu lat dowiedziałem się, że mają o połowę mniej gości niż kiedyś. Rynek w Marshall jest podobny do rynku w Clanton, poza tym że większość miejsc parkingowych jest pusta. I bardzo niewielu tam przechodniów.

Wspomniałem o miasteczku Tackerville, mającym tyle samo mieszkańców co Clanton. Po roku od otworzenia Bargain City miasto zostało zmuszone do wyłożenia miliona dwustu tysięcy dolarów na poprawę stanu dróg, żeby poradzić sobie ze wzmożonym ruchem samochodów wokół tego przedsięwzięcia.

Wręczyłem burmistrzowi i radnym egzemplarze referatu profesora ekonomii z Uniwersytetu Georgii. Przez ostatnie sześć lat śledził poczynania Bargain City na całym Południu i oszacował finansowy oraz społeczny wpływ, jaki firma wywarła na miejscowości liczące poniżej dziesięciu tysięcy mieszkańców. Dochody z podatku od sprzedaży pozostały mniej więcej takie same; przestano po prostu kupować w „starych” sklepach i zaczęto w Bargain City. Zatrudnienie pozostało prawie na tym samym poziomie; sprzedawcy ze sklepów w rynku zostali zastąpieni przez nowych w Bargain City. Firma nie robiła żadnych znaczących inwestycji w poszczególnych miasteczkach, poza tym że zainwestowała w ziemię i budynki. Prawdę mówiąc, nawet nie korzystała z usług miejscowych banków. Codziennie o północy utarg był przelewany do głównej siedziby w Gainesville na Florydzie.

Referat kończył się wnioskiem, że ekspansja Bargain City jest oczywiście korzystna dla jej udziałowców, ale niszczy gospodarkę większości małych miast. Prawdziwe straty dotyczą jednak sfery kultury. Życie miast skupiające się wokół rynków i na głównych ulicach zamiera, wystawy sklepowe są sukcesywnie zabijane deskami, chodniki pustoszeją.

Petycję popierającą budowę Bargain City podpisało czterysta osiemdziesiąt osób. Naszą, sprzeciwiającą się temu, dwanaście. Członkowie rady miasta zagłosowali zgodnie: pięć głosów za budową ani jednego przeciw.

Napisałem ostry wstępniak i przez miesiąc dostawałem nieprzyjemne listy. Po raz pierwszy zostałem nazwany zwariowanym ekologiem.

Po miesiącu dwadzieścia hektarów ziemi rozryły buldożery. Powstały rynsztoki i krawężniki, a wielkie otwarcie zapowiedziano na pierwszego grudnia, czyli tuż przed świętami. Ludzie z Bargain City nie tracili czasu, bo zostały zainwestowane duże pieniądze. Firma słynęła zresztą ze zdecydowania i przenikliwości.

Sama hala handlowa i parking zajmowały około ośmiu hektarów. Sąsiadujące działki szybko sprzedano innym sieciom i wkrótce miasto wyraziło zgodę na postawienie stacji benzynowej z szesnastoma samoobsługowymi dystrybutorami, sklepu spożywczego, trzech barów szybkiej obsługi, sklepu z obuwem sprzedającego po cenach hurtowych, sklepu z meblami, również z cenami hurtowymi, i ogromnego warzywniaka.

Nie mogłem odmówić zamieszczania reklam Bargain City. Nie potrzebo wałem ich pieniędzy, ale ponieważ „Times” był jedynym tygodnikiem docierającym do całego okręgu, musieli się w nim ogłaszać. (Na skutek paniki,

jaką wywołałem, pisząc w 1977 roku o nowym podziale urbanistycznym, powstał co prawda mały prawicowy szmatławiec „Clanton Chronicle”, który nadal wychodził, ale bez przerwy groziło mu bankructwo).

W połowie listopada spotkałem się z przedstawicielem firmy i uzgodniliśmy serię raczej drogich ogłoszeń przygotowanych na otwarcie. Śrubowałem im ceny, jak mogłem, a oni nigdy nie narzekali.

Burmistrz, senator Morton i inni dygnitarze pierwszego grudnia przecięli wstęgę. Hałaśliwy tłum sforsował drzwi i zaczął kupować, jakby nigdy wcześniej nie był w sklepie. Na szosie prowadzącej do miasta zrobił się korek.

Nie zgodziłem się na zamieszczenie relacji z tego wydarzenia na pierwszej stronie. Umieściłem nieduży artykuł wśród innych doniesień na stronie siódmej, co wkurzyło burmistrza, senatora Mortona i inne grube ryby. Spodziewali się, że ich zdjęcie z przecinania wstęgi znajdzie się na środku pierwszej strony.

Sezon bożonarodzeniowy był okrutny dla kupców z rynku. Trzy dni po Gwiazdce poznaliśmy pierwszą ofiarę nowej sytuacji, kiedy swoje zamknięcie ogłosił sklep Western Auto. Mieścił się w tej samej kamienicy od czterdziestu lat i sprzedawano w nim rowery, urządzenia kuchenne i telewizory. Właściciel, pan Hollis Barr, powiedział mi, że określony model kolorowego telewizora Zenith kosztował go czterysta trzydzieści osiem dolarów po kilku obniżkach, a usiłował sprzedać go za pięćset dziesięć dolarów. Identyczny model był w sprzedaży w Bargain City za trzysta dziewięćdziesiąt dziewięć dolarów.

Zamknięcie Western Auto znalazło się rzecz jasna na pierwszej stronie.

Po nim w styczniu padła apteka Swain's, następnie kawiarnia i kolejno sklep z pamiątkami Maggie's, znajdujący się obok salonu pana Mitlo. Każde zamknięcie traktowałem jak śmierć, a moje artykuły o tym przypominały nekrologi.

Jedno popołudnie spędziłem z bliźniakami Stuke'ami w ich sklepie żelaznym. Mieścił się w cudownej kamienicy z zakurzonymi drewnianymi podłogami, uginającymi się półkami, na których leżały miliony rzeczy, piecem na drewno na zapleczu, gdzie omawiali poważne sprawy, gdy interes słabo szedł. W ich sklepie nie można było niczego znaleźć, i o to chodziło. Rytuał polegał na tym, że trzeba było zapytać jednego z bliźniaków o „takie małe, płaskie coś, co wchodzi w uszczelkę na końcu takiego drążka tkwiącego w dynksie, którym spuszcza się wodę”. Jeden z Stuke'ów zniknął wtedy wśród

stosów byle jak porozkładanych najróżniejszych części i wracał po kilku minutach z tym czymś, dzięki czemu spłuczka działała. W Bargain City nie można było poprosić o coś takiego.

Siedzieliśmy przy piecu w mroźny zimowy dzień i słuchaliśmy grzmiącego Cecila Clyde'a Poole'a, emerytowanego majora, który, gdyby dano mu władzę, wysadziłby bombami atomowymi wszystkich poza Kanadyjczykami. Atomówką załatwiłby także sieć Bargain City, którą z prawdziwym upodobaniem odsądzał od czci i wiary językiem dosadnym i kwiecistym, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Mieliśmy mnóstwo czasu, bo klientów pojawiało się coraz mniej. Jeden ze Stuke'ów powiedział mi, że obroty spadły im o siedemdziesiąt procent.

W następnym miesiącu zamknęli sklep, który ich ojciec założył w 1922 roku. Na pierwszej stronie zamieściłem zdjęcie założyciela sklepu siedzącego za ladą w 1938 roku. Wysmażyłem też kolejny wstępniak, godny przemydrzałego palanta, z rodzajem przypomnienia „a nie mówiłem”, dla tych wszystkich, którzy nadal czytali moją gazetę.

– Prawisz za dużo kazań – ostrzegał mnie raz po raz Harry Rex. – A i tak nikt tego nie słucha.

\*\*\*

W pokoju od frontu w siedzibie redakcji rzadko ktoś siedział. Stało tam kilka stolików z egzemplarzami ostatniego numeru „Timesa”. Był tam też kontuar, na którym Margaret rozkładała czasami ogłoszenia. Dzwonek nad drzwiami odzywał się przez cały dzień, kiedy ludzie przychodzili i wychodzili. Mniej więcej raz na tydzień ktoś obcy wchodził na górę, gdzie drzwi do mojego pokoju zwykle były otwarte. Zwykle był to pogrążony w żałobie krewny, który chciał porozmawiać o zamieszczeniu nekrologu.

Pewnego popołudnia w marcu 1979 roku podniosłem wzrok i w drzwiach mojego pokoju zobaczyłem mężczyznę w eleganckim garniturze. W odróżnieniu od Harry'ego Rexa, którego słychać było już na ulicy i wszyscy w redakcji od razu wiedzieli, że idzie, ten facet wszedł po schodach niemal bezszelestnie.

Nazywał się Gary McGrew, był konsultantem z Nashville zajmującym się oceną małomiasteczkowych gazet. Kiedy robiłem mu kawę w kubku, wyjaśnił, że jego dość zamożny klient zamierza kupić w 1979 roku kilka tytułów

wydawanych w Missisipi. Ponieważ mieliśmy siedem tysięcy prenumerato-  
rów, żadnych długów, maszynę offsetową, a dodatkowo drukowaliśmy sześć  
mniejszych tygodników oraz nasz własny przewodnik dla kupujących, jego  
klient był bardzo zainteresowany nabyciem „Timesa”.

– Jak bardzo? – zapytałem.

– Naprawdę bardzo. Jeśli pozwoliliby pan nam przejrzeć księgi, mogliby-  
śmy wycenić pańską firmę.

Po wyjściu Gary’ego McGrewa zadzwoniłem do paru osób, żeby potwier-  
dzić jego wiarygodność. Śledztwo wypadło pomyślnie, ja zaś zabrałem się do  
sprawdzenia mojej sytuacji finansowej. Spotkałem się z nim trzy dni później,  
tym razem wieczorem. Nie chciałem, żeby Wiley albo Baggy kręcili się  
w pobliżu. Wiadomość, że „Times” przechodzi w inne ręce, stałaby się plotką  
na taką skalę, że kawiarnię otworzyliby o trzeciej nad ranem, a nie o piątej,  
jak zawsze.

McGrew wgryzał się w liczby jak na wytrawnego analityka przystało. Cze-  
kałem, dziwnie zdenerwowany, jakby jego werdykt miał drastycznie zmienić  
moje życie.

– Po podatku ma pan sto tysięcy zysku, pańska pensja to pięćdziesiąt tysię-  
cy, amortyzacja to kolejne dwadzieścia tysięcy, żadnych odsetek, bo nie ma  
pan długów. To sto siedemdziesiąt tysięcy w gotówce pomnożone standardo-  
wo przez sześć daje milion dwadzieścia tysięcy dolarów.

– A budynek? – zapytałem.

Rozejrzał się, jakby za chwilę sufit miał mu spaść na głowę.

– Takie miejsca zwykle nie kosztują dużo.

– Sto tysięcy – rzuciłem.

– W porządku. I sto tysięcy za maszynę offsetową i pozostały sprzęt. Cał-  
kowita wartość zamyka się zatem mniej więcej kwotą miliona dwustu tysię-  
cy.

– Czy to oferta? – zapytałem jeszcze bardziej zdenerwowany.

– Niewykluczone. Muszę jednak porozmawiać o tym z klientem.

Nie miałem w planach sprzedawania „Timesa”. Trafiłem do tego interesu  
przypadkiem, kilka razy dopisało mi szczęście, ciężko pracowałem, pisząc ar-  
tykuły, nekrologi i sprzedając strony pod ogłoszenia, a teraz po dziewięciu la-  
tach moja mała firma była warta ponad milion dolarów.

Byłem młody, wciąż samotny, choć miałem już dość samotności i miesz-  
kania w pojedynkę w rezydencji z trzema kotami, które zostały po Hocuttach



i nie chciały zdechnąć. Pogodziłem się z tym, że w okręgu Ford nie znajdę narzeczonej. Wszystkie nadające się do czegoś dziewczyny wychodziły za mąż przed dwudziestką, a ja byłem za stary, żeby rywalizować na tym poziomie. Umawiałem się ze wszystkimi młodymi rozwódkami, z których większość chętnie wskakiwała mi do łóżka, ponieważ chciały obudzić się w ładnym, dużym domu i marzyły o wydawaniu moich pieniędzy. Bo krążyły pogłoski, że tłukę kasę. Jedyna, która naprawdę mi się podobała i z którą spotykałem się przez rok, miała troje małych dzieci.

To zabawne, co milion może zrobić z człowiekiem. Gdy tylko pojawił się w moich myślach, nie mogłem o nim zapomnieć. Praca stała się bardziej uciążliwa. Żałosne nekrologi i presja związana z terminami zaczęły mnie irytować. Powtarzałem sobie co najmniej raz dziennie, że nie muszę przecież łązić po ulicach i sprzedawać miejsca pod ogłoszenia. Mógłbym przestać pisać wstępniaki. Nie dostawałbym wtedy nieprzyjemnych listów od czytelników.

Tydzień później Gary McGrew dowiedział się ode mnie, że „Times” nie jest na sprzedaż. Odrzekł, że jego klient postanowił kupić do końca roku trzy gazety, więc mam czas, żeby się nad tym zastanowić.

Zdumiewające, ale ani ja, ani McGrew nie zdradziliśmy nikomu, o czym rozmawialiśmy.

## Rozdział 36

---

Czwartkowe popołudnie w połowie maja zadzwonił do mnie pełnomocnik komisji do spraw zwolnień warunkowych. Następne przesłuchanie Padgitta miało się odbyć w poniedziałek.

- Wygodny termin – zauważyłem.
- Nie rozumiem.
- Wydajemy gazetę w środy, więc przed przesłuchaniem nie dam rady niczego opublikować.
- Nie śledzimy terminów wydawania pańskiej gazety – odrzekł urzędnik.
- I ja mam w to uwierzyć – odburknąłem.
- To, w co pan wierzy, nie ma znaczenia. Komisja postanowiła, że nie wyda panu zgody na udział w posiedzeniu. Opisując wszystko, co zaszło poprzednim razem, złamał pan nasze zasady.
- Mam zakaz?
- Waśnie tak.
- I tak przyjadę.

Rozłączyłem się i zadzwoniłem do szeryfa McNatta. On również został powiadomiony o przesłuchaniu, ale nie był pewny, czy da radę wziąć w nim udział. Był w samym środku poszukiwań zaginionego dziecka (z Wisconsin)

i nie ukrywał, że wolałby nie mieszać się do spraw Padgittów.

Nasz prokurator okręgowy, Rufus Buckley, miał w poniedziałek proces w Van Buren dotyczący napadu z bronią w ręku. Obiecał, że wyśle list sprzeciwiający się zwolnieniu warunkowemu, ale takowy nigdy nie dotarł do komisji. Temu samemu procesowi przewodniczył sędzia sądu okręgowego Omar Noose, więc on też odpadł. Zaczynałem się obawiać, że nie będzie tam nikogo, kto sprzeciwi się wypuszczeniu Padgitta z więzienia.

Dla żartu poprosiłem Baggy'ego, żeby ze mną pojechał. Zachłysnął się powietrzem, a potem szybko wyrecytował imponującą listę wymówek.

Z wiadomością o przesłuchaniu poszedłem do Harry'ego Rexa. W poniedziałek zaczynał paskudny rozwód w Tupelo, w przeciwnym razie pewnie pojechałby ze mną do Parchman.

– Wypuszczą tego chłopaka, Willie – orzekł.

– W zeszłym roku im przeszkodziłem.

– Kiedy machina zwolnienia warunkowego już ruszy, to tylko kwestia czasu.

– Ale ktoś musi z nią walczyć.

– Po co zawracać sobie tym głowę? Ostatecznie on i tak wyjdzie. Po co wkurzać Padgittów? Nikt nie zgłosi się do ciebie na ochotnika.

I rzeczywiście trudno było znaleźć ochotników, bo całe miasto schowało głowę w piasek. Wcześniej wyobrażałem sobie rozwścieczony tłum, który wdziera się do pokoju przesłuchań i zakłóca procedurę.

Mój rozwścieczony tłum składał się z trzech osób.

Wiley Meek zgodził się pojechać ze mną, choć nie zamierzał się odzywać. Gdyby rzeczywiście nie wpuścili mnie na przesłuchanie, Wiley miał tam siedzieć, a potem zdać mi szczegółową relację. Szeryf McNatt zaskoczył nas swoją obecnością.

Drzwi do pokoju przesłuchań były dobrze strzeżone. Kiedy pełnomocnik komisji mnie zobaczył, wściekł się i zamieniliśmy kilka nieprzyjemnych słów. Otoczyli mnie strażnicy w mundurach. Przewyższali mnie liczebnie, poza tym nie byłem uzbrojony. Zostałem wyprowadzony z budynku i wsadzony do mojego samochodu, którego potem pilnowało dwóch osiłków o grubych karkach i niskim ilorazie inteligencji.

Zgodnie ze słowami Wileya przesłuchanie poszło jak po maśle. Obecni byli różni Padgittowie i Lucien. Pełnomocnik komisji odczytał opinię wychowawców, z której wynikało, że Danny to prawdziwy harcerz. Jego kuratorka

popierała wniosek o zwolnienie. Lucien mówił przez dziesięć minut – jak zawsze wciskał prawniczy kit. Jako ostatni głos zabrał ojciec Danny’ego; bardzo poruszony błagał o uwolnienie syna, którego rozpaczliwie potrzebowali w domu, gdzie zajmowali się produkcją drewna, żwiru, asfaltu, transportem ciężarówkami, budownictwem i spedycją. Czeka na niego tyle zajęć i pracy przez wiele godzin w tygodniu, że w żaden sposób nie będzie mógł wpakować się w kłopoty.

Szeryf McNatt odważnie reprezentował mieszkańców okręgu Ford. Był zdenerwowany, a publiczne wypowiedanie się nie było jego mocną stroną, ale zrobił dobrą robotę, przypominając oba przestępstwa. Co ważne, nie wspomniał, że Danny Padgitt groził sędziom przysięgłym wyłonionym przecież spośród ludzi, którzy wybrali go na urząd szeryfa.

Stosunkiem głosów cztery do jednego Danny Padgitt został warunkowo zwolniony z więzienia.

\*\*\*

Mieszkańcy Clanton milczeli rozczarowani. Podczas procesu miasto żądało krwi i było rozgoryczone, kiedy sędziowie przysięgli nie wydali wyroku śmierci. Ale minęło dziewięć lat, a gdy Danny Padgitt złożył pierwszy wniosek o zwolnienie warunkowe, pogodzili się z tym, że w końcu kiedyś go wypuszczą. Nikt się nie spodziewał, że nastąpi to tak szybko, niemniej decyzja komisji nikogo nie zaszokowała.

Na uwolnienie Padgitta miały wpływ dwa niezwykle czynniki. Po pierwsze, w okolicy nie mieszkali żadni krewni Rhody Kassellaw. Zabrakło pogrążonych w żałobie rodziców, którzy mogliby budzić współczucie i domagać się sprawiedliwości. Zabrakło rozsierzonego rodzeństwa, które nie dopuściłoby, żeby emocje wokół tej sprawy zgasły. Dzieci Rhody wyjechały i zostały zapomniane. Prowadziła samotne życie, nie zostawiła zatem żadnych bliskich przyjaciół, którzy nadal mieliby pretensje do jej mordercy.

Po drugie, Padgittowie żyli w innym świecie. Widywano ich tak rzadko, że nietrudno było dojść do przekonania, iż Danny pojedzie po prostu na Wyspę i słych o nim zaginie. Czy robiło to jakąkolwiek różnicę mieszkańcom okręgu Ford? Więzienie albo Wyspa Padgittów? Jeśli już nigdy go nie zobaczymy, nic nie będzie nam przypominało o popełnionej zbrodni. Przez dziewięć lat po jego procesie nie widziałem w Clanton ani jednego Padgitta. W stosun-

kowo ostrym wstępniaku o zwolnieniu Danny'ego z więzienia napisałem: *Bestialski morderca znowu jest wśród nas*. Ale to nie była prawda.

Artykuł z pierwszej strony nie przyniósł ani jednego listu od czytelników. Ludzie mówili o tym zwolnieniu warunkowym, ale niezbyt długo i niezbyt głośno.

Któregoś dnia, tydzień po wypuszczeniu Padgitta, Baggy wślizgnął się do mojego pokoju późnym rankiem i zamknął za sobą drzwi, co zawsze było dobrym znakiem. Podłapał gdzieś plotkę na tyle smakowitą, że musiał ją przekazać przy zamkniętych drzwiach.

Zwykle przychodziłem do redakcji koło jedenastej. W południe Baggy zaczynał chlać, więc mieliśmy zazwyczaj godzinę na przedyskutowanie artykułów i wymianę plotek.

Rozejrzał się, jakby w ścianach mógł być podsłuch, po czym powiedział:

– Wyciągnięcie chłopaka kosztowało Padgittów sto kawałków.

Nie zaszokowała mnie ta suma ani to, że była łapówką, zaskoczyło mnie jednak to, że Baggy wyciągnął skądś tę informację.

– Nie – rzuciłem. Taka odpowiedź zawsze rozwiązywała mu język.

– Ale właśnie ci to mówię – rzekł zadowolony z siebie, co było jego typową reakcją, kiedy miał sensacyjną wiadomość.

– Kto dostał te pieniądze?

– To jest najlepsze. Nie uwierzyłyś.

– Kto?

– Będziesz zaszokowany.

– Kto?

Powoli odprawiał swój przydługi rytuał zapalania papierosa. W początkowych latach zastygałem w bezruchu, czekając na jakąś sensacyjną wiadomość, którą gdzieś podłapał i dla lepszego efektu odkładał podzielenie się nią, z czasem jednak nauczyłem się, że to tylko spowalnia jego opowieść. Dlatego wróciłem do pisania.

– Z drugiej strony to nie powinno nikogo zdziwić – dodał, wydmuchując w zamyśleniu dym. – Mnie zupełnie nie zaskoczyło.

– Powiesz mi w końcu czy nie?

– Theo.

– Senator Morton?

– To właśnie ci mówię.

Byłem wystarczająco zaszokowany i musiałem sprawiać takie wrażenie,

bo inaczej historia straciłaby napęd.

– Theo?

– Jest wiceprzewodniczącym komisji do spraw więziennictwa w Senacie. Siedzi w niej od początku świata i wie, za które sznurki pociągnąć. On chciał sto tysięcy, Padgittowie byli gotowi tyle zapłacić, dogadali się i chłopak wyszedł z pudła. Po prostu.

– Sądziłem, że Theo nie bierze łapówek – powiedziałem i naprawdę tak myślałem.

To wywołało przesadne prychnięcie.

– Nie bądź naiwny. – Znowu był wszystkowiedzący.

– Skąd o tym wiesz?

– Nie mogę powiedzieć.

Istniała szansa, że tę plotkę wymyśliła jego pokerowa banda, żeby się przekonać, jak szybko ta rewelacja obleci rynek, zanim do nich wróci. Nie mogłem jednak wykluczyć, że Baggy jednak na coś natrafił. Choć tak naprawdę nie miało to znaczenia. Gotówka nie zostawia śladów.

\*\*\*

W chwili gdy przestałem marzyć o wcześniejszej emeryturze, spieniężeniu interesu i wycofaniu się, wyjeździe do Europy i przewędrowaniu z plecakiem Australii, gdy wróciłem do rutyny pisania wstępniaków i nekrologów, łowienia ogłoszeń od każdego kupca w mieście, Gary McGrew znów zjawił się w moim życiu. I przyprowadził swojego klienta.

Ray Noble był jednym z trzech szefów firmy, która już miała trzydzieści tygodników na głębokim Południu i chciała mieć ich więcej. Podobnie jak mój kolega ze studiów, Nick Diener, wychował się w rodzinie wydającej gazetę i mógł o tym mówić bez końca. Musiałem mu przysiąc, że wszystko zachowam w tajemnicy, i dopiero wtedy wyjawiał mi swoje plany. Jego firma chciała kupić „Timesa” razem z tygodnikami wychodzącymi w okręgach Tyler i Van Buren. Mieli zamiar sprzedać wyposażenie tamtych dwóch i drukować wszystko w Clanton, bo my mieliśmy lepszą maszynę. Chcieli scalić księgowość i sprzedaż miejsc pod ogłoszenia. Milion dwieście tysięcy, które mi zaproponowali, było maksymalną stawką.

Niemniej teraz ich oferta wynosiła milion trzysta. W gotówce.

– Po zapłaceniu podatku wyjdzie pan z tego z okrągłutkim milionem – po-

wiedział Noble.

– Umiem liczyć – odrzekłem, jakbym co tydzień załatwiał podobne interesy. Słowa „okrągłutki milion” wstrząsnęły każdą komórką mojego ciała.

Lekko na mnie naciskali. Złożyli oferty pozostałym dwóm gazetom, ale odniosłem wrażenie, że transakcje nie szły dokładnie po ich myśli. Kluczowym elementem był „Times”. Mieliśmy lepszy sprzęt i trochę wyższy nakład w dystrybucji.

I tym razem odmówiłem, a oni wyszli. Wszyscy trzej wiedzieliśmy jednak, że nie była to nasza ostatnia rozmowa.

\*\*\*

Po jedenastu latach od ucieczki z okręgu Ford Sam Ruffin wrócił mniej więcej w taki sam sposób, w jaki wyjechał: autobusem w środku nocy. Zanim się o tym dowiedziałem, przebywał w domu już od dwóch dni. Przyjechałem na czwartkowy lunch i zobaczyłem Sama bujającego się w fotelu na werandzie, z uśmiechem równie szerokim jak uśmiech jego matki. Miss Callie wyglądała i zachowywała się, jakby nagle ubyło jej dziesięć lat, tylko dlatego że syn wrócił bezpiecznie do domu. Usmażyła kurczaka i ugotowała chyba wszystkie warzywa z ogródka. Dołączył do nas Esau i ucztowaliśmy przez trzy godziny.

Sam miał już dyplom wyższej uczelni, jednak chciał jeszcze iść na studia prawnicze. Niewiele brakowało, a ożeniłby się z pewną Kanadyjką, ale jej rodzina sprzeciwiała się ich związkowi i wszystko spaliło na panewce. Co Miss Callie przyjęła z ogromną ulgą. Sam w listach do matki nie wspominał o tym związku.

Miał zamiar zostać w Clanton przez kilka dni, praktycznie nie wychodząc domu, i zapuszczać się do Lowtown tylko nocą. Obiecałem, że porozmawiam z Harrym Rexem, żeby dowiedzieć się czegoś o poczynaniach funkcjonariusza Duranta i jego synów. Z ogłoszeń sądowych wiedziałem, że Durant powtórnie się ożenił, a potem rozwiódł.

Sam chciał zobaczyć miasto, dlatego późnym popołudniem zabrałem go tam spitfire'em. Ukryty pod bejsbolówką Detroit Tigers napawał się widokiem miasteczka, które ciągle nazywał domem. Pokazałem mu redakcję, mój dom, Bargain City i rozległe przedmieścia na zachód od miasta. Objechaliśmy budynek sądu, a ja opowiedziałem mu historię o snajperze i dramatycz-

nej ucieczce Baggy'ego przez okno. Sporo z tego wiedział, bo Miss Callie pisała mu o tym w listach.

Kiedy podrzuciłem go do domu, zapytał:

- Czy Padgitt naprawdę wyszedł z więzienia?
- Nikt go nie widział, ale jestem pewny, że teraz jest już w domu.
- Spodziewasz się jakichś kłopotów?
- Nie, raczej nie.
- Ja też nie. Ale nie mogę uspokoić mamy.
- Nic się nie stanie, Sam.



## Rozdział 37

---

**P**ojedynczy strzał, od którego zginął Lenny Fargarson, został oddany ze strzelby myśliwskiej kaliber trzydzieści zero sześć. Morderca mógł znajdować się nawet w odległości dwustu metrów od werandy, na której skonał Lenny. Gęsty las zaczynał się tuż za trawnikiem otaczającym dom i istniało spore prawdopodobieństwo, że ten, kto pociągnął za spust, wspiął się na drzewo i miał idealny widok na biednego chłopaka, sam nie będąc widzianym.

Nikt nie słyszał wystrzału. Lenny siedział na werandzie na wózku inwalidzkim i czytał jedną z książek, których bardzo dużo wypożyczał z biblioteki w Clanton. Wszystko wskazywało na to, że nie czuł bólu i zginął na miejscu. Kula weszła z prawej strony głowy tuż nad szczęką i wyszła z drugiej nad lewym uchem, pozostawiając ogromną ranę.

Kiedy matka go znalazła, nie żył od jakiegoś czasu. Zdołała jakoś się uspokoić, nie dotykała ciała i niczego na miejscu zbrodni. Krew była na całej werandzie, obryzgała nawet schody.

Wiley usłyszał o tym na CB-radiu, gdy podsłuchiwał policję. Zadzwoił do mnie z tą mrozącą krew w żyłach wiadomością.

– Zaczęło się. Fargarson, ten chłopak kaleka, nie żyje.

Podjechał pod redakcję, wskoczyłem do jego pick-upa i popędziliśmy na

miejsce przestępstwa. Żaden z nas nie odezwał się słowem, ale myśleliśmy dokładnie to samo.

Lenny nadal był na werandzie. Strzał zrzucił go z wózka. Leżał na boku, z twarzą zwróconą w stronę domu. Szeryf McNatt poprosił, żebyśmy nie robili zdjęć, a my bez szemrania posłuchaliśmy. I tak byśmy ich nie wykorzystali.

Zewsząd schodzili się przyjaciele i krewni, a zastępca szeryfa kierował ich do bocznego wejścia do domu. Ludzie McNatta stanęli tak, by zasłonić ciało. Odszedłem i próbowałem objąć spojrzeniem całą tę straszliwą scenę: policjantów pochylających się nad Lennym, podczas gdy ci, którym był bliski, usiłowali zerknąć na niego, gdy pośpiesznie wchodzili do środka, żeby pocieszać jego rodziców.

Kiedy ciało zostało w końcu załadowane do worka i umieszczone w karetce, szeryf McNatt podszedł do nas i oparł się o pick-upa po mojej stronie.

– Myślisz to, co ja myślę? – spytał.

– Aha.

– Możesz znaleźć dla mnie listę przysięgłych?

Choć nigdy nie opublikowaliśmy nazwisk sędziów przysięgłych, miałem tę informację w starej kartotece.

– Jasne.

– Ile czasu ci to zajmie? – zapytał.

– Daj mi godzinę. Jaki masz plan?

– Musimy powiadomić tych ludzi.

Kiedy odjeżdżaliśmy, zastępcy szeryfa zaczęli przeczesywać las wokół domu Fargarsonów.

\*\*\*

Zaniosłem listę do biura szeryfa i razem się jej przyjrzelśmy. W 1977 roku napisałem nekrolog sędziego numer pięć, pana Freda Bilroya, emerytowanego strażnika leśnego, który zmarł nagle na zapalenie płuc. O ile wiedziałem, pozostałych dziesięciu nadal żyło.

McNatt dał listę swoim trzem ludziom. Pojechali każdy w swoją stronę, żeby dostarczyć wiadomość, której nikt nie chciałby usłyszeć. Na ochotnika zgodziłem się powiedzieć o tym Callie Ruffin.

Stała na werandzie i przyglądała się wojnie, jaką Sam i Esau prowadzili

podczas gry w warcaby. Bardzo się ucieszyli na mój widok, ale ich nastrój szybko się zmienił.

– Mam nieprzyjemną wiadomość, Miss Callie – zacząłem.

Zamarli.

– Lenny Fargarson, ten kaleki chłopak, który był przysięgłym razem z panią, został zamordowany dziś po południu.

Zakryła ręką usta i opadła na bujany fotel. Sam przytrzymał oparcie, żeby się nie bujał, a potem poklepał ją po ramieniu. W kilku słowach opowiedziałem, co się stało.

– Był takim dobrym chłopcem, dobrym chrześcijaninem – powiedziała Miss Callie. – Modliliśmy się razem, zanim zaczęła się narada.

Nie płakała, ale w jej oczach błyszczały łzy. Esau przyniósł jej pigułkę na nadciśnienie. On i Sam usiedli po obu stronach jej fotela, aja przycupnąłem na bujanej ławce. Siedzieliśmy razem na małej werandzie i przez długi czas niewiele mówiliśmy. Miss Callie pogrzyżyła się w milczącej zadumie.

Był ciepły wiosenny wieczór, na niebie wisiał półksiężyc, a w Lowtown panowało codzienne zamieszanie: dzieci jeździły na rowerach, sąsiedzi rozmawiali przez płoty, dalej na ulicy rozgrywano hałaśliwy mecz koszykówki. Mój spitfire zauroczył grupę dziesięciolatków i w końcu Sam musiał ich pogonić. To był mój drugi raz w życiu, gdy znalazłem się tam po zmroku.

– Czy tak jest co wieczór? – zapytałem wreszcie.

– Tak, kiedy jest ładna pogoda – odpowiedział Sam. Widać było, że ma straszną ochotę pogadać. – Dorastanie tutaj było cudowne. Wszyscy się tu znają. Kiedy miałem dziewięć lat, rozbiłem piłką baseballową szybę w samochodzie. Wziąłem nogi za pas, pobiegłem prosto do domu, a kiedy tam dotarłem, mama czekała na mnie na werandzie. Już o wszystkim wiedziała. Musiałem wrócić na miejsce przestępstwa, przyznać się i obiecać, że szkoda zostanie naprawiona.

– I tak było – wtrącił się Esau.

– Przez sześć miesięcy musiałem pracować, żeby zaoszczędzić sto dwa-  
dzieścia dolców.

Miss Callie prawie się uśmiechnęła, słysząc tę opowieść, ale była zbyt przejęta Lennym Fargarsonem. Chociaż nie widzieli się od dziewięciu lat, dobrze go pamiętała. Jego śmierć naprawdę ją zasmuciła, ale jednocześnie prze-  
raziła.

Esau zrobił herbatę z cukrem i cytryną, a kiedy wrócił na werandę, dys-

kretnie wsunął za fotel dwulufową strzelbę. Miał ją w zasięgu ręki, ale żona jej nie widziała.

Mijały godziny, pieszych zaczęło ubywać, sąsiedzi znikali w domach. Uznałem, że jeśli Miss Callie będzie trzymała się domowych pieleszy, nic jej się nie stanie. Obok i po przeciwnej stronie ulicy stały domy, w zasięgu wzroku nie było wzniesień ani pustych działek.

Nie powiedziałem o tym, ale jestem pewny, że Sam i Esau pomyśleli to samo. Kiedy Miss Callie była gotowa iść spać, pożegnałem się i pojechałem do aresztu. Kłębili się tam ludzie szeryfa i panowała atmosfera karnawału, jaką może wywołać tylko porządne morderstwo. Nie mogłem się powstrzymać i wróciłem pamięcią do nocy, kiedy Danny Padgitt został aresztowany i przywieziony tu w zakrwawionej koszuli.

Tylko dwóch przysięgłych nie udało się odnaleźć. Obaj się przeprowadzili, a teraz szeryf McNatt próbował ich namierzyć. Zapytał o Miss Callie, a ja zapewniłem go, że jest bezpieczna. Nie powiedziałem mu, że Sam wrócił.

Szeryf zamknął drzwi swojego pokoju i powiedział, że chciałby mnie prosić o przysługę.

– Mógłbyś jutro porozmawiać z Lucieniem Wilbanksem?

– Dlaczego ja?

– Cóż, sam mógłbym to zrobić, ale nie znoszę tego bydlaka, on mnie też.

– Wszyscy nienawidzą Luciena – zauważyłem.

– Poza...

– Poza... Harrym Rexem?

– Harry Rex... A co byś powiedział na to, że obaj z Harrym Rexem poszlibyście pogadać z Wilbanksem? Wybadalibyście, czy zgodziłby się na rolę łącznika z Padgittami. Chodzi o to, że w którymś momencie będę musiał porozmawiać z Dannym, rozumiesz?

– Chyba tak. Jesteś szeryfem.

– Pogadaj z Lucieniem Wilbanksem, to wszystko. Wycuj go. Jeśli dobrze pójdzie, nie wykluczam, że sam się z nim spotkam. To zasadnicza różnica, kiedy szeryf jako pierwszy musi iść po prośbie.

– Wolałbym chłostę batogiem – mruknąłem i nie żartowałem.

– Zrobisz to?

– Prześpię się z tym.

\*\*\*

Harry Rex też nie był zachwycony tym pomysłem. Dlaczego mielibyśmy się w to angażować? Roztrząsaliśmy tę kwestię w kawiarni przy wczesnym śniadaniu, które było dla nas nietypowym posiłkiem, ale nie chcieliśmy przegapić pierwszej fali plotek, które ruszą w miasto. Nie zaskoczyło nas, że roiło się tam od podekscytowanych ekspertów, którzy powtarzali wszelkie możliwe teorie i wymieniali szczegóły dotyczące zamordowania Fargarsona. Więcej słuchaliśmy, niż mówiliśmy. Wyszliśmy stamtąd około wpół do dziewiątej.

Dwa domy od kawiarni stała kamienica Wilbanksa. Kiedy szliśmy, powiedziałem:

– Miejmy to za sobą.

Przed Lucienem rodzina Wilbanksów była ostoją społeczności Clanton w handlu i prawie. W złotym okresie zeszłego wieku stali się właścicielami ziemi i banków. Wszyscy mężczyźni z tej rodziny studiowali prawo, niektórzy na uczelniach należących do Ivy League. Ale od wielu lat rodzina podupadała. Lucien był ostatnim męskim potomkiem rodu, który jeszcze się liczył, niemniej istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że zostanie pozbawiony uprawnień adwokackich.

Ethel Twitty, jego długoletnia sekretarka, przywitała nas nieuprzejmie, niemal prychnęła na Harry'ego Rexa, który wyszeptał do mnie pod nosem:

– Największa jędba w mieście.

Myślę, że go usłyszała. Nie miałem wątpliwości, iż tych dwoje od lat drze ze sobą koty. Szef jest w kancelarii. Czego chcemy?

– Chcemy się z nim zobaczyć – powiedział Harry Rex. – Po co innego mielibyśmy tu przychodzić?

Zadzwoiła do Luciena, a my czekaliśmy.

– Nie mam całego dnia! – warknął do niej Harry Rex w którymś momencie.

– Wchodźcie, panowie – powiedziała bardziej z chęci pozbycia się nas niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Weszliśmy po schodach. Gabinet Luciena był ogromny, szeroki na co najmniej dziewięć metrów, wysoki na trzy, z rzędem balkonowych okien wychodzących na rynek od północnej strony, dokładnie naprzeciwko redakcji „Timesa”, oddzielał nas tylko budynek sądu. Na szczęście z mojego balkonu nie widziałem okien Luciena.

Przywitał się z nami niechętnie, jakbyśmy przerwali mu długie i poważne

rozmyślenia. Choć był wczesny ranek, jego zavalone papierami biurko sprawiało wrażenie, jakby pracował przez całą noc. Miał długie siwiejące włosy sięgające karku, niemodną kozią bródkę i przekrwione oczy człowieka ostro nadużywającego alkoholu.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – wycedził.

Popatrzyliśmy po sobie. Żaden z nas nie mógłby chyba zawrzeć w spojrzeniu większej pogardy.

– Wczoraj doszło do morderstwa, Lucienie – zaczął Harry Rex. – Lenny Fragarson, ten chłopak kaleka z ławy przysięgłych, został zabity.

– Zakładam, że to nieoficjalne spotkanie – powiedział Lucien, patrząc na mnie.

– Tak – odrzekłem. – Najzupełniej. Szeryf McNatt prosił mnie, żebym zaszedł do pana i się przywitał. Ja z kolei wziąłem ze sobą Harry'ego Rexa.

– Więc to zwykłe spotkanie towarzyskie?

– Może. Mam kilka plotek o tym morderstwie – powiedziałem.

– Znam szczegóły – burknął.

– Rozmawiałeś ostatnio z Dannym? – zapytał Harry Rex.

– Od czasu jego zwolnienia warunkowego nie.

– Jest w naszym okręgu?

– Jest w Missisipi, ale nie wiem dokładnie gdzie. Jeśli przekroczyłby granicę stanu, złamałby warunki zwolnienia.

Dlaczego nie kazali mu wyjechać do, powiedzmy, Wyoming? Wydawało mi się bezsensowne zmuszanie go do przebywania w miejscu, w którym popełnił przestępstwo. Lepiej byłoby się go pozbyć!

– Szeryf McNatt chciałby z nim porozmawiać – powiedziałem.

– Och, naprawdę? A dlaczego miałyby to obchodzić mnie albo ciebie?

– To nie takie proste, Lucienie, i dobrze o tym wiesz – rzekł Harry Rex.

– Czy szeryf ma jakiś dowód przeciwko mojemu klientowi? Coś konkretnego? Jest jakaś podstawa aresztowania? Nie można bez przerwy osaczać ludzi, którzy mieli konflikt z prawem, chyba się zgodzisz? Potrzeba czegoś więcej niż podejrzenia.

– Groził sędziom przysięgłym – przypomniałem.

– Dziewięć lat temu.

– To nie zmienia tego, że groził, i wszyscy to pamiętają. A teraz dwa tygodnie po jego wyjściu z więzienia jeden z sędziów nie żyje.

– Dość tego, panowie. Przedstawcie coś więcej, wtedy skonsultuję się

z moim klientem. W tej chwili nie macie nic poza bezpodstawnymi spekulacjami. Poza całym mnóstwem domysłów, ale to miasto zawsze było rozplotkowane.

– Więc nie wiesz, gdzie on jest? – zapytał Harry Rex.

– Przypuszczam, że siedzi na Wyspie z całą ich resztą.

Użył słowa „ich”, jakby mówił o stadzie szczurów.

– Co będzie, jeśli zostanie zastrzelony następny przysięgły?

Lucien rzucił na biurko notatnik i oparł łokcie o blat.

– A co ja niby mam zrobić? Zadzwoń do chłopaka i powiedz: „Hej, Danny, jestem pewny, że nie mordujesz przysięgłych, ale gdyby przypadkiem była to twoja robota, no to bądź grzeczny i przestań to robić”. Myślicie, że by mnie posłuchał? Gdyby ten kretyn mnie słuchał, nigdy nie doszłoby do takiej sytuacji. Nalegałem, żeby nie zeznawał w czasie procesu. To kretyn, zgadzam się! Harry, jesteś adwokatem i jeden Pan Bóg wie, ilu miałeś klientów idiotów. Nie możesz zrobić niczego, żeby ich kontrolować.

– Co się stanie, jeśli zostanie zastrzelony kolejny przysięgły? – znów spytał Rex.

– Wtedy, jak przypuszczam, kolejny przysięgły będzie trupem.

Zerwałem się na równe nogi i ruszyłem do drzwi.

– Kawał drania z pana – rzuciłem.

– Ani słowa o tym w gazecie – warknął.

– Niech pana diabli wezmą! – krzyknąłem i zatrzęsnałem za sobą drzwi.

\*\*\*

Późnym popołudniem zadzwonił pan Magargel z domu pogrzebowego i zapytał, czy mógłbym do niego zajrzeć. Państwo Fargarsonowie już tam byli, wybierali trumnę i ustalali szczegóły pogrzebu. Podobnie jak w kilku innych przypadkach, spotkałem się z nimi w sali C, najmniejszym pomieszczeniu do wystawiania zwłok. Bardzo rzadko jej używano.

Był z nimi pastor J.B. Cooper z Pierwotnego Kościoła Baptystów Maranatha, prawdziwy święty. Przy podejmowaniu każdej decyzji zdawali się na niego.

Co najmniej dwa razy w roku spotykałem się z rodzinami osób, które zmarły tragicznie. Prawie zawsze był to wypadek samochodowy albo jakieś paskudne zdarzenie na farmie, coś niespodziewanego. Bliscy byli zbyt

wstrząśnięci, by jasno myśleć. Silniejsi przechodzili przez całą procedurę pogrzebową jak we śnie, słabsi wpadali zwykle w rodzaj odrętwienia i tylko płakali. Pani Fargarson okazała się tą silniejszą z ich dwojga, niemniej to, co przeżyła, znajdując syna z roztrzaskaną połową głowy, sprawiło, że przypominała roztrzęsioną zjawę. Pan Fargarson wbijał wzrok w podłogę.

Pastor Cooper łagodnym głosem przekazał mi podstawowe informacje, z których wiele znałem. Od czasu uszkodzenia kręgosłupa w wypadku piętnaście lat temu Lenny marzył o tym, żeby pójść do nieba, gdzie odzyskałby dawną sprawność i mógłby przechadzać się co dzień ze Zbawicielem. Popracowaliśmy razem nad słownictwem, które najlepiej by to oddawało, za co pani Fargarson była ogromnie wdzięczna. Wręczyła mi zdjęcie, na którym Lenny siedział z wędką nad stawem. Obiecałem, że opublikuję je na pierwszej stronie.

Jak zawsze w przypadku zrozpaczonych rodziców, przy pożegnaniu dziękowali mi wylewnie i ściskali. Ludzie pogrążeni w żałobie lgną do innych, zwłaszcza w domu pogrzebowym.

Zaszedłem do Pepe i kupiłem meksykańskie jedzenie na wynos, po czym pojechałem do Lowtown, gdzie zastałem Sama grającego w koszykówkę. Miss Callie spała, a Esau pilnował domu ze strzelbą. W końcu jednak zjedliśmy na werandzie to, co przywiozłem, choć ona właściwie poskubała tylko „zagraniczne” jedzenie. Nie była głodna. Od Esaua wiedziałem, że tego dnia niewiele zjadła.

Przywiozłem też planszę do tryktraka i nauczyłem Sama tej gry. Esau wolał warcaby. Miss Callie była pewna, że robienie czegokolwiek, co ma związek z rzucaniem kości, jest grzechem, ale nie była w nastroju do kazań. Siedzieliśmy do późnej nocy i przyglądaliśmy się rytuałom Lowtown. Rok szkolny właśnie się skończył, dni stawały się dłuższe i gorętsze.

Buster, mój dochodzący goryl, przejeżdżał obok co pół godziny. Zwalniał przed domem Ruffinów, my machaliśmy mu, dając znać, że wszystko w porządku, a on wracał na podjazd przed domem Hocuttów. Radiowóz zaparkował dwa domy od Ruffinów i stał tam bardzo długo. Szeryf McNatt zatrudnił trzech czarnych i polecił dwóm z nich, by mieli oko na dom Miss Callie.

Inni też nas obserwowali. Kiedy Miss Callie poszła spać, Esau wskazał pogrążoną w mroku werandę domu Braxtonów po drugiej stronie ulicy.

– Tully tam jest – powiedział. – Wszystko widzi.

– Obiecał, że będzie czuwał całą noc – dodał Sam.



Dla kogoś, kto chciałby zacząć strzelaninę, Lowtown było niebezpiecznym miejscem.

Wyszedłem od nich po dwudziestej trzeciej, przejechałem przez tory ijechałem pustymi ulicami Clanton. W mieście wyczuwało się napięcie i nastrój wyczekiwania, bo cokolwiek się właśnie zaczęło, było dalekie od zakończenia.

## Rozdział 38

---

**M**iss Callie uprała się, że weźmie udział w pogrzebie Len-ny’ego Fargarsona. Sam i Esau stanowczo się temu sprzeciwiali, ale jak zawsze, kiedy coś sobie postanowiła, byli bez szans. Omówiłem to z szeryfem McNattem, który podsumował wszystko stwierdzeniem:

– Jest dorosłą kobietą.

Nie słyszał, żeby inni przysięgli wybierali się na pogrzeb, ale z drugiej strony trudno było o pewność w tej sprawie. Zadzwoiłem również do pastora Coopera.

– Będzie serdecznie witana w naszym niewielkim zgromadzeniu. Ale przyjedźcie wcześniej – poprosił.

Poza rzadkimi wyjątkami czarni i biali nie mieli w okręgu Ford wspólnych świątyń. Żarliwie wierzyli w tego samego Boga, ale wybierali różne sposoby oddawania mu czci.

Większość białych oczekiwała, że wyjdzie z kościoła w niedzielę pięć po dwunastej i o wpół do pierwszej zasiądzie do lunchu. Czarni w ogóle nie zwracali uwagi na to, kiedy msza się kończy, ani też, w gruncie rzeczy, o której godzinie się zaczyna. Gdy odwiedzałem kościoły, trafiłem do dwudziestu siedmiu czarnych zgromadzeń i nigdy nie widziałem, żeby komunia odbywa-

ła się przed trzynastą trzydzieści – normą była piętnasta. Niektóre nabożeństwa trwały przez cały dzień z krótką przerwą na lunch w kościelnej świetlicy, po której wierni wracali na ciąg dalszy.

Białych chrześcijan taka gorliwość by zabiła.

Jednak pogrzeby były zupełnie inne. Kiedy Miss Callie weszła z Esauem i Samem do świątyni Pierwotnego Kościoła Baptistów Maranatha, kilka osób na nich zerknęło, i to wszystko. Gdyby przyszli na normalną mszę w niedzielny poranek, okazano by niezadowolenie.

Przyjechaliśmy czterdzieści pięć minut wcześniej. Uroczy kościółek był prawie pełny. Przez wysokie otwarte okna patrzyłem na przyjeżdżające bez przerwy samochody. Na jednym ze starych dębów powieszono głośnik, wokół którego zebrał się tłum ludzi, bo do samego kościoła nikt więcej się nie mieścił. Chór zaczął od *The Old Rugged Cross*, popłynęły łzy. Pastor Cooper ostrzegał przed zadawaniem pytania, dlaczego złe rzeczy przydarzają się dobrym ludziom. Wszystko jest w mocy Boga i choć jesteśmy zbyt ułomni, by pojąć Jego nieskończoną mądrość i majestat, Jego woła objawi nam się któregoś dnia. Lenny jest teraz z nim, a tam właśnie chciał być.

Pochowali go za kościołem na schludnym małym cmentarzu z ogrodzeniem z kutego żelaza. Gdy opuszczano trumnę do ziemi, Miss Callie trzymała mnie za rękę i żarliwie się modliła. Solistka zaśpiewała *Amazing Grace*, a potem pastor podziękował wszystkim za to, że przyszli. W kościelnej świetlicy za świątynią podano poncz i ciastka, a większość ludzi kręciła się tam jeszcze przez parę minut, żeby porozmawiać lub zamienić ostatnie słowo z rodzicami Lenny'ego.

Szeryf McNatt ruchem głowy dał mi znak, że chce pogadać. Przeszliśmy na front kościoła, gdzie nikt nie mógł nas słyszeć. Szeryf był w mundurze z obowiązkową wykałaczką w zębach.

– Zwojowaliście coś u Wilbanka? – zapytał.

– Nic, kiedy byliśmy tam obaj. Harry Rex poszedł do niego jeszcze raz wczoraj, ale też nic nie wskórał.

– Chyba sam będę musiał z nim pogadać.

– Możesz, ale to nic nie da.

Wykałaczka przesunęła się z jednego kącika ust w drugi, w sposób bardzo podobny do tego, w jaki Harry Rex przemieszczał cygaro, co nie przeszkadzało mu w prowadzeniu rozmowy.

– Nie mamy nic innego. Przeczesał las wokół domu, ale nie znaleźli-

śmy żadnego śladu. Nie wydrukujesz tego, prawda?

– Nie.

– W pobliżu domu Fargarsonów jest sporo starych duktów prowadzących głęboko w las. Sprawdziliśmy je wszystkie i nie znaleźliśmy absolutnie niczego.

– Więc jako dowód masz tylko jedną kulę?

– Ją i ciało.

– Czy ktoś widział Danny’ego Padgitta?

– Jak do tej pory nie. Dwa radiowozy pilnują drogi czterysta jeden przy zakręcie prowadzącym na Wyspę. Nie są w stanie zauważyć wszystkiego, ale przynajmniej Padgittowie wiedzą, że mamy ich na oku. Na Wyspę można się dostać na sto sposobów, ale tylko Padgittowie znają je wszystkie.

W naszą stronę szli wolno Ruffinowie, zajęci rozmową z jednym z czarnych zastępców szeryfa.

– Miss Callie najprawdopodobniej jest teraz najbezpieczniejsza – powiedział McNatt.

– Czy ktokolwiek jest bezpieczny? – spytałem.

– Przekonamy się. On znowu spróbuje, Willie, jestem o tym przekonany.

– Ja też.

\*\*\*

Ned Ray Zook miał tysiąc sześćset hektarów ziemi we wschodniej części okręgu. Uprawiał bawełnę i soję na wystarczająco dużą skalę, żeby się z tego utrzymywać. Chodziły słuchy, że jest jednym z kilku ostatnich farmerów, którzy czerpią spore zyski z pracy na roli. Dziewięć lat temu Harry Rex zabrał mnie do jego posiadłości i tam, w głębokim lesie, w przerobionej oborze, widziałem pierwszą i ostatnią walkę kogutów.

Nad ranem czternastego lipca jakiś wandal zakradł się do ogromnej szopy Zooka ze sprzętem i spuścił ropę z baków dwóch wielkich traktorów. Napełnił nią kanistry i ukrył je między zgromadzonymi tam gratami, dlatego gdy o szóstej traktorzyści przyszedli do pracy, niczego nie zauważyli. Jeden z nich sprawdził poziom paliwa, bo to należało do jego obowiązków, zobaczył ubytek, pomyślał, że to dziwne, nic nie powiedział i dolał około czterech litrów. Drugi traktorzysta sprawdził swoją maszynę poprzedniego popołudnia, jak to miał w zwyczaju. Godzinę później drugi traktor stanął niespodziewanie

w miejscu, bo zgasł silnik. Kierowca wrócił do szopy i zgłosił kierownikowi farmy, że maszyna się zepsuła.

Dwie godziny później polną drogą tłukła się po wybojach zielono-żółta furgonetka warsztatu naprawczego, która podjechała do zepsutego traktora najbliżej, jak się dało. Dwóch mechaników spojrzęło na bezchmurne niebo i słońce, a potem obeszło maszynę, poddając ją wstępnym oględzinom. Z niechęcią otworzyli boczne drzwi furgonetki i zaczęli wyjmować narzędzia i klucze. Słońce paliło i wkrótce byli mokrzy od potu.

Żeby jakoś uprzyjemnić sobie dzień, włączyli radio w furgonetce. Merle'a Haggarda było słychać daleko nad polami soi.

Muzyka zagłuszyła odległy huk wystrzału. Mo Teale dostał dokładnie w górną część pleców, kula rozerwała mu płuca i przechodząc na wylot, wyrwała dziurę w piersi. Partner Teale'a, Red, powtarzał bez przerwy, że usłyszał tylko głośny trzask na sekundę, może dwie przed tym, jak Mo upadł pod przednią ośkę. W pierwszej chwili pomyślał, że od traktora oderwała się jakaś część i go zraniła. Red wciągnął Mo do furgonetki i popędził, bardziej martwiąc się o kumpla, niż zastanawiając nad tym, co się stało. W szopie z narzędziami kierownik farmy wezwał karetkę, ale było za późno. Mo Teale zmarł na betonowej posadzce małego zakurzonego pokoju biurowego. „Pan John Deere” – tak nazywaliśmy go podczas procesu. Środek przedniego rzędu, nieprzyjazny język ciała.

W chwili śmierci miał na sobie taką samą jaskrawożółtą kurtkę od roboczego stroju, jaką nosił każdego dnia procesu. Przez nią stał się bardzo łatwym celem.

Widziałem go z daleka przez otwarte drzwi. Szeryf McNatt pozwolił nam wejść do szopy przy teraz już standardowo obowiązującym zakazie robienia zdjęć. Wiley zostawił aparat w pick-upie.

I tym razem Wiley podsłuchiwał policyjne pasmo na CB-radiu, kiedy usłyszał meldunek: „Mam strzelaninę na farmie Neda Raya Zooka!”. Zawsze miał pod ręką CB i w tamtych dniach nie był w tym odosobniony. Biorąc pod uwagę ogromne zaniepokojenie panujące w okręgu, wsłuchiowano się w CB-radio, a każda ewentualna strzelanina stawała się pretekstem, by wskoczyć do samochodu i pojechać na miejsce, żeby popatrzeć.

McNatt wkrótce poprosił nas, żebyśmy wyszli. Jego ludzie znaleźli kanistry z ropą spuszczoną z baków przez sabotażystę, natknęli się też na wyłamanie okno, przez które dostał się do szopy. Posłużyli się proszkiem daktylo-

skopijnym, ale nie było żadnych odcisków palców. Szukali śladów butów na żwirowym podłożu, ale też niczego nie znaleźli. Przeczesał lasy wokół pola, ale nie natrafili na żaden ślad mordercy. Dopiero w ziemi obok traktora wpadła im w ręce kula kaliber trzydzieści zero sześć. Szybko ustalono, że jest identyczna jak ta, która zabiła Lenny'ego Fargarsona.

\*\*\*

Kręciłem się w pobliżu biura szeryfa jeszcze długo po zmierzchu. Jak można się było spodziewać, trwała tam krzątanina; zastępcy szeryfa i konstable pałętali się od jednego miejsca do drugiego, porównywali teorie, wymyślali nowe szczegóły. Pojawiły się też kolejne problemy. Mieszkańcy miasta, nie mogąc pohamować ciekawości, zaczęli przychodzić do biura szeryfa i pytać każdego, kto chciał słuchać, czy coś już wiadomo.

McNatt zabarykadował się w pokoju razem ze swoimi najlepszymi chłopakami i próbowali wymyślić, co robić. Jego priorytetem stała teraz ochrona pozostałych przy życiu sędziów przysięgłych. Trzech już nie żyło – Fred Billoroy (zapalenie płuc), a teraz Lenny Fargarson i Mo Teale. Jeden z przysięgłych dwa lata po procesie przeprowadził się na Florydę. W tej chwili przed domem każdego z żyjącej ósemki stał radiowóz.

W końcu opuściłem to miejsce i zmierzałem do redakcji, by popracować nad artykułem o zamordowaniu Mo Teale'a, ale moją uwagę zwróciło światło w kancelarii Harry'ego Rexa. Zastałem go w sali konferencyjnej, stojącego po kolana w aktach, zeznaniach i innych adwokackich śmieciach, których widok zawsze przyprawiał mnie o ból głowy. Z niewielkiej lodówki wzięliśmy dwa piwa i postanowiliśmy wybrać się na przejażdżkę.

Jechaliśmy wąską ulicą w robotniczej dzielnicy miasta znanego jako Coventry, mijaliśmy przypominające przewrócone klocki domina domy z samochodami zaparkowanymi na podwórzach od frontu.

– To tutaj mieszka Maxine Root – powiedział Rex. – Była w składzie przysięgłych.

Słabo pamiętałem panią Root. Jej niewielki dom z czerwonej cegły miał werandę, o której nie warto wspominać, dlatego sąsiedzi siedzieli na składanych leżakach pod wiatą dla samochodu. Widać było strzelby. Radiowóz stał zaparkowany obok skrzynki na listy, dwóch zastępców szeryfa opierało się o maskę, paliło papierosy i przyglądało nam się uważnie, gdy przejeżdżali-

śmy. Harry Rex zatrzymał się i rzucił:

- Dobry wieczór, Troy.
- Hej, Harry Rex – odpowiedział Troy, robiąc krok w naszą stronę.
- Urządzili niezłą imprezę, co?
- Ktoś musiałby być kretynem, żeby rozrabiać w tej okolicy.
- My tylko przejeżdżamy – wyjaśnił Harry Rex.
- No to lepiej zmiatajcie – odpowiedział Troy. – Ręce ich tu świerzbią.
- Uważaj na siebie.

Odjechaliśmy. Harry Rex skręcił za jakąś oborą na północy miasta, gdzie kończyła się ślepo długa, pogrążona w ciemności ulica prowadząca do wieży ciśnień. Mniej więcej od połowy długości po obu jej stronach stały zaparkowane samochody.

– Kto tu mieszka? – zapytałem.

– Earl Youry. Zajmował miejsce w tylnym rzędzie, najdalej od publiczności.

Przy furtce kłębił się tłum ludzi. Niektórzy siedzieli na stopniach schodów. Inni ustawiali na trawniku składane krzeselka. Earl Youry ukrył się i był dobrze pilnowany przez przyjaciół i sąsiadów.

Miss Callie miała nie gorszą ochronę. Ulicą przed jej domem ledwie dawało się przejechać, tyle stało tam samochodów. Siedzieli w nich mężczyźni, niektórzy palili, inni trzymali strzelby. Werandy u sąsiadów obok i po drugiej stronie ulicy były pełne ludzi. By zyskać pewność, że Miss Callie jest bezpieczna, zgromadziła się tam połowa Lowtown. Panowała atmosfera festynu, nastrój niezwykłego wydarzenia.

Ponieważ nasze twarze były białe, obrzucono nas uważniejszymi spojrzeniami. Nie zatrzymywaliśmy się, dopóki Harry Rex nie porozmawiał z zastępcami szeryfa, a kiedy tylko nasza obecność została zaaprobowana, wszyscy się odprężyli. Zaparkowaliśmy, a ja poszedłem do domu Miss Callie, gdzie na schodach czekał na mnie Sam. Harry Rex nadal rozmawiał z zastępcami ludźmi z biura szeryfa.

Miss Callie była w sypialni i czytała Biblię z przyjaciółmi z Kościoła. Kilku diakonów siedziało na werandzie z Samem i Esauem. Wszyscy niecierpliwie czekali na szczegóły dotyczące zamordowania Teale'a. Przekazałem im wszystko, co wiedziałem, a nie było tego dużo.

Koło północy ludzie zaczęli się powoli rozchodzić. Sam i ludzie szeryfa skrzyknęli mężczyzn dyżurujących na zmiany ze strzelbami na frontowej

i tylnej werandzie. Ochotników nie brakowało. Miss Callie nawet nie marzyła o tym, że jej ładny i bogobojny dom stanie się tak uzbrojoną fortecą, ale w tych okolicznościach nie powinna narzekać.

Ulicami, na których wyczuwało się niepokój, pojechaliśmy do domu Houghtonów, gdzie zastaliśmy Bustera śpiącego w samochodzie na podjeździe. Znaleźliśmy trochę bourbona, usiedliśmy na werandzie i przeklinając od czasu do czasu namolnego komara, próbowaliśmy ocenić sytuację.

– Jest bardzo cierpliwy – stwierdził Harry Rex. – Odczeka kilka dni, aż wszyscy sąsiedzi zaczną mieć dość przesiadywania na werandach i stracą czujność. Przysięgli nie dadzą rady żyć w zamknięciu przez długi czas. A on będzie czekał.

Do publicznej wiadomości nie został podany jeden, przyprawiający o dreszcz zgrozy fakt: tydzień wcześniej ktoś zadzwonił do warsztatu naprawy traktorów. Na farmie Andersona na południe od miasta traktor został unieruchomiony w taki sam sposób. Mo Teale, który był jednym z czterech głównych mechaników, nie został wysłany do jego naprawy. Jaskrawożółta kurtka kogoś innego była uważnie obserwowana przez lunetę na strzelbie.

– Jest cierpliwy i pedantyczny – zgodziłem się z Harrym Rexem.

Między jednym a drugim zabójstwem minęło jedenaście dni. Morderca nie zostawił żadnych śladów. Jeśli to rzeczywiście był Danny Padgitt, istniał porażający kontrast między jego pierwszym morderstwem – Rhody Kassellaw – i dwoma ostatnimi. Z brutalnego mordercy powodowanego namiętnością zmienił się w oprawcę zabijającego z zimną krwią. Może właśnie tego nauczył się przez dziewięć lat w więzieniu. Miał mnóstwo czasu na przypominanie sobie twarzy dwanaściorga osób, które go skazały, i zaplanowanie zemsty.

– Jeszcze nie skończył – dodał Harry Rex.

Pojedyncze morderstwo można uznać za dzieło przypadku.

Dwa oznaczały istnienie schematu. Trzecie sprawi, że Wyspę Padgittów najdzie mała armia policji i straży obywatelskiej i rozpocznie regularną wojnę.

– On będzie czekał – rzekł Harry Rex. – Prawdopodobnie bardzo długo.

– Zastanawiam się nad sprzedażą gazety – wyznałem.

Harry Rex upił duży łyk bourbona i spytał:

– Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Dla pieniędzy. Pewna firma z Georgii złożyła mi poważną ofertę.



– Za ile?

– Za mnóstwo. Więcej, niż mógłbym sobie wymarzyć. Nie musiałbym pracować przez długi czas. Może już nigdy.

Pomysł rzucenia pracy trafił w jego czułą strunę. Zwykle dziesięć godzin każdego jego dnia wypełniał chaos – bardzo rozemocjonowani, zdenerwowani klienci, którzy się rozwodzili. Często pracował w nocy, kiedy w kancelarii panowała cisza i mógł myśleć. Zarabiał na wygodne życie, ale na pewno musiał się liczyć z każdym centem.

– Od jak dawna masz tę gazetę? – zapytał.

– Od dziewięciu lat.

– Trochę trudno wyobrazić ją sobie bez ciebie.

– Może to właśnie powód, żeby ją sprzedać. Nie chcę być kolejnym Wilsonem Caudle'em.

– I co będziesz robił?

– Zrobię sobie przerwę, będę podróżował, zobaczę świat, znajdę jakąś ładną dziewczynę, ożenię się z nią i będę miał dzieci. To wielki dom.

– Więc się nie wyprowadzisz?

– A dokąd? To mój dom.

Kolejny długi łyk.

– Sam nie wiem. Muszę się z tym przespać. – Z tymi słowami zszedł z windy i odjechał.

## Rozdział 39

---

**B**yło oczywiste, że w miarę przybywania trupów ciekawość ludzi będzie rosła, a „Times” nie będzie mógł jej w pełni zaspokoić. Następnego ranka w moim pokoju zjawiał się dziennikarz, którego znałem z gazety wydawanej w Memphis, a dwadzieścia minut później dołączył do niego dziennikarz z Jackson. Obaj zajmowali się północnym terytorium Missisipi, gdzie najbardziej sensacyjną wiadomością była zwykle eksplozja w fabryce albo kolejny proces skorumpowanego urzędnika okręgu.

Przedstawiłem tło obu morderstw, opowiedziałem im o zwolnieniu warunkowym Padgitta i strachu, jaki zapanował w okręgu. Nie konkutowaliśmy ze sobą – oni pisali do dużych dzienników, których zasięg generalnie się nie pokrywał. Większość z moich prenumeratorów kupowała również dziennik z Memphis albo Jackson. Codzienna gazeta z Tupelo też była popularna.

A ja, szczerze mówiąc, traciłem zainteresowanie nie tylko obecną sytuacją, ale i dziennikarstwem jako zawodem uprawianym z powołania. Świat mnie wzywał. Kiedy siedziałem w redakcji, piłem kawę i wymieniałem się opowieściami z dwoma starszymi ode mnie weteranami dziennikarstwa, z których każdy zarabiał około czterdziestu tysięcy dolarów rocznie, nie mogłem uwierzyć, że mogę stąd odejść w jednej chwili z milionem dolców. Przez to

trudno było mi się skupić.

W końcu dziennikarze wyszli powęszyć. Kilka minut później zadzwonił Sam.

– Powinieneś tu przyjechać – powiedział.

Domu Ruffinów nadal pilnowała niewielka grupa niezbyt zachęcająco wyglądających ludzi. Wszyscy czterej mieli przekrwione i zapuchnięte oczy, bardzo potrzebowali snu. Sam przeprowadził mnie przez ich biwak i weszliśmy do kuchni, gdzie Miss Callie łuskała groszek, choć zawsze robiła to na werandzie z tyłu domu. Uśmiechnęła się do mnie ciepło i jak zwykle uściskaliśmy się, ale było widać, że coś ją trapi.

– Tam – powiedziała.

Sam kiwnął głową i przeszliśmy do jej niewielkiej sypialni. Zamknęła za nami drzwi, jakby mogli tu zajrzeć jacyś intruzi, a potem zniknęła w wąskiej garderobie. Czekaliśmy, czując się niezręcznie, podczas gdy ona czegoś szukała.

Wreszcie wyłoniła się ze starym zeszytem, z pewnością bardzo dobrze schowanym.

– Coś tu się nie zgadza – powiedziała, siadając na brzegu łóżka.

Sam ulokował się obok niej, a ja zająłem stary fotel bujany. Przerzucała kartki wypełnione jej pismem.

– O, tu jest. Złożyliśmy uroczystą przysięgę, że nigdy nie będziemy rozmawiali o tym, co wydarzyło się w pokoju narad sędziów przysięgłych. Ale to jest zbyt ważne, żeby nikomu o tym nie mówić. Kiedy uznaliśmy Padgitta za winnego, głosowanie odbyło się szybko i jednomyślnie. Ale gdy przeszliśmy do kary śmierci, pojawiły się głosy sprzeciwu. Ja rzecz jasna nie chciałam posyłać nikogo na śmierć, ale obiecałam szanować prawo. Atmosfera zrobiła się gęsta, padały ostre słowa, a nawet jakieś oskarżenia i groźby. Uczestniczenie w czymś takim nie było przyjemne. Kiedy stało się jasne, jakie kto zajmuje stanowisko, okazało się, że trzy osoby sprzeciwiają się karze śmierci i nie mają zamiaru zmienić zdania.

Pokazała mi stronę w zeszycie. Wyraźnym i ładnym charakterem napisała nazwiska w dwóch kolumnach. W jednej widniało dziewięć nazwisk, w drugiej tylko trzy: Lenny’ego Fargarsona, Mo Teale’a i Maxine Root. Gapiłem się na nie i pomyślałem, że może patrzę na listę ofiar zabójcy.

– Kiedy to pani napisała? – zapytałem.

– Notowałam wszystko w czasie procesu.

Dlaczego Danny Padgitt miałby zabijać przysięgłych, którzy nie chcieli skazać go na karę śmierci? Tych, którzy tak naprawdę ocalili mu życie?

– Zabija nie tych, co trzeba, prawda? – zapytał Sam. – Chciałem powiedzieć, że to wszystko jest złem, ale jeśli ktoś chce się zemścić, to dlaczego ściga ludzi, którzy próbowali go ratować?

– Powiedziała, to nie ma sensu – odezwała się Miss Callie.

– Wasze założenia są trochę na wyrost – zacząłem. – Przyjmuje pani, że on wie, jak głosowali poszczególni sędziowie. Z tego, co wiem ja, a węszyłem w tej sprawie bardzo długo, żaden z przysięgłych nie zdradził, jak wyglądało głosowanie. Sam proces został wkrótce przyćmiony nakazem desegregacji. Padgitt został odwieziony do Parchman tego samego dnia, kiedy zapadł wyrok. Istnieje spora szansa, że wybiera najpierw najłatwiejsze cele, a Lenny Fargarson i Mo Teale znaleźli się na muszce przez przypadek.

– Trochę dużo tych przypadków – mruknął Sam.

Zastanawialiśmy się nad tym bardzo długo. Nie byłem pewny, czy coś takiego jest możliwe, zresztą nie byłem pewny niczego. A potem przyszła mi do głowy myśl.

– Nie zapominajmy, że wszystkich dwunastu przysięgłych uznało go za winnego i dokładnie wtedy wyskoczył z groźbą.

– Niewykluczone – zgodziła się Miss Callie, ale bez przekonania.

Usiłowaliśmy doszukać się sensu w czymś, co było zupełnie niezrozumiałe.

– Muszę przekazać tę informację szeryfowi – powiedziałem.

– Obiecaliśmy, że nikomu nie powiemy.

– To było dziewięć lat temu, mamó – przypomniał jej Sam. – I nikt nie był w stanie przewidzieć tego, co dzieje się teraz.

– To wyjątkowo ważne dla Maxine Root – dodałem.

– Nie przyszło ci do głowy, że inni przysięgli mogli już przekazać tę informację? – zapytał Sam.

– Może, ale to było tak dawno. I wątpię, żeby ktoś z nich robił notatki.

Przy wejściu do domu powstało jakieś zamieszanie. To przyjechali Bobby, Leo i Al. Spotkali się w St. Louis, a potem przez całą noc jechali samochodem do Clanton. Wypiliśmy kawę przy stole w kuchni, a ja przekazałem im najświeższe wiadomości. Miss Callie nagle się ożywiła, zaczęła obmyślać obiad i spisywała listę warzyw, które Esau miał zebrać w ogrodzie.

\*\*\*

Szeryf McNatt odwiedzał po kolei wszystkich przysięgłych. Musiałem podzielić się z kimś zyskaną wiedzą, dlatego zaszedłem do kancelarii Harry'ego Rexa i czekałem niecierpliwie, aż skończy spisywać czyjeś zeznania. Kiedy zostaliśmy sami, opowiedziałem mu o liście Miss Callie i podziale głosów sędziów. Tego dnia musiał przez dwie godziny targować się zaciekle z grupą prawników, więc był w wojowniczym nastroju.

Jak zwykle miał własną, zupełnie inną i bardziej cyniczną teorię.

– Ta trójka miała blokować już samo orzeczenie winy – stwierdził po szybkiej analizie. – Z jakiegoś powodu jednak ustąpili, prawdopodobnie pomyśleli, że zrobią coś dobrego, ratując go przed komorą gazową, ale rzecz jasna Padgitt nie rozumował w ten sposób. Przez dziewięć lat chodził wkurzony, bo kupieni sędziowie nie doprowadzili do sytuacji patowej wśród przysięgłych. Pomyślał zatem, że najpierw rozprawi się z nimi, a potem przyjdzie kolej na resztę.

– Nie ma takiego sposobu, żeby Danny Padgitt mógł kupić Lenny'ego Fargarsona – powiedziałem.

– Tylko dlatego, że był kaleką?

– Tylko dlatego, że był dewocyjnym chrześcijaninem.

– Był bezrobotny, Willie, a kiedyś mógł pracować. Wiedział, że z czasem jego stan się pogorszy. Może potrzebował pieniędzy. Cholera, wszyscy ich potrzebują. A Padgittowie mają forsy jak lodu.

– Nie wierzę w to.

– Więcej w tym sensu niż w twoich porąbanych teoriach. Uważasz, że ktoś inny załatwia przysięgłych?

– Tego nie powiedziałem.

– I dobrze, bo wtedy nazwałbym cię pieprzonym debilem.

– Zdarzyło ci się nazywać mnie gorzej.

– Nie dziś.

– Zgodnie z twoją teorią Mo Teale i Maxine Root także wzięli kasę od Padgittów, a potem wystawili Danny'ego do wiatru przy orzekaniu winy, żeby zmienić zdanie, gdy trzeba było zdecydować o karze śmierci, i teraz płacą najwyższą cenę przede wszystkim za to, że nie doprowadzili do zawieszenia obrad przysięgłych, czy tak?

– O tak, jak cholera!

– Jesteś pieprzonym debilem, wiesz? Z jakiego powodu uczciwy, ciężko pracujący, nienawidzący przestępstwa, pobożny człowiek, jak Mo Teale, zgodziłby się wziąć pieniądze od Padgittów?

– Może go zastraszyli?

– Może! A może nie!

– Więc jak brzmi twoja najlepsza teoria?

– A tak, że to Padgitt, i tak się złożyło, że pierwsze dwie osoby, które wybrał, przypadkiem były z tej trójki, która głosowała przeciwko karze śmierci. On nie wie, jak przebiegało głosowanie. Był w Parchman już dwanaście godzin po wyroku. Zrobił własną listę. Fargarson znalazł się na niej jako pierwszy, bo był bardzo łatwym celem. Teale był drugi, bo Padgitt mógł wybrać miejsce.

– Kto jest trzeci?

– Nie wiem, ale ci ludzie nie będą przez wieczność siedzieli zamknięci w domach. Poczekaj na właściwy moment, pozwoli, żeby sprawy przyschły, a potem po cichu znowu zaczniesz wcielać swój plan w życie.

– Ktoś może mu pomagać.

– Otóż to.

Telefon Harry'ego Rexa dzwonił bez przerwy. Zerknął na niego w chwili, gdy nastąpiła pauza w naszej rozmowie.

– Mam robotę – powiedział.

– Chyba odwiedzę szeryfa. Do zobaczenia.

Wyszedłem już z jego kancelarii, kiedy krzyknął za mną:

– Jeszcze jedna rzecz, Willie!

Odwróciłem się.

– Sprzedaj gazetę, weź pieniądze i pobaw się przez jakiś czas. Zasłużyłeś.

– Dzięki.

– Ale nie opuszczaj Clanton na dobre, słyszysz?

– Nie opuszczę.

\*\*\*

Earl Youry jeździł walcem na zlecenie władz okręgu. Wyrównywał polne drogi, które docierały do miejsc, gdzie diabeł mówi dobranoc, od Possum Ridge daleko za Shady Grove. Ponieważ pracował sam, postanowiono, że przez kilka dni powinien trzymać się remizy, gdzie miał wielu przyjaciół,

z których każdy wykazywał teraz wzmożoną czujność i woził w samochodzie strzelbę. Szeryf McNatt naradził się Yourym i jego szefem, a potem razem opracowali plan mający na celu zapewnienie mu bezpieczeństwa.

Youry zadzwonił do szeryfa i powiedział, że ma ważną informację. Przyznał, że pamięć go zawodzi, ale był pewny, że kaleki chłopak i Mo Teale nieugięcie sprzeciwiali się karze śmierci. Przypomniawszy sobie, że był też trzeci głos przeciwko karze śmierci, może którejś z kobiet, może tej kolorowej. Nie potrafił sobie tego przypomnieć, w końcu minęło dziewięć lat. Zadał szeryfowi to samo pytanie: „Dlaczego Danny Padgitt miałby zabijać przysięgłych, którzy nie chcieli skazać go na śmierć?”

Kiedy wszedłem do biura szeryfa, McNatt skończył właśnie rozmawiać z Yourym i był zupełnie zbity z tropu.

I nic dziwnego. Zamknąłem drzwi i zrelacjonowałem mu rozmowę z Miss Callie.

– Widziałem jej notatki, szeryfie. Trzeci głos należał do Maxine Root.

Przez godzinę wałkowaliśmy te same argumenty, jakie przerabiałem z Samem i Harrym Rexem. Wszystko to nie trzymało się kupy. Szeryf nie wierzył, że Padgittowie kupili albo zastraszyli Lenny’ego lub Mo Teale’a. Nie był już taki pewny w przypadku Maxine Root, bo pochodziła z rodziny, która nie miała najlepszej opinii. Zgadzał się ze mną, że pierwsze dwa morderstwa były przypadkowe, a Padgitt najprawdopodobniej nie miał pojęcia, jak głosowali przysięgli. Co ciekawe, McNatt przyznał się, że rok po procesie poznał rozkład głosów dotyczący kary śmierci – dziewięć do trzech – i wiedział, że Mo Teale sprzeciwiał się temu werdyktowi bardzo gwałtownie.

Zgodziliśmy się też, że ponieważ z tą sprawą był związany Lucien Wilbanks, istniało spore prawdopodobieństwo, że Padgitt wiedział jednak znacznie więcej o naradzie przysięgłych niż my. Wszystko było możliwe.

I nic nie miało sensu.

Kiedy siedziałem u niego w pokoju, zadzwonił do Maxine Root. Była księżową w fabryce butów w północnej części miasta i uparła się, że będzie chodziła do pracy. McNatt odwiedził ją tego ranka w biurze, sprawdził to miejsce, porozmawiał z jej szefem i współpracownikami, upewnił się, że wszyscy są bezpieczni. Jego dwóch ludzi zainstalowało się na zewnątrz i pilnowało budynku, wypatrując najmniejszych problemów i czekając, aż Maxine wyjdzie z pracy, żeby eskortować ją do domu.

Przez kilka minut szeryf i Maxine świergotali przez telefon jak starzy przy-

jaciele, a potem McNatt powiedział:

– Słuchaj, Maxine, wiem, że ty, Fargarson i Teale głosowaliście przeciwko karze śmierci dla Danny’ego Padgitta... – Przerwał, bo najwyraźniej weszła mu w słowo. – Cóż, nieważne, jak się tego dowiedziałem. Ważne, że z tego powodu martwię się o twoje bezpieczeństwo. Bardzo się martwię.

Słuchał jej przez parę minut i wtrącał co jakiś czas zdania w rodzaju:

– Cóż, Maxine, nie mogę tak po prostu rzucać oskarżeń i aresztować chłopaka.

A później:

– Możesz poprosić braci, żeby wozili strzelby w ciężarówkach.

Albo:

– Pracuję nad tą sprawą, Maxine, a kiedy znajdę wystarczające dowody, zdobędę nakaz jego aresztowania.

Oraz:

– Jest za późno, żeby skazać go na karę śmierci, Maxine. Zrobiłaś to, co uważałaś za słuszne w tamtym czasie.

Kiedy kończyli rozmowę, kobieta płakała.

– Biedactwo. – McNatt westchnął. – Ma nerwy w strzępach.

– Trudno jej się dziwić – powiedziałem. – Sam kucam przy oknach.



## Rozdział 40

---

**N**abożeństwo żałobne za Mo Teale’a odbyło się w kościele metodystów przy Willow Road, trzydziestym szóstym na mojej liście. Stał już prawie poza granicami Clanton, na południe od rynku. Ponieważ nie znałem osobiście Mo Teale’a, nie poszedłem na pogrzeb. Ale wzięło w nim udział wiele osób, które również go nie znały.

Gdyby zmarł na atak serca w wieku pięćdziesięciu jeden lat, byłoby to nagłe i tragiczne zdarzenie, a msza na pewno przyciągnęłaby imponującą liczbę żałobników. Ale śmierć od kuli wystrzelonej z zemsty przez dopiero co zwolnionego z więzienia mordercę była wabikiem, któremu ciekawscy nie potrafili się oprzeć. W tłumie znaleźli się dawno zapomniani znajomi ze szkoły czwórki jego dorosłych dzieci i wszędobylskie wdowy – za nic nie opuściłyby dobrego pogrzebu – zamiejscowi dziennikarze i kilku mężczyzn, których z Mo Teale’em łączyło jedynie to, że mieli traktory marki John Deere.

Trzymałem się od tego z daleka i pisałem nekrolog Teale’a. Jego najstarszy syn okazał się na tyle uprzejmy, że zajrzał do redakcji i podał mi szczegóły. Syn miał trzydzieści trzy lata – Mo i jego żona wcześniej założyli rodzinę – i sprzedawał nowe fordys w Tupelo. Siedział u mnie prawie dwie godziny i rozpaczliwie pragnął zapewnienia, że Danny Padgitt zostanie niedługo

złapany i ukamienowany.

Pochówek odbył się na miejskim cmentarzu w Clanton. Kondukt pogrzebowy ciągnął się przez dobre cztery przecznice, skręcił przy rynku i kroczył dalej Jackson Avenue tuż przed siedzibą redakcji „Timesa”. Ruch uliczny na tym nie ucierpiał, bo w pogrzebie brali udział wszyscy.

\*\*\*

Wykorzystując Harry’ego Rexa jako pośrednika, Lucien Wilbanks zaaranżował spotkanie z szeryfem McNattem. Zwrócił również szczególną uwagę na mnie i wyraźnie zaznaczył, że nie życzy sobie mojej obecności. To nie miało znaczenia. Harry Rex robił notatki i zrelacjonował mi wszystko, oczywiście z góry zakładając, że nic z tego nie zostanie wydrukowane.

W gabinecie Luciena był też Rufus Buckley, prokurator okręgowy, który w 1975 roku zajął miejsce Erniego Gaddisa. Był typowym populistą – choć nie chciał się mieszać do zwolnienia warunkowego Danny’ego Padgitta, nie mógł się doczekać chwili, gdy stanie na czele tłumu mającego go zlinczować. Harry Rex gardził Buckleyem, uczucie to było zresztą odwzajemniane. Lucien też nim gardził, ale on nie lubił właściwie wszystkich, bo jego też nikt nie lubił. Szeryf McNatt nienawidził Luciena, tolerował Harry’ego Rexa i był zmuszony do pracy po tej samej stronie barykady co Buckley, choć prywatnie go nie znosił.

Biorąc pod uwagę wszystkie te animozje, byłem zadowolony, że nie zaproszono mnie na to spotkanie.

Lucien zaczął od poinformowania ich, że rozmawiał z Danny’em Padgitem i jego ojcem Gillem. Spotkali się gdzieś poza Clanton i z dala od Wyspy. Danny dobrze sobie radził, pracował codziennie w biurze rodzinnej firmy zajmującej się budowaniem dróg, która miała siedzibę na Wyspie Padgittów, w ich bezpiecznym azylu.

Jak można się było spodziewać, Danny wyparł się jakiegokolwiek udziału w zabiciu Lenny’ego Fargarsona i Mo Teale’a. Był zaszokowany tym, co się działo, i wściekły, że powszechnie uważano go za głównego podejrzanego. Lucien podkreślił, że wziął Danny’ego w krzyżowy ogień pytań. Posunął się tak daleko, że wywołał jego irytację, ale nawet przez chwilę nie wątpił w jego szczerść.

Lenny Fargarson został zastrzelony dwudziestego trzeciego maja po połu-

dniu. Danny pracował wtedy w biurze i cztery osoby mogą przysiąc, że tam przebywał. Dom Fargarsonów stoi co najmniej pół godziny jazdy od Wyspy Padgittów, a tych czterech świadków jest pewnych, że Danny przez całe popołudnie był w biurze albo w jego pobliżu.

– Ilu z tych świadków ma na nazwisko Padgitt? – zapytał McNatt.

– W tej chwili nie podamy jeszcze nazwisk – odrzekł Lucien, unikając odpowiedzi jak rasowy prawnik.

Jedenaście dni później, trzeciego czerwca rano, koło dziewiątej piętnaście, został zastrzelony Mo Teale. Dokładnie w tym momencie Danny stał przy właśnie skończonej drodze w okręgu Tippah i odbierał dokumenty podpisane przez jednego z brygadzystów budowlanych Padgittów. Brygadzysta oraz dwóch robotników byli gotowi zeznać, gdzie przebywał wtedy Danny. Droga znajdowała się co najmniej o dwie godziny od farmy Neda Raya Zooka, we wschodniej części okręgu Ford.

W przypadku obu morderstw Lucien przedstawił niepodważalne alibi, choć jego słuchacze nie kryli sceptycyzmu. Było jasne, że Padgittowie wszystkiemu zaprzeczają. A biorąc pod uwagę łatwość, z jaką przychodziło im łgarstwo, łamanie nóg i przekupywanie ludzi, mogli znaleźć świadków dosłownie wszystkiego.

Szeryf McNatt wyraził głośno swoje zastrzeżenia. Wyjaśnił Lucienowi, że kontynuuje śledztwo i kiedy znajdzie jakieś dowody, wystąpi o nakaz aresztowania Danny'ego i zjawi się na Wyspie. Kilka razy rozmawiał z policją stanową – jeśli potrzeba będzie nawet stu funkcjonariuszy, żeby wykurzyć Danny'ego z Wyspy, to przyjedzie stu.

Lucien zapewnił go, że nie będzie to konieczne. Jeśli nakaz aresztowania zostanie wydany zgodnie z prawem, zrobi, co w jego mocy, by osobiście doprowadzić chłopaka, gdzie trzeba.

– Jeżeli dojdzie do następnego zabójstwa, to Wyspa eksploduje – ostrzegł McNatt. – Zobaczycie tysiąc wieśniaków przechodzących przez most i strzelających do każdego Padgitta, jakiego uda się im znaleźć.

Buckley powiedział, że dwa razy rozmawiał o tych morderstwach z sędzią Omarem Noosem i odniósł uzasadnione wrażenie, że sędzia jest „niemal gotów” wydać nakaz aresztowania Danny'ego. Lucien zaatakował go serią pytań o domniemaną niewinność i dowody. Buckley bronił się, mówiąc, że groźba rzucona przez Padgitta podczas procesu jest aż nadto wystarczającym powodem, żeby podejrzewać go o dokonanie tych morderstw.

Spotkanie zamieniło się w zacieklą kłótnię tych dwóch o pozbawione znaczenia szczegóły proceduralne. Szeryf w końcu ją przerwał, oznajmiając, że dość już się nasłuchał, i wyszedł z gabinetu Luciena. Buckley poszedł w jego ślady. Harry Rex został tam jeszcze przez chwilę i pogadał z Lucieniem w spokojniejszej atmosferze.

\*\*\*

– No to mamy kłamców, którzy osłaniają kłamców – podsumował Harry Rex, godzinę później chodząc nerwowo po moim pokoju. – Lucien mówi prawdę tylko wtedy, gdy jest wygodna dla niego lub jego klientów, co nie zdarza się często. A Padgittowie nie mają pojęcia, co to słowo oznacza.

– Pamiętasz Lydię Vince? – zapytałem.

– Kogo?

– Tę dziwkę z procesu, którą Wilbanks powołał na świadka. Zeznawała pod przysięgą. Powiedziała sędziom, że kiedy Rhoda została zamordowana, Danny był z nią w łóżku. Padgittowie skądś ją wystrasnęli, przekupili i podeślali Lucienowi. To banda kłamliwych złodziei.

– A potem ktoś zastrzelił jej byłego, tak?

– Tuż po procesie. Załatwił go prawdopodobnie jeden ze zbirów Padgittów. Żadnych śladów poza kulami. Żadnych podejrzanych. Nic. Brzmi znajomo.

– Zdaniem Luciena, McNatt nie uwierzył w nic, co od niego usłyszał. Podobnie jak Buckley.

– A ty?

– Ja też nie. Widziałem, jak Lucien łąże przed przysięgłymi. Potrafi być bardzo przekonujący, nie często, ale od czasu do czasu. Miałem wrażenie, że za bardzo się wysiłał, żeby nas przekonać. To Danny i ktoś mu pomaga.

– Czy McNatt też tak uważa?

– Aha, ale nie ma dowodów. Aresztowanie Danny'ego byłoby stratą czasu.

– Przynajmniej nie szwendałby się po mieście.

– To byłoby tymczasowe rozwiązanie. Bez dowodów nie można trzymać kogoś za kratkami w nieskończoność. A on jest cierpliwy. Czekał dziewięć lat.

\*\*\*

Choć wesołków nigdy nie zidentyfikowano, a oni sami mieli tyle zdrowego rozsądku, żeby swoją tajemnicę zabrać do grobu, w następnych miesiącach snuto uzasadnione spekulacje, że chodziło o dwóch nastoletnich synów burmistrza. Widziano bowiem dwóch małych uciekających stamtąd zbyt szybko, żeby dało się ich złapać. A synowie burmistrza mieli bogatą i barwną przeszłość jako pomysłowi i bezczelni żartownisie.

Pod osłoną ciemności śmiało prześlizgnęli się przez gęsty żywopłot i zatrzymali niecałe piętnaście metrów od rogu werandy domu Earla Youry'ego. Obserwowali stamtąd tłum przyjaciół i sąsiadów biwakujących na trawniku przed domem i pilnujących Earla, i czekali cierpliwie na odpowiedni moment, żeby przypuścić atak.

Kilka minut po dwudziestej trzeciej w kierunku werandy została wystrzelona długa taśma z osiemdziesięcioma czterema petardami, a kiedy zaczęły wybuchać, Clanton eksplodowało, jakby zaczęła się wojna na śmierć i życie. Mężczyźni krzyczeli, kobiety wrzeszczały, pan Youry padł na podłogę i na czworakach uciekł do domu. Jego strażnicy przewrócili się razem z krzesłami na murawę, ściskali kurczowo broń i chowali się w trawie, a tymczasem petardy strzelały, podskakiwały i dymiły jak szalone. Ostatnia wybuchła po trzydziestu sekundach pandemonium, a w tym czasie kilkunastu uzbrojonych po zęby mężczyzn uciekało za drzewa i celowało z broni, gotowi zastrzelić wszystko, co się rusza.

Travis, póletatowy zastępca szeryfa, ocknął się z drzemki na masce radiowozu. Wyszarpnął z kabury magnum czterdziestkęczwórkę i pochylony rzucił się biegiem w kierunku taśmy z petardami. Uzbrojeni sąsiedzi miotali się po całym trawniku pana Youry'ego. Z jakiegoś powodu – ale ani on, ani żaden z jego przełożonych nigdy tego oficjalnie nie wyjaśnili – Travis strzelił w powietrze. Huk był bardzo głośny i skutecznie zagłuszył petardy. Z tego powodu ktoś inny, kogo też świerzbiał palec i kto nigdy się do tego nie przyznał, pociągnął za spust i wypalił z dwunastostrzałowej strzelby w kierunku drzew. Bez wątpienia wielu innych poszłoby w jego ślady i mogłoby dojść do prawdziwej jatki, gdyby inny zastępca szeryfa, też pracujący na pół etatu, Jimmy, nie wrzasnął głośno:

– Wstrzymać ogień, kretyni!

Ogień ustał w jednej chwili, ale kilka petard jeszcze nie wybuchło. Kiedy eksplodowała ostatnia, wszyscy członkowie „straży obywatelskiej” podeszli do dymiącego skrawka trawnika i sprawdzili, co tam jest. Natychmiast roze-

szyła się pogłoska, że to zwykłe fajerwerki. Earl Youry wyjrzał przez uchylone drzwi i w końcu wyszedł na dwór.

Trochę dalej przy tej samej ulicy Alice Wood usłyszała strzały i pobiegła na tył domu, żeby zamknąć drzwi na klucz, kiedy przed jej kuchennymi drzwiami przemknęło dwóch nastolatków parskających śmiechem. Zeznała potem, że mieli około piętnastu lat i byli biali.

Niecałe dwa kilometry dalej, w Lowtown, schodziłem po schodach domu Miss Callie, gdy usłyszałem odległe eksplozje. Nocna zmiana – Sam, Leon i dwóch diakonów – zerwała się na równe nogi i spojrzała w kierunku, z którego dochodził odgłos wystrzałów. Czterdziestkaczwórka huknęła niczym haubica. Czekaliśmy i czekaliśmy, a kiedy zapadła cisza, Leon powiedział:

– To brzmiało jak petardy.

Sam wślizgnął się do domu i sprawdził, czy z matką wszystko w porządku.

– Śpi – oznajmił po powrocie.

– Pojadę i sprawdzę, co się stało – zaproponowałem. – Zadzwonię, gdyby się okazało, że to coś ważnego.

Na ulicy, przy której mieszkał pan Youry, błyskały niebieskie i czerwone światła kilkunastu radiowozów. Zaczęły się tworzyć korki, kiedy ciekawscy próbowali dotrzeć jak najbliżej miejsca wydarzeń. W płytkim rowie zobaczyłem samochód Bustera, a kiedy znalazłem go kilka minut później, opowiedział mi wszystko.

– Dwójka dzieciaków – powiedział.

Uznałem, że to śmieszne, ale należałem do bardzo nielicznej mniejszości.

## Rozdział 41

---

**P**rzez dziewięć lat, które minęły od chwili, gdy kupiłem „Timesa”, nie było mnie w redakcji najdłużej przez cztery dni. Gazeta była drukowana w każdy wtorek i sprzedawana w środę, a już w każdy czwartek stawałem przed horrorem nieprzekraczalnego terminu.

Jednym z powodów sukcesu gazety było to, że pisałem bardzo dużo o wielu sprawach dotyczących miasta, w którym niewiele się działo. Każde wydanie miało trzydzieści sześć stron. Odejmując pięć na ogłoszenia, trzy na ogłoszenia sądowe i około sześciu stron na reklamy, co tydzień czekało mnie zadanie wypełnienia około dwudziestu dwóch stron lokalnymi wiadomościami.

Przynajmniej jedną stronę zajmowały nekrologi, przy czym każde słowo wychodziło spod mojego pióra. Davey Bigmouth Bass wypełniał sportem dwie strony, choć często musiałem mu pomagać przy podsumowaniu licealnych rozgrywek futbolowych albo pilnie napisać coś o niesamowitym ustrzeleniu kozła przez jakiegoś dwunastolatka. Margaret odpowiadała za jedną stronę zarezerwowaną na sprawy religii, jedną poświęconą ślubom i jedną na ogłoszenia drobne. Baggy, którego wydajność przez minione dziewięć lat można określić w najlepszym razie jako nikłą, niemal bez reszty pogrążył się w chlaniu i stać go było teraz na jeden artykuł tygodniowo, który oczywiście

chciał widzieć na pierwszej stronie. Zatrudniani na zlecenie reporterzy pojawiali się i odchodzili z frustrującą regularnością. Zwykle mieliśmy w składzie jednego, czasami dwóch, ale często więcej było z nimi kłopotu niż pożytku. Musiałem redagować ich teksty i robić korektę, tak że w sumie prościej by było, gdybym pisał je sam.

No więc pisałem. Choć studiowałem dziennikarstwo, nie wykazywałem skłonności do szybkiego produkowania ogromnej liczby słów. Niemniej w chwili, gdy stałem się właścicielem gazety i oznaczało to być albo nie być, odkryłem w sobie zdumiewającą zdolność do płodzenia barwnych i górnolotnych artykułów na każdy niemal temat. Umiarkowanie groźny wypadek samochodowy bez ofiar w ludziach stawał się wiadomością na pierwszą stronę, z zapierającymi dech w piersi cytatami wypowiedzi naocznego świadka i kierowcy karetki pogotowia. Niewielka rozbudowa jakiejś fabryki była prawdziwym dobrodziejstwem dla produktu krajowego brutto. Sprzedaż ciast zorganizowana przez kobiety z koła misyjnego przy kościele baptystów mogła zajmować nawet trzy pełne strony maszynopisu. Artykuł o aresztowaniu narkomana brzmiał tak, jakby Kolumbijczycy rozszerzali bezkarnie swoje strefy działania i zagrażali niewinnej młodzieży z Clanton. Organizowana przez klub Civitan akcja oddawania krwi urastała do rangi pomocy rannym na wojnie. Kradzież trzech pick-upów w jednym tygodniu miała znamiona przestępczości zorganizowanej.

Pisałem o mieszkańcach okręgu Ford. Miss Callie była bohaterką mojej pierwszej opowieści o ludziach, a przez wszystkie te lata starałem się zamieszczać choć jedną w miesiącu. I tak powstawały opowieści o mężczyźnie, który przeżył marsz śmierci na Bataanie, ostatnim lokalnym weteranie pierwszej wojny światowej, marynarzu walczącym w Pearl Harbor, emerytowanym duchownym służącym niewielkiemu wiejskiemu zgromadzeniu przez czterdzieści pięć lat, o dawnym misjonarzu, który przez trzydzieści jeden lat mieszkał w Kongu, niedawnej absolwentce szkoły tańczącej w musicalu na Broadwayu, o kobiecie, która mieszkała w dwudziestu dwóch stanach, mężczyźnie, który żenił się siedem razy i bardzo chciał podzielić się swoim doświadczeniem z nowożeńcami, o panu Mitlo – naszym sztandarowym imigrancie – emerytowanym trenerze koszykówki, kucharzu w jednej z kawiarni serwującej dania na szybko, który od zawsze smażył jajka. I tak dalej. Te historie stały się bardzo popularne.

Tymczasem jednak po dziewięciu latach lista ciekawych ludzi mieszkają-



cych w okręgu Ford zawierała już tylko kilka nazwisk.

Miałem dość pisania. Dwadzieścia stron tygodniowo przez pięćdziesiąt dwa tygodnie w roku.

Budziłem się każdego ranka i zaczynałem się zastanawiać nad nowym artykułem albo pokazaniem z innej strony czegoś, co już wcześniej opisałem. Jakakolwiek wiadomość albo niezwykle wydarzenie stawały się inspiracją do napisania tekstu i zamieszczenia go w gazecie. Pisałem o psach, starych ciężarówkach, legendarnym tornadzie, nawiedzonym domu, zaginionym kucyku, skarbach z czasów wojny secesyjnej, osławionym bezgłowym niewolniku, wściekłym skunksie. I o tym, co zawsze: postępowaniach sądowych, wyborach, przestępstwach, właśnie otwartych firmach, bankructwach, nowych ludziach w mieście. Pisanie zaczęło mnie męczyć.

I miałem dość Clanton. Choć z pewną niechęcią, miasto w końcu mnie zaakceptowało, zwłaszcza gdy stało się jasne, że nie zamierzam z niego wyjechać. Nie zmieniło to faktu, że miasteczko było małe i czasem czułem, że się duszę. Tak wiele weekendów spędziłem w domu na czytaniu i pisaniu, że się do tego przyzwyczaiłem. A to było przyczyną mojej ogromnej frustracji. Próbowiałem grać nocami w pokera z Bubbą Crockettem i jego bandą z Lisiej Nory, chodzić na wiejskie uczty do Harry'ego Rexa, żeby przebywać wśród ludzi. Niestety, miałem wrażenie, że nie pasuję do żadnego z tych miejsc.

Clanton się zmieniało, a mnie te zmiany wcale nie cieszyły. Jak większość miasteczek na Południu rozbudowywało się we wszystkich kierunkach, bez żadnego planu. Bargain City kwitło a teren wokół hipermarketu przyciągał wszelkie możliwe sieci barów szybkiej obsługi. Rynek podupadał, choć w sądzie i ratuszu nie narzekano na brak interesantów. Potrzebni byli silni przywódcy polityczni, ludzie z wizją, a tych brakowało.

Z drugiej strony podejrzewałem, że miasto już się mną znużyło. Z powodu moralizatorskiego sprzeciwiania się wojnie w Wietnamie na zawsze przypięto mi etykietę radykalnego liberała. Ja zaś robiłem niewiele, żeby ten stan rzeczy zmienić. W miarę rozrastania się gazety i zwiększania zysku moja skóra stawała się grubsza. Pisałem coraz więcej wstępniaków. Grzmiałem przeciwko zamkniętym zebraniom rady miejskiej i rady inspektorów. Wytoczyłem sprawę w sądzie, żeby zyskać dostęp do miejskiego archiwum. Przez rok wytrząsałem się nad niemal zupełnym brakiem planowania urbanistycznego i zarządzania ziemią w okręgu, a kiedy w mieście rozpanoszyła się sieć Bargain City, powiedziałem stanowczo za dużo. Wyśmiałem przepisy finan-

sowe dotyczące stanowych kampanii wyborczych, które powstały jedynie po to, by bogaci ludzie mogli wybierać swoich faworytów. A kiedy Danny Padgitt wyszedł na wolność, dołożyłem systemowi zwolnień warunkowych.

Przez lata siedemdziesiąte bez przerwy miałem coś do powiedzenia. I choć było to ciekawe i sprawiało, że gazeta się sprzedawała, stałem się kimś w rodzaju dziwaka. Zacząłem być postrzegany jako malkontent i kaznodzieja. Nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek miał despotyczne zapędy, bardzo starałem się tego unikać, ale patrząc wstecz, przyznaję, że dochodziło do awantur, które wywołałem nie tyle z przekonania, ile z nudy.

W miarę jak robiłem się starszy, chciałem być zwykłym obywatelem. Zawsze jednak pozostanę outsiderem, tyle że teraz w ogóle się tym nie przejmuję. Chciałem przyjeżdżać i wyjeżdżać, mieszkać w Clanton, kiedy mi to odpowiadało, a potem zniknąć na długie okresy, kiedy miasto mi się znudzi. Zdziwiający, jak perspektywa posiadania pieniędzy zmienia przyszłość człowieka.

Obsesyjnie marzyłem o odejściu, o urlopie, który spędziłbym w nieznanym mi miejscu, o zobaczeniu świata.

Na kolejne spotkanie z Garym McGrewem umówiłem się w restauracji w Tupelo. Odwiedził mnie w redakcji kilkakrotnie, i jeszcze jedna wizyta, a pracownicy zaczęliby szeptać. Przy lunchu ponownie przejrzelśmy moje księgi rachunkowe, rozmawialiśmy o planach jego klienta, negocjowaliśmy to i tamto. Jeśli doszłoby do sprzedaży, chciałem, żeby nowy właściciel uhonorował pięcioletnie kontrakty, które właśnie podpisałem z Bassem, Hardym i Margaret. Baggy i tak miał niedługo przejść na emeryturę albo umrzeć na marskość wątroby. Wiley zawsze pracował na zlecenie, poza tym tracił serce do uganiania się za czymś, co można sfotografować. Był jedynym pracownikiem, któremu powiedziałem o tych negocjacjach. Zachęcał mnie, żebym brał forszę i zwiewał.

Klient McGrewa chciał, żebym został w „Timesie” jeszcze co najmniej rok i wyszkolił nowego naczelnego, obiecywał przy tym bardzo wysoką pensję, jednak taka perspektywa wcale mi się nie uśmiechała. Jeśli już odchodzić, to na dobre. Nie potrzebowałem szefa i wolałbym uniknąć zamieszania, jakie na pewno powstanie w związku ze sprzedażą tygodnika okręgu dużej firmie spoza stanu.

Proponowali milion trzysta tysięcy dolarów. Konsultant z Knoxville, którego wynająłem, wycenił „Timesa” na milion trzysta pięćdziesiąt.

– Zdradzę panu w zaufaniu, że kupiliśmy tytuły w Tyler i Van Buren – powiedział McGrew pod koniec bardzo długiego lunchu. – Wszystko zaczyna się układać.

Nie do końca był ze mną szczery. Właściciel gazety z okręgu Tyler zgodził się co prawda na sprzedaż, ale nie podpisał jeszcze papierów.

– Pojawiło się też coś nowego – ciągnął McGrew. – Gazeta z okręgu Polk może być do kupienia. Prawdę mówiąc, chcemy się jej przyjrzeć, na wypadek gdyby pan się wycofał. Jest dużo tańsza.

– Aha, zwiększacie nacisk – mruknąłem.

Tygodnik „Polk County Herald” miał cztery tysiące czytelników i było jakich pracowników. Przeglądałem go co tydzień.

– Nie próbuję wywierać na pana nacisku. Po prostu wykładam karty na stół.

– Tak naprawdę chcę półtora miliona – powiedziałem.

– To więcej, niż gazeta jest warta, Willie.

– Cena jest wysoka, ale się zwróci. To może trochę potrwać, ale niech pan spojrzy na to z perspektywy następnych dziesięciu lat.

– Nie jestem pewny, czy możemy dać panu aż tyle.

– Będziecie musieli, jeśli chcecie kupić moją gazetę.

W naszej rozmowie dawało się wyczuć zniecierpliwienie.

McGrew wspomniał coś o ostatecznym terminie i w końcu powiedział:

– Rozmawiamy już od miesięcy, dlatego mój klient chciałby jak najszybciej dojść do porozumienia. Zależy mu na zamknięciu sprawy do pierwszego przyszłego miesiąca, albo pójdzie do kogoś innego.

Ich taktyka nie robiła na mnie wrażenia. Z drugiej strony też zaczynałem być zmęczony tą sytuacją. Sprzedać albo nie sprzedać. Nadszedł czas podjęcia decyzji.

– To od dzisiaj za dwadzieścia trzy dni – zauważyłem.

– W rzeczy samej.

– W porządku.

\*\*\*

Nadeszły długie dni lata; nieznośne upały i duża wilgotność jak co roku wzięły miasto w posiadanie na trzy miesiące. Robiłem to, co zawsze: objeżdżałem kościoły, odwiedzałem boiska softballowe, poszedłem na turniej gol-

fowy i konkurs rzeźbienia w arbuzach. Ale Clanton wyczekiwało i rozmawialiśmy wyłącznie o tym wyczekiwaniu.

To, że ochrona każdego przysięgłego będzie z czasem słabła, było nieuniknione. W całkiem naturalny sposób mieli już dość roli więźniów we własnych domach, zmiany rutyny, którą wypracowali przez całe życie, i sąsiadów pilnujących nocami ich domów. Zaczęli wychodzić, próbowali znowu prowadzić normalne życie.

Cierpliwość mordercy działała wszystkim na nerwy. Miał przewagę, bo nie liczył się z czasem i wiedział, że jego ofiary w końcu się zmęczą, że przestaną zachowywać ostrożność, popełnią błąd. My też o tym wiedzieliśmy.

Po opuszczeniu trzech niedzielnych nabożeństw z rzędu – po raz pierwszy w życiu – Miss Callie uparła się, że pójdzie do kościoła. Eskortowana przez Sama, Esaua i Leona, wmaszerowała do świątyni w niedzielny poranek i uczestniczyła w mszy tak żarliwie, jakby nie było jej tam od roku. Bracia i siostry obejmowali ją i gorąco się za nią modlili. Wielebny Small w jednej chwili zmienił kazanie i mówił o bożej ochronie jego wyznawców. Sam powiedział, że wielebny gadał przez prawie trzy godziny.

Dwa dni później Miss Callie wślizgnęła się na tylne siedzenie mojego mercedesa. Z Esauem u jej boku i Samem trzymającym strzelbę opuściliśmy Clanton z jadącym za nami zastępcą szeryfa, który zatrzymał się przy granicy okręgu. Godzinę później znaleźliśmy się w Memphis. Na wschód od miasta powstało nowe centrum handlowe, którym wszyscy się zachwycali, a Miss Callie marzyła o tym, żeby je odwiedzić. Ponad sto sklepów pod jednym dachem! Po raz pierwszy w życiu zjadła pizzę, zobaczyła lodowisko, dwóch mężczyzn trzymających się za ręce i mieszane rasowo rodziny. Zaaprobowała tylko lodowisko.

Po godzinie mówienia Samowi, jak ma jechać, znaleźliśmy cmentarz w południowej części Memphis. Korzystając z planu, który dostaliśmy w stróżówce, udało nam się w końcu znaleźć grób Nicoli Rossetti DeJarnette. Miss Callie położyła na nim bukiet kwiatów przywieziony z domu, a kiedy stało się jasne, że zamierza spędzić tam więcej czasu, odeszliśmy, zostawiając ją w spokoju.

Żeby uczcić pamięć Nicoli, Miss Callie chciała zjeść coś włoskiego. Zarezerwowałem stolik u Grisantiego, restauracji słynnej w całym Memphis, gdzie spędziliśmy dużo przyjemnego czasu przy obiedzie złożonym z lasagne i ravioli z kozim serem. Miss Callie zdołała stłumić niechęć do kupnego je-

dzenia, a żeby uchronić ją od grzechu, uparłem się, że za wszystko zapłacę.

Nie chcieliśmy opuszczać Memphis. Na kilka godzin uciekliśmy od strachu przed niewiadomym i niepokojem wyczekiwania. Clanton wydawało się oddalone o tysiące kilometrów, a to i tak było za blisko. Kiedy wracaliśmy późną nocą, zacząłem jechać coraz wolniej.

Choć tego nie omawialiśmy, w miarę zbliżania się do domu wszelkie rozmowy ucichły, wiedzieliśmy, że w okręgu Ford grasuje morderca. Nazwisko Miss Callie znajdowało się na liście jego celów. Gdyby nie dwoje martwych ludzi, trudno byłoby w to uwierzyć.

Według Baggy'ego, co zresztą zostało potwierdzone wynikami poszukiwań w archiwum „Timesa”, w tym stuleciu nie było morderstwa, którego sprawcy by nie wykryto. Niemal wszystkich zabójstw dokonano w afekcie, prawie zawsze przy świadkach. Aresztowania, procesy i wyroki – wszystko to działo się bardzo szybko. A teraz mieliśmy sprytnego, działającego z namysłem mordercę, przy czym wiadomo było, kogo zamierzał zabić. Członkom takiej praworządnej, bogobojnej społeczności nie mieściło się to w głowach.

Bobby, Al i Leon przy różnych okazjach tłumaczyli matce z przejęciem, że powinna, choćby na miesiąc, zamieszkać u któregoś z nich. Sam i ja, a nawet Esau, dołączaliśmy do tych raczej energicznych próśb, ale ona była nieugięta. Utrzymywała bliski kontakt z Bogiem, a on miał ją obronić.

Przez dziewięć lat tylko raz straciłem nad sobą kontrolę przy Miss Callie i tylko raz mnie ofuknęła. Zdarzyło się to podczas kłótni o jej wyjazd z Bobbym na miesiąc do Milwaukee.

– Te wielkie miasta są niebezpieczne – powiedziała tylko.

– Żadne miejsce nie jest tak niebezpieczne jak Clanton w tej chwili – odrzekłem.

Później, kiedy podniosłem głos, powiedziała, że nie pochwała mojego braku szacunku, a ja szybko się zamknąłem.

Gdy tamtej nocy przejeżdżaliśmy granicę okręgu Ford, zacząłem patrzeć we wsteczne lustro. To było kretyńskie, ale wtedy wcale mi się takie nie wydawało. W Lowtown domu Ruffinów pilnował zastępca szeryfa siedzący w samochodzie zaparkowanym na ulicy i przyjaciel Esaua, który tkwił na werandzie.

– To był spokojny wieczór – powiedział przyjaciel Esaua.

Innymi słowy, nikt nie został zastrzelony ani też do nikogo nie strzelano.

Gdy Miss Callie szykowała się do snu, graliśmy z Samem w warcaby.  
Wyczekiwanie trwało.

## Rozdział 42

---

**W** 1979 roku w Missisipi znowu odbywały się wybory, trzecie, w których brałem udział. Były znacznie spokojniejsze niż poprzednie. Na stanowisko szeryfa nie zgłosił się żaden kontrkandydat – coś takiego nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Krążyły plotki, że Padgittowie kupili nowego kandydata, ale po aferze ze zwolnieniem warunkowym się wycofali. Senator Theo Morton miał przeciwnika, który przyniósł mi ogłoszenie bijące po oczach pytaniem: *Dlaczego senator Morton dopuścił do zwolnienia warunkowego Danny’ego Padgitta? Dostał pieniądze! Oto dlaczego!* Choć bardzo chciałem je wydrukować, nie miałem czasu ani energii na proces o zniesławienie.

W wyścigu do urzędu konstabla w „czwartym rewirze” wystartowało trzynastu kandydatów, ale poza tym reszta wyborów zalały nudą. Uwaga okręgu skupiała się na zamordowaniu Fargarsona i Teale’a oraz – co ważniejsze – na tym, kto będzie następny. Szeryf McNatt, śledczy z policji stanowej i spece ze stanowego laboratorium kryminalistycznego sprawdzili wszystkie możliwe wskazówki i tropy. Mogliśmy tylko czekać.

Zbliżał się czwarty lipca, ale nikt się tym nie ekscytował. Chociaż prawie wszyscy czuli się bezpieczni, nad okręgiem wisiła ciemna chmura. Co dziwne, krążyła plotka, że kiedy wszyscy zbierzemy się wokół budynku sądu

w Dzień Niepodległości, stanie się coś złego. Powstawały najbardziej wymyślne i najszybciej rozchodzące się plotki.

\*\*\*

W eleganckiej kancelarii prawniczej w Tupelo dwudziestego piątego lipca podpisałem stos dokumentów, na których podstawie nowym właścicielem tygodnika „Times” została spółka wydawnicza należąca w części do pana Raya Noble’a z Atlanty. Noble wręczył mi czek na półtora miliona dolarów, a ja szybko i z pewnym niepokojem pomaszerowałem do budynku, w którym mój najnowszy przyjaciel, Stu Holland, czekał już na mnie w przestronnym gabinecie w banku Merchants. Wiadomość o takim depozycie rozeszłaby się w Clanton w jeden dzień, dlatego powierzyłem pieniądze Stu, a potem pojechałem do domu.

To była najdłuższa godzinna jazda w moim życiu. Rozpierała mnie radość, bo sprzedałem gazetę za najwyższą cenę możliwą do osiągnięcia na rynku. Wycisnąłem, co się dało z nadzianego i uczciwego kupca, który zaplanował już kilka zmian w moim tygodniku. Wzywał mnie świat, a ja miałem teraz środki, żeby na to wezwanie odpowiedzieć.

Jednocześnie ta jazda była smutna, bo kończyłem długi i bardzo satysfakcjonujący etap mojego życia. Gazeta i ja razem dojrzewaliśmy – ja stałem się dorosłym człowiekiem, ona zyskownym przedsięwzięciem. Była taka, jaka powinna być każda małomiasteczkowa gazeta – stanowiła żywe odbicie bieżących wydarzeń, była kronikarzem historii, sporadycznym komentatorem spraw politycznych i społecznych. Jeśli chodzi o mnie, byłem młodym człowiekiem, który na ślepo i uparcie budował coś od zera. Przypuszczam, że brzemie minionych lat powinno mi ciążyć, ale ja miałem tylko ochotę znaleźć się na plaży. A potem poznać jakąś dziewczynę.

Kiedy wróciłem do Clanton, poszedłem do pokoju Margaret, zamknąłem drzwi i powiedziałem jej o sprzedaży. Wybuchnęła płaczem i ani się obejrzałem, a w moich oczach też pojawiły się łzy. Jej niezachwiana lojalność zawsze mnie zdumiewała i choć Margaret, podobnie jak Miss Callie, za bardzo martwiła się o moją duszę, z czasem mnie pokochała. Zapewniłem ją, że nowi właściciele są wspaniałymi ludźmi, nie planują żadnych drastycznych zmian i zgodzili się honorować jej pięcioletnią umowę razem z podwyższoną pensją. Słyszając to, rozplakała się jeszcze bardziej.



Hardy nie płakał. Drukował „Timesa” od prawie trzydziestu lat. Był kapryśny, kłótniwy, za dużo pił, jak większość drukarzy, i jeśli okazałoby się, że nie spodobał się nowym właścicielom, miał zamiar po prostu rzucić tę robotę i zacząć chodzić na ryby. Doceniał jednak nową umowę o pracę.

Podobnie było z Daveyem Bassem. Wiadomość go zaszokowała, ale szybko doszedł do siebie, gdy powiedziałem mu o podwyżce.

Baggy był na urlopie gdzieś na zachodzie kraju, z bratem, ale bez żony. Ray Noble niechętnym okiem patrzył na przedłużenie umowy z Baggym o kolejne pięć lat – jego dziennikarstwo zeszło na psy, a ja nie mogłem z czystym sumieniem zmusić Noble’a, żeby jednak go zatrzymał. Baggy zatem musiał teraz radzić sobie sam.

Mieliśmy jeszcze pięciu innych pracowników. Każdego z nich osobiście poinformowałem o zmianach. Zajęło mi to całe popołudnie i kiedy w końcu miałem to za sobą, czułem się wypompowany. Z Harrym Rexem spotkałem się w pokoju na zapleczu u Pepe i uczciliśmy to margaritami.

Chciałem jak najszybciej opuścić miasto i dokądś pojechać, ale nie mogłem tego zrobić, dopóki nie ustaną zabójstwa.

\*\*\*

Przez prawie cały lipiec profesorowie z rodziny Ruffinów jeździli w tę i z powrotem do Clanton. Poprzekładali obowiązki służbowe i ustalili plany urlopowe tak, żeby co najmniej dwoje albo troje z nich zawsze było z Miss Callie. Sam rzadko wychodził z domu. Trzymał się Lowtown, żeby chronić matkę, ale również po to, by nie rzucać się w oczy. Funkcjonariusz Durant nadal kręcił się po okolicy, choć znowu się ożenił, a jego dwóch zbuntowanych synów wyjechało z okręgu.

Sam spędzał całe godziny na tarasie, dużo czytał, grał w warcaby z Esauem czy z kimś, kto akurat się zjawił, żeby przez jakiś czas pomóc w pilnowaniu Miss Callie. Grał ze mną w tryktraka, ale w momencie, kiedy przejrzał tę grę na wylot, zaczął nalegać, żebyśmy stawiali po dolarze na każde rozdanie. Nie minęło wiele czasu, i byłem mu winny pięćdziesiąt dolarów. Takie zuchowałę uprawianie hazardu na werandzie Miss Callie było oczywiście trzymane w tajemnicy.

Tydzień przed Dniem Niepodległości rozpoczęły się pośpieszne przygotowania do rodzinnego zjazdu. Ponieważ w moim domu było pięć wolnych sy-

pialni i bardzo brakowało tam obecności ludzi, uparłem się, żeby Ruffinowie zatrzymali się u mnie. Rodzina znacznie się rozrosła od chwili, gdy ją poznałem w 1970 roku. Wszyscy poza Samem mieli już partnerów życiowych, a Miss Callie doczekała się dwudziestu jeden wnuków. W sumie było teraz trzydzieścioro pięcioro Ruffinów, nie licząc Sama, Esaua i Miss Callie. Do Clanton miały zjechać trzydzieści cztery osoby, bo rozchorował się ojciec żony Leona mieszkający w Chicago.

Z tej trzydziestki czwórki dwadzieścioro troje zamieszkało na kilka dni w domu Hocuttów. Przyjechali z różnych części kraju, najczęściej z Północy, zjawiali się partiami o różnych porach dnia i nocy, a każdy nowo przybyły witany był z wielką pompą. Kiedy Carlota, jej mąż i dwójka małych dzieci przyjechali z Los Angeles o trzeciej nad ranem, w domu zapalono wszystkie światła, a żona Bobby'ego, Bonnie, zaczęła smażyć naleśniki.

Zawładnęła moją kuchnię i trzy razy dziennie byłem wysyłany do sklepu spożywczego z listą rzeczy, których pilnie potrzebowała. Lody kupowałem tonami i dzieciaki szybko się nauczyły, że mogą mnie o nie prosić o każdej porze.

Ponieważ werandy były szerokie i długie, a przy tym rzadko używane, Ruffinów coś do nich ciągnęło. Pewnego popołudnia Sam przywiózł Esaua i Miss Callie, która rozpaczliwie chciała wyrwać się z Lowtown. Przytulny mały dom stał się dla niej więzieniem.

Od czasu do czasu słyszałem, jak jej dzieci bardzo poważnie rozmawiają o matce. Ich uwagę bardziej zaprzętał stan jej zdrowia niż to, że mogła zostać zastrzelona. Przez lata udało jej się schudnąć trzydzieści parę kilo – wielkość ta zależała od tego, kto ją podawał. Teraz znowu przytyła i lekarzy martwiło jej ciśnienie. Stres też zbierał swoje żniwo. Esau mówił, że żona śpi niespokojnie, co ona zrzucała na działanie leków. Nie była już tak żwawa, rzadziej się uśmiechała i wyraźnie straciła ochotę do życia.

Za wszystko to obwinialiśmy „aferę z Padgitem”. W chwili gdy zostanie złapany i morderstwa ustana, Miss Callie znowu będzie sobą.

To było optymistyczne przekonanie, żywione przez jej wszystkie dzieci.

W poniedziałek drugiego lipca Bonnie i jej pomocnicy przygotowali lekki lunch złożony z sałatek i pizzy. Byli wszyscy Ruffinowie. Jedliśmy na bocznej werandzie pod wolno obracającymi się i praktycznie bezużytecznymi wiklinowymi wiatrakami. Wiał lekki wiaterek, dzięki czemu przy temperaturze ponad trzydziestu stopni mogliśmy rozkoszować się długim i leniwym posił-

kiem.

Musiałem jeszcze znaleźć odpowiedni moment, żeby powiedzieć Miss Callie, że odchodzę z gazety. Wiedziałem, że ta wiadomość ją zaszokuje i będzie mną bardzo rozczarowana. Nie widziałem jednak powodu, dla którego nie mielibyśmy kontynuować naszych czwartkowych lunchów. Znajdowanie literówek i błędów zrobionych przez kogoś innego będzie być może jeszcze zabawniejsze.

Przez dziewięć lat nie spotkaliśmy się w czwartki tylko siedem razy, z powodu choroby albo wizyty u dentysty.

Senna rozmowa po posiłku ucichła. Nagle w oddali, gdzieś po drugiej stronie miasta, zaczęły wyc syreny radiowozów.

\*\*\*

Pudełko o kwadratowej podstawie o trzydziestocentymetrowych bokach, głębokie na dwadzieścia centymetrów, było białe, z czerwonymi i niebieskimi paskami i gwiazdkami. Było to typowe pudełko prezentowe z farmy orzechów pekanowych Bolan w Hazelhurts w stanie Missisipi, wysłane do pani Maxine Root przez jej siostrę mieszkającą w Concord w Kalifornii. Prawdziwe amerykańskie orzechy pekanowe jako podarunek z okazji Dnia Niepodległości. Przyszło pocztą, listonosz dostarczył je koło południa i włożył do skrzynki Maxine Root. Stamtąd przeniesiono je do domu obok samotnego strażnika siedzącego pod drzewem na trawniku od frontu, i dalej do kuchni, gdzie Maxine po raz pierwszy je zobaczyła.

Minął prawie miesiąc, od kiedy szeryf McNatt wypytywał ją, jak głosowała podczas obrad przysięgłych. Niechętnie przyznała, że była przeciwna karze śmierci dla Danny'ego Padgitta, i przypomniała sobie, iż jej zdanie podzieliło dwóch mężczyzn, Fargrason i Teale. Ponieważ tamci dwaj nie żyli, McNatt przekazał jej złowieszczą wiadomość, że może być następną ofiarą.

Przez lata, jakie upłynęły od procesu, Maxine wciąż rozmyślała o tamtym werdykcie. Miasto było nim rozgoryczone, wyczuwała jego wrogość. Na szczęście przysięgli dochowali tajemnicy, dzięki czemu ona, Lenny i Mo uniknęły dodatkowych nieprzyjemności. Z upływem czasu udało jej się zdystansować do następstw podjętej decyzji.

Teraz cały świat już wiedział, jak głosowała, a na jej życie czyhał jakiś wariat. Wzięła urlop, nerwy miała w strzępach, nie mogła spać, miała dość ukry-

wania się we własnym domu, podwórza pełnego sąsiadów przychodzących co wieczór, jakby to był piknik, mijania okien w kucki. Brała tak dużo najróżniejszych tabletek, że w sumie znosiły nawzajem swoje działanie.

Spostrzegła pudełko orzechów i zaczęła płakać. Ktoś, kto był tam, na zewnątrz, ją kochał. Jej najdroższa siostra Jane myślała o niej. Och, jakże chciałyby znaleźć się w tym momencie w Kalifornii z Jane.

Maxine zaczęła rozpakowywać pudełko, ale coś przyszło jej do głowy. Poszła do telefonu i wybrała numer Jane. Nie rozmawiały od tygodnia.

Jane była w pracy i bardzo się przejęła jej telefonem. Rozmawiały o tym i tamtym, a w końcu o strasznej sytuacji w Clanton.

– Jesteś taka kochana, że przysłałaś mi pudełko orzechów pekanowych – powiedziała Maxine.

– Jakich orzechów? – zdziwiła się Jane.

Cisza w słuchawce.

– Prezent z farmy Bolan z Hazelhurst. Duże, jakieś półtora kilo.

Nadal cisza w słuchawce.

– Niczego ci nie wysyłałam, siostrzyczko. To musiał być ktoś inny.

Maxine się rozłączyła i uważnie obejrzała pudełko. Na nalepce z przodu napisano: „Prezent od Jane Parham”. Nie znała żadnej innej Jane Parham.

Podniosła je bardzo ostrożnie. Wydawało się trochę za ciężkie jak na półtorakilogramowe pudełko orzechów.

Przypadkiem był u niej zastępca szeryfa Travis. Towarzyszył mu Teddy Ray, przyszczaty chłopak w za dużym mundurze, ze służbowym rewolwerem, z którego jeszcze nigdy nie strzelał. Maxine zawołała ich do kuchni, gdzie na blacie stało wyglądające niewinnie biało-niebiesko-czerwone pudełko. Samotny strażnik też się przywłókł i mniej więcej przez minutę cała czwórka wpatrywała się w pakunek. Maxine powtórzyła im słowo w słowo swoją rozmowę z Jane.

Travis wziął pudełko i z pewnym wahaniem lekko nim potrząsnął.

– Wydaje się trochę za ciężkie, jak na orzechy – stwierdził. Spojrzał na Teddy’ego Raya, który w jednej chwili zbladł, a potem na sąsiada ze strzelbą sprawiającego wrażenie, jakby w każdej chwili miał się rzucić na podłogę.

– Myślisz, że to bomba? – zapytał sąsiad.

– O mój Boże – wymamrotała Maxine i wyglądała, jakby miała zemdleć.

– Niewykluczone – odpowiedział Travis, a potem wpatrywał się przerażony w to, co trzymał w rękach.

- Wynieś to z domu – poprosiła Maxine.
- Może powinniśmy zadzwonić do szeryfa? – zdołał wydukać Teddy Ray.
- Chyba tak – zgodził się z nim Travis.
- A jeśli ma zegar lub coś w tym rodzaju? – zapytał sąsiad.

Travis wahał się przez chwilę, a potem głosem świadczącym o zupełnym braku doświadczenia zapewnił:

- Wiem, co robię.

Wyszli z kuchni na wąską werandę biegnącą przez całą długość domu. Ostrożnie postawił pudełko na jej krawędzi, mniej więcej metr nad ziemią. Kiedy wyciągnął z kabury magnum, Maxine zapytała:

- Co ty robisz?
- Przekonamy się, czy to bomba – odpowiedział Travis.

Teddy Ray i sąsiad zbiegli z werandy i stanęli na trawniku w bezpiecznej odległości piętnastu metrów.

- Chcesz strzelać do orzechów? – zdziwiła się Maxine.
- A masz lepszy pomysł? – warknął Travis w odpowiedzi.
- Chyba nie.

Ukryty do połowy w kuchni, Travis wychylił się przez drzwi z siatką, z których wystawały teraz jego wyciągnięte grube ramię i stosunkowo duża głowa. Wycelował. Maxine kucała tuż za nim i próbowała coś zobaczyć.

Pierwsza kula w ogóle nie trafiła w werandę, choć i tak huk zaparł Maxine dech w piersiach.

– Ładny strzał! – krzyknął Teddy Roy i się roześmiał, a sąsiad mu wtórował.

Travis wycelował i znów strzelił.

Wybuch oderwał werandę od domu i zrobił ogromną dziurę w tylnej ścianie za kuchnią. Odłamki poszybowały na odległość stu metrów. Powybijały szyby w oknach, podziurawiły deski fasady i zraniły czwórkę obserwatorów. Teddy Roy i sąsiad dostali kawałkami metalu w piersi i nogi. Travis miał pokiereszowane ramię i dłoń, w której trzymał pistolet. Maxine dostała dwa razy w głowę – kawałek szkła uciął jej płatek prawego ucha, a niewielki gwóźdź wbił się w szczękę z prawej strony.

Na chwilę wszyscy stracili przytomność, przez własną głupotę zwaleni z nóg ponadkilogramowym ładunkiem plastiku zapakowanym razem z gwóźdźkami, szkłem i kulkami z łożysk.

\*\*\*

Podczas gdy po drugiej stronie miasta wyły syreny, poszedłem do telefonu i zadzwoniłem do Wileya Meeka, który, jak się okazało, miał właśnie do mnie dzwonić.

– Próbowali wysadzić w powietrze Maxine Root – oznajmił.

Przekazałem Ruffinom, że doszło do wypadku, i zostawiłem ich na werandzie. Kiedy dotarłem na osiedle, na którym mieszkała Maxine Root, główne ulice były już zablokowane i zawracano wszystkie samochody. Pomknąłem więc do szpitala, gdzie znałem jednego młodego lekarza. Dowiedziałem się od niego, że przywieziono czworo rannych, ale żadna z osób nie jest w stanie krytycznym.

\*\*\*

Sędzia Omar Noose prowadził tego popołudnia sprawę w Clanton. Prawdę mówiąc, powiedział później, że słyszał wybuch. Rufus Buckley i szeryf McNatt odbyli z nim ponadgodzinne spotkanie w jego gabinecie, ale nigdy nie wyjawiono, o czym rozmawiali. Kiedy czekaliśmy w sali rozpraw, Harry Rex i większość pozostałych prawników, którzy się tam kręcili, mówili, że tych trzech na pewno zastanawia się, w jaki sposób wystawić nakaz aresztowania Danny'ego Padgitta przy tak skąpych dowodach na to, że dopuścił się czegoś złego.

Coś jednak musiało być zrobione. Kogoś należało aresztować. Szeryf powinien chronić ludzi, którzy go wybrali, musiał podjąć jakieś działanie, nawet jeśli nie do końca zgodne z prawem.

Dowiedzieliśmy się, że Travis i Teddy Ray zostali przewiezieni do szpitala w Memphis na operacje. Maxine i jej sąsiad byli operowani właśnie w tej chwili. I znów lekarze zapewnili, że ich życiu nie zagraża niebezpieczeństwo. Travis mógł jednak stracić prawą rękę.

Ilu mieszkańców okręgu Ford miało pojęcie o tym, jak się robi bombę? Kto miał dostęp do materiałów wybuchowych? Kto miał motyw? Kiedy dyskutowaliśmy o tym w sali sądowej, o tym samym najwyraźniej mówiono w gabinecie na jej zapleczu. Sędzia Noose, prokurator Buckley i szeryf McNatt byli urzędnikami wybieranymi na te stanowiska. Poczciwi mieszkańcy okręgu Ford potrzebowali ochrony. Ponieważ Danny Padgitt był jedynym

możliwym podejrzanym, sędzia Noose podpisał w końcu nakaz jego aresztowania.

Zawiadomiono Luciena, a on przyjął tę wiadomość bez sprzeciwu. W tym momencie nawet adwokat Padgittów nie mógł zakwestionować strategii polegającej na poddaniu chłopaka tej procedurze. Później zawsze można go wypuścić.

Kilka minut po siedemnastej konwój radiowozów wyjechał z piskiem opon z Clanton i skierował się ku Wyspie Padgittów. Harry Rex miał CB-radio nastawione na policyjną częstotliwość (teraz było w mieście kilka nowych urządzeń tego typu), usiedliśmy więc w jego kancelarii i słuchaliśmy wrzasków policjantów, którzy z trudem opanowywali złość. To miało być najbardziej ekscytujące aresztowanie w historii naszego okręgu i wielu z nas chciałoby przy tym być. Czy Padgittowie zablokują drogę i je udaremnią? Czy dojdzie do strzelaniny? Małej wojny?

Na podstawie skrzekliwych słów wydobywających się z radia mogliśmy śledzić większość z tego, co się tam działo. Na drodze czterdzieści dwa McNatt i jego ludzie spotkali się z dziesięcioma „jednostkami” policji drogowej. Założyliśmy, że „jednostka” oznacza po prostu radiowóz, ale tak brzmiało to znacznie poważniej. Ruszyli razem szosą czterysta jeden, po czym skręcili w polną drogę prowadzącą na Wyspę. Na moście, gdzie wszyscy spodziewali się jakiejś dramatycznej rozgrywki, Danny siedział w samochodzie ze swoim adwokatem.

Głosy w CB-radiu zdradzały zdenerwowanie, mówiono szybko.

– Jest ze swoim prawnikiem!

– Wilbanksem?

– Aha.

– Zastrzelmy ich obu.

– Wysiadają z samochodu.

– Wilbanks trzyma ręce w górze. Cwany dupek!

– To Danny Padgitt we własnej osobie. Też trzyma ręce wysoko.

– Z chęcią kopniakiem starłbym mu ten uśmiech z gęby.

– Założyli mu kajdanki.

– Niech to cholera! – wrzasnął Harry Rex. – Chciałem jakiejś strzelaniny. Jak za dawnych dobrych czasów.

\*\*\*

Dotarliśmy do aresztu godzinę później, kiedy przyjechała tam kawalkada radiowozów z pobłyskującymi na niebiesko i czerwono światłami. McNatt postąpił sprytnie, umieszczając Padgitta w jednym z samochodów drogówki, w przeciwnym razie zastępcy szeryfa w czasie jazdy mogliby nieźle poturbować Danny'ego. Dwóch ich kolegów leżało w szpitalu w Memphis na oddziale chirurgicznym, dlatego trudno im było nad sobą zapanować.

Przed aresztem zebrał się tłum. Padgitta obrzucano wyzwiskami, gwizdano, gdy był pośpiesznie prowadzony do środka, a potem szeryf McNatt kazał gorącym głowom wracać do domów.

Widok Padgitta w kajdankach wywołał uczucie ogromnej ulgi. Wiadomość, że znalazł się pod kluczem, była dla całego okręgu niczym balsam. Czarne chmury zostały rozpędzone. Tamtej nocy Clanton odżyło.

Kiedy już po zmierzchu wróciłem do domu Hocuttów, klan Ruffinów był w nastroju do świętowania. Miss Callie się odprężyła – dawno nie widziałem jej w takim nastroju. Siedzieliśmy na werandzie do późna, opowiadaliśmy sobie historie, śmialiśmy się, słuchaliśmy Arethy Franklin i Temptations, a od czasu do czasu z oddali dobiegał huk fajerwerków.



## Rozdział 43

---

**N**ikt nie wiedział, że Lucien Wilbanks i sędzia Noose w czasie gorączkowych godzin poprzedzających aresztowanie zawarli umowę. Sędzia martwił się, co będzie, jeśli Danny Padgitt zdecyduje się ukryć na Wyspie albo, co gorsza, będzie stawiał opór. Okręg przypominał beczkę prochu czekającą na zapalnik. Policjanci byli gotowi utoczyć komuś krew z powodu Teddy’ego Raya i Trávisa, o których porażającej głupocie tymczasem zapomniano, przynajmniej do chwili, gdy wyzdrowieją. Maxine Root z kolei pochodziła z rodziny drwali cieszących się złą sławą, dużego zadziornego klanu, o którym wiadomo, że poluje przez okrągły rok, żyje z ziemi i zawsze wyrównuje rachunki z wrogami.

Lucien dobrze ocenił sytuację. Zgodził się dostarczyć swojego klienta, ale pod jednym warunkiem: żądał natychmiastowego posiedzenia dotyczącego kaucji. Miał co najmniej kilkunastu świadków gotowych zapewnić Danny’emu „niepodważalne” alibi, poza tym chciał, żeby mieszkańcy Clanton usłyszeli ich zeznania. Naprawdę wierzył, że za morderstwami stoi ktoś inny, dlatego ważne było przekonanie o tym miasta.

Lucien wiedział, że za miesiąc zostanie pozbawiony prawa wykonywania zawodu za bałagan, jakiego narobił w zupełnie innej sprawie. Miał świadomość, że koniec jest bliski, a posiedzenie w sprawie kaucji będzie jego ostat-

nim występem.

Noose wyznaczył termin na dziesiątą rano następnego dnia, to znaczy trzeciego lipca. Obecność Danny'ego Padgitta sprawiła, że sala zapełniła się ludźmi do ostatniego miejsca; upiornie przypominało to rozprawę sprzed dziewięciu lat. Był to jednak wrogi tłum, niecierpliwie wyczekujący widoku Padgitta, karmiący się nadzieją, że złoczyńca zostanie natychmiast powieszony. Rodzina Maxine Root przyjechała wcześniej i zajęła miejsca z przodu. Byli to pełni złości brodaci mężczyźni o szerokich ramionach, ubrani w kombinезony. Przerazali mnie, a przecież byliśmy rzekomo po tej samej stronie. Rozeszła się wieść, że Maxine czuje się lepiej i za kilka dni wróci do domu.

Tego ranka Ruffinowie nie mieli właściwie nic do roboty, dlatego za nic nie chcieli przepuścić tak ekscytującego wydarzenia. Sama Miss Callie chciała się zjawić w sądzie wcześniej, żeby zająć dobre miejsce. Cieszyła się, że znowu może przyjechać na rynek. Ubrała się w niedzielną sukienkę, bardzo zadowolona z tego, że siedzi wśród tak wielu ludzi otoczona rodziną.

Doniesienia ze szpitala w Memphis były różne. Teddy'ego Raya pozszywano i powoli wracał do zdrowia. Travis z kolei miał za sobą ciężką noc i nie było wiadomo, czy lekarzom uda się ocalić jego rękę. Ich koledzy z biura szeryfa stawili się na sali sądowej w pełnym składzie, czekając na kolejną szansę okazania gniewu konstruktorowi bomby.

Dostrzegłem siedzących z tyłu państwa Fargarsonów i nie potrafiłem wyobrazić sobie, co myślą.

Padgittów nie było – mieli dość zdrowego rozsądku, żeby trzymać się z dala od sądu. Widok choćby jednego z nich mógłby wywołać zamieszki. Harry Rex wyszeptał, że zgromadzili się na górze, w pokoju przysięgłych, za drzwiami zamkniętymi na klucz. Tego dnia ich nie zobaczyliśmy.

Rufus Buckley zjawił się ze swoją świtą jako przedstawiciel stanu Missisipi. Jedną z korzyści sprzedania „Timesa” było to, że już nigdy nie musiałem spędzać z nim czasu. Był arogancki i nadęty, a wszystko, co robił, służyło jedynie zapewnieniu sobie w przyszłości fotela gubernatora.

Kiedy czekałem i obserwowałem tłum wypełniający salę rozpraw, uświadomiłem sobie, że po raz ostatni będę relacjonował podobne wydarzenie dla „Timesa”. Ale nie czułem smutku. W myślach gazeta nie była już moja, w myślach wydałem już nawet część pieniędzy. A teraz, gdy Danny został zatrzymany, z tym większą niecierpliwością czekałem na chwilę, gdy ucieknę z Clanton i zobaczę świat.

Proces zapowiadał się na kilka miesięcy. Kolejny cyrk z Dannym Padgitem, ale miałem poważne wątpliwości, czy będzie się odbywał w okręgu Ford. Zresztą nic mnie to nie obchodziło. To będzie już materiał na artykuły dla kogoś innego.

O dziesiątej wszystkie miejsca były zajęte, ludzie tłoczyli się pod ścianami. Piętnaście minut później usłyszeliśmy szuranie za miejscami dla przysięgłych, drzwi się otworzyły i zjawił się Lucien Wilbanks. Można było pomyśleć, że oglądamy jakieś wydarzenie sportowe, on zaś był zawodnikiem, którego wszyscy mieli ochotę wygwizdać. Za nim weszło dwóch woźnych.

– Proszę wstać, sąd idzie! – krzyknął jeden z nich.

Sędzia Noose, w czarnej todze, wszedł wolnym krokiem i zasiadł na swoim tronie.

– Proszę usiąść – powiedział do mikrofonu.

Omiótł spojrzeniem tłum i wydawał się zdumiony, że przyszło tak dużo ludzi.

Skinął głową, otworzyły się boczne drzwi i trzech zastępców szeryfa wprowadziło Danny'ego Padgitta – miał skute ręce i nogi, ubrany był w pomarańczowy kombinezon. Rozkuwanie go z przeróżnych zabezpieczeń trwało kilka minut, a kiedy wreszcie go uwolniono, pochylił się i wyszeptał coś do Luciena.

– To posiedzenie dotyczące kaucji – ogłosił sędzia Noose, a na sali zapadła cisza. – Nie ma powodu, żebyśmy nie załatwili tego szybko i zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

Było znacznie krótsza, niż ktokolwiek przypuszczał.

\*\*\*

Gdzieś nad nami wystrzeliło działo i przez ułamek sekundy wydawało mi się, że wszyscy zostaliśmy trafieni. Coś trzasnęło ostro w ciężkim powietrzu sali rozpraw, a ponieważ ludzie i bez tego byli podenerwowani, zamarliśmy w bezruchu, nie wierząc własnym uszom. Potem Danny Padgitt wydał dziwny odgłos i rozpętało się piekło. Kobiety krzyczały. Mężczyźni też.

Ktoś wrzasnął:

– Padnij!

Połowa ludzi przykucnęła, niektórzy rzeczywiście padli na podłogę.

Ktoś inny krzyknął:

– Zastrzelili go!

Skuliłem się kilka centymetrów od barierki, ale nie chciałem, by coś uszło mojej uwagi. Wszyscy ludzie szeryfa wyszarpnęli rewolwery z kabur i rozglądali się, szukając kogoś, do kogo mogliby strzelić. Celowali w górę, w dół, przed siebie, za siebie, tu i tam.

Choć spieraliśmy się o to przez lata, drugi strzał padł nie później niż trzy sekundy po pierwszym. Trafił Danny'ego w żebra, ale to nie było konieczne. Pierwsza kula przeszła mu przez głowę. Drugi strzał zwrócił uwagę zastępcy szeryfa stojącego z przodu sali. Pochyliłem się jeszcze bardziej, ale zobaczyłem, że wycelował w balkon.

Podwójne drzwi sali rozpraw otworzyły się na oścież i ludzie rzucili się ucieczki. Ja zostałem na miejscu i usiłowałem ogarnąć wszystko wzrokiem. Pamiętam, że widziałem Luciena Wilbanka pochylającego się nad swoim klientem. I Rufusa Buckleya przed stołem sędziowskim, próbującego uciec na czworaka. I nigdy nie zapomnę sędziego Noose'a, tkwiącego sztywno za stołem, z okularami do czytania na czubku nosa, patrzącego na panujący chaos, jakby oglądał coś takiego co tydzień.

Wydawało się, że każda sekunda trwa minutę.

Strzały, które zabiły Danny'ego, oddano spod sufitu nad balkonem. Choć balkon był pełen ludzi, nikt nie zauważył kilku centymetrów lufy, która wysunęła się trzy metry nad ich głowami. Podobnie jak pozostali, patrzyli na Danny'ego Padgitta.

Okręg remontował i łątał budynek sądu, kiedy tylko można było wyrwać trochę dolarów z państwowej szkatuły. Pod koniec lat sześćdziesiątych, chcąc poprawić oświetlenie, zainstalowano podwieszany sufit. Snajper znalazł idealne miejsce przy rurze grzewczej, tuż nad panelami. Tam, w ciemności i miejscu tak ciasnym, że mógł się tylko czołgać, czekał cierpliwie i przyglądał się sali rozpraw przez dwunastocentymetrową szparę, która powstała, gdy uniósł jedną z płyt.

Kiedy doszedłem do wniosku, że strzelanina się skończyła, podkradłem się bliżej barierki. Gliniarze wrzeszczeli na wszystkich, żeby wychodzili z sali. Popychali ludzi, wyszczekując często sprzeczne polecenia. Danny leżał pod stołem, był przy nim Lucien i kilku zastępców szeryfa. Widziałem jego nogi – nie poruszały się. Minęła minuta lub dwie, zamieszanie powoli zamierało. Nagle znowu rozległy się strzały, na szczęście tym razem na ulicy. Spojrzałem przez okno i zobaczyłem ludzi uciekających do sklepów wokół rynku.

Widziałem starca wskazującego na coś mniej więcej nad moją głową, na dachu sądu.

Szeryf McNatt domyślił się, gdzie jest kryjówka snajpera, gdy usłyszał nad sobą strzał. Razem z jednym z zastępców szeryfa wbiegli po schodach na drugie piętro, a potem po wąskich stopniach prowadzących na kopułę. Właz w suficie okazał się zatrzaśnięty, ale tuż nad nim usłyszeli pośpieszne kroki snajpera. I brzęk łusek spadających na podłogę.

Jedynym celem stała się teraz kancelaria Luciena Wilbanksa, a zwłaszcza okna na górze. Snajper rozwaliał je metodycznie, jedno po drugim. Tymczasem na parterze Ethel Twitty schowała się pod biurkiem i przez cały czas wrzeszczała.

Wyszedłem w końcu z sali rozpraw i zbiegłem po schodach do głównego holu, gdzie ludzie trwali w oczekiwaniu, niepewni, co robić. Szef policji kazał im zostać w środku. Między hukami wystrzałów wymieniano szybkie i nerwowe uwagi. Za każdym razem, gdy snajper zaczynał strzelać, wgapialiśmy się w siebie nawzajem. I każdy z nas myślał: Jak długo to potrwa?

Dołączyłem do Ruffinów. Kiedy na sali rozpraw padł pierwszy strzał, Miss Callie zemdlła. Max i Bobby podtrzymywali ją i chcieli jak najszybciej odwieźć do domu.

\*\*\*

Po terroryzowaniu miasta przez godzinę snajperowi skończyła się amunicja. Ostatnią kulę zachował dla siebie, a kiedy pociągnął za spust, spadł z głuchym hukiem na klapę wąskiego włazu w podłodze kopuły. Szeryf McNatt odczekał kilka minut, a potem udało mu się wepchnąć właz do środka i go otworzyć. Hank Hooten i tym razem był nagi. I martwy jak po egzekucji.

Zastępca szeryfa zbiegł na dół, krzycząc:

– Już po wszystkim! On nie żyje! To był Hank Hooten!

Wyraz dezorientacji na twarzach ludzi był niemal zabawny. Hank Hooten? Wszyscy powtarzali to nazwisko, ale z żadnych ust nie wydobywał się dźwięk. Hank Hooten?

– Ten prawnik, który oszalał.

– Myślałem, że go gdzieś zamknęli.

– Czy on nie jest w Whitfield?

– Myślałam, że nie żyje.

– A kto to jest Hank Hooten? – zapytała mnie Carlota, ale byłem zbyt skonsternowany, żeby odpowiedzieć.

Tłum rozproszył się pod drzewami, a my razem z nim. Przez jakiś czas staliśmy w cieniu, niepewni, czy powinniśmy zostać, na wypadek gdyby doszło do kolejnego niewiarygodnego wydarzenia, czy też wracać do domu i spróbować objąć rozumem to, co właśnie przeżyliśmy. Klan Ruffinów szybko odjechał. Miss Callie nie czuła się dobrze.

W końcu karetka z ciałem Danny’ego Padgitta ruszyła przed budynku sądu, ale widać było, że nigdzie się nie śpieszy. Zabranie ciała Hanka Hootena okazało się bardziej skomplikowane. Po jakimś czasie udało się jednak ułożyć je na noszach i wynieść z sądu zakryte białym prześcieradłem.

Poszedłem do redakcji, gdzie Margaret i Wiley popijali świeżo zaparzoną kawę i na mnie czekali. Byliśmy zbyt oszołomieni, żeby prowadzić inteligentną rozmowę. Całe miasto oniemiało.

Ostatecznie jednak zadzwoniłem w kilka miejsc, znalazłem pewną osobę i koło południa wyszedłem z redakcji. Kiedy jechałem wokół rynku, na balkonie kancelarii Luciena Wilbanka spostrzegłem pana Dexa Pratta, miejscowego szklarza, który co tydzień zamieszczał ogłoszenie w „Timesie”, wymieniającego szyby w oknach balkonowych. Byłem pewny, że do tego czasu Lucien wrócił do domu i chla na werandzie, skąd widzi kopułę budynku sądu.

Whitfield znajdowało się trzy godziny drogi na południe.

Nie byłem pewny, czy dam radę tam dotrzeć, bo w każdej chwili mogłem skręcić w prawo, skierować się na zachód, przejechać most nad rzeką w Greenville albo w Vicksburgu i przed zmierzchem znaleźć się gdzieś daleko w Teksasie. Albo skręcić w lewo, pojechać na wschód i zjeść późną kolację gdzieś w okolicach Atlanty.

Co za obłąd. Jakim cudem takie ładne miasteczko mogło stać się miejscem takiego koszmaru? Chciałem po prostu z niego wyjechać.

Zanim trochę się uspokoiłem, dojechałem do Jackson.

\*\*\*

Stanowy szpital psychiatryczny znajdował się przy autostradzie międzystanowej, trzydzieści kilometrów na wschód od Jackson. Przy budce strażnika zablefowałem, wykorzystując nazwisko lekarza, którego namierzyłem w cza-

sie telefonicznych poszukiwań.

Doktor Vero był bardzo zajęty, dlatego przez godzinę czytałem magazyny przed jego gabinetem. Kiedy poinformowałem dziewczynę w rejestracji, że nie mam zamiaru wyjść i jeśli będzie trzeba, pojedę za nim do domu, wcisnął mnie jakoś w wypełniony grafik zajęć.

Vero miał długie włosy i siwiejącą brodę. Akcent zdradzał, że pochodzi z północnej części Środkowego Wschodu. Dwa dyplomy na ścianie świadczyły o tym, że studiował w Northwestern i skończył uniwersytet Johnsa Hopkinsa, choć w kiepskim oświetleniu zagraconego gabinetu nie mogłem odczytać szczegółów.

Opowiedziałem mu, co wydarzyło się tego ranka w Clanton. Kiedy skończyłem, powiedział:

– Nie mogę rozmawiać o panu Hootenie. Jak już panu wyjaśniłem przez telefon, obowiązuje mnie tajemnica lekarska.

– Już nie.

– Nadal obowiązuje, panie Traynor, i dlatego raczej nie mogę rozmawiać o tym pacjentce.

Kręciłem się przy Harrym Reksie wystarczająco długo, by wiedzieć, że nigdy nie należy godzić się z odmowną odpowiedzią. Przystąpiłem do obszernego relacjonowania sprawy Padgitta, począwszy od procesu, przez zwolnienie warunkowe i ostatni miesiąc, na napięciu panującym w Clanton kończąc. Powiedziałem mu, że spotkałem Hanka Hootena późnym wieczorem w Niezależnym Kościele w Calico Ridge. Mówiłem o tym, że najwyraźniej nikt nic nie wiedział o ostatnich latach jego życia.

Wychodziłem z założenia, że mieszkańcy Clanton powinni dowiedzieć się, co sprawiło, że zwariował. Jak bardzo był chory? Dlaczego został wypisany? Miałem mnóstwo pytań, tłumaczyłem, że zanim „my” będziemy w stanie zapomnieć o tym, co „nas” spotkało, chcielibyśmy poznać prawdę.

– Ile z tego pan opublikuje? – zapytał, przełamując lody.

– Tylko to, co pozwoli mi pan wydrukować. Jeśli coś jest poufne, proszę mnie uprzedzić.

– Przejdźmy się.

Na betonowej ławce stojącej przy niewielkim ocienionym dziedzińcu piliśmy kawę z papierowych kubków.

– To może pan wydrukować – zaczął Vero. – Pan Hooten został tu przyjęty w styczniu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego pierwszego roku. Zdia-

gnozowano u niego schizofrenię, zatrzymano w szpitalu, leczono i wypisano w październiku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego szóstego.

– Kto postawił diagnozę? – zapytałem.

– Teraz będą informacje poufne. Zgoda?

– Zgoda.

– To musi pozostać tajemnicą, panie Traynor. Muszę mieć na to pańskie słowo.

Odłożyłem długopis i notes.

– Przysięgam na Biblię, że tego nie opublikuję.

Bardzo długo się wahał, upił kilka łyków kawy i przez chwilę myślałem, że jednak zrezygnuje i mnie wyprosi. Potem trochę się odprężył.

– Początkowo to ja prowadziłem pana Hootena. W jego rodzinie występowała schizofrenia. Cierpiały na nią matka i prawdopodobnie babka. W przypadku tej choroby genetyka odgrywa ważną rolę. Był już leczony szpitalnie, kiedy uczył się w college’u, ale co niezwykle, udało mu się skończyć studia prawnicze. Po drugim rozwodzie, w połowie lat sześćdziesiątych, przeprowadził się do Clanton, bo szukał miejsca, gdzie mógłby zacząć od nowa. Znowu się rozwódł.

Uwielbiał kobiety, ale nie nadawał się do życia w związku. Był zakochany w Rhodie Kassellaw i utrzymywał, że oświadczał jej się raz po raz. Jestem pewny, że ta młoda kobieta w jakiś sposób mu nie ufała. Bardzo przeżył jej śmierć. A kiedy ława przysięgłych nie chciała posłać sprawcy do komory gazowej, on – jeśli mogę tak powiedzieć – spadł w przepaść.

– Dzięki za używanie języka zrozumiałego dla laików – powiedziałem. Przypomniałem sobie diagnozę postawioną mu przez mieszkańców Clanton: „Pogibany psychol”.

– Słyszał głosy, z których najważniejszy należał do Rhody Kassellaw. Dwójka jej małych dzieci również do niego mówiła. Błagały go, żeby ją chronił, ocalił. Opisały mu horror, jaki przeżyły, patrząc na matkę, gwałconą i zamordowaną we własnym łóżku, i zarzucały mu, że to on jest winny, bo jej nie obronił. Jej morderca, Danny Padgitt, również go nękał i drwił z niego z więzienia. Przy wielu okazjach, dzięki kamerom zainstalowanym w naszych salach, widziałem Hootena złoścącego Danny’emu Padgittowi.

– Czy wspominał o przysięgłych?

– O tak, wielokrotnie. Wiedział, że troje z nich, pan Fargarson, pan Teale i pani Root, nie chciało się zgodzić na karę śmierci. Wykrzykiwał ich nazwi-



ska w środku nocy.

– To zadziwiająco. Sędziowie złożyli przysięgę, że nigdy nie będą rozmawiali o głosowaniu. W mieście nikt nie wiedział, jak głosowali, aż do zeszłego miesiąca.

– Cóż, pomagał prokuratorowi.

– Tak, rzeczywiście. – Dokładnie pamiętałem Hanka Hootena siedzącego w czasie procesu obok Erniego Gaddisa. Nie odezwał się ani słowem, sprawiał wrażenie znudzonego i w ogóle niezainteresowanego przebiegiem sprawy. – Czy mówił głośno, że chce się zemścić?

Łyk kawy, kolejna chwila milczenia, kiedy lekarz zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Tak. Nienawidził ich. Życzył im śmierci, podobnie jak Padgittowi.

– Dlaczego w takim razie został wypisany?

– Nie mogę panu nic powiedzieć o powodach jego wypisania. Nie było mnie tu wtedy, a nie wykluczam, że szpital w pewnym stopniu ponosi za to odpowiedzialność.

– Nie było tu pana?

– Przez dwa lata prowadziłem wykłady w Chicago. Kiedy wróciłem półtora roku temu, Hootena już tu nie było.

– Ale przeglądał pan jego kartę.

– Tak. Gdy mnie nie było, jego stan bardzo się poprawił. Lekarze dobrali właściwą kombinację leków i symptomy choroby prawie ustąpiły. Został wypisany i miał kontynuować leczenie w ramach programu terapii grupowej w Tupelo, ale tam, jakby to powiedzieć... straciliśmy go z radaru. Nie muszę dodawać, że leczenie chorób psychicznych nie należy do priorytetów stanu Missisipi, jak zresztą wielu innych. Brakuje nam personelu i funduszy.

– Czy pan by go wypisał?

– Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć. Myślę, panie Tarynor, że powiedziałem już dość.

Podziękowałem mu za czas, jaki mi poświęcił, i po raz kolejny obiecałem, że dochowam tajemnicy. Poprosił o egzemplarz gazety z tym, co napiszę.

Zatrzymałem się przy barze szybkiej obsługi w Jackson i zjadłem cheesburgera. Z budki telefonicznej zadzwoniłem do redakcji, zastanawiając się, czy ominęła mnie może kolejna strzelanina. Margaret poczuła ulgę, słysząc mój głos.

– Musisz wrócić do domu, Willie, i to szybko – powiedziała.

- Dlaczego?
- Miss Callie miała udar. Jest w szpitalu.
- To poważne?
- Niestety tak.

## Rozdział 44

---

**Z** funduszu za obligacje okręgu w 1977 roku zapłaciliśmy za przyzwoite odnowienie naszego szpitala. Na końcu głównego korytarza była teraz nowoczesna, choć mroczna kaplica, gdzie siedziałem kiedyś z Margaret i jej rodziną, gdy umarła jej matka. To tam znalazłem Ruffinów, wszystkich ośmioro dzieci, wszystkie dwadzieścia jeden wnucząt i wszystkich współmałżonków poza żoną Leona. Wielebny Thurston Small też tam był razem z całkiem sporą gromadką z kościoła. Esau został na górze, na oddziale intensywnej terapii, przed salą, w której leżała Miss Callie.

Sam powiedział mi, że obudziła się z drzemki z ostrym bólem w lewym ramieniu i brakiem czucia w nodze, a po chwili zaczęła niezrozumiale mamrotać. Karetka przywiozła ją do szpitala. Lekarz był pewny, że zaczęło się od wylewu, który doprowadził do łagodnego ataku serca. Podano jej bardzo dużo leków i podłączono do aparatury. Ostatnia informacja od lekarza była z godziny dwudziestej; określił stan chorej jako „poważny, ale stabilny”.

Nie mogliśmy jej odwiedzić, więc pozostało nam tylko czekać, modlić się, witać i żegnać przyjaciół, którzy przychodzili i odchodzili. Po godzinie spędzonej w kaplicy miałem ochotę położyć się spać. Max, trzeci w kolejności urodzin, niemniej niezaprzeczalny przywódca całej ósemki, ustalił nocne dy-

żury. W szpitalu miało przebywać przez cały czas co najmniej dwoje dzieci Miss Callie.

Około dwudziestej trzeciej znowu rozmawialiśmy z lekarzem. Jego odpowiedź brzmiała optymistycznie w granicach rozsądku. Stan chorej nadal był stabilny. „Śpi”, jak to ujął, ale przy dalszym wypytywaniu przyznał, że to śpiączka farmakologiczna, żeby zapobiec kolejnemu udarowi.

– Jedźcie do domu i odpocznijcie, państwo – poradził. – Jutrzejszy dzień może się okazać bardzo długi.

Zostawiliśmy Maria i Glorię i wszyscy pojechaliśmy do domu Hocuttów, gdzie zjedliśmy lody na bocznej werandzie. Sam odwiózł Esaua do domu w Lowtown. Byłem bardzo zadowolony, że reszta rodziny wolą zostać u mnie.

Z trzynastu dorosłych osób tylko Leon i mąż Carloty Sterling pili alkohol. Otworzyłem butelkę wina i cała nasza trójka darowała sobie lody.

Wszyscy byli wykończeni, szczególnie dzieci. Dzień zaczął się od wyprawy do sądu, żeby popatrzeć na człowieka, który terroryzował naszą społeczność. To wydawało się wydarzeniem sprzed tygodnia. Około północy Al zebrał całą rodzinę w moim pokoju na ostatnią modlitwę. Łańcuszek modlitwy, jak to nazwał, polegał na tym, że każdy dorosły i dziecko dziękowali za coś i prosili Boga, żeby opiekował się Miss Callie. Siedząc na sofie i trzymając mocno za rękę Bonnie i żonę Maria, czułem obecność Boga. Wiedziałem, że moja ukochana przyjaciółka, ich matka i babcia, wyjdzie z tego.

Dwie godziny później leżałem w łóżku, zupełnie rozbudzony, i nadal słyszałem w uszach ostry huk wystrzału na sali sądowej, głuchy trzask, gdy kula trafiła Danny’ego, odgłosy paniki, jaka potem wybuchła. Odtwarzałem każde słowo powiedziane przez doktora Vero i zastanawiałem się, w jakim rodzaju piekła biedny Hank Hooten żył przez ostatnie kilka lat. Dlaczego wypuszczono go ze szpitala, żeby żył między ludźmi?

I martwiłem się o Miss Callie, choć jest stan wydawał się w pełni kontrolowany i była w dobrych rękach.

W końcu zasnąłem na dwie godziny, a potem zszedłem na dół, gdzie zastałem Maria i Leona pijących kawę przy stole w kuchni. Mario wrócił ze szpitala godzinę wcześniej; nic się tam nie zmieniło. Obmyślali już rygorystyczną dietę, którą rodzina miała zamiar narzucić Miss Callie po jej powrocie do domu. Miała też realizować program ćwiczeń, na który składałyby się codziennie spacery po Lowtown.

Plus regularne wizyty u lekarza, witaminy, chude produkty.

Byli bardzo poważni, jeśli chodziło o jej nowy reżim zdrowego trybu życia, choć wszyscy wiedzieli, że Miss Callie zrobi to, co będzie chciała.

\*\*\*

Kilka godzin później zacząłem wrzucać do pudeł rzeczy i śmieci, jakie uzbierały się przez dziewięć lat, i sprzątać mój pokój w redakcji. Nowym redaktorem naczelnym okazała się miła kobieta z Meridian w stanie Missisipi, która chciała zacząć już w weekend. Margaret zaoferowała mi pomoc, ale chciałem zrobić to powoli i powspominać, gdy opróżniałem szuflady i szafki. To była bardzo osobista chwila, dlatego wolałem być sam.

Książki pana Caudle'a zostały w końcu usunięte z zakurzonych półek, na których postawiono je długo przed moim przybyciem. Zamierzałem przenieść je do domu, na wypadek gdyby zjawił się jakiś krewny i zaczął zadawać pytania.

Miałem mieszane uczucia. Wszystko, czego dotykałem, przywoływało wspomnienia o jakiejś historii, ostatecznym terminie, wyprawie daleko na wieś w pogoni za jakimś tematem, wywiadzie ze świadkiem albo spotkaniu z kimś, kto, jak miałem nadzieję, będzie wystarczająco interesujący, by o nim napisać. Poza tym im szybciej skończyłbym pakowanie, tym szybciej nastąpiłaby chwila wyjścia z redakcji i łapanie samolotu.

O wpół do dziesiątej zadzwonił Bobby Ruffin. Miss Callie odzyskała przytomność, piła herbatę i pozwolono jej na kilkuminutowe odwiedziny. Pośpieszyłem do szpitala. Sam czekał w holu i poprowadził mnie przez labirynt sal i boksów oddziału intensywnej opieki medycznej.

– Tylko nie wspominaj o niczym, co zdarzyło się wczoraj, dobrze? – prosił.

– Oczywiście.

– Nie może się ekscytować. Nie pozwolili nawet na wizytę wnuków, bo się boją, że jej serce zaczęłoby walić jak szalone. Musi mieć przede wszystkim ciszę i spokój.

Nie spała, ale była półprzytomna. Spodziewałem się błyszczących oczu i promiennego uśmiechu, ale Miss Callie trwała na granicy świadomości. Rozpoznała mnie, uściskaliśmy się, poklepałem ją po prawej ręce. W lewym ramieniu miała kroplówkę. Przy łóżku siedzieli Sam, Esau i Gloria.

Chciałem побыć z nią kilka minut sam na sam, żeby opowiedzieć o sprzedaniu gazety, ale jej stan wykluczał takie wiadomości. Była przytomna od dwóch godzin i wyglądało na to, że potrzebuje więcej snu. Może za dzień lub dwa będziemy mogli sobie o tym pogadać.

Po piętnastu minutach zjawił się lekarz i poprosił, żebyśmy wyszli. Posłuchaliśmy go, wróciliśmy do poczekalni, i to czuwanie trwało przez cały czwarty lipca, choć nie pozwolono nam już wejść na oddział intensywnej opieki medycznej.

\*\*\*

Burmistrz postanowił, że z okazji Dnia Niepodległości nie będzie żadnych fajerwerków. Słyszeliśmy wystarczająco dużo huków, wycierpieliśmy dość z powodu prochu. Biorąc pod uwagę utrzymujący się w mieście stan podenerwowania, nie wywołało to zorganizowanych sprzeciwów. Orkiestry przedefilowały, parada przemaszerowała, ogłoszono takie same jak co roku polityczne przemówienia, choć kandydatów było mniej. Rzuciła się w oczy nieobecność senatora Thea Mortona. Były lody, lemoniada, grille, wata cukrowa – typowe jedzenie i napoje sprzedawane na trawniku przed budynkiem sądu.

Ale miasto wydawało się przygaszone. A może tylko ja taki byłem? Może czułem się tak zmęczony tym miejscem, że wszystko widziałem w czarnych barwach. Miałem jednak na to lekarstwo.

Po przemówieniach opuściłem rynek i pojechałem do szpitala, trochę okrężną drogą, bo ta codzienna zaczynała mnie nudzić. Porozmawiałem z Fuzzym, który zamiatał parking przed szpitalem, i z Ralphem myjącym okna w holu. Zaszedłem do kafeterii i kupiłem kolejną lemoniadę od Hazel, potem zamieniłem kilka słów z panią Esther Ellen Trussel, która siedziała w punkcie informacyjnym przy głównym wejściu i była wolontariuszką z organizacji o nazwie Pink Ladies. W poczekalni na pierwszym piętrze zastałem Bobby'ego i żonę Ala. Oglądali telewizję i wyglądali jak zombie. Właśnie otworzyłem jakiś magazyn, kiedy nadbiegł Sam.

– Miała kolejny atak serca! – krzyknął.

Cała nasza trójka zerwała się na równe nogi, jakbyśmy mogli dokądś pobic.

– To się stało przed chwilą! Sprowadzili zespół reanimacyjny!

Lekarze trzymali nas w niepewności przez całą wieczność, zanim dowiedzieliśmy się czegoś nowego. Dochodziła dwudziesta, kiedy jej lekarz prowadzący wszedł do kaplicy. Wyraz twarzy lekarza jest najczęściej niemożliwy do odczytania, ale jego poważne spojrzenie i zmarszczone czoło mówiły wszystko. Gdy opisywał „zatrzymanie akcji serca”, z ośmiorga dzieci Miss Callie jakby uszło powietrze. Założono jej respirator, bo sama nie była już w stanie oddychać.

Po godzinie kaplica zapełniła się jej przyjaciółmi. Wielebny Thurston Small przewodził nieustającym modlitwom grupy znajdującej się blisko ołtarza, a ludzie do niej dołączali i odchodzili, kiedy chcieli. Biedny Esau siedział w tylnym rzędzie, zgarbiony i wykończony. Otaczały go wnuki – wszystkie ciche i okazujące mu szacunek.

Czekaliśmy godzinami. I choć próbowaliśmy się uśmiechać i zachować optymizm, nękało nas przecucie tragedii. Można było pomyśleć, że pogrzeb już się zaczął.

Wpadła Margaret i pogadałem z nią w holu. Później państwo Fargarsonowie znaleźli mnie i spytali, gdzie jest Esau, bo chcieli z nim porozmawiać. Zaprowadziłem ich do kaplicy, gdzie cała rodzina Ruffinów przywitała ich ciepło i złożyła kondolencje z powodu śmierci syna.

O północy byliśmy odrętwiali i straciliśmy poczucie czasu. Minuta wlokła się za minutą. Spojrzałem na zegar na ścianie i zastanawiałem się, kiedy minęła godzina. Chciałem stamtąd wyjść, choćby tylko po to, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Tyle że lekarz kazał nam zostać w pobliżu.

Najstraszniejsza część tej ciężkiej próby zaczęła się, gdy lekarz zebrał nas wokół siebie i powiedział, że nadszedł czas „ostatnich chwil z rodziną”. Niektórzy zaczęli szlochać, w oczach wszystkich pojawiły się łzy. Nigdy nie zapomnę chwili, gdy Sam powtórzył głośno:

– Ostatnie chwile?

– Czy to już? – zapytała przerażona Gloria.

Wystraszeni i zdezorientowani wyszliśmy za lekarzem z kaplicy, potem korytarzem, schodami na górę, a każdy z nas włókł się na ołowianych nogach skazańca idącego na egzekucję. Pielęgniarki pomagały nam znaleźć drogę w labiryncie oddziału intensywnej opieki medycznej. Ich twarze mówiły nam to, czego obawialiśmy się najbardziej.

Kiedy rodzina zapełniała małą, zagraconą sprzętem salkę, lekarz dotknął mojego ramienia i powiedział:

- To chyba czas wyłącznie dla rodziny.
- Racja – przyznałem.
- Nie ma o czym mówić – odezwał się Sam. – On jest z nami.

Skupiliśmy się wokół Miss Callie i maszyny, z której większość została już odłączona. Dwoje najmłodszych wnucząt posadzono w nogach jej łóżka. Esau stał najbliżej i delikatnie głaskał ją po twarzy. Oczy miała zamknięte; najwyraźniej już nie oddychała.

Wydawała się bardzo spokojna. Mąż i dzieci dotykali jej, a ich płacz rozdzierał serce. Stałem w kącie, za mężem Glorii i żoną Ala, i po prostu nie mogłem uwierzyć, w to, gdzie jestem, ani w to, co robię.

Kiedy Max trochę się uspokoił, położył rękę na ramieniu Miss Callie i powiedział:

- Pomódlmy się.

Pochyliliśmy głowy, na tę chwilę płacz ustał prawie zupełnie.

– Dobry Boże, niech będzie wola Twoja, nie nasza. W Twoje ręce oddajemy ducha tego bożego dziecięcia. Przygotuj dla niej miejsce w Królestwie Niebieskim. Amen.

\*\*\*

O wchodzie słońca siedziałem na werandzie przed redakcją. Chciałem być sam, chciałem porządnie się wypłakać. Nie mogłem słuchać szlochu, który wypełniał dom.

Kiedy marzyłem o podróżowaniu po świecie, wyobrażałem sobie powroty do Clanton z prezentami dla Miss Callie. Przywiózłbym jej srebrną wazę z Anglii, pościel z Włoch, jakiej nigdy nie widziała, perfumy z Paryża, czekoladki z Belgii, wazę z Egiptu, mały brylant z Afryki Południowej. Podarowałbym jej to wszystko na werandzie przed lunchem, a potem rozmawialibyśmy o miejscach, które odwiedziłem. Z każdego miasta wysyłałbym jej pocztówkę. Oglądalibyśmy zdjęcia z bardzo szczegółowymi komentarzami. Moimi oczami zobaczyłaby świat. Zawsze by tu była i czekała niecierpliwie na mój powrót, ciekawa, co tym razem jej przywiozłem. Zapełniłaby dom fragmentami świata i miała przedmioty, jakich nikt w Clanton, biały albo czarny, nie widział na oczy.

Cierpiałem z powodu utraty drogiej mi przyjaciółki. Jej nagłe odejście było okrutne, jak zawsze w takich przypadkach. Głębia bólu stała się tak ogromna,



że nie potrafiłem sobie wyobrazić, przynajmniej wtedy, że kiedykolwiek się po tym pozbieram.

Kiedy miasto powoli budziło się do życia, podszedłem do biurka, przesunąłem zawadzające pudła i usiadłem. Wziąłem długopis i przez długi czas wpatrywałem się w pustą kartkę. W końcu, bardzo wolno, udręczony, zacząłem pisać ostatni nekrolog.

## Od autora

---

Bardzo niewiele przepisów prawa pozostaje niezmienionych. Raz wprowadzone są analizowane, modyfikowane, poprawiane, a często zastępowane innymi. To, że sędziowie i prawodawcy wciąż przy nich majstrują, jest zwykle dobre. Złe prawa są usuwane jak chwasty. Dobre przepisy doskonałe.

Pozwoliłem sobie na swobodę w traktowaniu prawa obowiązującego w Missisipi w latach siedemdziesiątych. Te przepisy prawne, nad którymi znęcałem się w tej książce, zostały już poprawione i zmienione. Nadużyłem ich, bo tego wymagała moja opowieść. Robię tak przez cały czas i nigdy nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, bo zawsze mogę o tym napisać na tej stronie.

Jeśli zauważycie jakieś błędy, proszę, darujcie sobie pisanie o tym do mnie. Przyznaję się do nich. Popełniłem je świadomie.

Dziękuję Grady'emu Tollisonowi i Edowi Perry'emu z Oksfordu w stanie Missisipi za podzielenie się ze mną informacjami o dawnych przepisach prawa i procedurach. Dziękuję też Donowi Whittenowi oraz panu Jessiemu Phillipsowi z „Oxford Eagle”.

I Gary'emu Greenowi za rady dotyczące kwestii technicznych.

---

<sup>1</sup> *Spot* (ang.) – plama, cętką.

<sup>2</sup> Okręg, po angielsku *county*, czyli hrabstwo (określenie używane tu wymiennie).

<sup>3</sup> Ivy League (ang.) – dosłownie „liga bluszczu”, zrzesza osiem najbardziej elitarnych uczelni w północno-wschodnich stanach USA.

<sup>4</sup> Wielka Ława Przysięgłych to gremium w sądownictwie niektórych stanów USA, które podejmuje decyzję, czy przedstawione przez oskarżyciela dowody umożliwiają rozpoczęcie procesu. Jej członkowie, w liczbie od 16 do 23, są – tak jak w przypadku sędziów przysięgłych – wybierani spośród osób posiadających obywatelstwo USA.

<sup>5</sup> Mt 7,1, Biblia Tysiąclecia, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, wydawnictwo Pallottinum, Poznań 2003.

<sup>6</sup> Rz 6,23, op. cit.